

z fotogr. Suchowicza _ W Litografii Banku P. _ Fran. Kosmicki lito. 1858 r.

STANISŁAW JACHOWICZ

WIENIEC,

PISMO ZBIOROWE.

OFIAROWANE

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI

PRZEZ PIERWSZYCH KRAJU AUTORÓW ORAZ LICZNYCH INNYCH JEGO PRZYJACIÓŁ I WIELBICIELI.

Tom I.

WARSZAWA,

W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.
Ulica Elektoralna, Nr. 755.

1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie, dnia (25 Maja) 6 Czerwca 1857 r.

Starszy Cenzor *F. Sobieszczański.*

WIENIEC,

PISMO ZBIOROWE.

OFIAROWANE

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI

PRZEZ PIERWSZYCH KRAJU AUTORÓW ORAZ LICZNYCH INNYCH JEGO PRZYJACIÓŁ I WIELBICIELI.

WARSZAWA,

W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.
Ulica Elektoralna, Nr. 755.

1857.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie, dnia (25 Maja) 6 Czerwca 1857 r.

Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

Do

STANISŁAWA
JACHOWICZA

na 61 rocznicę urodzin, dnia 17 Kwietnia 1857 (*).

Mężu! lat pełen i chwały,
Silny cnotą, życiem czysty!
Cóż Ci da starzec zgrzybiały
W dzień tak dla nas uroczysty?

Z wyroków nam niezbadanych
Objawia się Wyższa Władza;
Pan w nich doświadcza *wybranych*
I *ukorzonych* nagradza.

(*) Wyjątek z listu Kasztelana Franciszka Wężyka do L. P. (Kraków, dnia 23 Marca 1857): „Na dowód szczérych mych chęci uczczenia szanownego, a tak zasłużonego Męża, jakim jest dla nas *Jachowicz*, znajdziesz Pan obok skréślony w dniu wczorajszym wiérszyk, który do zamierzonego „Wieńca“ przesyłam. Będę szczęśliwy, jeźli się na co przyda. Niechciałem załączać starszych płodów, lubo powszechnie nieznanych. Nowe położenie, w którém się znajduję i jako Prezes Naukowego Towarzystwa, i jako kwo-

1

Gdyś olśnął (a), Tyś się nie skarżył,
I nam dziś żale niewczesne,
Bóg Ci wźrok *ducha* rozżarzył,
Gdy gasił oko *cielesne.*

Więc *jaśniéj* patrzysz na ziemię:
Znasz jéj nędze, niedostatki;
Ty, co przez trzecie już plemię
Rozrzewniasz dzieci i matki!

Słuchaj... Lecz gdzież się zapędzę?—
Gdy dziś chwalba nie na dobie,
Więc Ci trochę pogawędzę:
O czém-że spytasz? *O sobie.*

Młodość nasza uleciała
W trudach o *spólną* nam sprawę,
Tyś *wytrwał*; więc Tobie chwała!
Jam rychléj dostał odprawę.

Pod Zygmunta chodząc codzień (b),
Czekam, a nikt mię niewzywa.
W tém rzecze jakiś przechodzień:
»Niéma dla Ciebie już żniwa!«

---

starz, dosyć ma styczności z tym mężem. On stawiał *dom dla siérot*, ja dla *osiéroconego* Towarzystwa, po bolesnym z Uniwersytetem rozdziale. On swego *dokonał;* ja za jego wzorem pracować będę, póki sił i życia wystarczy. Nie tak-to snadnie dla starca, który niedługo 72 roku życia domierzy. Ale nadzieja w Bogu i w czynnéj pomocy rodaków."

(a) Stanisław Jachowicz mocno na wźroku podupadł, a nawet na jedno oko zaniewidział.

(b) W Warszawie pod kolumną Zygmunta zbiérają się robotnicy do żniwa.

Odszedłem... Co mogę, robię,
Trochę piórem, trochę radłem...
Gdy ktoś przypomniał mię sobie —
Włódarstwo nauk posiadłem (c).

Lecz pierwszéj zaraz niedzieli
Taki głos, uczonych skarca:
„Czyście, mądrzy, poszaleli!
„Na czoło wzywając starca!

„Kruche są siły człowiecze;
„Prawda zmusza do przestrogi:
„Nim on się do Was dowlecze,
„Na ulicy zadrze nogi.

„Czy wreszcie Grudzień lub Marzec
„Na cmentarz go niewydali?
„Jeźli wytrwa, on jak starzec
„*Dawne* tylko czasy chwali.

„On Was będzie nudą znoić;
„On dla całéj Waszéj bandy
„Gotów takie mycki skroić,
„Jakie nosił Allbertrandy.

„A tu tylu mędrcom nowym,
„Wyrosłym w wielkie postacie,
„Genialnym, postępowym
„Stawiać posągi!« — „Stój, bracie!" —

(c) Wybór na Prezesa Towarzystwa Naukowego w Krakowie, dnia 25 Października 1856.

„Jest-li Twym hasłem rozterka,
„Zniosę ją, jak inną biédę: —
„*Bractwo nauk*, to *żołnierka!*
„*Kazano!* — więc naprzód idę.

„Gdzie zajdę? niewiém.“—Stanąłem(a):
Ciśnie się naród rozliczny.
„Uderzmyż, o bracia, czołem:
„To sąd najwyższy, publiczny.“

A gdym przemówił, o dziwy!
Czy mię wzrok słaby niemami?
Głos mój drżący; lecz poczciwy
Wstrząsł szlachetnemi sercami.

„Kroczyłem do nauk gmachu:“
Rzeknę pół z cicha, pół czule,
„Niéma w nim kątka, ni dachu,
„Gdzież się z mém gronem przytulę?

„Matkę naszą sławią wieki (b),
„Ta nas strzegąc przez lat tyle,
„Dziś wyzwolonym z opieki
„Każe iść o *własnéj* sile.

„*Dajcież* na strzechę ubogą!“ —
W tém, jakby czarowną władzą,
Ubożsi znoszą, co mogą,
Bogatsi hojnie dodadzą!

(a) Posiedzenie publiczne Towarzystwa Naukowego w Krakowie, dnia 28 Lutego 1857.

(b) Uniwersytet Jagielloński, z którym Towarzystwo Naukowe Krakowskie dotąd było połączone.

Ja ufam wieszczym poznakom!
A gdy gmach dla nauk stanie,
Konając rzeknę rodakom:
„Jam dzwonił na to kazanie.“

I Ty, po takiéj kolei
Chodziłeś w żebraczéj zbroi:
Mój gmach w pieluchach nadziei,
Twój dom dla siérot już stoi!

I opuszczone istoty
Spotkał los godny zazdrości:
Bo się z pism Twych uczą cnoty,
A z twego wzoru — miłości!

Dłużéj Cię nudzić niebędę. —
Gdy Ci to synek odczyta,
Za tę rozciągłą gawędę
Rzeknij: „Bóg zapłać!“ — i kwita.

Franciszek Wężyk.

STANISŁAWOWI
JACHOWICZOWI

W DNIU 61 URODZIN JEGO.

(17 Kwietnia 1857).

Cześć Ci, śpiéwaku dobrego posiewu!
Cześć polskich dziatek wierny Opiekunie!
Lutnia Twa cięta jest z Bożego krzewu,
Stróże Anioły grają po Twéj strunie!

Znamy, kto starszy, kto lepszy w Ojczyznie,
I tam przed Bogiem, kto z nas bliżéj stoi:
I coś dał szczodrze, zostawim w puściznie
I naszéj dziatwie, i téj dziatwie Twojéj!

Ty nam urośniesz, jako Tatry rosną,
Kiedy je żegna w oddali wędrowiec;
Boś w dobréj woli, do świtu i wiosną
Obsypał kwieciem ciernisty manowiec.

I gdy błądzili wszyscy, Tyś niebłądził:
Lecz pracowicie i cicho i skromnie
Dałeś to dziatwie, co Ci Bóg przysądził,
Mówiąc: „Maluczkie puśćcie, bracia, do mnie."

I wielkim wzorem Zbawiciela Pana,
Garnąłeś dziatwę, jak kokosz pod siebie;
Bo była miłość Ci tak wielka dana,
Że jéj jest cena znana tylko w niebie.

Nam téj miłości ni spłacić, ni sławić;
Ale gdy Bóg Cię w środku nas postawił,
Nam Świętéj Woli tylko błogosławić,
Jakoś Ty dziatwie naszéj błogosławił!...

Boś Ty obmyślał *dobrze* gniazdo nasze,
Nietylko *dobrze*, i owszem najlepiéj!
I jako dziatwa chwyta mleczną kaszę,
Tak słowo Twoje na żywot ją krzepi.

Jak dészcz Majowy, oddech Bożéj rosy,
Jak woń fijołka, i wiosną, i rano,
Jako skowronek bije się w niebiosy:
Z takiéj-to przędzy dałeś dziatwie wiano!

To téż Twe pieśni dokoła nas krążą,
Jak te gołębie koło gołębnika,
Których skrzydełka raz ku niebu dążą,
To znów do swego zwracają kącika.

To też Twe pieśni brzęczą nam jak pszczółka,
Jako głos dzwonka z wiejskiego kościółka,
Miłe dla serca, jako turkot młynka,
Ciepłe, jak światło cichego kominka.

I jak *Pobożne* w niebiosa się wspina.
I co *Prostoty* w ładzie polskiéj chatki,
I co *Czułości* w tém spojrzeniu matki,
Co się nad spiącą dzieciną nagina:

Wszystkoś to zebrał i świeże i wonne,
I co po Bogu i domu zakonne,
Po sercu proste, po miłości tkliwe,
Wszystko, co święte i czyste i żywe!

Na głos tych pieśni każdy mocniéj wierzy,
Na głos tych pieśni człek się rad poprawia;
Bo miłość Twoja szczęśliwie nas stawia
Pomiędzy Bogiem, a sercem Macierzy!

Nam téj miłości ni spłacić, ni sławić;
Lecz gdy Bóg Ciebie w środku nas postawił,
Nam świętéj woli Twojéj błogosławić,
Jakoś Ty dziatwie naszéj błogosławił!

Ze czcią składa

Wincenty Pol.

Z Krakowa, w dniu Wielkiéj Nocy 1857.

ODA

DO

SŁOWA(*).

Jakaż-to siła cherubinowa
Zstępuje z piersi, jak grom w otchłanie?
Słowem wygłaszać potęgę *słowa*,
Znacież wy śmielsze zadanie?

Myśl się rozbija w piersiach zamknięta,
Drży za jawności słońcem duchowem:
Brzękło okucie, zerwała pęta,
A brzęk ten w świat poszedł *słowem*.

Gdzież mknę, co widzę? noc chaosową
W mętnych pierwiastków grze rozszalałą,
Popłoch... wir... nicość... Lecz słyszę *słowo*:
„Stań się!“ — i światło się stało.

W niewiadomości, jak w mgle chaosu,
Bezsilne dusze błądzą i gasną;
Mędrzec, to echo boskiego głosu,
Rzekł *słowo* — i w duszach jasno!

(*) Oda ta, ofiarowana Drowi Józefowi Kremerowi, niebyła dotąd drukowana w żadném pismie Warszawskiém.

Gdy nieszczęśliwi i pokutnicy,
W ziemię chcą grzebać nadzieję zmarłą,
Słowo, klucz Piotra, z nad kazalnicy
Błysło, — i niebo rozwarło!

Sąd siadł, obrońcy, z dwóch stron, w zapale
Sieci na siebie z złotych *słów* plotą,
Sprawiedliwości! chwytasz to złoto —
I zeń ulewasz twe szale.

Przyszłość państw ważą potęgi ziemi,
Jak wrzawa piskląt gwarzy narada,
Mówca się orłem zerwał nad niemi —
I *słowo* władcami włada.

Wieszcz jest świątynią, on piersi swoje,
Jak Panteonu zaludnił progi;
Otwiera usta — niby podwoje:
Słowa z nich wyszły, jak Bogi.

Jak-to jak Bogi? Tak, bo wszechwładne
Rozkazujące, wykonywane:
Każą się korzyć, czołem w proch padnę;
Ufać, jak Tytan powstanę.

Słowo, jak nowa różczka Mojżesza,
Z serc skamieniałych zdrój łez wydziera,
Na chmurnych licach uśmiech rozwiesza,
Laur splata dla bohatéra.

Wielki to tryumf, że wolę ludów
Potęga *słowa* opanowała;
Lecz to największy, to cud jéj cudów,
Że nawet na Bóstwo działa:

Grzesznik niezniża hardego czoła,
Bóg już wzniósł rękę, grom w niej się płoni,
„*Kyrie elejson*!“ grzesznik zawoła, —
I piorun zgasł w Boskiéj dłoni!

Czémże bez dźwięku, co myśl obleka,
Byłyba ziemia? czém? Odgadniemy,
Jeźli spojrzymy w tego człowieka:
Jakiż on smutny! — on *niemy*.

Ah! były wieki, wieków czterdzieści,
Gdy *myśl* bez *słowa*, jak duch bez ciała,
Tłumom niewidna, bezkształtnéj treści
W świątyniach kryć się musiała.

Wtedy Mistrz ledwie *słowem* nieśmiałem
W grono adeptów prawdę przesyła;
Epoka *myśli* się przesiliła, —
I *słowo* stało się *ciałem!*

I przez dwadzieścia odtąd stuleci,
Epoka *słowa* lśni barwą inną,
Myśl w okrąg ziemi grzmotami leci,
To głosząc, *co być powinno.*

Jednak choć śmielsze słowo u ludzi,
Według *słów* jeszcze *działać* nie śmieją;
Lecz się już wkrótce, rajska nadziejo!
Ostatnia epoka zbudzi.

I postać *słowa* dziś obnażona,
Tak żądająca w tém, co jest, zmiany,
Na jaśniejące prawdą ramiona
Wdzieje płaszcz z *czynów* utkany.

Odtąd, w dziesięciu wieków osnowie,
Splatać się będziesz, Trójco natchniona:
Człowiek, co tylko pomyśli, powie,
Co tylko powie, wykona.

Deotyma.

PRAWDA.

IMPROWIZACYA.

Prawdo! źródle! Któż zuchwale
Skroń pochyli nad Twe fale?
Przy spokojnym Twym krysztale
Zda się mętnym zdrój oazy,
Łza nie przejrzystszą, niż głazy,
Nawet anioł nie bez skazy.
Ten, przed którym drżą anieli,
Jeden przejrzeć się ośmieli
W zwierciadlanej Twej topieli;
Bo on jeden się nieboi,
Choć wierność przeźroczy Twojéj
Takim Go, jakim jest, zdwoi.
Proste, jak promień, Twe drogi;
Bo kręte tylko dla trwogi.
Ciebie jakież strwożą wrogi?
Fałsz podniósł czoło olbrzyma:
Lecz próżno przecząc się zżyma....
Wszak fałsz jest tém, czego niéma.

Choć stłoczona lat ciężarem,
Wiecznéj wiosny pałasz żarem:
Nieśmiertelność Twym zégarem.
Wszystkie wieki, wszystkie światy
Owinęłaś w swe szkarłaty;
Liczby, jak tajemne kwiaty,
Różnokształtnie skroń Ci stroją;
Czas orężem, światłość zbroją,
A sumienie lutnią Twoją.
Oparty pielgrzymią trzciną
Człowiek idzie łez doliną
Pod zwątpienia chmurą siną...
Gdy Cię niewidzi, o złota!
Szaleje, przekleństwa miota;
Wyłamuje wszystkie wrota:
W groźną warownię natury,
W Dedal serca, w wiedzę, któréj
Kluczów strzeże Sfinx ponury,
W łuk tryumfu, gdzie lśni sztuka,
Nawet w próg nicości puka.....
Prawdo! Ciebie wszędzie szuka! —
I nieraz na podróżnika
Już próg grobu się zamyka,
A nie znał Twego promyka!.....
Lecé kto w własnych przeczuć żarze
Długim wiekom brzask Twój wskaże,
Takiemu — wzniosą ołtarze!

Deotyma.

PIEŚŃ.

Pieśni! tyś marzeń pogrzebem;
Pieśni! tyś czynów kołyską.
Tyś nie ziemią, choć jéj bliską,
Czyś ty piekłem? czyś ty niebem?

Nie — tyś czyścem; bo kto śpiéwa,
Ten się pali, więc przepali; —
A stos jego z *wiedzy* drzewa:
On niezgaśnie wśród łez fali.

Kto z nadzieją się rozstanie,
Sam swój czyściec w piekło zmieni;
Więc niech pieśń z pośród płomieni
Brzmi pogodnie, jak zaranie,
Nieskończenie, jak ufanie,
Zwycięzko, jak zmartwychwstanie!

O szczęśliwy, najszczęśliwszy,
Kto za życia w pieśni spłonie!
Przecierpiawszy, przebaczywszy
Czyśca nie zazna po zgonie!

Deotyma.

STARY ZEGAR.

(FRAGMENT).

Oto kunszt staroświecki majsterskiego dzieła;
Dłoń ludzka w małéj skrzynce bieg czasu zamknęła,
I dzwonek dała mu w rękę;
W małéj mosiężnéj skrzynce żyje myśl nielada:
Coś porusza skazówkę, coś szypi, coś gada,
Coś dzwoni jednę piosenkę.

Zegar! — ileż on zmierzył i minut i godzin!
Ile wydzwonił biesiad, śmierci i urodzin,
I różnych doli człowieka!
A w zimném jego sercu żelazna sprężyna
Nieubłaganym taktem ciągle przypomina,
Że życie ciągle ucieka.

Przemierzając skazówką — długich lat ogromy
Na krótkie mgnienia oka, na czasu atomy,
Mruczy i zrzędzi, jak stary:
„Niegońcie za motylem, niepróżnujcie gnuśnie!
„Do roboty! do czynu! bo hańba kto uśnie,
„Kto swéj nie spełni ofiary!

„Długo stare zegary, odwieczni nudziarze,
„Nad głową waszych ojców biły w excytarze
„Budząc ich myśli i czyny.
„Brzęk pucharów, gwar śmiéchów tłumił ich gdéranie,
„Aż Pan kazał zegarom jęknąć niespodzianie,
„Aż pękły rdzawe sprężyny!“

Znów waga naciągnięta, skazówka popchnięta,
I szybko nowéj ery pobiegły momenta;
Ale zegary już inne:
Ciszéj biją sprężyny, ciszéj puls kołata,
Aby nieprzerwać dumań myślącego świata
Szanując drzymki dziecinne.

Co też mędrzec wyduma? Co też dziecko wyśni?
Jak garstkę swoich minut ludzkość ukorzystni?
Wielkie dziejów zadanie!
Świat ocknął się — zakipiał — jak wsiadł na sto koni,
Już jego szybkich pulsów zegar niedogoni,
Już nad nim gdérać przestanie.

Czas idzie żółwim krokiem, Postęp orlim lotem,
Poprzedzon świstem pary i machin łoskotem
Podniósł Tytańskie ramiona!
A pragnąc glob podźwignąć z jego staréj osi,
Zaledwie zaczął walkę — już zwycięztwo głosi,
Że fałsz i ciemność pokona.

Boże! — kiedy się puści w swe drogi sokole,
Niech niezapomni krzyża położyć na czole!
Nawiedź go myślą poradną!
Dopomóż jego śmiałéj, a poczciwéj chęci,
Niech mu się z wysokości głowa niezakręci,
Ani ramiona opadną!

Niechaj w górę wzniesiona drużyna skrzydłaczy
Zbożne, prawdziwe cele postępu zobaczy, —
Niech światu prawdę wyśledzi,
A potém bądź miłościw dla starych szermierzy,
Gdy stary zegar czasu, godzinę uderzy
Wielkiéj, dziejowéj spowiedzi!!

. . . .

Zegar bije sekundę — to rodzi się dziecię —
Zegar bije sekundę — ktoś umarł na świecie,
Świat być w spoczynku niemoże; —
Wciąż nowe pokolenia snują się po ziemi,
Z nowemi dążeniami, z myślami nowemi
Idą Twe dzieci, o Boże!

Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
Mówiliby „to godzi a to się nie godzi,“
I strzegli starych cnót ziarna.
Wzbudź ich!! — a który spełnił swoje powołanie,
Wedle sprawiedliwości, błogosław mu, Panie!
Bo ich zasługa niemarna!

Władysław Syrokomla.

ZASŁONA MAHOMEDA.

Nadeszła święta chwila pożegnania.....
Fatma przed ojcem nisko głowę skłania.....
Mohamed rękę na jéj czole wspiéra,
Modlitwą dla niéj łaski w niebie zbiéra;
Potém zasłonę tak białą, tak cienką,
Jakby aniołów była tkana ręką,
Wznosi i rzuca na włosów splot czarny.
A jak z kadzielnic obłoczek ofiarny,
Jak mgła poranna jutrzenką złożona,
Tak na dziewicę spłynęła zasłona.
„Weź dziécię moje“, rzekł Mohamed stary,
„Weź tę zasłonę. — Bóg dał Ci swe dary:
Obdarzył w serce czyste, jak krynica,
Wdziękiem rozumu okrasił Twe lica,
Miłość i wiarę, których źródło w niebie,
Jak w kielich róży spuścił hojnie w Ciebie;
Ja zaś ubogi, na co mnie dziś staje,
Tę Ci *zasłonę* w upominku daję;
Pod nią jedynie w każdéj życia porze,
Kobiéta światu objawić się może:
Jéj cnota, piękność, uczucie, rozmowa,
Niech się w niéj zawsze do półowy chowa;

Dźwięk głosu, śmiechu, wyrazy, wejrzenia,
Wszystko niech zawsze jéj chmurka ocienia;
Niech żaden zapał, żadne męzkie zwroty
Nie tkną jéj fałdów nadobnéj prostoty;
Jéj cicha świętość niech wszystko okoli,
I więcéj zgadnąć, niż widzieć dozwoli. —
Weź tę zasłonę sercem, jakiém dana,
Idź w drogę życia, jak tęczą oblana. —
Bóg z Tobą, dziécię moje!"... Tu zamilkła mowa...
I te były ostatnie Mohameda słowa.

Alexander Hr. Fredro.

MIOTŁA.

Naród, to człowiek, gdy ma *jedno* serce,
Jedno uczucie i *jeden* mózg;
Gdy jego myśli, jak gwiazdy na niebie,
Wzajemném światłem działają na siebie,
Gdy jego siły, jego bytu rdzeń,
Jak soki drzewa idą w *jeden* pień.
Ale gdy serce z mózgiem w rozterce,
Myśli w nieładzie, siły w poniewierce,
Naród — to miotła z odłamanych rózg,
Którą dowolność na widowni świata
Dziko zamiata.

Z pism pozostałych po ś. p. **Janie Nep. Kamińskim.**

PRAWDA
O JACHOWICZU.

„Powiédz mi, Stasiu, bo Ty masz głowę,
Kto ten Jachowicz, co zawsze nowe
Bajeczki gada? Czy on tak samo,
Jak Ty, mój Stasiu, chłopczyk malenki?
Wszak on paciorek mówi za Mamą,
Nieplami nigdy sukienki,
Nigdy niezmyśli, Bozia niezgniéwa,
Muszkom skrzydełek niepoobrywa?
Powiédz!“ pytała Zosia ciekawie.

A Staś jéj na to: „On gdzieś w Warszawie,
Jak mi powiadał jeden kolega,
Już lat z pięćdziesiąt do szkoły biega,
Chłopczyk jak drudzy, motylki goni,
W piłkę, żołniérza, grywa na błoni;
Zresztą pobożny, cichy i grzeczny;
Tylko dla dzieci złych niebezpieczny,

Bo ich narowy, psoty, swawole,
Zaraz wybaja w domu i szkole.“ —

„Teraz rozumiém!“ Zosia odrzeknie,
„Jakżebym chciała jechać tam z Mamą!
I całe życie sprawiać się pięknie:
Serca, sukienki, niezwalać plamą;
Bo nieśmiałabym w grzesznéj postawie
»Stanąć przed jego obliczem!“ —

„I ja tak pragnę“ rzekł Staś „w Warszawie
Zapoznać się z Jachowiczem.“ —
Słuchając z boku tych pogadanek
Rzekłem do siebie: „Wieku dziecięcy!
Nad wszystkie Sławy dajesz Mu więcéj;
Bo *z siebie* żywy splatasz Mu wianek!“

Wierszyk ten ofiaruje Solenizantowi

Lucyan Siemieński.

LISTEK

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI,

SŁAWNEMU A WIELCE ZASŁUŻONEMU WIESZCZOWI POLSKIEMU,

na dzień 17 Kwietnia 1857 (*).

Dzieła Twoje, wieszczu drogi!
Wzniosły się na śląskie niwy;
A już rodzą owoc błogi
Przewyborne Twoje „*Śpiéwy*.“
Cóż Ci za to śląskie dziatki,
Zdołają przynieść za dary?
Serca wdzięczne, to ich datki,
To na wieniec Twój, ofiary!

Imieniem dziatwy śląskiéj poświęca

J. Śliwka,
rodak od źródeł Wisły.

(*) Wyjątek z listu P. Jana Śliwki, nauczyciela przy szkole ludowéj w Cieszynie, na Śląsku austryackim, pisanego dnia 31 Marca 1857 do L. P. przesyłając powyższy „Listek“. „Niemogę sobie tego odmówić, bym niemiał uczucia wdzięczności i wysoko-poważania tego zacnego przyjaciela i kształciciela młodzieży, tak mojém, jak téż i imieniem śląskich nauczycieli i dziatek, choć krótko wyrazić. Albowiem Jego wyborne a w swoim rodzaju jedyne „*Śpiéwy*“ pomagają niemało do podźwigania i kształcenia śpiewu dziecinnego, dostarczając piosnek, do życia i pojęcia dziatek zastósowanych, a dla tego już też na około po Śląsku austryackim rozpowszechnionych.“

PRZYSŁOWIOWE GAWĘDY.

Bez prace, niebędą kołace.

Bez dołu, grobla niebędzie.
Pierwéj Pan Bóg dał palce,
niż widelce.
Kto się nieleni, temu się zieleni.

Gdy Adam i Ewa, na pracę skazani,
Z rajskiego ogrodu zostali wygnani,
Cherubin rzekł do nich: „W świat idźcie, biédacy,
Już teraz bez pracy nie będzie kołacy.“
Więc smutnie w świat idąc mówili do siebie:
„O! w jakże nas ciężkiéj Pan stawia potrzebie!
Tak dobrze nam było w rozkosznym Edenie;
Mieliśmy owoców na każde zachcenie,
A teraz musiemy najmniejszy plon ziemi
Zdobywać, niestety, rękami własnemi!“
Lecz rady nie było, już klamka zapadła:
Więc trzeba się było jąć rydla i radła;
Szło z razu oporem, trud zdał się im zmudny;
Boć każdy, jak wiécie, początek jest trudny.
Lecz wkrótce uczuwszy ci pierwsi kmiotkowie
Skrzepione od pracy i siły i zdrowie,
Przestali nazywać nieszczęście swe srogiem;
A gdy się im praca już stała nałogiem,
Gdy słodycz spoczynku po trudach poznali,
Powoli i szemrać na los swój przestali.

Niebawem też ziemia ich potem zroszona,
Zaczęła wydawać i kłosy i grona;
Z radością patrzyli na starań swych dzieło,
I błogie uczucie ich serca przejęło,
I plon ich miał prawie tak wiele dlań miodu,
Jak słodkie owoce rajskiego ogrodu.
Więc wznieśli wzrok w niebo i zgiąwszy kolana,
Takiemi się słowy ozwali do Pana.
„O Boże! o Stwórco łaskawy bez miary!
Jak wielkie Twe dary, tak zbawcze i kary;
Ty karząc obdarzasz, Ty chłoszcząc uzdrawiasz,
I w skutkach nieznacznie swą łaskę objawiasz.
My na Cię sarkali i na nasz stan bieden;
Dziś widzim, że praca zastąpi nam Eden.

Bez prace ma kołace.

Nie jednako Pan Bóg daje:
Jednemu gęś, drugiemu jaje.
Jeden robi, drugi trawi.

Pieką ciasta we dworze,
Marcypany, pierogi;
A przed dworem w pokorze
Stoi chłopek ubogi.
„Miły Boże!“ zawoła:
„Jak szczęśliwi bogace!
Mają miasta i sioła
I bez prace kołace;
A my biedni charłacy,
Co się trudzim dnie całe,
Do spożycia po pracy
Mamy ledwie brykałę!“

Gdy to mówi, aliści
Zaskrzypiały drzwi ganku —
Pan, cel jego zawiści,
Idzie przejść się po parku.
Blady, drżący, jak trzcina,
Usta chustką zasłania,
Szubę szczelnie zapina,
Bo się boi zawiania.
Powróciwszy znak daje
Do obiadu; wraz biegą
Z farfurami lokaje.
Lecz on, choć się tknie czego,
To niebawem odsunie:
Snadź apetyt nie służy,
I przy wielkiéj fortunie
Zasób zdrowia nie duży.
Po obiedzie, od ucha
Zabrzmi dworska kapela;
Lecz on ledwie jéj słucha,
Nic go nie rozwesela.
Wyciągnięty w fotelu
W cygarowym znikł dymie,
Grajki grają bez celu,
On poziewa i drzymie. —
A kmieć z boku ukradkiem
Widząc wszystko najwidniéj,
Myśli sobie: „Bóg świadkiem,
I bogace są biédni.
Cóż, że mają pałace
I bez prace kołace,
Kiej im jasne dni chmurzy
Niemoc, niesmak i nuda:

Tak to iście nie płuży,
Co przychodzi bez truda.
Ja pracuję; lecz za to
Jestem wesół i zdrowy;
W tobie, moja ty chato,
Smacznie jém chléb razowy.
A gdy przyjdzie niedziela
I zasksypi sam Grzela,
To, Bóg widzi, nie ziéwam,
Ale hasam i śpiéwam!
Miejcież dwory bogate
I wykwintne specjały:
Wolę biédną mą chatę
I mój kawał brykały!“

Józef Paszkowski.

STARE PRZYSŁOWIE,

CZYLI

Z KĄD SIĘ WZIĘŁO:

„SPRAWIĘ CI ŁAŹNIĘ?“

GAWĘDA PANA PAWŁA.

Raz przy kominie,
Po dobrém winie,
Kiedy się goście w kółko zebrali,
By rozmarzeni — niezadrzémali, —
Gospodarz skinął na oratora,
Co zaznał świata, i bywał wszędy,
Aby, nim przyjdzie odjazdu pora,
Niechciał im skąpić jakiéj gawędy.

Pan Paweł zawdy gotów z usługą
A przytém chętny i do rozmowy,
Nie dał się prosić o to zbyt długo,
I temi gości zagadnął słowy:
—„Chcecie-li wiedzieć, Mości Panowie,
Z kąd się to wzięło owo przysłowie
Wszystkim nam znane: „Sprawię ci łaźnię,“
To wam opowiem — krótko, wyraźnie:

Onego czasu — przed wielu laty,
Bolesław Chrobry zasiadł do stołu
Z dwunastu pono swemi magnaty,
Oraz z Królową Jéjmość pospołu. —
Lecz muszę dodać tu dla osnowy,
Że zanim usiadł do téj biesiady,
Podpisał zgodnie ze zdaniem rady
Kilka wyroków na ścięcie głowy. —
W chwili obiadu:
Gadu i Gadu —
Ten to — ten owo
Dorzuci słowo;
Ot tak, jak zwykle bywa przy stole,
Czy-to w królewskiém — czy w naszém kole.
Ale rzecz sama składa się dziwnie:
Bo gdy w najlepsze wzrosła rozmowa,
Czy-to z umysłu — czy téż naiwnie,
Wspomina wyrok śmierci, królowa. —
Trzeba tu wiedzieć — że pani owa
Słynąca z serca, jako i cnoty,
Posiadła wszystkie razem przymioty:
Jako władczyni i białogłowa. —

Bo tam gadajcie sobie, jak chcecie,
A ja dowiodę wam w żywém słowie:

Że kiedy serce da Bóg kobiecie,
I trocha wdzięku i trocha w głowie,
To już nie znajdziesz milszéj istoty!
Ona ci starczy za całe mienie,
Osłodzi życie swemi pieszczoty,
I Boskie z ciebie zrobi stworzenie.—
Przejrzyj-no tylko dziejową kartę,
I uchyl nieco grubéj zasłony;
A wnet zobaczysz, co były warte
Te staropolskie wasze matrony! —
Wspomnij-no tylko na te dziewoje:
Głośne w zagrodzie — i na kraj cały;
Ile-to one serca dodały
Biegnącym braciom na walne boje! —
Popatrz-no tylko na ich oblicze,
Ten istny obraz, jakby anioła,
Albo téż policz te łzy dziewicze,
Któremi bratnie skrapiały czoła! —
Gdybym u źródeł świętych natchnienia
Mógł sił zaczerpnąć, jak u krynicy,
Toż-bym dopiéro nucił wam pienia
Na cześć nie jednéj takiéj dziewicy!"...

Wtém — ktoś zawołał: „Hola Mosanie!
Miałeś nam mówić krótko, wyraźnie:
Z kąd weszło w mowę: „Sprawię ci łaźnię"—
A ty nam tutaj prawisz kazanie."

Uwaga *arte* przypadła w porę,
Bo trzeba było znać pana Pawła,
Że jak ci zaczął jaką perorę,
To het od Jana zjechał do Gawła.
Boć i pan Paweł nie był bez ale,
I byłby prawił rzeczy bez końca,

Chociażby nawet do wschodu słońca,
Gdybyś nie przerwał w jego zapale!

Na takie *dictum*, nikt niezaprzeczy,
Że musiał zmarszczyć cokolwiek czoło,
Lecz niedał poznać i rzekł wesoło:
„Ha! — *tandem* tedy wracam do rzeczy.
„Była to Panie bolesna sprawa,
Tako dla rady, jak Bolesława;
Bo wszyscy owi przez nich skazani
I w dniu biesiady śmiercią karani,
Były-to szczepy możnéj rodziny
I pierwszych mężów w narodzie syny. —
Więc gdy królowa wzmiankę tę czyni,
Nagle zamilkła cała biesiada, —
I wraz z ostatniém słowem władczyni,
Posępna chmura na czoła spada.
Sam król Bolesław był pan rozumny,
Serca wielkiego, z nikim nie dumny,
Równie łagodny sędzia w pokoju,
Jako straszliwy na czele w boju;
Z tąd go też wielce naród miłował, —
I pamięć o nim, dotąd przechował.
O! bo to z dawna bywało w świecie,
Że kiedy Ojca w królu znajdziecie,
To człek za niego — choć krew przetoczy,
Choć życie stawi — choć w ogień skoczy!
Ale“...
—„Cóż ale? — Co wam się stało?“
Znowu przerwano panu Pawłowi.
„Ej, panie Pawle — winko rozgrzało,
To nie przystoi oratorowi. —
Chcesz-że nas Waszmość wysłać do bryczek,
Że tak Go dzisiaj swędzi języczek?“—

Lecz się i na to Paweł nie dąsa, —
Tylko popatrzał — pomusknął wąsa,
I dobrych królów znów dalej sławi,
I swą gawędę — tak dalej prawi:
—„Widząc Królowa, że jéj uwaga
W kole biesiady jakoś przemaga,
Rzecze do króla: „Gdyby też, panie,
Bóg chciał okazać swe zmiłowanie, —
I niepojętym dla świata cudem,
Który okazał nieraz nad ludem,
Wskrzesił w téj chwili tych winowajców,
Których skarałeś, jak kraju zdrajców; —
Cobyś, o panie — rzekł miłościwy?“ —
„Byłbym“, król mówi „stokroć szczęśliwy!“—
A w tém królowa wnet na kolana,
I przebaczenia błaga u pana;
Bo gdy wieść kaźni doszła ją z boku,
Ona wstrzymała karę wyroku. —
Bolesław Chrobry, uradowany,
Śle szybko gońce w mury więzienia,
Aby skruszono więźniom kajdany,
W znak zupełnego win przebaczenia.
Jednak obyczaj stary w narodzie
Chciał — aby więzień już na swobodzie,
Zanim się stawi przed króla tronem
I tam uderzy hołdu pokłonem,
Piérw zgiął kolano przed swą królową,
I napomnienia otrzymał słowo.
W takim zaś razie — miasto już kaźni,
Kiedy królowéj hołd swój oddali,
Wtedy zazwyczaj więźniów zbierali
Do tak nazwanéj „królewskiéj łaźni.“

Tam, gdy Bolesław wpośród nich staje,
Choć wszyscy jednéj kary są warci,
Starszych surowém słowem król karci,
Młodszym do słowa *chłostę* przydaje.
Potém w bogate przybiera szaty,
Rozdziela sute między nich dary,
I tak odprawia wszystkich do chaty,
By dochowali królowi wiary. —

Ot — macie tedy gawędę całą;
Boć nam podanie mówi wyraźnie:
Że odtąd w kraju polskim powstało,
Iż lud zwykł mówić: „Sprawię ci łaźnię.“

Karol Kucz.

WIÉRSZ

OFIAROWANY

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI

jeszcze dnia 8 Maja 1835.

W lasku Bielańskim, w pustyni,
Gdzie obok Pańskiéj świątyni
Wznosi się skromna mogiła,
Gdzie przechadzka nader miła,
Tam przybywszy w rannéj dobie,
Chcąc wiedzieć, kto leży w grobie,
Gdy próżno napisu szukam,
Do furty klasztornéj pukam.

W tém wychodzi mnich poważnie
I mówi coś niewyraźnie.
„Ojcze mój!“... rzekłem głosem pokory,
A on mi odrzekł: „*Memento mori!*“
Chciałem się spytać... „*Memento!*“ wrzasnął,
Pogroził palcem i drzwi zatrzasnął.
Oglądam pomnik na wszystkie strony,
Dostrzegam napis w części zniszczony,
Czytam go głośno: „*Zwłoki Stanisława*“...
A echo odrzekło: „*Sława!*“

Co wdzięczne echo w owém zdarzeniu,
To świat niech głosi o Twém imieniu!
Niech to powtórzą wszystkie sieroty,
W których jaśnieje pamięć Twéj cnoty!
One pamiętne Twojéj opieki
Wielbić Cię będą na wieki.

Alexy Wójcicki.

WYJĄTEK Z ROZPRAWY

Dra Ferdynanda Dworzaczka

POD NAPISEM:

CZŁOWIEK.

Bóg od nas żąda miłości; — miłości, jak mówi Zbawiciel *przedewszystkiém;* bo *ze wszystkich* sił naszych. Tém więc uczuciem szukajmy w duszy naszéj Jego obrazu, Jego ideału. Zbierzmy wszystko z ludzkiego serca, co miłość naszą roznieca, ku sobie zniewala, co ją nad wszystkie nasze upotężni siły, a w tym blasku saméj tylko czystéj miłości zajaśnieje nam oblicze Boga z głębi naszéj własnéj duszy.

Obdarzeni myślą i uczuciem, myślą szukamy Boga: ale uczuciem, uczuciem najwyższego uszczytnienia, to jest miłością jedynie Go poznamy. Ciekawość, która jest głodem duchowym, jest pragnieniem naszego ducha do prawdy, wprowadza od razu zaledwie przebudzoną myśl człowieka na ślad Boga, na ślad Stwórcy, dopytując się jéj o przyczynę zjawisk. Bo myśl swém pierwszém odkrytem prawem: że wszystko na świecie, że wszelkie zjawisko musi miéć przyczynę, myśl nasza stanęła silnie na piérwszym szczeblu

prowadzącym do uznania przyczyny wszech rzeczy, do Stwórcy świata, niewątpiąc już, że On, jako piérwsza przyczyna bytu, istnieć koniecznie musi. Pnąc się po téj tajemniczéj drabinie, pnąc się sama własnym siłom ufając, błąkała się długo, brała szczebel tylko wyższy za już ostatni; daleki skutek za piérwszą przyczynę, rzecz stworzoną za stwórcę; bo wzgardziła przewodnictwem serca, świadectwem jego, o tyle pewném i niewątpliwém, że władza jego tajemnicza, że miłość która sama tylko jest w stanie poznać przedmiot swéj czci i hołdu jedynie jest powołaną do poznania Tego, który w miłości działając, stwarzając, w miłości szukając szczęścia, chce być kochanym. Serce pozostało nieczułém i zimném na wszystkie, wzajemnie się zbijające dowodzenia naszéj myśli; na wszystkie domysły sprzeczne filozofów, że najpiérwszą przyczyną bytu jest według jednych ziemia, według innych woda, że nią jest powietrze lub ogień; że nią jest eter lub swiatło; nareszcie, że Bóg jest substancyą nierozdzielną, nieskończoną, jedną, w swojéj jedności zarazem rozciągłą i myślącą.

Do téj jałowéj i czczéj ostateczności doszedłszy myśl ludzka musiała nareszcie dostrzedz, że nigdy niepojmie bytu bez przyczyny; niepojmie przyczyny przyczyn, „causam causarum“ jak mówi Seneka, niepojmie nigdy Boga ona, która piérwsza uświęciła prawo, prawo ogólne bez wyjątku; prawo, na którém się oparła; prawo: że nic bez przyczyny byé nie może; prawo, które zatém zdradziło ją, gdy mu chciała pozostać wierną i doprowadzilo nareszcie do ubóstwienia siebie, gdy na krańcach wszelkiego bytu już nic więcéj dostrzedz nie mogła, prócz siebie saméj.

Kiedy więc ostatniém najwyższém słowem filozofii jest, że Bóg jest *myślą*, i tym sposobem robi go *duszą* świata, piérwsze słowo przebudzonego widokiem świata człowieka jest: Bóg jest wielkim *Duchem;* czém o *osobistości* Boga

najuroczystsze daje świadectwo. W najdawniejszych i w nowszych czasach takiego, (według świadectwa historyków, podróżujących i różnych chrześcijańskich wyznań missyonarzy) nieodkryto ludu, któryby o Bogu niewiedział; a co więcéj, któryby Go nienazywał *Wielkim Duchem.*

Zkąd pochodzi ta zgoda wszystkich ludów, zarówno w głębinach Azyi i Afryki, jak na wyspach samotnych oceanu, jak na górach i w lasach Ameryki przemieszkujących, z dzieciństwa niewyrosłych, dzikich, jak ich nazywają, przyjmujących bez wyjątku Boga w nazwaniu Go *Wielkim Duchem?* Orzeczenie takie Boga przez ludy pierwotne, dzikie nawet; orzeczenie, na które filozofia (mówię tu o najlepszéj) trafniejszego dać niezdołała, potwierdzoném jest przez wszystkich missyonarzy, zarówno ewangelickich, jak katolickich, gorliwie wyznania swoje szerzących pomiędzy dzikiemi Ameryki mieszkańcami. Czyż można więc powątpiewać o tém, że idea Boga jest ideą człowiekowi wrodzoną?

Lecz na saméj wiedzy, wiedzy o Bogu człowiek przestać niemoże: jego los, powołanie i szczęście najściśléj zależą od *pojęcia* Boga, od *wyobrażenia* Go sobie; zwłaszcza, że i *sam siebie* tylko poznaje, poznaje *swój cel,* o tyle tylko o ile poznaje i rozumié Boga. Wszakże w swém *arcydziele tylko,* mistrz w największéj swej objawia się pełni; weń (że tak powiém) wciela się myśl cała jego. Niejestże takiém arcydziełem Boga na ziemi człowiek? Gdzież go tedy najłatwiéj będzie człowiekowi znaleść, jeżeli nie tam, gdzie się najwyraźniéj, najzupełniéj objawia, to jest: w nim samym, w jego własnéj duszy? jeżeli nie tam, gdzie najbezpośredniejszy do niego mając przystęp może wszystkie swego ducha na wyśledzenie go ześrodkować władze, i użyć je w całéj im właściwéj mocy, w całéj możebnéj nieomylności czucia i myślenia.

Czém więc może być Bóg dla człowieka szukającego Go w sobie samym, w swojéj duszy, w swém sercu jeżeli nie ideałem najwyższéj doskonałości, jak tę doskonałość pojmuje? Zbierze swoje myśli, które będzie uważał za najgodniéjsze, zbierze swoje uczucia, które będzie uważał za najszlachetniejsze, zbierze swoje władze, które będzie uważał za najdoskonalsze, i temi przymiotami wyborowemi uwłaszczy swego Boga.

By go sobie tak uidealizował, sama go wdzięczność natchnie; bo cóż innego, jak wdzięczność za dary, które wszystkie z nieba człowiekowi spadają ku niebu skierowało wzrok człowieka? gdzie widział wspaniałego dawcę dnia, którego czoło ogniste, złotemi promieniami wieńczącéj go zorzy zrywa czarny całun śrebrzystém światłem gwiazd użałobniony, nad ziemią, jakby nad trumną rozpostarty, w któréj martwe spoczywa życie, aż go przebudzi promieniste światło, ten widomy głos, którym piérwszym Bóg objawił się człowiekowi; który niesie zwiastowanie jego od bytu do bytu, od atomu do atomu, od ciała do ciała, od życia do życia, od sfery do sfery aż do nieskończonéj dali kreacyi, łącząc wszystko harmonią świetną: nieskończenie więcéj uroczą, jak harmonia kształtów; więcéj czarującą, jak harmonia tonów; więcéj jeszcze uroczystą, jak śpiew archaniołów; bo spływa w akkord świetny barwnych tęczy tonów, malowniczo kreacyą strojących, którego blaskiem oszacił się *Indra*, Bóg piérwotnych Indyan; *Orymus*, Bóg Persów; *Osiris*, Bóg Egipcyan; *Mitra*, Bóg odkupiciel wschodu; *Jehowa*, Bóg wszystkich.

Taki utworzywszy sobie ideał, taki zrobiwszy sobie obraz o Bogu, utworzył sobie zarazem wzór w swojéj duszy, według którego swe własne ukształcał, uszlachetniał serce; który wzajemném oddziaływaniem doskonalił się, dosskonaląc serce człowieka, obudzając jego najczystszą, naj-

świętszą władzę, najuroczystsze uczucie, uczucie miłości, któréj powołaniem jest czuwać nad czystością pojęcia, jakie sobie człowiek robi o Bogu. Bo ideał, obraz, który ozdobimy wszystkiemi bogactwami serca, barwiąc go wszystkiemi kolorami dobroci, wszystkiemi najczystczéj miłosci odcieniami; bo ideał istoty tak doskonałéj, że ją będziemy musieli kochać całym naszego serca możebnym zapałem; kochać miłością, która nas zarazem uszczęśliwia: będzie właśnie obrazem, w którym poznać Boga jedynie bez grzéchu, bez bluźnierstwa będzie wolno człowiekowi.

Najpiérwsze zatém zadanie człowieka na ziemi, zadanie poznania siebie, prowadzi go tém samém do najwyższego zadania, do poznania Boga. Tym dwom zadaniom współcześnie jednem i tém samém usiłowaniem czynimy zadosyć i dopełniamy naszego celu, bo zarazem doskonalimy się. Doskonalić się, jest więcéj jeszcze jak potrzebą człowieka; jest prawem jego; szczęście człowieka, los narodów, los całéj ludzkości od niego zależy. Nietylko nieobojętną, lecz przeciwnie najwyższéj wagi jest rzeczą, jaki człowiek ideał o doskonałości, o Bogu sobie utworzy; bo ten ideał jedynym jego będzie wzorem w doskonaleniu się, do którego przybliżając się lubo mu będzie świecił coraz wspanialéj; ale zawsze z dala tylko; bo niedosięgnięty; a chociaż jakby przed nim uciekając, prowadzić go przecież będzie drogą powołania, drogą doskonalenia i szczęścia.

Jaki wpływ na ludzi, na ich moralność, na ich pożycie towarzyskie, na ich szczęście, na cywilizacyą miała idea, jaką sobie o Bogu utworzyli, dowodzi historya ludzkości, historya narodów.

Wyobrażając sobie początkowo Boga ze wszystkiemi ludzkiemi skłonnościami we większych tylko rozmiarach, w większém upotężnieniu, porównali go z monarchą, z królem, nad którego nic wyższego, nic godniejszego pojąć niezdołali; ba-

li go się i czcili go, jak się bali i czcili swych królów; pojmowali go, jako władzę, jako potęgę; lecz nie jako doskonałość. Powinności, jakie mieli dla kolejno ustalającéj się u nich władzy ojca, patryarchy, króla, nauczały ich powinności względem Boga tak dalece, że u niektórych ludów, jak u Chińczyków niebyło ani świątyń ani osobnych obrzędów religijnych; bo z powodu tożsamości obowiązków względem monarchy i Boga, Stwórca lubo nieposzedł w zapomnienie, lubo nazywając go *Xangti* najwyższym Panem, wzorowym wszelkiéj na świecie władzy Samodzierzcą; przecież zakrywał go cesarz, który się nazwał synem ubóztwionego nieba *(Tien)*, i dla tego Chińczyków pomawiają niektórzy historycy i missyonarze o ateizm.

O Indyanach możnaby powiedzieć, że najwięcéj rajskiej zachowali pamięci; gdyż życie ich dawniejsze, przedwiekowe w pismach ich świętych *Vedas* przechowane, tchnie wonią rajskiéj rozkoszy, rajskiego szczęścia wśród rajskiéj natury; bo firmament dał im tyle ze swojéj uroczystéj wspaniałości, ile śmiertelnym wolno mu dać było; dał mu jak szafir błękit, z którego świécą gwiazdy jak dyamenty; dał im słońce, przed którego majestatem padali, jak przed bóstwem na kolana; dał im powietrze, jak eter czyste, po którém unoszą się chmury, jak desenie malowniczo; po którém skrzydlą piękne kształtem, świetne barwą, śpiewem wesołe ptaki, i jak urocze malowidła, motyle. Ziemia, w palmy uwieńczona, ze swych skarbów dumna, pyszna pychą Golkondy, zkąd rzuca na świat cały jękiem ludu witane berła i korony; pyszna pychą tych wszystkich, których bogaci, których stroi: wzdyma się i podnosi, jak nigdzie wysoko aż do Himalai szczytów; jakby widzieć chciała, jak daleko jéj sława dochodzi, jak daleko narody bogaci, ile ludzi stroi świetnością swych kamieni, których twardość zwykle na serca noszących je spada; jak gdyby widzieć

chciała jak daleko się rozchodzą na świat cały jéj dobrodziéjstwa, jéj wonne kadzidła, jéj aromatyczne zioła, jéj zbawienne korzenie.

Czemu niemożesz, o ziemio święta! pokazać światu całemu twe Bengalu jeziora, w których woda, jak kryształ przeźroczysta odsłania dno śnieżnéj białości, na którém, jak w kaleidoskopie uroczych zachwyca oko kształtów mieszanina: kwiaty malownicze, muszle i perły, raki drobne, świécące różnobarwnie, jakby w tych wodach ożyły brylanty, drogie kamienie, jak gdyby złoto i śrébro żywe przybrało kształty? Czemuż, o ziemio szczęśliwa, niemożesz pokazać światu całemu twoich rzek świętych, których wody czyszczą również duszę, jak ciało! twojego morza, z którego wieje na człowieka natchnienie nieskończoności, w którém pochłonione giną, jak piérwotnie z niego powstały koleje bytu ziemskiego, koleje życia, podobnie do niknących jego fali, które, acz nie zawsze nieme, napróżno człowiek pyta: z kąd i dokąd płyniecie? na których dusza pobożna Indyanina w swym poetyckim zachwycie widzi kołyszący się *Lotos*, kwiat święty, unoszący w swym wilgotnym kielichu *Brahmę* (*) który wyszedł ze złotego, jak gwiazda promienisto świécącego jaja, połowiąc go, by z wierzchniéj jego części utworzył niebo a z dolnéj ziemię; — jaje, które niezliczone miliony lat ludzkich potrzebowało by *Brahmę* wydało; by dojrzało z nasienia, którém zapłodnił morze Duch odwieczny, który był sam w sobie, gdy nic oprócz niego nie było; który, jak mówi *Yadjour Vedas*, swą przerażony samotnością, żadnéj nieczując rozkoszy, podobnie do człowieka, który sam będąc, boi się i jest smutnym, zapra-

(*) Pisownia wyrazów indyjskich jest po większéj części użyta taka, jaka się znajduje w pisarzach francuskich lub angielskich.

gnął innego jeszcze bytu. Ta żądza, to pragnienie czegoś i kogoś jeszcze, było nasieniem kreacyi, a *Brahma* był piérwszą kreacyą, był pierwszém objawieniem się z własnego pogrążenia w sobie, (jakby ascetycznego) wyszłego odwiecznego owego samotnika. Czemu niemożesz pokazać twoich niw płonnych, twoich kwiecistych i rozkosznie wonnych łąk i wesołych ich biesiadników? Czemu niemożesz pokazać światu całemu twoich wspaniałych lasow, słuchających opowiadania tysiącznych lat dziejów przez swych patryarchów, te drzewa ogromne baobab, których obwód 90 stóp wynosi, których gałęzie na 30 stóp długie, okwite suto w kwiaty wielkie, pijące rosę ranną kielichami, jak puhary; które wraz z cieniem miły chłód rzucają, pod którym przed skwarem spoczywa twój ulubieniec, słoń, jak dziecko łagodny, jak dziewica skromny, jak mędrzec rozumny, od cięższéj (jak mówi myt chiński) ziemi, którą dźwiga, silniejszy.

W tych-to lasach błąkał się *Ramayany* bohater, *Rama*, ów święty indyjski rycerz, przez *Walmiki* opiéwany, w którym się wcielił *Wisznu*, druga osoba *Trimurty* indyjskiéj, Bóg zachowawczy, by walczył za sprawę religii, niósł pomoc uciśnionym Braminom; bronił od napaści świętych pustelników i pielgrzymów, i świątynie od rabunku zasłaniał. Opłakiwał go długo król ojciec wraz z matką nieszczęśliwą przez siebie samego wygnanego syna z namowy albo raczéj z rozkazu niewdzięcznych o swe zwierzchnictwo, o panowanie bojaźliwych i zazdrosnych Braminów, których władza wyżéj, jak królewska sięgała.

W tych lasach ponuréj świętości, pustelnicze, bogobojne, ascetyczne wiedli życie pustelnicy Braminowie, siłą olbrzymią swego ducha, wolą nadludzką walczący zwycięzko przeciwko, niepowiém pokusom swego ciała, ale koniecznym jego potrzebom, by zupełnie oderwać się od świata zewnętrznego; by niczém roztargnięci, niczém zajęci, patrząc

w jeden punkt środkowy, przybierając najrozmaitszą, najdziwaczniejszą, najtrudniéj utrzymać się dającą postać, spokojnie zatonąć mogli bez czucia i myśli w głębinach swego własnego ducha, który, jeżeli nie zupełnie zdrętwiał w tak zroślinioném ciele zasnął; ale snem magnetycznym często jasnego widzenia, świécąc za życia już przez wątłą wycieńczonego ciała skorupę po-za-ziemskim, po-za-grobowym wiedzy, spokoju i szczęścia blaskiem.

Życie ziemskie dla Bramina było tylko podobném do życia w łonie matki, do życia tylko płodu; prawdziwém urodzeniem jego do prawdziwego życia była śmierć: wówczas duch jego wyszedł z ciała, jak motyl ze swéj poczwarki. Ztąd ta obojętność, ta pogarda dla wszystkich ponęt życia, to dobrowolne ich na stosach spalenie się.

W tych-to lasach zabłąkana *Sakuntala*, przez Bramina tamże wychowana, pięknością lilii piękniejsza nad inne dziewice, narzeczona królewicza, żegnała się z całą otaczającą ją naturą, z każdym jéj szczegółem, z każdym źdźbłem trawy, z każdą gałązką, każdym liściem drzewa; żegnała się z każdym kwiatem, z których kwiat *Madhawi*, który swą siostrą nazwała, jaśniejący jak płomień wśród lasu, był jéj najmilszym; żegnała się ze swemi ptakami, ze swą sarną ulubioną; żegnała się z tém wszystkiém tak czule, tak rzewnie, jakby była przekonaną, że to wszystko czuło, jak jéj własne serce to rostanie. Dla niéj, wychowanki Bramina, jak dla wszystkich Indyan, natura cała żyła życiem boskiém; wszystko, jego życiem spokrewnione żyło; bo Bóg Indyan mówi sam o sobie: „Ja jestem światłem w słońcu, jestem modlitwą w xięgach świętych, jestem wonią w kwiecie, jestem blaskiem w świetle, jestem w każdéj rzeczy życiem, jestem wiecznem świata nasieniem; jestem duchem, myślą kreacyi, jéj początkiem, jéj środkiem, jéj końcem. W każdym gatunku jestem najszlachetniejszym: pomiędzy gwia-

zdami jestem słońcem; pomiędzy elementami jestem ogniem; pomiędzy górami jestem Himalają; pomiędzy wodami oceanem, pomiędzy rzékami Gangesem, pomiędzy wężami wężem odwiecznym, który się w pierścień zwija na około świata; pomiędzy końmi jestem owym, który z piany morskiéj powstał; pomiędzy woźnicami jestem niebieskiego rydwanu woźnicą; a pomiędzy słowami jestem słowem Bożém.“

Czy taki pogląd na naturę, na kreacyą, na Boga jest panteizmem bez ratunku, panteizmem podobnym do panteizmu nowszych czasów; podobnym do panteizmu Spinozy, do panteizmu, w Niemczech słynnego; do panteizmu, według którego, nic niéma oprócz Boga, albo téż nic niéma oprócz świata? — Na takie porównanie niezgodziłby się Indyanin, który lubo wierzy, że Bóg świat wysnuł ze swego łona, jak pająk pajęczynę; przecież nieprzypuszcza, że znika sam, jakby zniknąć musiał, gdyby go nie z pająkiem, ale z kłębkiem porównał, który znika wysnuciem.

Indyanin rzeczywiście tak mało był panteistą, jak nim jest chrześcijanin. Dla niego, jak dla chrześcijanina Bóg jest wszystkiém we wszystkiém; dla niego, jak dla chrześcijanina Bóg jest ideą najwyższéj doskonałości. Ale Indyanin téj idei doskonałości szuka w naturze, pojmuje ją zmysłowo, jak artysta, jak poeta; gdy chrześcijanin szuka ideału moralnego, szuka swego Boga w swéj duszy. Bóg chrześcijanina, w porównaniu z orzeczeniem się Boga indyjskiego mówi: „Ja jestem, pomiędzy uczuciami najszlachetniejszém, najwyższém, jestem miłością. Ja jestem pomiędzy pojęciami dobra, dobrém najwyższém; ze wszystkich myśli jestem myślą najprawdziwszą, jestem samą mądrością; pomiędzy uczuciami przychylności jestem najczystszą, najbezstronniejszą, jestem sprawiedliwością. Moja doskonałość jest wzorem dla człowieka, wzorem dla jego doskonalącego się ducha.“

Ale bo też według chrześcijanina człowiek jest źrenicą kreacyi; on jest więcéj, jak ziemia i wszystkie planety; on jest więcéj, jak słońce i wszystkie gwiazdy; on jest więcéj jak świat cały; bo on sam wié o Bogu; on sam jeden Go czuje w sobie samym; on sam jeden przeznaczony przetrwać całą kreacyą i na gruzach jéj świécić obok Boga w nieskończonej wieczności szczęściem i blaskiem boskiego szczęścia i światła. U Indyanina wielkością i majestatycznością uroczéj i czarującéj natury upojonego, przeciwnie, nietylko drobnieje, ale i pośledniele człowiek nieskończenie; bo wszystko, co go otacza, jest nieskończenie wspanialszém, świetniejszém, jaskrawszém, ogromniejszém; wszystko strojne, jak w dzień świąteczny, szczęśliwe, jak w dzień wesela; wszystko obfituje we wszystko, wszystko żyje w dostatku, jak przy stole gościnnym, królewskim. On sam tylko jeden w tym dniu świątecznym, w troskach i w znoju pracuje około ziemi, jak jéj niewolnik; jakby grzeszył pracą w dniu sabatu; on jest sługą wszelkiego życia. Dla tego też Indyanin wszystko kochający uczuciem rodzinném; zwiérzęta pielęgnując, jak swe dzieci; dla nich, chorych, zakładając szpitale; ze swawoli gałązki niełamiąc; niezrywając kwiatka, by mu bolu niezadać, w najlichszéj trawce szanując życie pełne uczucia i żądzy: samym tylko gardzi *człowiekiem*, jeżeli pracuje w znoju i w niedostatku, jeżeli z kasty *Sudras* zrodzony, którą *Brahma* z najpośledniejszéj swéj utworzył części, z nogi; gardzi *Pari*'ą. Dla *Pari*'a kasty wyższe niemają litości; bo jéj niémiał sam *Brahma*. Droga, którą *Paria* swym oddechem zapowietrzył, jest nieczystą. Źródło, z którego łaknący zaczerpnął, jest splugawione dla klass wyższych; czego się kolwiek *Paria* dotknie, jest skalaném; choremu nikt nieprzyjdzie na pomoc; bo wyższéj niéma ohydy, jak zetknięcie się z nim; wyższéj obelgi, jak na swéj drodze spotkać się z obliczem na hańbę skaza-

nego, który na widok wyżéj zrodzonego, na twarz upaść winien, by ją przed nim zakryć.

Nierozumiém zaiste, dla czego tę kastowość, dla czego to poniżenie jednéj kasty względem drugiéj, dla czego tę wzgardę człowieka dla człowieka panteizm właśnie miałby wylęgnąć? dla czego ta wzgarda wcielającego się Boga ku innemu swemu wcieleniu? dla czego to (według wyobrażenia Indyanina) rozdwojenie, rozpadnięcie się Boga na części jedne względem drugich pośledniejsze, wzajemnie się nienawidzące i sobą gardzące?

Pojęcie Braminów o pochodzeniu kast, zamiast dowodzić panteizmu: dowodzi przeciwnie, że Boga pojmowali jako osobistość, jako oddzielną całość; na wyobrażenie sobie któréj, posłużyło im porównanie z człowiekiem, i to ze strony jego najmaterjalniejszéj, najniższéj, i, że tak powiém, najzewnętrzniejszéj. Niewidząc jeszce w człowieku, jak tylko samą rozmaitość części, niedostrzegli organicznego ich związku, tworzącego jedność; niedostrzegli indywidualności, w któréj te rozmaite części, składające organizm, zarówno uprawnione, w jedno stapiają się życie; widzieli tylko ich różnicę, upośledzającą je jedne względem drugich części. Dla tego też, że z głowy *Brahmy*, jako części najszlachetniejszéj utworzeni Braminowie, od rycerzy stanowiących kastę *Kszatrya*, utworzonych z ramienia *Brahmy*, uważali się za godniejszych; a wraz z niemi za szlachetniejszych, od stworzonych z uda kupców, *Waisya;* którzy wszyscy razem gardzili kastą *Sudra*, wyrobników i rzemieślników, stworzonych z nogi *Brahmy.* Wywodząc kasty indyjskie z zasad panteistycznych, można się narazić na pytanie: dla czego tedy niezaprzeczeni czciciele jednego Boga, dla czego chrześcijanie wierzący, że Bóg jest ojcem wszystkich ludzi, że wspólny mają Adamowy początek; wierzący, że miłość bliźniego jest ich prawem, jest jedynym kluczem do

nieba; wierzący, że pycha nawet archaniołów strąca z nieba; wierzący, że prędzéj wielbląd przez ucho igły przejdzie, aniżeli bogacz do nieba wejdzie; wierzący że poniżeni wywyższonemi będą; wierzący, że syn Boga, że Chrystus urodził się w ubóstwie, w familii rzemieślnika, i sam rzemiosłu oddany, ubóstwo i pracę uapoteozował; wierzący, że jako każdy z nich dla wszystkich prosi Boga o jego łaski, modlitwą jedyną wspólną, którą Zbawiciel ich prosić nauczył, Bóg téż dla wszystkich daje, co daje człowiekowi, robiąc go tylko szafarzem tego, co mu dał więcéj; powierza mu chléb ubogiego, który na swój obrócić użytek jest przeniewierstwem, tém obrzydliwszém, im jawniéj, im z większą chełpliwością i pychą dokonaném; dla czego chrześcijanie, jak gdyby na wyszydzenie tych świętych ewangelii zasad, które czy-to nierozumiejąc, czy téż w nie niewierząc, również uporczywie, jak Indyanie, dzielą się na kasty?

Kasta tak zwanych magnatów u chrześcijan, czyż mniéj chełpliwie przywłaszcza sobie i honor i sławę, rządy i bogactwa, swobodę i pracę cudzą jedynie prawem urodzenia, jak Bramin, z tą nadto na własną niekorzyść różnicą, że Bramin w swojéj zarozumiałości jest w zgodzie ze swojém pismem świętym; że Bramin wypełnia prawa swego zakonu, prawo Boże, obstając za przywilejami, które niezaprzeczone od nikogo, z góry mu są dane; gdy magnat chrześcijanin swą dumą, swą pogardą względem bliźniego, swém wywyższeniem się nad brata, swą własnego rodu, własną krwi zabobonną czcią, depce najświętsze zasady chrystyanizmu.

Jakiémże prawem ten wymiot Azyi, te hordy barbarzyńskie, w których nic krom kształtu ludzkiego niebyło, które zalały ludy Europy kolejnemi warstwy, nawzajem się łupiące i niewolniczące, domagały się czci i hołdu od swych ofiar, których łupami nietylko się zbogaciły; lecz przy ogni-

sku których się ucywilizowały same? Jakiém prawem awanturnicy sascy, duńscy, normańscy, kolejno narzucili się poprzedniczym Anglii mieszkańcom? Jakiém prawem Gallowie, następnie Frankowie, jakiem prawem Germanowie, Niemcy, ta dzicz istna na ziemi słowiańskiéj, narzucili się, jako szlachta, dopuściwszy się na uciemiężanych przez nich rozboju? Wszędzie ten sam proces miał miejsce, gdzie widzimy ludzi warstwami, jedne przez drugich przygniecionych.

I w Indyach wojny tylko wylęgły kasty, jak zarazem były początkiem indyjskiéj *Trimurty*, powstałéj z połączenia trzech religij trzech Bogów, z politycznych widoków: by przyjęciem Boga podbitego narodu i zarównem go uprawnieniem z Bogiem zwycięzców, silnym religijnym węzłem narodową skojarzyć jedność. Późniejsze Braminów i filozofów indyjskich spekulacye teologiczne, wywodząc *Brahmę*, Boga twórczego, — *Wisznu*, Boga utrzymującego, — i *Siwę*, Boga zmieniającego, niszczącego — od Najwyższego Ducha: *Parabrahmy*, nazwali *Brahmę* Bogiem oceanu, *Wisznu* Bogiem światła, ziemi, a *Siwę*, Bogiem ognia.

Pomijamy to wszystko, czém zachwaściła łatwowierność zabobonnego ludu, zanieczyścił interes kastowy Braminów, czém upstrzyła fantazya wschodniéj poezyi, czém utajemniczyła spekulacya filozofów religijne obrzędy, religijne dogmata, religijną cześć i pojęcia Indyan; pomijamy cześć *Lingamu*, zbyt nagiego, zbyt zmysłowego symbolu kreacyi i rodzenia, którą obchodzili najuroczyściéj Braminowie ofiarami i modlitwami, przy w pełni gorejącym siedmio-ramiennym, do Jerozolimskiego podobnym świeczniku; pomijamy obrzędy niektóre okrutne zgrozą przejmujące, dowodzące, z jaką obojętnością, z jaką pogardą bólu lud indyjski swego życia się wyrzekał w nadziei lepszego: czy-to na stosach gorejących, czy też rzucając się pod koła ciężkiego rydwanu, na którym obwożono kamienne ich bo-

żyszcze *Dżaggernath.* To lekceważenie życia ludzkiego, ta pogarda dla człowieka niekastowego, ta kastowość, jednem słowem to życie indyjskiej społeczności było wynikiem koniecznym, było skutkiem nieodzownym pojęcia, jakie Indyanie mieli o człowieku. Nieuważając go ani za cel kreacyi, ani za najdoskonalsze dzieło Boga, nie w nim szukali śladów odwiecznego Mistrza; nie w jego doskonałości szukali wzoru i kolorytu do boskiego obrazu; ale we wspanialszéj, w potężniejszéj, bogatszéj i szczęśliwszéj naturze, pośród któréj człowiek sam tylko upośledzony jest stekiem nieczystości i nędzy, jeżeli nie jest Braminem.

Pomimo całéj artystycznéj piękności, którą ideałowi swemu o Bogu rospoetyzowana fantazya indyjska nadać usiłowała, doskonałym być nie mógł; bo doskonałości znamiona w głębi ludzkiéj złożone duszy, były im nieznane; bo inaczéj, czyżby mogli pogardzać człowiekiem, gdyby się byli domyślili, że w duszy *Pari*'i, którym się brzydzili, jest zasiew nieskończonéj doskonałości, zasiew najszlachetniejszych uczuć, najwyższych cnót i najwznioślejszych myśli, które by wzeszły i kwitły, oczekuje tylko dnia pogody. Nieumiejąc się wznieść do ideału doskonałości człowieka zbywało im na świetnych, boskich farbach do boskiego obrazu. Gdzie Boga z człowiekiem porównali, gdzie go ze stanowiska natury ludzkiéj sobie wyobrażali, téjże skarbów najświętszych nieświadomi, ideałowi ich na doskonałości zbywać musiało i tym brakiem oddziaływać musiał niekorzystnie na los człowieka, na życie narodu.

Bóg Indyan w dniu wiecznym, który kreacyą poprzedził, jakby człowiek trwożliwy, swą samotnością przerażony i jak człowiek samotny w swojém odosobnieniu smutny, stwarza z powodu trwogi i z braku rozkoszy: stwarza byt inny, by niebył sam jeden; nie z dobroci, nie z miłości, jak Bóg chrześcijan. Dla tego też na miłości zbywa u In-

dyan; dowodem czego jawnym są kasty, jest wielożeństwo. Jak Bóg Indyan egoistą jest, jest nim naczelnik domu, w którym dzieci i żony są niczem, są niewolnice; jest nim Bramin pomiędzy kastami.

Warstwy towarzyskie, kasty indyjskie taką oddzieliły się odrębnością, z jednéj strony przywilejów i praw, z drugiéj strony ciężarów i poniżenia, powagą religii uświęconych, że piętrzyły się, jedne nad drugie, spokojnie i nieruchomie, choć żadnym cymentem niepołączone, jak je wymaga budynek, żadną siłą organiczną niezwiązane, jak je wymaga ciało społeczne. *Paria* przyjął swoją zniewagę z pokorą, z poddaniem się religijném, przyjął ją, jak się przyjmuje wolę Istoty najwyższéj: ani niepokoił szlachetniejszych, ani zazdrościł wyższym ludziom; wierząc, że zaprzeczyć im ich prawa jest grzechem, że przeciwnie szanując je, w wyższéj może za nagrodę odradzać się kaście.

Z kasty *Sudra* pracował, służył i znosił ciężary; bo wierzył, że z nogi *Brahmy* utworzony, nogą tylko jest towarzyskiego ciała. Kasta kupcząca „*Waisya*,“ któréj wolno było zbiérać majątki i opływać w dostatki, niezazdrościła wyższym przywilejów; znosiła ich dumę, odpłacając za nią pychą względem niższych i uboższych, którym jałmużnę dawać prawo im nakazywało. Rycerzom wystarczał i pochlebiał im przypadający honor towarzyski, szanując przewagę Braminów, którzy byli zbyt zręcznymi by ich nieprzypuścić do pewnego współudziału władzy cywilnéj, a nawet i kapłańskiéj w obrzędach religijnych, którą-to władzę, jako uczeni, jako obeznani z xięgami świętemi, Braminowie sobie najzupełniéj przywłaszczyli.

Któż-by śmiał zaprzeczyć Braminowi piérwszeństwa, kiedy boski prawodawca *Manu* o nich mówi: „Urodzenie Bramina jest wieczne wcielenie się sprawiedliwości; bo Bramin urodził się, by sprawiedliwość wymierzał, i przezna-

czony by się zjednoczyć, utożsamościć z *Brahmą*. Bramin przychodząc na świat, pierwsze na ziemi zajmuje miejsce, najwyższym będąc panem wszystkich istot, powinien czuwać nad skarbem praw religijnych i cywilnych. Wszystko, co świat w sobie mieści jest własnością Bramina prawem pierworodztwa, prawem jego znakomitego rodu; wszystko, co tylko exystuje, do niego należy. Bramin swój własny pożywa pokarm, własne swoje nosi odzienie, swoją tylko rozdaje własność, z łaski szlachetnéj Bramina szczodroty drudzy ludzie używają dobra tego świata" (*).

Filozofia bramińskiego pochodzenia długo na korzyść Braminizmu spekulowała. Zgodnie z Bramińską teologią przyjmując zasadę wcielania się w świat i w jego kształty Bóstwa, wysnuła naukę metampsychozy, goniła za wędrującemi duszami pędząc je rózgą kary lub głosem nagrody od kształtu do kształtu, i tym sposobem na religią pierwotną, przyjmującą odwiecznego, jedynego Boga, Stwórcę wszech rzeczy, maskę panteizmu rzuciła. Wszakże znudzona ubóstwieniem niezliczonych najrozmaitszych kształtów, które swém chwilowém, efemerycznėm trwaniem, swą zmiennością, niestatecznością, nieustannie swoją boskość kompromitowały; znudzona współką coraz bezrozumniejszego zabobonu, coraz więcéj ją poniżającego; znudzona służyć za porękę swawolnéj poetyckiéj fantazyi, umiejącéj czczością łudzić i wszystko choćby najpodlejsze ozłocić; znudzona fanatyzmem, kuglarstwem xięży; znudzona we wszystko wierzyć, wszystko zaczęła podejrzewać, wszystkiemu niewierzyć. To niedowiarstwo tycząc się jedynie świata zmysłowego, tycząc się życia materyalnego, natchnęło pustelnika Bramina pogardą świata, pogardą życia: by zaprzeczeniem jego najzupełniejszém, w nicości szukać i znaleść Tego, który

(*) Patrz „Prawo *Manu*," xięga I, wiérsz 89.

z nicości stwarzał; z nim podzielić byt i szczęście jego, a nawet stać się nim samym. Ascetę indyjskiego oderwała filozofia od świata i zanurzyła go w abstrakcyach, w głębinach nieodmiennego jednostajnego bytu, samą swą nicością, samą negacyą, samym spokojem uszczęśliwiającego.

Tą drogą wyszedłszy z życia, któremu rzeczywistości zaprzeczyła, wzgardziwszy bytem, który swą zmiennością niepokoi, swą niestatecznością zatrważa, swemi kształtami łudzi, i jak zdrada za maską się ukrywa, wyszła filozofia poza jego granice i w niebycie, w nicości szukała wadom bytu przeciwne cnoty.

Niebyt i nicość niejest samobójczem zaprzeczeniem; nie jest zaprzeczeniem wytrzewiającém, wytreszczającém się: jest zaprzeczeniem najsilniejszém, najjędrniejszym; ale na zewnątrz działającém; niebyt i nicość jest właśnie mocą swego najsilniejszego zaprzeczenia, najzupełniejszą pełnią, nieograniczoną, niezmienną, jednostajną; jest dodatnią wszystkich bytu ujemności. Niebyt i nicość jest niczém nieskalaną czystością; jedynie godnem siedliskiem Bogów, zkąd *Buddha*, bóstwo dobroczynne, pełne miłosierdzia, widząc nędzę życia, wyszło na świat, na ratunek, by tyle nieszczęśliwych istot z więzów życia uwolnić, wskazać im byt inny szczęśliwszy, i nauczyć ich, jak go dosięgnąć, nieszczęsną zmysłowość zwalczyć, by na byt boskiej szczęśliwości zasłużyć.

Ku temu celowi, by postać ludzką przybrać wcielał się promieniem pięcio-barwnym, jako ostatni *Buddha, Sakyamuni*, teraz w świecie przytomny: wcielił się w Moha-Mayę, królowę średnich Indyj, i natychmiast z niej się urodził, jako dziecko cudowne, chodząc od razu, pod którego stopami kwiaty weszły, rosły i kwitły. Poznali w nim wszyscy boskie pochodzenie, pięknością zarówno, jak i wielką wszystkich nauk pojętnością, którą wszystkich ludzi prze-

wyższał, zadziwiając. Pełen dobroci i miłosierdzia ubolewał nad nieszczęściem istot żyjących, litością tak szczérą, tak serce raniącą, że starano się ukrywać i zataić przed nim nędzę ludzką, saméj tylko szczęśliwości nasuwając mu dowody i przykłady.

Napróżno przed przenikliwym młodzieńcem starano się zataić, starano ukryć ludzkiego losu niedolę; dostrzeżona przezeń już w całéj swéj nieszczęsnéj nagości, jak widmo, ciągle mu stawała przed oczyma, wzywając ratunku·

Lat 29 licząc, opuszcza dom rodzicielski, dwór królewski, opuszcza przepych i pałace, i w skromném pustelniczém odzieniu szuka samotności, by tamże pokutą ducha swego wzmocnić, i przygotować do wielkiego swego posłannictwa, do wybawienia rodzaju ludzkiego. Nad brzegiem rzéki *Narandsara* osiadłszy, uczniom z dalekich stron do niego przybyłym, wykładał swoją naukę gorliwie: nakłaniał słowem i przykładem, ażeby obudzali w sobie uczucia dobroci, litości i miłosierdzia, któremi jedynie odrodzenie całéj ludzkości dokonać się może; ażeby wyrzekając się miłości własnéj, siebie samych zwyciężali, walcząc przeciwko zmysłów pokusie, wyzwalając się, ile można z pod władzy potrzeb ciała. Takiém bowiém wyrzeczeniem się siebie samego, można się jedynie oczyścić ze wszelkiéj cielesności i wypłynąć z burzliwego morza ziemskiego życia na brzeg przeciwny wiecznego spokoju: gdzie wolny od dalszéj swéj duszy wędrówki, wolny od kolejnych zmian życia i śmierci, wolny od więzów ciała, dosięga w świecie niewidzialnym *Nirwany*: stanu tak błogiego, tak czystego duszy, któremu nic na świecie niewyrówna; bo jest niezmiennym z wszelkiej materyalności najzupełniéj oczyszczonym spokojem, niezamglonym bytem idealnym, cielesnemu najzupełniéj przeciwnym, jak mu przeciwnym jest niebyt i nicość, w którym znikają szczegóły, znikają kształty, zni-

ka ograniczenie, znika rozmaitość; gdzie niéma ani wrażeń, ani uczuć, gdzie niéma złudzeń, gdzie sama tylko rzeczywistość świéci.

Byt bowiém, według nauki *Buddhy* sam przez się już jest złym, jest zmiennym, jest łudzącym, niémającym w sobie żadnéj rzeczywistości. Niebyt jedynie jest spokojem niezmiennym, jako przeciwny bytowi, który jest wszelkich nieszczęść źródłem; jest on stanem jedynie szczęśliwym.

Zgodnie z tą nicości apoteozą, zgodnie z anatemem, rzuconém na byt, na świat i na życie, nauczał *Buddha* wbrew zasadom Braminów: że żaden Bóg, żadna istota najwyższa światu ani początku niedała, ani wolą opiekuńczą nad nim włada.

Po nad światem, po nad sferą wszelkiego bytu jest światłości przestworze, światłości sfera, z któréj zawiérającéj wszelkiego bytu nasienie, wszelkich istot przyszłych zarodki, poczyna się kreacya światów, od wieków nieprzerwanym szeregiem stwarzających się, i kolejno się niweczących według praw odwiecznych, konieczności torem łączących się, jak łańcuch przyczyn i skutków. Przyczyna bytu i cel jego, jak przyczyna bytu i cel szeregiem nieskończonym tworzących się i znikających światów są dla samego *Buddhy* nawet niedostępne. To pewna, że im więcéj z lotnego zgęszcza się, im więcéj byt materyalizuje się, im więcéj, im głębiéj w materyą wnika, w niéj się zatapia, im skrzepłéj się ucieleśnia, im pełniejszéj treści kształty przybiéra, tém warunki jego pośledniejsze i gorsze, niedola życia nędzniejsza; przeciwnie oswobadzając się z materyi, wyzwalając się z więzów cielesnych, oczyszczając się i doskonaląc, idealizuje się i wraca do téj jedności, w któréj każdy byt pojedynczy ulotnieniem gaśnie, przechodząc w nicość, aż z niéj ku nowéj kreacyi wezwie go *Damatą*, czyli przeznaczenie. Najdoskonalsze tylko istoty, które oczyszcza-

jąc się z cielesności, najwyżéj się uduchowniły i udoskonaliły, przechodzą, jak *Buddha*, w stan *Nirwany* t. j. stan najwyższego szczęścia, szczęścia idealnego, boskiego, w świecie niewidzialnym, w sferze nie bytu, w sferze nicości, gdzie przemieszkują istoty boskie po za światłości strefą, która od światów je oddziela; z kąd jeżeli jeszcze na świat wracają, to jedynie te tylko istoty, które niedosięgnęły jeszcze najwyższéj *Buddhy* czystości, wracają wcielając się promienisto przybierają postać ludzką, by wraz z *Buddhą* pracować nad wybawieniem ludzkości; w niczém przecież w tém nawracaniu niekrępując wolnéj woli człowieka za swe czyny odpowiedzialnego.

Interwencya ich w sprawy ludzkie, jakkolwiek mają one wielką moc nad materyą, nad ciałem i życiem, którego kłamstwa i złudzenia znają, niejest nigdy gwałtowną, swą nadzwyczajnością w oczy uderzającą; ale spokojną, niedostrzeżoną.

Jak światy, które niezliczone, nieograniczoną przestrzeń zapełniają, są potrójnie stopniowane, z których najdoskonalsze, niewidzialne; tak i istoty je zamieszkujące. W świecie poziomym albo raczéj w najniższéj sferze, najmateryalniejszéj, ziemskiéj, przemieszkują istoty, mające kształt i żądze, mające chucie, wchodzące w związki małżeńskie, parzące się, rodzące się i umierające. Istoty tego padoła, tworzą szereg stworzeń co do warunków pomyślnego bytu stopniowanych, zacząwszy od piekielnych potworów aż do człowieka, który nieszczęsną kolej rozpoczyna, i w miarę dobrych lub złych czynów, wznosi się po szczeblach do wyższego świata lub téż w miarę winy po nich zstępuje, przechodząc od kształtu do kształtu. Na tym świecie nadto są i złe i dobre duchy, które w powietrzu, w atmosferze bytują, wyższe i wspanialsze w niéj zamieszkując okolice w miarę swéj doskonałości.

Nad tym światem, którego istoty zamieszkujące, *Tchama* (rodzące się) nazywają, wznosi się świat wyższy, niebo, na 18 sfer coraz wyższych stopniowane. Istoty w nim bytujące, które się *Rupa* (Bogi widzialne, materyalne) nazywają, zachowują jeszcze kształty i barwy; kolei jednak rodzenia się i śmierci już nieulegają. Przechodząc od jednéj sfery do drugiéj w miarę udoskonalenia się, wstępując coraz wyżéj: czucie, wrażenia ich są coraz słabsze, uczucia coraz chłodniejsze, obojętnieją coraz więcéj, pamięć i pojęcia coraz więcéj bledniejąą; wyobraźnia gaśnie: tak dalece, że w najwyższych, w ostatnich tego drugiego świata, tego nieba strefach z uczuć oczyszczone istoty ani wrażeniom, ani złudzeniom nieulegając, mają wiedzę rzeczywistości, coraz jaśniejszą; poznawają coraz więcéj istotę, nie zaś pozór bytu. W najwyższym świecie niewidzialnym, który w poczwórnych strefach nad drugim się unosi, przechodzą istoty do stanu błogiego, materyalnemu bytowi, bytowi cielesnemu zupełnie przeciwnego, do niebytu zatém, w którym ostatecznie wszystkie bytu warunki gasną. Istoty tego świata niemające ani kształtu, ani barwy, bytujące, jak Bóg w łonie nicości, nazywają się *Arupa* (Bogi niewidzialne).

Ta ornatem, że tak powiém, osłoniona metafizyka, o któréj niepowiém, żeby była ścisłą w rozumowaniu, żeby snuła nić nieprzerwaną myśli, wszędzie jasnéj, wszędzie sobie saméj wiernéj), metafizyka kapłaństwem namaszczona, wzywająca człowieka, aby się stał Bogiem, rzucająca klątwę na byt materyalny, na życie cielesne, na zmysłowość, na chuci panowanie; wzywająca do walki z największym *Buddhy* nieprzyjacielem, z materyą i ciała pokusami: uświęca tém samém wyrzeczenie się samego siebie, uświęca ubóstwo a razem z niém pokorę; naucza o równości wszystkich ludzi których jedynie zbawić mogą uczynki dobre, uczynki litości i miłosierdzia. Był-to w dziejach ludzkości,

na drodze pychy, chciwości i samolubstwa od dawna już zabłąkanej, pierwszy wspólny filozofii i religii głos, powagą jednéj i świętością drugiéj uroczysty, który o równości wszystkich ludzi nauczał i apoteozą ubóstwa, na własność rzucił cień samolubstwa, na majątek ochydę zbytku.

Takiej treści i tak wysokich celów nauka, Braminizmowi wprost przeciwna, lubo rzeczywiście z niego wzięła początek, niełatwo mogła się przyjąć w Indyach. By ją ludowi ogłosić, *Buddha* kilkakrotnie na pustynią się udał, by życiem pokutném i postem oswobadzając swego ducha, zmocnił go tak dalece, by nad wszelką zmysłowością zawładnąwszy, umysły słuchaczów podbił. Poświęcenie jego dla ludzkości niedało się osłabić zniewagą, którą jego słowa i jego zasady spotykały; przeciwnie obwołany jako szaleniec, raz jeszcze udał się na puszczę, na któréj 49 dni bawiąc, więcéj w sobie jeszcze rozmógł uczucie dobroci i miłosierdzia, i ostateczném swego ducha wysileniem zwyciężywszy siebie samego, podbiwszy zupełnie własną swoję cielesność, był pewnym, że i drugich zwycięży i ku swojéj nauce zniewoli. Coraz też więcéj zbierało się na około niego uczniów i zwolenników, którzy porzuciwszy majątki i zbytki, poświęcili się ubóswu, żyli z jałmużny i opowiadali naukę *Buddhy*, zachęcając do niéj przykładném życiem. Nim klasztorne zaczęli wieść życie, nocowali w lasach, nigdy w miastach lub wioskach, gdzie nauczających gdy przypadkowo noc zaskoczyła, przepędzali takową na cmentarzu zawsze pokutujący i modlący się. Nareszcie wspólnie żyjąc utworzył się zakon *Buddheistów*, który, jako najświątobliwszy, jako wzorowy, zalecali wszystkim, którzy prawdziwego pokoju i szczęścia zakosztować i wieczne zbawienie zapewnić sobie chcieli.

Życie klasztorne *Buddheistów* ustaliło się i rozwinęło w dziwnie uderzający sposób podobnie do życia klasztor-

nego, mniszego, chrześcijan. Podobnych do siebie ubiorem, ślubem bezżeństwa, strojem ceremonialnym, podobnych wyrzekaniem się wszelkiéj własności, uświęceniem ubóstwa, podobnych żebractwem, przybliża jeszcze więcéj podobieństwo obrzędów kościelnych, processye, śpiewy, muzyka, instytucya usnéj spowiedzi, użycie do modlitwy rożańca, użycie wody święconéj i kadzidła, pielgrzymka do miejsc świętych, post i pokuta: a nadewszystko zadziwiało missyonarzy katolickich podobieństwo hierarchii. *Buddheiści* mają klasztory męzkie i żeńskie; mają swych przełożonych klasztornych, którym winni pokorę i posłuszeństwo; mają swych prałatów, kardynałom odpowiednich, *Lamów* tworzących *conclave*, wybierających po zejściu najwyższego *Dalai-Lamy* następcę, którego uznają za godnego, którego natchnienie im wskaże, którego znaki cudowne im objawią, że jest tem cudownem dzieckiem, które jest nowem wcieleniem *Buddhy*. *Dalai-Lama*, obok swego najwyższego stanowiska duchownego, jest zarazem władcą świeckim Tybetu; jego stolicą jest *Hlassa* na około któréj 3000 znajduje się klasztorów, a w każdym z nich tysiące lamów, zakonników; gdzie mu hołdy oddają z najodleglejszych stron zbiegający się wierni pielgrzymi, gdzie mu oddają hołdy zarówno xiążęta potęgą słynni, jak lud prosty, pomiędzy któremi *Dalai-Lama* w przyjmowaniu żadnej nierobi różnicy. Siedząc poważnie na ołtarzu błogosławi wszystkich przyłożeniem ręki do czoła, darząc ich puszkami napełnionemi pigułkami cudownemi z ciasta. Ma on swoich nuncyuszów przy dworach Azyi monarchów, i takowy znajduje się na dworze cesarza chińskiego, który nadużyciem swéj władzy w Tybecie przy dworze *Dalai-Lamy*, zapewne nie dla samego tylko uczczenia jego, utrzymuje poselstwo znakomitego mandaryna i chińską załogę.

To podobieństwo *Buddheizmu* i Katolicyzmu było dla wszystkich missyonarzy wielkich nadziei źródłem: rokując

im szczęśliwie, że to tak bliskie zetknięcie się zewnętrznéj formy ułatwi im zwrócenie zabobonnéj cześci składanéj ubóstwionemu człowiekowi, ku Stwórcy, którego *Buddhiści* prawie nieznają, ku Bogu samemu, któremu się ona jedynie należy: którego téż cześć pomimo wszelkiego podobieństwa kościół katolicki stanowczo odróżni od officyny klerykalnéj *Dalai-Lamy*. Cuda, które świątobliwi *Buddhiści* a szczególniéj téż *Dalai-Lama* umié robić, a więcéj jeszcze może zręcznie rozgłaszać, trzymają lud, wyznawców, w niezłamanéj wierze. W klasztorze jednym pokazują im (jak Mahometanie trumnę wiszącą Mahometa) w powietrzu zawieszonego *Buddhę*; pokazują im drzewo cudowne na dziedzińcu klasztornym blisko *Hlassa*, na widok którego missyonarz *Huc* i jego towarzysz *Cabet* osłupieli: czoło ich zimnym, jak sami wyznają, oblało się potem, gdy widzieli, i to zapewniwszy się, że żadnego tu podstępu, żadnéj zdrady niebyło, gdy widzieli, mówię, że drzewo to do żadnego z im znanych przez botaników opisanych niepodobne, jak gdyby święta, żywa objawienia xięga, nosiło na korze, na wszystkich swych liściach bez wyjątku charaktery święte, wyraźnie wrodzone, tak dalece, że razem z liściem rosnącém stają się coraz widoczniéjsze, wyraźniéjsze, słaby ślad dopiero tylko pokazując na młodym liściu, na młodéj korze.

Gdyby *Buddheizm*, który w Azyi nadzwyczajnie się rozszérzył, który dziś jeszcze więcéj wyznawców liczy, jak Chrystyanizm wraz z Mahometanizmem, był pozostał w piérwotnéj swojéj czystości, był pozostał sobie samemu wiernym, niebyłby mógł być czém innémem, tylko apostolatem ludzkości; byłby głosem nieba, wołającym człowieka do siebie, wzywającym go, by ze słabéj, cielesnéj, nędznéj istoty, jaką jest, stał się bóstwem, i szedł ku niebu po gruzach życia, ale zarazem i po gruzach stanu towarzyskiego: bo niebyłby mógł wyjść z granic klasztornych murów; bo zakon jest stolicą *Buddhistów*,

zakon jest ich ojczyzną, jest ich domem, ich familią, który swoją surowością życia, rzucającego klątwę na wszystko, co duszy niezbawia, wyrzekającego się wszelkiej własności, ślubującego ubóstwo i bezżeństwo wszelkiemu życiu narodowemu, wszelkiej społeczności cywilnej nietylko niesprzyja; ale zupełnie jéj jest przeciwny.

Uważając stan zakonny za stan prawidłowy człowieka, wszystkich ludzi bez różnicy, bez wyjątku do zakonnego powołuje życia; bo ono tylko jest świątobliwém; bo ono zrywa wszelkie węzły ziemskie; ono wiąże człowieka z niebem, jemu téż należy się hołd, jakim zwykliśmy czcić świątobliwość i cnotę; jakim powinniśmy czcić tych, którzy wywalczywszy własną duchową doskonałość, przychodzą w pomoc nauką, przykładem i modlitwą tym, którzy walczą jeszcze z materyą, z pokusami życia, z cielesnością, którzy swiecki prowadzą żywot. Ci tylko z ostatnich, korzystać mogą z poświęcenia się i pośrednictwa zakonników, którzy wierzą we wcielenie się *Buddhy*, którzy czczą stan kapłański i przyjmują pismo święte, ze 108 xiąg składające się; którzy wypełniają 5 przykazań: 1) Żywej nie zabijaj istoty; 2) Niekradnij; 3) Cielesnym nie ulegaj pokusom; 4) Nie kłam; 5) Nieużywaj odurzających napojów. Zakonnicy nadto wypełniać musieli 5 innych przykazań: 1) Niefarbuj ani włosów, ani czoła w celu upiększenia go; 2) Niebierz udziału w zabawach, ani w śpiéwie, ani w tańcu, ani bywaj na widowisku; 3) Ani leż, ani spoczywaj, ani siadaj na miękkiém wysłaniu; 4) W niezwykłym czasie niejadaj; 5) Niemiéj ani śrebra, ani złota, ani żadnéj rzeczy drogiéj.

Dla czcicieli *Buddhy*, których liczba przewyższa, jak już wspomniałem, liczbę chrześijan i Mahometan, którzy aż do Szwecyi, aż do Laponii się rozciągają, niezupełnie może zgodnie z jego nauką, stan *Nirwany* był rajem w najświetléjszym kolorycie im się przedstawiającym; bo czyż byli w stanie

zgłębić i zrozumieć mistyczną i zbyt oderwaną naukę metafizyczną tego wielkiego Azyi reformatora, przed 2400 lat żyjącego? czyż mogli zrozumieć ani rozumem pojęty, ani najściślejszą myślą dający się dosięgnąć stan uszczęśliwiającej nicości? który zresztą sam *Buddha* nieinaczéj orzeka, określa w 4 przez siebie podanych prawdach, jak, że jest stanem wolnym od wszelkich cierpień.

Cztéry jego prawdy są bardzo proste: Piérwsza uważa *byt* za cierpienie; druga naucza, że przyczyną cierpienia jest grzech; trzecia dowodzi, że cierpienie ustaje w stanie *Nirwany*, a czwarta wskazuje drogę prowadzącą do stanu *Nirwany*. Do tego błogiego, spokojem zupełnym uszczęśliwiającego stanu prowadzi: 1) prawa wiara (ortodoxya); 2) ścisły prawy sąd (logika); 3) szczéra mowa (prawdomowność); 4) prawy cel (uczciwość); 5) prawe uczynki (życie religijne); 6) prawe posłuszeństwo (życie podług prawa); 7) wierna pamięć, i 8) czyste rozmyślanie.

Tę wysokiéj moralności naukę, mającą zbawić i wyrwać ze stanu barbarzyństwa, nieokrzesania i samolubstwa miliony ludów wspiérał i na pomoc przychodził jéj opowiadany przykładny żywot *Buddhy*, którego pokora obok jego świątobliwości była tak wielką, że ukrywał swoje cnoty, nauczając, że tylko z grzechów swoich nienależy robić tajemnicy; którego miłosierdzie i poświęcenie było tak wielkiém, że wyznawcy jego wierzą, że spotkawszy lwicę niemającą czém karmić swych młodych, sam im się oddał na pastwę, by je ocalić. Miejsce to, na którém cud ten stać się miał, którego ziemia czerwieni się od przelanéj krwi *Buddhy*, jako i czerwienią się rośliny na niéj rosnące, odwiedził podróżnik chiński wielkiéj nauki, *Hiouen-thang*, który sam *Buddheista*, najściśléj obeznał się z *Buddheizmem* i tę legendę podał w swoich pismach, które z chińskiego na francuskie Stanisław *Julien* przetłómaczył.

OSADA POLSKA
NA BRZEGACH
JEZIORA BALATON
W WĘGRZECH.

Przez D^ra Teodora Tripplina.

---

1. *Podróż z Pesztu do Lengyel-Falu.*

Balaton, jedno z największych jezior Europy (*), 24 mil kwadratowych obszaru mające, leży, jak wiemy, z tamtej strony Dunaju w Węgrzech, między hrabstwami Szymeckiem, Saladzkiem i Wesprymskiem (*Simeg*, *Szalad* i *Wesprim*). Olbrzymie to jezioro wlewa wody swoje do Dunaju strumieniem *Sio*, a żywi się wodami 32 innych rzek. Nieprzeliczone chmary najrozmaitszego ptastwa wodnego gnieżdżą się na brzegach *Balatonu*, którego nurty mieszczą w sobie jeszcze liczniejsze chmary ryb, a nawet sporych żółwi. Wyder także bardzo wiele na brzegach rzek, wpadających do jeziora. Okolica otaczająca ten piękny wodozbiór nie jest olbrzymio-piękną; lecz odznacza się nadobnością i żyznością. Wiele też ściąga do siebie podróżników

---

(*) Po słowacku zowie się „Blatne jezero,“ t. j. Jezioro błotne: po niemiecku *der Plattensee*; po madziarsku (węgiersku) *Balaton*.

Balaton, a mianowicie myśliwych. Polowania odbywają się tutaj bardzo sławne i w oznaczonych czasach na kaczki i cyranki; częstokroć po kilkaset łodzi, strzelcami obsadzonych, krąży na niezmiernéj przestrzeni jeziora, i rzeź okropną sprawia ptastwu, które się jednakże niedaje odstraszać od gnieżdżenia się na rybném jeziorze.

Ale nas tu nieprzywabiły kaczki, tylko nas (1848) wystraszyły z Pesztu krzyki i deklamacye gęsi kapitolskich. Nie lada to gęsi: noszą wąsy zawiesiste, dołmany, bekiesze, czamary z wylotami, spodnie wyszywane i bóty różnokolorowe, a stroją kapelusze piórami wszystkich ptaków. Czupurnie wyglądają te gęsi i może bardzo dobrze rezonują; ale na nieszczęście przemawiają językiem madziarskim, zupełnie mi niezrozumiałym.

Zatęskniłem więc do natury przemawiającéj do serca mojego wyraźniéj i tkliwiéj.

Więc daléj w podróż z kolegą i przyjacielem Panem *Karvaly*, doktorem medycyny i chirurgii, i professorem szkoły farmaceutycznéj w Peszcie. Kolega mój właściwie przyszedł na świat Niemcem, i oryginalnie nazywał się *Sperber*, co znaczy po polsku *krogulec*. Ale już na uniwersytecie porwał kolegę mego prąd nowo zgalwanizowanéj narodowości madziarskiéj, i uniósł go z sobą na swych skrzydlatych barkach. Kolega tłumaczy za pozwoleniem Rządu nazwisko swoje niemieckie *Sperber* na madziarskie *Karvaly*, co znaczy po węgiersku *krogulec;* zapuszcza, szwarcuje i w grajcarki zakręca wąsy; nadaje fizyonomii swojéj wyraz dziki Atyllą pachnący, klnie po węgiersku przy każdéj sposobności, nawet podczas examinów, przystraja się w dołmany i bekiesze, kapelusz czupurzy piórami, przybija ostrogi do bótów,— i otóż jest groźnym szlachetnym Madziarem, a nie lękliwym drobnostkowym Niemcem.

Takich przemian nazwiska i indywidualności było wówczas kilka tysięcy na rok; już nawet przestały dziwić.

Więc doktór *Karvaly* jest Madziaromanem, i obleka się w zawieszone na plecach dołmany i w najopiętsze wyszywane okoliczności, pomimo tego, że go natura wcale nie stworzyła na huzara. Mój kolega, na nieszczęście, nadzwyczaj jest garbatym, i nogi ma cienkie, jak cybuchy; niestósowny ubiór jeszcze uwydatnia górzystość kadłuba i filigranowość podstawy; poczciwy doktór wygląda śmiesznie, jak pająk za huzara przebrany. Ludzie stają na ulicy, gdy go zoczą i krzyczą gwałtu; ale tego bynajmniéj niepostrzega nasz Madziar: przyrodzonéj próżności nieskończone zasoby maskują mu prawdę, on z swéj miny nadzwyczaj zadowolony, niepomieniałby się za żadną inną, a cały raj rozkoszy błyska na jego genialnéj, ale sępiéj twarzy, gdy się widzi w źwierciedle. To téż i nieprzepuści żadnemu źwierciadłu, a lubi się przeglądać w sadzawkach i źródłach, jak nieboszczyk Narcys z mitologicznych czasów.

Ale doktór *Karvaly* uczony, dowcipny i wymowny, a tak o dobroć ogółu gorliwy, że codziennie spędza po godzin kilka na posiedzeniach komitetów, których jest członkiem, i niezmordowanie także sejmikuje z ludźmi, z których wielu ani przegadać, ani przekonać niemożna; bo u nich wszystkie siły koncentrują się jedynie w głosie.

Nareszcie zerwał sobie biédny doktór płuca, ochrypł i kaszléć zaczął, i na moje rady i prośby zezwolił oddalić się na czas niejaki od widowni walk parlamentarskich, a zwiedzić ze mną mało jeszcze znane, a może nigdy nieopisane okolice jeziora *Balaton.*

Otóż już jesteśmy w Teplicy *(Tapolcza)*, mieścinie odznaczającéj się tém, że, jak nasz Modrzejów, nieposiada kościoła. Ale religii za to niebrakło w Teplicy. Żyli tu w pięknéj zgodzie z sobą wszystkie religijne żywioły Węgier: katolicy rzym-

scy, Grecy, ewangelicy augsburscy i reformowani, nowo nawróceni cyganie i żydzi. Od pewnego dopiero czasu nawracają się cyganie, dotąd w najzupełniejszéj bezreligijności żyjący i najmniejszego niemający wyobrażenia o potrzebie Bóstwa; a dla tego głównie nawracają się, żeby mogli osiadać we wsiach i miastach, i lepiéj okradać współobywateli. Ale starzy chrześcianie w nadziei, że się dzięki wpływowi moralizującemu chrystyanizmu, trzecie lub przynajmniéj czwarte pokolenie cygańskie wyrzecze kradzieży, przyjęło do swéj owczarni owych zgłodniałych wilków. Więc tu panuje w téj mieścinie duch Chrystusa, lubo w niéj sekt tyle, a kościoła żadnego; nabożeństwo odbywa się w skromnych domach modlitwy.

Nocowaliśmy w Teplicy. Przyznać należy, że pod względem czystości i porządku, najbiedniejsza karczma węgierska znośniejszą jest od wielu hotelów w innych krajach.

Już znów jesteśmy w drodze. O małą milkę od Teplicy leży *Tornay*, stolica hrabi *Sternenberga*, magnata nieprzystępnego i dumnego. Zamek feodalny tak pięknie utrzymany, jak gdyby czasy feodalizmu jeszcze w najlepsze trwały; a przecież one prawa i przywileje zniesione od miesięcy kilku przez samego cesarza Ferdynanda.

Tu do tego zakątka jeszcze o tém wieść niedoszła, a potém najwyższą magistraturą miejscowości jest pan hrabia, właściciel wszystkich tych włości na około.

Tuż pod okazałą siedzibą *Sternenberg'ów* leży założona przez nich niemiecka wieś *Nemet-Falu*, złożona z jakich 150 dymów, i w stanie prawdziwie kwitnącym utrzymana. Niewolno w niéj osiadać tylko Niemcom i do tego katolikom: ten sobie wyrobili przywilej austryaccy osadnicy, przy zakładaniu kolonii. Z początku było tylko 70 kilku ludności, licząc w to dzieci, kobiety i starców; teraz liczba mieszkańców (w lat 80) powiększyła się do 1,300. Kolonista

z *Nemet-Falu* odznacza się chlubnie pracowitością, miłością porządku i moralnością; ale cnót wyższych niéma żadnych, bo jest chciwym, niegościnnym, zuchwałym z potulnemi Słowakami, a tchórzem, gdy się spotka z dziarskim Madziarem.

»A że przytém i Niemki w téj kolonii nie są ładne, więc niéma co popasać; jedźmy daléj« rzecze doktór *Karvaly* przeglądając się w źwierciedle karczmy, poprawiając sobie czupurzysty kapelusz na głowie, i bijąc ręką w pochwę szerokiéj na trzy cale, prawdziwie huzarskiéj szabli.

Trzeba bowiem widzieć, że szanowny mój kolega, wstępując do wsi niemieckiéj, nasrożył sobie minę na 80ty stopień madziarszczyzny, wyszwarcował na nowo wąsy, szablę przypiął i kółka od ostróg oczyścił z błota, żeby dobrze brzęczały.

A słowa po niemiecku niewyrzekł do mnie, dopókiśmy byli pomiędzy Niemcami, tylko z niemi gada po madziarsku, przeplatając mowę trzeszczącemi klątwy, a do mnie po łacinie owym pięknym cycerońskim stylem, jak naprzykład: »*Clarissime et amantissime Colłega! ego tibi juro in honorem nobiłis hungarici, quod iłli Austriaci mihi inspirant abominationem insuperabiłem, et noło manere in medio eorum.*«

W ustach tęgiego Madziara prawie wszystkie *l*, przemieniają się na *ł*, do jakiegokolwiekbądź języka należą.

Niemcy truchleją spoglądając na małego, garbatego Madziara.

Więc spieszmy na brzegi jeziora *Balaton*, już bardzo bliskiego; spieszmy do *Lengyel-Falu*, do wioski polskiéj, i przekonajmy się, jakie ma prawo do téj nazwy (*).

Droga starannie utrzymana, owocowemi drzewami obsadzona, snuje się malowniczo pomiędzy okazałemi łanami już

(*) *Lengyel-Falu* (wymawia się: Lendjel Fału), znaczy „Polska Wieś.“

dojrzewającéj tureckiéj i sandomiérskiéj pszenicy, aż do lasu. Tu się rozpada na kilka dróg pomniejszych i przestaje być dobrą. Tu już granica niemieckiéj wsi. Drogoskaz każe nam zboczyć na lewo. Las iglasty, zaniedbany, niejedna piękna sosna, wichrem zwalona, gnije tu bezużytecznie; z innych, jeszcze stojących, poodzierano smolne szczapy, umyślnie, aby starodrzew usechł jak najprędzéj i zwalił się na ziemię. Jacyś ludzie w łachmanach, wałęsający się po lesie, uciekają w gąszcz, gdy zoczą doktora w kapeluszu z piórami i jego hajduka komitatowego (*), ubranego w mundur huzarski, także należycie jaskrawy i bogato mereżony w esy i w floresy.

»To pewnie Słowacy« rzecze doktór *Karvaly*.

„Dla czego?“ zapytałem.

„*Collega spectabilis,*“ rzecze znów towarzysz, „Niemiec ma swoje poręby tam na prawo i do innych niezałazi; cygan przesiaduje dzienną porę w gęstwinach i tylko nocą na żér wychodzi; żyd nieśmiałby tu się wałęsać z bojaźni, żeby go nie złapano i nie obito; Madziar nieuciekałby za nic w świecie; muszą to zatém być Słowacy. Patrz, jaka różnica pomiędzy tą częścią lasu a tamtą niemiecką: tylko droga je przedziela, a powiedziałbyś, że to oceany. Że Niemcy zamiłowani do porządku, to ani słowa; żeby się ta gadzina chciało zmadziaryzować, toby mogła wyjść na ludzi. Z Słowaka niezrobisz nigdy tęgiego Madziara: za miękki materyał.“

Otóż, jak rozumują zmadziaryzowani Niemcy. Ani przypuszczą, żeby w nich zostało coś niemieckiego, a Słowakiem tak gardzą, jak Słowak żydem.

(*) Komitat, z łacińskiego *Comitatus*, Hrabstwo, znaczy w Węgrzech (podobnie jak w Anglii) tyle, co: Powiat, Ziemia. Po słowacku nazywa się: „Stolice.“

Wyjeżdżamy z lasu; leży przed nami niezmierne źwierciadło *Balatonu*. Żadna chmurka na niebie, żadna fala na jeziorze; tylko łodzie rybackie długim szeregiem zbliżają się ku brzegom, ciągnąc za sobą niezmierną sieć; białe rybitwy, pewne zdobyczy, radośnie przebiegają powietrze i potrącają dzióbem i skrzydłami powierzchnię wody.

Na lewo na wzgórzu kościół murowany, ale spustoszały i z zwaloną na pół wieżą; na stopach zaś wzgórza kilkanaście słomą pokrytych lepianek, i pole dość nędznéin żytem i owsem bałwaniące się. Daléj, — daléj jeszcze ku wschodowi wysoki zielony klin ziemi wkracza w jezioro i pławi swe spadziste stopy w jego czarnych nurtach; a na grzbiecie, świerkami porosłym, dźwiga skromną chatkę, kapliczkę jaśniejącą w bieli, i kilka białych ku ziemi dochyłonych krzyżyków. Na saméj drodze słup, z którego spadły drogoskazy i tablica; a cokolwiek daléj na rozdrożu pomiędzy głogami i tarniną, gruzy murowanéj bożéj męki z tablicą marmurową, na pół strzaskaną i zupełnie mchem zarosłą.

Napisu część zdołałem jednakże odkopać za pomocą scyzoryka, i wyczytałem kilka wyrazów czysto-polskich a nie słowackich i datę 1711.

Otóż tedy jesteśmy w *Lengyel-Falu*, w polskiéj wiosce; przekonywają o tem gruzy, biéda i ten napis w polskim języku.

2. *Wieś Polska.*

»Stójno — stój ojcze! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!« rzekłem na chybił trafił do wieśniaka ubranego w parcianą kamizolę i w wysoką czapkę z skóry baraniéj z wstążkami na boku, jak się noszą Mazury w Galicyi i w Królestwie?

Chłop zoczywszy nas z daleka, zdjął czapkę; ale odstąpił pracy swojej przy płocie i zmierzał ku swéj chacie.

Stanął jednakże, gdym nań zawołał, i spojrzał się na nas z nieufnością, pokłonił się nisko ku ziemi i odpowiedział:

— »Na wieki wieków. Amen.«

»Ach! języka niezapomnieliście przecież?« rzekłom uradowany, że tak daleko od rodzinnéj ziemi, słyszę mowę polską.

— »A któzby go tu zapomniał, przecies go nosiwa w gębie, z przeprosenieın Jasnego Pana,« odpowié zdziwiony chłop.

»Jak się nazywa ta wieś, gospodarzu?« pytam daléj.

— »Jak się nazywo?« odpowié znów, jeszcze więcéj ździwiony chłop. »Przecie sama siebie nie nazywo; a cózby się miała nazywać? — la Boga.«

»Pytam się, jak wy zowiecie wieś waszą?«

— »Jakmy zowiewa? Uhry (Węgry) ją przezywają Lendjel-Fału.«

»A jak wy ją zowiecie?«

— »Jak ją zowiewa? niby my? Zowiewa ją: Duklówka.

»Więc ją nienazywacie Polską wsią?« —

— »A stazy ją tu przezywali Polsko-wieś; póki zyli«... odpowié chłop, oczywiście zniecierpliwiony memi pytaniami; bo mu pot spadał z czoła ciurkiem.

»Mój gospodarzu, naścicie na wódkę; powiédz mi jeno, ile was tu jest dusz w téj wsi?«

— »O la Boga!« krzyknie chłop przestraszony, »aić duse tylko w piekle, w cyścu i w niebie — a nie na ziemi.«

»No, — ile was ludzi w Duklówce?«

— »A bedzie moze z 80 i więcéj, a zydów ze 20 z bachorami i z belferem.«

»Jakto? żydzi tu mieszkają na wsi?«

— »A któzby rybę kupił i do miasta zaniósł?«

»Ależ wy sami.«

— »A bo ta mawa kunie? A na cóz nieść, kiej zyd, psio-wiara, zaraz zapłaci i zawiezie?«

»A czémże orzecie w polu?«

— »A od cegos krowy? Jasności panie. — Krowa zoze, i cielę urodzi i mléko do.«

»Do kogóż należy ta wieś?«

— »Do Jasności Grofa Styrneberga.«

»Czy mu odrabiacie pańszczyznę, lub też płacicie czynsz?«

— »Cyns? — cyns? albo my wiema, co to jest?“ rzecze znów chłop wywaliwszy oczy, i chce się cofać do chałupy.

»Na miłość Boga! pytam was gospodarzu; — naścicież jeszcze na wódkę, — pytam was się, jakie macie powinności względem Grofa za to, że na jego gruncie żyjecie i chlebem się jego karmita?“

— »Cić! cić! miarkuję. My siedziwa na zniwie niemieckiém, siedziwa tys na rybach, na kapłonach i na jajach soforce grofoskiéj; siedziwa na dziesięcinie zydom, i na habrze Jurassorowi za to, ze nas bije, kiedy coś w lesie zginie, lub kiedy bydło nasc w skodę zajdzie, i za to, ze nas zapisuje do książki, kiedy umzewa, cyli tys, kiedy się urodzim, albo pudziem w gody.«

»Panie Boże Wszechmocny! jakież to nowe zawikłane podatkowanie? Cóż znaczy siedzieć na żniwie niemieckiém?«

— »Ot, jak Miemcy w pogranicnéj wsi *Nemet-Falu* zbierają, to nas zaganiają, ilu nas jest, na całe 10 dni do zniwa swego.«

»A cóżto znaczy siedzieć na rybach, kapłonach i jajach szafarce?«

— »Oto, ile nas jest zyjących, tyle na rok musiwa dawać soforce grofoskiéj z zamku *Tornay*, po 20 funtów ryb na głowę, po 5 kapłonów i po 2 mendele jaj.«

»A dziesięcinę żydom? a nie xiędzu?«

— »A bo xiędza tu niéma. Jak kościół pomarnioł i probosc umarł, hajwo pustelnik swoim grosem postawił kaplicę i msą odprawia, chrzci i spowiada z woli Jasności Biskupa —

a zyd faktor Grofa zaharapcił dziesięcinę, bo ją harenduje wsędy w grofoskich dobrach, gdzie był probosc a teraz go niéma.«

»Żyd żyje z dochodów duchownych? wyborne! a ten haber Jurassorom? co-to znaczy Jurassor?“

— »Oto taki, co władze z Grofa trzyma i zapisúje: kto się urodził i kto zamze. Bywało wprzódy, ze dziéwki nase najpiękniejse chodzić musiały do dworu i syć przez cały rok. Ale jak Grof się zestazał i kilka się dziewek utopiło ze wstydu; więc nas zwolnił z tego, i zamiast dziéwek do sycia musiewa dawać za kazdą po pięć korcy owsa Jurassorowi co rok, od piętnastego roku az dopóki za chłopa niepójdą.“

„A rekruta — ile dajecie?“

— „Niby do wojaków? Jasności panie.“

„A dyć, miły gospodarzu.“

— „Kiej ta bardzo nie upierają się o nas; bo z tęsknoty zawdy pomarniejewa; a komu juz koniecnie wypadnie iść, no, to zalizie z kumami w knieje, i uchwyci jakiego młodego cygana; a okrutnie łakomi na cyganów, bo się ślicnie w taraban tłuką, i na forysiow łepscy, bo zwinni w wysukaniu.“ (*Notabene:* „w taraban tłuc“ znaczy: bić w bęben; „forysie“ znaczy: ordynans, a „zwinny w wyszukaniu“ znaczy: umié kupić za pięć palców).

„Rozumiém, rozumiém, mój ojcze. A dawno tu jesteście na wsi?“

— „Odkąd sie urodził, a moze?“ odpowié wieśniak ruszając ramionami, tak, jak gdyby z litości nad głupiém pytaniem.

„A kiedyście się urodzili?“

— „A bo my wiewa? Probosc póki buł, to wiedział; bo miał zapisane; a teraz Jurassor zapisuje urodzenie, gody i śmierć. Nieciekawem tez wiedzieć, kiedy zamrę.“

„Tu nie o to idzie, mój poczciwy gospodarzu; naścicie na wódkę! tylko o to się pytam, kiedy wasi ojcowie z Polski tutaj przyszli, i tu się osiedlili?

— „Oj, Jasności panie, to nie za tatusia pamięci.“

„Może za dziadka pamięci?“

— „Oj, nie za tatusinego tatusia.“

„To może za pradziadka?“

— „Oj, nie za niego; ale może za tatusia tatusi tatusinowego, Jasności panie.“

„Czemuż się tak dorozumiewacie?“

— „Bom nigdy w zyciu mojem nie widzioł tatusia tatusi tatusinowego, Jasności panie,“ odpowié chłop z przedziwną naiwnością i z niemniéj przedziwną biegłością w mowie.

„Więc niewiecie, kiedy tu wasi ojcowie przybyli?“

— „My niewiewa; ale stary pustelnik hajwo na przybozu, to wié wsyćko; on jesce nie zabocył; mo lat sto z górą, my tam tego niewiewa. Niech bedzie pochwalony Jezus Chrystus!“

I niewiem, czy znudzony pytaniami, czy też, że mu krajcary w ręku swędziły, drapnął poczciwy kmiotek i najkrótszą drogą dążył ku karczmie.

Niech nikt nie mniema, że doktor *Karvaly* pozostal ze mną przez ciąg téj rozmowy. On ani słowa po polsku nierozumiał, a z przyrody ciekawy, pobiegł w bótach z brzęczącemi ostrogami i dźwigając swą szablę ku brzegowi jeziora, na którém właśnie w téj chwili połowa wsi, to jest ze 40 ludzi rozmaitego wieku i różnéj płci rozciągało matnię.

Wielki Boże! cóż to za błogosławieństwo? nigdy w życiu tak ogromnéj niewidziałem matni, ani też marzyć nie śmiałem o tak niesłychanéj liczbie ryb. A to połów prawdziwie biblijny, od którego pękała sieć, lubo ta z grubych na ćwierć cala postronków była splecioną. A jakaż rozmaitość mieszkańców wody! od drobnéj płotki aż do dużego,

jak cielę, suma, wszystko to zebrane było i pląsało po piaszczystym brzegu w szlamie i rzucało się w powietrze ku jeziorowi, chcąc odzyskać miły żywioł, w którym tak swobodnie było żyć i bawić.

Jednego rodzaju ryb niepoznałem, ani też nigdy niewidziałem. Długi i wysmukły, jak szczupak, barwę miał siną, czerwono centkowaną, i paszczę jeszcze drapieżniejszą od paszczy szczupaka; przytem wąsy, jak sum, ruchliwe, któremi, jak rybacy utrzymywali, przynęcał rybki, wyzierając ukryty w mule. Ryby myśląc, że to robaczki owe ruszające się wąsy, chwytały za nie; wówczas szkaradny potwór hapał i pożerał swych spółobywateli.

„Jakżeż wy przezywacie tę rybę?“ zapytałem jednego rybaka.

— „A to scepok“ odpowie mi rybak.

„Gdzie tam szczupak: ot, widzicie szczupaki wąsów niemają.“

— „To swojski scupok, a to zmadziaryzowany scupok; bo wąsy zapuścił i usamerował se kurtę,“ odpowie w najlepszéj wierze rybak.

Parsknąłem śmiechem i koledze mojemu przetłumaczyłem na niemieckie odpowiedź rybaka.

W złość wpadł okropną doktor *Karvaly*, wziął to za osobistą obrazę i o mało co szabli niedobył z pochwy, aby nią ukarać alluzyonistę.— Potem mi wytłumaczył, że tą rybą jest tak nazwany w języku węgierskim *Fogas* ; że się poławia jedynie w jeziorze *Balaton*, i że istotnie wąsami nęci niedoświadczone rybki i pożera ich wielką liczbę. Jest-to jedna z najsmaczniejszych ryb, smaczniejsza nawet od zwyczajnego szczupaka.

Za cwancygiera bibułą, kupiłem dwa pięciofuntowe Fogasze i kazałem je zanieść hajdukowi do karczmy, aby je przyrządził na śniadanie.

Wdałem się znów w rozmowę z mieszkańcami, którzy prawie wszyscy nadzwyczaj czysto po polsku mówili; wypytywałem się, od jak dawna przodkowie ich tu żyli? kiedy tu osiedli? i co ich zniewoliło do opuszczenia dawnéj ojczyzny?

Nietylko, że żadnego w téj mierze niedano mi oświetlenia; lecz jeszcze wszyscy mnie odsyłali do starego pustelnika „który moze jesce nie zabocył, zkąd my przychodziwa, bo haniebnie stary, ma przesło sto lat.“

Z dziwną jednozgodnością zawsze mi toż samo opowiadano. Widać, że sami, prócz języka, wszystko zapomnieli, niedbali o historyą rodu swego.

Powracamy do wsi, a mianowicie do karczmy, gdzie tymczasem hajduk przyrządza nam śniadanie i spotykamy dwie młode, ładne wieśniaczki, ubrane czyściutko w suknie, jakie do dziś dnia noszą włościanki w Galicyi, pod Duklą. Rysy twarzy tych dziewczyn były czysto-słowiańskie, otwarte i miłe, płeć jasna a oczy duże, niebieskie.

Witam je „pochwalonym“ i uprzejmą odbieram odpowiedź.

„A zkąd pan Bóg prowadzi, moje panny?“

— „Ze spowiedzi, od pustelnika“ rzekną z skromnością słowiańskie dziewice.

„Cóż to niesiecie w rękach?“ pytam daléj.

Wieśniaczki te niosły w rękach po pęczku dziwnéj rośliny, któréj jeszcze nigdy niewidziałem w takiéj okazałości. Była to trawa pierzasta (*stipa pennata*); rośnie i u nas w Polsce, ale tylko w Ojcowie. Téj rośliny włókno, długie na łokieć, miękkie, mocne, zupełnie wygląda, jak włókna piór strusich; barwę miało jasno-blond, jak najpiękniejszy len, i świeciło, jak jedwab.

— „A to *pocieszne* ziele, którego tam wiele rośnie na pagórkach pustelnika na spadzistości i nigdzie indziéj. Dał

nam tego cudownego ziela pustelnik po pęczku, bo to broni panny od wszelkiego nieszczęścia, a ciągnie w wodę jeziora, gdy która wstydliwemu nieszczęściu ulegnie."

Tak mi zaręczały, rumieniąc się po uszy, dziewczyny.

„ Jak nazywacie tę piękną roślinę?"

— „Nazywamy „Warkoczem polskiéj sieroty;" tak ją tu wszyscy nazywają, Uhry i Niemcy, cygany, a nawet i żydzi."

„Zkąd pochodzi to nazwisko? moje dobre dziewczyny."

Zrazu milczały dziewice, a potem starsza rzekła: „To jakieś smutne i cudowne do tego nazwiska przywiązane zdarzenie; ale to Panom najlepiéj opowie stary pustelnik; bo on podobno był świadkiem tego cudu i wszystko wié, co się tu działo od początku świata."

Chciały odejść dziewczyny, a gdym je prosił, żeby mi tych włosów polskiéj sieroty odstąpiły za cwancygiera, przeżegnały się mówiąc z zgrozą: „A przecież to już poświęcane; tego się nie sprzedaje za żadne pieniądze. Może Panom pustelnik pozwoli urwać. Niech będzie pochwalony."

Odeszły, a my postanowiliśmy odwiedzić pustelnika, który wszystkich tajemnic tego miejsca był stróżem.

3. *Pustelnik.*

Na dobre staje wkraczało wąskie a wysokie *przyborze* w jezioro *Balaton;* pośród gęstego lasu ciągnęła się kręta ścieżka po grzbiecie jego do kapliczki, którą z daleka widzieliśmy jaśniejącą czerwonym dachem i białemi ściany. Z obu stron stromo wpadał w nurty jeziora ten język ziemi, ta olbrzymia tama, ręką natury usypana i całkiem wysokiemi świerkami i amerykańską sosną gęsto zarosła. Grzbiet ten w niektórych miejscach był jakby rozpadły, kłody grubych, poręczami nieopatrzonych sosien łączyły brzegi rozpadlin; głęboko pod sobą widziałeś nurty przedzierającego

się jeziora, i co chwila lękałeś się, żeby pracujące z taką wściekłością wody raz się nieprzelały i nieoderwały siedziby pustelnika od lądu, lub jéj niepogrążyły w odmętach. Taki zapewne będzie los tego przyborza, gdy się raz silne wiatry od wschodu rozkiełznają na jeziorze, i rozkołyszą fale jego.

Długo trwał pochód nasz, i pojąć niemogliśmy, jak ludzie podeszli mogą się narażać na niebezpieczeństwo jego; bo kłody rzucone nad przepaściami i obryzgane pianą, ślizgały się pod nogami naszemi. Ale lud sławiański pobożny, nieda się odstraszyć żadnem niebezpieczeństwem, gdy idzie Boga chwalić.

Nareszcie odsłania się las; lecz wzgórze jeszcze się wzdyma i do znacznéj w tém miejscu dochodzi wysokości. Już drzewa tylko pojedynczo stoją; pod ich konarami wznosi się kapliczka i skromna chatka jéj stróża. Przepadzisto rzuca się koniec klinu w szumiące wody *Balatonu*, a cały pagórek pokryty woniejącą trawą i kłębami owéj pięknéj w najlżejszym wietrze powiewającéj rośliny, którą nasze Sławianki nazwały „ włosami sieroty polskiéj.

Pięć krzyżów z nieciosanéj brzeziny, stało za kaplicą, a wszystkie wznosiły się nad jednym próżnym, tarcicami założonym grobem. Po wszystkich ścianach chatki pustelnika piął się leśny bluszcz, i tak się silnie krzewił, że nawet zasłaniał i okno, z po za którego patrzał pustelnik na nas, wypoczywających po trudnym pochodzie i pogrążonych w zachwyceniu nad prześlicznym krajobrazem.

Jezioro w tém miejscu tak jest szerokie, że tylko mocne oko dojrzy jego krańców. Z daleka dostrzegliśmy parostatek, prujący jego fale wzdłuż od *Hidrö* do *Kenese*, od ostatnich końców *Balatonu* na 12 mil geograficznych od siebie odległych.

Wypoczęliśmy nareszcie i poszliśmy powitać pustelnika, już nas na progu swego domku oczekującego.

Starzec-to był pochylony wiekiem; ale jeszcze wysoki, nawet olbrzymio-wysoki. Stał wsparty na kiju długości i kształtu pastorała, a ubrany w habit kamedulski, w kapeluszu słomianym na głowie, z długą siwą brodą, z twarzą wprawdzie głęboko zoraną; lecz surową i wspaniałą, z oczami czarnemi, także jeszcze czarną brwią osłoniętemi; nie wyglądał jak pustelnik żyjący z jałmużny biednéj wioski polskiéj; lecz jak odwieczny król tego jeziora i tych ogromnych lasów, brzegi jego pokrywających.

„To nie śmiertelny człowiek, tak jak my; lecz istota nadziemska, która wiecznie taką była i wiecznie taką pozostanie, jaką jest teraz,“ powiedziałem pomimowolnie, a przejęty uszanowaniem zdjąłem kapelusz i uchyliłem głowę przed wspaniałym starcem. Doktor *Karvaly,* któremu nigdy niebrakło konceptu, niewiedział jednakże w téj chwili, co powiedzieć, tylko zdjął swój czupurzysty kołpak i skłonił się głęboko.

Starzec, widać, był przyzwyczajonym do objawów wrażenia, jakie sprawiał, i przypatrzywszy mi się bystro, rzuciwszy na towarzysza mojego spojrzenie, w którem się przebijało nieco szyderstwa, zdjął także kapelusz z łaskawością, i grzecznie nas przywitał w czesko-sławiańskim narzeczu; ale zaraz przerwał sobie mowę, i rzekł po niemiecku:

— „Może mnie Panowie nierozumią?“

„Ja rozumiem wielebnego Ojca, bo jestem z Polski“ rzeknę po polsku do pustelnika, „ale mój towarzysz i kolega doktor *Karvaly* jest Madziarem, nic nierozumié po sławiańsku; za to znów doskonale mówi po łacinie, po madziarsku i po niemiecku. A mój język, czy zrozumiały dla wielebnego Ojca?“

— „Zupełnie zrozumiały“ odpowie z widoczną radością stary pustelnik, „uczyłem go się umyślnie, aby mnie zrozumieć mogły moje biedne owieczki tam we Wsi Polskiej. Pięknie-to brzmi ten język, gdy nim się biegle mówi; ale ponieważ towarzysz Pański, nierozumie po słowiańsku; więc rozmawiajmy z sobą językiem nam wszystkim znajomym, to jest niemieckim.“

W tej chwili wszczęła się bardzo żywa rozmowa pomiędzy starcem a kolegą moim, który mu musiał opowiedzieć z wszelkiemi szczegółami wszystko, co się stało w Peszcie, w Węgrzech, w Austryi i w Europie od miesiąca Lutego tego roku. Doktor *Karvaly* był w swoim żywiole; czas bieżący niemógł znaleźć wymowniejszego Cycerona, a starzec przysłuchiwał się z napiętą uwagą: zdumienie z przestrachem graniczące malowało się na jego sędziwém, lecz jeszcze niezwiędłém wyrazistém obliczu.

Często także dopytywał się o tego lub owego z koryfeów czasu, i niekiedy pomimowolnie wyjawił zdanie, z którego wnosić można było, że kiedyś znakomity brał udział w sprawach kraju i przestawał z ludźmi wysoko stojącymi. Nawet go pobudził zapał rozmowy tak daleko, że starzec wyniósł z swego domku ostatnią butelkę szlachetnego Tokaju, którą posiadał, i raczył wznieść toast na cześć gości. Rozmowa ta trwała z półtorej godziny, prawie za długo na mnie, znającego doskonale wypadki czasu i nierokującego sobie z nich nic pocieszającego.

— „Więc szalejecie znowu, o wy niesforne dzieci dzikich Hunów!“ rzecze nareszcie, westchnąwszy głęboko, mocnym i rozczulonym głosem starzec.— „Oh! znam ja was od bardzo dawna i wiem, jakiemi jesteście! Szaleliście za Maryą Teressą, nie za jéj przedziwne „prawa *urbaryalne*“ i urządzenie szkół, któremi was obdarzyła; nie za to, że nas wypędzeniem Jezuitów uwolniła od gniotącego ciężaru; lecz po

prostu za to, że po swéj koronacyi w Presburgu wjechała konno i galopem na pagórek królewski i machała pałaszem na wszystkie strony, na znak, że bronić będzie madziarskiéj szlachty przywilejów przeciw wszystkim nieprzyjaciołom i ze wszech stron. Wówczesas wrzeszczeliście, co wam starczyło gardła: „*Vivat rex Maria Theresia! Moriamur pro rege Maria Theresia!*“ i każdy byłby się dał zarznąć za królakobietę, za monarchę tak malowniczego. Ha! patrzałem na to wszystko własnemi oczyma, lubo temu lat przeszło sto; tak jest: przeszło *sto!*“

Można sobie wystawić nasze zadziwienie. Odwieczny starzec rozwinął obszernie swoje uwagi nad usposobieniem mieszkańców Węgier. Nareszcie rzekł: „Przestańmy jednakże mówić o polityce. Może się panowie i gorszycie, że starzec, którego grób już wykopany, tak się jeszcze zajmuje polityką. Niezajmowałbym sie nią pewno, gdyby sprawa publiczna nieoddziaływała na los mojéj biednéj trzódki, którą mi sam Pan Bóg ogołoconą z pasterza powierzył.

— „Na los téj wioski, mój wielebny Ojcze! jeszcze jednakże nieoddziałały żadne zmiany zaszłe niedawno w polityce, ani też niezlały się żadne dobrodziejstwa zatwierdzone przez monarchę. Kmiotki we Wsi Polskiéj jeszcze nic nie wiedzą o zniesieniu pańszczyzny, roboty, darmoch i daniny i ciągle opłacać się muszą nietylko panu, lecz nawet Niemcom w *Nemet-Falu,* Jurassorowi, a nawet i żydom za utrzymanie téj nędznéj piędzi ziemi, w jakim takim stanie żyzności.“

„Aleś Pan przynajmniéj niebył zwiastunem tych zmian, zaszłych w losie włościan węgierskich?“ spytał mnie z żywością starzec przedpotopowy.

— „Bynajmniéj: niémam prawa mieszać się do interessów ogólnych kraju tego.“

„I dobrześ zrobił, synu mój! stan nasz jeszcze niepewny; nietrzeba rozdrażniać ludzi obietnicą szczęścia, które może jeszcze do skutku nie dojdzie. Musi pan tych włości, hrabia Ferdynand *Sternenberg*, mieć swoje powody, dla których w swych włościach nieogłosił jeszcze zniesienia ciężarów; a znajdzie się taki, który czuwać będzie nad prawami tego biednego, znękanego ludku i bronić je potrafi. Bóg was tu zesłał umyślnie, byście mnie, schodzącemu ze świata, udzielili sposobności zrobienia jeszcze czegoś dla doczesnego szczęścia ludu, nad którego religią i moralnością czuwam od lat 40. Ja od roku całego nierozmawiałem z żadnym oświeconym człowiekiem, a mało kto wie w kraju, że umiem rozmawiać z innemi, jak wieśniakami.“

Już rozmowa zdawała się być skończoną, już zagadkowy starzec umilkł, i jak znużony, złożył ręce do modlitwy, a widząc nas niedomyślnych, rzekł: „Moi Panowie! na obiad was zaprosić niemogę, ostatnia z domu Siekierzyńskich wypróżniona, jakoś i ma się na deszcz... więc“...

— „Wielebny Ojcze, daruj!“ rzekłem zdejmując przed sędziwym pustelnikiem kapelusz „daruj; ale główny cel, dla którego tu przybyłem, jeszcze nieosiągnięty. Nie pusta mnie tu przypędziła ciekawość; ale żądza wiedzy, łatwa do pojęcia. Chciałem poznać dzieje przeszłości ludu zamieszkującego wieś tę, a lud mnie odesłał do Ciebie, jako do jedynego, któremu są znane. A potém... ale to rzecz, która się Tobie, wielebny Ojcze, będzie zdawała dziecinną; mnie wprawdzie jako badacza przyrody, jako botanika, bardzo ona zajmuje,.. prawie nieśmiem... istotnie“...

„Śmiało, mój synu! starzec tak podeszły, jak ja, bliższym jest dzieciństwa, jak Ty, w kwiecie wieku pozostający. Pytaj mnie śmiało, jakież ja mógłbym rozwiązać pytanie botaniczne?“

— „Czemu te krzewy jasnéj barwy, które tu tylko rosną, i któremi lada wietrzyk pomiata jak rozczochranemi włosami, nazywają „Włosami sieroty polskiéj?“ i jakie-to smutne dzieje przywięzują się do tego nazwiska i do mniemanéj cudowności téj rośliny?“

Na to pytanie starzec zadrżał, — a obłoki na niebie starły się z sobą i ryknęły grzmotem potrójnym. —

Starzec rzekł: „Bóg tak chce. Dobrze! Więc resztę sił zbiorę, i opowiem. Może też natrafiłem na tego, który dzieje te zachowa w pamięci i prześle je w potomność, aby służyły za przestrogę innym. — Chodźcie do mojéj chaty, — burza w powietrzu; niebawem ulewa na nas spadnie. Niebo wtórować będzie mojemu głosowi. Bóg chce, żebym raz jeszcze w życiu odkopał najgłębsze serca mego tajniki.“

4. *Sierota polska.*

„Na oba pytania Twoje jednę opowiem, mój synu, historyą, którą weź za legendę, jeżeli wiary głębszéj w me niepokładasz słowa.

Przed laty stu kilkudziesięciu wszystkie te włości na przestrzeni trzechmilowej i zamek *Tornay* należały do barona *Pulskiego*, zamożnego szlachcica z pochodzenia sławiańskiego, który miał także znaczne dobra pod Duklą, z téj i z tamtej strony gór Karpackich (*). Baron Pulski krewnym był dalekim i zagorzałym zwolennikiem Franciszka Rakocego, Xięcia siedmiogrodzkiego, i udział brał z swoimi poddanymi, jakich tylko mógł uzbroić, we wszystkich wojnach i zawichrzeniach przeciwko domowi *Habsburskiemu.* Nareszcie uległ Rakocy. W skutek pokoju w Satmarze, roku 1711 zawartego, Pulski i inni stronnicy Rakocego utrzymali

---

(*) Dukla, miasteczko dawniéj w Województwie Krakowskiém, teraz w Powiecie Jasielskim.

się przy swych posiadłościach w Węgrzech. Ale w Polsce August II kazał zabrać dobra Pulskiego, pod Duklą położone. Kiedy więc włościanie Pulskiego, którzy udział brali w wojnie przeciw Austryi, do Polski wrócić niemogli, Pulski osadził ich tu w swoich dobrach nad jeziorem *Balaton*, nazwał tę osadę „Wsią polską,“ nadał jéj różne przywileje i sprowadził z dawnych wsi swoich, pod Duklą, tyle kobiet, ile tutejszym osadnikom potrzeba było na żony. Przybyło ich nawet daleko więcéj.

Przez długi czas codziennie wzrastała i codziennie więcéj kwitnęła osada polska. Zajmowała wówczas przeszło 1,000 włók dobrego gruntu, nietylko z téj, ale i z tamtéj strony lasu. Już liczba Polaków dochodziła tutaj, jak do dziś dnia istniejące dokumenta dowodzą, do 600 głów; ale męzka linia *Tornay-Pulskich* nagle gaśnie, i młody, w całym kraju z siły i piękności słynący Hrabia niemiecki *Sternenberg* zyskuje rękę Baronównéj Zofii Pulskiéj, jedynéj dziedziczki tego pięknego majątku.

Od razu zmieniły się czasy w téj okolicy. Odsunięto od miejsc officyalistów i sług, którzy od kilku pokoleń dzielili losy Pulskich, a przyjęto na ich miejsce Niemców; zaprowadzono magistraturę niemiecką, odrzucano wszystkie prośby poddanych w innym jak niemieckim języku pisane; odebrano polskim osadnikom najlepsze grunta z tamtéj strony lasu leżące, i dano je niemieckim przybyszom; nadto jeszcze nałożono na Polaków obowiązek pomagania Niemcom podczas żniwa, i wielu innemi obarczono ich ciężarami.

Rozpacz ogarnęła walecznych potomków towarzyszy barona Władysława Pulskiego; ale ulegali z tą znaną światu cierpliwością, ciesząc się niepewną nadzieją, że czasy dobre może jeszcze kiedy wrócą. Taki stan trwał przez lat 8. Hrabia tymczasem jeździł z swą piękną żoną po wszystkich dworach Europy i zdobywał ordery i honory. Nareszcie

zdrowie Pani Hrabiniéj i kieszeń Hrabiego zapragnęły wypoczynku. Zjawiła się hrabiowska rodzina z dwom hrabiczami Leopoldem i Wilfrydem z zamku *Tornay;* wchodzi nagle w życie systemat ekonomii; rozpoczynają się redukcye w wydatkach i zwijanie posad.

Stanisław Liszka, z małéj, polskiéj szlachty, najprzód giermek orężowy ostatniego barona Pulskiego; potém jego łowczy, nareszcie nadleśniczy, nie został dotychczas przez nowego pana wyzutym z urzędu swojego, bo sprawował obowiązki swe z najchlubniejszą sumiennością.

Ożenił się lat temu trzy z najpiękniejszą panną w okolicy, z Magdaleną Urbańską, córką mamki, która wykarmiła samą panią baronową.

Śliczną była Magdalena, i hrabia gdy ją zoczył, zapłonął wściekłą żądzą. Odtąd niedola wkroczyła w dom dotychczas tak szczęśliwego Stanisława Liszki.

Cnoty Magdaleny żadne prośby, groźby i obietnice pokonać niemogły; zwinięto posadę Stanisława i wyrzucono go sromotnie wraz z żoną i dzieckiem z domu, który zajmował jako leśniczy; a to korzystając z nieobecności pani hrabiny, która tymczasem już zaniedbywana przez męża, opłakiwała swe zdeptane szczęście i reparowała nadwątlone zdrowie u wód zagranicznych. Cofnął się Stanisław na ten dziki, nieurodzajny cypel lądu, który mu kiedyś baron Pulski był podarował aktem notaryalnym na wieczną własność. Tu sobie wybudował szczupłe mieszkanie i osiadł z kilkoma krowami i kilkunastoma owcami, zawsze się ciesząc nadzieją, że gniew niesłuszny hrabiego minie, skoro przyjedzie pani hrabina, i że jakoś lepsze czasy może wrócą.

Żył sobie niezmiernie skromnie, żywiąc żonę i córkę zwierzyną, którą ubijał i rybami, które sam łowił. A że zawołanym był strzelcem; więc zwierzyna, ryby i mleko wystar-

czały przez czas niejaki, i rok czy dwa lata przeszły w oczekiwaniu lepszych czasów poczciwym ludziom.

Ale czasy jeszcze gorsze nastały. Stanisław zapadł w skutek znoju i zaziębień na zapalenie płuc i na rumatyzmy. Krowy i owce poszły na koszta leczenia, a gdy zdrowie w części wróciło, nastał rok nieurodzajny. Dał się całéj rodzinie we znaki brak niedostatecznego wyżywienia; pierzchnął rumieniec z lica pięknéj Magdaleny, a mała Jadwinia zupełnie osłabła.

Inne prawo myśliwskie weszło w użycie; zabroniono Stanisławowi polować na gruntach pana hrabiego.

Rodzina Stanisława Liszki umiéra z głodu; wszystkie zasoby zjedzone. On szlachcic, żebrać nie umié; służby żadnéj znaleść niemoże. Raz, widząc żonę i córkę do tego stopnia z głodu i wycieńczenia osłabłe, że się z łoża podnieść niemogą, Stanisław z rozpaczy chwyta za strzelbę i idzie w las. Na swym szczupłym kawałku gruntu nieznajduje i ptaszyny; zapomina się poraz piérwszy — biegnie daléj na grunt pana.

Magdalena czeka godzin kilka powrotu męża, smutne przeczucia wdzierają się tłumem w jéj serce: pasuje się z niemi przez noc całą biedna istota; mąż nieprzybywa, ani gdy ranne błysły zorze.

Ostateczne zbiera siły, opuszcza dziecko leżące jak nieżywe, bieży przez te okropne drogi aż do Wsi Polskiéj, i tam zastawia w karczmie u żyda obrączkę ślubną, dziecku swojemu zakupuje i posyła do chaty żywność, a sama posiliwszy się, wiedziona złowrogim instynktem, dąży do zamku *Tornay.*

Most spuszczony na fossę; w dziedzińcu zamkowym tłumy ludu. Pośród tłumu leży na ławie winowajców skrępowany i pod jarzma ławy ujęty Stanisław Liszka. Żona widzi, jak dwóch hajduków go bije. Za każdém spadnięciem

młoteł krew wytryska z obnażonego grzbietu jéj męża, a pan hrabia stoi nad hajdukami z harapem w ręku i karci oprawcę, z pod którego razu krew nie tryśnie.

A dwóch hrabiczów, 8 czy 9 lat liczących, stoi obok, i przypatrują się z ciekawością temu widokowi.

Cóż za szkoła dla tych młodych odrośli starożytnego rodu!

Stanisław schwytanym był w chwili, gdy unosił, z lasu pana hrabiego, zabitego przez siebie rogacza.

Magdalena rzuca się na skrwawione ciało męża, lecz chłosta nieustaje, aż do ostatniego wyznaczonego razu.

„Bądź przeklętym na wieki, mężu siostry méj mlecznéj! i niech przeklętém będzie potomstwo, które tobie życie winno!“ zawołała Magdalena, spojrzawszy w oczy okrutnego magnata, i zemdlała.

Świadkowie téj sceny zanieśli krwią zbroczonych małżonków do samotnéj chaty. W milczeniu postępowali ludzie, jak gdyby ich do grobu odprowadzali. Tu ich przyniesiono; tu na to miejsce, na którém siedzicie, i opatrzywszy ich miłosiernie w żywność, gojono rany zadane.

Mała Jadwiga,chociaż tak młoda, pojęła ból i sromotę rodziców i płakała nad niemi z rzewnością dorosłéj dziewicy. Ukoić jéj niemożna było; zanosiła się od płaczu.

Dni kilka upłynęło w niewypowiedzianych bólach, rany zadane ciału jeszcze się nie zgoiły; a nigdy się niezgoją ciosy zadane duszy.

Wtém naraz jawi się przed chatą Stanisława Liszki hrabia *Sternenberg*, na czele całéj czeredy swych łowczych, strzelców i hajduków.

Wpadają do chaty gajowi, którzy przed kilku dniami złapali szlachcica wynoszącego zwierzynę z lasu hrabiego; a

z niemi hajduk orsacki (*) i landsdragon, to jest: władza policyjna kraju. Jeden z tych ostatnich rzekł:

„Doniesiono panu hrabi *Sternenberg*, że ty, niegodny przywileju szlachectwa złodzieju leśny, Stanisławie Liszko, posiadasz jeszcze broń palną. Wzywamy cię w imieniu prawa, abyś ją wydał; bo otrzymawszy publiczną chłostę za kradzież, jesteś zawieszonym w prawie szlachectwa przez Wiceszpana, i broni posiadać niepowinieneś. Dalej, wiesz, że Wiceszpanem Komitatu (**) jest pan hrabia, i on tu osobiście czeka na wykonanie rozkazu.“

Stanisław jęknął przeraźliwie i dwa strumienie łeż puściły się z oczu jego; ale landsdragon i hajduk nie zważając na żadne jego boleści i utyskiwania, nalegali co żywo, żeby broń wydał.

„Miałem tylko jednę broń, i tę mi zabraliście w lesie“ jęknął Stanisław.

— „Kłamiesz, przebrzydły łotrze!“ krzyknie z po za okna sam pan hrabia „dalej hajduki! wyrzucić go z łóżka i z chaty, i wszystko przetrząść jak najdokładniéj!“ W mgnieniu oka wykonano rozkaz. Krwią zbroczony leśny leży na ziemi, hrabia tym widokiem niewzruszony, jeszcze krzyczy: „Przyznaj się nędzniku! gdzie masz broń?“ bierze się do kańczuga i podnosi go na człowieka pół już umarłego.

W tem Magdalena rzecze: „Nie pastw się więcéj nad umierającym, srogi panie hrabio! stój! oto jest, czego żądasz“ i wyniósłszy strzelbę z chaty, dodaje: „Oto jest, czego żądasz: strzelba i nabój!“ I nim się spostrzegli strzelcy, hajducy i landsdragon, Magdalena przykłada się do strzelby

(*) Węgierskie *orszag* (wym się: orsag) znaczy kraj, ziemia, ziemstwo.

(**) Naczelnikiem Komitatu (Hrabstwa, Powiatu) bywał w Węgrzech zwykle magnat, i zwał się po niemiecku *Ober-Gespann*. Zastępca jego nosił tytuł *Vice-Gespann*, po słowacku: Wiceszpan.

i mierzy w piersi Hrabiego. Wypala broń... cały nabój grubego śrutu wpada w serce Wiceszpana.

W téj saméj chwili wzniósł się Stanisław Liszka z ziemi, i objął żonę swoją, i oboje razem słowa do siebie niewyrzekłszy; ale jednym duchem, jedném uczuciem przejęci rzucili się z tego wzgórza w głębie *Balatonu*.

Zawarły się czarne nurty nad ich ciałami, i bąble zawrzały na powierzchni — to ich ostatni oddech.

Mała czteroletnia Jadwiga widziała, jak jéj rodzice w odmętach jeziora ginęli—i od téj chwili była sierotą. Ale cała Wieś Polska najczuléj się nią opiekowała, idąc za popędem litościwego, Sławianom wrodzonego serca, i wynagradzając córkę za to, że jéj matka ich wszystkich pomściła.

Opuścić swéj chatki niechciała jednakże Jadwiga, i kilka razy, gdy ją która z chłopek do domu wzięła i razem z swemi dziećmi wychowywać chciała, sierota pobawiwszy dni kilka w obcym domu, zatęskniła do swéj siedziby i do niéj wracała.

Ani dobrocią ani złością niemożna jéj było odzwyczaić od téj tęsknoty. Gdy jéj bardzo głód dokuczył, a nikt jéj nic nieprzyniósł do domu, wówczas pobiegla do wioski, do pierwszéj lepszéj chaty i cierpliwie czekała, dopóki jéj coś nie dano. Ale gdy jéj gospodyni coś ofiarowała pod warunkiem, żeby pozostała u niéj, wówczas smutno spuszczała głowę i głodną wolała wrócić do swego domu.

Od najwcześniejszego dzieciństwa zastanawiająco piękną była Jadwiga, i odznaczała się szczególniéj jasnemi, w przepyszne kędziory zwiniętemi włosami. Nikt tak ślicznych włosów niewidział, i ludzie stawali, gdy je zoczyli; tak coś było nadzwyczajnego w tych włosach.

Ale i w całéj istocie oczywiście władała jakaś cudowna, niepojęta siła. Gdy jéj się pytano: Czy się nie boi tam sama jedna w chacie odłączona od świata? odpowiadała

z uśmiechem na swéj lubéj twarzy i z natchnieniem w swych dużych modrych oczach: „Ojciec i matka zawsze są ze mną, i czuwają, gdy ja śpię. Ah! nic mi się złego stać niemoże.“

I tak wzrastała Jadwiga, idąc za własną fantazyą, i ludzie, gdy się przekonali, że nic pokonać niezdoła jéj woli, już z nią nie walczyli, już jéj się niesprzeciwiali, lecz gdzie mogli, jéj służyli.

Tak wzrastała Jadwiga pędząc samotne dni w swéj chatce, w lasach lub na łąkach. Najmilszém jéj zatrudnieniem było zbierać i suszyć uzdrawiające zioła, zawsze ich zasób miała wielki w swéj chatce, a ledwo kto w wiosce zachorował, ona już pomoc mu niosła skuteczną. Wszystkich nadzwyczaj zadziwiała ta znajomość przyrody roślin, w tak młodéj, ledwo do 8 lat wzrosłéj dziewczynie, i nieraz się jéj pytano: Kto ją nauczył tego? Rzadko odpowiadała na to pytanie, ale nigdy inszemi słowami jak: „moja mama tego mnie uczy, przechadzając się ze mną po borach i górach.“

Nigdy się niebawiła, zawsze jakaś smętność rozlana była na jéj miłéj i szlachetnéj twarzy; a często pogrążona w myślach, siedziała nieporuszona.

W kościele Jadwiga wszystkich budowała swą pobożnością i nic nigdy niezapomniała z kazania. Powtórzyć je mogła od początku aż do końca, a dzieci inne uczyła pacierza.

Kochał ją zacny kapłan téj gminy, i nieraz namawiał, żeby z nim pozostała na probostwie; ale o tém ani słyszéć niechciała sierota; tęskniła do swych zmarłych rodziców.

W takim torze myśli i działań wzrastała Jadwiga, aż nareszcie wszyscy uwierzyli w wyższość przyrody tego cudownego dziecka, i spotykali ją z coraz wzrastającém uszanowaniem. U ludzi zabobonnych uszanowanie to graniczyło z jakimś rodzajem przestrachu, i baśnie się rozniosły po okolicy, że Jadwiga jest czarownicą, mającą styczność z duchami; że ją widziano chodzącą po nurtach jeziora, w których

zginęli jéj rodzice; że duch z niéj ulatuje często z ciała, i godzinami całemi bawi niewiadomo czy w niebie, czy w piekle.

Mogła dać powód do tych baśni Jadwiga, bo istotnie godzinumi całemi pozostawała nieraz w rodzaju zachwycenia, jakby kataleptycznego, i samu siebie, jedynie natężeniem woli, umiała wprawić w stan magnetyczny a nawet jasno-widzenia, w którym nie raz, lecz (według słów do dziś dnia istniejących, a spisanych wówczas przez proboszcza Urbańskiego) razy z 50 przepowiedziała coś, co nastąpiło, wykryła zgubę lub kradzież, i wynalazła stósowne lekarstwo na chorobę opierającą się dotychczas sztuce lekarskiéj.

W krótce téż tak się rozeszła po całéj okolicy sława cudowności Jadwigi, że ludzie z bardzo daleka, nawet z Belehradu *(Stuhlweissenburg)* przybywali, prosić ją o radę i przynosili hojne prezenta i datki.

Tak w coraz większém odosóbnieniu od świata „gieniusz *Balatonu,*“ bo tak ją nazwano, wzrastał i dojrzał do panieństwa, a piękność jego w całym swym rozwoju tak była świetniejącą, że z bardzo daleka ludzie przybywali pod pozorem leczenia się; ale tylko, by podziwiać uroki, nigdy wprzódy niewidziane.

Włosy miała jasne, jak len, spadające aż na ziemię i naturalnemi zdobne kędziorami, kibić wysoką i wysmukłą, oczy barwy niezapominajka, a cérę tak świetną, jak gieniusz niebieski.

Niewiedziała Jadwiga, że tak jest piękną, i smutne dni przepędzała w swéj chatce; najczęściéj ją spotykano tu nad tą przepaścią, w któréj nurtach zginęli jéj rodzice, jéj włosy wpadały aż na źwierciadło jeziora, gdy ona nachylona, zdawała się rozmawiać z duchem matki i ojca.

Tak ubiegło lat 13 od chwili śmierci hrabiego *Sternenberga* i rodziców Jadwigi. Hrabina także już od lat kilku

była w grobie, a dwaj młodzi Hrabiowie, ukończywszy szkoły szlacheckie w Wiedniu, osiedli tu na zamku *Tornay* i zaczęli gospodarować po swojemu. Starszy z braci, Leopold, odznaczał się skąpstwem i chciwością, i postrachem był włościan płacących daniny i pracujących na pana. Przeciwnie Wilfryd, młodszy z braci, nie szczędził pieniędzy na bankiety, rozpusty i na łowy; silny jak lew, namiętnym był jak satyr, i pewno niemyślał o powściągnieniu swych chuci; lecz owszem rozkiełznał je w ten sposób, że rodzice, mężowie, bracia pięknych kobiet, truchleli na wspomnienie samego nazwiska Wilfryda *Sternenberga*, a same kobiety mdlały. Feodalne *jus primae noctis* młody Hrabia na przestrzeni wszystkich dóbr *Sternenberskich*, wykonywał osobiście z najściślejszą skrupulatnością. Każda poddanka, rozwijać się zaczynająca, musiała pójść do zamku dla przędzenia i szycia. i tam odbyć rodzaj nowicyatu; często po kilkanaście takich żyło w zamku dziewczyn, na zasadzie przywileju feodalnego; nie licząc w to guwernantek z najrozmaitszych krańców świata.

Na raz dowiaduje się Wilfryd o cudownéj piękności Jadwigi, sieroty po owéj kobiecie, która zastrzeliła jego ojca; a zarazem słyszy także o czci, jaką w całéj okolicy oddają téj młodéj dziewczynie, zapewniają go, że wszyscy mieszkańcy Wsi Polskiéj gotowi jéj bronić do ostatniéj kropli krwi swojéj.

Trudności jeszcze bardziéj zaostrzają żądze Wilfryda.

Jednéj niedzieli jedzie z czeredą swoją do kościoła Polskiéj Wsi, pewny, że w nim zastanie Jadwigę. Nie; niebyło jéj w kościele, po raz pierwszy może.

„To tém lepiej: zostawmy tu chłopów w kościele, a jedźmy złożyć pięknéj wróżce wizytę na jéj własnym gruncie“ rzecze Wilfryd, i na czele swych strzelców i hajduków,

puszcza się, jak szalony, konno po grzbiecie tego przepadzistego przyborza, do skały biednéj sieroty.

Dziwna rzecz! jakieś smutne przeczucia natchnęły duszę Jadwigi od samego poranka. Cała ubrana w bieli, chce się udać do kościoła; lecz gdy zatętniał głos sygnaturki, siły ją opuszczają; pada na miejscu, z którego jéj rodzice wstąpili niegdyś do tego mokrego grobu, wpada w jakiś stan zachwycenia, jéj włosy rozplatają się i otulają ją, jak gdyby płaszczem. Nadbiega w téj chwili Hrabia z swą czeredą.

Tak cudownéj piękności niespodziewał się znaleść Wilfryd na tym świecie. Zsiada z konia i na palcach, pełen uszanowania, zbliża się do dziewicy, któréj oczy w zachwyceniu patrzą w niebo. On się lęka, żeby to niebyło uludzeniem; żeby ta prześliczna postać nierozpłynęła się w eterach powietrza, skoro do niéj dostąpi.

Wilfryd stoi tuż obok Jadwigi, słyszy jéj oddech, — widzi, jak się jéj pierś panieńska podnosi od mimowolnego westchnienia. Nigdy w swém życiu podobnéj niewidział piękności; nie doznawał tak szczerych uczuć uwielbienia dla żadnéj kobiety, jak dla téj anielskiéj dziewicy. Ale to niewyłącza z serca Wilfryda namiętnéj żądzy: gdy długo się przypatrzył Jadwidze, pochwycił za pukle jéj włosów i poniósł je do ust swoich, całuje je, pożéra całusami.

Ocknęła się dziewica z swego osłupienia i zapłonęła się cała, gdy Wilfryda i całą jego czeredę zoczyła tak blisko siebie.

„Słuchaj dziewico!“ błaga Wilfryd „po pierwszy raz Cię w życiu widzę; ale słyszałem o Tobie wiele. Czuję to w głębi serca mojego, że Ciebie kochać będę aż do grobu! Kobiéto anielska! panuj siłą Twéj piękności, panuj nad wszystkiém, co jest moje, i nademną samym!“

Jadwiga, jak na pół ocknięta, podnosi palec do ust i rzecze: „Cicho! cicho! Ty widziałeś na dziedzińcu zamkowym,

12

jak ich bito, jak rózgami sieczono siostrę mleczną Twojéj matki; widziałeś, jak krew z nich tryskała, — i bawiło Cię to, śmiałeś się z radości, nieprawdaż?“ —

— „Ach! daj pokój umarłym, Jadwigo! Czyż się niezemściła srogo Twoja matka za czyn ojca mojego? Czy niechcesz rozumieć, co Ci ofiaruję? Ja Hrabia Wilfryd *Sternenberg*, magnat węgierski, pan tych włości, *rękę* Ci moją ofiaruję: będziesz *żoną* moją, będziesz panią moją! przysięgam na honor szlachecki!“ zawołał Wilfryd.

A Jadwiga nachyliła ucho swoje do przepaści, i zdawało się, że głosu jakiegoś cichy szmer do niéj dochodził, a potém obróciwszy anielskie swe oblicze do Wilfryda, rzekła: „Nie! *oni* niechcą, żeby się łączyli prześladowani z prześladowcami. Nie! *oni* jeszcze niedarowali winy; boście nie okazali chęci poprawy: potomkowie złego człowieka, w złém wzrośli! *Oni* każą — żebyś poszedł precz ztąd, Hrabio Wilfrydzie!“

Zerwał się z kolan Hrabia *Sternenberg*, i gniew błysnął na jego wyrazistéj, chociaż młodéj i nadzwyczaj pięknéj twarzy. Ale jedno spojrzenie anielskiego oblicza Jadwigi znów go rozbraja, gniew jego zupełnie uśmierza. Ukląkł i znowu pocałowawszy włosy dziewicy rzekł: „Ach! Ty jesteś cudném dzieckiem, Jadwigo! i czuję, że Ty *jedna* mogłabyś mnie *odwieść* od dzikiego życia, które dotąd prowadziłem. Ale, mój słodki aniele! Ty będziesz *żoną* moją! Ty, pójdziesz zemną *do zamku* zaraz tu z tąd prosto, i opuścisz to miejsce zgrozy i tylu smutnych scen i widowni na zawsze!“

Wilfryd objął jedną ręką cudne włosy Jadwigi, a drugą jéj wysmukłą kibić. Jadwiga zemdloną źrzenicą spojrzała w bystre oczy Wilfryda, i anielskiém uśmiechnęła się obliczem, a potém rzekła śrebrnym swym głosem: „Ach! ja niemogę pójść z Tobą, Wilfrydzie: *oni* mnie wołają do siebie.

Ale kochać Cię będę, mój narzeczony, i czuwać nad Tobą, za to, żeś pokochał biedną sierotę i chciał ją zaślubić.“

Usta pustelnika, gdy wymawiał te słowa, zadrgały; z starych oczu puściły się łzy jak groch, a silne wzruszenie miotało całém jego ciałem.

„Wystawcie sobie, moi przyjaciele,“ mówił daléj drżącym głosem pustelnik „Jadwiga nachyliła się do oblicza klęczącego Wilfryda i pocałowała jego usta. Jakieś dziwne, błogie uczucie zadzwoniło w uszy Wilfryda i tak go owładło, że przez chwilę niewiedział, co się dzieje na około... A gdy wrócił do siebie, ujrzał, ach zgrozo!... widział na swe oczy, jak Jadwiga uśmiechając się do niego i ręce wyciągając.... niknęła w nurtach tego jeziora.... widział, jak ją dwa białe cienie w odmęty wciągały, i jak bąble na powierzchni dowiodły, że ona w odmętach żyć przestała. Wszyscy to widzieli: czereda hajduków tu na wzgórzu, i rybacy w łodziach na jeziorze, powracający z kościoła.

A w ręku Wilfryda pozostał ogromny pęk jasnych włosów Jadwigi. Lecz gdy je ucałował młody hrabia, wiatr powstał ogromny, wyrwał mu pukle i rozsiał je po całém tém wzgórzu; — o tu — jak je widzim — i te włosy sieroty dotychczas tu pozostały i już wiecznie pozostaną; bo się przemieniły w tę pierzastą trawkę tak piękną i miłą, i tak cudowną, że ją lud tutejszy szanuje, jak świętość, a dziewice do jéj posiadania przywiązują niesłychaną wartość.“

„A co wszystko się stało w oczach ze stu świadków, którzy wszyscy upadli na kolana, i modły wznosili do Boga za duszę Jadwigi, a wszystko jest prawdą tak cudowną i pewną, jak to, że granic niéma w przestrzeniach wszechświata.“

„Otóż, mój synu polski, otóż i koniec. Teraz wiész, kiedy tu przybyli Twoi rodacy i dla czego tu osiedli. Wiész, zkąd powstało nazwisko „Włosów sieroty polskiéj.“

Stary pustelnik skończył, ukląkł przed krzyżami i drżące ręce złożył do modlitwy.

I my uklękli i modlili się za duszę Jadwigi, sieroty polskiéj, na têm szczupłém miejscu, na którém czworo ludzi wyzionęło ducha.

5. *Hrabia Pustelnik.*

„A hrabia Wilfryd? mój wielebny Ojcze.“

— „Hrabia Wilfryd, mój synu, wypuścił starszemu bratu Leopoldowi dobra swoje na lat 30 za marne pieniądze, i zabrawszy, co mógł, pieniędzy, poszedł do Rzymu, gdzie wstąpił do klasztoru, i wyświęcił się po odbyciu pięcioletnich studyów na xiędza missyonarza; późniéj zaś puścił się do ziemi świętéj, a ztąd w świat daleki i nawet podobno do środkowéj Afryki, dla opowiadania ewangelii. Mówią, że tam gdzieś zginął daleko ztąd.

Znów umilkł starzec i zoczywszy, że się wypogodziło niebo, powiedział, niby nawiasem, że już późno — i oczekiwał naszego odejścia.

I ja też zaspokoiwszy ciekawość, pożegnać chciałem pustelnika; ale doktor *Karvaly* nie podnosił się, i coś dziwnie bystre i badawcze spojrzenia wlepia w starca, i wygląda jak człowiek, który coś ważnego odgadł, a jeszcze w odkryciu swoje wierzyć nie śmie. Nareszcie mój towarzysz rzecze patetycznym głosem: „Jaka-to szkoda, mój wielebny Ojcze! że ta biedna kraina tak mało skorzystała z cudownego nawrócenia Hrabi Wilfryda. Jaka-to szkoda, że go dziś tu niéma, kiedy jego synowiec Hrabia Ferdynand *Sternenberg*, pan losu tych ludzi, nieprzestaje ciemiężyć swych poddanych nawet po zniesieniu przez monarchę ciężarów, dotychczas ich gnębiących! Chciwy-to i skąpy pan ten dzisiejszy Hrabia, żyje jak pająk w swym zamku i nieda nigdy ani sąsiadowi gościnności, ani ubogiemu jałmużny. A dla kogo

tak zbiéra? przecież z sobą nic nie zabierze do grobu swego, niezabierze grosza wyciśniętego z potu biednych włościan. Gromadzi pieniądz dla jedynego dziecka, dla ostatniego potomka *Sternenbergów*, dla córki wychowującéj się we Włoszech. Dziwném losu zrządzeniem, jeden młody baron Pulski, potomek odległy rodziny dawniéj tu panującéj, pokochał się w bogatéj dziedziczce *Sternenbergów*; panna mu sprzyja, ale dumni rodzice niechcą słyszeć o baronie Pulskim dla tego, że nie jest majętnym i że z słowackiego pochodzi rodu. Ja ręczę, że wkrótce wszystko przybrałoby inną postać, gdyby Hrabia Wilfryd *Sternenberg* wrócił. Hrabia Ferdynand musiałby natychmiast, jeszcze przed żniwem, ogłosić edykt cesarski znoszący robocizny i daniny, musiałby odbudować kościół i przywrócić proboszcza, i zapewne dałby się nakłonić przez swojego stryja do oddania Pulskiemu, co od Pulskich pochodzi. Wówczas insze natychmiast nastałyby czasy, i biedna Wieś Polska jeszczeby raz zakwitła nad jeziorem *Balaton*, a pamięć »Sieroty polskiéj« godnieby uczczoną została.«

Z nadzwyczajnym zapałem przemawiał doktor *Karvaly*, patrząc się w oczy sędziwego starca, a te stare oczy znów zaszły łzami, i na blade i zwiędłe lica wystąpił rumieniec. Starzec chciał wstać, chciał coś przemówić, chciał przynajmniéj ręce podnieść; ale się zatrzymał. Widać, że jakieś przystąpiło rozumowanie i sparaliżowało wolą jego.

»Wielebny Ojcze!« rzecze znów nieubłagany doktor »garbaci ludzie są istotnie bardzo domyślnemi, nic nie ujdzie bystrości ich oka, umią odkryć magnata pod szatą pustelnika.“ A nieodbierając żadnéj odpowiedzi, przemówi wzruszonym głosem: »Panie Hrabio Wilfrydzie *von Sternenberg!* wzywam Cię w imieniu Boga i ludzkości, nim spoczniesz pod skrzydłami błogosławionéj Jadwigi, narzeczonéj Twojéj, tu w tym grobie własną ręką wykopanym, wróć jeszcze raz na świat,

i zrób coś dla doczesnego szczęścia pobożnego ludu, który Cię od lat 40 wielbi jak świętego. Może Bóg umyślnie przedłużył Ci, Hrabio, życie po za zakres zwyczajny, żebyś doczekał obecnych czasów i wywarł w nich wpływ zbawienny na dawnych poddanych Twoich. Oszczędź tym biednym ludziom i jedną kroplę znoju, i to już wielka zasługa przed tronem ostatniego Sędziego!« — —

Tak jest. Ten pustelnik lat sto kilka liczący, był hrabią Wilfrydem *Sternenberg*, i on dał się nakłonić przez nas do wystąpienia jeszcze raz na widownię świata jako magnat węgierski.

Lepsze czasy wróciły. *Lengyel-Falu* zakwitł na nowo; — ale stary pustelnik już w grobie.

SKARBY ZAKLĘTE.

Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mór psuje i gdzie złodzieje wykopują i kradną. Ale skarbcie sobie skarby w niebie, gdzie ani rdza, ani mól nie psuje, ani złodzieje nie wykopują, ani kradną. Albowiem, gdzie jest skarb twój, tam jest i serce twoje.
(u Mateusza roz. VI, w. 19. 20. 21).

STEFANOWI BUSZCZYŃSKIEMU

POŚWIĘCA

Adam Plug.

»Gmin baśnie prawi; bo gmin stare dziecię.
Gmin baśniom wierzy; bo mu przesąd wiarą.«
Tak prawią mędrcy wzgardliwie; a przecie
Ileż to baśni mieści *prawdę* starą?
Podania gminu niby Sfinxy stoją,
Hieroglifami dokoła okryte,
Co nieraz dziwną symboliką swoją
Głoszą przedwieczne *prawdy* znakomite.
Umiejmy *czytać*, a wiele tych baśni,
Wiele z pozoru dziwacznych tych znaków
Iskrą mądrości dla nas się rozjaśni,
Co z niebios zbiegła do serca prostaków.

Ileż-to krąży śród gminu powieści,
Bajd czarodziejskich *o skarbach zaklętych?!*
W nich leży symbol *prawd* wzniosłych i świętych,
A świat je w rzędzie dzikich bredni mieści!
Skarby zaklęte: tam w mrocznéj pieczarze,
Śród głuchéj puszczy stoją beczki złota;
Tam się na stepie stos ognisty żarzy;
Siny płomyczek nad bagnem migota.
Owdzie ponure zamczysko w ruinie,
Pod niém podziemia z żelaznemi wroty,
W podziemiach kotły i dębowe skrzynie,
W kotłach i skrzyniach złoto i klejnoty.
Z ust do ust wieść się w okolicy szerzy,
Wiedzą ludziska, gdzie skarby się kryją;
Lecz dotąd ręką nie tknięte niczyją;
Bo *pod zaklęciem*, bo *piekło* ich strzeże.
Bo owdzie *zbójcy* rękoma krwawemi
Znieśli te skarby z mordu i łupieży;
Te znowu zlane łzami *siérocemi*,
Na onych krzywda *sług i kmieci* leży.
Owdzie się znajdzie i praca gorliwa,
Owoc zabiegów całego żywota;
Ale i *nad tém* gniew Boży spoczywa —
Przeklęte złoto zbierane *dla złota!*
Ich posiadacze, żyjąc tu na ziemi,
Diabłu swą nędzną duszę zaprzedali,
Co dzisiaj sinym płomieniem się pali,
Z diabłem czuwając nad bogactwy swemi.
Więc choć do skarbów tych *wiadoma* droga,
Ktoby tam zechciał z złym duchem wieść boje?...
Byli odważni i brali jak swoje;
Lecz jakoś straszno kusić Pana Boga!
Choć czarta zmoże znamię krzyża święte,

Zdobycz nie zawsze zdobywcę zbogaci;
Nie raz i mienie i duszę zatraci,
Bo *klątwę* wiodą te skarby zaklęte,

Tak lud nam prawi, tak wierzy w prostocie.
Baśniąż-to marną, przesądem nazwiecie?
Wszakże i dzisiaj na szerokim świecie
Skarbów zaklętych spotykamy krocie.
I dziś nie jeden złą chucią wiedziony,
W czarną godzinę wbiegłszy na rozdroże,
Zdarł z nędznéj duszy święte znamię Boże,
By za *grosz* marny dać ją diabłu w szpony.
I gdy mu sercem brudna chciwość miota,
Gdy nie dość skarbów, co znoszą złe duchy
Zdrady i krzywdy, — w piekielne łańcuchy
Żonę i *dziécię* zakuje dla złota.
I nie trza zwalisk, ni ciemnych podziemi,
Ani szatana, co straszy w noc czarną:
Zaklęte skarby będą zaklętemi,
Choć tam dzień jasny i ludno i gwarno.
I *biada,* kto ich dotknąć się ośmieli!
Już tam grosz każdy *klątwa* Boża gniecie,
I choć-by *wyszedł* z worka krzywdziciela,
Łzy pokrzywdzonych pójdą z nim po świecie.
Serce zastyga, wskróś zgrozą przejęte,
Usta niemieją na on widok srogi
Klęsk tych, jakiemi znaczą swoje drogi —
Nieprawe zbiory, te *skarby zaklęte!*
Ale nie każdy wziął z nieba dar cudny
Jasnowidzenia śród ziemskich zamroczy;
Nie jeden olsnął patrząc w blask ułudny,
Aż anioł *śmierci* otworzył mu oczy.

* * *

Znałem ja człeka, co ziemskie okowy
Raz już złożywszy, duszą *z po za świata*
Widział blask owy i słyszał głos owy,
Co w niebo z *skarbów zaklętych* ulata.
Bóg mu w cudownêm miłosierdziu swojém
Dał *wznowić* życia przerwane koleje,
I obmyć duszę łez pokutnych zdrojem
I skarb *on* zebrać, który nie rdzawieje.
Jego-to powieść powtórzę przed Wami.
Czyliż ją przejmę żalem jego duszy
I owym jękiem bolesnym i łzami?
Czyliż Wam serce rozrzewni i wzruszy?...

Więc tak mi powiadał: »W dostatkach zrodzony,
W dostatkach chowany, po śmierci rodzica,
Gdym z braćmi rozdzielił dziedziczne miliony,
Zostałem zaledwie z fortunką szlachcica.
Nie szczupły był kąsek; bez trudu i troski
Wiek cały-by przeżył nie jeden z tém mieniem;
Lecz dręczył mi duszę błyskotnem wspomniemiem
On niegdyś tak świetny majątek ojcowski.
Więc daléj w zabiegi i marne rachuby:
Wnet jarzmo na kmieci, a zamki na zbiory,
A sługom zła odzież, chleb czarny i gruby,
I licha zapłata, i pański gniew skory.
Już darmo *biédactwo* do wrót mi kołata,
Daremnie już płacze *siérota* i *wdowa,*
Już niczem mi skarga i *siostry* i *brata!*
»Pracujcie! pracujcie!« odpowiedź gotowa,
»I sam ja człek biedny, mam dzieci i żonę,
»I nocy nie dośpię, i kęsa nie dojem,
»I świata nie widzę za ciągłym tym znojem,
»I w ciężkim mozole gdzieś ducha wyzionę.«

A złoto płynęło do skrzyni potokiem,
I serce mi rosło w roskoszy i dumie!
Da sobie człek radę na świecie szerokim,
Gdy pracy nie skąpi, oszczędnym być umié.
Jam *pracy* nie skąpił, lud gnębiąc ubogi,
A byłem *oszczędny*, gdym wyszczuł żebraki;
I *pracą*-to było, gdym sypał batogi,
Szczędziłem, z zapłaty sług grabiąc grosz jaki.

I rosły me zbiory i sława u świata; —
Że kmieć tam złorzeczy, że sługa się żali,
Któż słucha, co podła hołota wyplata?
A sąsiad coś szemrze — to zawiść go pali.
Bo gdy mi tak wszystko wciąż idzie szczęśliwie,
Gdy niebios nademną widoma opieka;
To pewno przed Bogiem sumieniem nie krzywię,
I bluźni, kto na mnie po psiemu tam szczeka.
Wszak widzą to ludzie, jak nieraz w kościele,
Na klęczki rzucony, w pierś tłukę ze skruchą,
Jak często i krzyżem na ziemi się ścielę,
A nigdy z źrzenicą nie modlę się suchą.
Wszak wiedzą domowi, jak ważne mi posty,
Jak stoję od zbytku pokarmu na straży;
Jak święcę dni święte, jak u mnie lud prosty
Próżniactwem niedzieli żadnéj nie znieważy.
Lecz na tém nie koniec: uderzcie mi *czołem!*
Niech sława ma z wieku do wieku zasłynie!
Ja wdzięczny ku Bogu wspaniałą świątynię
W rodzinnem swém gnieździe w obłoki dźwignąłem.

I żyłem pół wieku z spokojném sumieniem,
Ufając, że Bóg mi da jeszcze lat tyle;

Lecz przyszła choroba i gasną me chwile!...
Żal *życia!* lecz Bożych wyroków nie zmieniem!
I kapłan wnet przybiegł ze słowem pociechy,
I słuchał spowiedzi całego żywota,
I kazał za grzechy żałować.... mnie *złota.*
Mnie *życia* żal było!... gdzież były me grzechy?
Jam w pracy, modlitwie i poście dni trawił,
I skarbów nie trwonił zdarzonych od Boga.
Jam Bogu świątynię wspaniałą wystawił;
Więc prosta już teraz do nieba mi droga.
Spokojne sumienie; lecz *życia* mi szkoda!
Syn, dziedzic imienia i włości, *dziecina!*
Com zbierał tak skrzętnie, w zagubę on poda:
Toż nie dziw, że gorzkie łzy z oczu mi płyną!

Lecz darmo! płacz duszy nie wstrzyma na ziemi.
Śmierć bliska; więc spieszmy, niech wola ostatnia
Rozrządzi w myśl prawa skarbami mojemi:
Niech podłych processów nie grozi im matnia.
Więc w ścisłe ustawy fortuna ujęta,
Grosz każdy najskrzętniej zliczony, spisany;
A duszy mej strzegą pobożne kapłany,
Gromnica, oleje i hostya święta!

I zmarłem pobożnie śród bogactw i sławy,
A zgon mój, jak życie, *cnym wzorem* jaśnieje.
Snać Bogu me cnoty pięknemi się zdały,
Gdy dał mi *tak* skończyć doczesne koleje.
Więc żona i dzieci, bez płaczu i jęku,
Z pobożną pociechą śmierć moję widzieli;
Bo im się zdawało, że święci anieli
Do niebios mą duszę zaniosą na ręku.

I *jabym* tak mniemał..... *Inaczéj się stało!*
Zaledwie świat zniknął przed martwą źrzenicą,
Duch stanął przed *sądu* strasznego stolicą,
I ujrzał Chrystusa i z mocą i z chwałą.
On, w swego męczeństwa szkarłaty odziany,
Pod świętym stał krzyżem w cierniowéj koronie,
I trzcinę za berło w skrwawionéj miał dłonie,
I łono i stopy skrwawione przez rany.
Lecz *krzyż on* przez niebios bezbrzeżne przestworza
Ogniste, promienne rozstrzelił ramiona,
Blask rajski rozlewa *cierniowa korona,*
Promieńmi rajskiemi wytryska *krew boża,*
I ogniem cudownym jaśnieją *szkarłaty,*
I *trzcina* promieniem błyskawic się żarzy;
A na jéj skinienie aniołów drżą światy
I rzesze niebieskie padają na twarze.
Więc duch mój padł na twarz w nadziemskiéj pokorze,
Wskróś trwogą trwóg wszystkich przejęty;
I jako wód wiela szumiące odmęty,
Po niebie zabrzmiały święte słowa Boże;
I padły na duszę, jak łkanie sieroce,
Jak rzewne łzy wdowy, co krzywdy swéj płacze,
Jak prośba daremna i jęki żebracze,
Jak głosy złorzeczeń ofiary przemocy.

»Pod wroty twojemi zgłodniały, spragniony
»Ja płaczę i jęczę, i modlę: tyś *głuchy,*
»Ni marnéj ze stoła nie rzucisz okruchy,
»Ni wody kropelki na język spalony!
»Ja zziębły, przemokły do drzwi twych kołacę,
»Wzywając gościny śród słotnéj zawiei;
»U ciebie złocone, przestronne pałace,
»Lecz komin ich ciepły nędzarza *nie grzeje!*

»Ja ledwie przykryty lichemi łachmany,
»Kostnieję na chłodzie i marnie już ginę;
»Twój rumak w tygrysie opony przybrany,
»A dla mnie cię *nie stać* na lichą płachcinę!
»Ja, w pęta zakuty, łzy leję w rozpaczy,
»Ty słówkiem pociechy *nie wesprzesz* méj duszy;
»Mnie w ciężkiéj niemocy ból łamie i kruszy,
»Lecz moje cierpienie *nic* dla cię *nie znaczy!*«

— »O Panie mój, Panie!« wyjęknę zdumiony,
»Jam Ciebie nie widział w więzieniu, w chorobie;
»Pokarmu, napoju nie mogłem dać Tobie,
»Ni szaty, ni w domu gościnnéj ochrony.«

Więc znowu Zbawiciel: »Ilekroć z twych braci
»*Najmniejszym* wzgardziłeś w dotkliwéj potrzebie,
»*Mną samym* wzgardziłeś; bo w *jego* postaci
»Z modlitwą i płaczem *Ja* byłem u ciebie!«

Więc znowu wyjęknę: »O! Panie mój, Panie!
»Jam w pracy, modlitwie i poście dni trawił;
»Jam Tobie wspaniałą świątynię wystawił:
»Czyż tego na okup méj winy nie stanie?!«

W tém przy mnie stojący mój anioł stróż święty,
I smutny, i łzawy, i z głową zwieszoną,
Zadźwięczy w głos rzewny, litością przejęty;
Bo *skargą* on dla mnie, co miał być *obroną!*
»Nie doszły twe modły i łzy twe do nieba,
»Rozwiały gdzieś wiatry dźwięk marny i pusty;
»Płakałeś *oczyma*, modliłeś się *usty*,
»A Bogu *serdecznéj* ofiary potrzeba;
»Więc liczba ich stoi, gdzie czas twój *próżniaczy*.

»A posty? cóż po nich? choć jednąż nieprawą
»Zabiłeś *chuć* w sobie tą postną twą strawą,
»Jaką się kmieć nawet w dni godów nie raczy?
»A twoja świątynia, a praca twa szczera?
»Patrz, biedny! i słuchaj, co ztamtąd dolata!
»Niech dusza twa plony zasiane wyzbiera,
»*To* dla niéj za cnoty i zbrodnie zapłata!«

A Chrystus, z boleścią Golgockiéj męczarni,
Promienném swem berłem znak skreśli w przestrzeni,
I nagle się widok przedemną odmieni,
I zgroza nad zgrozy mą duszę ogarnie.
Sam jeden w bezbrzeżnéj błękitów krainie
Duch zawisł; już znikły promienne niebiosy;
Natomiast świat ziemski przed oczy mi płynie,
A odeń i błyski i gromy i głosy.
I cały mój żywot, od pierwszéj méj myśli,
Od czynu pierwszego do chwili skonania,
W jedynym obrazie straszliwym się kréśli,
Czas, przestrzeń, we *mgnienie,* w *punkt* jeden pochłania.

O! straszny-to obraz! ziemskiemi oczyma
Nie ujrzeć téj zgrozy — olśnęłyby one!
I słuchem nie słyszéć; bo słuch nie wytrzyma!
I sercem nie pojąć, bo pęknie zgniecione!...
Jam *widział* i *słyszał!...* Złe myśli, złe czyny,
To snopy płomieni, błyskawic-to żmije!
A każda łza z mojéj wylana przyczyny,
Jak morze ryczące ku niebu wciąż bije!
A każde westchnienie grzmi burzą szaloną!
Przeklęstwo — piorunów rozlega się rykiem!
A zbiory me wszędy *sinawym płomykiem,*
Jak *skarby zaklęte,* migocą i płoną!

I dworzec mój cały, i ogród zielony,
I brogi, i srebra, i szaty i sprzęty!
Na *wszystkiém* ów siny płomyczek zatlony:
Na *żonę* i *dzieci* skarb zlał go zaklęty!
I widzę, jak każdy *grosz* wzięty z méj skrzyni,
By *dżumę* po świecie roznosi go z sobą!
Jak w *serca* się wciska i jadem w nich płynie,
I *duszę* zaraża śmiertelną chorobą.
Bo w groszu, gdzie błyszczą te sine płomienie,
Tam *krzywda* się ludzka przepala w gniew Boży;
Więc w zbiory *najczystsze*, wprowadza zniszczenie,
Więc nawet i w ręku *niewinnych* nie sporzy!

A płomień ten gorzał, i w ogniów tych łunie
Co cielsku mojemu do grobu świeciły,
I w ćwiekach i w klamrach złocistych przy trumnie,
Szedł, lampą piekielną tleć w głębi mogiły!
I palił mą duszę, co z górnéj otchłani
Ze zgrozą patrzała na przepych pogrzebu,
Na który anieli, od Boga wysłani,
Nic przynieść nie mogli na okup jéj niebu!

Powodzią jasności tam świateł miliony
Zalały wzdłuż drogę, przybraną w makaty;
A po niéj, czarnemi okryte opony,
Rumaki ciągnęły karawan bogaty.
I z pieniem żałobném szedł xięży rzęd długi,
Szły bractwa, dźwigając chorągwie i krzyże,
I tłumy gawiedzi, i pańskie szły cugi,
I moja rodzina w ponurym szła kirze.
I dzwony wciąż biły na lament grobowy,
I płaczem rzewliwym jęczała muzyka,
I mowcy, nie szczędząc kwiecistéj wymowy,
Głosili mniemane cnoty nieboszczyka.

Lecz wszystko to wicher rozmiatał po ziemi,
I mieszał w gwar jakiś ponury i dziki,
A w niebo szły ztamtąd *z płomieńmi sinemi*
Łzy tylko skrzywdzonych, *złorzeczeń* wykrzyki.
I ledwie niekiedy, śród groźnéj téj wrzawy,
Głos zabrzmiał uroczy i słodki i błogi,
Głos szczeréj *modlitwy* i rzewny i łzawy:
I ledwie gdzieniegdzie śród owéj pożogi
Zabłysło *światełko* skrą czystą i jasną,
Jak gwiazdka, jak cudne anioła spojrzenie!
Te głosy nie głuchną, *te* iskry nie gasną,
I dźwięczne, promienne mkną w niebios przestrzenie.
To echo, *to* odblask dni moich przedświtu:
Jakiegoś tam sługi przed ojcem *obrona*,
Przysmaczek, *zabawka* w jałmużnie stracona;
To chwilka rzewnego, czystego zachwytu:
Chęć jakaś szlachetna, *myśl* zacna.... i dziwy!
I *toż* mi zasługą, o Panie nad Pany!
Ten *kosztur* ślepemu starcowi podany,
Gdy mu go wytrącił z rąk psotnik złośliwy?
Toż *większą* zasługą te błahe ofiary,
Nad modły i posty, i ową świątynię?
Toż jedno »*Bóg zapłać*,« co wyrzekł dziad stary,
Ważniejsze nad chmury, co dźwięczą tam ninie?....

O Boże! cóż znowu za rajskie widziadła?!....
Tam drogą ode wsi w cmentarne ustronie
Trzech ludzi pospiesza; niewiasta wybladła
Łka jękiem rzewliwym i łamie swe dłonie,
I modli się skargą serdeczną i płaczem.
Mąż przy niéj pod srogiem brzemieniem się zgina
Trumienka na plecach, w trumience — dziecina;
Przed nimi dziad z krzyżem.... *Tak* w życiu *biedaczém!*

Lecz w niebo *blask* od nich promienną mknie smugą,
I *rajskie* brzmią pieśni, i *rajska* woń płynie;
Bo święci *anieli* z braterską posługą
Już krążą gromadką przy *biednéj rodzinie.*
Więc z *ojcem* ten dźwiga trumienkę ubogą,
Ów *matkę* zbolałą ramieniem podpiéra,
Ten łzy i westchnienia i modły jéj zbiera,
By w zamian w jéj serce *pociechę* wlać błogą!
Tam znowu promienny ich orszak skrzydlaty,
Jak kondukt pogrzebny przed dziadkiem pomyka,
Pochodnie im — gwiazdy, kadzidłem ich — kwiaty
A *hymny* żałobne — to pieśni słowika!....

* * *

I znikło widzenie, i sroższa męczarnia
Do głębi mą duszę przejmuje na nowo,
I znowu *mój kondukt* grzmi burzą gromową,
I znów mię piekielnym płomieniem ogarnia.

Lecz oto świątynia. Jéj fronton wspaniały
Przybrała z marmuru misternie rzeźbiona
Tarcz herbu mojego, a przy niéj imiona
Mych dziadów, pradziadów i moje jaśniały.
Lecz klejnot ten świetny méj chwały i cnoty
Płomieńmi sinemi niebiosom się zarzy,
A cała świątynia, jak gdyby w klejnoty,
Przybrana w *nieznane* imiona *nędzarzy!*
Na każdéj cegiełce, od lochów pod stropy,
Lśni imię pisane rozbłyskiem promienia;
Lecz nigdzie nie dojrzeć *mojego* imienia —
Wciąż *szlachta uboga, mieszczany i chłopy!*

O! straszne, o! święte wyroki Twe, Chryste!
Jam złoto wysypał z bogatéj skarbony,

Lecz *oni* zdobyli te moje miliony,
Ich pracę Ci dały me ręce nieczyste;
Mój tylko ów klejnot, to pychy méj godło,
Ta *pieczęć* piekielna na *skarbach zaklętych*,
Co nawet *chęć* dobrą, dar natchnień Twych świętych,
Skalała marnością światową a podłą!
Więc stoją te mury, by *nędzarz* swe *płacze*
Ofiarą w nich składał na *zgubę* méj duszy!,...
O! kiedyż Twa litość *tak* serce mu wzruszy,
Że krzywdy *zapomni*, ciemiężcy *przebaczy*?!

O weźcie z tąd, weźcie me zwłoki co żywo!
Niech serca skrzywdzonym ich widok nie drażni!
Niech będzie świątynia świątynią prawdziwą,
Nie *pomsty* przybytkiem, nie placem méj kaźni!...

I wzięto, i w grobie złożono drewnianym,
Nim dłuto rzeźbiarza wykończy ozdoby
W przepysznym pomniku z marmuru ciosanym,
A wtedy otworzę rodzinne swe groby.

I znikło widzenie, a *płomień ów siny*
Mych *skarbów zaklętych* znów zajął mą duszę;
I widzę, jak bucha śród mojéj *rodziny*,
I czuję mąk wszystkich piekielne katusze.
Daremne przedśmiertne te moje ustawy,
I wola, stygnącą skreślona już dłonią!
Spełnione, niestety, me wieczne *obawy*;
Fortuny méj prawne przepisy *nie chronią!*
Waśń bucha zażarta: wyrodni zięciowie
Na matkę pieniacze zastępy prowadzą:
Chcą *wydrzeć* rodzinny majątek méj wdowie,
O *zgubie* mojego dziecięcia już radzą!

A płomień, co brudne zażega ich serce,
I w piersi *mych córek* powoli się wciska,
I niesie straszliwą pożogę w iskierce,
By szczęście ich całe obrócić w zwaliska.
I *hańbą* okryta nieszczęsna rodzina!
Więc *szwagier* na szwagra powstaje zaciekły,
Więc *córki* cześć matki, jak łachman wywlekły,
Więc *matka* swe córki rodzone przeklina!
I tydzień nie minął, już proces ów dziki
Po wszystkich wre sądach; a *skarb mój zaklęty*
Pod młotem pieniactwa *rozpada* na szczęty
I w świat się rozbiego *sinemi płomyki.*
I *tysiąc serc* żądza zapala nieczysta:
Tam świadek bezbożny, wierzyciel fałszywy,
Tam sędzia przedajny, przewrotny jurysta;
Bo *skarbów zaklętych* dotknęli — nie dziwy!
A od nich *płomyczek piekielny* się wkrada
Do serc *ich rodziny;* w krew żywą przechodzi,
By nawet *w potomstwie,* co *kiedyś* się zrodzi,
Od wieku do wieku szła krzywda i zdrada,
A za nią gniew Boży, i pomsta i plaga!
A każda *iskierka,* co świeżo zapłonie,
Wnet *morzem płomieni* na duszę mą zionie,
I męki jéj srogie, i boleść jéj wzmaga.

Lecz nagle... O! męka nad wszystkie męczarnie!
O! boleść z boleści! tam *syn mój jedyny*
Padł trupem z rumaka!... O! z życiem dzieciny
I *ród* mój i *mienie* przepadło już marnie!
I widzę: *duch dziecka* z anioły bożemi
Promiennem skrzydełkiem ku niebu pomyka...
Bóg *niedał* mu zaznać owego płomyka,
Com rzucił dłań w spadku z skarbami mojemi.

I oto owiany już *rajską* ozdobą,
Już spieszy *szczęśliwy* za lepszą dziedziną...
»O! duchu ty jasny! o! droga dziecino!
Ach! weź mię! ach! unieś tam z sobą!«...
Daremnie! uleciał w wysokie niebiosy;
Blask tylko od niego owionął mię błogo,
Ożywił, orzeźwił, jak krople téj rosy,
Co rzeźwią kwiat, letnią spalony pożogą.
I tylko czarowne, urocze brzmią *dźwięki*,
I z niebios wysokich na duszę mą płyną,
Łagodząc od ziemi bijące w nią jęki.....
»O! módl się tam, módl się dziecino!«...

O! módl się, bo *nowa* męczarnia nią miota!...
Tam znowu *żałobny karawan* się sunie, —
Ach *twój*-to, *twój* pogrzeb, dziecinko ma złota!
Lecz matki, *ni* siostry, *ni* krewnych przy trumnie!
Bo *matka* w śmiertelnéj dogasa chorobie,
Bo grodu pilnują *szwagrowie* pieniacze,
I *siostry* tam z nimi!... *Lud* tylko w żałobie,
Lud prosty i *służba!...* I dziwy! — lud *płacze!...*
Lud *łkaniem* rzewliwem uderza w niebiosy,
Lecz duszy nie dręczy, nie pali to łkanie,
Bo łzy-to *litości*, bo słychać mi głosy:
»*O! biédny on, biédny! o! przebacz mu, Panie!*«

O! biédny zaiste! bogactwa, zaszczyty
Przepadły, jak dymy w burzliwym powiewie!
Bóg rzucił *piorunem* w wszechmocnym swym gniewie,
I gmach ów wspaniały w *proch* marny rozbity!
W *ostatnim potomku* ród świetny dziś gaśnie,
Przy trumnie nikogo, *nikogo* z rodziny!
Dłoń obca, najemna drzwi grobu zatrzaśnie,
Trup ojca cię *spotka*, mój synu jedyny!

O dziwne natchnienie! o dziwne wyroki!
On świetny *grobowiec* już czekał gotowy,
A zatém, z rozkazu nieszczęsnéj méj wdowy,
Wraz z synem ojcowskie ledz miały *tam* zwłoki.
I zgroza! gdy trumna, z *kapliczki* dobyta,
Trup *ojca* wywiozłszy, stanęła śród drogi
Czekając, nim *syna* karawan powita,
By razem z nim w domu wiecznego iść progi,
Lud *jęknął w płacz jeden*... i w *wielkiéj* tej chwili
Zapomniał krzywd swoich i swego cierpienia,
I jednym, potężnym głosem *przebaczenia*
Nędzarze grom gniewu Bożego *zgasili!*
Cud stał się! . . . .
I *duch* mój na nowo połączył się z *ciałem*,
I z grobu *na świadka* prawd świętych *powstałem.*« —

* * *

Tak skończył starzec. Dalsze jego czyny
Sam już widziałem. Z grobu wydźwignięty
Stłumił waśń srogą zawziętéj rodziny
Mieniem *rodowem;* a *skarb swój zaklęty,*
Skarb *krzywdą* ludzką bezbożnie nabyty,
Wziął w swoje ręce, by *wrócić* skrzywdzonym.
I nędzną szatą żebraczą okryty,
Resztę dni trawiąc przy chlebie i wodzie,
W pracy, modlitwie, z sercem ukorzoném,
Gdzie *ujrzał* człeka w dotkliwéj przygodzie,
Biegł wesprzeć groszem, i pociechą bratnią.
A gdy przez bliźnich *wszystko* oddał Bogu,
Ostatni kąsek i szatę ostatnią,
W świat poszedł, żebrząc od progu do progu

Pracy i *znoju* za świętą jałmużnę!
A gdy co *ciężkim* zarobił *mozołem*,
Wnet *biédnym oddał*, i z sercem wesołem
Znowu na plecy brał sakwy swe próżne.

Tak wiek swój skończył, ubogi, nieznany,
Zdala od krewnych. Litościwe ręce
W grób go złożyły w ubogiéj trumience;
Ale anielski chór, z niebios wysłany,
Zebrał na cichéj żebraczéj mogile
Tyle łez szczérych, błogosławieństw *tyle;*
Że kiedy wrócił do Pana nad Pany,
Pewno się znalazł w świetlaném tém gronie
I *duch nędzarza*, na jasnym Syonie.

Dżuryn na Podolu.

Adam Pług.

WIOSNA.

Powróciła wiosna miła,
Wróciły jéj piękne dnie!
Przyroda się obudziła
Po długim zimowym śnie!
Wszystko życia znów nabiéra
I nadzieją błogą tchnie!
Trawka listki swe otwiéra,
Co zima ku ziemi gnie.
Jak miły skowronka śpiéw!
A jak śliczne pączki drzew!
Jak miły jest każdy krzew!
I w polu wiosenny siew!
A w powietrzu taka woń,
Zda się, jakby z Nilskich błoń!
Wszystko działa Boska dłoń:
Schylmy przed nią naszą skroń!
Ceńmy każdy Boży dar,
Byśmy nieściągnęli kar!
Bo choć człowiek tylko płaz;
Aleć dusza, to nie głaz:
Ona czuje, wielbi, zna,
Co od Stwórcy cudów ma!

K. z P. Hr. S.

PRZECHADZKA
W STRONIE NADDNIESTRZAŃSKIÉJ.

Prześliczna ustroń! nieprawdaż, mój drogi?
Na lewo lasek, na prawo równina;
Tam, po nad wodą, rosną bzy i głogi,
A tutaj znowu drobniutka leszczyna!

Cudowne miejsce! a jaka woń w koło!
Jaka zieloność! jakie cudne kwiatki!
Jak ta dziewanna spogląda wesoło
Na mak różowy i drobne bławatki!

Jak się uśmiecha! jak uroczo kłania!
Jak coś po cichu szepce do motyla!
Jak mu do siebie zbliżyć się nie wzbrania!
Jak się doń wdzięczy i mruga co chwila!

Prześliczna ustroń, aż lubo, aż miło!
A jaki spokój! jaka cisza błoga;
Cisza, za którą serce tak tęskniło,
O którą nie raz prosiliśmy Boga!

Usiądźmy tutaj, mój drogi, na chwilę;
Może ta cisza i te kwiatki złote
Wrócą nam pokój, może te motyle
Rozwieją gorycz, smutek i tęsknotę!

Kamieniec Podolski.

Sawyna.

Do A. K.

Patrz, jakie czyste w około niebiosa!
Jaki spokojny i cichy poranek!
Patrz, jak misternie brylantowa rosa
Ubrała w gwiazdki ten mały kurhanek!

Patrz, jak te gwiazdki w około promienią!
Jak się tęczują! jak cudnie migocą!
Tamte, jak brylant palą się i mienią,
A te, jak kryształ, iskrzą się i złocą!

Patrz, jak tu świéżo, jak pięknie w około!
Jakie tu łąki! jakie cudne kwiaty!
Jak ten skowronek podzwania wesoło!
Jak mu uroczo wtórzy tłum skrzydlaty!

Alboż ten lasek! patrz, jak się zieleni!
Jak się cieniuje w około grabina!
Patrz, jak powiewa; jak cudnie się mieni!
Ta, jak konopie, drobniutka leszczyna!

Patrz, jakie życie, jaki gwar w tym lasku!
Jak tam ochoczo brzmią śpiewacy leśni!
Patrz, co tam krzyku, hałasu i wrzasku!
Jakie ztąd wieją przecudowne pieśni!...

Będziesz tam?... chodźmy; ale tą dróżyną,
Chciałbym albowiem nim miniem ten łanek,
Spojrzéć raz jeszcze na tę przestrzeń siną
I na ten w perły odziany kurhanek!....

Kamieniec Podolski.

Sawyna.

STATUT WIŚLICKI [1]

Z ROKU 1347.

Toczy Nida nurty szare,
A niedziela-to *Laetare* [2],
W którą czyta kościół Boży
Ewangelią, jak Pan mnoży
Siłą wielką, siłą z nieba,
Dwie ryb i pięć bochnów chleba.
Ewangelia powołana
Zapisana jest u Jana.

* * *

A w Wiślicy tłumnie, rojnie:
Kto włodziczy [3], stanął zbrojnie;
A w giermakach [4] tłum gawiedzi [5],
I kto Średzkiém prawem siedzi [6]
Lub niemieckie osiadł miasto [7].
A łańcuszno i szubiasto,
Strojne w złoto i szkarłaty
Lśnią barony [8] i prałaty.
Po nad niemi tron wyrasta,
I ostatni prawnuk Piasta
(Kmieć [9] i rycérz schyla czoło),
Wita naród, a w około

Lud się wielki roi, świeci,
W pół rycerski a w pół kmieci.

* * *

Lud na *wiece* [10]) się zgromadził,
Aby *wiedział*, aby radził.
Król lud kocha, a lud króla;
Boć z jednego idą ula,
Z tąd od króla słyszą kmiecie
O krzemieniu i kalecie [11]).

* * *

Król, by zabiedz możnych bucie [12]),
Zebrać prawa dał w Statucie.
Statut, pisan po łacinie,
Lśni na białym pargaminie
Literami gotyckiemi,
A na sznurze ze szkarłatu
Wisi pieczęć majestatu:
Na niéj król siedzi w koronie [13]),
Berło z jabłkiem ujął w dłonie,
Pyszny płaszczem, lśniący zbroją;
U kolan mu zamki stoją,
I herb Sieradzkiego xięcia [14])
Błyszczy: pół lwa, pół orlęcia.
W okrąg głoski po kolei
Tworzą napis: *Gratia Dei*
Casimirus, rex Poloniae.
Na odwrotnéj znowu stronie,
Pod koroną, dziób do góry
Wznosi orzeł biało-pióry.
A dwustronna pieczęć ona
Jest na wosku wyciśniona.

Teraz Jaśko, pan z Melsztyna [15],
Wziął pargamin i zaczyna:

* * *

„*Jeden* kraj jest, król i sława,
Niechże będą *jedne* prawa,
Niechże będą *jedne* rządy,
Jedne kary, *jedne* sądy [16].

* * *

A gdy wyrok kto nagani
(Wojewódzki, Kasztelani),
A przepadnie, to utraci
Daną ciężę, i dopłaci [17].

* * *

Lecz gdy *wielu* razem sądzi,
Niéma nagan: sąd nie błądzi [18].

* * *

Niech za krewnym się nie wiesza
Po sędziebniach zbrojna rzesza [19].

* * *

Kto *pozywa*, niechaj stawa [20],
Bo przepadnie [21] wedle prawa.

* * *

A *pozwany*, gdy nie stanie,
Da dwa woły za skaranie [22].

* * *

Jeźli rzecz raz osądzona,
Próżno chce się żalić strona [23].

* * *

Trzy już lata, trzy miesiące,
Piotr zapomniał o swéj łące;
Dziś chce wziąść ją od Konrada [24]:
Za lenistwo niech przepada [25].

* * *

Lecz Jan *bił się* gdzieś na Rusi;
Więc Nikodem oddać musi.
Chociaż dłużéj w gruntach siedział,
Bo Jan walczył, i niewiedział.

* * *

Dziesięcioma znowu łatki,
Idzie dawność dla mężatki [26];
Sześć lat pannom, tyleż wdowie;
Boć to plemię białogłowie,
Co-to prawa nie przenika
I broni się przez rzecznika [27].

* * *

Ktoś do sądu wiódł Macieja,
Jako zbójcę i złodzieja,
Mówi „że to zbójca, złodziej,"
Lecz świadkami nie dowodzi:
Więc się Maciéj *odprzysięże* [28].

* * *

Świadek popadł w klątwy xięże.
Chociaż klątwy xiądz nie zdejmie,
Gdy się świadek skruchą przejmie,
Niechaj będzie wysłuchany [29].

* * *

Jest kto zabit, to rodzina
Niech się za nim dopomina,
A zabójca płacić winien:
Za szlachcica kopę grzywien [30],
Za świerszczałkę [31] zaś pół kopy,
Ćwierć za zrycerszczone chłopy [32].
Gdy krwią zmarły nie powstanie,
Lepsze *takie* ukaranie.

* * *

A jeżeli! nie daj Trójco!
Syn jest strasznym ojcobójcą,
Lub krewniaka albo brata
Dla dziedzictwa zmiótł ze świata,
Toć bezczestnik, dzikie źwierzę,
Niech ze spadku *nic* nie bierze.

* * *

A gdy woźny sztuknie w wrota [33],
Czy bogaty, czy gołota [34],
Byle z pod polskiego prawa [35],
Niech na roki [36] każdy stawa.

* * *

Sąd sądzeniem się zatrudnia
Od poranku do południa,
I brać cięży [37] niéma wiele.
A przed sądem, jak w kościele:
Boć sąd blaskiem jest korony,
Sam król sądzi wraz z barony.
A kto w sądzie miecz dobędzie
Siedemdziesiąt [38] płacić będzie.

* * *

To o *sądach*, a tu ono
O *rodzinie* wyłożono.

* * *

Ojciec całém włada mieniem;
Lecz za wtórem poślubieniem
Pierwszym dzieciom wedle prawa
Macierzysty dział oddawa.

* * *

A za syna w żadnym czasie
Niéma płacić, gdy ten zgra się,
Lub na długi listy wyda
Dla lichwiarza albo żyda.

* * *

I to chowaj też w pamięci:
Że syn niema mieć pieczęci [39].

* * *

Ojciec córkę wyposaży,
A gdy czasem los wydarzy,
Że wprzód umrze [40], ta nietraci;
Lecz ma posag wziąść od *braci*.

* * *

A gdy na nią *ziemia* spada,
Więc czy rada, czy nierada,
Wedle praw kraju odwiecznych,
Jest na spłacie swych stryjecznych [41])
Przez rok cały i sześć niedziel.

* * *

Spadkiem męża wdowy nie dziel;
Ta na wniosku i swém wianie [42]),
Póki wdową, pozostanie.
A gdy *drugie* śluby skleci,
To majątek zda na dzieci.

* * *

Piotr opiekę ma po Janie;
Wziął sieroty na chowanie.
Bierze dochód; lecz broń Boże!
Sprzedać ziemi ich nie może;
Ni in *dawność* [43]) prawo przetnie,
Zanim będą pełnoletnie.

* * *

A po kmieciu ta iścizna [44]),
To dziedzictwo, nie puścizna [45]).
Więc panowie jéj nie złupią,
A za grzywnę *krewni* kupią
I w parafii swojéj złożą
Kielich na ofiarę Bożą [46]).

* * *

Wolno kmieciom po jednemu
Podziękować panu swemu [47]),
Gdy z nich każdy uposaży [48])
Równych sobie gospodarzy.

* * *

Wolno wszystkim ruszyć z sioła,
Gdy pan klęty od kościoła,
Gdy gwałciciel, — albo cięża [49])
Za dwór włościan uciemięża.

* * *

Niech *granice* dziedzin cieką
Starą rzeczką albo rzeką [50]),

* * *

Kto siał w cudzém, zasiew traci;
Kto gnał w szkodę, niech zapłaci;
Lecz co zajmiesz z bydła, z trzody,
Nie zatrzymuj wśród zagrody [51]);
Lecz nazajutrz zaraz z rana
Pędź do grodu Kasztelana [52]).

* * *

Ciąć też sadów, chowaj Boże!
Nawet własnych nikt nie może,
Czy-to w zimę, czy-to w lato;
Bo sześć grzywien kary za to.

* * *

To o *domu*, a tu ono
O *włodzictwie* [53]) wyrzeczono:

* * *

Niech rycerstwo ku potrzebie
W wszelki zasób zbroi siebie,
Niech ma konie i oręże,

Niech na pierwszy znak wylęże
I choragwie swojéj strzeże.

* * *

A *trojacy* są rycerze:
Pierwsi, szlachta dzielni męże,
Ród swój każdy zaprzysięże
Samosiódmy [54]), a za świadki
Krewni ojca, krewni matki,
I posiedli dwaj sąsiedzi,
Co to wiedzą, jak kto siedzi.

* * *

Do wojennéj też posługi,
Jest świerzszczałka [55]), rycerz *drugi*;
I liczniejszy rycerz *trzeci*
Ze sołtysów [56]) albo kmieci.

* * *

A wyłączeń *w dobrach* niéma,
Choć je nawet kleryk trzyma,
Lecz, gdy od kraju obrony,
Zatrzymują go kanony [57]),
Niechże ziemię zda na braci;
Bo ją prawem na skarb straci.

* * *

A rycerstwo to włodzicze [58])
Spędza hordy najezdnicze;
Lecz w kraj *cudzy* klęsk nie nosi,
Chyba, że je król uprosi,
Że ujedna, że ugodzi
I sowicie wynagrodzi.

* * *

W tym Statucie tyle ono
O *włodzictwie* wyrzeczono."

* * *

Skończył Jaśko, Pan z Melsztyna,
A Wiślicka wrze równina,
I w niebiosa okrzyk płynie:
„A witaj nam, Hospodynie!" [59]).
Ul się roi, szumi, brzęczy,
Pstrzą się barwy jasnéj tęczy,
A jak słonko w dni wiosnowe,
Król pogodną wznosi głowę.

* * *

Wkrótce piąty wiek dobieży,
Jak król Kaźmiérz w grobie leży,
Już i prochu niéma z ciała;
Lecz cześć ludu *skamieniała*
I z grobowca jego świeci,
W *rzewnym płaczu dobrych kmieci.*
Na pociągłéj jego twarzy [60])
Prawodawcza myśl się waży.
A przepasał się zamkami [61]);
Lew Halicki pod nogami [62]).
I tak drzémie skamieniały
Wśród promieni jasnéj chwały.

Antoni Czajkowski.

PRZYPISKI.

1) *Statut*, ustawa, prawo nadane. *Wiślica*, miasteczko nad Nidą, niedaleko ujścia jéj pod Nowém Miastem Korczynem do Wisły, dziś w Gubernii Radomskiéj, Powiecie Stobnickim.

2) Niedziela *Lætare* jest 4tą niedzielą Wielkiego Postu.

3) *Włodyka*, ogólna nazwa szlachty czyli mających prawo rycerskie. „*Kto włodziczy*" znaczy: kto szlachcic urodzony.

4) *Giermak* jest-to długa suknia pospolita.

5) *Gawiedź*, czeladź dworska, wojenna lub miejska.

6) *Średzkie prawo.* Takie, jakiém się rządziło miasto Środa, (po niemiecku *Neumarkt*) na Szląsku, nadawane bywało różnym innym miastom.

7) *Niemieckie miasta* t. j. te miasta w Polsce, które się rządziły prawem magdeburskiém, niemieckiém. Aby bowiem zaludnić Polskę, napadami Tatarów i innemi klęskami wyludnioną, królowie polscy zachęcali Niemców, do osiadania w miastach, i zapewniali im takie same prawa, jakich ci używali w Niemczech. Późniéj i Polacy w miastach obdarzani bywali prawem niemieckiém.

8) *Barony.* Wszystkich znaczniejszych urzędników, jak Wojewodów, Kasztelanów, Podkomorzych, którzy z Panującym na zjazdach zasiadali, nazywano Baronami, z łacińskiego *Barones.*

9) *Kmieć*, był-to wówczas włościanin wolny, osiadły na roli za czynsz lub pańszczyznę.

10) *Wiece* t. j. zgromadzenie czyli zjazd Województwa lub Ziemi, na którym sądzono sprawy większe, albo odwołania się od sądów ziemskich i niższych. Gdy na wiecach zasiadł król, wówczas oprócz czynności sądowych, i sprawy narodu na nich rozbierano.

11) *Kaleta*, worek skórzany. Znane jest (nie prawdopodobne) podanie o królu Kaźmiérzu W., że kmieciowi żalącemu się na ciągłą krzywdę i ucisk od swego pana, miał raz powiedzieć: „masz krzemień i krzesiwko.“

12) *Buta,* duma, wywyższanie się nad innych i nad prawo.

13) Tak na téj pieczęci król jest wyobrażony.

14) Xięstwo Sieradzkie było Kazimierza *dziedzicznêm:* otrzymał je po ojcu, Władysławie Łokietku. Na tron polski był w Krakowie *obrany.*

15) *Jaśko z Melsztyna,* kasztelan krakowski. Melsztyn, zamek nad Dunajcem; dziś w powiecie sandeckim, w Galicyi.

16) Następne wiersze są-to postanowienia powyższego Statutu, jak tenże w *Voluminach legum,* tomie I, na str. 1 jest umieszczony.

17) Kiedy kto czuł się uciążonym wyrokiem Wojewody albo Kasztelana i odwołał się do wyższego sądu, do wieców, musiał złożyć sędziemu, którego wyrok zaskarżał, karę sądową, zwaną *ciężą.* Jeżeli w wyższym sądzie przegrał, tracił ten zakład, i jeszcze to, co był winien, płacił. Jeżeli wygrał, odbierał cięźą od sędziego.

18) Kiedy nie pojedynczy sędzia sądził; ale sąd, najmniéj z 3ch osób złożony, a zatem kollegialnie; cięża niemiała miejsca.

19) *Sędziebnia,* izba, gdzie się sądy odbywają. Statut zakazywał, aby na sądy nieprzychodzili krewni powoda lub pozwanego uzbrojeni, dla popierania go siłą.

20) W terminie.

21) Oddalony będzie z żądaniem.

22) Za nieposłuszeństwo względnie sądu.

23) Drugi raz ten sam spór przed sąd wprowadzać.

24) Odebrać ją Konradowi.

25) Na mocy przedawnienia.

26) Dłuższy czas jest wymagany na przedawnienie przeciw kobietom.

27) Przez obrońcę lub pełnomocnika; a nie osobiście, jak mężczyzni.

28) Wykona przysięgę, że się czynu, który mu jest zarzucony, nie dopuścił.

29) Na kim klątwa (exkommunikacya) duchowna ciążyła, niemógł być świadkiem, chyba gdyby duchowny, który klątwę wyrzekł, na prośbę strony, i świadka, dozwolił mu świadectwo złożyć. Gdyby jednakże proszony niedozwolił, a strona innego świadka niemiała, Statut postanowił, iż może być przyjęte i świadectwo wyklętego.

30) *Grzywna*, waga mennicza, z któréj wybijano 48 groszy. Ówczesny grosz wart był oko 40 gr. teraźniejszych; *kopa grzywien* znaczyła 60 grzywien.

31) *Świerszczałka, scartabellus*. Wyraz ten dotąd należycie nieobjaśniony. Zdaje się, iż oznaczał syna osoby, świeżo uszlachconéj.

32) Za uszlachconych kmieci.

33) Woźny przed doręczeniem pozwu stukał laską, godłem urzędu, we drzwi mieszkania pozwanego.

34) Niemający posiadłości.

35) Prawo polskie ziemskie czyli krajowe obowiązywało *ziemian;* bo *mieszczanie* sądzili się po większéj części prawem niemieckiém.

36) Na termina sądowe ziemstwa lub grodu.

37) Kary sądowéj.

38) Najwyższa kara sądowa, 14 grzywien.

39) Rzadko kto wtedy umiał pisać. Miejsce więc podpisu zastępowało przyłożenie pieczęci. A że zobowiązania się syna niebyły ważne; więc i pieczęć była mu niepotrzebną.

40) Ojciec.

41) Nie tylko rodzeni bracia; ale i stryjeczni mają prawo brać dobra, zapłaciwszy siostrom posag.

42) Wianem jest to, co mąż, na przypadek śmierci, ze swego majątku żonie wyznacza.

43) Przedawnienie.

44) Pozostałość.

45) Chociażby niebyło dzieci lub dalszych zstępnych, nie jest bezdziedziczną, ale przechodzi (jak u szlachty) na krewnych *pobocznych.*

46) Ci za to mają obowiązek kupić do kościoła kielich, wartujący półgrzywny.

47) Wynieść się ze wsi.

48) Na swojém miejscu postawi.

49) Kara sądowa, exekucya.

50) Prawidło przy rozstrzyganiu wątpliwych sporów granicznych.

51) Twojéj.

52) W grodzie odbywały się sądy kasztelańskie. Zajęte bydło potrzeba było zaraz do obory sądowéj odstawić, aby niebyć obwinionym o samowolny zabór onegoż.

53) O rycerstwie, o szlachcie.

54) Sam z 6ciu świadkami, razem 7miu przysiądz musiało, że kto jest szlachcicem, jeźli wątpliwość zachodziła.

55) Ob. wyżéj pod 31).

56) Sędziów wiejskich, we wsiach, prawem niemieckiém rządzących się.

57) Ustawy kościelne zabraniają xiężom nosić broni.

58) Szlachta urodzona.

59) Słowa, któremi 300 lat wprzódy witał (według Bielskiego) lud polski Kaźmierza I. wracającego z za Renu.

60) Mowa tu o nagrobku Kaźmierza W. w katedrze krakowskiéj.

61) Na pasie jego wykute są baszty na pamiątkę wystawienia tylu zamków i obwarowania tylu miast.

62) Z powodu przyłączenia Rusi Czerwonéj do Korony.

DWA WYJĄTKI
Z POCHWAŁ
NIEGDY PUBLICZNIE CZYTANYCH.

I.

»Oto jest krótki rys życia A. J. Oto obraz doczesnego pobytu wielu niezmordowanych zwolenników nauki! Poświęcić siły fizyczne i moralne nabywaniu wiadomości, wyrzec się wszystkich powabów zwyczajnego pożycia, aby się do użyteczności usposobić, walczyć nieustannie z przeciwnościami przez ludzi lub okoliczności przywiedzionemi: oto jest niezwyczajniejsze przeznaczenie Uczonego! A gdy po niezmordowanéj pracy, po wytrwaniu w dolegliwościach, po starganiu sił swoich na nabywaniu światła, stanie na tym przynajmniéj punkcie, iż się dla bliźnich prawdziwie użytecznym stać może, wtedy rwie się pasmo życia, niszczeje cały zasób tak znojnie uzbieranych wiadomości, niknie człowiek, godny tego nazwiska; szczęśliwy jeszcze, gdy towarzystwo, które go utraciło, wartość straty swojéj poznać i pamięć jego szanować umié! Wy, którym jest dana władza niesienia pociechy lub odmawiania jéj spółbraciom Waszym! Wy, którzy równie łatwo osłodzić, jak zasmucić możecie ca-

łe życie uczonego! miejcie zawsze na czułéj pamięci te trudy, te przeciwieństwa, te siły zwątlające znoje, w których ludzie naukom oddani wytrwać muszą. Zamknięty mając przed sobą ten zawód, w którym większość ludzi szczęśliwości doczesnéj używa, walcząc nieraz z potrzebą i niedostatkiem, dzieląż oni z Wami swobodę, znaczenie i dostatki, aby przez omamienie lub rzeczywiste pociechy swój pobyt doczesny osłodzić? Gdzież jest nagroda, o którą się oni ubiegają? Czyliż wystarczają siły i udolności każdego z nich na to, aby ją od sprawiedliwéj potomności otrzymać mogli? Możeż ktokolwiek w tém jaką znajdować pociechę, że temu, który poświęca użyteczności i niepewnéj nadziei przyjemność pożycia, nietylko odmawia osłodzenia i nagrody; lecz zgryzoty i przeciwieństwa gotuje? Ale za to prawdziwą dla zwolenników nauki pociechą jest to: że w sobie samych nagrodę znajdują, i że w całém powołaniu swojém nie mają sposobności szkodzenia bliźniemu; chyba że się chcą niegodnymi tegoż powołania okazać.«

II.

»*Chęć dobrze czynienia ludziom* lub *rachuba egoizmu* powodują postępkami człowieka; *jedna* go pobudza do szlachetnych czynów, *druga* albo go zostawia w ciemności zapomnienia, albo rażącém niegodziwości światłem otacza. Ci, którymi sam tylko *interes osobisty* powoduje, są *albo* nieczułymi na wszelkie inne pobudki, *albo* niewiedzą o tém, że inni ludzie na nich patrzą i o nich pamiętać będą, *albo* też o sąd społczesnych i potomnych niedbają. Lecz ten, w którego umyśle raz zajaśniał *czysty* promień chwały, kto umie iść zawsze za skazówką *obowiązków*, jako nieomylne przewodniki na drodze życia porozstawianych: ten wie o tém dobrze, że na niego spółczesni patrzą, i że o nim potomność

sądzić będzie, ten wierzy w to, że naród ma *pamięć*, w któréj na wieczne czasy każdy jego postępek zachowa. Pamięci narodu! drogi przymiocie towarzystwa ludzkiego, którego żadna siła wydrzéć i zniszczyć niemoże! jedyny mścicielа niewinnych, których przemoc lub potwarz zgnębiła! jedyny sędzio występnych, którzy miedzianem czołem między prawemi błyszczą! Ciebie wezwać winienem, gdy mam spomnieć o mężu, który okryty wieńcem zasługi i chwały wieczny u Ciebie znalazł przytułek.«

Fryderyk Hr. Skarbek.

OPOWIADANIE
Z NOTATEK
PODRÓŻNEGO,
przez
Eleonorę Ziemięcką.

Rêver n'est pas méditer.

Przeznaczywszy lat kilka na podróż moją po Europie, nie śpieszyłem się ze zwiedzaniem ciekawości w żadnéj stolicy; żyłem spokojnie jak tamtejszy mieszkaniec, starając się raczéj tém zjednoczeniem z duchem obyczajów miejscowych, wniknąć w same źródło instytucyi i wszystkich szczegółowych rzeczy, które zajmują pobieżnych a śpieszących się podróżników. Już rok upłynął, jak bawiłem w Londynie. Była to exystencya raczéj marzyciela, niż turysty, a charakter mój dumający wielki wdzięk i żywioł znajdował w takiém życiu... Najmilszém miejscem dla mnie były ogrody

publiczne; tam bowiem przesuwał się przed okiem mojém, świat, który miałem poznać, nie widzący, że go obserwuję; ujęty niejako w działaniu, w całéj swobodzie swego charakteru, przywyknień i cech właściwych. I nietylko w godzinach zebrania licznego zwiedzałem te parki, lubiłem tam jeszcze uczęszczać w tych częściach dnia, kiedy cały Londyn świetny i bogaty zamykał się w swoich domach, w godzinach gorąca południowego, kiedy tylko szczególne, dumające dusze lub ubodzy nie mający własnego schronienia, szukają spoczynku na ławkach publicznego ogrodu. W takich to godzinach spotykałem od niejakiego czasu dziwną postać, która odrazu uwagę moją zwróciła. Byłto mężczyzna około 40 lat mający, blady, smutny, więcéj nawet niż smutny, bo prawie zgnębiony cierpieniem, a jednak oblicza pogodnego i wielkiéj słodyczy w spojrzeniu. Człowiek ten chodził i siadał na przemiany; zdawało się, że równie w jedném, jak w drugiém, wytrwać mu było trudno: bo kiedy chodził — wątła jego postać gięła się i chwiała od zmęczenia, a kiedy spoczął — niepokój wewnętrzny porywał go widocznie z ławki. A jednak, jak powiedziałem, niepokój ten nie zdradzał żadnych niecnych zamiarów, raczéj cierpienie serca dotkliwe i nieuleczone; — taki przynajmniéj uczyniłem wniosek ze wszystkich moich nad tym człowiekiem spostrzeżeń, a w skutek tego wniosku postanowiłem zbliżyć się do niego. Siedział właśnie na ławce. — Jakby od niechcenia wybrałem tę samę ławkę i spocząłem na drugim jéj końcu; byłem pewien, że nie odepchnie sympatycznego spojrzenia, boleść górowała tu zupełnie nad charakterem angielskim, słowa żalu i poufności zdawały się wyrywać gwałtem z tego serca pękającego z bólu. Zacząłem więc nieznaczącą rozmowę, a akcent mój cudzoziemski dopomógł mi wiele w mym zamiarze. Ze swojemi — Anglik nie tak łatwo przestaje być Anglikiem; obcy zaś, nie tyle go

żenuje; uważając taką znajomość za czasową, niekiedy wychodzi ze swego zamknięcia i chętnie rozrywa się towarzyską rozmową. Dostrzegłem tego nieraz w Anglikach podróżujących po obcych krajach. Smutny mój towarzysz odpowiedział w kilku słowach i zdawało się, że czekał na następujące zapytanie, jakby pragnął chociaż na chwilkę odejść od siebie. Usposobienie to utwierdziło mię w moich wnioskach o rodzaju jego boleści; zły smutek nie unika siebie, chociażby tego potrzebował: jakby za karę zanurza się coraz głębiej w sobie; tylko boleść poczciwa ma tę naiwną łatwość, tylko jej Bóg zostawił tę prostotę, która oka i słów bliźniego się nie lęka. W pół godziny byliśmy już znajomi i rozmawialiśmy swobodnie, lubo ta swoboda nie przyszła nam sama z siebie, ale była skutkiem mojej ostrożności w unikaniu wszystkiego, coby tę cierpiącą duszę spłoszyć mogło. Nazajutrz spotkaliśmy się znowu i tak było przez dni kilka. Trwając ciągle w chęci zbadania tego człowieka a zarazem pociągnięty ku niemu szczerą sympatyą, unikałem wszelkiego zetknięcia z jego osobistością, zwracając uwagę jego wyłącznie tylko na siebie. Mówiłem mu o moich podróżach, o zamiarze poświęcenia im lat wiele... Nagle Anglik spojrzał na mnie tym wzrokiem pełnym serca, który mnie już nieraz w nim uderzył, i zapytał śmiało, jaki jest cel tych moich podróży? — »Niemam żadnego,« odrzekłem, »a raczéj mam ich wiele: kształcić się, dumać, przypatrywać i sposobić się do czynienia dobra, gdzie i jak wypadnie.«

»*Dobra*« powtórzył, jakby ciężko dotknięty »nie mów tak lekko tego słowa; *dobro* powinno mieć swoję cechę, swój charakter; czyli innemi słowy, chcąc czynić *dobro*, powinniśmy pierwéj poznać, *jakie* nam czynić przystoi. — Oh! nieokreślone dążenia są jak wielkie zarośle, pod których zielonością gady się kryją.«

Widziałem, że słowa te miały związek z jego cierpieniem i przejął mnie strach mimowolny, że zamiast pociechy, zadałem rany cierpiącemu; ale on nie zatrzymał się na tych wyrazach, słowa jego przybrały jakieś energiczne brzmienie; już-to nie była mimowolna i od niechcenia wzrastająca poufność; ale jakby jakiś głos sumienia, który bliźniego od niebezpieczeństwa chronić nakazywał...

»Młody cudzoziemcze,« mówił »porzuć te zgubne dumania i te *nieoznaczone* cele życia; rozważ, co ci czynić wypada, jakie twoje obowiązki, i do tego zastósuj twoje podróże, a jeżeli cię los niezależnym i samotnym zostawia stwórz sobie cel stały, zgodny z twojemi zdolnościami.«

—»Czyż intencye czyste« rzekłem »nie wystarczają człowiekowi? i czyż niéma pewnéj epoki w życiu, w któréj wolno nam miłością ogarniać wszelkie dobro, i unosić się pragnieniem ponad wszelkiemi zamiarami i dążeniami, które szczęście bliźnich mają na celu?«

»Nie, niéma takiej chwili« odrzekł stanowczo, »człowiek do miejsca i czasu należy: w tych ramach Bóg oznacza mu drogę i téj się pilnować powinien. *Nieograniczoność* jest podziałem wieczności;. biada temu, kto chce jéj używać pierwéj, niż na nią zasłużył!«

»Musiał widzieć w mojéj twarzy jakiś wyraz niedowierzania, gdyż nagle spojrzawszy na mnie znów z miłością, smutnie powiedział:

»Nie wierzysz mi!«

Milczałem. — Teorya jego w istocie wstrząsała wszystkie moje przekonania a raczéj powiém *upodobania.*

»Dziwne są drogi Opatrzności« rzekł dalej »podobało się Bogu stawić przedemną człowieka z tém samém, co ja usposobieniem; niebędę więc milczał, dam ci chléb doświadczenia, może Bóg za to ulży mojéj boleści; posłuchaj mnie młodzieńcze. I ja byłem marzycielem, i ja kochałem dobro,

piękno i prawdę, kochałem namiętnie, i ja nie chciałem wtłoczyć tych obszarów, w ramy obowiązku i tak przeżyłem długie lata młodości. W takiém usposobieniu, ulegając woli matki, wszedłem w związki małżeńskie, z których wyniknęło najgorsze pożycie. A jednak jak dziś rozważam, w tém pożyciu wina nie szła od żony mojéj; ale odemnie, odemnie upojonego ideałem i marzeniami. Młoda i piękna lubiła świat i zabawę, stroje były jéj największą radością; cokolwiek cierpliwości, taktu i rozumu ze strony mężczyzny, a wady te byłyby szybko ustąpiły obowiązkom i szlachetnym uczuciom, które nigdy nie zamierają zupełnie w sercu kobiéty. Wtedy, nie rozumiałem tego; osądziłem ją za niegodną podzielenia życia mego, lekkość młodości wziąłem za lekkość charakteru a marząca moja natura oburzyła się na to usposobienie. Nie wiedziałem, że pod osłoną marzeń i ideału więcéj, istotnie było próżni w mojéj duszy, niż w lekkiéj na pozór, ale zawsze czułéj, jak każda kobieca dusza, Alicyi. Wkrótce, walka pomiędzy naszemi charakterami doszła do najwyższego stopnia; opuściłem żonę, zostawiając ją pod opieką matki mojéj. Byliśmy bogaci, mogłem być spokojny o jéj materjalne potrzeby; reszta — nieobchodziła mię wcale!« Tu Anglik zatrzymał się...

»Widocznie« rzekł po chwili, »Bóg chciał tego powierzenia; czuję bowiem, że spowiadając się tak przed tobą, jakiś ciężar spada z mego serca.« Ścisnąłem jego rękę, a on mówił dalej:

»Zamiast smucić się z mojego postępku, ujrzałem się z radością znów w moim żywiole, w *nieokreślonéj i nieoznaczonéj przyszłości.* Właśnie wtedy jeden z moich przyjaciół, wysoki dygnitarz w zarządzie Indyj wschodnich, wracał do siebie, — ofiarowałem się towarzyszyć mu, nie tyle wiedziony ciekawością, jak raczej nadzieją urzeczywistnienia tysiącznych ideałów, które w moim bujały umyśle... Dziwna jest

pycha w ludziach naszego usposobienia: chcą oni być podobni Bogu; nieokreślone mają widoki, ale siła nasza nie w myślach, nie w woli nawet, ale w *charakterze*; pamiętaj o tém, młody przyjacielu. Zamieszkałem więc sam w Indyach, a raczéj nie sam, bo z imaginacyą moją. Jedną jeszcze cechą marzycieli jest to, że ich świat zewnętrzny mało obchodzi: pogardzają szczegółami, bo spodziewają się wszędzie stworzyć świat dla siebie, swoją potęgą. Z tego powodu, zajmowałem się mało rzeczywistością; najwięcéj siedziałem w domu, a wszystko co mnie uderzyło, wywoływało całe bogactwo moich poetycznych myśli. Znalazły też one wkrótce dla siebie żywioł, który nagle całe moje życie ogarnął. Wziąłem był do usług jedną ubogą familią indyjską: mąż spełniał obowiązki lokaja, a żona trudniła się kuchnią i całém mojém gospodarstwem. Mieli młodą córeczkę nadzwyczajnéj piękności. Nagle gorączka panująca w tym kraju zabrała ich oboje, a młoda ich sierota została jedynie pod moją opieką. Ideał dobra, ideał pięknego czynu, stanął od razu przedemną w formie uroczéj, i wziąłem się szczérze do jego spełnienia; wychowanie cudownego dziewczęcia stało się celem mego życia. Powiedzieć ci, jak to spełniłem, ile poświęciłem pracy, czasu na ukształcenie téj indyjskiej dziewicy, byłoby niepodobném. Co tylko żyło w mojém sercu pragnień, nadziei, uczuć, myśli, to wszystko przelałem w to dziecię; chciałem zagłuszyć głos sumienia, który mi porzucone obowiązki wyrzucał. Ach, sumienia!« — Tu zbladł mocniéj, a łzy, dobroczynne łzy, potoczyły się po szlachetnéj twarzy. »Pojmujesz jak musiałem je przytłumić, kiedy ci powiém, że żadnych listów do Europy nie pisywałem. Ideał mi wystarczał, ideał przemieniony w cudną rzeczywistość. Tak upłynęło lat trzy. Pera (bo takie było jéj imię) wyrosła na śliczną dziewicę, przyjęła wiarę chrześcijańską, posiadała nauki, jakich tylko

udzielić jéj mogłem; ale co stanowiło w niéj wdzięk nieopisany, to jéj przywiązanie ku mnie, wdzięczność, jaką odpłacać umiała moje starania. Niemyśl jednak, żebym ją kochał miłością; nie, miałem dla niéj uczucia ojca, przyjaciela. Ale zwolna, przyjmując wpływ tego przywiązania, karmiąc się codzień widokiem serdecznych wzruszeń młodego serca, uczułem w sobie budzącą się miłość i zadrżałem..... Tu dopiéro zaczęła się walka, tu dopiéro zaczęła się kara za moje idealne życie; czułem, że nie powinienem był pozostać, a czułem zarazem, że ta niewinna istota, ukształcona i rozwinięta przezemnie, miała już prawo do méj opieki... Po drugi raz więc — uciekłem, uciekłem znów od obowiązku... zapewniwszy pierwéj los Pery, już wówczas 16 lat mającéj, summą wystarczającą do jéj utrzymania.— Ale dla takiego serca byłoż to dosyć! W miesiąc po moim odjeździe, już Pera nie żyła. Dotknięta w najczystszém uczuciu, zawiedziona w najniewinniejszém przywiązaniu, upadła pod pierwszém a zbyt ciężkiém doświadczeniem... Oh, kiedy sobie przypomnę tę śliczną duszę, jakże pojmuję tę prawdę, którą tak często genialni poeci powtarzają, że my mężczyzni, *uczuć serca kobiéty nie rozumiemy!* Jest tam coś pośredniego między niebem a ziemią, między ziemską a boską miłością, co żadnéj skazy ludzkiéj na sobie nie nosi, żadnego drgnienia ziemskiego nie uczuwa, a co jednak jest tak silne, że ma wszystkie cechy passyi i jak ona zabić może. Wiadomość o jéj śmierci odebrałem jednocześnie z wiadomością o śmierci Alicyi; bo i ona, lubo nie tak tkliwa i kochająca, dręczona jednak obawą złéj opinii, na którą u nas kobiéty zwykle są bardzo czułe, nie mogła przeżyć swego hańbiącego opuszczenia.«

Skończył Anglik zmęczenie i pociecha kolejno malowały się na jego rysach. Ta ostatnia jednak przemogła widocznie; bo czuł, że stworzył *przekonanie:* wyczytał to w mojéj twarzy.

Z ALBUM E. J.(*)

»W szacownym zbiorze pamiątek, jaki Ci troskliwi rodzice przygotowali, kochany Eryku, spotkałam skarby uwag, nauk i życzeń, ręką Mistrzów słowa skreślone. Ja-bym już do tego skarbu nic dodać nie miała, nic dodać nie śmiała. Ale w zamian za to, przynoszę Ci tu *wyznanie*, które razem i radę i naukę i życzenie zawiera w sobie; i więcéj jeszcze, bo wyraz *wdzięczności* mojéj dla drogiéj mnie i Tobie osoby. Oto powiém Ci, Eryku, co winnam Ojcu Twojemu.

Życie, młody bracie, to ciężkie zadanie, to żegluga po burzliwém morzu. Jednym—Bóg dozwala spokojnie i cicho, śmiało nawy przepływać; dla drugich—już z pieśnią matki przy kolébce, łączy się odgłos burzy, huk ryczących bałwanów, które długo, może do śmierci, żegludze życia towarzyszyć mają!

Dla takich, gdzież jest ratunek? co będzie gwiazdą przyjaźną, mogącą oświecić mętne wody i pokierować żeglarza? Oto *myśl*, Eryku, myśl prawa, pracowita, umiejąca wszystko

(*) Ponieważ powiastka poprzedzająca jest tylko dowodem pamięci, ale nie wyraża wcale uczuć, jakiemi Autorka przejęta jest dla Szanownego swego Mistrza, życzeniem jéj więc było, aby do téj powiastki dołączoném zostało słówko, które przed kilku laty napisała w Album młodego Eryka, syna Stanisława Jachowicza.

rozwagą ogarnąć;— myśl, która słowo Boskie rozumie, z samodzielnością i z pokorą razem je przyjmie; — myśl, która w rzeczywistości stworzonéj mądrość Boską wyczyta i związek téj mądrości z wolą objawioną przyjmie... *Taka myśl* była moją gwiazdą, moją kierowniczką. A któż mnie *myśl* kochać nauczył?—Oto Twój drogi, Twój szanowny Ojciec, który mi ją w dziecinnych jeszcze latach, w cudownem *mowy* przeźroczu ukazał; jéj prawa, jéj potęgę, jéj harmonią przedstawił. Eryku! Czy pojmujesz teraz, co ja Mu winnam!

Eleonora Ziemięcka.

WYJĄTKI

z OPISU

PODRÓŻY PRZEMYSŁOWÉJ

DO LONDYNU

przez

Antoniego Hann.

Niémasz może narodu, w którymby wartość człowieka, nawet pod względem materyalnym, więcéj była cenioną, jak w Anglii. Dla tego trudnoby znaleść gdzieindziéj liczniejszych, jak tam towarzystw, których zadaniem jest: klassie ubogiéj nietylko w *niemocy* fizycznéj nieść pomoc; ale i *zdrowéj* byt materyalny ulżyć, polepszyć, i na téj drodze moralność jéj, jeżeli nie ustalić, to przynajmniéj kształcenie w niéj ułatwić. Cel ten dobrze jest przez ogół pojęty, a prace coraz pomyślniejszym skutkiem uwieńczane, zyskały mnogich zwolenników, którzy radzi ofiar znacznych nie-

szczędzą, aby zamiar ten, tyle ludzkość obchodzący, nietylko w samym Londynie, ale i w całym kraju, ile możności, upowszechnić i urzeczywistnić.

Mieszkania robotników.

Do nader ważnych środków polepszenia bytu klassy roboczéj należą bez wątpienia jéj mieszkania; gdyż te, prócz wygody, z powodu sąsiedztwa znaczny wpływ na moralność jéj wywierają. Postanowiło więc Towarzystwo, w tym celu pod prezydencyą xięcia Alberta zawiązane, urządzić domy mieszkalne dla ubogich tak, ażeby robotnicy za opłatą zwykłą, jeżeli nie niższą, mogli mieć odgraniczone i zdrowe mieszkanie, ze względem na zwyczaje miejscowe, i takie, do którychby z własném dobrem nawyknąć mogli.

Że zaś przykład działać może skuteczniéj, jak wszelkie rady i rozumowania; przeto w różnych częściach najludniejszych miasta wystawiono tak ze składek dobrowolnych, jako też z kapitałów na procent amortyzacyjny pożyczonych, lub też z funduszów parafialnych, liczne domy modelowe dla klassy roboczéj, w których mieszkania zdrowe i wygodne, nietylko familijne; ale i dla osób pojedynczych różnych płci i wieku, urządzone są ze szczególnym względem na wentylacyą, suchość, dostatek wody potrzebnéj i na bezpieczeństwo od ognia.

Ostatni ten cel ważny osiągnięto przez użycie cegieł wydrążonych, z których nietylko ściany przedziałowe, ale i wszystkie sufity płaskie na cemencie portlandzkim są zbudowane. Przez to mieszkania te zarazem ochronione od wszelkiéj wilgoci, są cieplejsze i ciche; przez takie bowiem cegły przejście głosu z pomieszkań sąsiedzkich jest bardzo utrudnioném. Poprawa ta w budowie zaledwie o jeden procent zwykłe tam koszta przewyższa.

Każden z takich domów posiada wspólną pralnię, tudzież rządcę pilnującego porządku sąsiedzkiego, który także ma obowiązek udzielania cząstkowego opału po cenie zakupu; jeżeli tego wyraźne lokatora zachodzi żądanie.

Opłata w domach tych, stósownie do wielkości pomieszkania, wynosi od 1 do 6 szylingów (2 do 12 złp.) na tydzień, i w takim też czasie jest pobieraną, z wyjątkiem wszakże dwóch domów, w których dziennie jest liczoną. Domy te ostatnie urządzone są ze względem na osoby pojedyncze miejscowe lub z prowincyi przybyłe, i będące w oczekiwaniu stałego zatrudnienia. Opłata w nich jest taż sama, co i za noclegi w miejscach publicznych, to jest 4 pensy (20 gr. pol.) za dobę, z góry pobierane, albo też tylko 2 szyllingi (4 złp.) za tydzień. Zamiarem bowiem Towarzystwa nie jest zniżanie ceny, ale ulepszanie mieszkań i pomnożenie w nich wygód. Każden więc z lokatorów ma za tę cenę, prócz wygodnego, ogrzanego i oświetlonego mieszkania, wspólną kuchnię, zaopatrzoną ciągle w wodę gorącą i wszelkie potrzebne naczynia, w któréj jedzenie sam sobie przysposabia, albo też za małą opłatą przez miejscową kucharkę ma sobie sporządzane; nadto ma wspólną spiżarnię, dobrze wietrzoną, z osobnym i zamykanym oddziałem; wreszcie wspólną salę, w któréj czas wolny przepędzać może, i księgozbiór, z dobranych dzieł złożony, u rządcy domu. Chęć czytania, ilem się przekonał, nie jest tam tak rzadką, jak w niektórych gdzieindziej bibliotekach publicznych.

Aby być lokatorem tego domu, potrzeba tylko być porządnym człowiekiem, a szczególniéj wolnym od nałogu pijaństwa. Spostrzeżone przez rządcę jakiekolwiek oznaki złego prowadzenia się stają się powodem wymówienia komornego.

Dom ten mieści w sobie 104 mężczyzn; i podobny drugi, dla 128 kobiét, na téj saméj zasadzie, ale stósownie do

potrzeb, jest urządzony. Oba wzorem są porządku, do którego lokatorowie z czasem nawykają.

Wszystkie w ogólności domy, za pośrednictwem towarzystwa urządzone, nietylko się same z opłat utrzymują; ale jeszcze i kapitał nowy, na inne podobne przysparzają. Że zaś są dogodne, dowodzi to, iż pomimo obowiązku dopełnienia przepisów, tyczących się jedynie porządku i moralności, zawsze i ciągle są zajęte. Zdrowemi zaś być muszą, gdyż w nich wszystkich podczas gwałtownéj cholery w roku 1849 ani jedna osoba słabością tą dotkniętą nie była, podczas kiedy w sąsiedztwie liczne z przyczyny jéj padały ofiary.

Liczba takich domów coraz więcéj wzrasta nietylko w Londynie, ale i w wielu miastach prowincyonalnych, a nawet i na stałym lądzie. W tym celu towarzystwo za zgłoszeniem się do niego, nietylko wszelkich planów już wykonanych; ale i projektów nowych najchętniéj udziela, a przytém uwag ważnych, nabytych z doświadczenia, nikomu nie szczędzi.

Kąpiele i pralnie.

Nie mniéj ważnemi są usiłowania innego Towarzystwa, mającego na celu utrzymanie zdrowia, czystości i wygody, a ztąd i polepszenie moralne klassy roboczéj. Środkiem zaś do tego jest zakładanie publicznych domów kąpielnych i pralni wzorowych, a to z funduszów, pochodzących ze składek i z poboru opłat, w zakładach już istniejących.

Rzeczą jest niewątpliwą, że oczyszczenie ciała jest wielkim krokiem do oczyszczenia skłonności ludzkich, i dla tego też wielce się ten przysługuje ludzkości, kto do wzniesienia podobnych zakładów czynnie się przyłoży i upowszechnieniu ich dopomaga.

Anglicy, jako ludzie nadzwyczaj praktyczni, wiedzieli i o tém dobrze, że do klassy ludu, nawykłéj do nieochędóstwa, które zarówno przyczynia się w nich do moralnego poniżenia, jak i do utraty zdrowia, trzeba koniecznie nie słowy, lecz czynem przemówić.

Pierwsza więc kąpiel dla klassy ubogiéj, i przy niéj pralnia publiczna, w roku 1844 założoną została w *Liverpool*, obejmująca tylko 8 wanien i przyrządzenie dla 21 praczek. Skoro zaś przekonano się, iż skutki tego przedsięwzięcia przewyższyły wszystkie oczekiwania, zajęto się jednocześnie zakładaniem podobnych kąpieli wraz z pralniami na większą skalę we wszystkich prawie większych miastach Anglii.

W Londynie dziś liczą ich już kilkanaście w najludniejszych częściach miasta.

Oglądając je przekonałem się o stopniowem ich udoskonaleniu, które jedynie na drodze samego doświadczenia osiągniętem być mogło. Głównem bowiém, a trudném zadaniem było, ażeby bez żadnych ofiar, kąpiel tak zimną, jak ciepłą, tudzież wypranie bielizny i jéj wysuszenie, za tak nizką dać cenę, i z tak wielkiemi dogodnościami, ażeby przy zachęcie do względu na zdrowie, wydatek na to, możności najuboższego człowieka nie przechodził.

W celu osiągnienia tego, udano się przez konkurs do światła ogólnego, i z pomiędzy 138 planów, pod sąd publiczny długo wystawionych, po ścisłém każdego z nich i nadsyłanych uwag znawców ocenieniu, obrano plan inżyniera *Baly*, i podług niego pierwszą w Londynie kąpiel i pralnią publiczną urządzono. Nie dziw więc, że zakład ten dopiero w roku 1847, i to nie cały, mógł być na użytek publiczny otwartym. A ponieważ zupełnie odpowiedział oczekiwaniu, i powszechną zyskał opinią; przeto stał się wzorem dla innych, nietylko w Anglii, ale i w Hollandyi, Belgii i Ame-

ryce, którym-to krajom bezinteresownie wszelkie plany, kosztorysy i potrzebne uwagi, przez Towarzystwo przesłane zostały. Wreszcie Rząd francuzki w skutek rapportu swoich inżynierów, w roku 1849 umyślnie posłanych w celu przekonania się o głównéj już użyteczności tych zakładów, po zwiedzeniu ich w całéj Anglii, wydał rozporządzanie założenia 12 podobnych kąpieli wraz z pralniami w różnych częściach Paryża.

Wszystkie te domy co do samych kąpieli podzielone są zwykle na dwie wielkie sale czyli klassy z oddzielnym wchodem, i oświecone z wierzchu. Pierwsza z tych klass przeznaczona jest dla zamożniejszych, druga zaś klassa dla ubogich. W salach tych podzielonych na dwa główne oddziały co do płci, przegrody z łupku do znacznéj wysokości wzniesione, dzielą je jeszcze na odosobnione i zamykane izby kąpielne, pokryte siatką drucianą, i dosyć obszerne dla pomieszczenia wanny z lanego żelaza, wewnątrz biało lakierowanéj, tudzież nieodbicie potrzebnych mebli.

Posługa co do wody odbywa się zewnątrz izb ze wspólnego korytarza przez łazienika. Woda jest zupełnie czysta i klarowna, i dwa razy użytą być nie może. Cena kąpieli ciepłéj dla klassy pierwszéj wynosi 6 pensów (1 złp.), zimnéj zaś 3 pensy. W klassie drugiéj za kąpiel ciepłą pobierają 2 pensy (10 gr. pol.); za zimną zaś 10 pensów (5 gr.). Dzieci do lat 8, płacą tylko połowę ceny.

Kąpiel co do wody i wanny jest w obu klassach taż sama; klassy różnią się więc tylko umeblowaniem i tém, że w klassie pierwszéj dają dwa ręczniki, a w klassie drugiéj daje się taki sam ręcznik; ale tylko jeden.

Przy kąpielach tych osobowych, znajdują się w kilku domach kąpielnych jeszcze kąpiele wspólne, służące razem za szkołę pływania; także na dwie klassy podzielone. Są to wielkie sale z wierzchu oświetlone, w których przy stó-

sowném dla kąpiących się urządzeniu, znajdują się pojedyncze wielkie zbiorniki, mające każden 38 stóp ang. długości a 28 szerokości, wyłożone wewnątrz taflami porcelanowemi, i napełnione zupełnie czystą wodą ciepłą, przez ciągły odpływ zmienianą. Wchód do tych kąpieli jest dla każdéj klassy i każdéj płci zupełnie oddzielny. Opłata zaś w takiéj kąpieli wynosi dla klassy pierwszéj 4 pensy (20 gr.) a 2 pensy dla klassy drugiéj czyli niższéj.

W obu takich kąpielach (to jest osobowych i wspólnych) w jednym zakładzie modelowym o 94 wannach, było w ciągu jednego roku 137,519 osób kąpiących się.

Pralnie przy każdym z domów kąpielnych urządzone, objęte są wszystkie w jednéj sali, i tak, jak kąpiele osobowe, dla każdéj praczki odosobnione. W powyższym domu modelowym jest takich pralni oddzielnych 44 i każda praczka ma w nich zamiast zwykłéj balii do prania, dwie płytkie skrzynki drewniane a nad niemi kruczki do wody gorącéj i zimnéj. Z tych jedna skrzynka mniejsza służy do gotowania bielizny, do czego urządzony jest w niéj kruczek parowy wraz z rurką dziurkowaną na dnie leżącą; w drugiéj zaś skrzynce odbywa się właściwe pranie. Do mydlenia wspólne są stoły wielkie, a do odsiąknięcia wody z bielizny wypranéj, w miejsce tak szkodliwego dla niéj wyżymania, służą także wspólne maszynki z siłą odśrodkową, obracane ręcznie za pomocą korby; w których w kilku minutach bielizna przygotowaną jest do suszenia.

Całą ścianę jedną sali zajmuje wązka komora służąca za suszarnią i ogrzana w całéj swéj długości dwiema żelaznemi rurami, stanowiącemi komin leżący pieca ciągle opalanego. Wierzch téj suszarni jest sklepiony z cegieł wydrążonych i zawiéra znaczną ilość otworów małych, dla wilgoci z bielizny unoszącéj się w kształcie pary. Ścianę zaś przednią suszarni stanowią żelazne zasuwy prostopadłe, które podo-

bne do sztalug, służących zwykle w przedpokojach do zawieszania sukien, z prętami poziomemi, są wysuwalne na kółkach.

Na tych to sztalugach opatrzonych zewnątrz tym samym numerem, co i komórka pralni, do któréj należą, wiesza się bielizna jednéj tylko praczki, i w suszarnią wsunięta, bez możności zamiany z obcą, wysycha najdaléj w pół godziny w cieple 83° R, potrzebném nadto i dostateczném do zniszczenia wszelkiego zarodku organicznego, gdyby ten jeszcze w bieliznie miał się znajdować.

Wreszcie po wysuszeniu bielizna prasowaną jest na wspólnych stołach żelazkami podobnemi do żelaz krawieckich, które na osobnym piecu żelaznym, ze spodu ogrzanym, ciągle do użycia są gotowe.

Za wszystkie te wygody w praniu, płaci się za pierwsze dwie godziny po 1 penny (5 gr.) i tyleż za każde następne pół godziny, a pranie samo jednéj praczki, w przecięciu, więcéj nie trwa nad 2 ½ godziny.

W pralni téj jednéj zaraz w parę lat po jéj założeniu, prało w ciągu 10 miesięcy kobiét 14,851, a że każda średnio 5 osób rodzeństwa opiéra, zatem 74,000 osób dorosłych i dzieci w tym czasie opatrzonych zostało w czystą i zdrową bieliznę. Liczba pojedynczych pralni powiększoną jest teraz o drugie tyle, to jest o 44, a tak w jednéj téj pralni publicznéj może teraz rocznie do 400,000 osób czyli do 80,000 familij być opiéranych.

W ogóle w 4 tych kąpielach publicznych i pralniach, dotąd w Londynie czynnych użytkowało z kąpieli zimnych i ciepłych zaraz w piérwszych 4 latach przeszło 1,155,000 osób, z pomiędzy których ⅔ należały do klassy najuboższéj. Prało zaś kobiet w tym przeciągu 215,000.

Liczba ta daleko jeszcze byłaby większą, gdyby i tam z początku nie musiano wiele zwalczać przesądów ludu, dla

którego właśnie dobrodziejstwo to zamierzoném było. Musiano bowiem ogłaszać świadectwa najcelniejszych lekarzy praktykujących, że kąpiel, nietylko nie jest dla zdrowia szkodliwą, jak lud ciągle twierdził; ale przeciwnie do utrzymania jego wielce się przyczynia.

W pralniach zaś w czasie grasującéj tam cholery, wzbraniano się nawet przyjąć ofiary bezpłatnego prania, lubo wiadomém było, że we wszystkich podobnych zakładach dla ostrożności i uniknienia wszelkiego wstrętu, w oddzielnéj części budynku osobne są pralnie, w których bielizna chorych za kartką lekarza, i dotąd bez żadnéj opłaty, z dodatkiem jeszcze mydła, czyszczoną być może.

Skoro się już o prawdziwych zamiarach Towarzystwa przekonano, liczba uczestników stósunkowo znacznie się powiększyła, tak, że żadna z wanien, ani pralni nigdy nie jest próżną, a nawet wszystkie razem nie są wystarczającemi.

Głównym warunkiem w takich zakładach, prócz obfitości wody, jest wielka dokładność apparatów, staranne wietrzenie z powodu wielkiéj ilości tworzącéj się pary; nadto wzorowy porządek, tak dla utrzymania zakładu samego, jako też z uwagi, że domy te mają zarazem stanowić szkołę praktyczną czystości, do któréj uczęszczający stopniowo nawykają.

Wszystko to osiągniętém tam jest jak najtaniéj, z uniknieniem wszakże szkodliwego skąpstwa.

Towarzystwo w skutek kilkoletniego doświadczenia w urządzeniu podobnych zakładów, nabyło przekonania, że przy dobrych apparatach ogniowych, ogrzanie jednéj kąpieli czyli 60 gallonów (67½ garncy) wody, nie więcéj jak ¾ penny (3¾ gr.) kosztuje. Nadto, że przy poborze opłat przyjętych, dochody z takich domów, nietylko pokrywają koszta ich utrzymania; ale jeszcze 7½ do 10 od sta przynieść mogą zysku. Ponieważ zatém domy takie, same utrzymać się mogą

i utrzymują; przeto jest nadzieja, iż niedługo nadejdzie czas dla Anglii, w którym każde miasto, choćby najmniejsze, wstydzić się będzie musiało nie mieć publicznych kąpieli i pralni, jak teraz braku szkoły, kassy oszczędności i pomocy lekarskiéj.

Co się zaś tyczy tych, dla których zakłady podobne są przeznaczone, rzeczą jest teraz dowiedzioną, że koszta oprania jednéj osoby na tydzień, nie przewyższają ½ penny (2½ gr. p.), kiedy dotąd tam w domu, prócz nieporządku i straty wielkiéj czasu, sześć do dziesięciu razy tyle wynosiły. Przy takich więc nizkich opłatach, że za wartość kwarty porteru (w Anglii), można tam mieć wygodną i zdrową kąpiel ciepłą, a za cenę kieliszka wódki *(gin)* wypraną bieliznę, ubóstwo przestanie być wymówką hańbiącéj brudoty. Pomieszkania zatém dla klassy ubogiéj i publiczne dla niéj kąpiele i pralnie są zakładami od dawna pożądanemi, są instytucyami prawdziwego postępu, jakiemi Anglicy, jako pierwsi ich założyciele, słusznie w obec ludzkości poszczycić się mogą.

Wpływ pomyślny takich zakładów na moralność jest niewątpliwym, a skutki na zdrowie są tego rodzaju, że z korzyścią dla uczestników i dla społeczności spóźniać będą ostateczną chwilę, w któréj oni naturalnéj uległszy niemocy, w najgorszym wypadku, zużyte siły swoje, a może i ostatnie tchnienie, złożą w ręce dobroczyńców, aby je w nagrodę ofiar i usiłowań swoich przyjęli. Temu smutnemu przeznaczeniu zwykle poświęcone są szpitale.

Szpitale.

W Londynie liczba tych szpitali jest znaczna, i chociaż jedynie ze składek prywatnych utrzymywane, hojnie prze-

cież ciągle są zasilane, a to tak dalece, iż nietylko na niczém im do niesienia ulgi cierpiącym nie zbywa; ale jeszcze przy dobrze zrozumianéj oszczędności, cechę wielkiéj zamożności posiadają. Nie dziw, bo téż w Anglii, począwszy od familii królewskiéj, osoby najwyższych godności i najzamożniejsze, równie jak najuczeńsi i skromnego mienia, za *religijny* sobie poczytują obowiązek, należeć do konfraternii jakiego szpitala lub innego stowarzyszenia dobroczynnego, aby mu zasiłku i rady nieszczędzić.

Każden więc ze szpitali, stósownie do swego przeznaczenia urządzony, prócz zwykłych potrzeb i wzorowego porządku, posiada jeszcze własną szkołę dla kształcących się lekarzy, zbiory naukowe, oddzielne *dispensorium* do udzielania rady i lekarstw dla ubogich, w mieszkaniu leczonych, i zwykle ogród starannie utrzymywany. W końcu także każdego roku zdaje sprawę publiczną ze swych czynności, postępu, wydatków i przyszłych zamiarów. Wszystkie tam szpitale, lubo pod różnym zarządem dobrodziejów swych będące, mają przecież wspólną zasadę, przyjmowania bez żadnéj zwłoki każdego zgłaszającego się chorego, aby mu w razie potrzeby pierwszą udzielić pomoc; bo wiedzą dobrze, że czasem jedna chwila stracona, niepowetowanych strat dla zdrowia stać się może przyczyną. Późniéj dopiéro, skoro konieczność i dobro chorego wymaga, do specyalnego odsyłają go zakładu.

Systemy, podług których zwykle urządzone bywają szpitale, nader są ważnemi tak pod względem lekarskim, jako też i administracyjnym; głównemi zaś są: system centralizacyi i odosobnienia.

Każden z nich ma swoje zalety i niedogodności. Najpraktyczniejszym wszakże z pomiędzy nich, lubo kosztowniejszy, zdaje się być system odosobnienia, i podług tego

też prawie wszystkie szpitale londyńskie, które zwiedzałem, są urządzone.

Podług tego, każda w nich sala obszerna i dobrze oświetlona, obejmująca najwięcéj do 20 łóżek żelaznych, przestronno ustawionych, tak jest urządzoną, że stanowi niejako osobny szpital, mający z innemi podobnemi, tylko wspólną kuchnię, aptekę i pralnię, a czasem nawet i tę odosobnioną, i nakoniec wspólne korytarze obszerne i ogrzane, któremi wszystkie sale są połączone.

Wszakże wchód do sali z korytarza nie jest bezpośredni; ale zwykle przez mieszkanie dozorczyni sali, którą tam siostrą *(sister)* zowią. Pomieszkanie to, w początku sali będące, właściwie za przedpokój sali uważać należy, przez któren nikt do niéj bez wiedzy dozorczyni wchodzić, ani też żaden z chorych wychodzić nie może. Zwykle też chorzy do wyjścia tędy niemają potrzeby, gdyż w przeciwnym końcu sali umieszczone są dla nich: kąpiele o dwóch wannach, tudzież odosobnione wychodki i umywalnie; a każde z nich najstaranniéj jest utrzymywane, dobrze oświetlone i ogrzane. Widoczną jest rzeczą, że przy takiem urządzeniu, wybór dozorczyni jest ważną rękojmią zamierzonych skutków. Ona bowiem nietylko o potrzebach sali swéj pamięta, i przez osobne okna z mieszkania na salę wychodzące, chorych i ich potrzeby ciągle ma na oku; ale i wszelkie polecenia lekarza, tyczące się każdego chorego odbiera, sama je dopełnia, lub dotyczących się felczera, spełnienia pilnuje; w przypadkach przewidzianych, stósownie do instrukcyi lekarza, sama zaradza, do czego małą apteczkę podręczną ma w swojém mieszkaniu. Ona wreszcie macierzyńską troskliwością uzupełnia to, co właśnie wszelkie środki lekarskie najskuteczniejszemi uczynić może.

Przy najstaranniejszém ochędóstwie w salach, najgłówniejszém a zwykle i najtrudniejszém jest utrzymanie między

chorymi świeżego powietrza, co bez zmiany jego czyli tak zwanéj wentylacyi jest niepodobném. W tym nader ważnym dla zdrowia celu różne i w szpitalach londyńskich znajdują się przyrządy mechaniczne, mniéj więcéj skomplikowane, które przecież z powodu potrzeby oddzielnéj siły, po większéj części nie są w użyciu, i zastąpione są w każdéj sali zwyczajnym kominkiem, równym z podłogą, na którym ciągle tlejące węgle zepsute powietrze dostatecznie kominem odciągają, kiedy świeże natomiast, głównemi oknami z ocieplonego korytarza salę napełnia.

W niektórych wszakże szpitalach powietrze świeże wpuszczane jest dołem, otworami pod każdém z łóżek, aby tém łatwiéj i bezpośrednio chorych otaczać mogło. Z resztą kominki te na salach, służą jeszcze do sporządzania dla chorych ciepłych napojów i do innych potrzeb lekarskich, tudzież do ogrzewania sali, i są zarazem miejscem zbierania się chorych, łóżko opuszczających, a wreszcie rozrywką, pożycie domowe dla nich zastępującą.

Sposób ten wentylacyi jest zapewne z pomiędzy wszystkich sztucznych najprostszym i najpewniejszym; zasługuje więc na naśladowanie nawet w miejscach, gdzieby wpływy klimatyczne ogrzewania świeżego powietrza wymagać mogły.

Wpływy na zdrowie.

Do przyczyn wpływających na leczenie chorych, jak i na utrzymanie zdrowia w stanie normalnym mieszkańców każdego miasta, i zresztą na ich potrzeby, bez wątpienia i głównie należą: czyste powietrze, przystęp wolny światła słonecznego i obfitość czystéj wody. Administracyi więc miejscowéj największém wszędzie bywa staraniem, ażeby brak tych żywiołów nigdy się uczuć nie dał; bo ten, jak

powolna trucizna działając, gorszych klęsk, niż chwilowy niedostatek nawet żywności, z czasem stać się musi powodem.

W miastach późniejszego powstania, o to lękać się niéma potrzeby, gdyż przezorność postępowa obmyśliła już prawidła doświadczenia, podług których gromadzący się ludzie szkodliwym wpływem wzajemnie grozić sobie nie mogą. Lecz w miastach dawnych, w których z przyczyny źle zrozumianéj oszczędności miejsca i z czasem powiększanéj znacznie ludności, przystęp światła, powietrza i stósunkowy niedostatek wody, okropne swe skutki, zwłaszcza też w czasie zjawienia się jakiéj epidemii, widocznie wywierał, musiano nietylko ściśléj stósować się w budowie nowych gmachów do prawideł hygienicznych; ale i dawne zbyt ścieśnione budowle przerzedzać, i wodę z dalekich nieraz okolic z wielkim kosztem sprowadzać.

Dla téj-to przyczyny raczéj, jak w celu upiększenia, burzą teraz po wielu zamożniejszych miastach całe ulice ścieśnione, i z niemi téż, jak gdyby cudem jakim nikną w tych miejscach owe niegdyś zatrważające zjawiska chorób, jakie nieraz najbieglejszym lekarzom pokonać jest trudno. Starożytne miasto Londyn, pomimo nadzwyczajnéj swéj rozległości, zapewne nauczone wcześniéj okropnemi klęskami zarazy i ognia, których kilkakrotnie pastwą było, od dawna i liczne posiada obszerne ulice, i między ciaśniejszemi miejsca wolne czyli rynki *(squares)*, najczęściéj stanowiące ogrody, tudzież znacznéj wielkości parki, starannie utrzymywane.

Miejsca te otwarte ułatwiają przewiew, a zatem i zmianę powietrza, a wegetacya, która je pokrywa, czyści nadto powietrze zepsute; gdyż ona, jak wiadomo, niém się karmiąc, wyziewa natomiast takie, bez którego obejść się nie możemy. Dowód, jak nierozmyślnie postępują ci, którzy

dla błahych często powodów wytępiając drzewa, pozbawiają przez to siebie i bliźnich tak ważnéj dla zdrowia przysługi.

Zapas wody.

Nie tyle wszakże, jak zwykle głoszą, szczęśliwym jest Londyn pod względem wody. Chociaż położony nad obfitą Tamizą i ma jeszcze dwie małe rzeczki i kanał, tudzież ograniczoną liczbę studzien, niéma wszakże czystéj wody, niéma jéj nawet w ilości potrzebnéj, czyli raczéj, zbywa mu na dokładném jéj rozdziale, jakim tam trudni się 8 Towarzystw wodnych, za roczną od każdego domu opłatą. Kiedy przez ciągłe powiększanie się ludności Londynu, liczba jéj wzrosła już do 2,500,000, a od lat 45 podwojoną została, dał się uczuć brak wody, szczególniéj też w nowych częściach miasta, dokąd kommunikacye rur wodnych żadnego z Towarzystw, wodę dostarczających, nie dochodzą.

Z polecenia więc Rządu Komitet główny zdrowia zajął się obmyśleniem środków ku temu zaradczych. W zamiarze dokonania tego ważnego dzieła, w sposób, jaki stan wiadomości obecny wymaga, rozpoczęto od wyboru wody, co do jéj własności i ilości potrzebnéj, zbadano naturę wody dotąd dostawianéj, tudzież wszelkie niedogodności jéj dostarczania, aby ich na przyszłość uniknąć.

Ze starannéj téj pracy Komitetu, z pierwszych uczonych stolicy złożonego, wyniknęło, że dostarczana dla Londynu woda, zbyt jest twardą, a często nawet istotami organicznemi zanieczyszczoną, aby mogła być zdrową do picia, i zdatną do różnych zastósowań technicznych; co właśnie jest powodem, że znaczniejsi piwowarzy Londynu własnym kosztem mają pogłębiane studnie, z których kolejno do warów swoich czystą wodę czerpią; że nadto z dostarczanéj wody przez Towarzystwa w ilości 45 millionów gallonów

(8,354,166 stóp kub.) dziennie, w której około 26 *tons* (650 cetnarów) samego węglanu wapna ma się znajdować, zaledwie trzecia część jest potrzebną, a reszta marnowaną, wtenczas, kiedy niektóre okolice miasta takiego jéj doznawały niedostatku, że klassa uboga wodę potrzebną czerpała w rowach, często śmieciami zanieczyszczonych.

Przyczyny te ważne spowodowały konieczność rozstrzygnienia trzech głównych zagadnień, to jest: *a)* Jaka woda do wszelkich użytków jest najlepszą? *b)* Zkąd ją wziąść dla Londynu w ilości dostatecznéj? *c)* Jaki nakoniec jest system najlepszy jéj rozdzielania?

a) Dopóki idzie o użycie wody do potrzeb tylko zewnętrznych, wtenczas klarowność jéj, tudzież brak zapachu, zdają się być dostatecznemi. Lecz woda do wszelkich użytków technicznych, a szczególniéj do wewnętrznego użycia, powinna nadto i pod względem chemicznym wolną być od najmniejszych zarzutów.

Powinna zatem prócz klarowności, nie posiadać w sobie rozpuszczonych soli mineralnych, a nadewszystko, żadnych części organicznych; powinna jeszcze być chłodną i czystem powietrzem ile możności nasyconą.

W wyrażeniu pospolitem, woda taka będzie zupełnie *miękką*, czystą i bez żadnego koloru, zapachu i smaku, a najmniejszy ślad któréj z trzech ostatnich własności, czyni ją względem zdrowia podejrzaną.

Wprawdzie mała ilość soli wapiennych w wodzie, w stanie normalnym zdrowia, nie jest mu szkodliwą; lecz za to jeźli części *organiczne*, (t. j. jakiekolwiek cząstki królestwa źwierzęcego lub roślinnego) w niéj się znajdują, te dla zdrowia nader są szkodliwemi. Taka woda, jeżeli nie jest *przyczyną* chorób endemicznych czyli miejscowych, stan przecież ich zwykle bardzo pogorsza a do chorób epidemicznych nawet usposabia. Spostrzeżenia angielskich lekarzy, w czasie cholery

1832 i 1849 zebrane, zdają się pod względem szkodliwości wszelką usuwać wątpliwość. Żadne filtrowanie, dotąd używane, części organicznych z wody oddzielić nie jest w stanie, a chociaż doświadczenie uczy, że woda taka przez samo zawrzenie szkodliwą być przestaje, przecież sposób taki przy zaopatrywaniu wodą miasta, na żaden wzgląd zasługiwać nie może.

b) Woda zatem Tamizy, płynącéj po pokładach wapiennych, a ztąd zbyt twarda, już tém samém nie mogła być obraną do zaopatrywania wodą miasta, nadewszystko téż dla tego, że tak jak z wszystkich rzék, do których miejskie wpływają kanały, zawiera w sobie części organiczne w stanie rozkładu; jest więc zdrowiu szkodliwą. Doświadczenie przekonało Anglików, że u nich wszędzie, gdzie tylko rzecznych wód za napój używano, liczne powstawały choroby, i że śmiertelność z powodu cholery, była w tych miejscach daleko większą.

Woda studzienna lubo jest twardą, nie zawiera przecież nigdy części organicznych, jeżeli do budowy studni drzewo użytem nie było; nie jest więc tak szkodliwą. Lecz studni pogłębiane z wielkim kosztem w Londynie dowiodły, że ten rodzaj zaopatrywania wodą, nie byłby dla miasta tego dostatecznym, i jest za kosztowny. Woda więc deszczowa, jak najczystsza, najwięcéj zwracała uwagę Komitetu, tém bardziéj, że kilka już miejsc w Anglii zbiorem jéj, za pomocą osuszania *(drainage)* otrzymanym, dostatecznie przez cały ciąg roku jest zaopatrzonych.

Gdy zresztą doświadczenia przekonały, że woda z osuszania gruntów rurami podziemnemi płynąca jest bardzo czystą i chłodną, tudzież, że glina i iły posiadają własność chemiczną oczyszczania jéj nietylko z istot organicznych; ale nawet ze soli ziemnych, i że własność tę mają nade-

wszystko posiadać grunta zarosłe; przeto uznano sposób ten za najkorzystniejszy do opatrywania miast wodą. Jakoż osądzono w okolicy południowo-zachodniéj Londynu przestrzeń, obejmującą około 100 mil ang. kwadratowych (4,64 mil kwadr. pol.) gruntu nieurodzajnego, spoczywającego na pokładzie nieprzesiąkającéj gliny, za najwłaściwszą ku temu celowi. Aby się zaś zaraz przekonać, o ile na wybraną przestrzeń co do ilości wody liczyć z pewnością można, zarządzono doświadczenie na większą skalę przez osuszenie za pomocą rur *(drainage)*, całego *Hyde-Parku* w samym Londynie.

c) Rozdzielania wody dotychczasowe przez Towarzystwa wodne w pewnych tylko godzinach a nawet i dniach, i to z małém ciśnieniem, uznano za niedogodne. Temu bowiem sposobowi przypisać należy, że woda w większéj nad potrzebę ilości nagromadzana z przezorności, późniéj, jako nie świéża i nie czysta, ze stratą wyléwaną bywa, a zawsze w otwartych zbiornikach na zanieczyszczenie jest wystawianą. Nadto klassa uboga dla oszczędzenia czasu i fatygi, niepotrzebnie jéj zapasy na raz na kilka piętr wysoko dźwiga, kiedy w przecięciu na dzień i na jednę osobę, licząc w to i pranie, najwięcéj 7 gallonów ($8^3/_4$ garncy) spotrzebować może, a ztąd albo przez długi czas jest pozbawioną wody świéżéj i czystéj, albo téż ją wyléwa.

Uznali więc inżynierowie za rzecz najstósowniejszą, dać pierwszeństwo dostarczaniu *ciągłemu* wody i to z wysokiém ciśnieniem, ażeby na wszystkich piętrach domu, i w każdéj chwili za otworzeniem kruczka, w dowolnéj ilości woda świéża używaną być mogła, a wtenczas tyle jéj tylko, ile potrzeba wymaga, a nie więcéj ubywać będzie. System ten ciągły, i wysokiego ciśnienia, przedstawia jeszcze tę dogodność, że przy szybkim odpływie wody, rury do jéj przeprowadzenia służące, mogą być daleko mniejszego wymiaru,

że zatem kapitał zakładowy tym sposobem oszczędza się. Wprawdzie koszta większego podnoszenia wody są znaczniejsze; atoli przewyżka ich zaoszczędzaniem wody, sowicie jest wynagrodzoną będzie.

Woda z wysokiem ciśnieniem może z korzyścią użytą być także, za motor, tak do utrzymywania ciągłéj wentylacyi gmachów, obejmujących znaczną liczbę ludności, jako też do różnych przedsiębierstw, małéj siły wymagających; najważniejszem wszakże zastósowaniem jéj jest użycie jéj do gaszenia ognia.

Połączenie to bezpieczeństwa od pożarów z dostawą wody dla miąst, oddawna już w wielu miastach Anglii zaprowadzone, najpomyślniejszym wszędzie skutkiem uwieńczone zostało. W *Portsmouth* zakład podobny już od lat 150 istnieje. W urządzeniu tém rura główna prowadząca wodę środkiem ulicy, posiada kruczki o 120 stóp od siebie odległe i do tych, w chwili pożaru, przyśrubowane bywają rury skórzane z wytryskami, które miejsca sikawek zastępują. Lubo częste bywały pożary, te przecież w pierwszych kilkunastu minutach ugaszonemi zostały; gdyż do całego przyrządzenia do gaszenia, nie więcéj jak 2 minuty czasu potrzeba. W Londynie (według sprawozdania inżynierów) z pomiędzy 838 pożarów, jakie w ciągu jednego roku wybuchły, $^2/_3$ mogły były być prawie bez żadnéj szkody, gdyby zapas wody wprost do gaszenia w samym początku był użytym.

Zgodzono się nakoniec na użycie wody z wysokiém ciśnieniem do czyszczenia ulic. Czynność w wielu już miejscach w Anglii a szczególniéj w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki okazała się bardzo korzystną, i o połowę tańszą od ręcznego zamiatania ulic; przyczém jeszcze unika się nieznośnego i szkodliwego kurzu, a chłodzi się powietrze w czasie letnich upałów. Na niektórych ulicach Londynu tym sposobem utrzymywana czystość, przy ma-

łym spadku wody, odbywa się za opłatą 4 pensów (20 gr.) na tydzień od każdego domu, kiedy przy użyciu wody z wysokiem ciśnieniem, koszta zaledwie połowę tego wynoszą.

Z prac Komitetu przekonać się można, że przystępując do zaopatrzenia wodą miasta, należy przedewszystkiém oznaczyć największą ilość potrzebną wody na dobę i największą wysokość do jakiéj ma być wzniesioną; gdyż od tego zależeć musi siła machiny użytéj; zrobić nadto staranny wybór wody co do jéj własności, pamiętając o tém, że woda *miękka* jest zawsze najlepszą, a wszelkie w niéj zdarzyć się mogące istoty *organiczne* są zdrowiu szkodliwe. Jeżeli zaś w celu użycia, wody deszczowe przez grunt cedzone być mają *(drainàge)*, dosyć jest znać ilość średnią wody, jaka w ciągu roku z powietrza w daném miejscu spada, aby rozległość jego potrzebną oznaczyć i rurami podziemnemi wodę tę zebrać. Nadto obrać wypada system jéj rozprowadzania i rozdzielania, aby dokładne wymiary rur kommunikacyjnych obliczyć; bo od tego cała skuteczność zawisła. Wreszcie korzystać trzeba z ważnéj sposobności połączenia z dostawą wody, przyrządza do gaszenia pożarów i czyszczenia ulic.

Materyały budowlane.

Komu jest znaną ważność materyałów budowlanych, dziwić się zapewne nie będzie, że tak na wystawie Londyńskiej, jak na Paryskiéj, obok zbytkowéj porcelany i innych kosztownych wyrobów plastycznych, znajdowały się cegły z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiéj przysłane.

Naszych tam nie było i być nie mogło; gdyż one zaledwie na miejsce konstrukcyi, i to nie wszystkie nawet całkowicie doprowadzone być mogą. Ustąpić więc musimy pierwszeństwa w tym względzie nawet Indyanom i mieszkańcom *Tunis* i Kanady, którzy się ośmielili, cegły swoje obok europejskich, pod sąd znawców złożyć.

Gdzie przy braku kamieni budowlanych, zbywa jeszcze i na dobrych cegłach i na materyale do ich trwałego spojenia, tam wszystkie konstrukcye losowi są oddane; tam wszystkie zasady budownictwa i inżynieryi, co do wytrzymałości materyałów, doświadczeniem najznakomitszych praktyków w prawo zamienione, stają się zwodniczym rachunkiem, do tego wiodącym, że najgorliwsze chęci tych, którzy go używali, ironicznym nieraz tytułem *teoryi* są wynagrodzone. Ze złych materyałów budowlanych jest zawsze droższa i zła budowla. Droższa dla tego, że dla jéj dokonania bezproporcyonalnie *więcéj* ich zużyć potrzeba; zła zaś dla tego, że częste reparacye będą nieuchronne i kosztowne, a nadto domy takie wtenczas tylko od zabójczéj dla zdrowia wilgoci są wolne, jeżeli przypadkiem w miejscu suchém stoją.

W celu zapobieżenia ostatniej téj niedogodności, zamiast wyśledzenia prawdziwego źródła złego, które jest w użyciu porzystych, jak gąbka, cegieł, powynajdowano różne sposoby oddzielające mury spodnie od wierzchnich, czy-to przez podkładanie blach ołowianych lub cynkowych, czyli téż szkła lub smółowcu: środków zatém zawsze spójnią muru niszczących i do tego drogich, kiedy kilka przynajmniéj pokładów dobrych, to jest nie przesiękających cegieł, łatwiejby i taniéj celu dopiąć mogło. Aby więc w konstrukcyi tego rodzaju pewnym być pożądanego skutku, potrzeba przy znajomości rzeczy, mieć dobry materyał budowlany; potrzeba zatém mieć i dobrą cegłę.

O taką już nie trudno od czasów, kiedy fabrykacya cegieł przestała być prostą rutyną, a zajęły się nią osoby znające dokładnie własności materyałów surowych i działanie na nich ognia.

Dziś więc nie idzie już o to, aby równie dobrą jak niegdyś, a nawet i lepszą cegłę zrobić; ale o zniżenie jak naj-

większe ceny cegły najlepszéj przez udoskonaleniu wszelkich robót, oraz o udzielenie cegle własności stósownych do różnego i specyalnego jéj przeznaczenia, to jest wtenczas, kiedy ona wpływ powietrza, wody, lub ognia ma zwyciężyć.

Teraz w Anglii upowszechnia się nowy gatunek cegły: cegła wydrążona czyli próżna. Z powodu swéj lekkości cegły wydrążone używane są z korzyścią na wszelkie arkady, najpłaskszé sklepienia i ogniotrwałe sufity, tudzież na ściany cienkie, przedziałowe i zawieszone; zresztą na ściany zewnętrzne. Cegły bowiem takie chronią ściany te od oziębienia i oprócz tego mury z nich zmniejszają znacznie zewnętrzny turkot powozów. Cegły wydrążone mogą wyłącznie tylko machinami z korzyścią być wyciskane.

Do spajania cegieł w zwyczajnych budowlach wystarcza zaprawa wapienna, któréj siła wiążąca zwykle od stósunku zależy, w jakim części jéj składowe, stósownie do natury wapna, pomieszane zostały. Do konstrukcyj jednak wodnych konieczném jest wapno, które z przyczyny chemicznego składu swego, różniącego się od zwykłéj zaprawy, w wodzie twardnieje,i dla tego wapnem *hydrauliczném* nazwane.

Ważny ten materyał nie jest wszakże tak rzadki tam, gdzie się kamienie wapienne znajdują. Wszystkie margle wapienne, posiadające w składzie swym, przy wapnie czystém, około 25 % gliny zwyczajnéj, należycie wypalone, dają wapno hydrauliczne naturalne. Dosyć więc przekonać się o składzie kamieni dających zwykle wapno chude, ażeby z nich obrać takie, któreby zamierzonemu odpowiedziało celowi. Do takich naturalnych wapien hydraulicznych, należy i ów sławny cement rzymski, którym Anglia tak znaczny handel prowadzi. Gdzie zbywa na takich naturalnych połączeniach, należy je robić sztucznie.

Szybkie tężenie takiego cementu i jego siła wiążąca, przeszło 5 razy większa od najlepszéj zaprawy wapiennéj,

tudzieżnie przenikliwość jego dla wody, któréj właśnie twardnienie swe winien, czynią materyał ten nieoszacowanym i zapewne-by do wszystkich robót mularskich w miejscu zwyczajnéj zaprawy wapiennéj wyłącznie był używany, gdyby cena jego temu na przeszkodzie nie była. Używany on jest powszechnie w Anglii, a często bardzo i na stałym lądzie.

Do takich cementów sztucznych należy także wielce ceniony *Portland-Cement*. Winien on jest dawne już nazwisko swoje jedynie podobieństwu co do koloru i twardości do kamienia wapiennego z *Portlund*, w budownictwie angielskiem zwykle używanego. Cement ten, i do nas, chociaż skąpiéj, jak zasługuje, jest sprowadzany i powstaje z 5 miar kredy i 2 mułku gliniastego brzegów angielskiej rzeki *Medway*, bliskich morza, a zatem przesiąkniętych solą morską, która po wypaleniu takiéj mieszaniny wielce się do dobroci cementu przyczynia.

Liczne dowody spojności tego cementu można było widzieć na wystawach. Jeden z tych exemplarzy stanowił belkę z 18 cegieł zwyczajnych na płask w rzędzie spojonych. Koniec jeden takiéj belki utwierdzony był w ścianie, podczas kiedy drugi *poziomo* i *bez podpory* ciągle wisiał w powietrzu. Podobna belka ze 12 spojonych cegieł utworzona, w obu końcach położoną była na prętach żelaznych i w tak poziomém położeniu, na szali, od środka jéj zawieszonéj, dźwigała ciągle 9 cetnarów bez przełamania się. Wreszcie zbudowana płaska, w kształcie belki, arkada, 15 stóp długa, 2½ stopy gruba, a 2 stopy szeroka, z cegieł wydrążonych i spojonych *Portland-cementem*, kilkoma nadto sztabami obręczowego żelaza wzmocniona, złamaną została w czasie doświadczenia, dopiero za obciążeniem jéj w samym środku 627½ cetnarami.

Co się tyczy drzewa, zakłady utrwalenia onegoż, coraz bardziéj wzrastają. Liczne roboty téj ważnej fabrykacyi,

wykonywanéj sposobem P. *Boucherie*, można było widzieć na wystawach i przekonać się na podkładach pod koleje i na żerdziach pod przewodniki telegraficzne, że drzewo tym sposobem przyrządzone, po 8 latach wyjęte z ziemi, nic prawie z własności swych pierwotnych nieutraciło; kiedy inne, obok wystawione, w stanie naturalnym użyte, po 3 latach w podkładach kolei zupełnie, a w żerdziach, w części ziemią przykrytéj, zgnilizną wskróś przejęte było.

Sposób ten P. *Boucherie* polega na przesiąknięciu drzewa słabym roztworem koperwasu miedzianego (siarczanu miedzi), i soli kuchennéj, zawierającym ledwie 5% soli tych rozpuszczonych. To zaś uskuteczniają tam, za pomocą prostego przyrządu pod gołém niebem, złożonego tylko ze zbiornika, z roztworem tym na 40 stóp wzniesionego, tudzież z rury miedzianéj spuszczonéj do niego na dół, a potém poziomo zgiętéj, od któréj wązkie rury ołowiane, kruczkami opatrzone, stykają się, każda z osobna, w jednym końcu z pojedynczemi sztukami drzewa, leżącego na legarach i przeznaczonego do utrwalenia. Ciśnieniem znaczném odtłaczana ciecz w drzewo po niejakim czasie, zawisłym od jego wymiarów, sączyć się zaczyna w przeciwnym końcu czysta, co właśnie jest znakiem ukończonéj roboty. Sposób ten zatém jest ten sam, jakiego u nas w Warszawie już dawniéj w celu farbowania drzewa używali bracia Fryderyk i Jan *Heurich;* a różny zupełnie od tego, jakiego do utrwalenia drzewa administracye kolei żelaznéj w Hanowerze i w Magdeburgu używają. Środkiem bowiem utrwalającym jest tam równie skuteczny a o połowę tańszy roztwór chlorku cynku; przyrządem zaś do tego, cylinder wielki żelazny, w którym drzewo szczelnie bywa zamykane, tudzież pompy ssące i tłoczące do szybkiego wciskania w drzewo téj cieczy. Stopa kubiczna drzewa tym sposobem utrwalonego ma zaledwie 6 gr. pol. kosztować.

Gdy do splotu Wieńca
Wezwan został naród wszystek,
Więc dla dziatek Oblubieńca
Szlę i ja mój listek.
Dar-to skromny i ubogi,
Ot, jak na co kogo staje;
Lecz, Mosanie, i grosz drogi,
Gdy kto, co ma, daje.
A grosiczek ten mój wdowi
Raczcie przytknąć do Wianeczka:
Niechaj prosta ta piosneczka
«Kto Jachowicz» dziś opowie.

KTO JACHOWICZ.

Nachodziwszy się do woli
I po lasku i po roli,
Otoczona dziateczkami,
Jakby kokosz kurczętami,
Przed ganeczkiem wiejskiej chatki
Siadła matka, przy niej dziatki.
I wraz wszyscy jednej chwili,
W oka mgnieniu, bez pobudki
Z swych kaletek wydobyli
Rozpoczęte wprzód robótki;
Jeno Tadzio cztéro-latek
Stawiał z kartek budki.

Bo mateczka, jakich mało,
Wciąż mawiała do swych dziatek,
Jako *praca* Boga chwałą;
A kochaną swą Matulkę
Dziatki święcie wciąż słuchały;
Więc dla wspólnéj Boga chwały,
Gdy Mać szyła im koszulkę,
To i dziatki w miarę siły,
Również *pracą* Go chwaliły.
Starsza już haftuje troszkę,
Młodsza dzierga mankieteczki,
Inna robi znów pończoszkę,
Chłopcy szarpie rwą w szmateczki.
A gdy pracą zaprzątnieni,
To czas płynie, jakby woda: —
Słonko skąpi już promieni,
Schyła główkę do zachoda.
Więc Mateczka zanuciła,
A głosowi Pani Matki
Wtórowały dobre dziatki;
Bo pieśń znaną wszystkim była.

. . . .

«Wszystkie nasze dzienne sprawy
«Przyjm litośnie, Boże prawy!«
Nócą zgodnie, jedną miarą,
(Żadne pieśni nieskaleczy)
Aż do «Miej nas w swojéj pieczy,
«Stróżu i Sędzio człowieczy!«

Prześpiéwali pieśń tę starą,
W tém Mateczka znowu rzeknie:
«Gdyście dzionek tak spędziły,
«A tak grzecznie, a tak pięknie,

«I Boziulkę pochwaliły;
«To w nagrodę waszéj cnoty,
«I że będzie tak, w nadziei,
«Gdy schowacie swe roboty
«Ulubioną dam książeczkę:
«Niechaj Janek dziś z kolei
«Nową czyta wam bajeczkę.»

Więc też każde z dziatek chowa
Swą robótkę do kality,
A, orator znamienity,
Czytał Janek rzecz w te słowa:
«Staś na sukni zrobił plamę;
. . . .
«Bo ci mówię, Stasiu, szczerze,
«Ta się plama niewypierze.»

A gdy skończył Jaś czytanie
Jakaś cisza się rozlała
I gromadka siedzi cała,
Czeka, kto w niéj piérw powstanie.

Deklamator zwiesił głowę
I opuścił w dół książeczkę,
Zrosił łezką oczki płowe;
Potém wejrzał na Mateczkę
I wyrzeknął wraz z westchnieniem:
«Jak to piękne! Matko luba!
«To gdy plama dziatek zguba,
«Strzedz się będę przed jéj *cieniem!*
«Lecz Mateczki proszę złotéj,
«Ten Jachowicz, co tak pisze
«I swém słowem uczy cnoty,
«Kto on taki? niech usłyszę.»

«To staruszek dziś podżyły»,
Rzekła Matka Janeczkowi
«Co wiek cały, całe siły
«Wciąż poświęcał mozołowi,
«By nauczyć młode plemię,
«Jak przykazał Pan nad Pany:
«Kochać Boga, bliźnich, ziemię,
«I mieć honor — nieskalany.
«A nie tylko samém *słowem*
«Opowiadać te zasady
«Zawsze był gotowym;
«Lecz i *w książkach* dawać rady.
«Więc w postaci raz bajeczek,
«To powiastek, to piosneczek,
«Za przykładem Boga-Człeka,
«Co krwią zrosił swoje trudy,
«Gdy nauczał ciemne ludy
«Siejąc ziarna im zbawienia,
«Tak On pragnie i z daleka
«W młode ludu pokolenia,
«W ich dziewicze serca niwy,
«Gdzie ni oset, ni pokrzywy
«Niezdołały się wkraść jeszcze,
«Rzucić ziarna téj nauki
«Przez natchnienia swoje wieszcze;
«Bo chce posiać znów to w wnuki
«Co siał przedtém w ojce, syny,
«By ich przyszłe życia czyny,
«Przekazanym dążąc torem,
«Były drugim życia wzorem.
«I te ziarna rozrzucone
«W każdy zakąt, w każdą stronę,
«Chcąc rozrodzić plonem złotym,

«Jak Zbawiciel krwią swą świętą
«Skończył missyą rozpoczętą,
«Tak Jachowicz krwawym potem
«Rosi ziarnka i podsyca,
«Co posiała już prawica.»

A gdy matka już skończyła,
Słuchał jeszcze światek młody;
A perełką łza zrosiła
Rumieniutkie mu jagody.
Aż wtém szeptać rozpoczęli;
Coś się między dziatwą tworzy:
I wnet prośbę taką wszczęli
U Mateczki swéj podnóży:

«Gdy Jachowicz wszystkie dziatki
«Kocha, pielęgnuje
«Sercem ogólnego Tatki;
«Więc też dziatwa dług swój czuje:
«Więc Mateczko, luba, droga!
«Ułóż taki nam paciorek,
«Bym co ranek i wieczorek
«Mogli prosić Pana Boga:
«Niechaj swoich łask użycza
«Dla Tatulka Jachowicza!»

Rozrzewniona prośbą Mama,
By uczynić jéj zadosyć,
Naprzód ręce składa sama,
I tak Boga pocznie prosić:
A dziateczki za przykładem
Rączki swoje też składają
I za słowa idąc śladem,
Tak paciorek powtarzają:

«Bozio dobry! Łaski swemi
«Tyś ukochał tak dziateczki,
«Że zabrawszy je z téj ziemi
«Zmieniasz w niebie w aniołeczki!
«Chciéj wysłuchać takich dzieci,
«Co im, w danéj niewinności,
«Imię Twoje zaraz wznieci
«Ogień wiecznéj Twéj miłości!
«Przedłuż długo jego łata!
«Niechaj wieczność niepowoła
«Twych dziateczek Apostoła!
«Niech niedotknie nas ta strata!
«Kto miłością kilku ludzi
«Tak ukochał dziatwę małą,
«Niech się życie w Nim wciąż budzi,
«By *za kilku* aż wystało!

«On Apostoł, jak Jan Chrzciciel,
«Wciąż naucza tego słowa,
«Co przekazał nam Zbawiciel,
«Czém ma życia być osnowa.
«On-to krzesząc latorośle
«Nad tém tylko się zacieka,
«Jakby płonkę wznieść wyniośle,
«I utworzyć z niéj Człowieka.

«A gdy potém Twoje syny
«W swéj pielgrzymce tu niebłądzą,
«*To* słów jego są wawrzyny,
«*Oni sami* to zasądzą.
«Więc do pracy i do znoju
«Użycz Mu też zdrowia statek,
«Niechaj w szczęściu i spokoju
«Ma przyszłości tu zadatek!

«Wy, braciszki i siostrzyczki,
«Co z niebieskiéj już wieżyczki
«Na ten padół poglądacie,
«To w anielskiéj swojéj szacie,
«Będąc w łasce Bozi drogiéj,
«Modlitewki swojéj błogiéj
«Nieposzczędźcie jéj i Temu,
«Co nas uczy na téj ziemi,
«Jak się oprzéć mamy złemu,
«By być w niebie wybranemi!»

«A gdy z życia swego czary
«Spełni do dna Tatko stary,
«By w wieczności pójść krainę,
«To okólcie rączętami
«Poczciwości tę dziadzinę,
«I poniosłszy przed tron Pana,
«Mówcie: «Dziatki są świadkami,
«Że to dusza jest wybrana!»

«Amen» Matka wymówiła,
«Amen» powtórzyły dziatki,
I że pora późna była,
Więc spać poszli do swéj chatki.

A nazajutrz znowu rano,
Jak każdego też wieczora,
Modlitewkę powtarzano,
Co mówiły dziatki wczora.

Alexy Zabokrzecki.

CHORA NIEWIASTA.

Zachorowała biédna niewiasta;
Lékarzy do niéj wezwano z miasta.
Nad łożem choréj długo radzili:
Ten i ów rozum uczony sili,
Podaje leki dłonią usłużną;
Ale to wszystko, wszystko napróżno....
Mądrzy doktorzy po długim sporze
Wyrzekli: «Chora żyć już niemoże!«

Tu syn w rozpaczy, z wiarą anioła:
«Boże! zbaw Matkę!« nagle zawoła.—

Bóg głos ten słyszał. Téj saméj nocy
Wyrwał niewiastę z ciężkiéj niemocy:
Wrócił synowi. Bo *słowo Boże*
Prędzéj, niż *mądrość ludzka* pomoże!

Teofil Nowosielski.

DŁUG ŚWIĘTY.

Nasz ludek wiejski ma swe przywary;
Lecz za to ileż ma silnéj wiary!
Ileż w nim serca rodzinnéj cnoty,
Mimo szorstkości, mimo prostoty!

I cóż on winien, że z dawien dawna
Ta złota wolność, ta owa sławna
Wolność szlachecka o lud niedbała!
Że jak macocha nim pomiatała!

Toż lud-sierota dziczał powoli,
Cierpiał i cierpi w swojéj niedoli;
A jednak zawsze wierny był ziemi,
Którą uprawiał łzami krwawemi!

Oj! bracia szlachta! macie dług święty
Dla tych prostaczków! Nad niebożęty
Miejcież już litość, nim palec Boży
Za dawne błędy nie skarze srożéj!

Teofil Nowosielski.

NIEŚMIERTELNA.

Piękna w swym dziewiczym kwiecie
Nić marzenia snuje z siebie;
Po niéj sunie się po świecie, —
Nią zawiesza się na niebie.
Piérwszą siłą jak się dźwignie,
Pędzi w górę tak wysoko,
Że głos żaden niedoścignie,
Niedosięże żadne oko.
Tam młodości słońcem grzana
Po tęczowych farbach pływa,

22

Lub gwiazdami obsypana
W świetle księżyca spoczywa.
Późniéj, powoli opada
Na ziemskich kwiatów kobierce,
Jakby pszczółka z serca w serce
Wnika, szuka, skrzętnie bada:
Czy téż które jéj użyczy
Kropelki czystéj słodyczy.
I miłością się obwija,
I miłością się zasklepia,
I dzień po dniu nitkę zwija,
Co ją do ziemi przyczepia.
A gdy spadnie ziemska szata,
Ona śnieżna znowu wzlata
W górę, w górę, coraz wyżéj.....
Światła, światła coraz bliżéj....
Ku niemu zawsze ciagnięta
Niém się poi, w niém spoczywa,
I w niém się w końcu rozpływa,
Nieśmiertelna, czysta, święta!

Alexander Hr. Fredro.

ROZUM.

Rozum, co uczy miłości Boga,
Miłości bratniéj, miłości wroga;
Co daje poznać nicość ziemskości,
Co każe wierzyć w szczęście w przyszłości,
Rozum-to wielki, rozum niebiański!
Rozum najlepszy; — bo chrześcijański!

Wiktorya S.

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI.

Czemu drży ręka, serce mocniéj bije,
A myśl usnuta znów się w duszy kryje?
Wszak uczcić Męża, jest-to święta sprawa....
Lecz tylko wyższość ma do tego prawa.
Ja téż nieśmiało w wieniec Jego chwały
Spieszę dorzucić i mój listek mały!

Mężu czcigodny, dziatwie naszéj miły!
Dla jéj nauki i dla jéj zabawy,
Dla obyczajów i serca poprawy
Pracując ciągle, stargałeś swe siły!
Jak ojciec, dzieci wszystkie przytulasz do siebie!
Jakże w zamian niemają one kochać Ciebie?

Gdy uczony *mąż stanu* sprawy wielkie waży,
I o nowych korzyściach kraju swego marzy,
Gdy ślęczących nad *prawem* okryje siwizna,
Gdy *żołniérzowi* z bitwy zostanie się blizna,
W ślad za tém ich imiona *blask sławy* okryje,
I tysiąc ludzi czołem każdemu z nich bije.

Ileż więc u nas w chlubnéj powinien być cenie,
Mąż, co drogą miłości wskazuje zbawienie!...
Co prostotą uczucia przemawia do duszy
I przywary dziécięcia już w zarodzie kruszy;
Co zabawę z nauką tak dowcipnie wije,
Że dziécię w czarze miodu, i lekarstwo pije!

Nie jeden z synów naszych i nie jedna córa
Cnotę powabom Twego zawdzięczają pióra;
Bo myśl Twa czysta z niemi pod niebiosa sięga!
Ty chcesz, by ich łączyła jedna bratnia wstęga!
Ty spełniasz słowa Pana! tém, co nieba dały
Wiernie dzielisz się z braćmi dla ich własnéj chwały,
A wziąwszy z góry światło dzielisz je w promienie,
Co wczesne w duszach dziatek rozpraszają cienie;
Ziemskich niedajesz darów, tylko dary nieba!
To téż i nagród ziemskich dla Ciebie nietrzeba:
Twe światło i Twéj wiary głęboka nauka
W *wytrwaniu* i *uznaniu*, nagrody swéj szuka.
Więc za dobrodziejstw tyle, w należnéj ofierze
Matki niosą Ci *wdzięczność*, a dzieci *pacierze!*

Nowa Alexandrya (Puławy).

Dawna uczennica

Matylda z W. G.

KWIECIARKA.

«Kwiatki, kwiateczki, ładne, pachnące!
«Świéżo co rwane na łące!
«Kupcie je, kupcie, Panowie, Panie!
«Kwiateczki tanie!»
Tak woła dziewczę, niby ochocze;
Łza jednak rzewna w oku migocze —
Łza serdecznego żalu, rozpaczy.
Cóż ona znaczy? —
Biednéj-to matki dni zagrożone;
Jéj by nieść ulgę, dziécię strapione
Kwiatki do miasta niesie co prędzéj,
Za garść pieniędzy!

Marya Borowska.

ŁZY.

Mają kwiaty łzawe rosy,
Mają ludzie perły łzawe,
Co na srogich igrzysk ciosy
Zléwają nieba łaskawe!

Dziennym wyschłe ziółko skwarem
Rosa poi i odświeża;
Duszę spiekłą cierpień żarem
Łza ochładza, ból uśmierza.

Kto już myśl wesołą stracił,
I swobody urok cały
Połową życia przypłacił,
Łzy mu tylko pozostały.

Cóż, że w obce zbiega strony,
Gdy w sercu troskę unosi!
Gdzież ma ulgę rozżalony?
W łzie, co bliźnich lica rosi.

* * *

Żywną rosę w pączku róży
W zaraniu słońce zasklepia,
Świetną farbę w dzwonie wróży,
Tysiąc woni w listki wszczepia:

Tyle ponęt serce matki,
Tyle pociech się spodziéwa,
Gdy na łonie lube dziatki
Łzami nadziei obléwa!

* * *

Gdzież szczęśliwy? i kto zgadnie,
Jaki los mu czas wydzieli?
Ten liść z drzewa w morze wpadnie,
Ten się na gruzach zabieli!

Tak w ojczystym bracia domu
Razem rośli ukochani,
A za jednym trzaskiem gromu
Gdzieś biedzą się rozegnani:

Choć zawistny los ich gniecie,
A tęsknota życie trawi,
Spólna łza ich łączy przecie,
W łzach rodzina błogosławi.

* * *

Zwiesił kielich fiołek wonny,
W dzikiéj trawie zakopany:
Księżyc zlewa płyn ochronny
I kwiat powstał odgrzebany!

Tak wędrowca w obcéj ziemi,
Po tęsknych latach rozstania,
Przyjaciel wita rzewnemi
Łzami pociech, przywiązania!

* * *

Lecz często kwiatu nadzieje,
I przyszłości owoc drogi,
Wicher po głazach rozwieje,
A mróz zetnie pączek błogi;

Tak twe znoje i zasługi,
Młodych lat twych poświęcenia,
Prac i ofiar wieniec długi
Chłonie przepaść zapomnienia!

Gdy żal wtedy serce tłoczy,
Za niewdzięczność, pokrzywdzenia,
Cóż ku niebu wznosi oczy?
Ach, *łza cicha przebaczenia!*

* * *

I miłości świat różany,
Co w czarownym śnie nas łudzi,
Jakże często opłakany,
Gdy gorączkę czas ostudzi!

Zwiędnie świeżość, wab' pieściwy;
Zawód, troska, żal zostanie.
O! trzykroć, trzykroć szczęśliwy,
Komu jeszcze na spotkanie

Wyjdzie z chatki przyjaźń szczéra:
Uśmierz boleść na jéj łonie,
Ona niebo ci otwiéra,
Ona *łzą spółczucia* płonie!

* * *

Gdy najsłodsze serc pieszczoty
W wiośnie wieku *ziemia* grzebie,
Świat pozbawia wdzięków, cnoty,
By anioła zwieńczyć w niebie,

Cóż rodziców żałość stłumi,
Zatrze stratę w ich pamięci?
Łza pokory to zrozumie,
Jaką ufność Bogu święci!

* * *

Twéj opiece kto zaufa,
Ktoć się zwierzył, Stwórco, Panie!
Byle szczerą była skrucha,
Ty masz nad nim zmiłowanie!

Czyj więc duch brnie w błędów toni,
Gdy go wzruszy głos sumienia,
Bóg od zguby go ochroni,
Łzą pokuty, łzą zbawienia!

Tak w starcu zniszczeń zarody
Gdy zbliżą w mękach rozstanie,
Czém koi cierpkie przygody?
Łzami wiary w zmartwychwstanie.

Do wiecznego stworzeń bycia
Jest w naturze źródeł tyle;
Do niestałych przemian życia
Tyle siły jest w łez sile!

Skryte siérot słodzą żale,
Jęk niewinnych ofiar koją,
I rozpaczy ciszą fale,
I nadzieją szczęścia poją.

O! niechaj w dni Twych kolei
Od cierpień nieboć osłoni:
Tylko *łzy pociech, nadziei*
Niech wesołe oko roni!

Jan Nepomucen Leszczyński.

DZIEWICA ORLEANU.

(Ustęp z Szyllera).

Żegnam Cię, wiosko! żegnam was, doliny,
Gdzie życie moje tak spłynęło mile!
Już nie powrócą moje błogie chwile!
Już was nie ujrzę.... Po *inne* wawrzyny
Sięgać mi każe ręka Wszechmocnego!
Już ja na wieki pożegnać was muszę,
Wy piękne łąki, wśród kwiecia wonnego,
Szumiące drzewa, i ty zdroju miły,

Przy którym niegdyś, gdym korzyła duszę,
Echa modlitwy moje powtórzyły!

Żegnam Cię, żegnam, moja trzodo biała!
Już Cię Joanna prowadzić niebędzie,
W bujne pastwiska rozpierzchnij się wszędzie!
Inną mi trzodę wola Boża dała,
Bym ją wśród krwawéj wojny prowadziła
Na pole zwycięstw i męczeństwa chwały,
Abym swobodę ojczyznie wróciła,
By lubéj Francji wrogi nie deptały!

Ten, co rozkazał niegdyś na Horebie
W ognistym krzewie, stanąć Mojżeszowi
Przed Faraonem, by swemu ludowi
Wrócił swobodę; — ten co czuwa w niebie, —
Który pasterzy upodobał sobie,
Pośród nich ludom wzbudził Izajasza,
I zmartwychwstanie przez niego ogłasza, —
Tego głos święty ja słyszałam w sobie!

Gdym się modliła z łzami gorącemi,
Słyszałam głos ten pełna zachwycenia:
«Jam Ciebie wybrał za gwiazdę zbawienia,
«Abyś świadczyła o mnie na téj ziemi....
«Żelazem ciężkiém uzbrój piersi twoje,
«Idź, wybaw lud twój i ojczyznę swoję!
«Prócz *méj* miłości ty niepoznasz *innéj*;
«Nigdy niczyją nienazwiesz się żoną!
«Piastować dziatek niebędzie twe łono;
«Lecz ty ocalisz biédny kraj rodzinny!

«Ty się nielękaj, bom ja zawsze z tobą;
«Ojczyzna twoja okryta żałobą;

«Słyszałem skargi, jęki ludu tego,
«Głos ich boleści doszedł tronu mego; —
«Więc kiedy w wojnie obrońcy wyginą,
«Wtedy z ostatnią nieszczęścia godziną
«Ty wsparta siłą mojego ramienia,
«Przełamiesz wrogów twojego plemienia!

«A na znak tobie hełm ozdobi skronie,
«On cię okryje nieśmiertelną chwałą,
«Męstwo Cheruba przeniknie cię całą, —
«Po trudach spoczniesz na ojcowskiém łonie!»—
Umilkł głos Pana, a ja ukorzona
Wyrzekłam: «Stań się Twoja wola w niebie!
«Usłysz mnie tylko, kiedy udręczona
«Błagać Cię będę w ostatniéj potrzebie!»

Emilia z P. B.....wicz.

DO

Stanisława Jachowicza.

Powziąwszy szczéry zamiar ukuć z kopę wierszy,
Na obchód Twych urodzin sześćdziesiąty pierwszy,
Chwyciłem młot Parnaski; — lecz zły kowal ze mnie:
Długo nad skutkiem pracy siląc się daremnie,
Uczułem... że mnie Morféj ciężkiém berłem tłoczy..
Wtém — postrzegam Apolla blask świetny!.. uroczy!..
Słyszę jego przemowę, w dziewięciu Mus gronie:
«Do Wieńca, co ma zdobić Jachowicza skronie,

«Ku uczczeniu zasługi, w rymotworczéj sztuce,
«Niech każda złoży kwiatek! — i ja mój dorzucę.
»Słynny Autor prześlicznych powiastek i bajek
«Ma prawo i do naszych niezapominajek!»—
— Ocknąłem się... znikł Parnas... ale tkwią w pamięci
Słowa bożka, co rzadko komu laur poświęci.

Zacny Mężu! gdy spojrzysz na listki i kwiatki
Tobie, w dniu Twych urodzin złożone w ofierze
Przez tych, co Ciebie wielbią i kochają szczerze,
Znajdziesz pewno: bluszcz!. wawrzyn!. niezabudki!. bratki!.
A temi będą twory, czuciem piękna płodne,
Różnych wieszczów, — chlubnego przeznaczenia godne.
Aby takiemi się stały,
Muzy pomoc swoję dały
Niecąc zapał i natchnienie!
Otóż — snu mego znaczenie.

w Łęczycy.

Ludwik Rajszel.

DO TEGOŻ.

Komu wieszcze natchnienie swych darów użycza,
Mógłby godnie przymioty sławić Jachowicza;
Kształcił on młode serca szczérze i szczęśliwie,
I zyskał wieniec piękny na téj płodnéj niwie.

Do tego wieńca jeszcze słusznie przydać warto,
Niejedną łzę cierpiącym w cichości otartą;

Czyli-to prostym datkiem, czy przez środki inne
Siał On pomiędzy biednych dary dobroczynne.

Szkoda, że mi już chwile upłynęły błogie!
Byłbym ku Jego chwale kreślił wiersze mnogie.
Teraz już milczéć muszę; ale świat ogłosi,
Że piękny wieniec Jego łza wdzięczności zrosi!

Hieronim Kaliński,
były Członek Rządzącego Senatu.

CZEMU SIĘ JĘZYK DOSKONALI?

Bóg ulepił ciało z gliny;
W to kruche, wątłe naczynie
Zawarł iskrę, która płynie
Z nieśmiertelnéj gdzieś krainy:
Od ogniska, co tam w łonie
Boga Ducha wiecznie płonie.
I wstał człowiek a Pan rzecze:
«Będziesz królem śród stworzenia;
«W objawach twego istnienia
«Tyś mym obrazem, człowiecze!
«A jam wielki, doskonały;
«Tyś drobny, ułomny, mały.
«Tyś jednostką — jam całością:
«Całość — stwarza się miłością....
«Z ciebie wstaną miliony!
«Rozprószone te jedności
«Stworzą łańcuch nieskończony,
«Stworzą ogniwka ludzkości...

«W każdéj jednostce z osobna
«Tli iskierka, moja, drobna:
«Gdy w podziale — każdy mały;
«Społem — wzór mój doskonały.
«Oto na związki te święte
«Daję ci *Słowo*, człowiecze,
«W iskierce ducha poczęte!
«Przez miliony przeciecze,
«Zadźwięczy światu myśl bożą,
«Przez nie się duchy otworzą,
«Przez nie się myśli powiążą:
«Elektrycznéj nici wątkiem
«Światy i wieki okrążą,
«Zjednoczą koniec z początkiem...
«Lecz, człowiecze, ty dziś mały,
«A masz być Boga obrazem!
«Kiedyś będziesz doskonały
«Duchem i ducha wyrazem;
«Więc *ku górze* twoja droga!
«Duchem — słowem — tam do Boga!»

Powstał człowiek, ludzkość wstała,
I płynęła w wieków fali,
Mowę w łonie kołysała:
Ludzie mową się jednali,
Mową ducha objawiali.
Za Twórcy idąc rozkazem,
Natchnieniem Jego wiedzeni,
By się stać Boga obrazem
Mnożyli ducha promieni,
A ze wzrostem i rozwiciem,
Z promieniącém ducha życiem
Rozwijali — wyłoniali

Coraz pełniéj z dusz ukrycia
Mowę — znak pełnego życia,
Ten kwiat duchowego bytu.

Idziem, idziem tam do szczytu
Połączeni pieśnią ducha;
Idziem, idziem w doskonałość,
Słowem zlani w jedną całość;
A tam z góry, Bóg Duch słucha,
I do szczytu coraz wzywa!
Z niebios pieśń aniołów śpiewa,
W pierś ludzkości płynie wiekiem,
Stwórcę przybliża z człowiekiem;
Aż *miłością* wraz roztleje:
Z pieśnią niebios ludzi mowę
W jednodźwięczny akord zleje
W barwę jednę i osnowę!

Cóż pytacie? czy niewiecie?...
Mowa *ducha* jest odbiciem:
Razem z duchem wzięła życie,
Razem żyje spólném życiem.
Czem' się język doskonali?
Czemu idziem coraz daléj? —
Wolą Twórcy i rozkazem,
By się *Jego stać obrazem*:
By z jednostki całość złożyć,
Biedz *ku górze* za wielkością,
Spólne ognisko ustalić
Jedną myślą i miłością, —
Byśmy w pieśni dźwięcznéj fali
Weszli w wieczność doskonali!

Walentyna Kowalska.

DO KOPERNIKA (*).

Świat mym zawodem, — Kopernika śpiéwam.
Ludwik Osiński.

O Koperniku! Jakaż Twa potęga!
Myśl Twa genialna aż do *niebios* sięga!
Samego Boga o ruch światów pyta
I tak gwiaździstą księgę *nieba* czyta!

Błogosławiony, przed kim się otworzy
Wielka myśl Pana! — Kto ludziom objawi:
W tworzeniu światów jaki był cel Boży?
Ten swą mądrością *godnie* Boga sławi!

(*) Śniadecki pisze o Koperniku: „Jednak lubo pilna była jego koło astronomii praca, nie uchylał on się bynajmniej od usług publicznych dla ojczyzny, i od sprawowania ważnych interessów warmińskiej kapituły; na sejmach polskich wielokrotnym był jéj obrońcą przeciw przywłaszczeniom zakonu krzyżackiego. Na sejmie zaś poznańskim, gdy z przyczyny zepsutej przez mistrzów krzyżackich monety polskiéj, zawiła i trudna do zaradzenia temu złemu wszczęła się materya, Kopernik matematycznym prawdziwie rozsądkiem wytłumaczył ogólne prawidło, i jak najdokładniéj objaśnił zasady do ustanowienia biegu słusznego wszelkiéj monety w krajach polskich, litewskich i pruskich służące. Godną zastanowienia jest czynność jego, rozmaitość wiadomości. *Frauenburg* sztuczną i dobroczynną machiną pomysłu i pracy jego się szczyci; akademia krakowska ma wizerunek jego ojca, ręką tak sławnego syna malowany; Królewiec rzeźby jego, Wiele instrumentów do astronomii potrzebnych sam sobie wymyślał i robił; gdyż często się zdarza, że dla ludzi uczonych, dzień zdaje się mieć więcéj, niż dla innych, godzin, a to dla tego, że zawczasu w najpotrzebniejszéj ćwiczą się nauce, w nauce korzystania z czasu."

Przed tak natchnionym, wielkim myślicielem
Ziemia zmalała; ale *wszechświat* cały
Po téj rozmowie Twojéj z Stworzycielem
W pojęciu ludzi *ileż* nabrał chwały!...

Tak, Koperniku! Szczytna mądrość Twoja!
Lecz *drugą* wielkość widzę w Tobie jeszcze,
Nie samo tylko to natchnienie wieszcze,
Przed którém słaba korzy się myśl moja:

Tyś rękę swoją, która gwiazd obroty
I loty planet nakreślić umiała,
Co nawet pędzlem szczęśliwie władała, —
Wyciągnął także do *uczynków Cnoty!*

Nie dość, że wielkim byłeś myślicielem,
Tyś pełen czucia troski bliźnich koił,
Tyś kalek, chorych był uzdrowicielem (a),
Tyś głodnych karmił, pragnących napoił (b).

I *tam* widziano, Koperniku, Ciebie,
Gdzie szło o *ogół* w kole sejmującém:
Tyś wspiérał radą ojczyznę w potrzebie,
Z prawdziwie polskiém sercem gorejącém!

Gdy nad *uczoność* większą jest u Pana
Ta *litość* czuła na braci cierpienia,
Miłość serdeczna, *pomoc* nieprzerwana,
Z Chrystusowego płynące natchnienia;

(a) Kopernik wielką także biegłość w sztuce lekarskiéj posiadał, i wiadomości swoich w téj mierze, z wielkiém poświęceniem się, ku ratowaniu cierpiących bliźnich używał.

(b) Jak wyżéj Śniadecki wspomina, Kopernik miasto *Frauenburg* (w Xięstwie Warmińskiém) gdzie mieszkał, zaopatrzył w wodociągi.

Więc nad nauką *dziwi się* ma dusza;
Lecz myśl o Twoich *czynach* tak szlachetnych,
Wielkich przed Panem, chociaż nie tak świetnych,
Do samej głębi serce moje wzrusza.

Iskra genjuszu bywa darem *nieba*;
Lecz by zwyciężyć samolubstwo swoje,
Ciągłe ze sobą walki staczać trzeba!
W tém więc *wyłącznie* są zasługi *Twoje*.

Któż dziś z nas może stać się Kopernikiem:
Dawać rozkazy na sklepieniu Bożém? — (c)
Lecz gdy nam *Cnota* będzie przewodnikiem,
Wszyscy Polacy wyrównać Ci możem.

(c) „*Sta sol, ne moveare!*" (Słońce, stój! nierusz się!). Napis na nagrobku Kopernika w kościele uniwersyteckim Ś. Anny w Krakowie.

Felicya P.

ADEODAT.

ADEODAT
NA PUSZCZY.

Piękną jest natura! piękne są wszystkie stworzenia Twoje, o Boże!.. olbrzymie i najdrobniejsze, wdzięczne i potworne, użyteczne i groźne — wszystkie Panie są dziełem woli Twojéj i cudem Twéj mądrości! Ze czcią spoglądam na dęby wspaniałe, na wysmukłych jodeł konary; pieściłbym, jak dziatwę moją, gęste krzaki leszczyny i błękitne wśród zielonych paproci dzwoneczki! Widziałem wczoraj króla tych lasów, wilka z paszczą zakrwawioną, jak na dzikiego wołu zwycięzko się rzucił, i uwielbiłem siłę Twoją, o Panie! w siłach bezrozumnych zwiérząt działającą. Zaszeleściały listki na drzewie, pod którém stałem: zwinna wiewiórka wychyliła się ku mnie; przez chwilkę popatrzyła żywemi oczkami, i nagle schowała się pierzchliwie; choć ja tylko przyjaźną myślą pogoniłem za nią. Na gałązce drżącéj od lekkiego tchnienia wietrzyka ozwał się głos piegży wesołéj; — zbudzony puhacz smętnie zadął żałobném wołaniem i ucichł znowu, a kukułka kukała i kukała, że aż się echo rozlegało wszędzie. Co-to życia, ruchu, wdzięku! co tonów nieprze-

słuchanych dałeś, Panie! ziemskiéj bryle naszéj! Gdzie oczy zwrócić, tam nowe arcydzieło Twoje, Mistrzu wszechświatów potężny! Skrzętna mrówka, co u stóp żywicznych pieńków gospodarzy, — złocista pszczoła, co do wysokiéj barci kroplę miodu niesie, — komar niewidzialnie w powietrzu brzęczący, — gąsienica listkiem ulubionego sobie ziólka spowinięta, — nad wodą czystego zdroju, drżąca niby odłamany tęczy kawałek, leciuchna panna o cztérech skrzydłach gazowych, — — jakież to śliczne! ciekawe! zajmujące! po całych godzinach przypatrywałbym się i słuchał. Mnie się nawet podoba ten wąż jadowity między wilgotnemi trawami promieniem słońca ze snu przebudzony: — oto wzniósł się na ogonie, żądłem niebu pogroził; lecz pierś jego w błocie się nurza, i od błota odstać nie może; — a teraz ślizga się cicho, prędko, — wyłamuje się w tajemnicze półkola i hieroglificzne znaki. O! wiekuisty symbolu wiedzy ziemskiéj! i ty musiałeś swój haracz mi opłacić, — musiałeś dać chwilkę przyjemności, dać myśl dobrą i przypomnienie zbawienne! tak ci Pan twój rozkazał, — tak mnie Ojciec mój, który jest w niebie, wziąść i użyć pozwolił. *Gloria in excelsis!....*

Długo, bardzo długo tęschniłem do Ciebie, Boże mój, niby pisklę z rodzinnego gniazda wyrzucone. Piérwsze lata piérwszéj młodości przejęczałem w modlitwie ciągłéj skargi i ciągłego utrapienia. Roztworzyłeś przede mną skarbiec darów Twoich; postawiłeś mię wśród świata, jako wśród przybytku swojego, a mnie łzy dziecinne wzrok przysłaniały i wzdychając do nieba, przez Ciebie stworzoną ziemię zupełnie z oczu traciłem. Rozżalone serce moje szukało Cię poza stropami sklepień gwiaździstych, — myśl niespokojna zazdrościła białych skrzydeł aniołom Twoim lub się roztapiała w marzeniach o blasku Cherubów, co na oblicze Twoje patrzą; o szczęściu Serafinów, co w zachwyceniu nad doskonałością Twoją nieskończenie bytują. Wzrastał i wzrastał mój smutek,

aż dorósł prawdy Twojéj, aż z niemocy i osłabienia, wielką siłą stał się we mnie. Zerwałem się według słów Psalmisty «jako mocarz pijany, którego budzą z uśpienia; jako mocarz pijany, który wykrzykuje po upojeniu swojém.» Patrzyłem: gdzież jest droga powrotna do Ojca mojego? i duch widział, — duch poczuł, że to jest droga nie *żałoby*, ale *miłości najwyższéj*. O Panie! o Boże! więc ja *kocham*, — ja nie tęschnę już!

Kocham wszystko w imieniu Twojém i dla imienia Twojego. Przez miłość *rozumiem* wszystko: nie gardzę niczém, nie potępiam niczego. Przez miłość odgaduję, czém były, czém są, czém będą wszechtwory Twoje, i widzę, jako na dłoni, że każdy z nich był lub jest, będzie lub być może doskonałością według praw Twoich i według swego gatunku. Na co spojrzę, to mi się rozjaśnia chwałą Twoją w spełnioném lub spełniającém się, lub możliwém do spełnienia przeznaczeniu. Czy g d, co pełza w kałuży, czy tygrys, co krew ciepłą chłepce, czy nawet człowiek, co bluźni i grzeszy. Panie! przed Tobą i przed miłością moją w Tobie, święci się wszystko celem i środkiem, — nadzieją i obietnicą zbawienia Gad w stosunku do pełnego wyziewów trzęsawiska, tygrys w stosunku do pustyni niepłodnéj, bluźnierca w stosunku do mnie, jest najlepszością i jest łaski Twojéj objawem. Gdzie martwota wbrew twojéj ustawie rozpostarłaby się wszechwładnie, tam siła życia zdobywcza dzikich wysłańców Twoich popycha. Gdzie piekło na znikczemnienie i upadek czycha, tam zasługi otwiérasz pole, tam prowadzi mię ręka Twoja, i uczy natchnienie Twoje, jak mam cierpliwie łagodzić zawziętość, rozbrajać nienawiść — ciemnotę światłością Twoją, fałsz słowem Twojém odpierać.

Dawniéj przed obrzydliwością spustoszenia i przed występku szkaradą, jako Cezar przed zabójczém żelazem Brutusa, odwracałem się ze wstrętem i skrajem pustelniczego

płaszcza zasłaniałem sobie twarz upokorzoną... *Upokorzoną*, a nie *pokorną*, Panie mój! — bo mię tylko zgroza przejmowała bolesna, wstyd ogarniał trwożliwy, poczucie jakiéjś hańby w lasów pędziło samotnie; bo mię dręczyła współodpowiedzialność rodowa, i poniżał we własnych oczach bliźni związek z takiemi, co obrażali Ciebie. Dzisiaj — nawet w zbrodniach mych braci błogosławię Ci stokrotnie. Więcéj jest we mnie chęci służenia dobremu, niż oburzenia na złe; więcéj o tém myślę, co dla drugich zrobić, co poświęcić mogę, niż o tém, czego oni jeszcze nie zrobili, co wydarli sobie wzajemnie, co zepsowali i skazili. Niepragnę już samotności; rzucam bez żalu pustelnię moję. Ty, Panie! dałeś mi braci, których mogę pocieszać, upominać, którym służyć i pomagać winienem! Idę do nich z imieniem Twojém na ustach! Wiém, że mię wyszydzą, jako Ciebie wyszydzili, Jezusie Nazareński. Przebaczę im, jako Ty przebaczyłeś. Posądzeniem na mnie cisną, jako cisnęli na Ciebie, gdyś rozwięzywał opętanych i kaleki uzdrawiał. Nie zrażę się, jako Ty nie zraziłeś się, Baranku cierpliwy! Umęczą mnie może, jako Ciebie umęczyli za świadectwo prawdzie przed ludem całym Izraela złożone. Modlić się za nich będę, jako Ty na krzyżu Kalwaryi modliłeś się, i dam cześć, dam uwielbienie Tobie za największy łaski Twojéj dowód; bo gdy śmierć koniecznośnią naturze ludzkiéj sądzona, czyż nie wybranym, czyż nie uszczęśliwionym Twoim jest ten, co musiałby z choroby, z przypadku, lub ze starości umiérać a on umiéra dla myśli Twojéj i dla zbawienia swych bliźnich!

Nie, nie zazdroszczę aniołom; — nie, Cheruby i Serafy «na krótki czas» tylko wyższe są ode mnie: one posłuszne, one światłe, one radosne; ale ja, syn człowieczy, — ja współdziedzic Chrystusa — *więcéj* od nich kochać mogę; bo mogę się poświęcić, pracować i cierpieć! Dzięki! dzięki Tobie, o Boże!...

Ciężyło mi pierwej ciało moje, jako namiot niewygodny; dłużył się każdy dzień życia, jako dzień wygnania tęschliwy; dziś lekki jestem duchowi własnemu, — dziś uznaję, że najkosztowniejszym z kosztownych podarunków Twoich, zawsze i dla każdego, jest ów kawałek wieczności na trud, na bojowanie, na pokusy i upadki może; ale nie mniej przeto, na tworzenie własnego zbawienia lub na pomoc ku zbawieniu innych wypożyczony. Bądź ty, jakim chcesz, człowiecze, prędzej czy później *musisz* stać się takim, jakim cię mądrość i sprawiedliwość wiekuista mieć chciała. Bądź jakim chcesz, prędzej czy później *musisz* zbawić sam siebie; lub, chociaż oporem szatańskim, *musisz* wywyższyć drogi tych, co nad twojém zbawieniem pracują: *musisz* być świętym lub przysparzać męczenników, co krwią swoją i łzami możliwość odpokutowania twych grzechów wyjednają u Boga. Tak-to w jedności celu, tak-to w pojęciu zbawienia wszystkie pozorne sprzeczności godzą się i tłumaczą, a dla cnotliwych i występnych życie równém się dobrodziejstwem Bożém okazuje. Więc dzięki Tobie, Panie, że mi dałeś życie! więc dzięki, choć dasz cierpienia, trudy i pokusy!

Wracam do *ludzi*, żeby im świadczyć o Tobie, żeby ich pozyskiwać dla prawdy i miłości.

Patrz w siebie, duszo moja! ozwij się najtajemniejszym zarzutem, o! sumienie moje!.. Czy jest gdzie w skrytościach mego serca samolubstwo przebrzydłe? czy jest próżności okruch najdrobniejszy? czy jest zuchwalstwo i lekkomyślna zarozumiałość?.. Może pragnę roskoszy, dostatków, znaczenia? może zbyt ufam własnym siłom, a przyłożywszy rękę do pługa, za byle ponętą, za byle cackiem w tył się obejrzę i skrzywię brózdę ojczystego zagonu?... *(Namyśla się bardzo długo).* Nie, Panie! Ty, co czytasz w głębi ducha mojego, Ty wiesz, że ja nie pytam nawet, czy mi dziś zapracowany kawałek chleba na jutro wystarczy; nie dbam

o przychylność dla mnie, bo całéj miłości bratniéj chcę dla słowa Twojego. Dasz chwilę radóści, Panie! — przyjmę na wsparcie i orzeźwienie; nie dasz, — wyrzeknę się jéj z pokorą. Oklask lub przygana równie są obojętne przyszłości mojéj: ucieszą mię lub zmartwią tém jedynie, że będą przyznaniem lub zaprzeczeniem méj wiary. A wiara moja?.. to nie wymysł przecię własnego rozumu, to nie systemacik żaden. Wiara moja — to słowo Twoje — obietnica Twoja — prawda Twoja, wyrażająca się przez wszystkie wieki *miłością* i coraz wyższém w świętości *udoskonaleniem*. Wiara moja — to każdochwilowa dążność ku zrzeczywistnieniu i wypełnieniu ewangelii Twojéj, — to potrzeba nienasycona ideału Chrystusowego w sobie i w drugich — na ziemi i w niebie. A więc ja nie samolub — nie pyszny, — nie zuchwalca. Próżną kału jest dusza moja, i sumienie moje bez trwogi. A więc ja mogę pójść między braci moich, — między dzieci Twoje grzeszne, spracowane i smutne, — a więc ja mogę cieszyć, pracować i zbawiać. — Idę, — idę, — Boże! Ojcze, błogosław!

(Wychodzi z puszczy).

ADEODAT

W SALONIE.

Młoda Osoba. Jakże się Panu muzyka Roberta Diabła na wczorajszém przedstawieniu podobała?

Adeodat. Najpiękniejszą była modlitwa Alicyi przy krzyżu.

Młoda Osoba. Oh! ja na to się niezgadzam; arya Izabelli więcéj mię zachwyciła.

Adeodat. Czy dla tego, że namiętniejsza?

Młoda Osoba *(lekko zarumieniona)*. Dla tego, że silniejsza przeciw złemu. Alicya odparła tylko postrachy szata-

nów, przetrzymała tylko wichry i błyskawice. Izabella rozbroiła namiętność człowieka, przezwyciężyła własną słabość swoją. Im bardziéj się zastanawiam, tém więcéj prawdy i piękności w téj operze widzę. Robert, to każdy młodzieniec z namiętną naturą i chciwą wrażeń wyobraźnią na świat wstępujący. Bertram, to każdy współuczestnik wesołych hulanek. Na byle zielonym stoliku rozgrywa się taż sama partya, co nieszczęsnego Roberta rzucaniem kości do nędzy przywodzi. Scena pokusy, w teatrze dla fotelowych widzów kilkakrotnie na tydzień rzeczywistością się staje. Niech to więc Pana nie obraża, jeśli przez wzgląd na ogół, Roberta Diabła nazwę prawdziwym typem dziewiętnastowiecznego mężczyzny. Szaleniec, szuler, roskosznik, zawsze on zbyt późno przybędzie, gdy heroldowie przeraźliwym trąb głosem zawezwą na turnieje, czy po wieniec zwycięski, czy po rękę szlachetnéj oblubienicy, czy po zdobycie miejsca i czasu, przestrzeni i teraźniejszości dla obietnic Bożych. Któż go z hańby wtedy wykupi? kto z kału oczyści? kto przed nim kościół gorejący światłem i brzmiący hymnami dziękczynienia otworzy? kto? — Kobiéta. Kobiétę Pan słyszysz w najcudowniejszych pieśniach téj opery. Wspomnieniem matki, opieką siostry mlecznéj, Alicyi, Robert walczy przeciw poszeptom Bertrama. Głos Izabelli piérwszy go uczy, jak stanowczo zwyciężać je może. Tercet z ostatniéj sceny jest tylko zaokrągleniem artystyczném, summą niejako rozsnutych przez całą sztukę pomysłów; lecz rozwiązaniem właściwém jest śpiéw błagalny pięknéj księżniczki; koroną moralną dzieła jest tryumf kobiéty przez miłość nad piekłem i namiętnością.

Adeodat. Czy Pani wierzy temu, że kobiéta, która kocha, jest silniejszą od piekła i od namiętności?

Młoda Osoba *(z uniesieniem.)* Jakżebym wierzyć nie miała? toć w tém upewnieniu jest jedyna pociecha, jedyna

wielkość nasza; jedyne prawo nasze do życia na ziemi i do zbawienia w niebie. Odbierz Pan kobiécie tę świętość nierozłączną z każdém jej serca uderzeniem, wydziedzicz ją z téj natury, dla któréj doskonałość ukochanego przedmiotu równie a może więcéj, niż jego szczęście jest potrzebną, cóż nam zostanie? Jako matkom — instynkt; jako siostrom i przyjaciołkom — wspólność interessu; jako żonom i kochankom — niewola. Oh! zaiste, wierzę, i mocno wierzę, iż w sercu kobiéty, pod grozą nieszczęścia lub spodlenia, uczucie każde musi się w cnotę i świętość rozwijać; bo — bo niebyłoby uczuciem, niebyłoby miłością.

Adeodat. Dziękuję Pani za te słowa!

(Młoda Osoba z zadziwieniem na Adeodata patrzy.)

Adeodat. Tak jest, szczerze i serdecznie dziękuję. Pani jesteś bardzo piękna. *(Młoda Osoba spuszcza oczy.)* Na mnie wdzięki kobiéce zawsze wielkie czynią wrażenie. *(Młoda Osoba rumieni się; Adeodat spostrzega jéj pomięszanie i śpieszy z dalszém objaśnieniem).* Zachwycam się przecież wschodem i zachodem słońca, różowemi smułkami, co na łąkach rosną, wodą bieżącą rzeczułek, odłamkiem kamienia połyskliwym; zachwycam się byle ptaszyną, byle muszką częstokroć. W tych wszystkich martwych lub bezrozumnych tworach znajduję zawsze nowe do uwielbienia Stwórcy powody, nowe do ukochania Najwyższéj Mądrości zachęty. A piękność kobiéca, ta, którą chciał mieć Pan Bóg wieńcem najcudniejszym swojéj *genesis*, ta jedna miałażby dla mnie martwym pozostać tylko kształtem? — Nie, ja się nie zapiéram, że głowy przed nią uchylam, ile razy na drodze życia mego ją spotkam; bo spotkawszy, zaraz przypominam sobie, czego ona powinna być objawem, i nie pojęcie kształtu budzi się we mnie; lecz pojęcie cnót i przymiotów odpowiednich kształtowi; — nie jasne lub ciemne warkocze, nie rumieńca lub ust świéżość na moje zmysły działa wtedy; lecz duchowi mojemu uprzy-

tomnia się czystość niepokalana, wiara pełna spokoju, pokora pełna godności i nadewszystko miłość, — owa miłość, co jako śmierć jest mocna, a jako prawo Boże święta i niewzruszona. Dla tego więc powiedziałem Pani, że piękność kobieca wielkie na mnie robi wrażenie. Wiém jednak, że świat kłamie i grzeszy. W świecie kłamstwa i grzechu piękność, jedyna forma, co godną jest po ludzku wyrazić myśl Bożą o Maryi Dziewicy, — w świecie, mówię, piękność, próżna wewnętrznéj prawdy, *pokutą* tylko zwykle i *nieszczęściem* się staje. Dla tego-to widok jéj, choć mię zachwyca, to mię i smuci także. Kiedy z daleka przypatrywałem się Pani, «Szkoda! szkoda!» mówiłem sam w sobie — «ona, pię-«kna, rozmarzy się o szczęściu, przyzwyczai do pochlebstw «i do wymagań, wartość życia na wartość doznanych przy-«jemności obliczy, — dla niéj, dla pięknéj, świat niegodném «pobłażaniem się ublichtruje; bezczelnie od niéj wrażeń ro-«skosznych i chwilek zabawy żądać będzie, — a za Chry-«stusem kto się upomni? kto w marnotrawstwie i poniżeniu «to biédne, odurzone, ślepe, duchem niewyrosłe jeszcze dzié-«cię próżności surowo przestrzeże?» Pani mię wywiodłaś z mojego niepokoju, — sama wskazałaś, którą drogą iść będziesz, — droga dobra i prosta przez wszystkie uczucia serca i przez wszystkie szczęścia przydatki zawsze ku wyższéj doskonałości, zawsze w górę, ku zbawieniu. Teraz już wolny troski, mogę Bogu dziękować, że Panię piękną stworzył, i dziękowałem téż Pani, że jéj słowa dały mi prawo do tego. Niechaj mi daném będzie jeszcze o ich zrzeczywistnieniu się dowiedzieć. Czy Pani kocha kogo?

Młoda Osoba *(z półuśmiechem.)* Rodziców, siostry i brata.

Adeodat. A kochanka?...

Młoda Osoba *(śmiejąc się bardzo głośno.)* Co za dziwne i śmiałe pytanie!

Adeodat (*poważnie.*) Dla czego tak dziwném i śmiałém Pani się zdaje?

Młoda Osoba. Bo dosięga najwyłączniejszéj własności ludzkiego serca. A Panu co do tego, czy ja bogata czy uboga? (*śmieje się znowu.*)

Adeodat. Śmiéch Pani od łez jest smutniejszy. Tym jednym śmiechem zaprzeczyłaś Pani prawdzie lub raczéj szczérości powiedzianych przy początku rozmowy naszéj wyrazów. Gdyby w duchu i w naturze Pani wszelki objaw uczucia był, jako mówiłaś, cnotą i świętością rozwinięty, wspomnienie o kochanku nie wywołałoby czczéj pustoty na usta. Spotkany już, albo oczekiwany jeszcze, łączyłby się on zawsze w wyobraźni Pani z pojęciem surowych życia obowiązków, z religijném serca ku Bogu wzniesieniem, z nadzieją tego dobra, które przy wspólnéj pracy, jemu, rodzinie i ziomkom zapewnić będziesz Pani mogła. Widać jednak, że tak nie jest. To słowo «kochanek» przywodzi Pani tylko na myśl pewną summę przyjemności, czułych oswiadczeń, zadowolonych wymagań, może nawet z dosyć arytmetyczną pewnością obliczonych zysków. Dla tego saméj sobie niezdając sprawy z tych wrażeń, czujesz Pani potrzebę ukrycia ich w głębi swéj duszy. Dla tego zowiesz je własnością swoją najwyłączniejszą,—i masz słuszność: najwyłączniejszą własnością człowieka są jego *słabości* i *grzéchy*. Wszystko, co w nim jest czyste, nieskażone, poczciwe, wszystko to zawsze do Boga i do ludzi braci należy.

Młoda Osoba. Jaki Pan młody! jaki Pan naiwny! Prawda, że co u nas dobre jest, to należy do Boga; ale nie wszystko co do Boga należy, do ludzi należéć może: są perły, których na zdeptanie rzucać nie wolno.

Adeodat. A któraż perła kosztowniejsza od téj, którą już Pani podarowałaś mi piérwéj? Jeśli godny byłem przyjąć wyznanie jéj osobistego przekonania w rzeczach najwię-

kszéj wagi, czemu mię Pani od zatwierdzających je szczegółów usuwa? Gdyby Pani cisnęła w moją stronę kwiat wonnéj róży lub kamień, czyżby ją zadziwiło, że pytam: «dla czego?» — a kiedy do objaśnienia uczynku, jego moralna zasada, jego wewnętrzne słowo jest mi potrzebném, jakże stokroć więcéj jeszcze do zrozumienia słowa każdego jest mi wiadomość o jego sposobie wykonania konieczną.

Młoda Osoba. Ha! to już purytanizm przesadzony! Jeśli każde ogólne zdanie przyjdzie spowiedzią uczynków swoich popierać, wszyscy zamilkną podobno, i nie znajdziesz Pan nawet kwakra amerykańskiego do towarzyskiéj rozmowy.

Adeodat. Czy to ma znaczyć, że nie znajdę człowieka, któryby według uznanych przez siebie zasad, *postępował?*— No, to lepiéj, niech milczą wszyscy, wszyscy zapominający, że Bóg ich własnemi słowami sąd im kiedyś głosić będzie. Co do mnie, ja zawsze o tém pamiętam, i nigdy sobie rozmowy o przedmiotach czci mojéj, o zasadach mego przekonania, jako chwilowéj rozrywki, nie lekceważę.

Młoda Osoba. Szkoda, że mi Pan z góry tego nie zapowiedziałeś, byłabym ostrożniejszą.

Adeodat. Ach! Pani, gdybym mógł był przewidzieć, że takie zapowiedzenie jest dla Niéj potrzebném, jużby się tém samém dla mnie nieużytecznem stało.

Młoda Osoba. Rozumiem. Pan nie zacząłbyś nawet mówić ze mną.

Adeodat. Muszę przyznać, że Pani dość sprawiedliwie myśl moję odgadła: nie zacząłbym z Nią mówić, a przynajmniéj mówić o prawdzie, o miłości, o Bogu.

Młoda Osoba. Czy Pan dziwak tylko, czy rzeczywiście lepszy od drugich człowiek? trudna do rozsądzenia sprawa. Żeby jednak przypadkiem «lepszego» nie obrazić, wolę już nawet dziwakowi dogodzić. Odpowiem na Pana zapytanie, — odpowiem śmiało i wyraźnie; bo ja przez skąpstwo może,

a nie przed wstyd i lekceważenie milczałam. Chciałeś Pan wiedzieć, czy kocham? — Więc *tak jest*, — kocham, wkrótce nawet za mąż pójdę. A szczęśliwa, a dumna jestem wyborem moim: to ramię, na którém się wesprę, dobrych uczynków ułatwi mi spełnienie; to serce, któremu zaufam, nie zmarnuje miłości mojéj na marzenia bez celu i samolubną pomyślność. Oh! gdyby Pan wiedział, jaka to dusza czysta, szlachetna, poświęcona! jakie wzniosłe o przeznaczeniu człowieka pojęcie! jakie na przyszłość zamiary!.. Lecz Panowie przecież mogą się z sobą zapoznać... on tu dzisiaj będzie.

Przyjaciółka nowo-przybyła *(zbliżając się do Młodéj Osoby.)* Witam, witam piękną narzeczonę. Ach! moja droga, cuda słyszałam o Twoich przedślubnych upominkach: dyamenty w broszce szczególniéj mają być prześliazne. A co za ekwipaż się gotuje!.. Brat mi powiedział, że najpiękniejsze konie z całego Ciechanowieckiego jarmarku dla Ciebie są kupione....

Młoda Osoba *(do Adeodata z uśmiechem.)* Niech Pan się tém nie gorszy: to są małe ustąpienia światowym zwyczajom. Przed wydaniem stanowczego sądu proszę osobiście poznajomić się z zapozwanym.

Adeodat. Choćby mię Pani na ten raz bez litości w dziwactwo odsądzić miała. przyznam się jednak, że jestem do zgorszenia się trochę usposobiony. Kiedy zwyczaj światowy niéma w sobie chrześcijańskiej prawdy, komuż-to łatwiéj powstać przeciw niemu, jak ludziom z pod władzy światowéj wyzwolonym? a zaiste nie znam zupełniéj, swobodniéj wyzwolonych, nad ludzi, co się przed Bogiem i przed bliźniemi wzajemną ukochali miłością. Czyż do ich szczęścia kilka okruchów zbytku cośkolwiek przydać może? W tych ważnych chwilach życia, które o kierunku całéj przyszłości stanowić będą, stokroć potrzebniejszą jest *łaska Boża*, niż wszystkie ziemskie dostatki, a połączenie się w świętéj my-

śli, w szlachetnym zamiarze i *pięknym czynie jakim*, lepszą trwałości uczuć rękojmią, niż połączenie się w odurzającym najartystyczniejszych przyjemnostek zachwycie.

Młoda Osoba. Ma Pan wielką, wielką słuszność. Tylko czasem jedno drugiemu nie przeszkadza. *(W téj chwili młody obywatel do salonu wchodzi.)* Otóż łatwém się staje moje usprawiedliwienie. *(Młoda Osoba wita narzeczonego, zapoznaje go z Adeodatem, i po kilku wymienionych grzecznościach zostastawia samych, żeby swobodniéj rozmówić się mogli.)*

Przyjaciółka *(do odchodzącéj Młodéj osoby, półgłosem.)* Kto jest ten Pan, co tak długie prawił Ci morały?

Młoda Osoba *(także półgłosem.)* To jakiś zacny oryginał, któremu jednak miałam szczęście się podobać.

Przyjaciółka. Biedny! za późno przybywa. *(Adeodat słyszy to wszystko, i dziwi się.)*

Obywatel *(do Adeodata).* Pan od niedawnego czasu dopiéro, i nawet, jeśli się nie mylę, po raz piérwszy w stolicy naszéj gości?

Adeodat. Tak jest, całe życie moje dotychczas, zdala od świata, samotnie przepędziłem.

Obywatel. Jestem pewny, że Pan znowu zatęschni do swojéj ustroni. Niech co chcą mówią, my potomkowie Piasta, rolnika, wśród pól i lasów tylko czujemy zdrowe dla piersi naszych powietrze.

Adeodat. Jednak gdy piersi zdrowe, to i powietrze miejskie im nie szkodzi.

Obywatel. Prawda, lecz też tylko nieszkodzi; na wsi zaś ożywia i utrzymuje: tam praca, tam zasługa, tam nagroda jedyna. Może Pan dał się uwieść tegoczesnym przemysłowym teoryom?..

Adeodat. Oh! bynajmniéj, bynajmniéj!...

Obywatel. To wielkie szczęście; bo owe sztuczne trephauzowe nowości przygłuszają tylko rodzinne gruntu naszego płody.

Adeodat. Przez ostrożność, zbyteczną może, ale chciałbym się dowiedzieć przecież, co Pan właściwie «nowością» nazywa?

Obywatel *(z uśmiechem.)* Widzę, że Pan się lęka, czy tym wyrazem wszelkiego nie objąłem postępu. Bądź Pan spokojny. Uznaję postęp, szanuję go i pragnę; ale pragnę w pojęciu «ulepszenia» więcéj, niż w pojęciu odkryć, wynalazków i spekulacyi. Piérwéj, nim rzeczywiście tych dodatnich środków zapotrzebujemy, wiele nam jeszcze do roboty na miejscu, koło siebie zostaje. Gospodarstwo wiejskie dzisiaj w kolébce dopiéro. Każdy obywatel jest raczéj ekonomem, niż panem w swoich dobrach: zasieje, zbierze i co się da z reszty, do kieszeni schowa. To jeszcze zupełnie służalcze zatrudnienie, to stan w połowie barbarzyński, a całkowicie pogański. Otóż — zamawiam sobie chwilkę pobłażania, póki się jaśniéj nie wytłumaczę. — Otóż, mówię, jabym chciał, żeby każdy z nas był na glebie swojéj panem prawdziwym, żeby rządził i urządzał, żeby królował w dziedzictwie swojém według tego systematu, jaki mu się najlepszym wydaje. Nie wchodzę w rozbiór, czy najlepszym będzie istotnie, ale niech będzie jakikolwiek, byle z przekonania szczérego wysnuty a wytrwałością podtrzymany. Zdaje się, że to nie zbyt trudne zadanie; jednakże siedmiomilowe buty przydałyby się naszéj generacyi, gdyby chciała tę jednę stacyę postępu przed zejściem swojém ubiedz. Ile razy gazetę lub zagraniczny dziennik weźmiemy do ręki, każdemu z nas, mniéj więcéj przyjdzie jakiś koncept o lepszym, lub właściwszym, lub śpieszniejszym kierunku teraźniejszéj historyi państw europejskich; — żaden nie pomyśli, że on także historyą małego państwa swego kieruje, że ma pod ręką sposobność i obowiązek zastósowywania swoich pomysłów w téj mierze; bo na nieszczęście, jak to wspomniałem, żaden się panem i królem nie czuje. Kawałek kraju, kawałek króle-

stwa na własność mu oddany, a słuszniéjby się rzec godziło, *wydzierżawiony* przez Opatrzność, zdaje mu się tylko materyałem, utrzymanie i przyjemności życia zabezpieczającym. Nikt względem niego szlachetniejszych nie pojmuje obowiązków nad obowiązek prostego wyzyskiwania. Są przecież, są ogromne moralne obowiązki. Właścicielowi jakiéjbądź cząstki na téj ziemi, nie wolno się samolubnym odgradzać interessem, nie wolno zasklepiać w ciasném kółeczku swoich potrzeb i życzeń. Myśli jego, prace, przedsięwzięcia wszelkie silnym cementem *z całością* łączyć się winny. Jakąby chciał kiedyś ludzkość widzieć całą, taką powinien starać się ojcowiznę swoją uczynić. Jeśli uznaje, że ludzkości byt dobry potrzebnym, to niech się stara o byt dobry w ojcowiznie swojéj: niech zasiéwa odłogi, osusza błota, wznosi obszerne i porządne chałupy, hojnemi rękoma niech płacę zarobku sypie. Jeśli oświata jest w jego mniemaniu potrzebniejszą, to niech szkółki dogląda, dzieci examinuje, z przesądami starszych walczy. A jeśliby serce jego za religią głównie, za cnotą, za braterstwem między ludźmi tęschniło, to niechże cnotę i braterstwo szczepi: niech od pijaństwa odzwyczaja, rodziny godzi, obyczaje poprawia, niech się wspólnie krząta, smuci, 'pociesza i modli. Widzi Pan, ja to zowię królestwem, panowaniem obywatela. Na *tym* gościńcu przedewszystkiém chcę postępu i wszelkich możebnych udoskonaleń; nowości przyjdą późniéj, znajdą się w swoim czasie i miejscu, będą nawet pomocą te, co trucizną dzisiaj.

Adeodat *(rozrzewniony.)* Niech Pan raczéj bez wszelkiéj przenośni powie, że gdy ludzie zaczną kształcić moralną swoją naturę i sumienie swoje, to dopiero na gościniec prawdziwego postępu się wydostaną. Czy obywatele, czy urzędnicy, czy chłopi, czy panowie, dla wszystkich jedno prawo. Jeśli o *królestwo niebieskie* starać się będą, reszta przydana im zostanie. Nadużywano tych świętych wyrazów

ewangelii, utworzono z nich jakąś formułkę ascetycznego wyrzeczenia się, i ubóstwa; tymczasem w nich tkwi najpraktyczniejsza, najważniejsza zasada ekonomii społecznej. Póki się ludzie nie zaczną starać o to, co jest dobre, sprawiedliwe i święte, póty im zawsze brakować będzie nawet tego, co jest wygodne, przyjemne i potrzebne. Wiek za wiekiem upływa i doświadczenie za doświadczeniem idzie, a nieomylność tego proroctwa i mądrość tego przykazania stwierdza się coraz dowodniej.

Obywatel. Już-to zaprzeczyć trudno, że moralne udoskonalenie natury ludzkiej jest wspólną koniecznością dla szczęścia wszelkich stanów; ale przy dzisiejszym rzeczy układzie, — dla nas szczególniej, postęp tak zwanych wyłączniej «obywatelskich» stosunków i zasad, jest niewątpliwie główném teraźniejszości na przyszłość zadaniem. Same okoliczności wskazują. Tu Pan już masz gotowy do obrobienia materyał, masz przed sobą czas i przestrzeń, — masz grunt, ludzi i władzę rozkazywania, — idzie tylko o to, byś miał myśl w głowie, miłość w sercu, i wiedział, co rozkazać.

Gospodarz domu *(zbliżając się do obywatela.)* Ciężkie czasy! ciężkie czasy! Dobrodzieju. Urodzaje ogromne, żyto tanie, najemnik drogi! Po wieleż Pan u siebie płaci?

Obywatel. Po 40 groszy; ale i wódką trzy razy na dzień w przydatku.

Gospodarz domu. Mnie rządca pisze, że i za 2 złote nie chcą w naszych stronach wychodzić. Ciężkie czasy! ciężkie czasy, Dobrodzieju! A cóż ta sprawa Pana z zarobnemi wsiami, czy już skończona?

Obywatel. Nie bardzo zręcznie mój adwokat mi ją pokierował: teraz pójdzie pod decyzyą Senatu.

Gospodarz domu. Pod decyzyą Senatu? no, to właśnie doskonale się trafia: zapoznam Pana z osobą, wielkie tam wpływy mającą. Musisz Pan jednak godzinkę czasu wśród

nas wiściarzy przepędzić. Wiem, że to będzie wielkiem poświęceniem z Jego strony; lecz interes przed szczęściem, mój Panie młody. (*Uśmiecha się znacząco.*) Dam Panu miejsce przy jego stoliku, zwykle on punkcik po pół rubelka grywa.

Obywatel. Żal mi czasu, tego się nie zapieram; ale z wdzięcznością umiem cenić dobre chęci łaskawego Pana, i jestem na Jego rozkazy (*do Adeodata*). Pan nie z nami?

Adeodat. Nie, nie z Panami — (*patrzy za odchodzącemi; i dziwi się.*)

Literat (*przysuwając się do Adeodata*). Niech się Pan nie obraża, jeśli pomimo bardzo niedawnéj znajomości naszéj, dość osobliwem Pana zaczepię pytaniem. Powiedz mi Pan, ale to szczerze, nieobłudnie, czy Pan dużo czasu na czytanie traci?

Adeodat. Jeśli mam Panu szczerze, nieobłudnie powiedzieć, to czasu mego staram się nigdy i na nic nie tracić; więc też i przy czytaniu nie tracę go; lecz używam. Zdarza mi się niekiedy długo, po całych dniach, tygodniach i miesiącach czytywać; jednakże wszystkich książek, w stosunku do Pana, do innych tutaj zgromadzonych osób, nadzwyczaj mało przeczytałem podobno.

Literat. Co znaczy, że Pan kilka prawdziwie dobrych i pożytecznych rozmyślił z przynależną uwagą, z właściwem ducha zebraniem, z korzyścią tak dla serca, jako też dla umysłu. Oh! ja to zaraz odgadłem. Zbyt żywo Pan czujesz, zbyt chętnie, jak mi mówiono, do pracy i do czynów się garniesz, abyś miał poczciwe chwile swoje, cudzem próżniactwem, a szlachetne wrażenia cudzemi marzeniami zabijać. Literatura dzisiejsza w torpillę Śródziemnégo morza się zmieniła: kto jéj dotknie, to drętwieje.

Adeodat. Lecz mnie się zdaje, że Pan właśnie takby mówić nie powinien; od Niego przecież zależy choć w części uderzenie drętwikowe piorunną iskrą podsycić.

Literat. Czy dla tego, że mię ludzie autorem i literatem nazywają? Moje próby mniéj lub więcéj szczęśliwe posłużyły mi do lepszego rozpatrzenia się w tajemnicach rzemiosła; bo autorstwo istotnie *rzemiosłem* się stało. Jest to dziś pewien rodzaj krawieczyzny, garncarstwa, młynarstwa, przędzalni i różnych warsztatowych wyrobów: jest kuglarstwo i zręczność, stowarzyszenie i przedsiębierczość.

Adeodat *(wskazując na jakiś ustęp leżącéj na stole gazety.)* Zbyt rozpaczliwych dobiéra Pan wyrażeń; przecież te słowa nie są krawieczyzną, nie są warsztatowym wyrobem, te są napisane poczciwie i sumiennie.

Literat. Albo raczéj, to są poczciwe i sumienne słowa niepoczciwie i niesumiennie napisane. Gdybym Panu chciał wszystkie zakulisowe niteczki literackich maryonetek tłómaczyć i objaśniać, końcaby temu niebyło; lecz mam wstręt nieprzełamany do Arystofańskiéj metody, do wyprowadzania imiennych osobistości na scenę. Głosem i drukiem zawsze przeciw *ogółowi* tylko złego powstaję.

Adeodat. A wielką łaskę tém samem czytelnikom Pan świadczysz. Po co im się o człowieka dowiadywać? kiedy ze słów jego zdrowsze mogą mieć wrażenie bez tego przydatku właśnie.

Literat. Takie też to wrażenie, jaki człowiek! Kto dziś do myśli i do serca bierze przeczytane książki? Kto się z nich bogaci jakim moralnym nabytkiem? Kto je rozmyśla, pamięta? Prędko z pod pióra płyną, prędzéj jeszcze przez ręce publiczności się prześlizgają; jedno drugiego koniecznem jest następstwem. W jakim duchu, w jakiém usposobieniu autor dzieło swoje tworzy,— mimowolnie, bezświadomie czytelnicy w takim samym stosunku je przyjmują. Jeśli to jest płód talentu grający w poczciwe i sympatyczne słowa, to się zaiste będzie «podobał,» wywoła kilka pochwalnych wykrzykników, zajmię chwil kilka przyjemną rozrywką;

lecz na tém się jego wpływ ograniczy. Pod wyższym stopniem temperatury serdecznéj ulotni się, — pod niższym zlodowacieje. Czy Pan słyszał, żeby w tych czasach książka ta lub owa, jak to niegdyś bywało, na opinią zadziałała? żeby historycznemu zrównała wypadkowi? żeby od niéj szła data pewnych wyobrażeń, zwyczajów, cnót, choćby pomyłek wreszcie? Może się Panu zdaje, że do napisania takiéj książki geniuszu potrzeba? Oh! nie; ledwie talentu trochę. „*Emil*“ nie jest arcydziełem, a pan *Rousseau* nie był geniuszem; po wyjściu „*Emila*“ jednak matki z bogatszych warstw towarzystwa same zaczęły karmić dzieci swoje. „*O skutecznym rad sposobie,*“ ta książka pewnie surowéj nie wytrzyma krytyki; gdy się zjawiła przecież, sumienie całego narodu zadrżało u nas gniewem lub niepokojem — oburzeniem lub przyklaskiem. A dzisiaj? czy gorzéj piszą? czy nowych poglądów i ważnych tematów braknie? Owszem, owszem; zdolności są zadziwiające, nowości śmiałe i obfite; pomimo niektórych utrudzeń, tomata tak ważne, jak spostrzeżenia doktorskie w dzień 13ty przesilenia tyfusowego. I cóż ztąd, kiedy *namaszczenia Bożego*, kiedy *iskry ożywczéj* wszędzie i wszystkiemu niedostaje. Literatura z tronu zrzucona; bo literaci błotem się obryzgali. Pan utrzymuje, że tak być nie powinno; według Pana wszelkie gruutowne zdanie, wszelka zdrowa zasada powinna własną wartością ostać się między ludźmi i na ich pożytek plonować; jednak plonów nie widzimy. Nad *prawdą wyrazu*, niech człowiek jak chce sofizmuje, zawsze *prawda ducha* górować będzie, i nie ten gatunek zboża się przyjmie, który choć z najlepszych spichrzów dla drugich zasiejemy; ale ten, który w nas samych się rodzi. *(Z wistowego pokoju orderowy urzędnik przysuwa się do rozmawiających i słucha.)*

Adeodat. Musisz Pan chyba mieć słuszność. Ja sam tego wytłumaczyć sobie nie umiałem; lecz bardzo często zdarzyło mi się czytać niby po myśli mojéj napisaną książkę;

czytałem jednak tak chłodnie, tak bez zastosowania do żywych zdarzeń i wniosków, że aż na siebie samego oburzony byłem. Teraz jaśniej widzę tego niesmaku przyczynę. Niewiém, czy Panu znajomem jest naprzykład to dziełko „*O sztukach pięknych*?“

Literat *(wahając się nieco.)* Czy mi jest znajomém? Tak... to jest... znam je, znam je bardzo dobrze...

Adeodat. Są prześliczne ustępy; forma zdaje się czysto dydaktyczną, a przecież smutne jedynie polemiki zostawia wrażenie; znać, że autor więcéj przeciw ludziom, niż za prawdą swego przekonania pisał.

Literat. Więc Pan tak je osądził? ha, to Pan bardzo niebezpieczny czytelnik — *(kłania się i odchodzi. Adeodat dziwi się coraz więcéj.)*

Urzędnik. Jeśli się nie mylę, rozmowa naszego zasłużonego w pismiennictwie autora niekoniecznie w przyjemném zostawiła Pana usposobieniu?

Adeodat. I owszem, powiedział mi jedną wielką prawdę; tylko ostatnich wyrazów jego zrozumieć nie mogłem.

Urzędnik *(śmieje się na całe gardło, a potém do ucha Adeodatowi półgłosem szepcze:)* Słyszałem trochę z boku. Najniewinniej w świecie wbiłeś Pan ostrą śpileczkę za paznokieć naszemu luminarzowi. Toć-to jego własne dzieło tak mu Pan w oczy zkrytykowałeś.

Adeodat. Jego własne dzieło?... jego....

Urzędnik. I cóż to Pana zdumiewa? Jego własne, — napisane z żółcią ukrytą; bo go w tym czasie jeden znakomity artysta obraził. Zawiść i pycha serca, to są dziś bardzo gadatliwe, bardzo wymowne Muzy, a ten Pan ich wychowankiem. Trudno mu pewnej zdolności odmówić: umie wiele, i wiele «potrafi.» Tylko mądrość jego, serc nie rozgrzeje; bo z nią *łaska Boża* nie jest. Łaska Boża z nią nie jest; bo jej brak *pokory* i *ofiary*, a pokora i ofiara, oh!

to jedyne skrzydła, któremi dusza ludzka unieść się może w sferę skutecznej pracy, olbrzymiéj siły i cudów dziejowych. Pokora i ofiara, to dwa oblicza miłości najczystszéj, najświętszéj, miłości prawdziwie Chrystusowéj; gdyż *pokora* jest ukochaniem prawa Bożego; *ofiara* jest znienawidzeniem własnych grzechów i własnych skłonności nikczemnych. Przez pokorę człowiek zatapia się w myśli Bożéj, ucha nadstawia poszeptom Ducha świętego; nie rozumem buntowniczym, nie fantazyą zbłąkaną, nie pokusą namiętną; lecz wyższém natchnieniem się rządzi; nie z siebie, lecz z nieba czyta i głosi prawdy wiekuiste. Przez ofiarę czyn jego martwy ożywia się dopiero; przez ofiarę jałmużna wspiera; przez ofiarę dobra rada uczy; przez ofiarę napomnienie nie oburza a kara poprawia; bo przez ofiarę tylko ze stósunków naszych z bliźniemi usuwa się wszelka osobistość, wszelki cień samolubstwa, przez ofiarę nasze zaczepne *Ja* ginie zupełnie, a w miejscu jego staje Bóg sam, — Bóg celem i przyczyną każdego naszego kroku będący. *Pokory* więc i *ofiary!* wołam ciągle do młodzieży naszéj. Ale głos mój jest głosem wołającego na puszczy. Głowy zbyt pełne, serca zbyt puste u wszystkich. Pozbawione równowagi, to, co zbyt pełne, nisko upada i w brudzie ziemskim się tarza; to, co zbyt puste, na powietrzu bez żadnéj buja sobie podstawy. Intelligencya służy zaspokojeniu potrzeb; serce dziwactwom chwilowym! Kto ma bystrzejsze umysłowe zdolności, używa ich na wyrobienie sobie karyery; komu serce uderza, to chyba do jakich rozmarzających utopij. Prawdy życia, zgody między swojém powołaniem a przeznaczeniem ludzkości, między jednostką a ogółem, między ideałem a możliwością, nikt dzisiaj w ustrój praktyczny nie sprzęże; bo nikt w sobie pokory niéma, nikt ofiarować się nie umié; ofiarować dla myśli Bożéj i dla prawdy, ukochanéj ofiarą prawdziwą, ofiarą Abla, Abrahama, ofiarą Izaaka na stosie, Chrystusa na krzyżu.

Adeodat. Są jednak ludzie cichéj duszy i pokornego serca... ludzie —

Urzędnik. A ja Panu powiadam, że ich niéma. Gdyby takie drzewa rosły w naszych ogrodach, czy tam lasach; toć przecię znaćby je było po owocach ich. A gdzież — obejrzyj się Pan dokoła — gdzie tu pokory i ofiary owoce? Nędza, ucisk, kłamstwo, zepsucie, martwota: oto są gorzkie jagody rozrastających się po ziemi naszéj cierni.

Adeodat. Ale bo może ciernie więcéj tylko w oczy biją, to je prędzéj dojrzéć możemy; owoce zaś pokory, pokorne właśnie, więc niedostrzeżone, — ziarenka ofiar drobne, jak ziarenka żyta naszego. — Chcielibyśmy, żeby każde cedrem zaraz wyrosło, a tymczasem ono kłosem rośnie, i wiele, wiele ich trzeba, nim pole całe okryją; lecz gdy okryją, gdy dojrzeją, to z cedru, może piękna ozdoba, może trumna będzie wspaniała; — z ziarneczek ofiarnych, chléb — z chleba siła i życie.

Urzędnik. Ale kiedy ja Panu raz jeszcze powtarzam, że niéma dziś nawet ziarneczek żyta drobniutkich...

Adeodat. Trudno mi potępieniem na świat cały cisnąć....

Urzędnik. Bo Pan młody: bo Pan także zarozumiały; bo Panu się zdaje, że jesteś szlachetny, sumienny, do poświęceń gotów. Oh! zaczekaj! zaczekaj! niech przejdzie jedna próba za drugą, — niech Ci miejscę spodziéwane ubiegną, niech zasłużonéj nie dadzą nagrody, niech się przepchnie naprzód i wyścignie Pana lada głupiec nikczemny, dopiéro wtedy będziesz mógł Pan rozsądzić w sobie, czy pokornym jesteś, czy Ci łatwą ofiara? Przy pacierzu, w kościele, do którego nas matka zaprowadzi, lub między stosami książek jakiéj biblioteki spokojnéj, lub jeszcze z resztą na uniwersyteckiéj ławie, zdaje nam się, że wszystkiemu wydołamy bez trudności, że tak wiernie Panu Bogu służyć, że tak tkliwie ludzi kochać będziemy! A proszę tylko głowę

na świat wychylić, wszędzie intryga, wszędzie zawiść; każdy pnie się po szczeblach fortuny, choćby dziesięciu innych na złamanie karku miał zrzucić. Więc powoli młody zaczyna się bronić, zaczyna trzymać mocniéj, żeby nie upadł; w końcu sam łokciami rozpycha: egoizm, jak dżuma niewidzialna, powietrzem zaraża i dotknięciem truje. — Czy Pan widziałeś kiedy człowieka, coby wołał być na ostatniém, niż na piérwszém miejscu? wołał być ubogim, niż bogatym? zapomnianym, niż sławionym? Zapewne Pan takiego na żywe oczy nie spotkał nigdy. Jednakże taki tylko, mógłby się od ogólnéj choroby ustrzedz. Idź z latarnią go szukaj.— *Pokory* i *ofiary!* wołam głosem wołającego na puszczy, — *pokory* i *ofiary!*...

Adeodat. Święte słowa Pańskie!

Młody Obywatel *(przychodzi i grzecznie się kłania.)* Teraz na Pana koléj znowu: robr już rozegrany.

Urzędnik. A przy kim szczęście?

Młody Obywatel. Przy zasłudze, choć to się nie często zdarza. Pan górą między nami. *(Oddalają się; Adeodat zostaje sam, patrzy za nimi i dziwi się ogromnie. Po chwili wysuwa się niepostrzeżony z salonu.)*

Adeodat *(przez sień idąc.)* Święte słowa! Tak jest, ci ludzie na pamięć wszystkie święte słowa umieją!..

ADEODAT
POD STRYCHEM.

Adeodat.. Byłem w chaosie ludzi bardzo uczonych i bardzo bogatych; tak mi się smutno zrobiło, że do Ciebie, bracie, na pociechę i wypoczynek zaszedłem.

Ubogi Młodzieniec. Łóżka lub tego jedynego stołka chętnie Ci na wypoczynek ustąpię; ale co na pociechę, to ani jednéj myśli niémam w głowie.

Adeodat. Masz zawsze przynajmniéj poczciwe w sercu uczucie; mnie ono wystarczy.

Ubogi Młodzieniec. Właśnie zaczynam wątpić, czy się choćby i na poczciwe uczucie zdobędę.

Adeodat. Już przywykłem do smutku Twojéj twarzy, mój bracie; lecz słów tak gorzkich nie spodziewałem się usłyszyć od Ciebie.

Ubogi Młodzieniec. Gorzkie słowa? toć *one* tylko życie mi cukrują. Póki sam siebie oskarżam, póty mi łatwiéj od skargi na drugich się wstrzymać. Póki rozmyślam o własném niedołęstwie, o własném lenistwie, o własnéj nieużyteczności, póty mi jeszcze dość wesoło na świecie; jak tylko przypuszczę, że ja mogę być niekoniecznie najgorszym z ludzi, że są inni gorsi daleko, szkodliwsi daleko, to chciałbym zaraz oknem na bruk wyskoczyć; bo jednak szkaradną byłaby ziemia, na któréj mnie podobni mogliby się do trochę lepszych liczyć.

Adeodat. Bracie, porzućmy sarkazm i szyderstwo; Ty wiész, jak wstrętne są mojéj naturze. Mówmy lepiéj otwarcie, szczérze, poważnie. Co jest główną Twego zniechęcenia przyczyną? Może ubóstwo?

Ubogi Młodzieniec *(po chwili namysłu)*. Już kilka razy sam sobie zadałem to pytanie; lecz nie, — sumienie przy najściślejszém badaniu zawsze mówi: *nie*. Kiedy widzę bogatych, widzę też natychmiast ciążącą na nich odpowiedzialność i otaczające ich pokusy. Większa część ubogich przypatruje się powierzchownie blaskowi zbytku, i myśli sobie, że gdyby w jéj ręce skarby się dostały, toby ich lepiéj użyć potrafiła. Ja niémam tego złudzenia, wiém, że koło ulubieńców fortuny *zmieniają się wszystkie zewnętrzne losu i zdarzeń warunki*, a tém samém i oni *wewnątrz* zmieniać się muszą. Co do mnie, prawda, że nie chcę być takim, jakim jestem; lecz nie chcę także być takim, jakiemi oni są. W u-

sposobieniu mojém leży łatwość wyrzeczenia się wszelkich wygód zmysłowych. Na strój, na błyskotki modne, na wierzchowce i koczyki, na Lukullusowe obiady i wina zagraniczne, wcale chciwością nie grzeszę. Jedwabne słówka, wyszukane grzeczności, uprzejme nadskakiwania i pochlebstwa nie nęcą mię także; bo «w ten sposób» próżnym się nie uznaję. A ponieważ przy największym majątku, *to* jedynie zapewniłbym sobie; więc nieobłudnie, w głębi ducha rozstałem się już ze wszelkiém o bogactwie marzeniem. Jest tylko jedna fantasmagorya, która mi często jeszcze głowę zawraca: niezależność! Być niezależnym! mieć dla siebie każdą dnia godzinę, mieć przed sobą wszystkie strony świata otwarte, — chodzić, myśléć, pracować według natchnienia, a nie według zégarka i czyjegoś rozkazu, — oh! bracie, to mię strasznie rozmarza niekiedy!

Adeodat. Więc już przyczyna złego odkryta: brak Ci niezależności.

Ubogi Młodzieniec. Mylisz się na nieszczęście, mój drogi. Daj mi dziś niezależność: — jutro rano, — może trochę dłużéj spać będę; ale jak się obudzę, już nie będę wiedział, co z nią robić. Mówiłem, że chcę chodzić, myśléć, pracować według natchnienia. Chodzić? a gdzie pójść? — czy jest miejsce jakie lepsze jedno od drugiego? czy mię tam lub owdzie potrzebują? czy ja się zdam na co kędy? — Myśléć, — a po co mnie myśléć? — Gdybym mógł, tobym sobie mózg z czoła wyrzucił, żeby nie myśléć właśnie. A praca niezależna? — Czy Ty jéj wierzysz, bracie? Ja, to już nie wierzę wcale. Dzisiaj pracuję; bo muszę mieć bułkę na śniadanie i choć co drugi dzień porcyę rosołu ze sztuką mięsa na obiad; muszę mieć buty i tużurek na plecach, a ten kawałek dachu nad moim tapczanem. Lecz gdyby mię codzienna nędza biczem nie zacinała, pewniebym ręce, jak Turek, na piersiach skrzyżował i patrzył w górę na muchy,

co po suficie chodzą. O ile więc to jest prawdą, że człowiek pracować powinien, o tyle ja ubóstwu mojemu zawdzięczam jedynie spełnienie człowieczéj powinności. Im więcéj się zastanawiam, tém głębszego nabiéram przekonania, że od zepsucia, od szaleństwa, od samobójstwa może, ubóstwo głównie strzegło mię dotychczas. Niezależność strułaby mię prędzéj, niż *laudanum*.

Adeodat. A zatém, pokazuje się, że nie zewnętrzne okoliczności Ciebie drzaźnią, ale wewnętrzne usposobienie.

Ubogi Młodzieniec. Sam Ci to przecież powiedziałem: że wszelkiego złego, ja sam sobie najgorszy.

Adeodat. Nie nadużywajmy wyrazów. Kiedy się najgorszym przezywasz, to mi powiedz, czyjéj pragnąłeś krzywdy? kogo zamordowałeś, okradłeś, spotwarzyłeś? Co już zrobiłeś lub chciałeś złego uczynić?

Ubogi Młodzieniec. Wielka mi zasługa, że się jeszcze w drogę do policyjnego więzienia nie wybrałem. Ale mię spytaj, bracie, co ja zrobiłem, lub co ja chcę dobrego zrobić? to dopiéro trudna przeprawa. Najpiérw, od póki wiém, że żyję, nie zrobiłem nic. Ani jednemu człowiekowi życia nie uratowałem, ani jednéj nędzy nie wsparłem, ani jedną skuteczną przysługą pochwalić się nie mogę. Radziłem sumiennie, lecz moje rady nieprzydały się nikomu; kiedy chciałem błądzącego na dobrą drogę wprowadzić, to mię wyśmiał; kiedy chciałem smutnego pocieszyć, to się późniéj jeszcze gorzéj spłakał; kiedy chciałem... oh! mój bracie — czegóż bo ja nie chciałem! — A wszystko zawiodło. Biłem głową o mury, i głowa się roztłukła, mury nie pękły nawet; kręciłem bicz z piasku, i piasek się rozsypał, — zwyczajnie jako piasek. Teraz już nie chcę niczego. Widzę, że jest jakaś nieprzeparta, historyczna siła nad narodami i nad pojedyńczemi ludźmi; choćbym się rzucał, jak wściekły i po mojéj klatce rozbijał, to na nic się nie przyda. Jeszcze wierzę

w Opatrzność; wierzę w mądrość nieodgadniętą, która z namiętności i występków, z cnót i prac ludzkich układa całość wiadomego sobie arabesku. Dla tego na oślep w miejscu stoję; dla tego obracam korbą przy maszynce mego życia. Ale czemu obracam? — nie wiem. —

Adeodat. A nie wiesz dla tego tylko, że Ci miłość w sercu zastygła.

Ubogi Młodzieniec. Ha, tryumfuj! Pono w sam środek wrzodu ugodziłeś. Tak, mój bracie, za wiele już cierpiałem i traciłem. Po wielkich boleściach, tęsknotach i zawodach miłość w sercu zdrętwiała. Nie dość kocham; bo dla ukochania mojego nic mi uczynić nie dano. Nie dość kocham; bo w koło mnie sami obojętni i nienawistni. Nie dość kocham; bo się długo i szczérze modliłem, a Bóg mię nie wysłuchał i w sądach swoich przeciw niewinnemu stanął.

Adeodat. Odpuść mu, Panie: on nie wié, co mówi! on kocha nawet — tylko się przestał spodziewać!

Ubogi Młodzieniec. Oh! ja wiém dobrze, co mówię. Mówię to samo, co mówił Job na śmiecisku, co mówił Ezdrasz wśród postów i umartwień — (*otwiéra biblię i czyta).* (ks. IV Ezdrasz. roz. 3, w. 29 do 36.) «Stało się, gdym tu przy-«szedł, i obaczyłem niezbożności, którym liczby niémasz: i «wiele występnych widziała dusza moja tego trzydziestego «roku; i odchodziło odemnie serce moje,

«Iżem widział, jako znosisz te grzeszące, i przepuściłeś «niezbożnie czyniącym, a zatraciłeś lud Twój i zachowałeś «nieprzyjacioły Twoje, a nie oznajmiłeś.

«Nic nie pamiętam, jakoby ta droga miała być opuszczona; «azaż lepsze sprawy czyni Babilon, niż Syon?

«Albo Cię który inny naród poznał, oprócz Izraela? albo «które pokolenia uwierzyły świadectwom Twoim, jako Jaku-«bowe? których zapłata nie pokazała się, ani praca przy-«niosła pożytku.

«Bo przechodząc przeszedłem między narody i widziałem «je obfitujące i nie pamiętające na rozkazanie Twoje.

«Teraz tedy zważ na wadze nieprawości nasze i onych, «którzy mieszkają na świecie, a nie najdzie się imię Twoje, «jedno w Izraelu.

«Albo kiedy nie grzeszyli przed Tobą ci, którzy mieszkają «na ziemi? albo który naród tak strzegł przykazania Twego?

«Te jednak najdziesz mianowicie, że zachowywali przyka- «zania Twoje; ale poganów nie najdziesz.

(roz. 4, w. 1 do 11.) «I odpowiedział mi anioł, ktory był do «mnie posłan, któremu imię Uryel. I rzekł mi: Przechodząc «przeszło miarę serce Twoje na tym świecie, i myślisz ogar- «nąć drogę Najwyższego.

«I rzekłem: Tak, Panie mój. I odpowiedział mi i rzekł: «Posłanem jest, abym ci okazał trzy drogi, a przełożył przed «tobą trzy podobieństwa: z których, jeśli mi jednę zgadniesz, «i ja tobie okażę drogę, którą pragniesz widzieć, a nauczę «cię, z kąd jest serce złościwe.

«I rzekłem: Mów, Panie mój. I rzekł do mnie: Idź, zważ «mi wagę ognia, albo pomierz mi wienie wiatru, albo wróć «mi nazad dzień, który przeminął.

«I odpowiedziałem i rzekłem: Któż z urodzonych to uczy- «nić może, że mię o to pytasz?

«I rzekł do mnie: Gdybym cię pytał mówiąc: jako wiele «jest mieszkania w sercu morza? albo: jako jest źródeł na «początku przepaści? albo: jak wiele jest zdrojów nad u- «twierdzeniem? albo: które są wyjścia z raju? — rzekłbyś «mi snadź: Nie zstępowałem do przepaści, ani jeszcze do «piekła, do niebam też nigdy nie wstępował.

«A teraz nie pytałem cię jedno o ogniu, o wietrze, a o «dniu, przez któreś przeszedł, i od których oddalon być nie «możesz: a nie odpowiedziałeś mi o nich.

«I rzekł mi: Ty co jest twego, co z tobą zrosło, poznać «nie możesz. A jakoż naczynie twoje będzie mogło ogarnąć «drogę Najwyższego? i gdyż się świat już zewnątrz zepsował, «zrozumieć zepsowanie jasne przed obliczem mojém?»

A cóż, bracie, czy nie to samo prawie, choć innemi słowy mówiłem? zraziła mię niesprawiedliwość tego świata, zraziły zasłużone i niezasłużone cierpienia, — wytłumaczyć je sobie chciałem nadaremnie; więc jako posłuszne źwiérzę przy zaprzęgu stanąłem, i przestałem się troskać, by naczynie moje ogarnąć mogło drogę Najwyższego.

Adeodat. A w tém grzech twój właśnie. Masz księgę świętą w ręku, czytaj. Ezdrasz nie dał się nawet głosem anioła uciszyć: powtórnie modlił się, i płakał, i pościł przez dni siedm, i wołał wołaniem głośném, aż mu rzeczono było: (roz. 5, w. 33, 34.) «Bardzoś się ty myślą wyniósł za Izraelem: «izaliś go ty więcéj umiłował, niźli który go stworzył? — Nie, «Panie, ale *żałując* mówiłem» — odpowiada, — i słowa Pańskie nie zmilkły w jego uchu. — Przewracaj kartę za kartą, ucz się, jaką-to cierpliwością, jakiemi trwogami, w jakich prośbach i pokłonach zdobywa się ta łaska Pańska «aby słu«dze swemu pokazał, przez kogo nawiedza stworzenie swoje.» (w. 55.) *(Ubogi Młodzieniec zaczyna karty przewracać, Adeodat wraz z nim pochyla się nad księgą żywota).*

Ubogi Młodzieniec. Gdzie oko padnie, tam się z wykrzykiem własnego bólu dusza spotyka. (roz. 5, w. 35.) «Na «cóżem się narodził, albo przecz żywot matki nie stał mi się «grobem, abym był niewidział utrapienia Jakub, i spracowania narodu Izrael.»

Adeodat. Przy każdém wylaniu skargi cierpiącego ja znów obietnicę i pociechę Bożą znajduję: (roz. 5, w. 36, 37, 40.) «Obrachuj mi, co jeszcze nie było, a zbierz mi krople rozpierz«chnione, a uczyń mi z zwiędłych kwiatków zielone, — i o«twórz mi zawarte jamy, a wypuść wiatry w nich zamknione:

«ukaż mi obraz głosu; a tedyć ukażę przyczynę utrapienia, «którą pragniesz widzieć..... Jako nie możesz uczynić jednéj «z rzeczy tych, którem powiedział, tak nie możesz naleść są- «dów moich, ani miłości na końcu którąm obiecał ludowi.»...

Ubogi Młodzieniec. (w. 41.) «Ale oto, Panie, Tyś bliski «jest tym, którzy na końcu będą: a cóż czynić będą, którzy «przedemną byli, albo my, albo ci, którzy po nas?...»

Adeodat. (w. 48, 49.) «Jam dał macicę ziemi; ci, którzy «na niéj są,posiani za czasem. Bo jako dzieciątko nie rodzi «tego, co starym należy; takem ja rozrządził świat ode mnie «stworzony.»

Ubogi Młodzieniec. (roz. 6, w. 7.) «I rzekłem: któreż będzie «rozdzielenie czasów?»... a tu stoi: (w. 10.) «O więcéj się nie «pytaj, Ezdraszu!»

Adeodat. (w. 16.) «Albowiem o tych rzeczach mowa drży «i trzęsie się, iż wié, że koniec ich musi się odmienić.» — Jednak Pan mówi daléj, Ezdrasz daléj słyszy: (w. 25 do 27.) «I będzie każdy, którypozostanie z tych wszystkich, którem «opowiedział, ten zbawion będzie, i ogląda zbawienie moje «i koniec wieku waszego.

«I ujrzą ludzie, którzy są przyjęci, którzy nie ukusili «śmierci od narodzenia swego, i odmieni się serce mieszka- «jących, a obróci się w inakszy zmysł.

«Bo złość będzie zgładzona, a zdrada zagaszona. A za- «kwitnie wiara, a skaza będzie zwyciężona i ukaże się pra- «wda, która przez tak wiele dni była bez pożytku.

Ubogi Młodzieniec. Lecz tymczasem Ezdrasz powtarza: (roz. 6, w. 59.) «Jeśli świat jest dla nas stworzon, przecżże «niémamy dziedzictwa ze światem. A pókiż to?»

Adeodat. (roz. 7 w. 6 do 9.) «Jest miasto zbudowane, a «w polu położone, a jest wszego dobra pełne. Wejście do «niego ciasne, i na przykrém miejscu położone, tak, iż po «prawéj stronie ogień, a po lewéj woda głęboka. A tylko

«jedna ścieżka leży między niemi, to jest między ogniem «a wodą, tak, iż nie może się na ścieżce zmieścić, jedno tylko stopa człowiecza.

«A jeśli miasto będzie dane człowiekowi w dziedzictwo, «jeśliby nigdy przed sobą położonego niebezpieczeństwa nie «przeszedł, jakoż weźmie dziedzictwo swoje?...»

Ubogi Młodzieniec. (roz. 7, w. 49,50.) «A cóż nam za po-«żytek z tego, iż nam obiecan jest czas nieśmiertelny, a my-«śmy śmiertelne sprawy czynili, — i że nam opowiedziana «jest nadzieja wieczności, a myśmy się złemi i nikczemne-«mi stali?...»

Adeodat. (roz. 8, w. 2, 3.) «A przełożęć podobieństwo, E-«zdraszu: Jako spytasz ziemi, i rzeczeć, iż doda więcéj gli-«ny, z któréjby było garncarskie naczynie, a mało prochu, «z którego bywa złoto: Tak i sprawa wieku niniejszego. — «Wieleć ich wprawdzie stworzonych, ale mało będzie zbawio-«nych.»

Ubogi Młodzieniec. Na taką pociechę, to masz, bracie, zaraz następujące słowa: (w. 4, 5) «Połknij tedy, duszo, zmysł, «a zjédz, coć smakuje. — Boś przyszła słuchać i chcąc proro-«kować, — boć nie dano czasu, jedno tylko ku życiu.»

Adeodat. Oh! nie — nie — za temi słowami idzie długa, pokorna modlitwa, — długa, bo właśnie po takim buntowniczym jęku głos Boży nie prędko się odezwie; — pokorna, bo musi w łzy i miłość roztopić wszelkie szyderstwo wewnętrzne.

(w.6.) «O! Panie! jeśli nie dopuścisz słudze Twemu, abyśmy się «modlili przed Tobą, a nie dasz nam nasienia sercu, i zmysło-«wi wyprawy, zkądby poszedł owoc, — zkądże będzie mógł «żyć wszelki skażony, który poniesie miejsce człowiecze?»

(w. 15—17.) «O wszelkim człowiecze Ty lepiéj wiesz; ale «o Twoim ludu, dla którego boleję, — i o dziedzictwie Two-«jém, dla którego płaczę, — i o Izraelu, dla którego się smu-«cę, — i o Jakubie, dla którego się frasuję: 28

«Dla tego pocznę się modlić przed Tobą za się i za nie;
«bo widzę upadki nasze, którzy mieszkamy na ziemi.....

(w. 26, 27.) «Ani patrz na występki ludu Twego, ale na «te, którzy Tobie w prawdzie służą. — Ani pomądaj na nie«zbożne sprawy narodów; ale na te, którzy świadectwa Twoje «z boleściami zachowali....

(w. 31, 34.) «Bo my i ojcowie nasi takiemi niemocami cho«rujemy: ale Ty dla nas grzesznych miłosiernym będziesz «nazwany...

«Albowiem cóż jest człowiek, żebyś się nań miał gnié«wać: albo naród skazitelny, żebyś miał być tak gorzki «przeciw niemu.»

Nakoniec, nakoniec Pan się przebłagać daje, i odpowiada i rzecze (w. 37 do 39.):

«Dobrześ niektóre rzeczy mówił, a wedle powieści twych, «tak się stanie.

«Iż zaprawdę nie będę baczył na dzieło tych, którzy «grzeszyli, przed śmiercią, przed sądem, przed zginieniem.

»Ale się będę kochał w sprawach ludzi sprawiedliwych, «i będę téż pamiętał na gościnę, i na zbawienie, i na zapła«ty odniesienie.»

Tak ciągle po każdéj groźbie nowa, coraz świetniejsza obietnica idzie: (roz. 8, w. 50 do 54.) «Wielkie nędze i polito«wania godne przypadną na te, którzy mieszkają na świecie «czasów ostatecznych: w wielkiéj pysze chodzili.

«Ale ty i dla siebie rozumiéj, a dla tobie równych szukaj «chwały. Boć wam jest raj otworzony, drzewo żywota «wsadzone, przyszły czas zgotowany jest, nagotowana obfi«tość, zbudowane jest miasto, doświadczone odpoczynienie, «dokonana jest dobroć i dokonana mądrość.

«Korzeń złości zapieczętowan jest przed wami, niemoc i «mól zakryty jest od was: a skażenie uciekło do piekła na za«pamiętanie. Boleści przeminęły, a na końcu okazał się «skarb nieśmiertelności....»

Oh! bracie, zrozumiész wszystko, — tylko — (w. 55.) «Nie «pytaj więcéj o mnóstwie tych, którzy giną.» — Słuchaj lepiéj co mówi Pan do tych, których jako złota w ogniu próbuje, miłemi swojemi nazywa: (roz. 16, w. 75,76.) «Oto bli-«sko są dni utrapienia i z tych was wybawię. Nie bójcie «się, ani wątpcie, boć jest Bóg wodzem waszym.»

Ubogi Młodzieniec. Kiedy czytasz słowa podobne, co Ci na myśl przychodzi, Adeodacie?

Adeodat. Kiedy czytam słowa podobne, to mi do serca nadzieja wstępuje, duch silną wiarą się krzepi, i miłość z u-tęschnienia radosném zachwyceniem ku przyszłości biegnie.

Ubogi Młodzieniec. A ja tylko myślę sobie, że to już z półtrzecia tysiąca lat temu, jak ludzkość ciągle jedną, ciągle tąż samą skargą się odzywa, i na téj saméj obietnicy poprzestawać musi.

Adeodat. Błogosławieństwo obietnicy takiéj! błogosławieństwo prawdzie i słowu, które na lat tysiące wystarcza dla ludzkości całéj!

Ubogi Młodzieniec. Lecz Izrael w rozproszeniu!...

Adeodat (*przyciskając do swéj piersi głowę młodzieńca.*) Przebacz, Panie, słabemu dziecięciu Twojemu; bo i Rachel, płacząca synów swoich, nie chciała się dać pocieszyć, iż ich niéma.

ADEODAT
NA ULICY.

Chłopczyk (*w koszuli pod murem.*) Matula chora, jeszcze dziś nic nie jadłem, mój dobry Panie, daj mi choć ze dwa grosze, mój dobry, mój kochany Panie!

Adeodat. Gdzież-to jest matula Twoja? na co chora? czy nie wiész?

Chłopczyk. Matulę do szpitala powieźli.

Adeodat. No, to pójdź ty ze mną, dam ci mléka i chle-

ba, sprawię ci sukienki cieplejsze, i zaprowadzę do szkółki, w której się nauczysz Pana Boga chwalić, a na pieniądze własną pracą zarabiać.

Chłopczyk. Piękny mi dobrodziéj!.. *(wyciąga na niego język, i co sił starczy ucieka. Adeodat wzdycha boleśnie.)*

Kobiéta w łachmanach. Dobrodzieju! łaskawco! Panie mój litościwy! zmiłuj się nademną biédną wdową! oto mi córka umarła, i niémam jéj za co pochować.

Adeodat. Niémasz za co umarłéj córki pochować! jakaż-to nędza musi być okropna! Powiédz, gdzie mieszkasz? zaprowadź mię do siebie.

Kobiéta. Oh! mieszkam bardzo daleko z tąd, na przedmieściu, za rogatkami. Jeśli Pan nie wierzy, to jest świadectwo Kommissarza. *(Podaje mu zabrudzoną karteczkę.)*

(Adeodat czyta i dziwi się.)

Kobiéta *(płacząc coraz głośniéj.)* Wczoraj straciłam ostatnią podporę mojej starości! co ja teraz pocznę sama jedna siérota na świecie! oh! mój Boże! mój Boże!

Adeodat *(patrzy smutnie i z niedowierzaniem na twarz kobiéty.)* Więc, jak powiadasz, wczoraj twoja córka umarła?

Kobiéta. Wczoraj, wczoraj, onegdajszego dnia, miły Panie! tak mi się już z wielkiego żalu w głowie pomąciło.

Adeodat. Na téj kartce jeszcze dawniejsza, niż dzień onegdajszy, data.

Kobiéta. To i cóż, że dawniejsza, a trup leży na barłogu. Niech Pan sam przyjdzie zobaczyć.

Adeodat. Tak jest, pójdźmy, Chcę mieć w téj sprawie spokojne sumienie.

Kobiéta. Właśnie téż! pójdźmy! Czy ja mam czas do tracenia! czy ja wiém, co mi Pan da, jak pójdzie, a tymczasem mogę sobie z kilka złotych uzbiérać. *(Odchodzi, mówiąc półgłosem):* Bodajbyś przepadł, sknéro obrzydliwy!

Adeodat *(zatrzymując ją nagle.)* Nie przeklinaj, kobiéto.

Wszakże ja chciałem dobry względem ciebie spełnić uczynek, a ty mi właśnie wiele złego wyrządziłaś. Słowa przekleństwa na twoją głowę zwrócićby się mogły.

Kobiéta. Daj mi Pan pokój! co ja Panu wyrządziłam złego? czy okradłam Pana? czy zabiłam? czy co?

Adeodat. Gorzéj, niż gdybyś była okradła; bo mię zgorszyłaś kłamstwem twojém. Wszak sama widziałaś, że na piérwszą wzmiankę o twojém nieszczęściu gotów byłem z najchętniejszą pomocą śpieszyć. Teraz, gdy się przekonałem, że to na wyłudzenie tylko jałmużny niegodnie zmyślona bajka, czuję pomimowolnie do każdéj nędzy zbudzoną nieufność. Gdyby w téj chwili przyszła do mnie jaka matka naprawdę tak biédna, jak ty mi się biédną przedstawiłaś, jużbym jéj nie uwierzył, odwróciłbym się ze wstrętem; bo zaraz twoje oszustwo na pamięćby mi stanęło. Zgrzeszyłbym ciężko może; ale zgrzeszyłbym z twego powodu, i ona z twego powodu bez wsparcia odejśćby musiała. Za mój grzech, za jéj nędzę opuszczoną, ciebieby wtenczas kara Boża dotknęła. Czy wątpisz o tém? Patrz na swoje łachmany, przelicz wszystkie wyłudzone zyski; wspomnij sobie o każdéj obeldze, o każdém potrąceniu, które już znieść musiałaś, i powiédz mi dopiéro, czy szczęśliwa jesteś? A nie dość na tém, kobiéto: przyszłość jeszcze groźniejsza, z chorobą i śmiercią nieopłakaną przez nikogo, cię czeka! Oh! Bóg się prędko dopomni u ciebie i u podobnych tobie, krzywdy swojéj własnéj. Bo wy nieszczęśliwi, obłąkani, wy nie bogatszych, wy Boga samego krzywdzicie.. Poniżyliście najzaszczytniejszy stan chrześcijanina — ubóstwo; — wydaliście na wzgardę i podejrzliwość największą świętość ludzką — cierpienie. W cóż się obróci ta ziemia, jeśli na niéj biédy nawet i nędzy uszanować nie będzie można? A ten Chrystus, co powiedział, że nagi przyjdzie żądać odzienia, głodny chleba kawałka, spragniony szklanki wody, smutny słowa pociechy; — ten

Chrystus, gdy go odepchną i powiedzą «kłamiesz: tak wszyscy żebracy kłamią,»— czyż On twardości serc nielitościwych i na was poszukiwać nie będzie? czyż On i do was nie zwróci zagniewanéj twarzy, i czyż pytać was nie będzie: «Czemu„ście przedrzeźniali ubóstwo moje? Czemuście bluźnili stra„pieniu mojemu? Czemuście znieważyli obraz mój najpo„dobniejszy?“ Oh! wierz mi, kobiéto, przyjdzie na wszystkich straszliwa chwila surowych z Bogiem rachunków. Biada ci, jeśli za swoje życie, pełne i tak kłopotów, zmartwień, niepokojów, — za życie, którém właśnie najprędzéj byś zbawienie sobie kupić mogła, ty ino potępienia wieczność całą kupisz.

Kobiéta *(trochę zmięszana.)* Łatwo to panom gadać; ale kiedy raz i drugi człowiek uczciwie na chléb zarobić nie może, to się stara różnym sposobem. Przecież żyć trzeba, kiedy Bóg stworzył —

Adeodat. Gdyby ci powiedziano jednak, że jutro umrzesz, jakżebyś dzisiaj żyła?

Kobiéta. Juścić, gdyby mi powiedziano.... tobym poszła do kościoła, i w kościele cały dzień pacierze mówiła.

Adeodat. Więc ja ci powiadam, mniéj czasu masz przed sobą, niż go za sobą już roztrwoniłaś; lecz jakkolwiek tego czasu nie wiele, po kościołach, na pacierzach całego spędzać nie możesz. Weź się i do pracy także na odpokutowanie dlugiego próżniactwa; ja ci się o poczciwy zarobek wystaram....

Kobiéta *(po chwili namysłu.)* Ej, proszę Pana, kiedy bo to ja zawsze więcéj sobie żebraniną zbiorę. *(Oddala się; Adeodat załamuje ręce.)*

ADEODAT
W CHAŁUPIE.

Adeodat *(wchodząc.)* Niechaj będzie Chrystus pochwalony!

Gospodarz. Na wieki wieków.

ADEODAT. Wybrałem się piechotą dla zwiedzenia tutejszych okolic, że mi jednak przed nieszporem w sąsiedniém miasteczku stanąć trzeba, chciałbym u was, dobrzy ludzie, furki jakiéj z konikiem do najęcia dostać.

GOSPODARZ. Bogać-tam z konikiem, miły Panie, a dyć zdechł mi jeszcze przed gody, i niema za co drugiego kupić.

ADEODAT. No, to przynajmniéj poszukajcie mi u waszych sąsiadów, bo wy się znacie między sobą, wiecie gdzie zastukać, a jabym musiał od chałupy do chałupy się przepytywać. Tymczasem na waszéj ławie odpocznę troszeczkę. Jeśli mi prócz tego szklankę mléka ofiarujecie, to ją za wasze zdrowie duszkiem i z wielką wdzięcznością wychylę. *(Podaje chłopu kilka groszy; chłop ich nie bierze i w głowę się skrobie.)*

GOSPODARZ. Bogać-tam mléka! na jarmarku zeszłego tygodnia ostatnią jałowicę sprzedałem.

ADEODAT. Coś, jak widzę, nie bardzo u was dostatnio w chałupie.

GOSPODARZ. Juścić, jak się biéda raz uczepiła, tak i puścić nie chce. Najpiérw ja sam chorowałem i zadłużyłem się w robociznie; potém kobiéta mi zaniemogła od pół roku blisko: co wstanie, to się znów położy. Niéma komu dojrzéć ani ogrodu, ani dobytku, ani dzieciaków drobniejszych; starsze to już w służbie, proszę Pana. Więc wszystko w marność idzie.

ADEODAT *(spostrzegając chorą na łóżku, zbliża się do niéj.)* Mój Boże, prawda, nie dowidziałem od razu. I cóż to wam jest, moja matko?

GOSPODYNI *(słabym głosem.)* Ot, tak, — cała niemogę; — po kościach suche bóle mię łamią, w głowie szum okropny i ustawiczniebym ino piła a piła.

ADEODAT. Czyście już próbowali jakich leków?

GOSPODYNI. Ano Bóg wié nie jakich, — co kto poradził, to robiłam; bo mi strasznie kuczno tak leżeć.

Gospodarz. Toć niemało się człowiek wyciągnął i na te jéj lekarstwa różne. Póki jeszcze była szkapa w domu, raz o 5 mil jechałem dla niéj po jedną babę, która umié sławnie febry zamawiać; lecz, jak widać, nie febra to; ale gwoździec chyba —

Adeodat. Czy wam też kiedy jakich ziół do picia nie poradzono?

Gospodyni. Bywało-to i zioła pijałam; już nie pamiętam co za jedne. — Ale teraz ludzie mówią, że chyba do Pana Boga się uciec.

Adeodat. Najlepsza to rada; nietylko wtenczas, gdy inne środki nie pomagają, ale zawsze na każdą chwilę i na każdą biédę naszą.

Gospodyni. Ja też dałam w wigilię święta Matki Boskiéj prawie zupełnie nową koszulę do powieszenia na krzyżu, a jak się mój z robotą w polu obrządzi, to już mi przyrzekł, że na moją intencyę piechotą do krzaczków pójdzie —

Adeodat. Gdzie pójdzie?

Gospodyni. O parę mil z tąd, do krzaczków, co-to się w nich cudowna Najświętsza Panna objawiła.

Gospodarz. Ej, nie gadalibyśta o takich rzeczach z Panem. Panowie im nie wierzą i śmieją się tylko.

Adeodat. Nie słusznie pod tym względem do panów mię zaliczacie.

Gospodarz. Kiedy bo to o krzaczkach sam Proboszcz mówił z ambony, że tam nic cudownego się nie stało, ino zwyczajnie, jak na moczarach światło jakieś lata. Ale pastuch tamtejszy wyraźnie w nocy Najświętszą Pannę widział, i pełno już ludzi łask jéj doznało.

Adeodat. Ja też mocno wierzę w cuda łaski i w skuteczność wszelkiéj szczérze pobożnéj intencyi. Sam na sobie doświadczyłem nie raz, że miłosierdzie Boże prośbą, ofiarą, dobrym uczynkiem zjednać sobie można. Słuchajcie

no, poradzę wam coś jeszcze nieomylniejszego, jak pielgrzymkę, choćby do Częstochowy. Wszak nie wątpicie o tém, że zdrowie i choroba, pociecha i smutek, szczęście i nieszczęście, słowem wszystko, co nas spotyka, jest zawsze z rozporządzenia Bożego i z woli Bożéj na nas zesłane?

Gospodarz. A juścić.

Adeodat. Wszak o tém nie wątpicie, że Bóg jest dobry, miłosierny, że chce zbawienia duszy naszéj.

Gospodyni. A juścić.

Adeodat. No, widzicie, moi kochani. Bóg jest dobry; więc téż nigdy żadnego utrapienia na nas nie zsyła dla tego tylko, by nam przykrość zrobić; ale dla tego, by nas w jakim grzechu upomnieć; by za jakie przestąpienie praw Jego świętych ukarać, lub nakoniec, by do jakiéj wyższéj cnoty nas usposobić. O ile téj woli Bożéj nie pojmujemy, o tyle ciąży na nas dopuszczenie złego; o ile staramy się jéj zadość uczynić, o tyle rozjaśnia się nasze życie, i serce nasze rozwesela. Ja, naprzykład, w każdém zmartwieniu mojém, zaraz sobie zaczynam rozpamiętywać, czém-to mogłem Stwórcę i najlepszego Ojca mojego obrazić? Pilnie sobie uważam, jaka zła skłonność bierze nade mną górę, lub oglądam się w koło, czybym któremu z bliźnich moich przysługi jakiéj wyświadczyć nie mógł? Kiedy już tak wszystko rozmyślę sobie, idę do kościoła, modlę się, a potém wnet biorę się do pracy, czy nad sobą, czy dla drugich, według tego, jak ślubowałem na wiadomą Bogu intencyę, — i Bóg téż nigdy jeszcze bez wsparcia, bez pociechy i ratunku w żadném nie zostawił nieszczęściu.

Gospodarz. Dobre to dla panów takie korowody; ale my biédni ludziska, to my tam tego nie umiema.

Adeodat. Ja was téż chciałbym łatwego nauczyć sposobu. Popróbujcie tylko, choć przez czas niedługi. Wracając z miasteczka znowu do was wstąpię, przywiozę wam

ziół bardzo pomocnych na gwoździcowe bóle. Jednak wierzcie mi, te zioła bez łaski Bożéj, jak wszelkie ludzkie pomoce i zabiegi na nic się może nie zdadzą; trzeba na nie łaskę Bożą skruszoném sercem i pokutną ofiarą sprowadzić. Otóż, jako spełnienie pokutnéj ofiary, trzeba żebyście się na czas jakiś, stósownie do oznaczenia waszego, czy to miesiąc, czy kwartał, czy rok, jak tam powiécie sobie, — ale trzeba żebyście się wstrzymali od wódki, od klątwy wszelkiéj i wszelkiego słowa obelgi; — żebyście żyli w ciągłéj zgodzie z sąsiadami; — jeśli macie do którego z nich zadrę w sercu, to idźcie i pogódźcie się, jak przed wielkanocną spowiedzią; — nie pomstujcie się na nikim; — nie wymyślajcie na żadne z waszych dzieci; ale też niepozwalajcie żadnemu przez cały ten czas na próżniactwo lub nieprzyzwoitą zabawę; — co dzień zraną i wieczorem wszyscy razem odmówcie głośno pacierze; — niech spokój, cichość, zgoda i chwała Boża zamieszkają pod dachem waszym. No, zobaczemy potém; — Bóg nadzieja mocna, — a kto w Bogu ufa, choćby i umarł, żyw będzie. — Zastanówcie się oboje nad radami mojemi. W powrocie ja tu was nie ominę. Bądźcie pewni, dobrzy ludziska, ziół i co będzie dla choréj potrzebném, wszystko z sobą przywiozę, a teraz ostajcie z Bogiem i niech On z wami ostaje w każdéj chwili. *(Wychodzi; Gospodarz za nim.)*

Gospodarz. Niech-no Pan pozwoli przecię, — ja Panu muszę dobréj furmanki się wystarać.....

(Po trzech dniach Adeodat znów wstępuje do chałupy.)

Adeodat. Niech będzie pochwalony!

Gospodyni *(z łóżka stękając).* Na wieki wieków.

Adeodat. I cóż? jakże wam dzisiaj?

Gospodyni. Jakże ma być? Jeśli nie gorzéj, to tak samo.

Adeodat. A gdzież wasz mąż, czy niema go w domu?

Gospodyni. Proszę Pana, — bo to u nas były owo zmówiny starszéj naszéj dziewuchy, jak Pan pojechał. W nocy

mię zaraz okruteczna gorączka rozebrała i tak mię łamało, że w niebogłosy krzyczałam aż do rana. — Już mi niepobna było dłużéj czekać, — prosiłam mojego, i dziś poszedł do krzaczków....

ADWOKAT
NA CMENTARZU.

Kiedy z puszczy wychodziłem, to się przygotowałem na wielkie cierpienia, — na szyderstwo, nienawiść, — na kamienie potwarców i krzyże prześladowców. Dotychczas nikt mię jeszcze nie ukrzyżował, nie spotwarzył, nie zaczepił, — nie wyśmiał urągliwie, — a jednak smutnym i utrudzonym się czuję; bo mię wszędzie *obojętność* lodowatym opasała murem, i wszędzie mi poznać dano, że się na nic braciom moim nieprzydam. — Boże! wesprzyj mię w tym ucisku! nie wwódź mię na to pokuszenie. Zaiste, niémam prawa zrażać się, i przy pługu ustawać. Są już w ludzkości wszystkie do jéj zbawienia potrzebne warunki; są władze potężne, które tylko w odpowiednie sobie użycie nie weszły; skarby, którémi tylko zagospodarzyć trzeba. Jest rozum, co doścignął wysokości słowa Twojego, Panie! — jest nawet serce niejedno, co ukochało Twą świętość! — nędza tak ciężka, że litość Twoją wzruszyć może; siła wierzenia tak niezachwiana, że nią-by góry przenosić się dały; — jest wszystko, chociaż wszystko, niestety, w chaosie i rozstrojeniu. Gdzie wiedzą, co *najlepsze*, tam niczego, co *dobre* spełnić nie umieją; — gdzie pragną tego, co *sprawiedliwe*, tam przeciw temu, co *zdrożne* wytrwałéj cierpliwości nie stawiają; — gdzie ponoszą, co *najdotkliwsze*, tam do tego, co *uszlachetnia*, nie tęschnią; — gdzie wierzą w co *nadzmysłowe*, tam jeszcze temu, co *jawne* nie ufają. Słowom ludzkim brak wiary i miłości. Miłości

ludzkiéj brak spokoju i nadziei; — cierpieniom ludzkim brak uświęcenia i godności. — Wierze ludzkiéj brak słowa prawdy Twojéj. — Ale Ty, Panie! nad błądzącemi zachowałeś sobie aż do skończenia czasów pełną tajemnic i grozy opiekę. — Ty masz w ręku swojém — śmierć. Grób zwolna chłonie wszystkie grzechy i boleści, — a wieczność zwolna prostuje wszelkie zboczenia, zaciéra wszelkie skazy. W obec grobu i śmierci, któżby śmiał zwątpić o duchu człowieczym? któżby wrogowi swemu nie przebaczył? któżby nad nieszczęśliwym się nie rozweselił? Grób oczyszcza, grób usprawiedliwia, grób pociesza i łagodzi. — Widzisz zbytek szalejący zuchwalstwem? — Poczekaj chwilę — śmierć go ze złota i dyamentów obedrze. — Widzisz miecz obosieczny w szalonego dłoni? — Poczekaj chwilę — śmierć go wytrąci i skruszy. — Widzisz łzy na zmienionéj twarzy, krew na ranach świeżych? — Poczekaj chwilę, — śmierć zamknie płaczące oczy i boleść rozum odejmie. — Słyszysz jęki rozpaczy, skargi uciemiężonych, bluźnierstwa nikczemnych? — Poczekaj chwilę, — śmierć wszystko uciszy: — ku śmierci każdy biegnie, — i śmierć idzie ku każdemu. — Śmierć z sądem, — z zapomnieniem, — z odpoczynkiem, — z zagładą, — a jednak..... śmierć z nadzieją poprawy i z wiecznością udoskonalenia! To, co mię jątrzy, co mię oburza, co mię dręczy i zniechęca, — to jest chwila przemienna tylko. — Czyż ja dla téj chwili jednéj mam ludziom złorzeczyć i sam w drodze się cofnąć?.. Nie, nie, bracia moi, bracia obojętni i oporni! — *kochać* was będę wszystkich, was co umrzeć zepsuciu, odżyć wyrokom Najwyższego musicie. . . . .

Ach! jak łatwą jest miłość bliźniego
na *puszczy* i na *cmentarzu!*.....

Narcyssa Gabryella Żmichowska.

STANISŁAWOWI

JACHOWICZOWI

w dniu 17 Kwietnia 1857.

Skromnej cnoty, cichego poświęcenia wzorze,
Coś poczciwe uczucia, starą naszą mowę
Wlewał kropla po kropli w pokolenia nowe!
Czém Ci się dziś starcowi świat wywdzięczyć może?
Cześć wszak już masz należną, Bóg dał *starość* siwą,
A w głębi się *swą pracą* pocieszasz szczęśliwą.
Po co Ci wieńce *inne*, gdy znużone oko
Widzi *niebieski* wieniec za ziemską pomroką?
Gdy *w sercu*, jak po żniwie pracownik spokojny,
Zamknąłeś swe nadzieje i plon życia hojny.
Tobie to obojętne głosy i oklaski;
Ty *lepsze* słyszysz pieśni, *inne* widzisz blaski,
Tyś już doszedł do celu i stanął u progu,
Pół życia dając ludziom, pół oddając Bogu
A nic nie zostawując dla samego siebie,
Prócz pracy, z którą staniesz u wybranych w niebie.

Ale *nam* trzeba wszystkim w koło się zjednoczyć,
Miłością Cię okolić, i czcią Cię otoczyć
I wieńcami wdzięczności siwe zdobiąc skronie,
Pokorę i *zasługę* postawić na tronie.

Wiele głosów wypowie narodu uczucie,
Dziatki Ci zaśpiewają Twoje własne pieśni,
Poznasz plon Twego ziarna w ich niewinnéj nucie
I całe Ci się życie w ich śpiewie odeśni.

Niechaj i mój głos cichy w tym ozwie się chórze,
Bajarzu stary... przyjmij, na co piersi stało.
Przeżyłeś dnia znojnego i *trudy* i *burze*,
Używaj dnia *spoczynku* z spokojem i chwałą.

Żytomiérz.

Józef Ignacy Kraszewski.

DO

STANISŁAWA JACHOWICZA

na pamiątkę uroczystości Jego 61éj rocznicy urodzin, dnia 17 Kwietnia 1857.

Krzepimy siły dawnych lat wspomnieniem,
Gdy głos nasz z wiekiem słabnie i umilka;
Młodzi, świetniejszém uczcili Cię pieniem:
Cóż Ci przyniosę? — Chyba wspomnień kilka.

Jest mąż daleki od pismiennéj wrzawy;
Sercem i duszą umiłował dziatki,
Nie pragnął zysku, wziętości i sławy,
Z ojczystéj niwy zbiérał dla nich kwiatki;
Nauczycielską pełniąc pracę świętą,
Był dla nich wzorem, przewodnią, zachętą.
On się jak dziécię z dziatkami zespolił,
Z niemi się cieszył, z niemi się mozolił,
W sercach szlachetne rozbudzał uczucie,
Z nędzy wyrosłe wyplenial zepsucie,
Litosną dłonią kojąc łzy sieroce,
Biednym rozdawał swych trudów owoce.

Tak mu dzień po dniu, rok po roku płynął;
Zbawienne ziarko przyrzucał do ziarka;
Była-to cicha, skromna gospodarka,
Lecz z niéj się z laty bujny plon rozwinął.
A co dziś szczyci i zdobi Warszawę,
Co dobre, zacne, ojczyste i prawe,
Wszystko to nosi niezatarte ślady
Jego popędu, współ-pracy i rady.

Gdzież mię uniosły wspomnienia przeszłości!
Kreśląc, poznany w męskiéj życia dobie,
Wzór miłosierdzia, wiary i miłości:
Własny Twój zawód opowiadam Tobie.
Choć wiek i troska ku ziemi Cię chyli,
W szlachetnych pracach nie ustałeś jeszcze!
Czcząc Twe zasługi, nasi młodzi wieszcze
Sami się pięknym czynem zaszczycili:
A dążąc w górę śmiałemi poloty
Z Twych pism wzór wezmą prawości i cnoty!

Franciszek Salezy Dmochowski.

DO

STANISŁAWA

JACHOWICZA.

Życie Chrystusa w *sercu* się odsłania,
Jako księgozbiór dla wszystkich otwarty,
Lecz każda dusza, patrząc w jego karty,
Inną wybiéra do naśladowania.

Jedni na puszczy ujrzawszy Jezusa,
Duszę samotną zamykają w celi;
A tam ich czeka potrójna pokusa;
Później im służą anieli.

Inni Go widząc wśród Kanejskich gości,
Niepogardzają uciechami tłumu;
W biesiadzie ducha piją sok radości,
I święcą gody wiary i rozumu.

Inni Go widząc na górze skrwawionéj,
Wszędzie szukają cierniowéj korony.

Ale jest chwila Ukrzyżowanego,
Co naśladowców rzadko napotkała:

Pod cieniem palmy kwitną miękkie darnie;
Tam zasiadł Zbawca, — ciżba dziatek biała
Do Jego kolan się garnie,
A On im rzekł: «Błogosławię!»

Tę cudną chwilę wziąłeś, Stanisławie,
Za wzór długiego zawodu:
Całe plemiona w Twe objęcia biegą —
Tyś wykołysał kolébkę narodu!

Więc gdy na ołtarz zasługi,
Stojący w progu niebiosów,
Jedni niosą mirrę sztuki,
Drudzy łez perłowe strugi,
Ci zerwane badań łuki,
Tamci pracę pełną kłosów,

Ty, o Pastérzu dzieciątek!
Wiedziesz do rajskiego progu
Ofiarę *najmilszą* Bogu:
Bieluchną trzodę jagniątek.

Deotyma.

GODZINA
ROZMYŚLANIA
W ŚWIĘTA
WIELKANOCNE.

Kiedy Bóg w miłosierdziu swojém za dni naszych widocznie dźwiga ludzkość całą do wyższéj epoki życia chrześcijańskiego, powinnością, powinnością naszą jest, bracia! przejrzéć już światłem słowa Bożego, i w tym duchu obchodzić wszystkie święta chrześcijańskie, a tém bardziéj ową pamiątkę zmartwychwstania Pańskiego, która jest dopełnieniem, jest ukończeniem na ziemi posłannictwa Chrystusowego.

Przez ośmnaście wieków człowiek widział to wielkie dzieło tylko w świetle ziemskiém; znaczenia prawdziwego myśli Bożéj w niém nie pojmował: czcząc Chrystusa w formie saméj, cieszył się Jego zmartwychwstaniem, a ciesząc się nie bolał nad śmiercią słowa Bożego i ducha własnego; nie bolał nad wznoszącém się na ziemi królestwem księcia ciemności; ale owszem popierał panowanie jego własną niewolą i życiem niechrześcijańskiém, wstrzymując przez tyle

wieków spełnienie woli Pańskiej. I dla tego-to jękiem, boleścią, nieustanną tęsknotą naglony był do odrodzenia się w duchu ewangelii świętej.

W wieku zaś obecnym, gdzie palec Boży widać na niebie i na ziemi, objawia się człowiekowi ta wola Boża; ponawiają się obietnice Chrystusowe, i ukazuje się droga, na której one z-iszczone być mają. Wy przeto, bracia! których dobroczynna Opatrzność prowadzi przez górę Golgoty, górę Kalwaryi do spełnienia myśli Bożéj na ziemi, jesteście obszerną; ale jeszcze nieuprawną niwą, na której ma się uświęcić imię Ojca niebieskiego w ludzkości całéj. Kiedy więc idzie o wydźwignienie z gruzów pogańskich dzieła Bożego, nie pytajcie się, kto wam odwali kamień grobowy? bo Chrystus dnia trzeciego zmartwychwstając zapowiedział całemu światu, że się z śmiercią jego nie ukończyło dzieło zbawienia; ale że je przeciągać w nieskończoność nieprzestanie z niebios, z prawicy Ojca swego; że słowo Boże złą wolą człowieka odrzucone, odrodzić się ma w czasie; zapełnić wszystkie ludzkie serca, wszystkie krainy świata, jak świadczy ewangelia święta.

Aby uczcić świętą pamiątkę męki i zmartwychwstania Pańskiego, aby sobie uprzytomnić tę uroczystą chwilę w dziejach ludzkości, potrzeba nam się przenieść myślą w bardzo odległe czasy, i duchem stanąć na owéj ziemi, gdzie się ta krwawa spełniła ofiara.

Kiedy ciało ukrzyżowanego włożono do grobu, a noc skrzydłami swemi okryła górę Syonu i nagi krzyż na Golgocie stojący, — wszystko zda się umilkło! — i przeraźliwy zgiełk uwiedzionego ludu, i głośne narzekania płaczących nad Chrystusem niewiast, i obelżywe naigrawanie się siepaczy, i bezbożne urągania Faryzeuszów, — wszystko się rozpierzchło, i albo snem niemocy usnęło, albo w cichéj boleści, w trwodze o własne bezpieczeństwo szukało schronienia, i

ze drżeniem oczekiwało śmierci! Wśród powszechnéj na zewnątrz ciszy, w obec pozornego sług szatańskich zwycięstwa, odbywały się straszne tajemnice w sumieniu tych, którzy znienawidziwszy prawdę i świętość, lud podejściem uwiedli, i zamordowali sprawiedliwego, zabili zbawiciela, mniemając, iż śmierć jego zapewni im pokój i panowanie na ziemi. Występni i zaślepieni obliczyli wszystko na zgubę przyszłości, poruszyli wszystkie żądze na korzyść osobistych widoków; użyli najsilniejszych sprężyn pychy, przesądu, obawy, i samolubstwa ku potłumieniu prawdy, miłości i światła; stawili do walki potwarz, hańbę i siłę materyalną przeciw niezwyciężonéj potędze ducha; ubiczowali, ukrzyżowali, i ciało ukrzyżowanego do podziemnéj włożyli pieczary, którą ciężkim zawarli głazem. A uczyniwszy wszystko, co było w ich mocy, czemuż się nie radują z odniesionego zwycięstwa? Kiedy ten, którego się obawiali, w zimnym spoczywa grobie, czemu śmierć jego przejmuje ich trwogą i zwiększa niepokój, chociaż nasycić była powinna ich nienawiść i zemstę?! I czemuż słowa Mistrza, które boleść zatarła chwilowo w pamięci uczniów, brzmią złowrogo w sumieniu zabójców? a przepowiednia zmartwychwstania Pańskiego objawia im się w postaci groźnego widma, i po nad głowami ich, zwycięską powiewa chorągwią? — Cierpienie z jednéj strony, z drugiéj trwoga i niepokój; — oto owoce zbrodni! *Innych* nie było, niémasz, i nie będzie.

A kiedy się wszystko wykonało, i kielich męki do dna spełniony został, — kielich, na dnie którego miało być zbawienie, w cóż się obróciła wiara uczniów Twoich, o zbawicielu świata? Gdzież męstwo Piotra? Gdzie miłość Jana? Gdzie pamięć obietnic Twoich? — Oto bojaźń i smutek wszystko w przepaść zwątpienia strąciły. Idą wprawdzie do grobu Pańskiego święte niewiasty, mężniejsze od bojaźliwych uczniów, — idą wiedzione miłością; ale nie wiarą; — idą

z myślą o śmierci, nie o zmartwychwstaniu; i dla tego troszczą się: kto im kamień grobowy odwali? I tak w najuroczystszéj na świecie chwili, zwątpienie ogarnęło dusze prawiedliwych, dusze Apostołów Chrystusowych, którzy zapomnieli, że po dniu pracy i po dniu śmierci, rozpoczyna się dzień trzeci, dzień zmartwychwstania! Żywot Chrystusowy zawiéra w sobie dziejową prawdę i tajemnicze proroctwo, które objawia się bez końca, tak we względzie fizycznym, jako i we względzie duchowym. Wszystko, cokolwiek istnieje, cokolwiek było, jest i będzie w czasie i przestrzeni, ulega koniecznemu a *troistemu* warunkowi wszelkiego żywota: *pracy*, *śmierci* i *odrodzenia*. Wszystko dojrzéwa i doskonali się pod wpływem tego troistego przeobrażenia, którego cel ostateczny w wiedzy Bożéj dla nas utajony. Ziarno pracą zasiane, zamiéra w łonie ziemi, aż go wiosna z tajemniczego zbudzi uśpienia i do nowego powoła życia.

Tak wszelkie ciało, wypełniwszy zakres naznaczonéj sobie pracy, w proch się rozsypując zamiéra, — traci barwę i kształt pierwotny, usypia w łonie powszechnéj matki, — aby znów odmienną barwą i nowym kształtem objawić się w świecie fizycznym, i wypełnić nakazaną przeistoczenia epokę! Nic nie ginie, nic nie umiéra, wszystko się przeobraża, coraz nową doskonalszą przybiéra postać. Smierci niémasz w naturze, a témbardziéj niémasz jéj w sferze ducha, który jest wolą, siłą, wiedzą i życiem materyalnego świata.

Śmierć jest tylko *drugą* epoką wszelkiego bytu, jest przejściem do doskonalszego żywota, jest właściwie odrodzeniem ducha i natury. A jeżeli niéma śmierci w naturze, jakożby była w duchu? a jeżeli dusza pojedyńczego człowieka nie ginie, jakoż zginąćby miała dusza ludów i dusza ludzkości całéj?

Nie uwódźmy się nigdy pozorami śmierci i nie mówmy: „Oto umarła.“ Bo i zbawiciel nasz umarł i pogrzebion był

w podziemnéj pieczarze, którą złośnicy zawarli kamieniem grobowym i świętokradzką oznaczyli pieczęcią, mniemając, że się już wszystko skończyło: — a wszakże, gdy nadszedł dzień trzeci, ziemia się zatrzęsła, pierzchły ciemności ze wschodem słońca, duch zerwał więzy swoje, pękły pieczęcie faryzejskiéj obłudy, kamień grobowy podniosła moc Boża, a umęczony i ukrzyżowany dla zbawienia świata, powstał Jezus z martwych, pełen życia i chwały!

Wszyscy bez wyjątku powołani jesteśmy do żywota wiecznego; ale nań wszyscy razem i każdy z osobna *zapracować* musimy. Dostąpimy żywota, jeżeli, jak Chrystus, przyjmiemy dobrowolnie pracę, boleść i krzyż poświęcenia; jeżeli gotowi będziemy cierpieć i umrzeć nawet, z miłością i z wiarą w obietnice Pańskie. Wszak powiedziano jest: iż ktoby utracił duszę swoję, to jest: życie chwilowe, przemijające, dla prawdy, dla Boga i zbawienia świata, ten znajdzie doskonalszy żywot w przyszłości, i sowitą otrzyma nagrodę za wszystko, co utracił.

Lecz aby poświęcić życie za braci, potrzeba najprzód zrozumieć: czém jest to życie? czém jest ta chwila, dana człowiekowi, jako narzędzie do wykonania nieśmiertelnego dzieła? trzeba zrozumieć, że *żyć*, to znaczy *pracować* około upowszechnienia prawdy i miłości, — oczyścić z chwastów ziemię Bożą, aby się na niéj dobre tylko rodziło ziarno; — żyć, to znaczy zapomnieć o sobie, niczego dla siebie nie żądać, znieść w potrzebie obelgi, potwarz i ciernie, i oddać wszystko dla wszystkich, aby odzyskać wszystko we wszystkich.

Zrozumiéjmy to dobrze, iż życie nasze obecne nie tłómaczy się używaniem dóbr ziemskich, i wyjątkowém siebie ukochaniem; ale tłómaczy się poświęceniem osobistém i ukochaniem siebie w ludzkości i w Bogu; bo życie to jest wizerunkiem i ponowieniem przejścia Jezusowego na ziemi ręki ojmią przyszłego zmartwychwstania.

Przez pracę i śmierć odradza się wszelkie stworzenie; pracą i śmiercią dąży do stopniowego udoskonalenia; pracą i śmiercią dobija się żywota i zmartwychwstania w chwale wiekuistéj. Wy przeto, stworzenia rozumne, wy istoty nieśmiertelne! weźcie się do *pracy* z *myślą* o śmierci; ale oraz z *nadzieją* przyszłego odrodzenia!

Wypełniajcie wolą Boga waszego na ziemi, jak ją wypełnił Chrystus. Odrzućcie to wszystko, co wam dotąd na drodze do wspólnego zbawienia zawadza. Dosyć długo żyliście, jako poganie, w nienawiści, w samolubstwie, w próżności: żyjcież teraz jako ludzie i bracia Chrystusowi, w pracy, w miłości i w poświęceniu. Wystąpcie duchem z podziemnéj pieczary; bo oto słońce wschodzi nad wami i przez zmartwychwstanie Chrystusowe do nowego powołuje was żywota; i nie troszczcie się, kto wam odwali kamień grobowy? bo Bóg wasz jest Bogiem wszechmocnym, a wyście synami odrodzenia!

Wszystko do tego nowego powołuje życia: i budząca się z uśpienia natura, i rozrzewniające przodków naszych wspomnienia.

Kiedy bałwochwalcza Litwa wywracała swoje materyalne bogi, i łącząc się z nami, rzucała się w objęcie chrześcijańskiéj wiary, w dzień uroczysty zmartwychwstania Chrystusa Pana, w obec Władysława Jagiełły i naszej czcigodnéj Jadwigi tłumy ludu na rozległych błoniach Litwy, wśród zdruzgotanych bałwanów, przyjmowały chrzest święty przez pokropienie. W kolei wieków lud nasz uświęcił tę wielką pamiątkę polewaniem się wodą w poniedziałek wielkanocny a obchodząc tę ważną w dziejach naszych epokę, prawdziwego jéj znaczenia dotąd nie pojmuje.

Przeto w dniu tak wielkiego tryumfu i chwały nie winszuję wam niczego; bo was widzę zamarłych na duchu, smutnych i pochylonych przed obliczem Bożém. A chociaż

godowe szaty ludu zwiastują nam jakieś wielkie religijne zdarzenie, błyszcząca łza w oku świadczy o ukrytéj wewnątrz boleści. Drogi mój Boże! czegóżbym dziś nie dał, abym mógł pocieszyć braci moich?

Nie płaczcie jednak sieroty! nie płaczcie, bracia moi; ale wznieście się wyżéj po za sferę ziemskiéj niedołężności, i pokrapiając się wzajemnie wodą, połączcie się sercem w braterskiéj miłości, nie zatrzymując się na drodze chrześcijańskich usiłowań!

Boże wielki na niebie, na ziemi i na morzu! do Ciebie wołamy! uczyń nam wedle wiary naszéj, z miłosierdzia Twego!

Nie dopuść, ażebyśmy zamrzeć mieli na wieki! niechaj się moc Twoja objawi nad nami, abyśmy odtąd imię Twoje chwalili w prawdzie i uczynku, abyśmy pracą i męką zjednoczywszy się z Chrystusem, powstali z martwych w światłości i odrodzili się w królestwie Twojém.

K. B.

KOBIÉTA.

Kobiéta?.. puch marny! Kobiéta?... niebianka!..
Kobiéta?... to cacko! — To raju mieszkanka!
To wietrzna istota! — Serc ludzkich królowa!
To rodu ludzkiego... mniéj ważna połowa!
Kobiéta? — — A ja wam powiadam zaiste:
Gdy myśli porządnie, i serce ma czyste,
Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,
Gdy szczérze dla drugich poświęcić się zdolna,
Gdy ziemię swą kocha uczuciem poczciwém,
Gdy myślą od pracy do Boga aż sięga,
Oh! wtedy Kobiéta jest *świętém ogniwem*,
Które *ziemię z niebem* sprzęga.

Paulina Kraków.

Anioł-Stróż.

Późno w noc z balu, w świécącym się stroju,
Wróciwszy Zosia do swego pokoju,
Z tańczącém sercem, z myślą rozigraną,
Dziękować Bogu za radość doznaną
Gdy do modlitwy przed spoczynkiem biegła,
Nagle swą postać w zwierciadle postrzegła.
Stanęła, — żywiéj zapłonęło lice,
Skromnie ku ziemi spuściła źrenice,
Stoi i myśli, — i spojrzała z trwogą,
Czy prócz niéj w izbie nie było nikogo?
Widać w tym wzroku, że jakaś myśl cudza,
Jéj saméj dziwna, w sercu się obudza.
Stoi i myśli, — jakaś niepojęta
Chęć, jakiś urok, tajemna ponęta
Gwałtem jéj kroki ciągną do zwierciadła. —
Już z ust i z myśli modlitwa wypadła.
W pełnym rozkwicie jéj piękność dziewicza,
I blask spojrzenia, i gładkość oblicza,
I miękkość bujnych warkocza pierścieni,
Ujętych wstęgą z gwiaździstych kamieni,

I postać lekka, powietrzna, wiejąca,
Bez skrzydeł, zda się, ku niebu lecąca,
I pierś, w nieznanym, lubym niepokoju,
Lekkiém się tchnieniem wznosząca z pod stroju,
Wszystko ją samą cieszy, i zdumiewa. —
Tajna się lubość po sercu rozlewa.
Coraz w krysztale głębiéj toną oczy.
Im dłużéj patrzy, tém obraz uroczy
Coraz ją bardziéj czaruje i nęci. —

Teraz, raz piérwszy, rozbiéra w pamięci:
Czułe zabiegi, pochlebne wyrazy,
Względy, spojrzenia, co jéj tyle razy
Twarz mimowolnym rumieńcem oblały. —
Dotąd, w prostocie skromnéj i nieśmiałéj,
Widząc w nich tylko dobroć, pobłażanie,
Bogu i ludziom dziękowała za nie. —
Teraz wié prawdę, — teraz myśli inne:
Były-to hołdy jéj wdziękom powinne! —
I lekki uśmiéch wesela, próżności,
Nowego blasku przydał jéj piękności.

Jakaż mgła nagle wźrok jéj przesłoniła? —
Twarz zadumaną ku ziemi skłoniła.
Żywszém westchnieniem pierś chwiać się zaczyna.
Jakaż myśl w sercu? — *Kochała* dziewczyna!...
Młodzian, towarzysz jéj od lat dziecinnych,
Wspólnik jéj zabaw, jéj uczuć niewinnych
Piérwszy powiernik!... Rodzice weseli
Z pociechą miłość wzajemną widzieli;
A ona? — ona! — W nim dotąd jéj cała
Nadzieja, szczęście, ufność spoczywała.
Często się sama dziwiła, dla czego
Wszędzie jéj tęskno i smutno bez niego?...

Czemu, gdy przyjdzie, niechcąca się płoni,
Czemu się gniéwa, gdy nie mówi do niéj,
Czemu wprzód sama przemówić się wstydzi?
Chciałaby płakać, gdy go smutnym widzi,
A gdy z nią tkliwie rozmawia, żartuje,
Tak pełne serce, tak łzy bliskie czuje,
Iż, by je ukryć, ucieka, — i nieraz
Długo się, długo modli. — Ale teraz!...
Dla czegóż teraz, raz piérwszy, dziewczyna
Z upokorzeniem te chwile wspomina? —
Myśli jéj błądzą po balowéj sali. —
Wszyscy się o nią w tańcu ubiegali;
Gdzie tylko okiem rzuciła na stronę,
Spotkała oczy na siebie zwrócone;
Każdy chciał z jaką pośpieszyć usługą....
Znów we żwierciadło spojrzała, — i długo
Patrzy. — Dla czegóż miałaby, dla czego
Tak dbać, tak bać się o względy jednego,
Gdy tylu *innych*, — byle chęć, wzrok, słowo?...
On tylko dzisiaj z postawą surową
Poglądał na nią zimno i nie czuło,
I to spojrzenie wesołość jéj truło!...

«Nigdy z ust jego tych słów uwielbienia,
Nigdy tych względów, przysług, uprzedzenia!...
Muszę być wartą ich, gdy tylu innych!...
Jużem też przecie wyszła z lat dziecinnych!
Czy chce mną rządzić? — On nie mój brat, — cudzy,
Jak każdy inny; — niech widzi, jak drudzy!...
Będzie się gniéwał? — i cóż z tąd? — toć przecie
Nie ja z nim jedna jesteśmy na świecie.
Pójdzie? — niech idzie! — bylebym *pragnęła*,
Może ktoś *lepszy*....» — Tu się uśmiechnęła;

Lecz coś takiego było w tym uśmiechu,
Że się go sama przelękła, jak grzechu. —
Chciała się cofnąć, — wtém lice jéj zbladło —
Jak mgłą się całe powlekło żwierciadło, —
Krzyk skonał w ustach: — musiała pozostać. —
W żwierciadle druga zjawiła się postać!
Nie ziemska, jasna, jako światło dzienne:
Śnieżyste skrzydła, i czoło promienne. —
Lilię białą w jednéj trzyma dłoni,
A lica, jakich oko nie widziało,
Były — czy prawda, czy jéj się tak zdało —
Do jéj kochanka podobne, i do niéj. —
Strach ją ogarnął, — w oczach się zaćmiło,
Krew pozimniała, i serce nie biło.
Wtém ciche słowa do uszu jéj płyną:
«Jam twój stróż-anioł, nie bój się, dziewczyno!
«Jam twój stróż-anioł, jam jest dusza twoja! —
«Cóż jest ta piękność, co tak wzrok twój łudzi?
«Piękniejszaś w oczach Boga, niźli ludzi;
«Dziewczyno! patrzaj, jaka piękność moja! —
«Kiedy się modlisz co wieczór, co rana,
«Ja twoje modły zanoszę do Pana.
«Seraf z uśmiechem przed tronem mię stawi,
«Z uśmiechem, we mnie Pan cię błogosławi,
«I z jego woli niosę ci w powrocie
«Niebieski pokój i słodkie uczucie,
«Którém twój anioł z swym bratem się kocha. —
«Lecz od złych duchow idzie próżność płocha! —

«Dziewczyno! dziś się twój anioł zasmucił,
«Nie wysłuchany od bram nieba wrócił. —
«Widzisz tę białą lilię w méj dłoni,
«Widzisz ten promień w około méj skroni?

«Promień - to łaski, co nad tobą świta,
«W lilii obraz twych uczuć rozkwita,
«A z nich twe czyny i myśli Bóg czyta! —
«Póki blask świéci w całéj swéj jasności,
«Póki kwiat kwitnie w całéj swéj białości,
«Póty stróż niebios z obliczem wesołém
«Otwiéra bramę przed twoim aniołem.
«Lecz dziś, patrz! — blask się otoczył mgłą siną,
«Kwiat więdnąć zaczął: — *zgrzeszyłaś*, dziewczyno!
«Zgrzeszyłaś! żałuj, popraw się! — masz porę! —
«Kwiat jeszcze żyje, i blask jeszcze gore!»

Skończył, — jéj życie powracać zaczyna.
Grzech swoich myśli uznała dziewczyna:
Żal ścisnął serce, — i łzami zalana,
Twarz kryjąc w dłoniach, padła na kolana —
A gdy znów nagle spojrzała do koła,
Raz jeszcze swego ujrzała anioła:
Wznosił się w górę, — lecz już kwiat był bielszy,
I blask jaśniejszy i anioł weselszy! —
Gdy zaś z kochankiem zmieniwszy pierścionki,
Szła mu poprzysiądz na miłość małżonki,
I przed ołtarzem stanąwszy nieśmiało,
Modląc się w myślach, wźrok wzniosła ku górze,
Anioł jéj w kadzidł ulatywał chmurze,
I błogosławił ją lilią białą.

Antoni Edward Odyniec.

OGÓLNY POGLĄD
NA GŁÓWNĄ PRZYCZYNĘ
UPADKU MIAST
W DAWNÉJ POLSCE.

WSTĘP.

Uczony nasz ziomek, czci godny Wawrzyniec Surowiecki, podał w szacownem dziele swém, „*O upadku przemysłu i miast w Polszcze,*" w Warszawie r. 1810 wydaném, za główną przyczynę znikczemnienia dawnych miast naszych i zniweczenia w nich handlu, tudzież wszelkiego przemysłu, zdzierstwo urzędników, a mianowicie starostów, którzy nadzorując je złupili z majątku, obdarli z praw, zdeptali godność magistratów, i do nędzy ludzkość oburzającéj przywiedli mieszczan: co lubo przesadnie opowiedział, jednakże w głównych twierdzeniach założonego od siebie zadania nie ubliżył prawdzie. Tenże sam atoli pisarz mówiąc o skutkach, nie rzekł nic o przyczynie, i winę upadku miast na rząd dawnéj Polski wyłącznie zwalając, nie zastanowił się nad tém, że same miasta dały powód do téj, która na nie spadła, niedoli; że z przyczyny chciwości pieniędzy, niczém nienasyconéj, i dla innych jeszcze okoliczności postawiwszy Królów w koniecz-

ności rozciągnienia nad sobą kontrolli, zrządziły same tę klęskę, która ich dotknęła boleśnie. Opowiedzieć to w krótkości jest celem tego artykułu, który podając do druku uprzedzam czytelnika, że on jest wyciągiem z drugiego wydania Historyi prawodawstw, która obecnie z druku wychodzi. Skoro się drugi i czwarty jéj tom ukaże, popatrzy się w nim czytelnik na obraz dawnego stanu miast polskich, w którym prawa ich, rząd, przemysł, handel, pomyślność, w miarę, jak na to zakres dozwoli dzieła, dokładnie przedstawione będą. Ztamtąd téż poweźmie wiadomość o źródłach, z których czerpałem, a które *wcale inaczéj*, niż u naszych historyków, bez różnicy wszystkich, przedstawiają miast naszych dzieje. Dla wygody czytających artykuł mój, podzielę go na rozdziały.

OGÓLNY POGLĄD NA TWORZENIE SIĘ MIAST W POLSCE, PRZED ZNIEMCZENIEM SIĘ TYCHŻE.

Słowianie wszyscy, a w szczególności ci, od których Polacy swój wywodzą początek, mieli, według słów kronikarzy, lasy i bagna za miasta, czyli, jak się słowa ich wyrozumiewają powszechnie, grodzenia sobie czyli *ogrodzenia* wśród bagien na kępach, a zasieki z drzew wśród lasów robiąc, mieli je za miejsce przytułku, i *mieścili* się w nich, chroniąc od nieprzyjaciela. Z tąd z czasem powstały *grody*, *twierdze* i *miasta*; na co dostarcza dowodów sam język, który ma rzeczone wyrazy w najdawniejszych już pomnikach swoich. Miejsce z natury wodą, bagnami i t. p. obwarowane, umocowując sztuką, nazywali *twierdzą*, a około téj twierdzy budowane i palisadami lub rowem opatrzone domy, *grodem* mianowali; po za grodem zaś otwarte, lub lekko obwarowane, a obszar większy od grodu mające i wewnątrz zabudowane miejsce zwali *miastem*, tworząc ze wszystkiego jedno, troistą postać i cel trojaki mające *miasto*. W twierdzy przebywał

garnizon wojskowy, w grodzie mieszali kupcy i rzemieślnicy, w mieście żyli rolnicy. Dotąd dawne miasta polskie, których dziś jeszcze jakiekolwiek pozostały się ślady, składają się ze zwalisk twierdzą niegdyś będącego zamku; z miasta, gród dawny przypominającego, rogatką u wnijścia i wyjścia opatrzonego; tudzież z przedmieścia, będącego na otwartém polu, co wszystko postać dawnego dziś nawet przypomina miasta. Że wielka była miast liczba w krajach dawną stanowiących Polskę, daje na to świadectwo rękopis pargaminowy dziewiątego wieku, w Mnichowie *(München)* dotąd przechowywany; pracą bezimiennego pisarza, którego dziś *Geografem Bawarskim* nazywać zwykliśmy, będący, w którym wyczytujemy: że na samym Szląsku tudzież na Powiślu było kilkadziesiąt miast dużych *(civitates)*, nie licząc w to wsi i małych miasteczek. Dzieliły się one jeszcze za Bolesława Chrobrego na grody *(castella)*, miasta *(urbes)* i miasteczka *(stationes)*, w których monarcha ten miewał swe stanowiska kraj objeżdżając, i z których, jak mówi *Gallus*, nasz kronikarz najdawniejszy, brał pewne daniny, i posiedziawszy przez czas niejaki w jedném, przeniósł się z tąd na inne miejsce. Właśnie ze stanowisk owych powstawało wiele miast i miasteczek. Za wnuka jego, Władysława Hermana, dzieliły się one, mówi tenże *Gallus*, na mniejsze i większe, rezydencyonalnemi będące miastami, w których przemieszkiwał biskup, gdzie miał monarcha swój pałac i t. p.

PRZEZNACZENIE MIAST TYCHŻE I RZĄDY ICH.

Niczém się od wsi, prócz zarobkowania, nie różnili mieszczanie. Wespół bowiem z ziemianami czyli wieśniakami jednemu, to jest krajowemu, *ziemskiém* nazywanemu, ulegali prawu, mając na swém czele: mniejsze *Setników*, większe *Wójtów*, z czasem *Wojskimi (Tribuni)* nazywanych; którzy później, za nastaniem do nas osad niemieckich i zniemcze-

niem się miast, w poczet ziemskich, wojskowości i policyi doglądających urzędników policzonymi zostali. Mieszczanie ci częścią roli, częścią przemysłu i handlu pilnowali, stowarzyszając się. Były więc stowarzyszenia rolników, rzemieślników, kupców i wszelkiego rodzaju przemysłowców, jakich dotąd pełno w głębi Rossyi. Jeden ze stowarzyszonych skupował materyał, drugi wyrabiał go, trzeci rozwoził wyroby po targach. Stowarzyszały się znowu między sobą leżące, mianowicie na Pomorzu, handlem wielce kwitnące miasta, tworząc tak zwany *węzeł miast zespolonych;* od Niemców, którzy sobie instytucyą tę przywłaszczyli, *hanzeatyckiemi* zwanych *miastami.* Jest albowiem niemiecka *Hanza* naszą instytucyą z nazwiska i rzeczy. Wszystkie te stowarzyszenia będąc li tylko handlową, jak dziś mówimy, spółką, zawiązywały się i rozwięzywały według upodobania; nieprzeszkadzały sobie wzajemnie w zarobkowaniu, i nie miały prawa przeszkadzać. Obok więc towarzystwa jednego mogło istnieć drugie, współubiegać się z niém w zawodzie i t. p.; ale mogło tam tylko, gdzie samodzielnie rządziły się słowiańskie ludy, lub gdzie pomięszane z obcego rodu plemionami żyjąc, równego z niemi używały prawa. W przeciwnym bowiem razie stowarzyszenia rzeczone musiały ustępować *cechom*, czyli stowarzyszeniom *niemieckim*, wolnéj konkurrencyi w zarobkowaniu niedopuszczającym, które rozlokowawszy się również po miastach, nabyły wielkich bogactw przez monopole przemysłowe i handlowe. W dzisiejszéj Germanii wzdłuż Dunaju, dochodząc prawie do źródeł téj rzeki, mieszkały słowiańskiego szczepu, z Niemcami już w czasach przedhistorycznych pomięszane ludy; mieszkały też wespół z niemi po obu brzegach Elby, począwsry od źródeł aż do ujścia jéj w północne morze. Tutejsze więc miasta, miały, o ile to zapamiętać można, takie samo, co polskie, urządzenie. Były pełne towarzystw handlowych, miały Setnika, *Sołtysem*

tu nazywanego, tudzież Wójta na swém czele, a dopoty go miały, póki wolność ich szanowali Niemcy. W miarę, jak ją z przyczyn, o których tu przemilczam, utracały, musiały stowarzyszenia ustępować miejsca korporacyom, *cechami* nazywanym, które również, jak słowiańskie, ale na kastowe po feudalnemu urządzone podzielające się bractwa, charakterowi narodowości odpowiadały niemieckiéj. Bractwa te, *gildami* zwane, unosili z sobą przesiedlając się w obce kraje Niemcy. Tym sposobem dostały się one i do nas.

MIASTA NIEMIECKIE W POLSCE.

Z natury rzeczy wynikło, że bogactwami zadziwiać mogły tylko nadmorskie, na Pomorzu położone miasta; że wewnątrz polskiego kraju leżące musiały mieć wielu, ale miernie majętnych mieszczan, a przeciwnie takież niemieckie liczyć u siebie niezmiernie bogatych, gdy się z nimi w handlu i przemyśle nikt, prócz cechowych, współubiegać nie mógł, i gdy nikt, prócz monarchy, nie mięszał się do nich. W nadziei, że również nasze zakwitną miasta, jeżeli się z polskich zamienią w niemieckie, czyli, jak się wówczas wyrażano, jeżeli się przeniosą miasta z polskiego na niemieckie prawo, dozwalał król polski zgłaszającym się o to Niemcom osiedlać się nietylko w rządowych, lecz i w prywatnych dobrach. Nikt zaś, prócz niego, nie mógł dać na to pozwolenia, albowiem przez osady niemieckie tracił rząd, zwalniając je od ciężarów; dziesięcinę dla duchowieństwa i wojskowość wyjąwszy. Rzeczą było naturalną, że ciężary te, w miarę, jak spadały z karków niemieckich, uciążały krajowców. Wszelkie więc dostawy i t. p. dla rządu czynione, o tyle teraz więcéj gnębiły miasta i wsie polskie, o ile było miast niemieckich. W nadziei atoli, że co kraj straci z jednéj, zyszcze z drugiéj strony, tudzież z widoku tego, że osadnicy ci dawali właścicielowi gruntu dobre okupne, i duże obiecali

płacić czynsze, chętnie monarcha dawał prywatnym pozwolenie na zakładanie niemieckich osad, tudzież sam zakładał je w swych dobrach. Naród do tego stopnia miłością ku tym przychodniom zapalił się, że im dał prawo zupełnego obywatelstwa, co ich do nabywania dóbr ziemskich i zasiadania na sejmach upoważniało.

Pozwolenie na założenie osady, dane od króla, nazywano *lokacyą* miasta. Kilka takowych, nie w oryginale wszakże, ale w kopii, doszło do naszych czasów. Z nich na lokacyą Krakowa roku 1257, Andrzejowa (małego teraz w Wadowickiém za Krakowem miasteczka) roku 1271, Olkusza roku 1362 daną zapatrzywszy się, można mieć wyobrażenie o reszcie, i nabyć przekonania o tém, co rzeczywiście obejmowały w sobie prawa miast niemieckich. Z wszystkich trzech pokazuje się: że pierwszym warunkiem założenia miasta było obmurowanie i wystawienie w rynku dworu gościnnego (sukiennic i kramów), wyjęcie mieszczan z pod ciężarów czyli rządu i sądu miejscowéj władzy, a poddanie pod zarząd przedsiębiercy, który się bądź nowo wystawić miasto zobowiązał, bądź podjął się istniejące już urządzić na nowo, otrzymawszy zapewnienie od króla lub prywatnego, który go na przedsiębiercę wybrał, że uznany za dziedzicznego Wójta *(Advocatus)*, czyli na stałego rządcę miasta wybrany, będzie mógł dobierać sobie Rajców (Radźców) z pomiędzy mieszczan kogo zechce; że mieszczanie ci wraz z nim tworząc gminę, od nikogo, (wyjąwszy od właściciela gruntu a teraźniejszego gminy miejskiéj opiekuna, tudzież od głowy rządu krajowego czyli od króla niezawisłą), będą się rządzić i sądzić prawami osobnemi; polskiemu wtedy tylko ulegając, gdy politycznie wykroczą (monarcha lub na ten raz wyznaczony umyślnie urzędnik sądzić ich miał wówczas); że prawom tym będzie ulegał każdy, kto zamieszka chwilowo lub stale w mieście, wyjąwszy obywatela pańskiego stanu, który jeżeli wykroczy, zostanie przez mie-

szczan odesłany do króla po ukaranie. Miasto miało swój okręg składający się z pobliskich wsi, pewną oznaczonych liczbą, których mieszkańcy, tychże praw co miejskie obywatelstwo czyli, jak się wyrażano, *pospólstwo* używali. Mógł za mieszczanina być przybrany każdy uczciwy cudzoziemiec i krajowiec; ale drugi powinien był wolnym, czyli od nikogo niezawisłym być człowiekiem. Poddanego przeto, tudzież obowiązkiem jakowym zniewolonego człowieka mieszczaninem niegodziło się czynić. Całe miejskie i okręgowe obywatelstwo dzieląc się na kupieckie i rzemieślnicze, *cechami* nazywane bractwa, schodziło się za wezwaniem wójta na obrady dla stanowienia nowych praw, miasto obowięzywać mających.

SKARGI NA MIASTA ZE STRONY NARODU NIESŁUSZNE I SŁUSZNE.

We wszystkich krajach słowiańskich mieszkali Niemcy jako osadnicy wiejscy i miejscy, mniéj więcéj uprzywilejowani; wszelako, Czechy może i Morawią wyjąwszy, nigdzie takich, jak u nas, praw nie mieli, i nigdzie tak bardzo, jak w Polsce, nie narazili się narodowi; ale z czyjéj winy? — rozważmy to.

Zaledwie kilkadziesiąt lat po przeniesieniu Krakowa z polskiego na niemieckie prawo upłynęło, a już mieszczanie tego miasta do takiéj doszli potęgi, że stanowili o losach państwa, mianowicie téż podczas zatargów o tron polski, które miał z Książętami szląskimi tudzież z Królami czeskimi Władysław Łokietek od r. 1289 począwszy. Nawet po nastąpionéj r. 1305 Czeskiego Wacława, na króla od Wielkopolan obranego, śmierci, nie był na tronie swoim monarcha polski bezpieczny; albowiem Albert, Wójt krakowski, chciał oddać Bolesławowi, Książęciu opolskiemu królestwo, bunt dla tego, przy pomocy swych mieszczan roku 1311 podniosłszy. Wtedy-to z nie-

chęcią ku Niemcom, w głębi serca dotąd tajoną, wybuchnął naród, i co miał, przeciwko nim, wypowiedział w pieśni łacińskiéj, z któréj na język polski przez P. Antoniego Szabrańskiego przełożonéj, kładę wyjątek:

«Na tém Niemców jest staranie,
Gdzie przybędą, w każdéj dobie
Pierwsi stawają na czele,
O innych niedbają wiele,
I umieją radzić sobie:
Bo *takiemi* sposobami
Wdziérają się do łask sami:
W twarzach ich układ pokory,
Potém w pokorze tajonéj
Z córek pańskich mają żony,
A z nimi swe łączą córy:
A gdy każdy już przez zdrady,
Piérwsze usunie zawady,
Sięgać daléj chęć w nim wzrasta.
Więc pana pokornie prosi,
I z pieniędzmi trzos przynosi,
I chce zostać Wójtem miasta.
A kiedy urząd owładnie,
Wtenczas nad tém myśli zdradnie,
Jak się w majątek sposobić,
Aby potém już najśmieléj
Wygnać panów właścicieli,
I dziedzicem sam się zrobić.
Tym-to sposobem i Czechy
W swych majątkach, bez pociechy,
Ponieśli od Niemców straty.
A kto Niemców tak bogaci,
Ten zawsze dziedzictwo traci
Na obuwie i na szaty.»

Zarzuty czynione Niemcom w pieśni, *pozbawione będąc stałéj podstawy, upadają same przez się.* Były one *również niedorzeczne*, jak niemi są skargi na Żydów, przez dzisiejszych Niemców rozpościerane o to, że się wszędzie, gdzie jest coś do zyskania, wdzierają i przyciągają do siebie wszelkie korzyści; że przez lichwę wywłaszczają z majątków właścicieli; że materyalizm i zbytek upowszechniają. Należało bowiem przejrzeć następstwa przyczyn, czyli rozważyć, co ztąd wyniknąć może, jeżeli się Żydów przypuści do praw obywatelstwa: czego gdy się nie uczyniło, próżno rozwodzą się nad tém po niewczasie żale. Nie po to przyszli do nas Niemcy, ażeby nam służyli; lecz wzbogacali się przez nas. Wszakże naród mógł i powinien był przez mądrze obmyślane środki przeszkodzić temu, uczynić osadników tych użytecznemi dla kraju, jak tego dała przykład Francya, Anglia i t. p., przyjmując do siebie Izraelitów i rozlicznego rodu cudzoziemców. A ponieważ nie uczynił tego, niemiał też prawa narzekać na nich, zwłaszcza, gdy działali otwarcie, nie tając się bynajmniéj z zamiarami swojemi, aczkolwiek zrazu nie odgadywał naród celu ich działań.

Skoro się spostrzegł i przekonał o tém, że co inszego czynią, a co inszego udają, że czynią, — powziął do nich żal słuszny. Udawali bowiem, że chcą podnieść przemysł i handel krajowy, że o dobru nowéj ojczyzny swéj chcą wespół radzić z narodem na sejmach, że chcą jéj bronić stawając w szeregach rycerskich i t. p.: a tymczasem właśnie na zgubę przemysłu i handlu działali, osiadając nie tam, gdzie go nie było; lecz gdzie kwitnął najwięcéj. Gwałtem nawet z polskiego na niemieckie prawo przenosili miasta, opanowane przez siebie z bronią w ręku, jak to uczynili z Zantokiem wielkopolskim, przy ujściu Noteci do Warty leżącém miastem, które, rzemieślników pełne, zabrawszy Brandeburczycy, przenieśli natychmiast z polskiego na niemieckie prawo.

Uważano też, że Niemcy obwodzili murami miasta i gościnne w nich stawiali dwory dla tego, ażeby się nikt z towarem do nich nieprzedziérał, i sprzedawał go nie kontrollowany. Starsi cechu, obchodząc dwór, pytali zkąd towar? Jeżeli się pokazało, że z polskiego pochodził miasta, rugowano z miejsca sprzedawcę, na téj niby zasadzie, że ponieważ niepochodzi z miasta, gdyż niemieckie tylko osady miastami są rzeczywiście, a polskie *targami* tylko, i ponieważ towar nie pod okiem cechu i przez ludzi niewpisanych do niego zrobiono; przeto ów towar jest zapewne lichy, a więc mieliby kupujący zawód w nabywaniu go. Rzemieślnik więc, który chiał mieć odbyt, musiał osiedlić się w mieście, udowodniwszy poprzednio przez zrobione pod okiem cechmistrza arcydzieło, że swoją rzecz zna; poczém wolno mu było wpisać się do cechu. Młodzieniec, który się chciał nauczyć rzemiosła, powinien był nań terminować w mieście i t. p. Jakże więc miały kwitnąć po miastach polskich rzemiosła, i ubiegać się o pierwszeństwo z niemieckiemi? Wyrzucano dalėj mieszczanom, że nie Polskę, w której siedzą; lecz Niemcy, zkąd przybyli, uważają za swą ojczyznę, odwołując się do ich sądów po ostateczne zawyrokowanie w sprawie, na polskiéj osądzonéj-ziemi; że na sejmach siedzą, jak niemi, gdy się radzi o dobru kraju; wtedy tylko wymowne otwiérając usta, gdy się własna ich sprawa toczy: że do ponoszenia dla kraju ciężarów wtedy się tylko przykładają, gdy jest przy tém co zyskać, służąc w wojsku dla tego tylko, ażeby zyskać szlachectwo (dosłużyć się, jak dziś mówimy, oficerskiego stopnia), lub odeprzeć od murów swojego miasta napad nieprzyjaciela, a zresztą nie troszczyć się o nic, i t. p.

KRÓL I SEJM BIORĄ SIĘ DO MIAST.

Tak rozpościéranym żalom nadstawił ucha monarcha i starał się zaradzić złemu. Władysław Łokietek, karząc bunt

wszczęty w Krakowie, nie ukarał mieszczan; lecz herszta buntu, skonfiskowawszy Wójtowi majątek, i urząd jego wywoławszy z miasta. Postanowił też, że odtąd Wojewoda krakowski ma nadzorować mieszczaństwo i t. d. Kazimiérz W. zakazał odwoływać się do Niemiec po uchylenie wyroków, i osobny sąd appellacyjny i rewizoryjny, z samych wszakże osadników niemieckich złożony, postanowił w tym celu. Zrobił też zakrój na usunięcie z kraju prawa niemieckiego, co posuwając daléj następcy jego, niedoprowadzili rzeczy do skutku. Mieszczanie, którzy sobie za hasło wzięli pozwalać na wszystko «byle handel szedł,» chętnie na te zmiany przystali, zwłaszcza, gdy one w żywotne siły miejskości, gdy w *cechy* nie uderzyły, zachowując je owszem przy dawnych przywilejach. Dopiéro Władysław Jagiełło r. 1420 dotarł rzeczy, stanowiąc na sejmie w Warcie odbytym «ażeby Wojewoda i Starosta wraz z Dygnitarzami téj ziemi, w któréj miasto jakowe leży, co rok w dnie k'temu naznaczone, miary, któremi się przywożone przez kmieci na targ zboże odmierza, tudzież łokcie, któremi się sprzedawane ziemianom mierzy sukno, rozpoznawali, czy się z krajowemi miarami zgadzają? ażeby, jak zwyczaj nakazuje, rozważali nałożone na sprzedawane i kupowane towary ceny; ażeby nieistniały daléj, pod karą na mieszczan, cechy» i t. d. Ustawę Jagiełły rozszerzył wnuk jego Jan Olbracht Jagiellończyk na sejmie w Piotrkowie r. 1496 mianym, postanowiwszy: «że nadal niéma być wolno mieszczanom i plebejom, gdziekolwiek w Polsce zamieszkałym, miast, wsi, wiosek, i wszelkich dóbr prawu ziemskiemu podlegających, kupować, dzierżawić i posiadać na własność lub trzymać w zastawie, a to dla tego, że mieszczanie stronią od wypraw na wojnę, i w szykach bojowych niestawają obok szlachty; że będąc właścicielami dóbr ziemskich, niechcą z dóbr tych czynić powinnej służby, że gdy wzbraniają szlachcie nabywać do-

mów i dóbr prawu miejskiemu podległych, więc też ziemskie i grodzkie sądy niemają dopuszczać spraw i zapisów do ksiąg hipotecznych dla mieszczan, o ziemskie toczonych dobra, a gdy dopuszczą, mają się uważać owe zapisy za niebyłe, z mocy niniejszego postanowienia. Ci nawet z mieszczan, którzy obecnie są w posiadaniu dóbr takich, mają się z nich wyprzedać, w czasie, ile można najbliższym, inaczéj bowiem rozciągnie się na nie kara, dowolnie przez sejmujące Stany i Wojewodę téj ziemi, w któréj dobra zakwestyonowane leżą, ustanowić się mająca.»

CO Z TĄD WYNIKŁO ?

Miało to nader złe skutki; szkodliwsze jednak dla kraju, aniżeli dla miast. Ponieważ mieszczanie dali powód do obydwóch ustaw, przeto oni są w tém najwinniejsi. Jednakże szkoda, wynikła z ustaw owych, była długo pozorną tylko, zanim się w smutną zamieniła rzeczywistość. Ona-to popsuła harmonią między stanami narodu, energią w mieszczanach zparaliżowała, i usunęła ich od sejmów z wielką szkodą narodu.

Nic złego nie wyrządził Łokietek Krakowianom przez to, że im odebrał Wójta, który swoje raczéj, niż mieszczan mając na widoku dobro, chciał koniecznie, jak mówi spółczesny pieśniarz, zostać szlachcicem u Szwaba, czyli chwycił się strony księcia opolskiego, pół-Polaka, pół-Niemca, który co chwila zmieniał swe zdanie, trzymając się to Polaków, to Krzyżaków, to Czechów, to Węgrów. Nic złego, powtarzam, niewyrządził im przez to; albowiem mieszczaństwo chętnie spłacało odtąd swych Wójtów i rugowało ich od siebie, niechcąc znać innego nad sobą pana, prócz Króla polskiego. Gorszym był Wojewoda, Starosta i inni urzędnicy ziemscy, którym się dostał nadzór miast, wszakże nadzorowanie to było wynikiem chciwości i oszustwa cechów,

było zemstą za zniweczenie stowarzyszeń, przemysłu i handlu polskiego. Pociągnęło zaś za sobą nader ważne skutki; albowiem naprowadziło naród na myśl, na którą Europa dopiero za naszych przyszła czasów, zawieszając cechy, wolną konkurrencyą przemysłowi otwierając, i t. p. Mimo to utrzymywały się one aż do Jana Olbrachta, który je znowu statutem owym z r. 1496 usunął, zagroziwszy karą Wojewodzie, gdyby im dozwalał istnieć. Jednak istniały dalej, a nawet przywilejami nowemi utwierdzane będąc, przetrwały do czasów Zygmunta I, który w myśl ustawy Jagiełły (jakiéj? przecież nie z r. 1420 pochodzącéj!) *potwierdził* cechy r. 1532. Atoli r. 1535 *zniósł je* na prośbę sejmujących w Piotrkowie Stanów, w których liczbę nie wchodzili już mieszczanie. Pogniewawszy się na ziemian z przyczyny owéj ustawy Jagiełły, niechcieli mieszczanie wstępować w szeregi rycerstwa; szlachta nie uznawając ich przeto za *braci*, nazwała *chłopami*, zapatrzywszy się na Czechów, którzy dla tejże niemal przyczyny do rzędu chłopstwa roku 1346 zniżyli swych mieszczan. Tém imieniem obdarzył Krakowian bezimienny rymopis, którego pieśń z r. 1462 pochodzącą, na okładce staréj kroniki w bibliotece ordynacyi Zamojskich znalazłem, a którą wydał w swém Album roku 1848 Kazimierz Wład. Wójcicki. Widać z niéj, jak już wówczas oba stany narodu wrzały ku sobie wzajemną nienawiścią; jak nienawiść ta oślepiała mieszczan krakowskich do tego stopnia, że pomijając wszelkie boskie i ludzkie prawa, samą się tylko wściekłą na szlachtę, a ta na nich, powodowała zemstą. Dwa na to przywiodę przykłady. Zamiast, jak lokacye nakazywały miejskie, odesłać po ukaranie do króla jednego z magnatów (Andrzeja Rabsztyńskiego z Tęczyna), który znieważył obywatela miejskiego, sami sobie sprawiedliwość wymierzyli Krakowianie, śmierć zadawszy winowajcy; co za sobą krwawe sprowadziło sceny. Zamiast, jak

również lokacye opiewały, wpisywać się w poczet mieszczan i słuchać miejskich praw, posiadala już roku 1473 szlachta domy w Krakowie szlacheckiém prawem, czyli nieprzyczyniając się wcale do ciężarów miejskich; co naturalnie sprowadziło za sobą zakaz ze strony magistratu, ażeby się żaden mieszczanin nie ważył sprzedawać domu szlachcicowi, i zkąd na odwet powstał ów z roku 1496 statut Olbrachta, znajdujący w prawach sąsiedniej Morawii poparcie. Albowiem Morawianie, jak piérwsi z pomiędzy Słowian gminy niemieckie już r. 1030 uprzywilejowywali, tak też piérwsi zakazali mieszczanom roku 1291 dóbr nabywać ziemskich. Zygmunt August pogodził to roku 1550 w ten sposób, «że wolno miało być odtąd szlachcie kupować w miastach domy, pod warunkiem atoli podlegania juryzdykcyi miejskiéj, tudzież czynienia obowiązków i powinności, na owe domy przypadających.» Właśnie już pod ciężary krajowe podciągnięte miasta mogły teraz podciągać pod nie i szlachtę u siebie zamieszkałą. Nieodżałowana szkoda, że monarcha ten, wprowadzając przez ową ustawę szlachtę do miast, niewprowadził oraz mieszczan w posiadanie dóbr ziemskich; przez co mógł tylko zyskiwać, a nie tracić kraj nie pod jednym względem.

DALSZY CIĄG POGLĄDU.

O dalszych zajściach, które mieli mieszczanie ze szlachtą, tudzież o wpływie zajść tychże na niepomyślność miast, a ztąd o wynikłości wielkich szkód dla kraju, rozpisywać się niechcę. Tego wszakże pominąć niemogę, że miasta niemieckie w Polsce, odróżniwszy się zewnętrznie i wewnętrznie od krajowych, jak mimo ducha korporacyjnego, którym wiecznie tchnęły, niepozostały niemieckiemi na zawsze; tak znowu przez skojarzenie się z ziemstwem niemogły się stać polskiemi. mimo szczeréj do tęgo chęci, a niemogły przez to, że wszedłszy w kollizyą z narodem jeszcze nie spolszczo-

ne, właśnie przez tę kollizyą utwierdzone zostały w tém mniemaniu błędném, że się nigdy nie spolszczą zupełnie i spolszczyć niepowinny, jako mające zupełnie odmienny od polskiego charakter, widoki, cele. Atoli inaczéj zapisała Opatrzność w księdze przeznaczeń. Mimo ich wiedzy, prowadziła je tą samą drogą, co miasta zachodniej Europy, ludnością napełnione niemiecką; kazała im pośredniczyć między monarchą a szlachtą; wypędzonym zaś z sejmów, dała do pielęgnowania oświatę i przez nią kazała się zbliżać do narodu. Dowód na to czerpię z miejskich statutów, pod nazwiskiem Ortelów zwanych, które w przestworze czasu między panowaniem Jagiełły a wnuka jego Aleksandra Jagiellończyka (r. 1388 — 1500) ubiegłego spisane będąc, są mi dowodem na to, że mimo największéj niechęci, jaką wówczas miasta ku szlachcie pałały, jednakże życzyły one dobrze krajowi, szanowały monarchę, pielęgnowały w swych murach wyższe i niższe szkoły. *Cokolwiek dobrego u nas zrobiono dla nauk i sztuk pięknych, wszystko to po największéj części zawdzięczamy miastom.* Dotąd nieoceniono ich należycie i sprawiedliwości niewymierzono im słusznéj; chociaż niejeden miast naszych historyk, a jest ich niemało, starał się o to usilnie. Przyczyną tego jest wielość materyałów, które przejrzéć, wyrozumiéć, i ducha ożywiającego dzieje niemieckich w Polsce osad dostrzedz w nich jest tém trudniéj, im coraz nowsze, coraz ważniejsze na jaw wychodząc, stawiają pisarza tych dziejów w takiém samém położeniu, w jakiém się miał znajdować bajeczny ów koło obracający Iksyon. Odkrywasz nowe i z nich wyrozumiéwasz prawdę, aż oto nowsze i dokładniejsze wychodząc na jaw i pokazując ci ją z innéj strony, przekonywają o tém, że po obręczy toczonego przez cię dziejów koła zsunął się na dół nieznacznie duch tychże dziejów i ukrył prawdę przed okiem·

Bóstwo prawdy zdawało ci się jaśnieć w całym swym blasku; ale gdyś się do niego zbliżył, skryła się za nieznany ci stary szpargał taż prawda, a w miejsce jéj, pokazała ci się czcza, zwodnicza mara.

Wacław Aleksander Maciejowski.

ROZMOWA

SERCA Z ROZSĄDKIEM.

Gawędka z nocy po-balowéj.

SERCE.

Ach! te oczy, które jasną
Barwą *niebios* obraz czysty!
Co ślad siejąc promienisty,
To zabłysną, to znów gasną!
Wyraz twarzy ten radosny,
Gdzie myśl czysta się weseli,
Jakby w serce jéj, anieli
Kładli całą świéżość wiosny!
Ta wesołość dziecka pusta,
Któréj żaden śniég nieprruszy!
Ten niewinny wyraz duszy,
Co przez serce wbiegł na usta!
Ach! ten rączki kształt malenki
I usteczka te z korali!

I ta nóżka, która w dali
Wyjrzy czasem z pod sukienki!...

ROZSĄDEK.

Za pozwoleniem; jedno tylko słówko:
Wiele też ona może mieć gotówką? —

SERCE.

Gdybym miał ją tu przy sobie,
Gdyby ona słodka, miła,
Swoje drobne rączki obie
Na mą szyję zarzuciła,
A ja głowę wsparłszy o nią,
Gdy się dusza zleje bratnia,
Poił się tą miłą wonią,
Co się wkoło niéj ulatnia,
Zapomniałbym, że istnieję,
I w téj chwili zachwycenia
Wszystkie zjednoczył nadzieje,
Wszystkie połączył wspomnienia!

ROZSĄDEK.

Małżeństwa droga jest trudna i śliska:
Wielu upadło u stóp tego krzyża;
Zaś ta woń cudna to pewno paryska,
A wszystko drogie, co tylko z Paryża.
Człowiek jest wiecznie nawyknienia źwierzę,
Niech go nie cieszy nowy strój, co włoży,
Kto bierze żonę, ten niewie co bierze;
Teraz ci *dobrze*, możesz trafić *gorzéj*.

SERCE.

Jednostajny byt dzisiejszy
Uszlachetnisz w nowym bycie;

Bo przybierze twoje życie
Stokroć lepszy cel, ważniejszy!
Smutek ci niezaćmi czoła;
Zawsze, wszędzie, każdą chwilką
W domu twoim masz anioła,
Co dla ciebie czuwa tylko!
Ona wszystkie duszy chęci,
Ona wszystkie sny promienne
I marzenia swe wiosenne
Razem z sercem tobie święci!
Już niebędziesz w zimne słoty,
Przy jesiennym smutny wietrze;
Ona troskę z czoła zetrze,
Do pracy doda ochoty!
Jak wonnym wiatru powiewem
Mróz przemieni w noc majową!
Rozweseli cię swym śpiewem,
I pocieszy swą rozmową!

ROZSĄDEK.

Ten połysk twarzy prędko zniknie gładki
I biała szata za zbyt prędko zbruknie;
A wiesz ty, jakie małżeńskie wydatki?
Wiele kosztują: dom, sługi i suknie?
Wszakżeż modniarki tutaj nie dla kształtu.
A bale, meble i klejnoty!... gwałtu!....

SERCE.

Owe wszystkie niepokoje
Niebo łaską zgładzi nową!
Sny się błogie ziszczą twoje:
Będziesz *ojcem!*.... święte słowo!
Pod rodzinną twoją strzechą
Nowa miłość się rozżarzy!

Jakiémż szczęściem i pociechą,
Piérwsze dziecko ojca darzy!
Młode życie i istnienie
Będziesz w świata wiódł podwoje
I anielskie dziecka tchnienie
Rozraduje serce twoje!

ROZSĄDEK.

To tylko tobie kłopoty ponowi.
Do uciążliwéj pracy cię powoła;
Bo trzeba jeść dać temu aniołowi
I trzeba tego wychować anioła.
Ciężki w tym świecie na pieniądze połów,
Drogi zarobku strasznie utrudnione,
Gdy takich kilka mieć będziesz aniołów,
To przeklniesz siebie, i miłość i żonę.

SERCE.

Jedno słowo cię pokona:
Ja ją *kocham* i mnie *ona!...*

ROZSĄDEK.

Trudno, *słowami* zdania się nie utrą;
Jedynie *czyn* nas przekonywać może.
Noc to poezya.... idźmy spać, nieboże:
Ranek to proza.... rozmówim się *jutro.*

Wacław Szymanowski.

Porte-Monnaie.

(Narzekanie starego szlachcica).

Porte-monnaie! — Dziwny wyraz! nie polskie to miano;
A dobrych nazwań polskich ileż zapomniano!
Płoche się w rządnych ojców niewdały ich dzieci,
Dawniéj *wartość prawdziwą*, dziś cenią co *świeci!*
W małych rzeczach, czy wielkich, *pozór* dziś ton daje,
A dobre naszych przodków nikną obyczaje!

W skromnéj niegdyś odzieży ród ojców bogaty
W *płóciennych* nosił workach, choć nosił dukaty.
Były trzosy, sakiewki, skórzane kalety,
Niewykwintne; lecz pełne i *złotéj* monety.
Dziś — Lwiątko wyświeżone w eleganckim fraku,
Chce *wystawą* ślad zakryć istotnego braku;
Ma przy sobie *porte-monnaie*, zdobne w wzory różne,
Safianowe, złociste, cóż ztąd?... kiedy *próżne;*
Bo — choćby też dla żartu zajrzyć w wewnątrz proszę,
Znajdziesz.... kilka papiérków, złotowki, i grosze;
Ale z miną magnata chcąc udawać pana,
Każe dawać.... najczęściej *na kredyt*.... szampana!
Na przekąskę mieć pragnie sztrasbuskie pasztety,
Bażanta na pieczyste, ananas na wety;

I choć goły, kto chciałby sądzić o nim z miny,
Myślałby, że to dziedzic Rotszyldów jedyny.
Za zgrozę-by dziś wzięto w towarzystwie młodém,
Gdyby kto chciał częstować anyżówką, miodem;
Lub wiernie naśladując staro-polskie czasy,
Poprzestał na bigosie i łokciu kiełbasy.
A jednakże, te przodków pokarmy, napoje
I zdrowiu nie szkodziły, i miłe, bo swoje,
Nieuszczuplały rządnie ciągnionéj intraty;
Gościnność była szczerą, a dom był bogaty,
I na domiar niebyło też nigdy przykładu,
Aby komornik szczątki zabiérał nieładu.
Dziś inaczéj; bo w domu pozornie zamożnym
Nowo ochrzczony panek już *Jaśnie Wielmożnym*
Tłum roztrąca karetą, sam niewie co żąda,
I z dumą na godniejszych, lecz biédnych spogląda.
Czy myślisz, że należy hołd temu znaczeniu?...
Bynajmniéj! Bo czém błyszczy, to ma na sumieniu.
Nieszukaj poczciwości, nieznajdziesz w nim cnoty:
Jest to oszust, co w płaszczyk przyodział się złoty,
Złe nabycia roztrwoni, czas podłość wyświeci,
A im więcéj był górą, tém haniebniéj zleci.
Powróćmy; ale szczérze do dawnéj prostoty:
Niech z nią wrócą rodzinne ojców naszych cnoty!
Życie rządne, mniéj blasku, a pożytek w rzeczy,
Nie błyszczący, lecz dobry byt nam zabezpieczy!
Wróci z czasem zamożność, mniéj świetni pozorem
Prawdziwéj gościnności znów staniem się wzorem;
Będzie czém podzielić się z biédniejszym z ochotą,
Z dobrym zarządem wróci tak rzadkie dziś złoto,
A gdy będziem mieć pełne trzosy, nawet skrzynie.
Cóż stracimy, że modne *Porte-monnaie* zaginie?.....

Kielce.

Feliks Homicki.

DO SZCZĘŚCIA.

O szczęście, szczęście! jakżeś ty jest zwodne!
Mów! czyś pochwały, czy nagany godne?
Jakże-to urok twój dla wszystkich wielki!
Jakże za tobą goni człowiek wszelki!
Ileż słodyczy człek w tobie smakuje,
Gdy *idziesz* k'niemu, gdy cię *oczekuje!* —
A gdy cię *schwycił*, — — w téj saméj godzinie
Nikną słodycze, i urok twój *ginie!*

Felix Paweł na Jaroczynie **Jarocki.**

ŚPIĄCY RYCERZE.

LEGENDA SZLĄSKA.

Nad starą Odrą przez Szląskie pola
Z rozwianym włosem bieży niedola,
A za nią w tropy z groźnemi krzyki
Wpada szarańczą Tatarzyn dziki.
Głucho zabrzmiało bluźniercze «Ałła!»
Krwawemi strugi ziemia skraśniała;

W tumanach pyłu, już pod Trzebnicą
Złote na słońcu księżyce świécą.
Kruków krwi-chciwych garną sią stada,
A lud zajęknął: «Biadaż nam, biada!»

O! zapłacz, ludu! dzień wszedł ci krwawo!
Tatarzyn srogieć narzuca prawo,
Ostrzem bułata dziki morderca
Wiarę chce tobie wypruć z pod serca,
Którąś po wiecznym ojców zakonie
Z mlekiem zaczerpnął w matczyném łonie.
A te nad grodem wieżyce święte,
Niewiasty Bożéj ręką dźwignięte (*),
Co twéj dziedziny strzegą z wysoka,
Rychło zamieni w meczet proroka!

Gdzie wiara w sercu, niéma tam trwogi:
Pod starym grodem zawrzał bój srogi,
Dziesięćkroć wieksza moc Tatarzyna,
Od kopyt końskich jękła dolina;
Huk, łoskot, wrzawa, krew strugą ciecze,
Głucho szczękają miecze o miecze;
Walą się z koni bez głów tułowy,
Kwilą puszczyki hymn pogrzebowy.
Kogo nie dobił oręż zbyt tępy,
Ostrzą nań szpony krucy i sępy;
Póki mu serce w piersi nie skrzepło,
Krzywemi dzióby piją krew ciepłą.

(*) Ś. Jadwiga, małżonka Henryka Brodatego, Książęcia na Szląsku, zbudowała klasztor w Trzebnicy.

«Ałła!» grzmią głosy pogańskiéj czerni;
«Bogarodzico!» wołają wierni.
Lecz nim na niebie słońce zagasło,
Zmilkło walczących wzajemne hasło.
Coraz na polu ciszéj i ciszéj,
Czasem jęk tylko ucho zasłyszy,
Co się z krwawego dobywa łona:
To hetman wiernych w boleści kona.
Legli wrogowie, legł hufiec bratni,
On sam pozostał.... z wiernych ostatni!
Mrok padł na ziemię, zlany krwi strugą
W śmiertelnéj walce wódz przetrwał długo,
Skréślił znak krzyża — oko mgłą ściemione
Z wiarą obrócił w klasztoru stronę.
Patrzy! i ujrzał.... wźrok-że go myli?...
Zstępuje obłok z nieba w téj chwili,
Jak śrebrna łódka z złotemi wiosły,
W niéj anjołowie, niebieskie posły,
Wraz potrącają łzawo i smutnie,
Jakby na hasło drżące swe lutnie.
I pieśń po rosie cudna zabrzmiała,
A klasztor odbrzmiał: «Chwała—o! chwała!»
Łuna ogarnia wspaniałe mury,
I cudna postać biegnie do góry
W bieluchnéj szacie, w wieńcu z promieni,
Gdzie dźwięk ją woła Anielskich pieni.
Cała tonąca w światła powodzi,
Cicho wstępuje święta do łodzi,
Przez mlecznéj drogi smug promienisty,
Do stóp dziewicy płynie przeczystéj.
A widząc wierną Jadwigę swoję
Marja, rozwarła niebios podwoje,
Błysła obliczem błogosławiona,

Cudne piastując dziécię u łona.
Anioły chyłą pokornie głowy
Przed majestatem niebios Królowéj;
Na blask, co z oka dzieciny pała,
Jak liść osiny święta zadrżała,
Korzy głęboko czoło zwieńczone:
«Bogarodzico! pod Twą obronę
«Tych męczenników oddaję» — rzecze —
«Co dziś w Twe imię stępili miecze!
«Ty ich z śmiertelnéj wyrwij omroczy,
«Niech sen im słodki spłynie na oczy.
«Pan tchnął w ich ramię siłą olbrzymią,
«Niechże w jaskini Trzebnickiéj drzymią;
«Niech wódz sam jeden czuwa na straży.
«A gdy poganin cześć Twą znieważy,
«Wtedy w klasztorny spiż niech zadzwoni
«A dzielne druchy wstaną do broni!....
«Gdybyż w tych piersiach ognisko zgasło,
«Ktoby przechował odwieczne hasło?
«Ktoby żelazną dźwignął prawicą
«Krzyż Twego syna, Bogarodzico?
«O! dozwól, Pani! pod skrzydły memi,
«Twoi obrońcy niech drzymią w ziemi.
«Aż gdy godzinę zégar uderzy,
«Kiedy dzwon jęknie z Trzebnickiéj wieży,
«Wtedy Ci wierni — z wodzem na czele —
«Ze snu się zbudzą Twoi mściciele,
«I z mieczem twardą okuci zbroją,
«Zmogą niewiernych pod tarczą Twoją!»

Pełne miłości Jadwigi słowa
Wzięła do serca niebios Królowa,

Dzieciątko dłonie wyciągło obie,
Skinęła Marja: i w téjże dobie
Malenka łódka olbrzymio wzrosła,
Chóry aniołów ujęły wiosła,
I wśród powietrznéj żeglują fali
A jasna łuna pół niebios pali.
W około świętéj te duchy płyną,
Co krew ich szląską bieży doliną;
Smutnoż z jasnego Królowéj dworu
Wracać im w czarne lochy klasztoru,
I znów oblekać to nędzne ciało,
Które szponami ptastwo zszarpało;
Lecz te skąpane w wieczności duchy
Wracają pełne Boskiéj otuchy,
Bo im nietajna mądrość wysoka,
Wiedzą, że wieki — to mgnienie oka!

A gdy dobiegła łódka do ziemi,
Roje Aniołów z skrzydły śnieżnemi,
Owiane śrebrnéj łuny odblyskiem
Krążą nad głuchém pobojowiskiem.
A chociaż stąpną w krwi mętne strugi,
Krew się nie ima ich szaty długiéj.
Tulą Anioły w piór swych osłonę
Dusze, przez Pana w straż im zwierzone,
Na głos ich krucze zbiegają stada,
Ptastwo łup krwawy z pokorą składa,
To jedno w wiecznéj chowa zdobyczy,
Co na pogańskiej zgrabiło dziczy.

Duch każdy ciało jak szatę bierze,
Milcząc powstają z ziemi rycerze,

W koło okuci twardém żelazem;
Bo każdy z ciałem zbroję wdział razem.
Z boku im szczęka oręż ze stali....

Wódz patrzy — słucha — żar nowy pali
Krew jego męzką: dzielną znów siłą
Życie w hetmana piersi roztliło —
Jedno prawica bezwładna jeszcze;
Wszakże przeczucie szepcze mu wieszcze,
Że pokąd serce wiarą uderza,
Bóg moc powróci dłoni rycerza.

Błogą otuchą wźrok wodza płonie,
Spojrzy — a księżna w srebrnéj zasłonie,
Jakby jutrzenka wśród nocnych cieni,
Spływa ku niemu w wieńcu z promieni.
«Zawitaj, święta małżonko Piasta!»
Rzeknie z zapałem: Boża niewiasta
Podnosi dłonie: «Wodzu!» zawoła,
«Z bark proch otrząśnij! znój otrzyj z czoła!
«Siła do morza ubiegnie wody,
«Nim na niebieskie wystąpisz gody,
«Daléj-że za mną, hetmanie stary!
«Ujmij prawicą chorągiew wiary,
«W bezpieczną ustroń wraz ja powiodę
«Ciebie i twoje rycerstwo młode,
«Niech wierni prześpią wieki w omroczy,
«Marja sen słodki śle im na oczy,
«Ty, Jéj hetmanie, czujną bądź strażą,
«A gdy bluźnierce cześć Jéj znieważą,
«Kiedy wyrodni w godzinę sromu
«Wstrząsną posady Bożego domu,

«Bij w dzwon odwieczny, niech jękną spiże, —
«Niechaj rycerstwo pochwyci krzyże!
«Gdy serc ofiarnych zbraknie na ziemi,
«Niech ci ocknieni pod znaki twemi
«Wzrosłszy ku niebu — jak dęby w puszczy —
«Wstrzymają powódź zuchwałej tłuszczy!»

Zerwał się hetman, krzepki jak młodzian,
Cały w hartowną zbroję przyodzian;
Płomień młodzieńczy skrasił mu lica,
I zagrzmiał piersią: «Boga-Rodzica.»
Na znane hasło poczet rycerzy,
Jak rój za matką, w ślad wodza bieży,
A hetman drogę promienną ściga,
Co przed nim stopą znaczy Jadwiga.
W śrebrnym obłoku — jasna jak zorza —
Wiedzie swych wiernych niewiasta Boża.
A gdy stanęła u stóp pieczary,
«Za mną rycerze!» zagrzmi wódz stary,
I jako wiernym w niebie sądzono,
Matki ich, ziemi, pochłania łono.

I głucho — cicho — w Piasta dziedzinie,
W bojowém polu krew strugą płynie,
Z sępami krucy pełni swobody
Z trupów Tatarskich sprawują gody,
A z klasztornego głębi sklepienia
Kwilą im sowy biesiadne pienia.
Gore widnokrąg śrebrzystą łuną
I w jasnéj łodzi Anieli suną
Po mlecznéj drodze — prosto w niebiosa,
A sennéj ziemi przynosi rosa

Co raz to ciszéj, co raz to smutniéj,
Milknące dźwięki Anielskich lutni.

Płyną a płyną za dniami dnie,
Legli rycerze w wiekowym śnie,
A nad sennemi hetman ich sam
Straż u pieczary piastuje bram.
Z brody mu spływa gołębi włos,
Usty powtarza różaniec w głos,
Czasem mu oko zaḅieży mgłą,
Jakby z tęsknoty serce mu schło.
Rychłoż on w dźwięczny uderzy spiż
I Chrystusowy podejmie krzyż?
Rychłoż wyrośnie jak w puszczy dąb,
Podeprzeć domu Bożego wzrąb?
Wiernym rycerzom sen, niebios dar,
Rój czarodziejskich przesuwa mar;
Lecz w wiekuistą czuwania noc,
Cóż tak hetmana pokrzepia moc?
Co w oderwaniu od ziemskich dróg
Słodzi mu żywot? Wié tylko Bóg!
On! co wytrwałym nadzieje śle,
Jak cichą gwiazdę na niebios tle.
Czeka więc hetman, bo ufa on,
Że kiedyś w głuchy uderzy dzwon,
I ostateczny spłacając dług,
Wykrzyknie hasło: «Wiara i Bóg.»

Seweryna z Żochowskich Pruszakowa.

DAWNIÉJ I TERAZ.

Dawniéj, dawniéj, — oh! przed laty,
Gdy lud polski, niebogaty
W świecidełka, złoto, stroje,
W różnych potrzeb, zbytków roje,
W owe rzeźby i malarstwo,
Wierszoklectwo i kuglarstwo,
Siedział sobie, i z żelaza
Kował miecze — a Pegaza
Ani dosiadł; — rzekłszy szczérze,
Miał w tém słuszność; — bo złe źwiérzę,
Gdy go czasem w nos co utnie,
To obejdzie się okrutnie
Z swoim jeźdźcem. — Lecz do rzeczy:
Mówię tedy, że prócz mieczy,
Co kowali nasze dziady,
Gdy kraj wołał, szli do rady:
Nie tak strojnie, ale zbrojnie,
A poważnie i spokojnie
Zasiadali proste ławy;
Choć tam strachu i obawy
Niedojrzałeś w męskiém oku,
Przecież wisiał *miecz* u boku...

W głębi domu, wśród komnaty,
Patrz: niewiasta — proste szaty
Kryją postać miłą, wdzięczną,
A wrzeciono rączką zręczną
W krąg roztacza po podłodze;
To je chwyta, to niém frunie,
Zwilży palec, nitkę zsunie;
To znów szybko wstrzyma wodze,
Gdy wrzeciono się rozbieży. —
A tuż przy niéj — na pościeli,
Jak różyczka dziecię leży;
Znać uśpili go anieli,
Bo matczyna ta pociecha
Czarodziejsko się uśmiécha...
Nieco daléj, na kominie
Złotym wężem ogień płynie;
Czasem rzuci płomię swoje
Na wiszącą męża zbroję;
To niewiastę znów oświeci,
To dziecięcia twarz przeleci,
I przy ślicznym tym obrazku,
Sam jak gdyby nabrał blasku, —
A niewiasta młoda, święta,
Wciąż *kądzielą* swą zajęta...

Łatwo zgadnąć, z kąd przysłowie:
Ów *po mieczu, po kądzieli;*
Bo dziadowie, naddziadowie
Miecz przy boku zawsze mieli,
Bo niewiasty, matek matki
Otoczone w koło dziatki,
Lnem się zwykle zajmowały,
Same przędły, płótno tkały:

Nieraz z przędzy tak utkanéj
Zagoiły mężów rany. —
Dzisiaj, dzisiaj, przyjaciele!
Gdzie są miecze? gdzie kądziele?...
Dziś mąż młody w wieku sile,
Nieraz długie trawi chwile
U stolika... a niewiasta
Wziąwszy pióro, szybko szasta
Po papierze, — dziwne mody!
Lecz za modą, tuż w zawody
Krój przysłowia inny biorą:
Musim wyznać więc z pokorą,
Że ród wiodąc w naszym czasie:
To *po piórze*, i *po asie!...*

Józefa Prusiecka.

BECZKĘ SOLI ZJĖSZ, NIM POZNASZ PRZYJACIELA.

Ludzie mówią: «beczkę soli
«Zjész, nim poznasz przyjaciela.»
Po co tyle? — W dniach niedoli,
W chwili smutku, lub wesela,
Kto ci szczérze rękę ściśnie,
Komu oko łzą zabłyśnie,
Kto uśmiechem cię powita,
Myśl odgadnie, choć ukryta;
Kto ci duszę swą odsłoni,
Że ją widzisz, jak na dłoni,

Nie wylaną w słów potoku;
Lecz w uśmiechu, w ruchu, w oku:
A tak szczérą, tak mówiącą,
Taką rzewną, tak gorącą,
Jakby naraz wszystkie głoski
Miały oddać śpiew jéj boski:
Czyż to mało? — *Więcéj* chcecie?...
Dla mnie dosyć! dość na świecie!

Józefa Prusiecka.

Ustęp z dzieła:

„DWÓR WIEJSKI"(*)

KAROLINY Z POTOCKICH NAKWASKIÉJ

(NADESŁANE Z GENEWY).

MAŁŻEŃSTWA I ŚLUBY.

Małżeństwa.

Pisząc o życiu wiejskiém, nie od rzeczy będzie, nadmienić Ci słowo o *Małżeństwie*, które do niego prowadzi, — o *Ślubie*, który to nowe życie otwiera! Chociaż do nas nie przyszła jeszcze *moda* kojarzenia związków przez dzienniki i bióra do tego założone, jednak nie trzymamy się koniecznie zasady radzącéj *zjeść razem bęczkę soli,* aby się dobrze

(*) W nowém wydaniu tegoż, w tomie III umieścić się mający.

poznać. Dziś, jakby na parze wszystko się odbywa. Obaczyć pannę, czy piękna; a bardziéj jeszcze dowiedzieć się czy będzie miała znaczny *posag*, — oto wszystko, co zwykle potrzeba młodemu mężczyznie. Panny też po większéj części badają raczéj o majątek i są czułe na świetne nazwisko, niż na inne zalety! Mówię, *młodzi ludzie* i *panny*, gdyż podług teraźniejszych usposobień już *jedynie* na rodzicach nie cięży ani wybór, ani ubieganie się o korzystne postanowienie dzieci. Przypuszczeni do znajomości własnego położenia wiedzą zawczasu, czego się po rodzicach spodziewać mogą. Nie zła to rzecz, kiedy młodzież zna stosunki rodzinne; ale ją tak usposobić trzeba, żeby na byt materyalny jedynie nie zważała!

Małżeństwo nie jest ugodą teatralną między przedsiębiorcą a aktorką lub tanecznicą; jemu kilka lat wziętości wynagrodzi drogą płacę; ale wybór żony, przyszłéj matki dzieci, pani dworu, obywatelki, na saméj piękności, a nawet na majątku zasadzać się nie powinien. Toż samo i panna, jeżeli bierze małżonka *li* dla jego znacznych włości lub świetnego imienia, a nie zważa, że do dostatków są przywiązane powinności, obowiązujące sumienie pod grzechem; że to imię trzeba nosić z godnością, pamiętając na zasługi sławnych przodków; — panna taka stanie się niegodną i tych bogactw i tego wysokiego położenia, naznaczonego przez Opatrzność!...

Są-to stare prawdy; nie w jedném miejscu to wszystko kréślono! Jednak patrząc około siebie, sądzić by można, że te prawdy są poniekąd nieznajome! Powtórzyć je więc niezawadzi; niezawadzi zaklinać Was, — rodzice i młodzi, abyście się zastanawiali: Wy, wydając dzieci, i Wy, biorąc na siebie nowe obowiązki, *że to nie są żarty!* Że się należy dobrze namyśléć, starannie wywiedzieć o zasadach moralnych, o usposobieniu obranéj osoby, jako też i jéj rodziny. Pamiętać na to, że dobre wychowanie, uczciwe serce, chęć

do pracy, z mniejszym posagiem, więcéj znaczą od dostatków przy płochéj rozrzutności; że mąż rozsądny, gospodarny, przemyślny, prędzéj przysporzy, bardziéj żonę uszczęśliwi, niż wietrznik wielkiego rodu, lub bogacz bezrządny.

Zdaje mi się, iż Wy, rodzice, powinniście kierować wyborem dzieci Waszych, ile się da, nigdy jednak nie biorąc na się ciężkiéj odpowiedzialności naglenia ich lub przymuszania do związku, który-by się sprzeciwiał skłonnościom ich serca! Choć dziś *przymus* gwałtowny nie istnieje, została *nagląca namowa*, od któréj się też wstrzymujcie, pomnąc: że ten tylko, *co trzewik nosi, wié, gdzie go gniecie!* że działanie wbrew przekonania i skłonności, a jeszcze w przedmiocie tak *ważnym*, ściągnąć może nieszczęście całego życia!— Jeżeli się Wam niegodzi namawiać dzieci lub im rozkazywać zaślubienie z osobą, która im się nie podoba, to znowu jest Waszym obowiązkiem sprzeciwić się nierozsądnemu wyborowi, jaki w swém niedoświadczeniu mogłyby uczynić. Miłość, a bardziéj jeszcze szał namiętny mija, a brzemię nieroztropnie wzięte na się, zostaje. Wyście to przewidzieć winni, i o ile jesteście w stanie, wstrzymywać, rozwagą Waszą poskramiać i ostudzać szalone zapędy!

Podług mego zdania także jedność wiary i rodu, a zbliżenie się, ile być może, stosunków światowych, wieku i majątku, są pierwszemi warunkami szczęśliwego pożycia. Co do dwóch pierwszych, każdy przyzna, że różność w tak ważnych położeniach towarzyskich może się stać zarodem niezgody wiecznéj; również nikt mi nie zaprzeczy, iż odległość lat, różnica urodzenia i majątek znacznie przewyższający z jednéj strony, są także niekorzystnemi okolicznościami. Kiedy mąż w latach podeszłych, a żona młoda, trudne zadanie! Nie każdy ma *filozofią* jednego wielkiego pana, który już w pewnym wieku z młodą ożeniwszy się panienką, zostawiał ją samą na balu, a zapytąny czemu jéj raczéj

nie towarzyszy i nie strzeże, odpowiedział: *„i niewyspię się i nie dopilnuję!“* Jeżeli żona starsza, to jeszcze gorzéj! kobieta prędzéj od mężczyzny dojrzewa, a zatem i prędzéj się starzeje! Młody mąż przy podstarzałej żonie, daje powód do tysiącznych żartów! Urodzenie zbyt niskie jednego z małżonków, zbliża do siebie rodziny zupełnie niepodobne, i staje się źródłem niepokoju, a czasem śmieszności. Choćby żona n. p. była dobrze wykształcona, wznioślejsze miała uczucia i przez nie podniosła się duchem do położenia męża, jeżeli otaczający ją rodzice, krewni, powinowaci są źle wychowani, a do tego chciwi, natrętni, jakiegoż tam spodziewać się szczęścia? Jeżeli zaś mąż na téj niższéj stopie się znajduje, w jakież trudności wprowadza żonę? Strata nazwiska, może tytułu, o które przy miłości nie tyle z razu się dbało, mogą się późniéj odezwać, a obudzona duma, napoić związek goryczą.

Co do majątku: ile jest niesprawiedliwą w małżeństwach zasada prowadząca bogatych do bogatych tylko, kiedy dostatki przez Opatrzność dane, byłyby dla obojga wystarczającemi; tyle znowu zupełna różność w tym względzie ma swą niewłaściwość i przykrości. Upokarzającém jest dla męża, całkiem zależeć od żony! Przykro małżonce po każdy potrzebny grosz udawać się do męża. Jedynie wielka oględność ze strony lepiéj uposażonéj, może zniszczyć nierówność losu; ale czyż się ona zawsze znajduje, w tych co by ją mieć powinni?

Wielkie są więc trudności i rzadkie rękojmie szczęścia w związkach małżeńskich; dla tego, proszę Was, rodzice, nie śpieszcie się z wydawaniem córek, nie wypuszczajcie bez dostatecznéj znajomości, w czyje oddajecie je ręce! Zbyt młodym, nie umiejącym dać sobie rady w gospodarstwie, któreby nie potrafiły zyskać zaufania męża, nie pozwalajcie wychodzić od Was i wiązać się na zawsze. Wy-

chowując je zaś, nie dbajcie jedynie o naukę i talenta bardziéj pozorne, niż rzeczywiste. Przyzwyczajajcie je od młodu do czynności gospodarskich, do pracy, do dobrego rządu, do wydawania rozkazów służącym. Nie raz młoda mężatka czuje wielkie zakłopotanie, gdy jéj obiad *zadysponować* przyjdzie! Niech się zna na wszystkiém, a lepiéj ją słuchać będą. Jeżeli macie młodsze dzieci, niech się rodzeństwem starsze panny zatrudniają, nawykną do *matkowania;* będzie to znaleziony skarb w dalszém życiu.

Niech córki Wasze nie idą za mąż z myślą płochą, że jeżeli im się źle powiedzie, wrócą do Waszego domu; utrwalcie w nich zasadę, że na całe życie biorą towarzysza; że mu winny być posłuszne, wierne, życzliwe, jak to przysięgają przed ołtarzem! U nas były niegdyś, a podobno i teraz są niezmiernie częste nadużycia rozwodowe! Wpajajcie w Wasze dzieci chrześciańskie przekonanie, że to jest — jeżeli nie hańbą, jak w innych narodach, to jednak największém nieszczęściem, źródłem niepokoju, niepomyślności rodzin, a czasem wiecznotrwałéj zgryzoty sumienia, jeżeli rzecz się nie odbyła podług zasad kościoła i prawdy! Niech też Wasze córki wiedzą, że ich złe sprawianie się byłoby grobem Waszym a spodziewać się należy, że nie zejdą z drogi powinności i cnoty.

Synów, zdaje mi się, lepiéj nakłaniać do żenienia się, póki młodzi. Starsi już nabierają smaku do miłostek, już się przyzwyczajają do obyczajów rozwiązłych, już bywają otoczeni służbą, która żonie późniéj nieprzyjaźną się okazuje, i utrudza jéj dopełnienie powinności. Gospodyni kawalerska jestto potwór przeciwny szczęściu małżeńskiemu. W dwudziestym piątym roku życia już, oddający się gospodarstwu u nas młodzieniec, statecznego usposobienia, pracowity, mający byt ustalony i który odebrał stósowne powołaniu swojemu, naukę i wychowanie — co na nieszczęście rzadko u nas się zdarza — żenić się powinien.

Co do bytu majątkowego, namawiam Was rodzice, abyście czynili,.co Wam jest podobném, żeby dzieci Wasze były w tym względzie niepodległemi. Obmyślcie naprzód, co im wyznaczyć jesteście w stanie, nie odkładajcie téj czynności do ostatniej chwili, aby nie dawać światu — który łatwo szydzi — widoku swarów przy *intercyzie.* Co zaś przyrzekniecie, *dotrzymajcie święcie.* Jeżeli zawsze i wszędzie dobra wiara winna być zasadą działań uczciwych ludzi, to w tym razie więcéj, jak gdziekolwiek!... Nie jedno stadło się rozchwiało ubytkiem posagu lub obiecanéj majętności! nie jedna rodzina żyć musi w niedostatku i kłopotach, dla nie uporządkowanych przy zawieraniu małżeństw spraw majątkowych, i z powodu nie uiszczania wypłat należnych (*). Jednak oddawać wszystkiego za życiu nikomu nie radzę, gdyż sprawiedliwém jest stare przysłowie „nie zdejmuj koszuli, aż pójdziesz na spoczynek.“ Nader smutną jest prawdą, że dzieci (szczęściem z wyjątkami), gdy się już niczego po rodzicach nie spodziewają, tracą dla nich uszanowanie, a często i przychylność. Licznej nawet rodzinie często ciąży należne i stósowne utrzymanie podeszłych rodziców, gdy przeciwnie widzieć się daje, że niemajętni nawet rodzice potrafią utrzymać i wychować kilkoro potomków.

Wydawszy dzieci, już w ich rządy wewnętrzne nie zazierajcie, nie dawajcie sługom ich rozkazów, bez ich wiedzy; nie *kompromitujcie* ich, że tak rzekę, w oczach podwładnych, wytykając ich niewiadomość lub błędy. Dawajcie im na osobności rady, przestrogi, napomnienia, o ile tego nieodzowna będzie potrzeba. W pożycie małżeńskie nie wdawajcie

(*) Słyszałam, że Pani B. ., która posiadała tak wielkie bogactwa i dar rządzenia majątkiem, nie chciała kupować dóbr w kraju naszym, dając za powód, że na każdéj hypotece ciąży jakiś posag niewypłacony siostrze!. ..

się, płonnych nie słuchajcie żalów. Gdyby, broń Boże, płochość lub zdrożność się pokazały, wtedy dopiero całej użyjcie rodzicielskiéj powagi, aby złe w zarodzie zatrzymać i wykorzenić.

Nie radzę Wam, rodzice, dzieci wydane trzymać w własnym domu. Już za czasów patryarchów miało to swoje niedogodności. Dziś, co się obyczaje tak prędko zmieniają, od pokolenia do pokolenia ogromna zachodzi różnica; choćbyście najzgodniéj żyli, to sługi Wasze, jak się to już Abrahamowi i Lotowi zdarzyło, między sobą swarzyć się będą. Plotki, niesnaski, a po nich może i oziębłość, nastąpią. Osiedlenie odrębne, a jeżeli być może nie dalekie, najwięcéj przedstawia przyjemności i korzyści. Dom rodzicielski powinien być uważany jako przybytek, do którego ze czcią przystępują dzieci; w nim mają znajdować przyjęcie serdeczne, zdrową radę, w troskach pociechę, dla siebie i dla wnucząt, pobyt szczęśliwy!... Odwiedziny zaś *Starych państwa* stają się radością dla młodéj osady, która się winna przesadzać w gościnném ich przyjęciu, w oznakach szacunku i przywiązania! Błogosławiona rodzina, w któréj się tak dzieje! Szczęść Boże takim stosunkom, takim przykładom!....

Jeżeli w owdowieniu, kobieta lub mężczyzna w powtórne chcą wchodzić związki, jeszcze rozważniéj—szczególniéj jeżeli mają dzieci — powinni do nich się zabierać! Należy się im dobrze rozpatrzyć, nim wezmą postanowienie, ocenić obowiązki, i zważyć, czy im zadosyć uczynić będą w stanie; rzecz nie *materyalnie*, lecz wszechwzględnie oceniając (*). Późniejsze szczęście i spokojność dwóch rodzin często od tego zależą!...

O powinnościach żony ku mężowi nie mówię, gdyż całe moje dzieło ma je na celu Kończę ten krótki rys uwagą,

(*) Niezawadzi im pierw odczytać powieść Korzeniowskiego: *Wdowiec*.

że aby być stale kochaną, musi żona więcéj czynić zabiegów dla utrzymania miłości męża, niż zalotnica, która coraz nowych hołdów wymaga. Ale panowanie ostatniéj jakże krótkie! napełnione zawodami miłości własnéj, kończące się upokorzeniem, starością bez czci i bez pociechy; kiedy pożycie małżeńskie ugruntowane na zobopólném przywiązaniu, ufności bez granic i poświęcenia, jedynie przedstawia godziwe szczęście, którego się w tém życiu spodziewać można!

Śluby.

Przypatrzywszy się po różnych krajach obrzędom ślubnym, przekonałam się, że najświetniejszy, najbardziéj rozczulający, a więc najgodniejszy do zachowania, był nasz staropolski na wsiach, używany w rodzinach, w których przemieszkiwały dawne cnoty i pobożność. Niektóre tylko szczegóły za granicą, znalazłam godne naśladowania. Bo czyż może być coś poważniejszego, od ślubu odbytego z religijną uroczystością? Obchód ten, dla ludzi myślących i czujących wielkość obowiązków, jakie na się bierze młoda para, już jest rozczulającym; cóż dopiéro, kiedy do niego się łączy cała uroczystość zjazdu rodzinnego, dobrane towarzystwo, tłum ludu wiejskiego, piękna ozdoba ołtarza, przy którym odbyć się ma przysięga! Zwyczaj odbywania ślubów w domach, niezdaje mi się właściwym; kościół ma cóś nierównie poważniejszego: jest-to przybytek, w którym wszelkie sakramenta święte udzielone zostają. Sędziwi rodzice, liczni krewni, panna młoda w bieli, strój świetny i przyzwoity wszystkich członków rodziny i pana młodego, podwajają urok tego obchodu. Wiła dawniéj matka wianeczek, około złotego kabłączka, który na wiérzchu głowy córce przypinała, dając na spód dukata z obrazem Matki Boskiéj, aby jéj towarzyszyło błogosławieństwo Najświętszéj Panny. Zwyczaj ten, jako czerpany w pobożności, zdaje mi się godnym

zachowania; był on wyrazem życzenia, aby się córce w życiu dobrze wiodło; łączyła do tego daru matka: chléb, sól i cukier, które, jako godła obfitości, gościnności i słodyczy, panna młoda pod stanik kładła, a potém starannie w umyślném puzderku zachowywała. Strój ślubny, za granicą, zdaje mi się piękniejszy od naszego; rozmaryn u nas używany rośliną jest smutną, do twarzy nie da się naginać, a rozpuszczone włosy coś dzikiego, rozpaczającego przedstawiały; wianek z mirtu i pomarańczowego kwiatu, na łodydze okręconego drutu osadzone, przez co są zawsze w ruchu i dla tego zwane *fleurs d'émotion*, lepiéj tłómaczą wzruszenie, jakie towarzyszy téj chwili; lekka biała zasłona ma coś dziewiczego, co się bardzo oczom podoba. We Francyi, nigdy inaczéj, jak przy mszy świętéj nieodbywają się śluby. Nabożeństwo jest do tego umyślne, modlitwy za nowożeńców są odmawiane; sądzę, iż to wielce jest właściwém. Nasz zaś obyczaj dawniéj zachowany, a bodaj i teraz, aby narzeczeni przed spełnieniem sakramentu, jeszcze raz zbliżyli się z uszanowaniem do nóg rodzicielskich po błogosławieństwo im w dalszém życiu przewodniczyć mające, uściśnięcie się też członków dwóch rodzin kojarzącéj się pary, dawały poniekąd rękojmię, że zgoda i przyjaźń między niemi istnieć nieprzestaną.

Zwyczaj obcy i do nas się wciskający: wyjeżdżania w podróż nowożeńców w sam dzień ślubu, wcale mi się nie podoba! Jest-że to słuszném, zgadzającém się z uczuciem serca, aby panna młoda poniekąd uciekała z rodzicielskiego domu? Już dość i tak wyjściem swojém a czasem wyniesieniem się w dalekie strony, napawa rodzinę tęsknotą! Przygotowanie do drogi, czynione wśród weselnego zgiełku, pakowanie wyprawy, obok przysposobień do uczty, co za kłopot! Jechać dzień i noc, a może dni kilka saméj z człowiekiem, który dopiéro co był obcym, jakaż przykrość dla

młodéj osoby. Nierównie jest przykładniéj i lepiéj, kiedy rodzice, odprowadzając swe dziécię i oddając je w ręce tego, który ich miłość, ich starania, ich dobre przykłady ma zastępować, raz jeszcze mu przypomną obowiązki, jakie wziął na się przysięgając żonie wiarę, miłość i uczciwość małżeńską. Raz też jeszcze pobłogosławią młodéj parze.

Radzę Ci także, matko miernego mienia, abyś dając wyprawę córce, szukała raczéj użyteczności, niż wystawy. Mieć dużo sukien, téj, która siedząc na wsi jest pozbawiona sposobności ich użycia, któréj ciąże, karmienia, starania około gospodarstwa, wybiją z głowy *elegancyą*, to rzecz próżna. Moda prędko się zmienia, wydatek więc stanie się zbytecznym. Bielizna porządna, nie zbytkowna, śrebrne przyrządy do herbaty i gotowalni; jeżeli są, dawne rodzinne klejnoty stanowiące razem ozdobę i pamiątkę, piękne futro, szal jeden lub drugi, podług położenia, koronek nieco do ozdoby stroju i kilka sukien tak do ubrania, jak do codziennego użytku, cośkolwiek sprzętów do sypialni, oto co potrzeba; nadto, cośkolwiek gotowizny, aby młoda gospodyni nawykła rządzić kieszenią i od razu nie zależała od męża.

Piękny jest zwyczaj w Szwajcaryi, że bliżsi krewni, opiekunowie, rodzice chrzestni, druchny i przyjaciółki dają podarunki Pannie młodéj, często nawet bardzo kosztowne, a nadewszystko użyteczne; a tak każdy przyczynia się do początkowego opatrzenia nowego gospodarstwa.

Ośmielam się jedną przydać tu prośbę, obracając mowę do krewnych i gości, towarzyszącym zaślubinom, aby w téj okoliczności zaniechywali nieprzystojnych żartów i słów dwuznacznych, szczególniéj przy tak zwanych, a u nas tylko znanych «kolacyach cukrowych»; z uwagi, nietylko na skromność i wstydliwość Panny młodéj, lecz i na otaczającéj jéj młodzi, zwykle nawet w większéj liczbie na ślubach zebranéj. Dla czegóż rodziny chrześcijańskie i cnotliwe przy-

bierać mają postać lub pozory wszeteczności? Święty Franciszek Salezy powiada, że: „*tak mało jest dobrych stadeł na świecie dla tego, że nie zapraszają, jak to w Kanie Galilejskiéj, na gody swoje Pana Jezusa i Matki Jego; ale niecne bożyszcza Wenery i Bachusa!*“... Miła wesołość przystoi i towarzyszyć może obrzędowi, który nazwę *wesela* odebrał; ale nigdy niepowinna przechodzić granic przystojności i umiarkowania.

ŚRÉBRNA SALA
POD TRZEMA MURZYNAMI
W WARSZAWIE.

Są ludzie, co utrzymują z największą wiarą, że chcąc poznać jaką miejscowość, i zbadać charakter jéj mieszkańców czyli cechy stanowiące ich narodowość, dosyć jest kilku dni, a najwięcéj parę tygodni czasu, żeby zaraz potém można z zupełną znajomością rzeczy rozprawiać o nich szeroko a jeszcze szerzéj pisać. Co do mnie, wyznam szczerze, że, czy-to skutkiem braku talentu postrzegawczego, czy też trudności samego założenia, mimo czteroletniego ścisłego badania ludu Warszawskiego nieznam go jeszcze tak, abym mógł dać dokładny obraz jego zwyczajów, i wykazać jasno wybitne oznaki, głównie przywiązane do Warszawiaka. Bo jeżeli tak wyraziste zachodzą różnice między Polakiem, Niemcem lub Francuzem, a nawet między Mazurem, Krakowiakiem lub Litwinem, muszą być podobne koniecznie i między ludem miast naszych, tylko w delikatniejszych odcie-

niach, nie przez każdego dostrzeżonych i pojętych. Badanie tych odcieni, zaiste! trudność to nie lada: jeden tylko czas, i to długi czas może ją przełamać, a ja tylko cząstkę życia na ten cel poświęciłem.

Te słów kilka niech będą usprawiedliwieniem niedokładności obecnéj mojéj pracy; później może Wam dam coś lepszego, dziś proszę o pobłażanie, bo czém chata bogata, tém się z Wami dzieli.

Kto nie zna w Warszawie *Srebrnéj sali pod trzema murzynami*, temu muszę powiedzieć, że jest to główne miejsce zabawy tak zimą, jak latem niższéj duchem i uboższéj kieszenią klassy rzemieślniczéj tego starego grodu. Wprawdzie jest jeszcze kilka innych podobnego rodzaju zakładów; ale żaden z nich nie zaleca się taką obszérnością miejsca, ani taką wziętością, jak sala «pod trzema murzynami».

Ubrany w stary, podszarzany surdut, w czapce na głowie, żeby mieć minę właściwego gościa téj świątyni zabawy i wesołości, zachodzę nieraz pod Murzyny, i zawsze z zadowoleniem, jakie w nas obudza miłe przepędzenie czasu, wracam do domu. Nieróżniąc się niczém od zebranéj publiczności, w razie potrzeby przybiérając nawet ton jéj mowy i sposób obejścia się, wciskam się w najtajniejsze kątki, kędy szepty na ucho miłosnéj pary, lub baraszki albo kłótnie młodzieży; mięszam się do ich rozmów, rozprawiam, peroruję, i nie obudzając żadnego podejrzenia, staję się czynnym członkiem zebranego grona, którego płeć męską stanowi czeladź rzemieślnicza, a żeńską po większéj części służące, jak kucharki, młodsze i piastunki. Zabawa zwykle rozpoczyna się dosyć wcześnie, i trwa do 10téj wieczorem; ale najliczniejszą i najwięcéj ożywioną jest między 8mą a 9tą. Wówczas nie rzadko narachować można i pięćdziesiąt czasem par, jedna za drugą wirujących w szalonéj Polce na prawo lub lewo, albo w Oberku lub walcu, a patrząc na nie,

jak z dziarskiém przytupnięciem, z twarzą promieniejącą radością, w któréj każdy muskuł, każda żyłka drga weselem i zadowoleniem, kręcąc się furkają i migają się w oczach, to aż ćmi się i mięsza w głowie, aż korci coś wewnątrz i zdejmuje chętka pochwycić jakie zgrabniejsze dziewczę i daléj za drugiemi... hu — ha!

Przyczajony z cygarem w ustach, z czapką pod pachą, staję sobie zwykle pod muzyką, i z tamtąd ciekawe oczy i uszy rzucam na wszystkie strony. A jest gdzie i po co; bo sala obszerna tylko się roi głowami ludzkiemi; nad niemi unoszą się obłoki dymu tytuniowego, a z galeryi dosyć wysoko położonéj, idącéj w okół sali, wyglądają głowy męskie i żeńskie, które nie śmiejąc lub niechcąc należeć do dolnego zgromadzenia, tam zajęły miejsca, żeby choć wzrokiem podzielać wesołą zabawę. Na dole pod galeryą ciągnie się przy ścianie jedna drewniana ława, zwykle zajmowana przez zmęczone w tańcu dziewczęta i ich przyjaciółki, opiekunki lub bliskie kuzynki, które można poznać po trzymanych w rękach kapeluszach, okrywkach i innych podobnych, stósownie do pory roku, ubraniach. Od drzwi wchodowych przed bufetem stają widzowie, po większéj części urzędnicy, artyści i panicze wiejscy, którzy ze szkiełkiem w oczach, z cygarem w ustach, dumno i napuszenie pogłągają po obecnych, i nie kryjąc się prawie głośno szykanują, albo cedzą przez zęby zwietrzałe frazesa z francuskiéj paplaniny. Żeby młódź zgromadzona była ładną i ładnie ubraną, niemogę tego powiedzieć. Mężczyzni, zwyczajnie jak mężczyzni, w surdutach, z bufami na ramionach, z dużemi po uszy kołnierzykami, z kraciastemi chustkami na szyjach i z rękoma narobionemi od ciężkiéj i mozolnéj pracy. Dziewczęta zaś w większéj części wyglądają, jakby nie w swojém ubraniu, jakby suknia za ciasno lub za obszernie była zrobioną, i nadto ze wszelkiém niezręcznem naśladownictwem ubrania

głowy i innych drobnostek, zwykle używanych przez nasze panie. Być więc może, że strój pozbawiony właściwego smaku, tak niekorzystnie wpływa na przedstawienie wdzięków dziewczęcych; bo wyobraźcie sobie dziewuchę wiejską lub z małego miasteczka, słowem dziecko pracy fizycznej, któréj członki, nie krępowane ściskającém ubraniem, rozrosły się swobodnie, któréj ręka w pracy, nie okrywana nigdy rękawiczką, a noga, całe lato bosa lub w prostym trzewiku albo bócie, niemogły przybrać szczupłych form i delikatności powierzchownéj, zamiast w jéj prostém, a tak naturalném i powabném ubraniu, z którém zrosła się ciałem i duszą, na raz jeden widziéć przybraną w suknią z falbanami, choć staréj mody, ale zawsze zrobionéj ściśle podług jéj przepisów, często pomiętéj, dość zniszczonéj lub zbrukanéj, w trzewiczki lub bóciki prunelowe, i z włosami na głowie w różne loki i koki ułożonemi! Naturalnie strój taki, jako niewłaściwy, niepowabny, musi się niekorzystnie wydawać, a wszelkie poruszenia ciała muszą być niezgrabne, zbyt rubaszne; bo będą niezręcznem naśladownictwem wyższego świata, połączone z dawnem nawyknieniem pełném swobody. Dla tego téż skutkiem pogardy rodzinnego swego stroju, i przemiany jego na miejskie warszawskie szmaty, każda jakeśmy to już wyżéj powiedzieli, wygląda jak nie w swojem ubraniu, pod którém ów zdrowiem kwitnący rumieniec, pełność ciała i dokładne odznaczenie jego kształtów, tak miłe i pociągające w wiejskiéj dziewusze, ubranej w białej koszuli i spodnicy, ujętéj w pasie modrą lub czerwoną krajką, tu są niezgrabnemi, jakby odrażającemi, jakby niewłaściwemi i za nadto zmysłowemi. Z powodu takiego bezwarunkowego przebierania można się nieraz nader pociesznym przyjrzyć postaciom, a w każdym razie uśmiać do woli: gdy z pod ażurowéj rękawiczki wygląda gruba, czerwona jak burak ręka, albo pod wiotką jak pajęczyna sukienką, w którą wyobraź-

nia rada stroić aniołki lub wabne Rusałki, kryje się potężna massa ciała, co ją okiem dokładnie czujesz i obejmujesz. W ubraniu więc niémasz nic poezyi, tylko nienaturalność i nędzne naśladownictwo, a po bliższém wpatrzeniu się we właściwych gości Srébrnéj Sali, łatwo można przekonać się, że ta nienaturalność i nędzne naśladownictwo tak w dziewczętach, jak w mężczyznach odbija się we wszystkiém, i robi część tę ludu warszawskiego prawie zupełnie odartą z uroku poetycznego, przemieniając go na jakąś dziwną barwę, w któréj czujesz i dym z kominów warszawskich, i huk młota lub pisk pilnika, i woń salonu, i obyczaj pański, i prostotę wiejską, i rubaszność, i wszystkie a wszystkie odbicia żywiołów, składających społeczeństwo nasze, pomiędzy czém przewija się kiedy niekiedy dowcip nie ludu wiejskiego i nie salonowy, lecz czysto warszawski, jedyną i właściwą cechę ludu tego stanowiący.

Bliższy pogląd rzecz tę lepiéj wyjaśni: chociaż możemy zaręczyć, że nie są to żadne karykatury, ani dziwolągi; ale raczej pośrednie ogniwa, stanowiące przejście od naturalnéj prostoty do estetycznych form wykształconego społeczeństwa, od ludzi natury do ludzi formy. Nieznajdziesz więc tam ani téj poezyi, którą prawie widzisz w ustach i w stroju wieśniaka, co większego miasta nawet z daleka niewidział, ani téj wydelikaconéj estetycznie cywilizacyi, którąśmy przywdzieli na siebie, zrzucając śliczny poetyczny strój dawnéj naszéj prostoty.

Ale się już sala coraz więcéj napełnia, gorąca i dymu z cygar przybywa, dziewczęta obsiadły ławkę, kapelusiki i okrywki poskładały przy oknach w obszernych framugach, poprawiają włosów, młódź męska przechadza się, dowcipkuje czasem, wprawdzie nie dowcipnie, ale śmiechu i wrzawy dosyć się z tego robi, a dziewczęta niby nie słysząc i nie widząc, rozprawiają z sobą.

W tém muzyka się ozwała: huczna i skoczna Polka popłynęła ze strón skrzypcowych, wspieranych dętemi instrumentami. Dwieście nóg ochoczo przytupnęło i ze 20 par już wiruje i trambluje. Ale to jest dopiero sygnał, niejako próbka tego, co ma być granem, i zarazem wezwaniem do uciechy i tańca; bo gdy zaledwie w zamaszysty ruch puściło się wszystko i uporządkowało, naraz jeden muzyka z Polki przechodzi w marsza: dziewczęta niby ze śmiéchem, ale właściwie z niechęcią puszczają tancerzy przystając na boku, a kawalerya z miną buńczuczną obchodzi salon wolnym krokiem do koła, szukając po kieszeniach pieniędzy. Razem z marszem wysuwa się na środek tak nazwany przez wszystkich «Wujaszek,» a właściwie zbieracz zapłaty od tancerzy, którzy chcą czynnie należeć do przyszłego tańca. Opłata ta wprawdzie nie wielka; bo tylko piątkę (5 gr. pol.) wynosząca; ale takich piątek, kto oszczędnością nie krępuje swojéj kieszeni, można w ciągu jednego wieczora bardzo wiele wysypać. Na wyciągniętą więc rękę Wujaszka płyną piątki za piątkami, bystrém okiem obźnajmia się z płacącym, żeby go do opłaty drugi raz niepociągać, tu wydaje resztę, tam pociąga za połę, tam odmawia kredytu, bo i ten bywa czasami wymagany, tam znowu wymienia liczbę nieopłaconych kursów tanecznych i przy téj sposobności sprzeczkę odbywa, tu łaje, tam wymawia zatajenie należytości; słowem: na wszystkie strony czujny i baczny z całą przytomnością umysłu pełni obowiązek niełatwy, jak się zdaje z pozoru, do spełnienia. To też pracę tę głowy znać na jego twarzy; bo gdy na każdéj błyszczy radość i wesele, i zupełne oddanie się zabawie, u Wujaszka w minie tylko widzisz rachunek, krzątanie się o piątki, i baczną uwagę, aby kontrybucya jak najdokładniéj ze wszystkich została ściągniętą. Dla tego czoło mu się marszczy, usta gniewnie rozwarte, bo powodów do gniewu nie braknie, a oczy strze-

lają promieniami na wszystkie w około siebie strony, żeby nie uszło uwagi głowy, co tylko zachacza o interes piątkowy. Wreszcie opłata dopełniona. Wujaszek zostaje na środku sali; jednym rzutem oka obrzucił wszystkie pary w marszu postępujące za sobą, i dopatrzywszy jednego, którego przeoczył w opłacie, szybkim krokiem zbliża się ku niemu, trąca go w łokieć, wyciąga rękę, co najwymowniéj maluje interes, i gdy tamten z kwaśną miną wyszukuje piątki, on tymczasem postępując tyłem, pogląda po innych, żeby nie tracić czasu, i nowego wynaleść winowajcę.

Pary tymczasem zaczynają się niecierpliwić, Wujaszek po nad głową pstryka palcami, i muzyka na ten znak telegraficzny z hukiem i z ogniem rozpoczyna taniec. Na jeden raz 40, a czasem i więcéj par ujmuje się w pół, przytupuje, i zaczyna ochoczo wirować. I sunie się tuż para za parą, każdy przybiéra najzuchwalszą minę, a chociaż trzymanie szczególniéj rąk, to równo z lewém uchem, to zwiniętych w kłębek przy boku, to znowu założonych z tyłu na krzyżu w pasie, posuwa się często do przesady, że mimowoli wywołują uśmiech, zawsze jednak niemożna wszystkim tańczącym odmówić dziarskości, w poruszeniach i zgrabności ruchów tanecznych, tak, jakby każdy z nich wyszedł z pod ręki biegłego nauczyciela tańców. Słyszałem nawet, że niektórzy między młodzieżą biorą lekcye tańca. Bądź co bądź zawsze tańczą dobrze, w takt, zgrabnie, że i w salonach nic lepszego nie dopatrzysz, a równego ochoty i żwawości nie zawsze tam, a nawet rzadko kiedy znajdziesz.

W rodzajach jednak tańca mało przebija się naszego żywiołu, a jak lud wiejski tańczy zwykle parami w kółko to Obertasa na prawo lub lewo, albo Krakowiaka, tak i tu tańczą zawsze w kółko, tak walca, Polkę lub Mazura, z tą tylko różnicą, że wszystkie tańce w jednę lub w drugą stronę. Jest to więc rozwinięcie walca czyli żywiołu niemieckiego

na tle naszém czyli Oberku, i stworzenie przez to czegoś wyłącznego; bo któż Mazura np. tańczy walcem na prawo lub lewo? Przemiany jednak takie kierunku tańca bywają często powodem wielkiego zamieszania; bo płynący strumień par, niewiedząc o niéj, z jedną szybkością posuwa się naprzód, a spotkawszy idący z przeciwnéj strony, ściera się z nim, miesza, potrąca, i dosyć często kończy się przewrotem kilku par jedna na drugą. Wówczas z jednéj strony powstaje śmiech i głośny poklask, z drugiéj pisk, hałas, tumult, sprzeczki, tłumaczenia, nawet kłótliwe wymówki, i poprawa powalanych lub pomiętych sukien. Przewroty jednak takie więcéj są śmieszne, jak szkodliwe lub bolące. Lecz jeśli przypadkiem, czy przez niezręczność, czy zawadzenie nogą o jaki przedmiot, para w samym tańcu upadnie, natychmiast na nią pada druga, trzecia i czwarta, ta tratuje, ta przyciska, ten przeskakuje i wpada na drugiego, który zatacza się daléj, i tak następnie; bo w łańcuchu postępującym i wirującym naprzód, para prawie szczelnie idzie za parą, więc nawet niema czasu uniknąć przeszkody, i musi koniecznie padać na ziemię. Kto więc chce dzielić zabawę, musi się dobrze obrachować z siłami i zręcznością swoją; bo inaczéj i suknie i boki nie wyniesie całe. A że nie wszyscy jedną zalecają się chyżością, więc grono tańczących dzieli się niejako na dwa, a nawet i trzy koła, wchodzące w siebie, i w piérwszém największém mieszczą się najzuchowatsi tancerze, a w dwóch drugich stopniowo nie tyle w siły swoje zaufani. Tym sposobem całe miejsce dosyć obszerne, okrywa się wirującemi parami, a rozmaitość szybkości ruchów tychże i różno-farbne ubrania, różne miny i przybierane rozmyślnie nienaturalne grymasy i poruszenia, przedstawiane razem przez 70 czasem par, tak miły i malowniczy przedstawiają obraz, że mu się dosyć napatrzyć niemożna; że widząc tak ich naturalną i szczérą wesołość, westchniesz

38

sobie tajemnie, i z pewną zazdrością powiesz: «szczęśliwi!»

Ale bystre Wujaszka oko i tu śledzi jeszcze pilnie, czy mu się jaka piątka nie przekradła. - Ot! i zmarszczył brwi, podniósł głowę do góry wspinając się na palce, i w téj chwili zeskoczywszy z małego wyniesienia stojącego pod muzyką, biegnie w łańcuch par, gzygzakuje w prawo w lewo unikając potrąceń, i dopadłszy do winowajcy jednóm silnóm pchnięciem wytrąca go z koła tańczących, i jednocześnie patrząc w inną stronę, wyciąga rękę. Niesłuchając nawet, po gestach można poznać rodzaj prowadzonéj rozmowy; potrącony z zapyrzoną twarzą przyskakuje do Wujaszka, potrząsa głową, ten mu zimno i najobojętniéj odpowiada mimo wykrzykników i bicia się w piersi; Wujaszek bowiem w takich razach nigdy się nie myli, a nie siląc się nawet na przyznanie sobie słuszności, wolno obchodząc koło, wraca na dawne stanowisko pod muzykę, a za nim, jak cień za ciałem, postępuje niefortunny kontrabandzista, ciągle mówiący i wymawiający wyłączenie swoje z tańca. Wujaszek nic nieodpowiadając, kładzie ręce w kieszenie, staje na małém podwyższeniu, opierając się plecami o ścianę odłączającą muzykę od tańczących, i gdy potrąconemu nie zamkną się usta przed wymówkami, on najspokojniéj z jednym zawsze, zimnym wyrazem twarzy pogląda po sali, jakby nie słyszał i nie widział mówiącego. Patrzyć na taką obojętność istotnie niemożna bez uśmiechu; bo z wesołemi twarzami bawiącéj się drużyny i z zapyrzoną twarzą wymawiającego, taką stanowi sprzeczność, że choćbyś nie chciał a musiałbyś się uśmiéchać. Raz stojąc przy Wujaszku, dokładnie słyszałem całą rozmowę, a raczéj wymówki; bo tylko jedna strona mówiła. Był to sobie jakiś nie wielkiego wzrostu czeladnik stolarski, z cygarem w ustach, po troszku pykający dymem. Z miny wyglądał coś na filuta, a z tonu mowy widać było jasno, że pragnął mimo tańca piątkę oszczędzić.

Wujaszek więc miał słuszność: o! bo Wujaszek w takich razach nigdy się nie myli. «A i cóż-to sobie Pan myślisz?» mówił czeladnik« wypychać tak kogo z tańca, jakby jakiego «oszukańca? Patrzaj-no go!» i wypuściwszy kłąb dymu, dumnie podniósł głowę do góry i mówił daléj: «Mój Panie, «Pan niemyśl, żebym ja tak był chciwy na piątkę! — ho ho! «ja niedbam o dziesiątkę, o 15 groszy, a nawet o 20 — a «nie dopiéro o piątkę. — Widzisz go! — a cóż, hę? może «Pan myślisz, że niémam pieniędzy? o! to się Pan bardzo «mylisz — bardzo się Pan mylisz — o! słyszysz Pan? proszę «słuchać — proszę słuchać.» I to mówiąc, sięgnął ręką do kieszeni, i brzdąknął drobną monetą.

Ale Wujaszek, jakby go niebyło, nawet nie spojrzał na mówiącego, a ja dostrzegłszy na ławce siedzącą młodą dziewczynkę, któréj coś w ucho szeptał równie młody, lecz niepociesznéj postaci jakiś rzemieślnik, pociągnięty wdziękiem młodości i urody, przysiadłem się do miłosnéj pary.

«O!» mówił kawaler «ja Panią gdzieś mam przyjemność znać — gdzieś koniecznie widziałem; — prawda?»

— «Być może» odrzekło dziewczę skromne, miłe i urodne, jakiegom jeszcze nigdy w tém miejscu niewidział, ubrane w świeżutką płócienkową sukienkę, w biały kołnierzyk wywinięty, i trzymające w ręku białą chusteczkę.

«I co powiém Pani?» mówił daléj młodzieniec «że nie raz i nie dwa miałem Panią przyjemność widzenia; ale że widziałem, to pewny jestem; tylko niepamiętam gdzie? Prawda, Pani?

— «Być może — niepamiętam» — odpowiedziała dziéweczka.

«Ho-ho! ja mam lepszą pamięć, jak Pani, i wiém, że nie piérwszy raz widzę Ją — Prawda, Pani?»

Dziéweczka już nic nie odpowiedziała, tylko niechętnie poruszyła głową, a nudziarz mówił daléj, kołując zawsze

koło jednego przedmiotu: «Ale gdzie — ale gdzie? Moja droga Pani, niech mi Pani powie, gdzie ja miałem przyjemność już widzieć Ją? O! bo to nie piérwszy raz—zaręczam; i tak pamiętam Panią, jakbym ot teraz patrzał na te rączki. Moja droga Pani, gdzie ja Panią już widziałem?»

Dziewczę widocznie zaczęło się niecierpliwić, wykręciło główkę, jakby goniąc kogoś oczami po sali, w których dostrzegłszy małą chmurkę niecierpliwości, i pragnąc na inny tór wprowadzić rozmowę, odezwałem się:

— «Wiész Pan co? — ot! zamiast gadać o rączkach téj Pani, to żebym był na Jego miejscu, to bym je wycałował.»

Dziewczę jakby zdziwione spojrzało na mnie z małém zawstydzeniem, a Adonis rozśmiał się mrukliwie i odrzekł: «Dobrze Pan mówisz — zapewne — o! bo rączki jak téj Pani — to... ho-ho! — że.... przecie.... czy Pani nie gorąco czasem?» a widząc, że mu nic nie odpowiada tylko niespokojném okiem pogląda po zgromadzeniu, jakby szukała kogoś, mówił daléj:

«Moja droga Pani, czy Pani niemoże na nas patrzyć?»

— «Szukam Cioci, bo niewiém, gdzie mi się podziała» odrzekło zakłopotane dziéwczę.

«Cioci — Cioci? i ja moja droga Pani przyszedłem z Ciocią, a jednak jéj nieszukam, w Pani widzę i Ciocię i Wujaszka i Stryja i Stryjenkę i.......»

— «Dobrze mówi i dowcipnie» odezwało się kilka głosów; ale nie rzemieślniczych, tylko furfantów warszawskich, przypatrujących się z zajęciem ładnéj buzi powabnego dziéwczęcia «dobrze mówi; ale wiész co, to śliczne dziéwczę! z kąd ono tu się wzięło?»

I to mówiąc poczęli się coraz więcéj skupiać, tłoczyć, chwalić, zaglądać w oczy dziéwczęciu, a mój pan kawaler dumny zwróconą na siebie uwagą, mówił daléj dowcipkując:

«O! moja droga Pani, ja dowcipny, jak żydowskie dziecko przy półkwaterku, ho-ho! Taka piękność, jak Pani, to.... trudno o piękniejszą...... to......

— «Mój złoty Panie» przerwało dziewczę niespokojnie «poszukaj Pan Cioci, — mój złoty Panie».....

«O! dlaczegóż Pani nie powiesz: «i groszy 15? cóż to czy ja tylko mam być wart *złoty?* kiedy jestem *złoty*, niechże będę «i groszy 15»......

— «Brawo, brawo!» wrzasnęło coraz więcéj powiększające się grono mężczyzn, i coraz więcéj jakoś zachowujące się śmieléj, a Adonis chciał daléj dowcipkować; ale w téj chwili rozpychając ścianę męską wpadła jakaś Jejmość w czépku i wielkiéj chustce na ramionach i chwytając struchlałe dziewczątko za rękę, krzyknęła rozgniewanym głosem:

— «Pójdź, Maryniu, kiedy ci panowie tak są niegrzeczni i niedelikatni! — pójdź!...

«Ale za pozwoleniem» przytrzymując Marynię przerwał rzemieślnik «tu było wszystko i grzecznie i delikatnie, a gęba rąk niéma, żeby głaskała, tylko zęby; i choć nie chce, to czasem niemi ukąsi.»

— «Bardzoś Pan dowcipny» wyrywając Marynię odezwała się ciotka, a obracając się do śmiejącego się grona mężczyzn, mówiła daléj: «Nie macie się Panowie z czego śmiać; bo tak obstąpić panienkę, jak dziady furtę u Kapucynów, i patrzyć na nią, jak na jakiego raroga, to ani pięknie ani obyczajnie: to jest brzydko nie tylko tutaj; ale choćby w najpierwszym salonie, rozumiecie Panowie? Cóż to sobie myślicie, że tu już nieznajdzie panny skromnéj i niewinnéj? — Fe! fe — to brzydko, to nieobyczajnie.... to nieuczciwie..... to».....

«No, no — o cóż Pani idzie?» przerwał rzemieślnik, «przecieć tu wszystko odbyło się podług formy.»

— «Chyba podług kopyta, powiedz Pan» odrzekła kobieta dając widoczny przytyk rzemiosłu kawalera.

Wszyscy się rozśmieli; ale złajany nie tracił fantazyi, tylko włożył rękę w kieszeń, poprawił kołnierzyków i zaraz domówił:

«Niech sobie będzie i podług kopyta, i butów, i kaloszy nawet — a cóż w tém złego?»

— «Złego nic niema; ale kiedy Pan z nami przyszedłeś, toś powinien panience być, jak opiekunem: bronić ją; ale nie z innemi tam..... różne głupstwa wywodzić».

«Pani Grzegorzowa! — co tam! otó pójdź Pani zemną w taniec.....»

— «Pójdź Pan sobie z taką, jakeś sam» i rozgniewana Pani Grzegorzowa odeszła z siostrzenicą na drugą stronę sali a za nią podrygując i dowcipkując kawaler.

Żałując mocno, że natręctwo młodych ludzi przeszkodziło dalszemu memu postrzeganiu, zapaliwszy więc nowe cygaro, przeszedłem pod muzykę i tuż stanąłem przy miejscu zwykle w czasie tańca zajmowaném przez Wujaszka. Obok mnie stało kilku mężczyzn, widocznie rzemieślników, i poglądając po przewijających się parach, nie kryjąc się nawet i wytykając palcami, śmiało się i dowcipkowało z tańczących. Wierny swojéj roli posunąłem się bliżej; wzięto mnie za towarzysza, i jeden zbliżając się ku mnie, poprosił o cygaro. Sięgnąłem do kieszeni; ale proszący, nieczekając na odpowiedź, wyjął mi z ręki to, co paliłem, i pociągnąwszy parę razy, zwrócił mi go nazad. Dziwny to wprawdzie troszkę obyczaj, ale jednak zastósowałem się do niego; mój zaś nowy towarzysz oddając wypuścił potężny kłęb dymu, i wskazując na dwie dziewczyny grube i tłuste i rosłe, jak dęby, tańczące razem z sobą, wyrzekł: «Patrz-no Pan; a to jakieś dwa tęgie grzmoty z sobą tańczą — ho-ho! będzie burza i nawalnica.»

Porównanie choć troszkę dziwne, ale było dosyć trafne; bo dziewczęta istotnie wyglądały, jak dwa pnie podrygujące koło siebie. Uśmiechnąłem się więc mimowolnie, a mój towarzysz wskazując inną, do szerokości pleców i bioder stosunkowo za cienką w pasie, rzekł: «A ta, patrz Pan, wygląda jak porterówka, tylko szyi niéma tak długiéj.»

Byłbym się jeszcze dłużej cieszył dowcipnemi postrzeżeniami nowozdobytego towarzysza, ale uczułem z drugiéj strony lekkie uderzenie w ramię i słowa:

«Panie kolego, niémasz tabaki?

— «Niémam, mój drogi Panie» odrzekłem; a niechcąc tracić towarzystwa złośliwego krytyka, zwróciłem się ku niemu, ale go już nie zastałem; bo razem z drugiemi w najlepsze tramblował. Proszący o tabakę przysunął się do mnie, i śpiewając jakieś wiersze na nótę granéj Polki, do których wchodziło i całowanie, i kochanie, i serce, i oczy i t. d., podał mi swoją tabakierkę. Zażyliśmy, a gdy cała ceremonia tabaczna ukończoną została, odezwał się tajemniczo przybliżając usta aż do samego mego ucha: «To głupstwo, mój drogi! Ale pamiętasz, jakeśmy to kiedyś ot tak śpiewali?» — i znowu zaczął śpiewać, tylko zmieniając słowa; bo naturalnie przy hucznéj tuż nad głową muzyce z dziesięciu złożonych osób, trudno było śpiewać co innego, jak nie graną Polkę. Kiedy wszystkie strofy z ogniem i z zapałem powtórzył przytupując nogami, wytrząsając pięściami z groźbą, i po ukończeniu każdéj starannie się oglądając, czy czasem kto z natrętnych nie podsłuchuje, odsadził głowę od ucha i wpatrując się we mnie, odezwał się: «A cóż? nie śliczna piosnka? Ale to jeszcze nic ta, co teraz Panu zaśpiewam, to dopiéro Pan zobaczysz; tylko inna zupełnie w niéj nóta.» I znowu w uchu słyszałem mimo zapowiedzianéj zmiany tę samę co poprzednio Polkę, tylko z innemi słowami. «Ach! kochany Panie» po ukończeniu śpiéwu rzekł

do mnie mój nowy towarzysz, «ot! wiész Pan co? — nieznam Pana; ale już widzę, że poczciwy jesteś człowiek: chodź ze mną na piwo, — chodź — chodź» — i nieczekając odpowiedzi, pociągnął mnie ku bufetowi zbiérając po drodze coraz nowszych towarzyszy.

Stoliki już prawie wszystkie były pozajmowane; przy niektórych siedzieli sami mężczyzni, przy innych wspólnie z kobiétami, a gdzie niegdzie czułe pary młodzieży, razem z jednéj szklanki popijające piwko. Panny ze spuszczonemi oczyma wachlowały się chustkami, kawalerya z rękoma buńczucznie wspartemi na kolanach, w pośród kłębów dymu cygarowego, coś szeptała na ucho swoim ulubionym, a dziewczęta bufetowe uwijały się od stolika do stolika podając i zbiérając szklanki, butelki, piwo, herbatę i t. p. Między odpoczywającemi dojrzałem i panią Grzegorzową z Marynią, a koło nich owego dowcipnisia, w jak najlepszéj zgodzie zapijających owsiane piwo. Dziéwczę skromnie poglądało po zgromadzonych, a kawaler rozkładając rękoma coś opowiadał, czego ciocia z największą słuchała powagą. Ten ruch, wrzawa, rozmaitość rozmowy i ugrupowanie się zebranych osób przy stolikach, oddzielonych ścianą przypatrujących się mężczyzn od tańczącego grona, przedstawiało nader malowniczy obraz. Ale mi nie dano długo się w nim zapatrywać, i z podaną szklanką rozpoczęła się rozmowa.

«Ot! szewca wszędzie diabli przynieść muszą» odezwał się jeden z towarzystwa rzucając pogardliwe spojrzenie na jakiegoś przechodzącego młodego człowieka. Ten przystanął, popatrzył chwilkę, i odrzekł zaczepiająco:

— «Szewca albo nie szewca, a jeżelim szewc, to widać, że swój swego poznał.»

«O! na naszych rękach dratwy nie widać.»

— «I na moich także; ot! proszę zobaczyć» i to rzekłszy pokazał obie ręce nie bardzo zgrubiałe od pracy; ale zabru-

kane, z czarnemi paznokciami, jakby umaczanemi w jakiéj czarnéj i tłustéj cieczy.

— «No, teraz proszę poznać, kto jestem?»

I gdy głowy nachyliły się pilnie rozpatrując się w podanych rękach, pytał daléj z dumą:

— «No cóż? szewc jestem? szewc?

«No juzcić nie szewc; bo od dratwy niéma znaków; ale któż taki?

— «Zgadnijcie; nie powiem.»

I poczęły się sypać różne nazwy rzemiosł z zaprzeczaniem lub potwierdzaniem obecnych stósownie do znaków na rękach dopatrzonych. Oglądany ciągle potrząsał głową, aż wreszcie ktoś wymówił: «to lakiernik!» i wątpliwość wszelka usuniętą została.

— «Tak, tak, jestem lakiernik; więc nie szewc.»

„Prawda, prawda" potwierdzili wszyscy, i każdy koleją wyciągając ręce żądał, aby zgadywano rodzaj jego zatrudnienia.

Śmiechu i żartów było przytém co nie miara; bo dowcipu istotnego niebrakło, a gdy przyszła kolej na mnie, wyciągnąłem także ręce i śmiało rzekłem:

„No, Panowie, zgadnijcie teraz, jakim ja jestem rzemieślnikiem?

Obstąpiono mnie do koła; ręka moja każda w coraz inne przechodziła ręce, przyglądano się jéj, obmacywano; ale i kręcono głowami niemogąc wykryć rodzaju mego zatrudnienia. Pióro bowiem to nie hybel, ani młot; a gdy zeszło kilka minut na próżném badaniu, jeden uważnie poglądając, ze zwróconą widocznie uwagą na moją całą osobę, odezwał się podejrzliwie:

„A może Pan nie rzemieślnik, a czy my wiémy?

— „Rzemieślnik, rzemieślnik" odrzekłem śmiało i bez

wahania „a żebyście Panowie na próżno głowy sobie nie psuli, to Wam powiem, że jestem zecer z drukarni.“

„Być może — zapewne — zapewne“ potwierdzono gwarnie, a ten, co mi śpiewał w ucho pod grającą muzyką, biorąc mnie pod pachę rzekł: „Chodź Pan, pójdziemy na salę; bo lubię się przypatrywać, kiedy na niéj taka jest fertanina. Ja bo już nie tańczę, ale.... kiedyś.... to nie wyrzekam się. Tamtym za to, to nogi tylko dygoczą; a poczciwe to chłopaki, poczciwe. — Ten z kolczykiem w uchu, płaternik, taki jak ja, to utrzymuje w domu matkę i dwie siostry. Oneto niby igłą zarabiają; ale to nie na siebie, na okrywkę; ale w gębusię: juźcić podziel się braciszku; a matce dobry syn, ale dobre i córki. — Ten drugi, dzióbaty, ma przy sobie brata. To co on też niéma z nim zmartwienia! bo ten go chce forsztelować na rzemieślnika, a jemu tylko czytanie i pisanie w głowie. Oddawał go i tu i owdzie w termin; ale wszystko za nic, nigdzie i miesiąca niedosiedział. Najdłużéj był w litografii, bo cały kwartał; a teraz ma go wkręcić do piwowara. Ale niebędzie on tam długo; bo tam piwo robią a nie książki. Radziłem mu więc, aby go oddał do introligatora, to już z książkami będzie sypiał, i jadał. Ten znowu trzeci, blondyn, to ślusarz, wielki figlarz. Co u niego różnych figlów siedzi w głowie! to jak się rozgada, to mało nie dusimy się od śmiechu. Wszystko umie udać: psa, kota, indora, gęś, koguta; każdego człowieka glos i jego ruszenie. A jak się wykrzywi twarzą, to chcesz nie chcesz musisz się śmiać do rozpuku. Gęba u niego jak kołowrotek, kiedy wesoły; ale jak smutny, co mu się często zdarza, to chodzi jak mruk, i nie raz zapłacze, choć sam niewie czego. Przytém poczciwy, jak rzadko: dla kolegi toby duszę oddał. Pieniądz u niego, to jak wiatr: dziś w kieszeni, jutro między ludźmi, i tak zawsze. Szkoda go, szkoda, bo zawsze będzie biedny. O! słyszy Pan? już się rozgadał. Ale niech Pan

nie myśli z tego, co mówię, że to jaki łajdak; bo ja tak go kocham, jak syna, i jak widzę, że z pieniędzmi u niego kuso, to moja kieszeń dla jego ręki. Ale gdzie tam! raz, Panie, cały dzień nie jadł, a jakem mu wtykał w rękę dwuzłotówkę, to nie wziął i rzekł, a łzy mu się kręciły w oczach „Ojciec!“ bo oni mnie często ojcem nazywają „ojciec schowaj lepiéj te dwa złote dla swoich dzieci; bo kiedy moja głowa z rękami nie umie się rządzić, to niechże brzuchem pokutuje. Ja sam, i z jedną tylko gębą, a wy, ojcze, przy sobie macie pięć innych gąb.“ I to rzekłszy, mój Panie, pocałował mnie w rękę i uciekł, a ja wtedy piérwszy raz w życiu zapłakałem na swoją biedę, że nie mogę pomódz poczciwemu człowiekowi.“

Kończąc to opowiadanie mój towarzysz wyraźnie był rozrzewniony; ale tłumiąc wzruszenie ujął mnie pod rękę i podprowadzając ku małemu kółku rozmawiającéj młodzieży. rzemieślniczéj rzekł:

„Ot widzisz Pan, jak-to dowodzi! Oj! to figlarz; jakich mało. Józiu, Józiu! spać! do domu! bo już po dziesiątéj.“

— „Spać?“ zapytał zaczepiony odwracając się ku nam „spać? a kiedy jeszcze kogut nie zaśpiewał! I ja się przecieć żenię! a to ot! Panna młoda. Chodź, dziubko, chodź! pokaż się przecię naszemu ojcu.“ I to rzekłszy pociągnął na środek młodego człowieka, nader małego wzrostu, z twarzą ustrojoną potężnemi wąsami i faworytami, z głową hardo zadartą. Wszyscy szczérze się rózśmieli, nawet nowo zanominowana Panna młoda, a on romansowo składając ręce mówił z przesadą: „Oto moja kochanka, śliczna, jak aniołek! a jaka rozumna! oj! strach! Lepiéj kocha książki, jak myszy i mole; bo jak jéj dałem Ramoty Wilkońskiego...“ i zmieniając ton zwyczajnéj mowy na dyalekt żydowski, mówił daléj: „no! przecieć Panowie znacie Wilkońskiego, aj wej! kto-by go nie znał? co-to się literami śmieje do ludzi

— no! to, jak jéj dałem, to tak ramotała i ramotała, że mi zramotała całą książkę i nic z niéj nie zostało. O! to strasznie mądre dziecko! — ona dla tego taka gruba a krótka, że tak samemi wypchana książkami! A pamiętasz, jak ja do ciebie pisał: „Maryniu!

„Dla ciebie zwłok Starosty rok cały szukałem;
„Dla ciebie nie piłem, nie jadłem, nie spałem;
„Dla ciebie wychudłem, jak w wodzie pijawka,
„I dziś pustki w kieszeni i męczy mnie czkawka!“

I wydeklamowawszy to z dziwną, nader śmiészną komiką, niedającą się żadnym sposobem opisać słowami, ucałował serdecznie mniemaną kochankę i w pośród ogólnego śmiéchu, czkając głośno, podszedł w głąb sali ku tańczącym.

Za nim potoczyło się całe grono słuchaczów, a ja przechodząc około stolika, gdzie siedział z ową dziéweczką Marynią i ciotką młody czeladnik szewcki, coś z uśmiechem i wykrzyknieniem mówiący do niéj, rzekłem:

„Ale, widzę, że Pan nie próżnujesz, a Panna możeby wolała skakać nogami, jak słuchać uszami.“

— „Możeby i wolała; ale powiada, że nieumiém tańczyć, a ciocia dobrodziéjka mówi, że ruszam nogami, jak nie swemi, a przecież, słowo daje, że moje własne. Prawda, proszę Pana?“

„Prawda, prawda“ — ciotka z oburknięciem dodała. „Już tylko mnie Pan nie mieszaj do siebie; bo nigdy nie odżałuję, że mnie tu dziś jakieś nieszczęście przyniosło. Oto chodźmy lepiéj!“

— „Ale, moja Pani, chodźmy, chodźmy, o!“ odrzekł szewc. „Po co to gniéwanie? nie prawda, proszę Pani?“

I gdy mówiący na nowo zaczął nudzić Marynię, ja przysunąłem się do ciotki i zapytałem:

„Czy ta Panienka siostrzenica Pani?

— „Siostrzenica, i uprosiłam Pani jéj, gdzie służy za młooszą, na dzisiejszy wieczór; ale już ostatni raz to głupstwo zrobiłam. Ci różni tu paniczowie, to tacy są niegrzeczni, że cała siedzę, jak na szpilkach. Odejść sama z Marynią lękam się; bo wiem, że bez zaczepienia nie obejdzie się, a ten pan zwleka i zwleka, a my siedziemy, i ni zabawy ni spania.“

„Jeżeli Pani pozwoli“ odrzekłem „to ja mogę odprowadzić.“

— „Za pozwoleniem“ odezwał się wstając nagle nudny Adonis „za pozwoleniem. Niech Pan daruje; ale ja przyszedłem z temi Paniami, to i odejdę.“

Na tém się skończyła moja znajomość z ładną dziéweczką i surową jéj ciotka. Wychodząc podziękowały mi i spojrzeniem i ukłonem, i odtąd już ich nigdy nie spotkałem, a choć późniéj wypytywałem się kawalera o bliższe tyczące się ich szczegóły, filut nigdy mi nie dał wymaganego objaśnienia; ale wszystko zbywał półsłówkami, tajemniczą miną i uśmiechem skrytym, tak, że z tego nic nie mogłem zrozumieć. Dopiéro w kilka miesięcy przechodząc około figury S. Jana, stojącéj przy placu Bankowym wprost pałacu Ordynatów Zamojskich, dojrzałem, jak nabożnie, stojąc przy sobie, śpiéwały razem z licznem gronem śliczną pieśń Karpińskiego: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ i t. d.

Dziéweczka śpiéwając często oczy wznosiła do nieba, jakby prosiła o pomoc i opiekę, i widać, że modlitwa była wysłuchaną; bo twarz jéj jaśniała, jak dawniéj, dziewiczością i niewinnością duszy.

Przez cały czas różnych naszych gawęd, które tu pobocznie przedstawiłem, muzyka ani na chwilę nie ustawała. Wujaszek wybiérał piątki, młodzież hasała, aż wreszcie dano znak. Skrzypki przeciągle zapiszczały, i z godziną dziesiątą wszystko wyruszyło ku domowi. Szukanie salop, różnych

okryć, kapeluszy, narobiło jeszcze nie małéj wrzawy; ale w 10 minut przy śmiechu i pustocie całe zgromadzenie opuściło salę, i śmiech, wrzawa, wraz z ludźmi przeniosły się na ulicę. Trzymając się parami pod ręce rozchodziły się para za parą w różne strony miasta, tak, że chwilkę stojąc na ulicy słyszałem, jak wesoła wrzawa młodzieży, niby woda, rozpływała się po mieście i wreszcie zginęła w gwarze miejskiego ruchu.

Zabawy takie, oprócz adwentu i postu, w każde święto przez rok cały regularnie się odbywają; lecz najświetniejszemi dniami dla sali „pod trzema murzynami“ są dni ostatnie karnawału począwszy od saméj niedzieli aż do północka we wtorek. Wtenczas i ludno i gwarno i gorąco i ciasno, że trudno w tłoku wytrzymać, a że do zwykłéj zabawy przybywa jeszcze coś jakby maskarada; bo zawsze spotkać można kilka masek, krakowskich przebrań, i jakich komicznych strojów; więc massa młodzieży wyfrakowanéj, zanim ponapełnia ufroterowane salony, idzie tu wprzódy ubawić się i uśmiać, i tym sposobem znacznie zwyczajną liczbę gości powiększa.

W dnie wzbronione dla tańca, jak w post i w adwent, zamiast tańców zebrani goście bawią się w różne gry towarzyskie, jak w cenzurowanego, w gotowalnią i t. p.; ale o tém późniéj opowiém.

Jan Gregorowicz.

Pan Bystry.

Bystry zaczął swój zawód publiczny w. Trybunale Piotrkowskim od palestry. Podejmował się wyrabiać sprawy uboższéj szlachcie, biegał za panami, zasługiwał się komu tylko mógł i chciał z kolei. Raz wreszcie czy od Marszałka, czy od Prezydenta otrzymał Instygatorstwo skrzynkowe na całą kadencyą w Piotrkowie, co znacznie kieszeń jego zapomogło. Albowiem taki Instygator zbiérał zwykle grzywny od stron, a potém co miesiąc odnosił je Deputatom, ile na każdego wypadło. Dobrze się przy tém wszystkiém żywił, bo panowie bogatsi pospolicie nie brali wcale swoich grzywien, przekazując je raz nazawsze i calkowicie dla Instygatora. Wsławiwszy się, Bystry został pełnomocnikiem księcia Biskupa Warmińskiego Grabowskiego do wyrabiania spraw jego w Trybunale.

Było to w r. 1749, w którym wielkie forsy panów były przeciw i za Trybunałem. Bystry podniósł wyżéj dumne czoło, pewny i protekcyi księcia Biskupa, i tém, że zapisał się w usługi Familii. Nim Trybunał się rozszedł niepraktykowanym jeszcze w Polsce przykładem, pan Bystry podchmieliwszy sobie, poszedł na bal w Piotrkowie; czy zapomniawszy rewerencyi, czy nie wiedząc sam co robi, bierze

z brzegu damę i staje z nią w piérwszéj parze do tańca. Na to Deputat Płocki, pan Jeżewski, nachmurzył brwi, wziął zaraz drugą damę i stanął przed Bystrym, a potrąciwszy go jeszcze, głośno prawi: „Kiep jesteś Waszmość, że śmiész się tak plątać pomiędzy Deputatów.“ A Bystry za to w gębę Jeżewskiemu. Rejwach się zaraz zrobił ogromny, przybiegli słudzy skrzywdzonego Deputata, poznali winnego i tak go strasznie okładać ze wszech stron poczęli, że nitki na nim nie zostawili, a biédny Bystry do człowieka był niepodobny. Ale to wszystko jeszcze pół biédy. Znieważenie publiczne Deputata było ogromną zbrodnią; w Jeżewskim obrażony był majestat Rzeczypospolitéj i władze sądownicze: gardłowa sprawa widoczna. Rzeczywiście nazajutrz mieli sędziowie wyrokować o gardło. Bystry przepadłby z kretesem. Szczęściem dla niego niedaleko był książe Biskup; zaraz więc przybiegł, przeprosił Jeżewskiego i od gardła uwolnił swego pełnomocnika; ale od wieży już ani rusz ocalić niepodobna było. Miał siedziéć Bystry rok i sześć niedziel. Ale znalazł się i na to sposób; straż na więźnia patrzała szparą, więzień zaś miał dobry charakter w nogach, więc wymknął się niepostrzeżony z Piotrkowa i zginął jak wiatr w polu. Przybiegł do Wojewody Mazowieckiego, pana Poniatowskiego; bo gdzież się miał schronić przed grożącém prześladowaniem jak nie u Familii? Wojewodzie nie był potrzebny; więc odesłał go Poniatowski panu Podskarbiemu Flemingowi, który w Terespolu pod Brześciem miał wielkie archiwum i wiele urzędników.

Ktoby się spodziewał, że to nieszczęście w Trybunale stanie się przyczyną fortuny Bystrego i że nasz mecenas wyjdzie na pana? Tak jednak było. Trafił albowiem zbieg Piotrkowski na dobrą chwilę do Fleminga. Miał jakiegoś Niemca, kapitana Millera, kommissarzem jeneralnym dóbr swoich, ale pan kapitan tak się potężnie rozpił, że już za-

dnéj z niego niespodziéwał się Podskarbi pociechy. A tutaj trzeba było na takiéj posadzie dobrze się uwijać, jeździć po Trybunałach, spraw pilnować, z mecenasami się znać i przecież jaki taki utrzymywać porządek w ekonomiach. Łatwo pojąć, jak Podskarbiemu na rękę był palestrant z Piotrkowa. Posłał go zaraz do Wilna za pilnowaniem spraw na Trybunał. Bystry gracko się zwinął, co nic zresztą dziwnego nie było; bo wtedy książe Kanclerz, teść Poskarbiego, trząsał jak chciał sprawiedliwością. Ale panowie na to nie zważali, a skutek pomyślny przypisując zręczności i zabiegom mecenasa, odtąd zaczęli go łaskami swemi zaszczycać i dowodami częstemi o względach swoich przekonywać. Wziął Bystry naprzód kaduk po Pekielmanie, cudzoziemcu, w ekonomii Mohilewskiéj, a że to za daleko dla niego było, sprzedał kaduk i wziął za to trzydzieści tysięcy, potém dostał w dzierżawę wieś Podkretonie, w województwie Wileńskiém, nareszcie leśnictwo Czacheckie dziesięć tysięcy czystego dochodu czyniące. Miał pieniądze, przechwalał się dostatkami. Wreszcie został rejentem skarbowym Litewskim.

Byli wtedy w łasce u Fleminga i u Czartoryjskich Matuszewice, to jest synowie poważnego wiekiem starosty Stokliskiego, który podówczas mieszkał w Brzeskiém, niedaleko od Terespola, w Rasny. Starosta miał kilku synów i kilka córek, z któremi kiedyś dziwnie drożyła się matka tak, że wreszcie i kawalerów się przebrało. Jeden z braci, Józef, postanowił Bystrego ożenić z siostrą swoją Teklą. Panna przystojna, miła, dobra, podobała się dygnitarzowi, który coraz wyżéj patrzał. Sam przyjmowany w Rasny mile, smalił cholewki i zdawało się, że rychło rozpali pochodnie hymenu, gdy nagle zjawił się nowy współzawodnik, chorąży Lidzki, Alexandrowicz, i pan i bogacz, bo miał do dwukroćstotysięcy majątku. Choć stary i panna się krzywiła, ale to nic nie szkodziło. Zresztą kto wtedy pannę o zdanie

40

pytał? Kiedy więc Bystry zwlekał, tymczasem brat i ojciec zwinęli chorągiewkę, bo woleli Alexandrowicza, jak Bystrego, nie wiedząc i nie przeczuwając, czém to jeszcze może być pan Bystry przy łasce podskarbiego. Wesele się odbyło jak należy; ale nasz rejent wziął to sobie za punkt honoru i odtąd zaczął całej rodzinie Matuszewiców psuć łaski u Fleminga. Pyszny i mściwy był to nieprzyjaciel. Starszy brat Józefa, Marcin, starał się o podstarostwo w Brześciu, które się mu słusznie należało (1751). Bystry cały swój wpływ na to obrócił u Fleminga, żeby podstarostwo wyrobić dla Wieszczyckiego, i postawił na swojem. Rozżalony Matuszewic pobiegł z Włodawy prosto do Wołczyna poskarżyć się o to księciu Kanclerzowi. Książe zbeształ wprawdzie Bystrego; ale nie miało to żadnych skutków. Połknął pan rejent gniew Kanclerza, jak chléb z masłem.

Kiedy zaś po śmierci Sapiehy, Fleming otrzymał starostwo Brzeskie i gród nowy formować potrzeba było, Bystry znowu tak zręcznie nastawiał sieci, że Podskarbi nawet pisarstwa Matuszewicowi nie dał. Wprawdzie zanosiło się z tego powodu na burzę, bo książę Kanclerz chciał uczyć zięcia rozumu; ale spaliło się i tą razą na panewce, gdy w tajemnicy przed Wołczynem nieżyczyli już sobie więcéj bracia zadzierać z panem Bystrym. Co większa? Już zabiegali o jego łaski i chcieli go sobie zobowiązać; na sejmie Grodzieńskim przynajmniej, który nastąpił niedługo, a na który posłem stanął Józef z Płockiego województwa, wyrobili mu wpływami swojemi, że posłowie przyzwolili dla Bystrego na pensyę doroczną czterech tysięcy złotych, opartą na kalkulacyi ze Skarbu Litewskiego. Ale się i tą razą strasznie na niedoszłym szwagrze swoim zawiedli.

Dawniéj panna, teraz poróżniła ich na gorąco młoda, piękna i bogata wdówka, która wszystkie posiadała przymioty, żeby się przypodobać mężczyźnie, ale najcelniejszym

z nich wszystkich był przymiot sześćdziesięciu tysięcy intraty. Zborowska z domu, była to wdówka po kniaziu Ignacym Szujskim, chorążycu Brzeskim. Chciało się jéj za mąż, więc sama się swatała za Józefa Matuszewica; ale Marcin wolał, żeby się brat trzymał Kuczyńskiej, do któréj się na dobre przysiadywał; bo to i bogata panna była i pochodziła z rodziny mającéj na Podlasiu wielkie wpływy i przyjaciół, wtenczas kiedy pani Szujska była tylko sobie nieszpetną niewiastą. Sam Marcin nie pragnął też wdówki, więc ją raił szambelanowi Józefowi Zabielle, bratu marszałka Kowieńskiego Antoniego, z któremi żył poufale. Pisał do Antoniego, że łatwo zerwać kwiatek, aby tylko rękę schylić. Wszystko to za późno było, bo książe Kanclerz i Podskarbi do ciepłéj wdówki już Bystrego podsuwali; marszałek więc, który z temi panami był dobrze i narażać się im nie chciał, umył od wszystkiego ręce. Zdarzyło się jednak, że obadwaj współzawodnicy i ich opiekunowie zjechali się razem w Warszawie. Chorążycowa tu była i obadwaj Zabiełłowie, książe Kanclerz i Podskarbi. Nie było czasu do stracenia; dwaj panowie pojechali do wdowy i oświadczyli jéj Bystrego. Pobiegł potém i szambelan Zabiełło, któremu żal się zrobiło pięknéj gratki: prosił, oświadczał się; ale już było za późno. Sama Szujska żałowała tego, co się stało, bo lepiéj przypadł jéj do smaku Zabiełło, ale Bystremu już dała obietnicę ręki, a słowa lekkomyślnie łamać niemogła.

Poszło teraz na udry. Bystremu chciało się koniecznie być posłem z Brześcia i już ułożyli tak sobie z Flemingiem, że na przyszły sejm obrani będą, on i Kropiński. Ale bracia potrafili utrzymać swój wpływ i zerwali sejmik (1754). Z tąd Podskarbi wielką na nich uknował zemstę. Na biedę swoją pan rejent po pijanemu wygadał się gdzieś z tem i zdradził takim sposobem zamysły. Ledwie co z wesela Józefa powrócił Marcin do Rasny, znalazł mandat na sądy sejmowe o kom-

missyę Wohyńską, na którą poprzednio go zapisano trzymającym pióro; musiał zatém jechać do Warszawy. Sejm już był na zerwaniu, kiedy tu przybył, a o Wohyniu nikt nawet jeszcze nie wspomniał. Wtém spotkał się na mieście z pisarzem ziemskim Brzeskim, Buchowieckim: naturalnie, co kogo dolega, dalejże w rozprawy o swoich rzeczach i o Bystrym. Uniósł się stolnik i złajał do ostatnich słów rejenta: „wart" powiedział na zakończenie „żebym mu, jak psu szczekającemu, w łeb palnął, i kwita." Nazajutrz Bystry dowiedziawszy się o tém śle do stolnika dwóch swoich przyjaciół, Bitowta posła Upickiego i Kickiego, majora artylleryi koronnéj z zapytaniem: czy to prawda, że wczoraj o téj a o téj porze to a to, tu a tu Stolnik powiedział? Nie zaparł się Marcin: przyznał, że mówił wszystko. Myślał, że potém co najmniéj nastąpi uroczyste wyzwanie na pojedynek, więc zawczasu uprosił sobie strażnika Brzeskiego, pana Borzęckiego za sekundanta. Ale dzień za dniem upływał i wyzwania żadnego nie było. Wreszcie Borzęcki spotkał na pokojach Bystrego, przyszło łatwo do przemówienia się i wyrzutów. Strażnik rzekł: „Sameś sobie winien Waszmość, boś na Matuszewiców spiskował." Ale Bystry wyparł się wszystkiego i zaraz z Warszawy wyjechał.

Pan rejent była to ambitna i czupurna sztuka; chciał koniecznie postawić na swojém. Ale cóż, kiedy troszkę był też i tchórzem podszyty? Mścił się to już po raz trzeci na Matuszewicach. I do urzędu grodzkiego przeszkodził i o Wohyń dokuczał i teraz, kiedy już ostatnia bieda uderzyła na stolnika, to jest kiedy książe Kanclerz uparł się na to, żeby dowieść stolnikowi nieszlacheckiego pochodzenia, pan Bystry z drugim takim ptaszkiem, jak sam był, wystarał się o babę chłopkę, która niby ciotką rodzoną była Maszewicom i fałszywe o nich przed sądem składała zeznania, za co ją zapłacono. Długo trwały te prześladowania. Już daléj

w zemście nie można było postąpić. Ale wreszcie i u Bystrego odezwało się sumienie; — do tego bojaźń, żeby nie był gdzie w ustronném miejscu przedmiotem napaści publicznéj, kazała mu miarkować wybuchy swéj niechęci i złego humoru. Wiedział, że przy łasce kanclerskiéj cała koalicya szlachty nie zepsuje mu przyszłości i nie sprowadzi z drogi, na któréj tak szczęśliwie postępował; ale mimo to jednak zawsze chyłkiem wyjeżdżał z domu i otaczał się wielką tajemnicą; widać na pewno obrachowywał niebezpieczeństwo. Bądź co bądź, trzeba było raz przecie wyjść z tego położenia. Już i tak lat kilka w trwodze upłynęło. Po wielu namysłach zdobył się na odwagę i postanowił wyjść z junakieryą. Pojedynek zdawało się najlepiéj tę sprawę załagodzi. Więc posłał do Józefa Matuszewica, swego przyjaciela, Ignacego Paszkowskiego, który naprzód wymawiał półkownikowi przechwałki i częste odgrażania się, jakich i ustnie nigdy tamten nie szczędził, a wreszcie wyzwał go na pojedynek. Józef tylko co się wybiérał do Nieświéża na pogrzeb księcia Wojewody Nowogrodzkiego, kiedy Paszkowski przyjechał. Nie na rękę to było naszemu półkownikowi; ale jednak zajrzał do Rasny, gdzie nie zastawszy brata, zjechał się z nim w Czemerach. Po naradzie stanęło, żeby Józef udał się prosto do Linowa, gdzie Bystry mieszkał, i żeby go wyzwał nawzajem. Obadwaj bracia poprzednio wstąpili do Siechnowicz, żeby Piotra Paszkowskiego uprosić sobie na sekundanta. Tutaj rozmyślili się inaczéj. Chciał albowiem półkownik z Siechnowicz słać do Linowa swojego towarzysza Starowolskiego, naprzód z wyzwaniem do Bystrego a potém z ostrzeżeniem, żeby zaraz stawał do pojedynku, gdy nadjeżdżają bracia i sekundanci. Dla czego zaś ta nagła zmiana w planach nastąpiła? kilka słów o tém naprzód powiemy. Było to jakoś przed samym Świętym Michałem (1757), dniem ważnym jeżeli dla całéj Litwy, to najważniejszym dla stronników kan-

cierskich. Wtedy co żyło jechało do Wołczyna pokłonić się najjaśniejszemu słońcu na ziemi polskiéj, to jest księciu Kanclerzowi w dzień jego imienin. Obawiali się zatém bracia, żeby nie tłumaczył się tą razą Bystry koniecznością podróży do Wołczyna i brakiem czasu, gdyby bój odkładali. Do tego swoje mieli wyrachowanie i nowe plątały się obawy. Bystry gotów był, aby się tylko udało rzecz zwlec, pojedynek po Ś. Michale złożyć w okolicach Wołczyna; sprawiedliwie należało się w takim razie obawiać, żeby książe licznych gości swoich nie zaprosił na to widowisko. Mógł wtenczas samą obecnością swoją, jak dodać ducha Bystremu, tak zaimponować jego nieprzyjaciołom. Bystry byłby o sto procent hardziejszy tém spółczuciem panów i Litwy. Prawda, że niebezpieczna to bardzo była gra, takie naigrawanie się a tém więcéj publiczne, które nigdy celu swojego w Polsce nie dopięło; mogliby łatwo szlachta, co przy Matuszewicach stała, rwać się do szabli, i ni z tego ni z owego zapaliłaby się nowa Farsalia jak pod Olkinikami; krew stronnictw mogła płynąć, a nie wiele do tego było potrzeba żeby płomień daléj się rozniósł po Litwie. Tego właśnie chcieli Matuszewice uniknąć. Marcinowi zdało się więc, żeby Józef prosto jechał do Linowa, która to wieś doskonale mu wypadła po drodze do Nieświeża i żeby tam osobiście wyzwał Bystrego, a jeżeli nie wyjdzie plac ostrzelał i ogłosił go za infama, — najmniéj albowiem trzeba było robić z tém wszystkiém rozgłosu przez obawę Wołczyna. Ale tę radę odrzucono na posiedzeniu familijném. Stało się tedy, że pojechał Starowolski i spotkał w Koziobrodzie Rutkowskiego dawnego Matuszewicowskiego sługę, który był teraz u Sadowskiego starosty Słonimskiego. Wdawszy się z nim w rozmowę dowiedział się Starowolski, że pan Bystry z panem starostą właśnie wybierał się do Wołczyna.

Zaczaił się i przeczekał cały dzień, aż nadjechali wreszcie

pożądani goście. Śmiały towarzysz wyszedł wtedy naprzeciw i w oczy zapowiedział Bystremu, że go wyzywa do pojedynku, wyzywany przez niego Józef Matuszewic. Zmięszał się zrazu pan Bystry i odrzekł, że jest w drodze; przepraszał więc teraz ale chciał się stawić na rycerskiém słowie, skoro czasu więcéj miéć będzie. Nie było na to rady, ustąpili Matuszewice; ale rzecz dla wszystkich już była widoczną, że pojedynek zamieni się niezawodnie w bój obojga stronnictw, bo oczywiście Bystry nie mógł w Wołczynie zataić tego co go spotkało, a Kanclerz niezawodnieby już te sprawy urządził tak, że i krewby się polała. Matuszewice nie zaspali więc pory, uprosili półkownika Paszkowskiego, żeby z niemi jechał daléj, wstąpili do Zbirohów, gdzie od Boga poczynając, pomodlili się serdecznie, zabrali drugiego Paszkowskiego, stolnikowicza polnego Litewskiego i wszyscy wrócili do Motykał. Tutaj na wszystkie strony rozpoczęli zabiegi, spraszali przyjaciół, garnęli szlachtę, żeby wystąpić świetnie i zaćmić orszak Bystrego, którego się spodziéwali zobaczyć z wielką mocą. Przyjechał do nich poczciwy strażnik Brzeski, Borzęcki i brat Wacław, z kilką ludzi, ale reszta niedopisała wcale. Na takie zabiegi albowiem potrzeba było dużo czasu. Nazajutrz pojawił się w Motykałach trzeci Paszkowski, Ignacy, z wyzwaniem a raczéj z ogłoszeniem, że bój niezawodnie nastąpi pomiędzy Terebuniem a Motykałami i pytał się czy przyjmą bój i miejsce. Odpowiedziano natychmiast, że przyjmą. Pokazało się, że książe Kanclerz nibyto głośno ganił w ogóle pojedynki, a tą razą głośno podburzał w Wołczynie, namawiając szlachtę, żeby nie wypuściła żywcem ani jednego z Matuszewiców. Mówił daléj drugi język, że hersztem Kanclerzowym podżegającym do zaciętości i owszem przywódzcą sporu stanął pisarz ziemski Buchowiecki, a nowina ta zdaje się była najpewniejsza, bo pochodziła prosto z Wołczyna i zwierzył się z nią w ta-

jemnicy Marcinowi, rejent Fleminga, Morochowski. Przyjaciele jednak na innéj drodze chcieli usłużyć braciom. Rogaliński, Opat Wistycki, wielki przyjaciel całego domu Kuczyńskich, a więc i pani Józefowéj z Motykał, ratując Matuszewiców od nagłego nieszczęścia i napadu, zawczasu postarał się u księdza biskupa Łuckiego o zakaz bitwy pod najsurowszemi klątwami kościelnemi i opłatą tysiąca dukatów, które każda strona w razie przewinienia miała zapłacić. Druga okoliczność, która im poszła w pomoc była, że Nietyxa, skarbnik Parnawski, zażyły w Brzeskiém i zamożny obywatel, chcąc córkę wydać za półkownika Paszkowskiego, pojechał do Wołczyna prawie na wywiady, i zawczasu zabiegał o to, żeby przyszły zięć jego wywikłał się jako z tego niebezpieczeństwa. Ani o Rogalińskim, ani o Nietyxie, który także miał swoje plany, nic nie wiedzieli nasi bracia, którzy chociaż nie zupełnie się udało ze szlachtą, nie tracili przecież nic na minie i byli wcale butnéj rezolucyi. Zatém Ignacy, spełniwszy swoje poselstwo powrócił do pana Bystrego i rozpowiedział, jak wszelką gotowość znalazł w Motykałach. Zląkł się rejent, który już tymczasem wrócił z Wołczyna, a miał chociaż słabą nadzieję, że się przed bitwą wycofa, i wtedy to nasiadł go Nietyxa niespodzianie. Taktyka Nietyxy zależała na tém, żeby przestraszyć Bystrego; dobył więc z pod serca wymowy i w oczy mu prawił, jako bracia mają do niego żal sprawiedliwy; dodawał, że żal taki dodaje niezwykłéj animuszowi rezolucyi, — ubliżenie szlacheckiemu honorowi Bóg niezmiernie karze i gotów teraz dać straszny przykład. „Książe jak książe," mówił, „ale pocóż Waszmość" prawił do Bystrego „z księciem i z jego zausznikami wsiadł na Matuszewiców, alboż to gorsi od innych?" Drżał biédny rejent jak w gorączce i upoważnił Nietyxę do układania się z braćmi. Więc w samą wilię boju, kiedy w Motykałach wszystko wrzało wojenną pożogą, nagle Nietyxa zajechał i

prosił imieniem Bystrego o zgodę. Obsiadł Marcina i długo mu perorował, ale napróżno; bo Józef zaczął dokazywać, że trzeba stanąć, że cześć rodziny tego poświęcenia się wymaga, bo w razie przeciwnym Bystry rozgadywałby pomiędzy szlachtą, że się Matuszewice ulękli; potém dowodził, że do rejenta mieli żal słuszny a nie wyzywali go na rękę, owszem on wyzwał, więc była wszelka nadzieja, że go Bóg skarze; — i dlatego samego, boju wypierać się niepodobna, gdyż rzeczy już za daleko zaszły. Nietyxa nowego strachu napędził Bystremu donosząc o zaciętości Józefa. Napróżno animował go Buchowiecki: rejent wyraźnie dawał za zwyciężoną Matuszewicom. Wysłał znowu do nich Ignacego Paszkowskiego i pana Bogusławskiego, który był Krajczym Brzeskim, z poleceniem, żeby albo ułożyli się o zgodę albo przynajmniéj wymogli nową zwłokę boju. W Motykałach szlachta ledwie co zasiadła do kolacyi, kiedy nowi dyplomaci nadjechali. Znaleźli tutaj niespodziewanych sprzymierzeńców; kobiety albowiem obległy braci i mężów, żeby im oręż z ręku wytrącić. Ale nie, Matuszewice stali ostro przy tém, żeby nazajutrz Bystry w pole wyjeżdżał mierzyć się z niemi. Pani Józefowa w płacz, omdlała wreszcie, rozlecieli się wszyscy trzeźwić ją, a posłów samych zostawili. Nie zrazili się tą niegrzecznością. Przestrach, łkania kobiet, dobrze były w porę. Chcąc uspokoić panię Józefowę, musieli wszyscy coś obiecywać. Stanęło więc na tém, żeby uciec się do posłów, a jeżeli warunki podadzą dobre i godne, żeby zawrzeć z niemi pokój. Odjechali z tém późno w noc posłowie Bystrego, a w Motykałach wszystko zaraz spać legło. Skoro świt, Starowolski pojechał do Bystrego do Terebunia, że wszystko gotowe i że Matuszewice już czekają. W istocie zaraz po Starowolskim w całéj kawalkacie zbrojno pośpieszyli na plac. W Terebuniu spali jeszcze, kiedy towarzysz się zjawił i pobudził ludzi. Pan Bystry wybierać się zaczął, toż jego lu-

dzie, a uprosili Starowolskiego, żeby powracał do swoich i doniósł, że lada chwila będą gotowi. Szlachta Matuszewicowska, zsiadła z koni i czekała w rycerskim ordynku, ale długo, bo przeszło godzinę. Wreszcie niezwykły widok uderzył szlachtę; konno i w karetach z wielką gromadą, orszak Bystrego wyjeżdża na pole i swobodnie po nim się roztacza; ogląda się szlachta po sobie, źle; tamtych trzy razy tyle, przemoc widoczna. Patrzą w milczeniu i nie wsiadając na konie, czekają co z tego będzie. Farsalia za chwilę miała krwią spłuskać podlaskie pola, gdy nagle w całym galopie pędząc konia pojawia się Deus ex machina — Cysters Wistycki. Do probostwa jego należał tak Terebuń, jak Motykały, przemawiając więc do obu stron jako pasterz, spodziéwał się od nich względności. Cysters pojechał prosto do Bystrego, doręczył mu ów zakaz biskupi, który wyrobił ksiądz Rogaliński, i nie dosyć na tém, zaczął sam od siebie nakłaniać do zgody, zaklinać. Tymczasem nie czekając końca pan Buchowiecki swoich w dwie linie szykował na polu. Co widząc szlachta Matuszewicowska porozumiała się z sobą i zaczęła się rozsypywać i rozrzucać kupkami dlatego, żeby lepiej zaimponować siłą, że to niby było ich więcéj. Nietyxa dobrawszy sobie kilku starych ze szlachty poskoczył ku Matuszewicom dowodząc im, że taki zakaz biskupi jest ważny, na poparcie swoich rozumowań ten fakt przywodząc, że zakaz podobny szanowali Wojewoda Lubelski Tarło i Kazimiérz Poniatowski, Podkomorzy Koronny, kiedy się pojedynkowali o Anusię. Więc łatwo zabrać się do zgody. „Bystry zapiéra się wszelkiemi sposobami, że nastawał na was, na szlachtę, i gotów to publicznie tutaj zaraz oświadczyć na placu. To macie dosyć, mówił do Matuszewiców Nietyxa. Wyzwał zaś was, bo słyszał jakieście się na niego odgrażali; toż musiał to zrobić, wyście w tém winni.“ Bardzo na rękę Matuszewicom prosił ich tak Nietyxa. Bo juścić,

Bogiem a prawdą powiedziawszy, daleko więcej po stronie Bystrego było szlachty, a chociażby się nie wszyscy bili i przypatrywali się jeno walce, jeszcze się można było obawiać o zwycięstwo. Stawało się więc to, co poprzednio uradzono w Motykałach. Bracia żądali po rejencie żeby wyznał, jako nie nastawał nigdy na ich honor i jako chce świętej zgody. A stał niedaleko w gromadzie Bystry. Posłał do niego pan skarbnik, żeby przyszedł w koło braterskie. Poszedł. Józef wystąpił ku niemu na kilka kroków, a Wacław pierwszy przemówił pytając się prosto z mostu rejenta, „czy się zna do tego co przeciw honorowi szlacheckiemu robił?“ Na to Bystry odpowiedział: „Nie znam się do tego.“ — „A czy chcesz zgody?“ odparł. — „Chcę.“ Więc Józef zaraz pocałował się i przeprosił z Bystrym, co widząc Marcin odszedł w stronę. Jeżeli zgoda miała być zupełną, Marcin źle zrobił, to też Bystry przemówił zaraz do niego: „Panie Stolniku, a przywitałże się Waszmość ze mną?“ Nie był stolnik temu przeciwny; ale honor Matuszewicowski kazał się mu chwilowo opierać, niby to się drożył i nie chciał. Przypadli do Marcina ze stron obu pośrednicy i dalej w serdeczne prośby. Więc poszedł. Bystry zbliżył się a stolnik do niego z ferworem drażniąc się jeszcze: „Nie wyzywałeś mnie, więc nie masz racyi godzić się ze mną.“ Na to Bystry: „Odkazujesz się na mnie.“ — „Jak chcesz tak sobie rozumiéj“ rzekł stolnik. A na to jak nie powstaną przyjaciele z obu stron, jak nie okrzykną Marcina i Bystrego! Furya się zrobiła prawdziwa: najwięcéj krzyczał Nietyxa, który się obawiał utonąć na Dunajcu. Buchowiecki stał przy uszykowanych swoich i czekał jeno hasła do boju. Aż zreflektował się stolnik na te wrzaski i rzekł dumnie: „Panu Bogu mój żal ofiaruję, a Bystremu dla miłości Bożéj odpuszczam.“ Stanęła więc zgoda nad wszelkie spodziewanie. Nietyxa lękając się, żeby lada przy-

czyna nie wywołała nowego pożaru zaczął wtedy zagadywać, że już późno, że czas na obiad, i to mówiąc pożegnał się z Matuszewicami a z Bystrym i całą ligą odszedł. Co widząc szlachta Buchowieckiego zaraz młodsi wsiedli na konie: starsi i poważniejsi do karet i odjechali. Bracia Matuszewice otrzymali plac boju, bo się dłużéj zatrzymali na polu. Posłali przodem do pani Józefowéj dać znać, że nie było pojedynku a potém w całéj świcie zabrali się i na obiad również pośpieszyli do Motykał. Nie długo zajrzał i tutaj Nietyxa. Zacny ten szlachcic odprowadził nieprzyjaciół do domu pilnując ich po drodze, aby nie zrobili co nowego, a potém pogonił za przyjaciołmi. Radzi mu tutaj wszyscy byli niezmiernie, a najwięcej pani Józefowa, bo też trzeba przyznać, że głównie za jego staraniem się i prośbami do nowéj Farsalii nie przyszło.

Znalazł się też nie z przypadku przy uczcie z bratem swym szambelanem ksiądz Opat Wistycki Rogaliński, któremu również wiele wdzięczności winno było Województwo Brzeskie za przeszkodzenie rozlewowi krwi. Dzień zszedł mile wśród licznego towarzystwa.

Za inną razą dokończę kiedy historyi pana Bystrego, który się wyżéj jeszcze posunął, bo został nawet Kasztelanem Brzeskim za panowania już Stanisława Augusta. Ale to późniéj.

Julian Bartoszewicz.

PRZECZUCIE.

Gdy ptaki, z krzykiem, w łono skał się chronią,
To znaczy bliskość nadchodzącéj burzy.
Gdy z chmur całuna wyjrzy jasną skronią
Tęcza wszechbarwna, to pogodę wróży.
Tak w życia błogich chwilach, lub pokucie,
Gdy los się śmieje, lub zgryzoty dręczą,
Hasłem złowrogiém, lub pociechy tęczą,
Jest głos wewnętrzny: zwiemy go: *przeczucie.*
Choć siły służą, choć służy zdrowie,
Ach, jakże często człowiek przepowie
Zgon swój, lub innych, w bliskiéj godzinie —
I z ust mu słowo szczęścia wypłynie:
Że się już skończy duszy zakucie.....
Zkąd-że wie przyszłość? wszak przez *przeczucie.*
Cóż w życia troskach cieszy człowieka?...
Myśl, że go drugi żywot tam czeka,
Gdzie wieńczą cnotę, karzą zepsucie....
A o tém silniéj, niż objawienie,
Mówi mu w duchu własne sumienie,
I ten głos święty, zwany: *przeczucie.*
A gdy żal srogi serce nachyli,
Rozpacz, zwątpienie w duchu zagości,
Nietyle cierpim w obecnéj chwili,
Ile w *przeczuciu* strasznéj przyszłości.
Wszystkie proroctwa i przepowiednie,
Coście wróżyły wielkie wstrząśnienia,
Przy których rozum z rachubą blednie,

Wróżby zagłady, albo zbawienia,
Cóż was zrodziło? jakie uczucie?
Że przyszłość stała jakby zwierciadło —
Tchnienie prorocze wskróś ją odgadło?...
Tą siłą było boże *przeczucie*.....
Gdy matka rzewna dziécię kołysze,
I wzywa spokój, i wzywa ciszę,
Aby niemowlę zdrojem snu zlały....
Nad czém-że duma? czém myśl swą pieści?
Czemuż westchnienie tajnéj boleści
Z piersi jéj płynie? o, bo jéj zda się,
Że widzi dziécię z życiem w zapasie....
Że już syn w walce z losem zdrętwiały,
Złamany, jęcząc w trudzie upada.....
A ona.... matka... drżąca i blada
Nie chce w przyszłości patrzéć rozsnucie,
Gdy tak bolesne jest jéj *przeczucie*.
Lecz — kiedy spojrzy na śpiące dziécię,
Co się uśmiécha, gwarząc z anioły —
Słodka nadzieja smutek rozmiecie; —
I widzi przyszłość, w krasie wesołéj,
Dziécię swe w szczęściu, chwale, roskoszy,
Z zachwytem patrzy w tajni rozsnucie...
I drży, czy prawdy dłoń nie rozproszy,
Co macierzyńskie tworzy *przeczucie*!....
A gdy dwa serca w jedno się spłyną,
Wskróś się przenikną i zrozumieją,
Jedną tchną wiarą, jedną nadzieją,
Miłością żywą, czystą, jedyną —
Nim słowa wyznań wspólnych powstaną,
Serce odgadnie prawdę świetlaną,
I ją wyśpiewa na szczczęścia nucie,
Którą stworzyło czyste *przeczucie*.

Jolanta.

DO KRYTYKÓW.

Prawdy i cnoty stróże i kapłani!
Po wielu trudach i znojach,
Wstępnie prowadzonych bojach,
        Z dowcipu znani!
Dokąd tak nagle przez tłumy spieszycie?
Czy kto ołtarze świątyń obala,
Pomniki wspomnień rodzinnych kala,
        Nastaje na swobód życie?
Ale ołtarze stoją niewzruszone.
Nawet ich palcem dotknąć się nie godzi.
Pomniki wspomnień w wieków powodzi
        Nie toną nad czas wzniesione.
Pewnie u drugich obsiane zagony
W Was budzą chęci ciekawe
Obejrzeć z bliska roli uprawę
        I przyszłe odgadnąć plony.
Jednak się dobrze obliczcie wprzódy,
Czy Wasza dusza czysta i czy zmysły zdrowe
Mogą się rzucić na łupy nowe
        Pod hasłem zgody.
Zamglone oko ziarna nie wybierze,
A pokój w Waszych piersiach zamącą
I w przepaść popchną i wtrącą
        Zmysły przy sterze.

Jeżeli tylko sami bez zmazy,
Na teraźniejszość nie macie względów,
Wolni od serca i głowy obłędów,
Niemylne wasze wyrazy.
Patrzcie przez szpary na lekkie wady.
Biada, kto się z żółci wsławił:
Po sobie smutne zostawił
Spustoszeń ślady.
Zbyt trudno bezstronnie sądzić,
A jeszcze trudniej poprawić,
Od grzechu odwieść i zbawić;
Bo rzeczą ludzką pobłądzić.
Chętnie nam serce w dziejach wspomina.
Mądry wyrok Salomona;
Niechaj niewinnie nie kona
Z braku dowodów dziecina.
Dalecy pochlebstw i kadzideł płonnych,
Składajcie prawdzie hojne daniny;
I strójcie skronie w chlubne wawrzyny
Umysłów do cnoty skłonnych.
Przy szalkach w ręku trzymając pochodnie,
Z wiarą praojców spojeni przymierzem;
Sprosne utwory karzcie pod pręgierzem, —
Na stosach palcie za zbrodnie!

Wincenty Smaczniński.

LUDZIE I NĘDZA.

I.

Po krysztale śnieżnéj drogi,
Oświetlonéj gwiazd odblaskiem,
Mknie się sanek poczet mnogi
Z brzękiem dzwonków, z biczów trzaskiem:
I woźnice z krzyku chrypią,
Gdy na końcu są w przegonie;
Wartkie sanie piszczą, skrzypią,
Wyciągnięte parszczą konie.
Gdzież tak spiesznie? i to w nocy?
Może nędza w któréj stronie
Z łzą wygląda ich pomocy
I na szczodre czeka dłonie?
Może wzywa ich rodzina,
Szczerze ścisnąć z dawna rada? —
Nie ten to cel i przyczyna:
To zabawka — to szlichtada!

II.

Hejże! pędźcie! a w przegony!
Cóż, że wicher mrozem wionie,
Cóż, że śniegiem świat zamglony,
Gdy z was każdy w futrach tonie!

Gdy z was każdy za powrotem,
Po wieczerzy i po winie,
W miękkich łożach, strojnych złotem,
Na noc w puchu z głową zginie!
Ej! wam dobrze! ej! wam ciepło! —
Lecz spojrzyjcie na bok drogi;
Tam i życie już przykrzepło,
Tam drży nędza! tam głód srogi!

III.

Patrz! tam nędzarz w zimnym dole
Wśród śnieżystych drżąc tumanów,
Psa wiernego i pacholę
Tuli w resztę swych łachmanów!
W dziecię oczy wrył tułacze,
Ręką objął psa za szyję...
Ależ głodne dziecię płacze;
Ależ i pies z głodu wyje!...
Hejże! pędźcie! a w przegony!
Cóż, że wicher mrozem wionie,
Cóż, że śniegiem świat zamglony,
Gdy z was każdy w futrach tonie!

IV.

Otóż nędzarz podniósł głowę,
Wźrok omdlały smutnie toczy,
Z *ust* do *oczów* przeniósł mowę:
O! spojrzyjcie w jego oczy!
Tam się kreśli w strasznych mękach
Boleść ojca, że mu dziecię
Wkrótce z głodu skona w rękach
Lub zostanie *samo* w świecie!
Komu obca mowa duszy,

Niechaj zatnie rącze konie,
Bo śnieg większy coraz pruszy,
I wyciąga żebrak dłonie!

V.

„Dałbym mu co“ jeden rzecze —
„Nie wygodnie spać na śniegu,
„Przykro głodnym być, nieprzeczę;
„Ależ wstrzymać sanie w biegu,
„Puścić *naprzód* całe grono,
„Zmniejszyć wartość moich koni,
„Niepodobna! Prawda? żono. —
„Prawda, mężu.“ — „Jedź, Antoni!“ —
Hejże kruki! szarpcie w sztuki
Tak litosnych ludzi!
Dla przykładu, dla nauki,
Aż ich SĄD obudzi!

VI.

„Biedny człowiek!“ drugi woła —
„Radbym ulżyć jego męce;
„Lecz bez trwogi kto tu zdoła
„Na mróz z futra dobyć ręce?
„Dam mu wsparcie; lecz z powrotem; —
„Wszak dawałem biednym nieraz:
„*Tego* wesprę, choćby złotem,
„Lecz *nie teraz*, lecz *nie teraz!*“ —
Ej, szatanie! wywróć sanie!
Konie rozpędź w pole!
Niechaj z śniegu ma posłanie,
Drży, jak to pacholę!

VII.

„Małe dziecię! ach! mój Boże!
„Nagie ciałko z śniegu świeci!
„Jeśli głodne, iść nie może, —
„To i zmarznie w téj zamieci!
„Mam tu żywność. — Lecz gdy strudzi
„Pieska, podróż szybkim lotem,
„I cóż dam mu, jak się zbudzi? —
„Więc z powrotem! więc z powrotem!“ —
Daléj, biesie! nie drzém w lesie,
Wywlecz się z siedliska!
Zmyl jéj drogę! niech ją niesie,
Aż głód pozna z bliska!

VIII.

I tak pędzą, — a z kolei
Każdy zwraca w bok oczyma:
Nie brak *żalu* i *nadziei;*
Ale nikt się *nie zatrzyma!*
Jedna płacze. wzdycha druga,
Ten przed smutnym drży obrazem,
Tamten łzawém okiem mruga, —
Jednak pędzą z wiatrem razem! —
Wkrótce słabną dźwięki, krzyki,
Tuman śniegu wszystkich kryje. —
Zdala huczą gdzieś puszczyki...
Dziecko płacze... i pies wyje!

IX.

Biédak spuścił wzrok ku ziemi,
Chłodne usta wpoił w dziecię,

Oblał łzami gorącemi...
I przestało płakać przecię. —
Księżyc wzniósł się po za lasem;
Śnieg się zamknął w łonie chmury;
Cicho — pusto — tylko czasem
Słychać w dole jęk ponury!
A na drodze poczet znika,
W dali jeszcze plamka blada,
W miarę niknie, jak pomyka...
Aż na białém tle przepada...

X.

Po krysztale śnieżnéj drogi,
Oświetlonéj gwiazd odblaskiem,
Wraca sanek poczet mnogi
Z brzękiem dzwonków, z biczów trzaskiem.
I woźnice z krzyku chrypią,
Gdy na końcu są w przegonie;
Wartkie sanie piszczą, skrzypią,
Wyciągnięte parszczą konie!
Hej! niech każdy z wichrem goni!
Nic przy drodze was nie wstrzyma,
Nie wyciągnie żebrak dłoni,
Nie przestraszy was oczyma!
Tam spi wszystko! — głód i życie!
Niéma przeszkód w waszym biegu,
Nie zapłacze więcéj dziécię,
Pies nie piśnie w głębi śniegu!

XI.

Wnet wstrzymano poczet mnogi,
Każdy pobiegł chyżym skokiem

W dół śnieżysty obok drogi,
Oczy nowym paść widokiem.
Nędzarz leżał, — nagie ciało!
Bo co jeszcze miał na grzbiecie,
Bo co tylko mu zostało,
Zdarł, by biédne okryć dziecię!
Krył paznokcie w lewym boku,
W ręku rwane trzymał włosy,
Łzy przymarzłe lśniały w oku,
Jak kryształne krople rosy:
Tuż przy dziecku pies skościały,
Ślad wierności i zajęcia,
Martwy język przywarł cały
Do zgłodniałych ust dziecięcia!

XII.

„Szkoda, szkoda,“ ktoś zawołał
„Jak litości wszyscy godni!
„Lecz przewidzieć kto z nas zdołał,
„Że tak biédni, że tak głodni!“ —
„Nic nie mówił“ rzecze drugi,
„Tylko oczy wzniósł do nieba:
„A kto drugich chce przysługi
„Wszak otworzyć usta trzeba.“ —
„Jam go wesprzéć chiał z powrotem;
„Lecz gdy umarł, chęci próżne.“ —
„Jam obsypać chciał go złotem.“ —
„I ja miałem dać jałmużnę!“ —
„Więc pomarli! ktoby wierzył!
„Ach, dziecina piękna, młoda!
„I pies wierny ich nie przeżył!
„Szkoda, szkoda, wielka szkoda!“

XIII.

Te obłudne słysząc jęki,
Śmierć, co jeszcze przy nich stała,
Wykrzywiwszy nagie szczęki,
Z szydnym śmiechem się ozwała:
„O wy ludzie! wy mnie zwiecie
„*Nielitosną*, w skrytej złości;
„Lecz przyznacie teraz przecie:
„Kto z nas *więcéj ma litości?*
„Do serc głazu nędzarz pukał;
„Lecz dłoń wasza się zawarła:
„Więc jałmużny *u mnie* szukał,
„*Moja* go też ręka wsparła.
„Już *nie cierpi!*.... spi swobodnie.
„I *was* czeka sen tak błogi,
„Choć nie w śniegu, choć wygodnie,
„Choć nie w dole obok drogi!

XIV.

„Hejże! pędźcie! a w przegony!
„Rwijcie konie kopytami!
„Pędźcie! lećcie w świat przestrony!
„*Ja za wami! ja za wami!*
„*Jam* w podróży, *jam* przy stole,
„Czyście w tłumie, czyście sami!
„*Jam* w biesiady hucznem kole
„Zawsze przy was, zawsze z wami!
„*Ja znam* wszystkie wasze czyny,
„Czy chwalebne czy nieprawe,
„Wasze czucia, myśli, winy,
„Z których ciężką zdacie sprawę!

„Niech wyryje *to* w pamięci,
„Kto z was życie przyszłe ceni!
„A kto myśli téj nie święci,
„Gdy to serc wam nie odmieni,
„Wtenczas kruki, szarpcie w sztuki
„Tak kamiennych ludzi!
„Dla przykładu, dla nauki,
„Aż ich SĄD obudzi!“

Stanisław Bogusławski.

CMENTARZ W SANDOMIERZU.

LEGENDA.

Do ziemi słońca, do ziemi Włochów,
Gdzie rośnie laur i kwitnie ryż,
Z rozwalin Romy, z pogańskich prochów
Wzniósł się najwyższy Chrystusa krzyż.
Idą pielgrzymi z dalekiéj ziemi,
A skoro w święty wstąpili gród,
Długiemi brody, szaty długiemi
Dziwią ciekawy Rzymianów lud.
I otoczeni narodu ściskiem
Do Watykanu dochodzą bron,
Który się wznosi po nad mrowiskiem
Domów, wysoko, jak Boży tron.
Furtyan pyta: „Z dala posłowie?“
Usty mu płynie łatyński miód.
— „Idziemy z kraju“ starszy odpowie,
„Gdzie się rozsiedlił Sarmatów ród.“ —

— „Witamy posłów ludu onego,
„Który acz zimny zamieszkał ląd,
„Gorąco kocha Chrystusa swego,
„Słuszną po świecie sławę ma z tąd.“

Poselnik prawi: „Ku Bożéj chwale
„Kościoł buduje Zygmunt, nasz Pan,
„I stoją ściany na stroméj skale,
„Krzyż odkupienia połyska z ścian.
„Kościoł opatrzon pańską szczodrotą
„Trójcą swych wieżyc dosięga chmur,
„Ołtarze cudną świécą robotą,
„Jest kazalnica i złoty chór.
„I cały kościoł kuty z kamienia
„Ładnie opasan parkanem drzew, —
„I dotąd niéma swego święcenia
„Ani kapłański ozywa się śpiew.“

„Więc gwoli Króla my do Papiéża
„Idziem i prośbę podnosim wraz
„O dar relikwij, o drzazgę krzyża,
„Na którym konał Zbawiciel nasz.
„Boć wiara uczy: Relikwij szczątkiem
„Otrzyma kościół święcenia chrzest;
„Bóg jest świętości wszelkiéj początkiem,
„W który dom wejdzie, wiecznie w nim jest.“

Odźwierny pojął wysłańców sprawę,
Izbę spoczynku wskazuje im.
Sam do Papiéża. Posły ciekawe
„Co będzie?“ gwarzą językiem swym.

Wszakże nie długo furtyan bawi,
Do poselników powraca sam

I rzecze: „Papież Was błogosławi;
„Przez moje usta wskazuje Wam:
„Idźcie do kraju, do Sandomierza;
„Z cmentarza, ziemi przynieście kosz.“ —
Posłuszne posły woli Papieża
Idą, w karbonę złożywszy grosz.

Alić zaledwie lato upłynie,
Wtórym zawodem do Romy świętéj
Wchodzą posłowie, a niosą skrzynie
Ziemi, z onego cmentarza wziętéj.

W hymn ponieszporny grały organy;
Papież wysoko na swéj stolicy;
Do koła naród tłumnie zebrany;
W tłumie narodu polscy pątnicy.
Wedle rozkazu gdy się zbliżyli
Przed złoty Ojca Świętego tron,
Papież przemówił: „Słuchajcie, mili
„Posłowie onych dalekich stron!
„A co wypowiem, Królowi nieście:
„Mnogie relikwie ma w kraju swym;
„Jest w Sandomierzu, w tém starém mieście,
„Cmentarz: Relikwią ziemia jest w nim!“
Podjął garść ziemi. Ziemia ściśnięta
Dłonią Papieża, pociekła krwią,
„Patrzcie! męczeńska krew to jest święta!
„Waszą relikwią zowijcie ją!“ (*)

Kraków.

Adam Goreczyński.

(*) Roku 1242 horda tatarskiéj dziczy wpadła na ruskie kraje; przebyła Wisłę. Sandomiérz zdobyty. Miecz i ogień rozszérzył zniszczenie. Ciała umęczonych kilkudziesięciu duchownych leżą pochowane na cmentarzu za miastem. Do tego miejsca odnosi się podanie i legenda, zapisana w życiu Papieża.

BEZ I WINO.

Bujnie wzrosły kiedyś w raju
Dwie rośliny tuż przy sobie,
Kwiat je ubrał w lubym Maju,
Tylko w nierównym sposobie.
Jednę w suty bukiet w kiście
Zdobny barwą, miły wonią.
Drugiéj kwiatek skrył się w liście,
Nawet go przed okiem słonią.
Pierwsza pyszna swą ozdobą,
Rzekła drugiéj dumnym tonem:
„Brzydka jesteś, wstyd mnie z tobą
Żyć w sąsiedztwie źle stawionėm.“
— „Ja przepraszam Jaśnie Panią:
Z łaski Bożéj, z świętéj Woli
Rosnę tutaj; wdzięczna za nią
Nie zazdroszczę cudzéj doli.“
Mowę słyszał Anioł Boży,
Karcąc dumę, wznosząc cnotę,
Tam bezpłodność w kwiaty złoży,
Tę w owoce darzy złote.
W nazwie ludu cud jest słynnym,
Kwiat bezpłodny: *bez* się słowi,
Krzew zaś: *winnym*, — że jest winnym
Dar owocu Aniołowi.

— b —

RODZINNE
PODANIE

PRZEZ

ZYGMUNTA H. J.

Chociaż błoto do pasa,
Jedzie drogą kolasa;
Choć zapada a jedzie:
Laufer bieży na przedzie,
Z tyłu jadą hajduki
I pachołki, pajuki.

A Podstoli w kolasie
Rękę trzyma po pasie,
Druga ręka młodzieńca
Dziarskie wąsy pokręca,
W łuk foremny je kréśli;
Duma, marzy i myśli.

Lecz powoli coś jadą,
Konie w błocie się kładą,
Niepomaga woźnica,
Choć popuszcza im lica,
Z bicza trzaska a wali:
„Tfy! wciernaści nadali!"

A Podstoli w kolebce
Duma, myśli i szepce,
I zamyślon głęboko
Spuszca na dół swe oko,
I nie patrzy, nie widzi,
Jak woźnica się biedzi.

Za kolasą na zadzie
Pierwszy w świecie i w stadzie
Kary ogier tatarski,
I zuchwały i dziarski,
Zgina karczek łabędzi,
Rży radośnie i pędzi.

Ale dzisiaj coś dziki
I ma dziwne wybryki:
To się żyma, to gniewa,
To się rzuca, to zrywa,
Dawną wolność pamięta,
Radby zerwać swe pęta.

Gdy zjechali z pagórka
Kary pnie się i fórka:
„Ha! natura tatarska,“
Staje dęba i parska;
I choć w koło nic niema,
Ciągle strzyże uszyma.

A woźnica na koźle
Myśli sobie: „ho ho! źle;
„Tatar dzisiaj coś żywy.“
Więc się zwraca gorliwy
I biczyskiem wywija:
„Jedź spokojnie, bestyja!“

Ale tatar nie słucha
I nadstawia coś ucha.
A w kolasie Podstoli
Oddan myślom do woli;
Bo mu takie przychodzą,
Co niespokój w nim rodzą.

„Dobrze mi na téj ziemi
„Z przyjaciołmi drogiemi:
„Jednak smutno i ckliwo,
„Życie bieży leniwo
„W pośród wolnéj hulanki:
„Złym, że niémam bogdanki.“

Wtém krzyk rozległ się srodze,
Stanął powóz na drodze
Jakby w posąg zmieniony,
A Podstoli zdziwiony:
„Co to znaczy?“ zapyta
— „Tatar ruszył z kopyta.

„Niech Pan patrzy w téj stronie
„Lecą połem dwa konie;
„Kary goni z daleka,
„Siwy przed nim ucieka...
„Jasny Panie, jak śmiga!
„Ino w oczach się miga!

„Jezus! święta Marya!
„Toż on drogę omija...
„Niech się Pan Bóg zmiłuje!
„Toż on zboże tratuje...
„O! ratujcie nas, święci,
„Toż on nogi wykręci!“

A nasz kary po błoni
Klaczkę siwą coś goni.
A gdy za nim po roli
Patrzał, śledził Podstoli,
Ledwie, ledwie go zoczył...
Tatar przez mur przeskoczył.

Więc się pyta fornala:
„Co to za dwór tam zdala,
„Co wyrasta z zagonów?“
— „To jest pałac Scipionów.“ —
„Wprawdzie nieznam — no, i co!
„Jedź do dworu, woźnico.“

A we dworze, Mosanie,
W czapce, w pasie, w żupanie,
Ot, karmazyn prawdziwy,
Co choć stary, sędziwy,
Po dziedzińcu coś krąży:
To jest Scipio Chorąży.

Lecz się jakoś zasmucił,
W tył wyloty zarzucił,
Coś mu tknęło w pamięci,
Wąsy siwe pokręci,
W dumaniu się pogrąży.
O czém dumasz Chorąży?

— „Niémam dumać, Mosanie?
A to dziwne pytanie!
Toż ma Kasia, dziewczyna,
Rok dwudziesty zaczyna,
Gładkość dały jéj nieba:
Męża wybrać potrzeba.“

Gdy tak w myślach zachodzi,
Jakiś zgiełk go dochodzi,
Słychać odgłos po błoni,
Jakby tentent dwóch koni:
Nagle z bramy wypada
Z Chorążego klacz stada.

I gdy siwy Chorąży
Na spotkanie jéj dąży
I wstrzymuje i głaska,
„A cóż-to tam u dziaska?“
Po wysokim ot murze
Wleciał diabeł w podwórze.

„W imię ojca i syna!“
Pan Chorąży zaklina
I zrobiwszy znak krzyża,
Powoli się przybliża.
I poznaje zdumiany,
Że to ogier zbłąkany.

A nasz tatar, nieboże,
Opatrzyć się nie może:
Stanął zdziwion, jak wryty,
Wbity w ziemię kopyty
Ciągle strzyże uszyma
I swe nozdrza nadyma.

A Chorąży z uśmiechem
Kazał wziąść go z pośpiechem
I do stajni zagania,
Wydawać go zabrania,
I śmiejąc się wymaga:
Niech właściciel sam błaga.

I powraca do domu,
Nic nie mówi nikomu,
Tylko córce: „Kasieczko!
Znieś-no miodek, wineczko!
Oj, upraszam Jéjmości,
Bo będziemy mieć gości.“

A w dziedziniec tymczasem
Powóz wjeżdża z hałasem,
A na koźle woźnica
Dumny wiezie szlachcica,
I morduje koniska,
Cmoka paląc z biczyska.

A na ganek Chorąży
Na spotkanie ich dąży,
Z czapką w ręku przywita,
I o zdrowie zapyta,
I przyjmuje serdecznie,
I gościnnie i grzecznie.

Gdy stanęli w komnacie:
„Mości Panie i bracie!“
Podstoli się odzywa;
Lecz mu mowę przerywa
Pan Chorąży z ochotą
Zapytawszy: „A co to?

„Cóż-to Waszmość z podróży
„Niechcesz spocząć tu dłużéj,
„Gdy gospodarz wymaga?
„Toż honoru zniewaga.
„Hej! hajduki, fagasy!
„Zdjąć tam koła z kolasy!

„Teraz gwałtem zatrzymam:
„Niech oporu już niémam;
„Niémasz nawet czém jechać,
„Musisz podróż zaniechać;
„Ale pozwól zapytać:
„Kogo honor mam witać?“

Podstoli się odzywa:
„Jam Hlebicki Leliwa.“
— „Ho!“ Chorąży powiada
„Znałem dobrze ja dziada,
„Ojca, Panie Podstoli,
„Co to umarł w niewoli.

„Napijmy się więc miodu;
„Syn drogiego mi rodu
„Niechaj mile tu gości.
„Proszę, proszę Waszmości,
„Siądziesz z nami do stołu
„Obiadować pospołu.“

A przy stole czekała
Jego córka nieśmiała;
Więc Chorąży za rękę
Rzecze biorąc panienkę:
„Prezentujęć, Mosanie,
„Córę, moje kochanie.

„A ty, Kasiu, pamiętaj,
„Dobrze się dziś pokrzątaj,
„Bo nasz gość się nazywa
„Pan Hlebicki Leliwa.
„Masz się więc z nim oswoić
„I nakarmić, napoić.“

Kasia skromnie dygnęła,
Jak alkiermas spłonęła,
I Podstoli coś krząka,
Kręci wąsa i bąka;
Ale wnet się ustalił
I komplement wypalił.

A komplement siarczysty
Złożył affekt ognisty.
I mięszając łacinę
Tak zagadał dziewczynę,
Palnął mowę tak szczerą,
Jakby jaki Cycero.

Bo też córa Scipiona
Słusznie była chwalona,
Miała zacne przymioty,
A z wdziękami i cnoty:
I nabożna i tkliwa,
I przy ojcu szczęśliwa.

Jakie miała też wdzięki,
Jaka gładkość jej ręki,
Jakie oczów wejrzenie,
Jakie ustek ściągnienie!
Toć wiewiórka, czy rybka,
Tak wysmukła i gibka!

A gdy zwróci swe oczy,
W nich wdzięk taki uroczy,
Tak cię chwyci za serce,
Zatli miłość w iskierce,
Że gdy na się zwróciłeś,
Z kretesem się zgubiłeś.

Więc też doznał i wtedy
Nasz Podstoli téj biedy;
Bo gdy ślicznéj Rusałki
Dwa niebieskie migdałki
Ujrzał na się zwracane,
Uczuł słodką wnet ranę.

I upływał dzień po dniu,
I tydzień po tygodniu,
I też prawie codziennie
Żegnali się solennie,
Strzemiennego spijali,
Do kolasy wsiadali.

Lecz Chorąży jak stanie:
„Co ci złego, Mosanie,
„Tutaj u mnie starego?
„Nieopuszczaj samego!
„A no, i ty, Kasieczko,
„Poproś także dzieweczko.“

A gdy Kasia swém oczkiem
Poglądając nań boczkiem
Rzeknie cicho po troszę:
„Panie, zostań, ja proszę,“
Ubłagać się wnet daje
I rad w duszy zostaje.

I z rana dnia pewnego
Widziemy Podstolego,
Jak się suto przybiéra,
Swoją szatnię przeziéra,
Piękne bóty nakłada:
Będzie jakaś parada.

I wziął kontusz perlisty,
Także żupan ognisty,
I złocistym z kutasem
Okręcił się swym pasem.
I wziął czapkę układną,
I damaszkę paradną.

I wyrusza odważnie
Z całą pompą poważnie,
A w trop za nim i dumnie,
Strojno, butno i szumnie,
Jego wierne hajduki
I pachołki, pajuki.

Gdy tak doszli do sali,
Przy drzwiach wnet się wstrzymali;
Lecz Podstoli na czele
Występuje sam śmiele.
Chorążego dogoni,
I do nóg się pokłoni.

Jedna ręka za pasem
I za złotym kutasem,
Druga ręka na łonie,
Jakby w serca obronie,
A rumieniec na twarzy,
Jakby zapał się żarzy.

I w takowéj postawie
Mówił czule i łzawie,
Wyrzekł w długiéj perorze,
Że mąk znieść już nie może,
I zginając kolana
Błagał ręki i wiana.

A Chorąży z łzą w oku
Nie dał czekać wyroku,
I rozpłakał się czule,
I uściskał Kasiulę,
Pocałował ją w skronie
I połączył ich dłonie.

Złożył w niebo swe ręce,
Jakby w tkliwéj podzięce,
I życzenia wynurzy:
„W téj tu ziemskiéj podróży
„Niech wam szczęście wciąż świeci:
„Błogosławię wam, dzieci!“ —

Odtąd w obu rodzinach wspominają mile
O tym karym ogierku i siwéj kobyle.

WYJĄTEK Z WIÉRSZA:

PARYŻ

Z PODDASZA NA WYBRZEŻU WIELKICH AUGUSTYNÓW

(Quai des Grands Augustins.) [1])

Płynąca środkiem miasta modrzy się Sekwana,
Ścianami rzniętych ciosów silnie skrępowana,
By w godzinie zagniewu przybyłemi wody
Ponadbrzeżnym mieszkańcom nie zrobiła szkody.
Sunie prostém korytem unosząc na grzbiecie:
Węgiel, wino, browarkę, zbóż rozlicznych wiecie.

Tu znów dźwiga olbrzyma, co mknąc siłą pary,
Ciągnie za sobą pasmem ładowne gabary,
A jak szybki w swym biegu, tak w obejściu srogi,
Chrapliwym świszcząc głosem, wszystkich spędza z drogi.
Daléj widać przy stronie pływające domy [2];
Ale próżno młodzieńcze ślesz tam wźrok łakomy:
Nie dojrzysz pod rąbkami ukrytego wdzięku
Skrzętnych praczek Paryża, co przy piosnek dźwięku
Figlarnie podkasane pluskają się w wodzie,
Jak Thetis *Girardin'a* w Wersalskim ogrodzie!
I chociaż zatrudnione, śmieją się ich usta;
Bo praca koniecznością, swobodą rozpusta.
Wtém świsnął przeraźliwie, zionąc dymów kłęby,
Uzbrojony parowiec żelaznemi zęby,
Co po parze przy wielkim znajdując się kole,
Warczących ciągle kotłów wypełniają wolę,
I zsuwając się w łono lazurowéj wody,
Wydostają kamienie lub inne przeszkody;
By żeglarz spławiający swe ładowne nawy
Był wolnym od doznania najmniejszéj obawy.
Wisło! czyś ty siérotą? czy niémasz opieki,
Jako innych narodów spławonośne rzeki?
Czyż, jak dziécię natury rubasznego wzrostu,
Będziesz lądy zalewać pełne mchów i ostu,
Jakie odłóg nieczynny w starych grzędach rodzi,
Rzucony w spodziéwaniu corocznéj powodzi?
Czyż nikt nie śmie powstrzymać twój zapęd zuchwały,
Wznosząc z ciosów soleckich dobroczynne wały,
Krępując twoje nurty, by prostemi biegi
Nie wpływały zaborczo w urodzajne brzegi,
Nie kłóciły spokoju holującym nawom?
Wszak i ludy swobodne podlegają prawom.....
A teraz zwróćmy oko na te gmachy stare,

Co pomną barbarzyństwo, przesąd i niewiarę, —
Co będąc skamieniałym losów ludzkich świadkiem,
Porosły w poważanie z państw rzymskich upadkiem:
Z prawéj strony Sekwany wiekami brzemienne
Stérczą czarne wieżyce, jako widma senne,
I zwróciwszy swe zgrozą pałające oczy
W stronę, kędy ta rzeka wartkie nurty toczy,
Zdają się upatrywać znikłych od lat wielu:
Miejsc schadzek Margieryty, strasznéj wieży Nelu [3]).
To katedra paryzka, dom Maryi Dziewicy [4]),
Gockim stylem wzniesiony, ozdoba stolicy,
Z pod sklepień ostrołucznych ciska czar surowy,
Co schyla swą powagą niedowiarków głowy.
Lecz przebóg, co ja widzę? w tym boskim przybytku
Z udaną skruchą w piersi bijąc się do zbytku,
Podaje świętą wodę kościelny przechera
I z niosących cześć Panu korzyści wybiera.
Daléj znowu ci drogę zastępuje inny,
Byś mu za to, żeś siedział, oddał datek winny.
I wszędzie przekupnicze założywszy kramy
Napadają przechodnia aż do saméj bramy!
O! boska Lechów wiaro, z ponad staréj Łaby [5]),
Co jaśniejesz, jak słońce, świętemi powaby,
Co zdziwiasz, jako czystość, nieskalana niczém,
Co wnikasz w pyszne serca wpływem tajemniczym!
Ty brzydzisz się przekupstwem, twa święta nauka
W grzeszném sercu człowieka prawéj skruchy szuka.
U twoich złotą arkę strzegących podwoi
Żaden boskich obrządków przekupień nie stoi,
Tylko nędzarz zgrzybiały lub jaki kaleka
Z modlitwą szczerą w ustach na jałmużnę czeka!
Twój kapłan istny obraz patryarchów cnoty,
Poważny nawet strojem, opiekun prostoty.

Ziarnem słowa Bożego zasiewaiąc wszędy,
Głuszy jęki niedoli, tamuje zapędy,
I w skromnéj kmiotków chacie, tłumiąc zawiść podłą,
Zaszczepia miłość bliźnich: Chrystusowe godło!
Tu inaczéj: ksiądz zyskał wzgardę wiernych prawie,
Śmiejąc żdzierstwa popełniać w saméj boskiéj nawie.
Śmiejąc dziwnym przyborem i przesadną mową
Ogłaszać promieniące Chrystusowe słowo!
A choć bije się w piersi, lud mu nie dowierza:
Obawia się owczarnia własnego pasterza!
Próżno dzisiaj z brewjarzem przebiega ulice
Nieładem zapuściwszy obszerną winnicę;
Odebrały jéj życie samoistne chwasty:
Zły przykład, ucisk możnych i wiek dziewiętnasty!
Słuchaj swoich pasterzy, Bóg cię wesprze, Lechu!
Kochaj braci, żyj dla nich, a umrzesz bez grzechu.
Jak urodna panienka w piérwszym życia kroku,
Co świeżością ponęty w smak przypada oku,
Wieża Świętéj Kaplicy w gmachu Sądownictwa [6])
Zastanawia każdego obrazem dziewictwa.
Z pod szaty pełnéj tkanek i lamów ze złota
Bije z dziwną pięknością złączona prostota.
A kształt w trafnych rozmiarach posiadając rzadki
Urąga rubaszności wieżyc swéj sąsiadki.
Przyległy téj świątyni pałac okazały,
Zajęty dziś przez wyższe Franków trybunały [7]),
Kapiąc rzeźbą i złotem na ciężkie framugi
Wypieścił w swoich murach poczet królów długi:
Tu Kłowiuszów, Pepinów i Kapetów roje,
Przyodzianych w wykute z twardych spiżów zbroje;
Półgłosem ulubieńcom zwierzane podkopy
Odbijały bogate wzniosłych komnat stropy.
Tu tysiąc lat markizy, hrabiowie, barony

45

Schylali dumne czoła przed blaskiem korony,
Aż dopóki w polocie odrodzenia ery
Luwr świata nie zadziwił, nie wzrosły Tuljery! [8])
W bocznej dorycką szkołą wzniesionéj połaci [9]),
Co, choć innego kształtu, zgodności nie traci,
Co będąc prawie jednéj przybytkiem komnaty
Grzmiała jeszcze Walezych licznemi wiwaty,
Henryk trzeci, złożywszy nad Polską władanie,
Umieścił drogi zégar w jéj narożnéj ścianie.
W nim to, jako zabytek upłynionéj chwały,
Przy liljach i pogoni wzlata orzeł biały!
We środę i sobotę każdego tygodnia
Wesoła sprzedaż kwiatów zadziwia przechodnia,
Co wśród licznych przekupek piskliwego gwaru
Odbywa się w bliskości owego zégaru.
Na morgowéj przestrzeni, strojnéj w rzędy drzewa
Sto jarmarcznych namiotów razem się powiewa,
Które, jako po burzy, okrętowe żagle
Swoje dachy płócienne rozpinają nagle
Spieszy młodzież ochocza nie szczędzi zapłaty,
By okna swoich lubych przyozdobić w kwiaty.
Inny szuka podarku, co byłby zarazem
Tłumaczeniem jego myśli i uczuć obrazem!
Bo paryzka kwiaciarka stósownie do pory,
Znając skryte znaczenie wonnych bogactw flory
Tak ci trafnem mieszczeniem barw uczucia skréśli,
Że lepiej pismem swoich nie wyrażesz myśli.
A sztukę pośredniego omamienia całą
Każde dziewczę francuzkie z pokarmem wyssało.
Każda córka głośnego rozpustą Paryża
Uczy się zalotności pierwéj, niż pacierza.
Odgadnie więc natychmiast szczęśliwa wybranka
Myśl, skłonność i życzenie swojego kochanka.

PRZYPISKI.

1) *Quai des Grands Augustins* jest na lewym brzegu Sekwany pomiędzy mostem *Saint Michel* a *Pont neuf*.

2) Pralnie na statkach.

3) *La tour de Nesle.*

4) Kościół *Nôtre Dame.*

5) Laba, Elba.

6) *La Sainte chapelle* przy *Palais de justice.*

7) *Palais de justice.*

8) Późniejszą re ydencyą monarchów francuskich był pałac *Louvre*, a potém pałac *Tuilleries.*

9) W wieży narożnéj, na prost mostu *Pont de change.*

Henryk Grotthuz.

PORÓWNANIE.

Widziałeś rosę na róży kwiecie,
Gdy w każdéj kropli słońca promienie
Razem się z sobą spotkają?
Wszak są piękniejsze od pereł przecię,
Wszystkie w nich tęczy lśnią się płomienie,
A jednak — ceny niemają.
Widziałeś dziewczę z obliczem anioła,
W oczach z wyrazem tęsknoty,
Przed którą męskie chylą się czoła,
Chociaż ma imię sieroty:
Choć bez posagu, choć sama jedna,
Choć *Bóg* jéj ojcem na świecie,
Ona *królowa* — choć bardzo biedna:
To także *rosa na kwiecie.*

K. Wosiński.

PAMIĄTKA

POŚWIĘCONA ś. p. KLEMENTYNIE

Z TAŃSKICH HOFFMANOWÉJ.

Ciałem — spocznij w obcéj ziemi, —
Duszą — wstąp do kraju
Nacieszyć się ze swojemi;
Potém — pójdź do raju!

Tam odetchnij tchem pokoju,
Polsce drogi cieniu!
Po straszliwych chorób znoju,
Serca utrapieniu.

Kochanowski ścisnieć dłonie
W imię Twych współbraci.
W trenach powié o Twym zgonie:
„Polska — gwiazdę traci.“

Śmierć Twéj duszy nie uśpiła:
Tak, jak on, wiekami
Życiem pisma będziesz żyła
Między rodakami!

Bronisława z Biernackich Jelska.

MONIKA ŁANIECKA.

Monika Łaniecka ujrzała światło dzienne w Warszawie, około roku 1786. Rodzice nie majętni, oddali ją, prawie dzieckiem, do klasztoru Wizytek na Krakowskiém Przedmieściu; sami przenieśli się na Pragę.

W dniu 4 Listopada 1794 ośmio-letnia Monika straciła naraz ojca, matkę i mienie.

Daleka ciotka odebrała sierotę z klasztoru Wizytek, i umieściła ją na pensyi Pani Pietraszewskiéj. Niedługo Łaniecka cieszyła się swoją przewodniczką; bo ta w rok potém świat ten pożegnała. Pensyą po Pani Pietraszewskiéj objęła siostrzenica jéj, Pani Peter. U téj Łaniecka nauki ukończyła. U niéj téż poznała Łaniecką Pani Wilczyńska, która oceniając wielkie zdolności Łanieckiéj miejsce jéj na pensyi swojéj ofiarowała.

Już więc w 15 roku życia Łaniecka sama na utrzymanie swoje pracować zaczęła. A gdy po dwóch latach ciotka jéj, oddana wyłącznie modlitwie, cały swój majątek Warszawskim Dominikanom Obserwantom zapisała i życie zakończyła, Łaniecka utraciwszy tę jedyną krewnę, dla któréj w Warszawie zostawała, postanowiła opuścić stolicę (wów-

czas pod Rządem pruskim zostającą) i udać się (przez granicę austryacką) w Krakowskie. W podróży téj przewodniczyło samotnéj na Bożym świecie, ubogiéj i niedoświadczonéj sierocie nieograniczone zaufanie w Tym, który lilie polne tak pięknie przyodziéwa, i bez którego woli, żaden wróbel z dachu, żaden włos z głowy naszéj nie spadnie. Silna wiara w Opatrzność, w Jéj mądrość niezgłębioną i miłosierdzie niewyczerpane była gwiazdą przewodniczącą całemu życiu Łanieckiéj.

W dwóch tylko rodzinach Łaniecka trudniła się wychowaniem córek domu; ale w obydwóch i zaczęła i dokończyła onegoż, i w sercach swych najpiérwszych uczennic pozostawiła do dziś dnia niezatartą cześć dla swéj pamięci.

Jak zaraz z początku postępowanie 20-letniéj Przewodniczki było śmiałe, trafne i praktyczne, niechaj posłuży przykład następujący.

W piérwszym domu, w którym Łaniecka bawiła, namiętność gry w karty wzrosła była w owych nieszczęśliwych czasach do tego stopnia, że zaczęła przechodzić i na młode pokolenie. Łaniecka postrzega z przestrachem, że powierzone jéj opiece wychowanki przekładają karty nad wszelkie inne rozrywki, i gdzie tylko mogą, pokryjomu grają. Ani prośby matki, ani przełożenia Łanieckiéj, ani nawet wyraźny zakaz i kary niemogą odwieść dziewczątek od tak zgubnego zamiłowania. Cóż robi Łaniecka?

Oto udaje jednego razu, że na dłużéj z pokoju wychodzi; ale w parę minut wraca, i zastawszy panienki z kartami w ręku: „Gracie,“ (rzecze do nich łagodnie) „to szkoda, „że dziś już tak późno; już wkrótce wieczór; nie będzie„cie mogły nagrać się do woli. Ale jutro na cały dzień „uwalniam was od wszelkiéj nauki; obudzę was jak naj„raniej, i będziecie mogły grać przez dzień cały.“ Dziewczynki uszom swoim nie wierzą; proszą o powtórzenie tak

miłéj dla nich niespodzianki, i cieszą się na samą myśl tak miłego jutra. Było-to na wsi, w końcu Maja, w téj czarującéj porze roku, kiedy cała natura w najpiękniejszym występuje blasku, gdzie i starzy i młodzi, wszystko co żyje, nacieszyć się niemoże uroczą wiosną. Dzień był prześliczny, zdawało się, że niebo samo zesłało pogodę najpiękniejszą, i natchnęło zbawiennym pomysłem młodą nauczycielkę. Już o godzinie 3 rano, dobrze przed wschodem słońca, Łaniecka budzi swoje trzy uczennice, lat 11, 12, 13 liczące, każe im się jak najspieszniéj ubiérać, i zasadza je do grania w karty. W parę godzin, byle tylko drogiego czasu na śniadanie nie tracić, przynoszą do tego samego pokoju kawę, którą dzieci grając piją. Do godziny 12 gra (rozumie się: nie w pieniądze) ogromnie była ożywiona; po 12 zasępiło się trochę czoło panienek, gdy się dowiedziały, że na obiad do pokoju jadalnego nie pójdą, ale że im jeść na ten sam stolik, na którym grały, przyniosą. Jeszcze ust dobrze nie obtarły, kiedy znowu Łaniecka do kart je zasadza i na krok nieodstępuje. Dzień ciągle prześliczny. Prócz Łanieckiéj nikogo niebyło w domu; wszyscy to w ogrodzie, to w polu. Matka sama pomimo, że z radością na plan Łanieckiéj przystała, chwiać się zaczyna, wstawia się za córkami i namawia Łaniecką na daleki spacer. Ale Łaniecka nieuproszona, nieubłagana, im dłużéj, tém bardziéj pilnuje panienek, żeby grały bez przestanku. Godzina 3, 4 po obiedzie; dzieci w prośby, że już grać im się przykrzy. Proszą, żeby to do jutra odłożyć można; ale Łaniecka sama karty bierze, tasuje i grać przymusza, uczennice ze łzami w oczach grają wciąż, grają bez przestanku. Słowa do siebie przemówić niemogą; bo Łaniecka utrzymuje, że się gra psuje. Zaledwie im na podwieczorek i wieczerzę kilka minut zostawia, i koło 7méj z surową postawą i z rozkazem w ustach, znowu ich grać zniewala. Dziewczynki gorzkie łzy leją, ale nic nie pomaga;

bije 8, 9, świéce przynoszą, okiennice zamykają a gra na chwilę nie ustaje. Zaledwie po 10téj skończyła się ta całodzienna zabawa, w karę najsroższą przechodząca, która na całe życie w najzbawienniejszą naukę się zamieniła; bo Damy te, dziś już wiekiem szanowne, odtąd karty do rąk więcéj nie wzięły.

Drugi dom, w którym Łaniecka młodość swą przepędziła, był-to Oświecim, w galicyjskim obwodzie Wadowickim.

Piękne-to miejsce o mil 8 od Krakowa, na granicy szląska austryackiego i pruskiego położone, mające ułatwioną kommunikacyą z za granicą, było dla Łanieckiéj nader miłém mieszkaniem. Tu obok wychowania córek domu, zajęta była dalszém własném kształceniem się. Tu skwapliwie, korzystając z każdéj sposobności, bogaciła się w zasoby wiadomości i nauk. Jakoż żadna prawie umiejętność nie była jéj obcą: wiele z nich Łaniecka zgłębiła była z męską wytrwałością. Językiem francuskim i niemieckim władała zarówno jak ojczystym; język włoski i angielski posiadała gruntownie, nawet łaciński nie był jéj obcy, a filozofia moralna, etnografia, historya, literatura trzech narodów były ulubionemi jéj przedmiotami.

Wzbogacona rzadkim skarbem wiadomości, poznawszy dokładnie świat i ludzi, przejęta uczuciem prawdziwéj religijności, z pełną ufnością w pomoc Bożą i z sercem pragnącym poświęcić się dobru bliźnich, dobru ludzkości, wystąpiła Łaniecka w 33 roku życia z zamiarem założenia pensyi płci żeńskiéj w Krakowie.

Było-to roku 1819. Stolica rzeczypospolitéj krakowskiéj w rok potém zaludniła się obywatelstwem, przybyłem z powodu uroczystości sypania mogiły Tadeuszowi Kościuszce. Uniwersytet Jagielloński szczycił się mężami, jak Bandtkie, Czajkowski, Markiewicz, Czerwiński. Franciszek Wężyk czarował wówczas swemi „Okolicami Krakowa.“ Jan-Nepo-

mucen Kamiński zelektryzował był scenę krakowską przybyciem z całém towarzystwem swojém w gościnę ze Lwowa. Ambroży Grabowski zatrudniać zaczął prassę drukarską. Wszędzie obudzało się na nowo życie duchowe; wszystko, po zawartym pokoju, wracało do miłych zagród ojczystych i wzniecało zapał do pracy, do kształcenia się, do postępu. Młódź chciwa światła, garnęła się do świątyń nauk. W téjto właśnie porze Łaniecka przez swoją pensyą, wzorowo rozwiniętą, nadała w téj stronie Polski zupełnie nowy kierunek wychowaniu wzrastającego pokolenia kobiét.

Zaraz w piérwszych miesiącach liczba jéj uczennic doszła była do 24. Wszystkie były dochodzące; bo Łaniecka za główną zasadę w wychowaniu panien uważała: żeby córki nigdy zupełnie z pod oka matki niewychodziły. Nie doznawszy sama pieczołowitości i pieszczot rodzicielskich, czuła Łaniecka głęboko, jak bolesném dla dziécięcia jest brak onychże. Pragnąc przynajmniéj drugich okolić tą miłością, któréj, niestety, sama nigdy niedoznała, dążyła ona przedewszystkiém do tego, aby wychowanki swoje zespolić jak najściśléj z ich matkami. Nowa ta (wówczas) zasada wychowania, zjednała Łanieckiéj serca wszystkich matek. Te, które ją pojąć umiały, dziękowały Bogu, że w takie ręce córki swoje powierzyć mogły; inne, od niéj (niezamężnéj) uczyły się być dobremi matkami.

Wkrótce pensya Łanieckiéj stanęła na czele piérwszych zakładów edukacyjnych w Krakowie. Łaniecka zaś, jaką była w piérwszéj chwili otwarcia swéj pensyi, taką pozostała aż do końca: zawsze niezmordowanie czynną, zawsze cichą, zawsze wylaną dla swych uczennic, które wszystkie sercem najczulszéj matki ukochała. Szczególniéj trafném było jéj postępowanie z córkami zamożnych, majętnych obywateli, w które wpajać umiała uczucia prawdziwéj szlachetności i szczęśliwości, niezależnéj od zmian losu. Często

się zdarzało, że pilna i pracowita córka ubożuchnych rodziców wspierała radą i wiadomościami przyszłą dziedziczkę bogatych włości, i nawzajem od drugich uczennic, więcéj w naukach posuniętych, taż sama panna podobnie była wspieraną. Na pensyi Łanieckiéj różnica majątków niebyła znana: ta z panien była najbardziéj lubiona, która najwięcéj na to wzorowém postępowaniem zasługiwała, a bezstronna sprawiedliwość ze strony ukochanéj nauczycielki sprawiała, że ulubione jéj uczennice były najulubieńszemi współtowarzyszkami całego zakładu.

Łaniecka zwykle w rannych godzinach rozpoczynała lekcye swe od wykładu nauki religijnéj. Czytając uczennicom swoim ewangelią, tłumaczyła prawie każdy jéj wyraz, wyłuszczała prawdziwe zasady chrześcijaństwa i wykazywała różnicę ich od zasad starego testamentu i innych dawnych religij. Uważała ona czystość zasad religijnych za podstawę nietylko wychowania; ale całego charakteru, całego bytu człowieka, i stosownie do słów Zbawiciela, niczém się barדziéj niebrzydziła, jak obłudą świętoszków, jak fanatyzmem Faryzeuszów. Strzegła ona latorośli sobie powierzonych, jak najtroskliwiej od przesądu i zabobonów, które *śmiercią duchową* nazywała. *Światło* i *prawda* były zasadą jéj nauki. To też każda z jéj uczennic, o ile przechowała jéj słowo w sercu, o tyle godnie wywiązała się Bogu, rodzinie i społeczeństwu, z obowiązków religią Chrystusa na wszystkich włożonych.

Oschła nauka języków nabierała życia w ustach Łanieckiéj, która uczennicom swym przekazała ów łatwy wykład mozolnych prawideł, przechowujący się do dziś dnia pomiędzy licznemi z pod jéj ręki wyszłemi nauczycielkami we wszystkich stronach kraju.

Cóż powiedzieć o jasnym i miłym wykładzie geografii? O czarującém opowiadaniu historyi kraju ojczystego i dziejów

powszechnych? Brzęk muchy można było usłyszeć; taka godzinami panowała cisza na jéj lekcyach śród licznie zebranéj gromadki, która okiem, uchem, umysłem, sercem przyswajała sobie wielkie prawdy, z ust jéj wychodzące. Nieszło jéj o nagromadzenie dat, liczb, nazwisk, oschłych drobiazgów, ducha zabijających. Łaniecka pamiętała, że przemawia do przyszłych żon, matek, obywatelek, nauczycielek. Szło więc jéj głównie o to, aby młodociane umysły obznajomić z tém, co było piękne, szczytne, wzniosłe, a zarazem proste i niewinne, jak dziewicze serca, do których tak przekonywająco przemawiała. Nauką przeszłości wskazywała obowiązki na przyszłość; uczyła wychowanki swoje myśleć i zastanawiać się nad przeznaczeniem swojém; nauczała je nie tylko szukać szczęścia w samych sobie; ale umieć niém okolić rodzinę i całe grono towarzystwa, w którém żyć miały.

Literaturę udzielała Łaniecka w sposób tak dostępny, iż każda prawie uczennica pojąć, zrozumieć ją mogła. Życiorysy tych nieśmiertelnych ludzi, którzy przeważnie na wzrost oświaty wpłynęli, opowiadała ona tak uroczo, iż postacie te na wieki wbiły się w pamięć jéj uczennic, a wyjątki z pism najcelniejszych pisarzy, które z największym wdziękiem wychowankom swym czytywała i tłumaczyła, nadały postaciom tym mowę, i przelewały szlachetne ich uczucia w niewinne serca słuchaczek.

Tak wykładała Łaniecka nauki przez lat przeszło 14 prawie sama; bo, prócz nauczycieli do rachunków, kalligrafii, rysunków i włoskiego języka, prócz podnauczycielek do początkujących panien, Łaniecka wszystkich innych przedmiotów sama udzielała. Zwykle, zimą czy latem, o godzinie 3ciéj wstawała, i tém rannném wstawaniem, jak mawiała, i życia i czasu sobie przydłużała. Za to o godzinie 9téj wieczorem już się udawała na spoczynek, i przez sen przed

północą, do saméj śmierci czerstwość i świeżość umysłu dochowała. Późniéj, kiedy już Łaniecka swemi uczennicami częściowo wyręczać się mogła, i kiedy niemogąc się oprzeć usilnym prośbom matek, uczennice do domu swego przyjmować zaczęła, ograniczyła wykład przedmiotów przez siebie dawanych; ale język i literaturę francuską, geografią i historyą sama ciągle aż do śmierci wykładała.

Obok tego wszystkiego Łaniecka nie zapominała w wychowaniu panien i o tak ważném zajęciu dla kobiét, jakiém są ręczne roboty. Co wiosna i co lato, jak tylko dni dłuższe być zaczynały, przeznaczona była codziennie godzina lub dwie igiełce. Ale i tu, tak jak we wszystkiém, przodowała zawsze myśl użyteczności przed przyjemnością. Żadnéj pannie nie wolno było uczyć się haftować lub innych zbytkowych robótek, dopóki koszuli porządnie uszyć nie umiała. Dopiéro gdy pięknie uszyła koszulę, nabywała prawa do uczenia się innych robót. Wiele uczennic prześliczne robiło kwiaty: wielom z nich posłużyły one do stroju ślubnego; niektórym, pełnym nadziei dziewicom, wieńce uwite śród wesołych żartów i bogatych młodości marzeń, posłużyły niestety, do martwych skroń pokrycia. Mało jednak, dzięki Najwyższemu, miała Łaniecka podobnych strat do opłakiwania; co większa, przez cały przeciąg 26-letni jéj zawodu publicznego, żadna z jéj wychowannic, w domu jéj, śmierci nie padła ofiarą.

Ale bo téż, jakże Łaniecka i pod względem zdrowia swych uczennic, była nieporównana!

Jedzenie regularne, zdrowe, smaczne, posilne i rozsądnie obfite przyczyniało się do wzmacniania zdrowia wątłych niekiedy bardzo uczennic. O pokątnych i pokryjomych jedzeniach, które tak zdrowiu są szkodliwe, żadna z wychowanek Łanieckiéj nigdy w jéj domu nie pomyślała; bo wszystkiego było dostatkiem. Owoce nawet, zacząwszy od pozio-

mek aż do jabłek, według pory roku były prawie zwykłym podwieczorkiem panien. Obiady ze czterech potraw, także do pory roku zastósowane, przyrządzone były zawsze nader smacznie; bo zdaniem Łanieckiéj było, że dobrém posilném i w miarę urządzoném jedzeniem, wykorzenia się najskuteczniéj w dzieciach obrzydłe łakomstwo.

W razie choroby któréj z ich domowniczek potrzeba było widzieć Łaniecką pielęgnującą swą chorę. Co tam było serca; co współczucia; jaka dokładność w dopełnianiu przepisów lekarskich; co pomysłów, ulgę przynoszących! Kiedy odry, ospy, szkarlatyny panowały, kiedy kilka naraz było u niéj chorych, Łaniecka podwajała swą baczność; przedsiębrała wszystkie środki ostrożności; doglądała dniem i nocą chorych, od zdrowych należycie odosobnionych: pieczołowitość jéj wyrównywała opiece najczulszéj matki. Wkrótce też, przy pomocy Najwyższego chore powracały do zdrowia, przepełnione wdzięcznością dla czcigodnéj Opiekunki. „Wyrzekasz się odpowiedzialności na drugi raz“ (pisała Łaniecka do jednéj z swych dawnych uczennic, w któréj domu obce dziécię zachorowało) „a ileż-to *ja* dzieci na „*moją* biorę!... Bóg miłosierny zachował mię od wypadku; „i jak mi jaki kłopot, *deficit* dokuczy, zaraz Mu dziękuję za „poprzednio odbiérane dobrodziejstwa, i na przyszłość ufność „w Nim pokładam.“

*   *

*

Powierzchowność Łanieckiéj nakazywała cześć i poważanie. Za młodu miała być przystojną. Wzrostu była niskiego. Prześliczne ciemne włosy zachowała aż do śmierci. Czoło i brwi wysokie, nadawały jéj postawę nietylko myślącą, ale nawet zamyśloną. Pomimo tego, oczy jéj ciemnoniebieskie tak były pełne ruchu, iż nic jéj wzroku nieuszło.

Usta przybierały na przemian to wyraz słodyczy, to wyraz powagi; czasem tylko przelatywał przez nie jakby lekki uśmiech ironii. W ogóle wyraziste rysy twarzy znamionowały ową anielską duszę Przyjaciółki ludzkości, a zarazem ową moc charakteru, żelazną wolę, i rezygnacyą. Jeden rzut oka Łanieckiéj stawał się często dla jej uczennic najsroższą karą albo największą nagrodą. Poczciwe, szlachetne, genialne jéj rysy twarzy schwycił bardzo wiernie przed laty kilkunastu zacny Professor malarstwa Hadziewicz, osobisty jéj przyjaciel. Była-to niespodzianka dla jednéj z jéj uczennic, która ją o tę łaskę lat kilka usilnie prosiła. Jest téż to jedyny jéj portret, i policzony do najdroższych pamiątek familijnych.

Cokolwiek ułomna, ubierała się Łaniecka zawsze ciemno i nader skromnie. Zamiłowanie czystości i porządku posuwała do najwyższego stopnia, i to zamiłowanie umiała wpajać w swoje uczennice. Wszystkie, które wierne jéj przestrogom pozostały, odznaczają się prostotą w ubiorze. Idą one za modą o tyle tylko, żeby ubiorem swoim nie zwracać oczu drugich na siebie, i dalekie są od téj próżni ducha, która mniema, że kobieta jest cackiem, jest lalką; że szczęściem jéj na świecie są: stroje, zabawy, bogactwa, wystawne życie.

W ogóle zdaniem Łanieckiéj było, że wychowanie kobiéty daleko jest trudniejsze, niż mężczyzn; bo mężczyzna mniéj więcéj w jednym i tym samym obrębie społeczeństwa od lat dziecinnych do wieku męskiego pozostaje, i zwykle sam losu swojego jest sprawcą. O kobiécie zaś niewiadomo, jakie w przyszłości zajmie stanowisko, i kto nad jéj losem przewodzić będzie. Ponieważ kobiéta prędzéj dojrzewa; przeto jéj mniéj czasu do kształcenia się pozostaje, a do zwykłych przeszkód w wychowaniu, przybywa u piękniejszych lub majętniejszych, pochlebstwo, robak tak zgubny dla pączka róży.

Zdaniem Łanieckiéj było, że kobiéta potrzebuje tak być wychowaną, iżby, czy pójdzie za mąż, czy niewstąpi w związki małżeńskie; czy zajmie w społeczeństwie stanowisko wysokie, czy niskie; czyli przyjdzie jéj zamieszkiwać pałac, czy chatkę; czy będzie szczęśliwa z mężem, czy przeciwnie; czy stanie się matką dzieci, czy Bóg jéj szczęścia tego nie udzieli; — aby, mówię, kobiéta zawsze była *na swojém miejscu.* Będzie zaś wszędzie i zawsze na swojém miejscu, jeźli będzie dźwigniona jéj godność moralna, jeźli wychowanie potrafi wykorzenić w niéj samolubną chętkę do wygód i zabaw, a zaszczepić na wieki tę błogą zasadę, tę myśl prawdziwie chrześcijańską, że powołaniem kobiéty na tym świecie, pełnym zdrożności, pełnym nieszczęścia, jest: *być ciągle aniołem stróżem, aniołem pocieszycielem, aniołem wybawicielem.* „Tylko niech o Was wiele świat niemówi; niech o Was „świat zapomni“ powtarzała Łaniecka uczennicom swoim „a pewno w ten czas będziecie takiemi, jakiemi Was Bóg „i rodzina mieć chcą. Ja Wam tylko drogę życia wska„zuję, na którą wejść macie. Ja Wam tylko klucz do ręki „podaję; bo życie, dzieci moje, to ciągła walka, ciągłe „przeciwności, na które ja Was radabym przygotować, aby„ście nigdy pod ciężarem gorzkich zawodów nie upadły; „ale abyście z siebie samych, nieograniczoną miłością, ule„głym rozsądkiem, cierpliwością i łagodnością umiały wy„snuć i dla siebie i dla otaczających Was, pasmo dni spo„kojnych i swobodnych. Radabym Was do tego przeko„nania doprowadzić, że niémasz piękniejszego, cichszego, „a razem szczytniejszego powołania nad powołanie kobiéty, „że kobiéta nie na to stworzona, aby na Bożym świecie „*błyszczała,* jak motyl; ale aby pracowała w swojém kółku „jak mrówka, i jak pszczółka zagrodę, którą jéj niebo wska„że, słodyczą rozsądku i cnoty okoliła.“

Tak mawiała Łaniecka do otaczającego ją dziewiczego grona, a głos jéj na ten czas tak był dźwięczny, tak prosto do duszy idący, że pozostał na całe życie w głębi serca jéj uczennic. Co zaś największy urok i czarodziejską moc słowom Łanieckiéj nadawało, było to: że uczennice jéj widziały natychmiastowe słów tych zastósowanie; że codziennie patrzały na swą nauczycielkę, ściśle podług tych zasad postępującą, działającą; że widziały w niéj uosobistniony rozsądek, pracę, wyparcie się saméj siebie. A chociaż spostrzegały nie raz, że poświęcenie się Łanieckiéj odpłacane było niewdzięcznością, niemogły powątpiewać, że im więcéj ludzi jéj torem postępować będzie, tém bliższe ziemi będzie królestwo Boże, i podziwiać musiały wzniosły umysł, który niezważając na pełzającą w prochu niewdzięczność, nieprzestawał dla miłości Boga, siać ciągle daléj pełną garścią ziarna nauki i cnoty.

Gdyby niczém inném, to już tém samém Łaniecka na wieczną pamięć w sercach uczennic swoich zasłużyła, iż przy każdéj sposobności starała się obudzać w nich uczucie wdzięczności, wdzięczności dla rodziców, dla krewnych, dla nauczycieli, dla dobrodziejów, dla kraju. Grecki jeden filozof powiedział, że „kto umie być wdzięcznym, ten albo już jest „albo stanie się cnotliwym. W kim uczucie wdzięczności „nie jest ożywione, ten nie jest jeszcze człowiekiem. Wszak- „że źwierzęta są wdzięczne. Jakież więc stanowisko zajmuje „w świecie niewdzięcznik?“ Łaniecka ubolewała nad niewdzięcznymi i nawet niepojmowała ich; lecz nigdy doznana niewdzięczność nie ziębiła jéj duszy; bo to, co czyniła, nie czyniła bynajmniéj w nadziei wdzięczności. Sama przeciwnie, była wzorem wdzięcznego serca względem tych, którzy bądź w młodych latach, bądź późniéj, już-to radą swoją ją wsparli, już-to jéj spełnienie czynu jakiego szlachetnego ułatwili. Zawsze ona z największą czcią wspominała o Pannie

Zgierskiéj, która była u Wizytek piérwszą jéj lat dziecinnych przewodniczką, o Pani Pietraszewskiéj, i o wszystkich, którzy jéj przy piérwszém wstąpieniu na świat pomocną dłoń byli podali.

Umiał téż cały Kraków cenić szlachetny charakter, genialną pracę i zasługi Łanieckiéj. Zaraz w piérwszym roku jéj zawodu publicznego Komitet czuwający nad pensyami płci żeńskiéj w Krakowie, złożony z professorów uniwersytetu Jagiellońskiego, przysłał jéj sam dyplom na nauczycielkę, o który ona, nieświadoma przepisów, wcale się nie starała. A kiedy na posiedzeniu głos jeden odezwał się, że o dyplom Łaniecka sama starać się powinna; że do niéj należy zrobić podanie, aby mogła złożyć examin i pozwolenie uczenia uzyskać „My-to sami“ odpowiedział jeden z Członków „my to sami o otwarcie pensyi prosić jéj powinniśmy; bo „ona nas samych nauczyć mogłaby, jak prowadzić i oświecać „potrzeba matki przyszłych pokoleń polskich.“ I dyplom zaraz nazajutrz Łanieckiéj był doręczony. Professorowie uniwersytetu z prawdziwą przyjemnością corocznie na examinach przekonywali się, jak wielkie postępy w naukach czyniły jéj uczennice. Nie było tam popisywania się pamięciowego; bo Łaniecka zajmując się swojemi wychowankami, przedewszystkiém je czuć i myśléć uczyła. Dla tego też każda, choćby najmniejsza, rozumiała zawsze: czego się uczy, i dla czego się uczy? Żadna nieuczyła się ani jednego wyrazu na pamięć, któregoby wprzódy należycie nie była pojęła. Zdarzyło się raz, że na jednym z podobnych examinów 9-letnia panienka mówiąc o Egipcie, o Nilu, że wylewami swemi użyźnia kraj cały, nagle przez delegowanego examinatora zagadnioną została: „co znaczy wyraz *użyźniać?*“ — „Dodawać soków pożywnych ziemi“ odpowiedziała w téj chwili, zupełnie niezmieszana dziewczynka.

Genialna w swoich pomysłach odznaczała się Łaniecka

szybkością w ich wykonaniu i nieporównanym taktem w kierowaniu serc młodych. Bezwzględna sprawiedliwość nadawała niesłychaną wartość jéj słowom, gdy którą z uczennic pochwaliła, gdy którą zganiła. Nagana następywała natychmiast po uchybieniu, i bały jéj się panny, jak ognia; bo całém sercem kochały swoją dobrodziéjkę i lgnęły do niéj. Łaniecka wszystko wiedziała, co się na pensyi jéj dzieje; wszystko widziała, wszędzie była, wszystkiém kierowała. Wyrażała się zwykle krótko i zwięźle, i wymagała natychmiastowego wykonania swoich połeceń; przez co uczennice przyzwyczajała do akkuratności, do punktualności. Wielce jéj rodzice i za to wdzięczni byli; bo największe zdolności, najlepsze chęci marnieją, gdzie niéma szyku i ładu, i niéma sprężystości.

Obok takiéj ciągłéj baczności i czuwania nad małym światem, który sobie sama stworzyła, niedziw, że Łaniecka, nie miała ani chęci, ani czasu do odwiedzin, lub do zabaw publicznych. Na żadnym balu nigdy jéj nie widziano. Na wieczorach proszonych nader rzadko. W chwilach wypoczynku lubiła (już dla samego zdrowia) dalekie przechadzki za miasto, na zieloność, na świeże, wiejskie powietrze, w okolice Krakowa tak piękne, tak rozmaite. Lubiła namiętnie xiążki treści poważnéj i pisma peryodyczne. Wszystko, co się ogółu tyczyło, mocno ją obchodziło. W téj tylko poezyi i muzyce znajdowała upodobanie, w któréj się jaka myśl wyższa objawiała. W gronie domowém była nader rozmowną, dowcipną, wesołą; ale znano ją powszechnie jako zabitą nieprzyjaciołkę plotek a tém bardziéj obmowy. Stolik wistowy widziany był w jéj domu dopiéro, gdy pół wieku przeżyła. Listy pisywała niezliczone, i na odebrane natychmiast odpowiadała; a styl jéj, acz lakoniczny i jędrny, był zawsze pełen czucia.

Do ściślejszych przyjaciół Łanieckiéj przez ciąg przeszło

40-letniego pobytu jéj w Krakowskiém należeli: Anna z Russockich Oraczewska, Kajetan i Maryanna z Dembińskich Russoccy, Sędziostwo Jan i Maryanna Nowiccy, siostra téj ostatniéj Marcella Ulidowska, Wiktorya z Klozów Mieroszewska, Paweł i Rozalia Czajkowscy, Józefa Helclowa, Antonina Wróblewska, Klara Riegerowa.

Jeszcze będąc w Oświeceniu, zwiedziła była Łaniecka Wiédeń. Z Krakowa zaś była raz w roku 1830, a późniéj, od roku 1839 do 1846 kilka razy, w czasie wakacyj, w Warszawie. Tu (między innemi) szczycił się jéj przyjaźnią dom Dra filozofii Stanisława Janickiego i dom Dra Malcza.

Dożyła też Łaniecka téj radości, iż ujrzała w różnych częściach kraju, na rozmaitych szczeblach społeczeństwa, do 1000 byłych uczennic swoich. Wszystkie prawie zachowały w pamięci słowa swéj nauczycielki, że wychowanie niekończy się z wyjściem z pensyi; że młodość i piękność nie na to są dane, aby się światu pokazać, zyskać jego poklaski, i odurzać się zwodniczemi hołdami; ale że celem każdéj istoty rozumnéj na tym świecie jest ciągłe doskonalenie się, a zatém ciągła użyteczna praca, ku czci Bożéj, ku dobru drugich. Każda też prawie z uczennic Łanieckiéj stała się w kółku swojém użyteczną. Każda prawie umiała stanąć o swéj własnéj sile. Bo rozwinięta myśl, czyni człowieka samo-silnym. Bo wykrzeszona iskra Boża w człowieku, zdolna jest uchronić go przez całą wędrówkę zycia od nieszczęść, jakie za sobą pociąga ciemnota, i połączony z nią upór i zarozumiałość.

Trafnie też mawiała Łaniecka, że „tylko kobiéta przejęta „prawdziwą religijnością, kobiéta rozsądna i światła umié być „w małżeństwie uległą; bo do poddania zdania swego pod „zdanie męża dla wspólnego małżonków lub też dzieci dobra, „potrzeba *mieć* swoje zdanie, i umiéć znaleść szczęście w za„pomnieniu o *sobie* i w wyparciu się miłości własnéj. Tylko „kobiéta oświecona pojmie i zrozumié, ile uległością, a często

„i pokorą, podnosi godność swoją, kiedy cnotami temi ustala „w pożyciu małżeńskiem szczęście całego domu. Takiém „postępowaniem zyskuje ona z latami coraz większą cześć, „coraz większy szacunek męża. Do téj szczęśliwości, do „tego poważania nie dojdzie nigdy kobieta bez wykształce„nia, chociażby miłość największa kojarzyła jéj związek mał„żeński; bo niemając zasobów ducha, niéma, czémby uczu„ciom męża nadać mogła trwałą podstawę. Ślepo posłuszna, „nie będzie jego towarzyszką, ale raczéj niewolnicą; a poni„żając go przez to samo, nie uszczęśliwi go. Jeźli zaś z za„rozumiałością, ciemnocie właściwą, walczyć będzie upornie „o urojone prawa swoje, zamieni ona dom w piekło i uczyni „męża najnieszczęśliwszym.“ Z słów tych na zawsze pamiętnych daje się wytłumaczyć, jak wielkiego zawodu doznają zwykle ci, którzy chcąc się żenić a pragnąc (jak mówią) pozostać panami domu, szukają żony ograniczonéj. „Zapo„minają oni“ dodawała Łaniecka, „iż właśnie *ta* jest natura „ciemnoty, że się trzyma pod rękę z uporem i zarozumia„łością. Z tąd-to pochodzi, że gdzie żona ograniczona, tam „właśnie nie mąż, ale *ona* rej wodzi, i mężowi, choćby był „najświatlejszym i najzacniejszym, nie pozostaje, jak albo „przez otwartą walkę wystawić się na pośmiewisko świata, „albo dla miłego pokoju znosić w milczeniu los, jaki sobie „sam zgotował.“

Takie rady, takie nauki dawała Łaniecka rodzicom i rodzinom, które jéj zdania względnie przyszłego losu dzieci lub krewnych swoich zasięgały. Przedstawiała im, że ziarno ciemnoty nigdy i nigdzie zbawiennych plonów wydać nie może; że uległą kobieta nie będzie, która czuć, myśléć i zastanawiać się nie umié. „Umieć ustępować z godnością i „łagodnością a tym sposobem siać zobopólne szczęście do„mowe, potrzebuje wiele zasobów ducha i serca. Biada mę„żowi, który w żonie swéj niéma równéj sobie *towarzyszki*

„swych uczuć, swych prac, swych dążności; który w niéj „niewidzi światłéj rządczyni domu, rozsądnéj kierowniczki „dzieci.“ Za temi ostatniemi szczególniéj ujmowała się Łaniecka. „W małżeństwie“ (są jéj wyrazy) „niewiadomo, „którego z małżonków Bóg prędzéj do chwały swojéj powoła. „Jakże więc rozsądnego męża trapić musi ta myśl sama, iż „w razie, gdyby umarł, żona go w kierowaniu dzieci, tych „najdroższych jego nadziei, wyręczyć nie będzie zdolną! „Z jaką boleścią musi zawierać oczy ten, który na łożu „śmiertelném płaczącym w koło siebie dzieciom niemoże „powiedzieć: „Niepłaczcie! matka wam ojca zastąpi.“ O! „niechby każdy, który dla majątku, dla szału miłości, lub „dla innych jakichkolwiek pobudek, bierze żonę ograni-„czoną, pamiętał, iż i na niego może przypaść ta okropna „chwila. W cóż się wtedy obraca cała rodzina? Do czego „się przyda cała gorliwość opiekunów, jeźli ograniczona wdo-„wa w każdym kroku okazuje im niechęć, stawia zaporę? „Dzieci tracą dla matki szacunek. Wszystko się rozprzęga; „wszystko idzie w rozsypkę... Ileż-to domów z przedwcze-„sną śmiercią męża, dla braku *rozsądnéj* matki, runęło!“

Temi i podobnemi słowami broniła Łaniecka koniecznéj potrzeby kształcenia kobiét, kształcenia przyszłych żon i matek. „Niechaj nikt się tém nieuwodzi, że kobiéta chociaż „niewykształcona, wykształci się poszedłszy za mąż. Jest-to „znowu proste złudzenie. Ogłady powierzchownéj, zewnę-„trznego poloru, nawet ogromu wiadomości nabyć może taka „osoba; lecz gdzie niéma za młodu położonych głębokich „fundamentów światła i cnoty, tam naprawa późniejsza, cho-„ciażby ciągła, zawsze będzie tylko łataniną; tam na łanie, „mającym być chlebodawczym, ujrzymy pospołem wyrasta-„jące: i zboże i kąkol i głogi. A potém, gdzież kobiéta za-„mężna, jeźli niechce opuścić obowiązków żony, gospodyni, „karmicielki dzieci, przewodniczki ich, może śród trosk i

„kłopotów, cierpień i chorób, znaleść tyle czasu, iżby się „nie *daléj kształciła;* ale wykształcenie swe *od początku roz-„poczynać* mogła. Jeźli się nikt nie dziwi, iż panny po-„szedłszy za mąż, zarzucają śród płaczu niemowlęcia, piękny „talent muzyki, chociaż w niéj dawniéj największą roskosz znaj-„dowały; tedy niemożna się dziwić, że tym, któreby naj-„szczérzéj chciały powetować sobie młodość straconą, bra-„knie w małżeństwie czasu do tego.“

Lecz z drugiéj strony staraniem było Łanieckiéj wpajać w uczennice swe, że mylną i zgubną jest zasada, jakoby kobiéta, nieidąca za mąż, mijała się z przeznaczeniem swojém. Ganiła ona lekkomyślne twierdzenie, jakoby wychowanie kobiét miało na celu wydanie ich za mąż. Z oburzeniem słyszała o rodzicach, martwiących się, że niemogą pozbyć się córek swych z domu. Z pogardą patrzała na panny, mające jedynie zamęzcie na myśli. Zdaniem jéj było: iż «rozsądna dziewica niepowinna odrzucać ręki uczciwego, «pracowitego, światłego człowieka, który jéj się podoba i «którego miłość posiada. Lecz że żadném nie jest nieszczę-«ściem, jeźli nienatrafiwszy na takiego, pozostanie wolną. «Wielkie ma obowiązki stan małżeński; wielkie i szczytne «powołanie stan niezamężnéj. Osoba zaś, która dla tego tylko «wstępuje w związek małżeński, aby niepozostać panną; «osoba, która niewidząc w przyszłym mężu *wyższości ducha,* «oddaje mu rękę swoją dla jakichbądź innych pobudek, jest «zaiste największego politowania godną. Bo (jak mówi pe-«wien filozof angielski) ze wszystkich niewól, najokropniej-«szą jest niewola małżeńska.»

Oby słowa te Łanieckiéj doszły do uszu dziewic całego kraju! Oby zapobiegły tylu nieszczęściom, wyradzającym się ze stadeł niedobranych! «Piszą nam» rzecze Łaniecka «o potrzebie równości urodzenia, równości wieku, równości „majątku do szczęścia w małżeństwie. Pisarze ci zapomnieli,

„że przedewszystkiém do szczęśliwego małżeństwa potrzeba „*równości wykształcenia umysłowego, równości wykształcenia religijnego.* Bo gdzie mąż *niedowiarek*, a żona *dewotka*, dzieci „wzrastające śród *obojętności religijnéj ojca* a *fanatyzmu matki*, „niemogą, jak stać się plemieniem bezużytecznèm dla Boga „i dla ludzi.“

* *

*

Niestarała się Łaniecka nigdy o przyjaźń możnych i bogatych; ale możni i bogaci starali się bardzo o jéj przyjaźń i względy; bo potrzebowali ciągle pomocy jéj rad światłych dla swych dzieci, i czuli jéj wyższośc nad sobą. Cenili ją właśnie dla tego coraz więcéj, że nigdy, ale to nigdy o nic się do nich nieudawała. Jakżeż małymi byliby się przed nią uczuli, gdyby byli znali wielkość jéj duszy, skarby nieprzebrane jéj serca! gdyby umieli byli poznać w niéj ową «ewangeliczną niewiastę,» o któréj Chrystus w boskiéj swojéj nauce wspomina.

Łaniecka uważała bogactwo jedynie za *środek* do wyższych, wznioślejszych celów; ale bynajmniéj nie za sam *cel* życia ludzkiego. A widząc, niestety, że bogactwo prawie powszechnie ludzi odurza, i albo w nich chciwość do zbiérania jeszcze większego majątku budzi, albo ich na rozstajne drogi zbytku i zakału rzuca, doszła do tego przekonania, że bogactwo nie jest wcale żadną zaletą. Pamiętna słów Zbawiciela iż: «łatwiéj jest wielbłądowi wnijść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnijść do królestwa Bożego,» — uważała Łaniecka majątek raczéj za tamę, zaporę, przeszkodę do prawdziwego szczęścia, do oświaty i cnoty, do zrozumienia i spełnienia życia, wskazanego świętym przykładem Zbawiciela.

Właśnie jakby na poparcie tego zdania, umarła około r. 1822 w Krakowie pani licznych włości w Galicyi i w Kró-

lestwie Polskiém. Mieszkała zwykle wKrakowie, gdzie miała dom wielki na jednéj z głównych ulic. Jeszcze za życia jéj męża słynęli oni oboje najokropniejszém skąpstwem. Rodzinę oboje mieli liczną i ubogą; ale jéj nigdy w życiu ręki nie podali, dążąc tylko do tego, ażeby jak największe skarby gromadzić, i zapominając o tém, że potrzeba będzie umrzéć, i wszelką mamonę tego świata w progu wieczności zostawić. Żona przeżyła męża i przez śmierć jego stała się panią już nie tylko połowy, ale całego majątku. Chora ciągle, i wszelkich przyjemności zawsze sobie odmawiająca, przeżyła jeszcze w brzydszém skąpstwie, niż za życia męża, lat kilka. Krewni jéj doczekać się jéj śmierci nie mogli: wielu z nich przed nią z nędzy i niedostatku pomarło; pozostała już tylko młodsza generacya, która nieodebrawszy żadnego wychowania, żyła jedynie zawiścią dla nieużytéj ciotki, spodlona ciemnotą, i czychająca ciągle na ten wielki majątek. Na piérwszy odgłos zgonu ciotki zjawiają się, jakby z pod ziemi, sukcessorowie. Jeszcze ciało nieboszczki nieostygło, jeszcze do trumny zwłoki złożone i na katafalku wystawione nie były, kiedy już spadkobiercy głośno i ze złorzeczeniami od sług i domowników domagają się latami nagromadzonych skarbów. Nie szanują nawet pokoju, w którym złożone były zwłoki: szukają wszędzie, roztwiérają wszystkie zamki, kryjówki, a znalezione znaczne summy nie zaspokajają ich: bo poparci ogólną opinią pewni są, że znaczne kapitały w gotowiznie pozostać musiały. Była w tym domu panna służąca, która lat 30 zostając ciągle w usługach nieboszczki, posiadała jéj zaufanie bez granic. Na nią więc z jak największą gwałtownością nacierają sukcessorowie. Ona z początku wypiéra się jak najmocniéj, i utrzymuje, że o żadnych nie wié pieniądzach; ale kiedy do gróźb, do ostateczności przychodzi, kiedy sprowadzono władzę, — wyznaje w końcu, że wié, gdzie są pieniądze; ale przysięgą związana, wyznać i wska-

zać miejsca nie może. Sprowadzony duchowny uwalnia ją od przysięgi, i ona natenczas w ciemnéj jednéj garderobie pokazuje miejsce, gdzie w zamurowanéj framudze mieścić się ma pozostałość. Odbijają w téj chwili mur, i przy pisku, gwizdaniu, wybuchów zwierzęcéj i hałaśliwéj radości sukcessorów, znajdują massy rulonów obrączkowych hollenderskich dukatów, jak najstaranniéj w płótno poobszywanych i w serwety poobwijanych. Pieniądze te, a było ich do miliona złp., dwadzieścia kilka lat w téj framudze przeleżały. Zamurował je mularz z głębokich gór karpackich, z dóbr owych dziedziców przywieziony nocami z zawiązanemi oczyma do Krakowa, (aby niewiedział w jakich stronach się znajduje), a do tego przysięgą związany, który wiernie lat kilka, aż do śmierci swojéj, tajemnicę ową zachował. Znaczna część tych pieniędzy, zapewne z krzywdą ludzi zebrana, i tyle lat bez użytku leżąca w kilku dniach już była w ręku żydów. Kurs dukatów na parę tygodni zniżył się w całym Krakowie. Nadeszła nareszcie chwila pogrzebu. Ale cóż za widok przestawił się publiczności tam zebranéj! Oto, taczających się prawie od trunku szło kilku bratanków zmarłéj za trumną, z zaiskrzonemi oczyma, czerwonemi twarzami, z wyrazem zmysłowéj i dzikiéj radości. Szmer zgrozy i powszechnego oburzenia rozległ się w zgromadzeniu. Nie pomógł ani wystawny sześciokonny karawan, ani cały przepych towarzyszący zwykle pogrzebom magnatów, nikt ze zgromadzonych nie odprowadził ciała zmarłéj na wieczny spoczynek!

Dla zobaczenia więc tego pogrzebu poprowadziła Łaniecka kilka swoich uczennic; a przeciąg lat 30 z górą nie zdołał zmniejszyć silnego wrażenia, jakie wywarło na dziecięcą wyobraźnię widok tych skutków skąpstwa i chciwości.

Lecz jeżeli sknérstwem brzydziła się Łaniecka, równie

według niéj, niebezpieczném było dla młodych umysłów wymarzanie urojonych potrzeb i ztąd wyradzające się marnotrawstwo, do którego podnietą także znowu są bogactwa. Mawiała, iż bardzo potrzeba umieć w życiu rozróżnić hojność od marnotrawstwa; bo hojny nigdy marnotrawnym, a marnotrawnym nigdy hojnym nie będzie. Z marnotrawstwa wynika zawsze samolubstwo, to pogaństwo duszy, które zawsze *siebie* tylko ma na celu. Kiedy marnotrawca otoczony rojem pochlebców, rozrzuca pieniądze dla swojéj tylko przyjemności, uważając ludzi za narzędzia jemu potrzebne; hojności przeciwnie towarzyszy zawsze cel szlachetny, towarzyszy cel niesienia prawdziwéj drugim pomocy. Jest-to objaw wewnętrznego szczęścia, jakiego się doznaje w podawaniu ręki drugim, w obowiązywaniu ich. Łaniecka silnie życiem i przykładem wpływała na swoje wychowanki, wskazując im, jak zarazem można być oszczędnym i hojnym. Nikt nigdy dla siebie mniej nie potrzebował jak ona; dla tego też tyle miała do rozdania. A będąc prawdziwie w duchu ewangelii dobroczynną, kryła się jak najbardziéj z dobrodziejstwami swemi, i potrzeba było ściśle, jak najściśléj żyć lat kilka z Łaniecką, zapatrywać się na nią okiem ducha, żeby można było dopatrzéć w niej ową od świata niedostrzeżoną opiekę, którą nad niemal każdą znaną jéj nieszczęśliwą rodziną rozciągała. Zdawało się odbierającym od niéj dobrodziejstwa, że ją tém sobie ujmują, że jéj są potrzebni. Wieluż rodzinom zapewniła los i byt, zajmując się nie tylko wychowaniem ich córek; ale pamiętając i o piérwszych potrzebach!

Przykładem niech będzie, co Łaniecka zrobiła dla bardzo zacnéj wdowy po artyście drammatycznym, która pozostała w najokropniejszém położeniu z 6-letnią, od kiku lat chorą córką, i z siostrą wiekiem obarczoną. Traf szczęśliwy zdarza, że osoba ta mieszkała na dole w malenkim pokoiku domu, do ktorego Łaniecka wprowadziła się, a któż pod je-

dnym dachem mieszkający z Łaniecką mógł być nieszczęśliwym? Zapoznać się z tą od wszystkich opuszczoną kobiétą, wejść w jej położenie, zająć się zchorowaną dzieciną, było dla Łanieckiéj dziełem dni kilku. Otacza ona tę 6-letnią dziewczynkę najtroskliwszą opieką; otacza ją tém wszystkiém, co tylko zdrowie przywrócić może. Wlewa w serce matki i ciotki błogi balsam pociechy i zaufania w nieskończoną Opatrzność i miłosierdzie Wszechmocnego, i staje się gwiazdą ich życia. Nie rok, nie dwa, ale 10 lat tak się niemi opiekuje, dopóki dziecina pod jéj okiem nie wzrosła na pożyteczną dla Polek nauczycielkę. Wtenczas umieszcza ją w bardzo zacnym domu, i cieszy się jéj powodzeniem tą radością chrześciance właściwą, która nigdy nic dla siebie; lecz dla drugich wszystko przysparza. «Nasza Izabelka» (pisze raz o niéj Łaniecka) «jest jak w niebie; musiała dać «słowo, że do końca edukacyi będzie, i zrobili jéj już za to «zapewnienie 1,000 reńskich konw. mon. Ma więc teraz «dziewczynka, oprócz tego zapewnienia, około 130 dukatów «rocznie, a zawsze rozsądna w wydatkach. Poczciwa jéj «ciotka zawsze jest przy mnie.» Drugie 10 lat jeszcze Łaniecka przeważnym swym wpływem ustala byt młodéj panny, otacza czułą opieką jéj matkę, która w kilka lat potém umiéra, i bierze do swego domu ciotkę. Nie żyje już dziś ani matka, ani siostra, ani ich anioł opiekuńczy; ale żyje córka, która jest jednym z żywych dowodów, jak Łaniecka pojmowała religią Chrystusa.

«Zosię przecię już wycofałam z opieki, chwała Najwyższemu; bo ją bardzo, bardzo krzywdzili,» tak pisze Łaniecka o innéj swojéj uczennicy, którą w 12 roku jéj życia przewagą swoją opiekunowi, wujowi, odebrała, w dom swój sercem matki przyjęła, i lat 8 jako córką zajęła się. Doprowadziła do tego, że w 18 roku życia, wuj ową Zosię usamowolnił, i jéj kilkanaście tysięcy spuścizny po ojcu oddał.

To wszystko było dziełem Łanieckiéj: tak silnie szlachetnością swoją, bezinteressownością i wyższością geniuszu na ogół wpływała.

Był w Krakowie lekarz powszechnie szanowany, który czcią i szacunkiem dla Łanieckiéj przejęty, oddał starszą córkę do niéj na pensyą. Z tąd znajomość i przyjaźń. Umiéra niedługo ojciec téj uczennicy, umiéra w parę lat matka. Ze śmiercią ojca kończy się dobry byt rodziny, synowię idą w świat pracować, najstarszą córkę umieszcza Łaniecka, jako nauczycielkę w jednym domu obywatelskim; ale dwie drugie siostry, to dzieci, właśnie jak najtroskliwszéj wymagające opieki. Łaniecka więc bierze je do siebie i staje się dla nich drugą matką.

Trzy siostry innéj bardzo licznéj rodziny zawdzięczają sercu Łanieckiéj swe wychowanie i sposób do życia. Najstarsza z nich, zamężna, utrzymuje dziś zakład naukowy panien na Wołyniu, gdzie jéj się dobrze powodzi.

Wdowa po zacnym i zasłużonym professorze uniwersytetu Jagiellońskiego, szczéra przyjaciółka Łanieckiéj, poleca jéj na łożu śmiertelnem 10-letnią córkę swoją. Łaniecka przyjmuje ją w dom swój ze łzami w oczach, i święcie życzenia matki dopełnia. Oto jak o téj wychowannicy pisze w jednym liście: «Muszę Ci się téż, moja najdroższa, «z Marynią moją pochwalić. Parę miesięcy na wsi u A. K. «bawiła, bo tam przyjechała jéj ciotka; ale usilnie mię «prosić o nią musieli. Otóż tam niezmiernie się wszystkim «z ułożenia spodobała. Panna F. niemogła się jéj odchwa- «lić; powiada, że nigdy się takiéj Maryni niespodziéwała; «że nad wiek jest dobrze ułożona, i prawdziwą przyjemność «z niéj mieli. Co więcéj, wszyscy ogólnie bardzo ją chwalą, «i wystaw sobie, mnie to zawdzięczają.» Z troskliwością prawdziwie macierzyńską zajmowała się Łaniecka ciągle wykształceniem swojéj przybranéj córki. To téż Bóg dla niéj,

dla jéj cnót, dla jéj z niczém niezrównanego poświęcenia się, pobłogosławił jéj staraniom, i owa ukochana Marynia jest dziś jedną z zamożnych obywatelek Galicyi, powszechnie poważaną, wzorową żoną i najlepszą matką.

Dom Łanieckiéj stał zawsze otworem dla wszystkich jéj uczennic. Która tylko domu rodzicielskiego niemiała, mogła bawić u niéj tak długo, dopóki sobie dogodnego miejsca nieznalazła. Ciągle im była matką, opiekunką, poradą, wszystkiém. Cieszyła się i smuciła z niemi; ich radość była jéj radością, ich szczęście jéj szczęściem.

* * *

Tak upływały lata. Córki zastępowały na pensyi miejsce matek, a niezmordowana w pełnieniu swych obowiązków Łaniecka z równą zawsze gorliwością, z równym zawsze zapałem oddawała się kształceniu młodego pokolenia. Aczkolwiek silnego bazdzo zdrowia, ulegać już czasami zaczęła przeciążeniu pracy i smutkom, jakich po stracie najlepszych, najdawniejszych przyjaciół doznawała. «Już dawno do Ciebie, moja najdroższa, nie pisałam, bo niechciałam ci dać uczuć, ile skołataną miałam duszę. Dzięki Bogu, że się przecie fizycznie to nie odbiło; bo, jak zwykle dawniéj, dosyć zdrowa jestem. Dawni przyjaciele nie tylko po jednemu; ale i po dwoje naraz mię odchodzą, a ja tak związana okolicznościami, iż nawet téj jeszcze niemam pociechy, żebym mogła powiedzieć: Niech i ja idę za niemi!...» Tak pisała zacna ta dusza, aby ulżyć sercu swojemu.

Ktokolwiek na to tylko zważał, że Łaniecka przez przeszło 20 lat posiadała w Krakowie najpiérwszą pensyą, która w końcu do 20-kilku stałych uczennic liczyła, i że Łaniecka sama jedna, bez żadnych krewnych, nader mało na siebie samą wydawała, ten mniemał, że Łaniecka zebrała majątek, że ma leżące kapitały. Zbiérała ona sobie skarby; ale nie

takie, które «rdza i mól psuje i które złodzieje wykopują «i kradną.» Wielka część jéj znajomych i wielbicieli niewiedziała, że Łaniecka *ma krewnych* i to nader licznych; bo u niéj każdy nieszczęśliwy, każda sierota, każdy ciosem niesprawiedliwie dotknięty, był jéj krewnym. Według słów ewangelii, lewica Łanieckiéj niewiedziała często, co daje prawica. Często nawet odbierający niewiedział, czyja ręka wydźwignęła go z toni? Jakże więc świat miał wiedzieć o wszystkich czynach, któremi niewidoma Łanieckiéj ręka w najtrafniejszéj chwili prawdziwie nieszczęśliwych ratowała!

Rok 1846 ugodził w serce Łanieckiéj jak najsrożéj. Ona, która zawsze kraj rodzinny uważała za jedną wielką rodzinę, zaczęła upadać pod brzemieniem nieszczęść nagromadzonych wówczas na Galicyą, gdzie bardzo liczne miała stosunki przyjaźni. Wprawdzie mocną wiarą i silnym duchem krzepiła zbolałe swe serce, i (jak się w jednym z listów wyraziła) wypadki następne uważała tylko za «przemieniające się dekoracye.» Wprawdzie w męczeństwach i ofiarach przewidywała, jako chrześcijanka, na przyszłość dla cierpiącéj ludzkości źródła pociechy. Wszakże pociechę tę przekazywała już młodszym pokoleniom, i widocznie od tego czasu na zdrowiu zapadać zaczęła. Pomimo tego, i pomimo zaczętego już 7go lat krzyżyka, niepomyślała ani na chwilę o wypoczynku. Był téż to ostatni rok jéj pracowitego, mozolnego, świątobliwego żywota. Ogrom nieszczęścia, tysiączne zawody, przeistoczenie się wszystkich prawie stosunków, i wzrastająca do nieuwierzenia drogość, uderzyły, jak płynące góry lodowe o drobniuchną łódkę skromnego jéj domu.

Z właściwą sobie mocą duszy umiała Łaniecka pokryć to wszystko, i potrzeba było całéj przenikliwości kobiecéj, aby przeczuć, aby odkryć kłopoty ją obarczające. Jedna z serdecznych jéj przyjaciółek i jedna z byłych jéj uczennic dostrzegły to. Ale obiedwie te szlachetne dusze nie były

w stanie niesienia jéj ulgi stanowczéj. Przybyły jeszcze inne zmartwienia; gdy w tém Łaniecka dotknięta zapaleniem wnętrzności, pada na łoże, z którego już powstać niemiała. W ciągu téj krótkiéj, bolesnéj choroby wszystkie dawniejsze jéj uczennice, wówczas w Krakowie będące, zbiegają się i pielęgnują ją jak najtroskliwiéj. Niestety! już było za późno... Oko umiérającéj spoczęło mile na tych, których szczęście było celem całego jéj życia. Z silném zaufaniem w Bogu i pełna nadziei w przyszłość, a wiary w sprawiedliwość i mądrość wyroków Przedwiecznego, zasnęła Łaniecka snem sprawiedliwych w dniu 11 Marca 1847, w 61 roku wieku.

Dopiéro ze śmiercią Łanieckiéj odkryło się niezliczone mnóstwo jéj dobrodziejstw. Dopiéro z śmiercią jéj dowiedziano się, że ona oddawała nie sam tylko grosz wdowi, ale *wszystko*, co w ciągu całego życia krwawo była zapracowała; że nawet z powodu nadzwyczajnych nieszczęść roku 1846 zacna ta dusza wzięła krzyż na siebie, zadłużając się. Łzy strumieniem puściły się wszystkim z oczu. Na słówko jednéj z uczennic (Emilii R.) wdzięczne wychowanki natychmiast złożyły się na pogrzéb swojéj dobrodziéjki. Cały Kraków towarzyszył jéj do grobu. Było-to piérwsze tak wielkie zebranie się publiczne od czasu zajęcia tego miasta przez Rząd austryacki. Tłumy ludu okiem nieprzejrzane, z boleścią w sercu, ze łzą w oku, w milczeniu ponurém towarzyszyły smutnemu obrzędowi. Niewidziano ani jednéj obojętnéj twarzy; bo imię Łanieckiéj przez przeszło ćwierć wieku znane i czczone było we wszystkich warstwach społeczeństwa.

Dziesięć lat już minęło od jéj śmierci, a ciągle grób jéj licznie zwiedzany jest przez te, których ukochała. Nie tytuły, nie wyrazy pochlebstwa lub chwalby czyta nad nim przychodzień. Wyryte tam jest tylko następujące świadectwo prawdzie:

„Wdzięczne uczennice przejęte czcią i uwielbieniem, pragnące „uwiecznić pamięć Téj, która je przez lat 40 drogą miłości i „przykładami nieograniczonego poświęcenia do cnót zachęcała, „zwłoki Jéj własnemi rękami tu złożywszy, pomnik ten wysta- „wiły."

Ty! któraś obdarzona od Boga genialnemi zdolnościami, pracą i niezmordowaną wytrwałością wzbogaciła umysł swój wszechstronnie obszernemi wiadomościami, aby się potém poświęcić z całym urokiem zapału młodocianego, poświęcić całém sercem, całą duszą, aż do śmierci, wychowaniu, wykształceniu Polek w ziemi krakowskiéj, — dozwól, aby łzy nasze, łzy wdzięczności, łzy żalu płynęły swobodnie na grobie Twoim! Wzmocnią one dusze nasze wiarą, nadzieją i miłością. Pokrzepią nas w szlachetném przedsięwzięciu naśladowania Cię w życiu bez skazy, w wylaniu się dla dobra wspólnéj ojczyzny i całéj ludzkości! Wyryją na wieki w pamięci naszéj i dzieci naszych: ile dobrego silną wolą, opartą na zasadach najświętszéj religii Chrystusa, zdziałać mogła jedna siérota z roku 1794!

Anna P.

ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE!

Co Twéj wszechmocy *skinienie* zaczęło,
To Twéj miłości *oko* dokonywa;
Błogosławieństwem skrapiasz swoje dzieło:
W radości toną wszystkich słońc ogniwa!
Ach, Panie! Serce, które Ciebie pozna,
Dźwignie się z bólu, zmartwienia nie dozna:
Niémasz roskoszy, jak gdy usta moje
Zowią Cię *ojcem! Święć się imię Twoje!*

W niepojętéj wielkości i wspaniałości wznosi się nad nami, znikomemi śmiertelnikami, owa niewidzialna Istota, — którą my *Bogiem* nazywamy. Jeszcze jéj żadne oko nie widziało, — jeszcze jéj żadne ucho nie słyszało, — jeszcze jéj żaden rozsądek ludzki nie zgłębił. Zaiste! w całéj ogromnéj przestrzeni świata nieznajduje się stworzenie rozumne, któremuby imię Boga obcém było.

Znają je ukształcone ludy Europy, i dzikie plemiona Afryki, — zna je zarówno mocarz, jak żebrak; wymawia je zgrzybiały starzec, równie jak małe dziécię, chociażby o tém, co usta jego szczebioczą, niemiało prawdziwego lub w ogóle,

wcale żadnego wyobrażenia. W dziecięcéj prostocie i niewinności składa drobne swe rączęta; i silném jest wrażenie, które kilka słów, ustami jego wymówionych, sprawia na sercu dorosłego człowieka. Pomimowolnie korzy on się przed Wiekuistym, który istnienie swoje oznajmia w piorunach niebios i w kwileniu niemowląt.

Spojrzyj na pyszne odwieczne lasy Ameryki, — tam, gdzie pod zieloném, nieprzebytém liściowém sklepieniem olbrzymich drzew, dziesięć wieków liczących, Indyanin — swobodne dziecko natury — przez ciche rozkoszne knieje przesuwa się, — tam możesz słyszeć, jak usta jego w dziecięcéj mowie uwielbiają Niedocieczonego, którego prześlicznie „*Wielkim Duchem*“ nazywa.

Spojrzyj na bogate niwy wschodu, — na wszystkie owe kraje, które niegdyś Mahomet krwawym swym mieczem zwyciężył! — W prochu leży tam 140 milionów Wiernych, i wznosi serdeczne modły do „*Ally*,“ żywego Boga!

Spojrzyj tam, gdzie Indus i Ganges święte swe nurty toczą, i Bramin w cieniu lasów palmowych głębokiém zamyśleniem zanurza się w istocie Najwyższéj, — tam teraz jeszcze 200 milionów Buddaistów modli się do Bramy, Szywy, i Buddy, — odwiecznego stwórcy, rządcy i niszczyciela!

Albo zwróć oko swe na Japonią, gdzie duch światów czczony jest pod imieniem „*Ki*;“ albo na Birmanów, którzy go „*Godma*“ nazywają! Lub tylko oberzyj się w koło siebie: spojrzyj na Twych bliźnich, Izraelitów, którzy w świętej czci wielbią „*Sabaota*,“ Pana zastępów, — i „*Jehowę*,“ Niestworzonego. Ale! któżby zdołał wyliczyć wszystkie te imiona, pod któremi śmiertelnicy uwielbiają Boga, wiecznego Ducha światów?

I któreż więc jest imię, które téj samoistnéj, wiecznéj, niedocieczonéj Istności nadać wypada? Które ze wszystkich tych imion jest najwłaściwsze?

Albo *żadne z nich*, albo *wszystkie!* — Wszystkie oznaczają *tego samego* ojca wszystkich ludzi; ale żadne nie oznacza go *godnie*.

Duch światów, — który *istniał*, *istnieje* i *istnieć będzie*, jest tak wzniosły po nad wszystko ziemskie, że właściwie mowa ludzka nie zdolna jest utworzyć wyrazu na nazwanie tego, którego tylko myślą dosięgnąć, — tylko przeczuć, — ale nie wysłowić możemy!

Wszelako, niestety, nieudolny człowiek potrzebuje do wszystkich swych duchowych pojęć obrazu, — dźwięku. — Wybierzmy więc do oznaczenia Najwyższego wyraz, który nam przynajmniéj jak najbliżéj *istotę* jego przypomina.

Co zaś do *istoty* swojéj, *Bóg*, *Alla*, *Brama*. *Budda*, *Szywa*, *Godma*, *Jehowa*, lub jak go jeszcze inaczéj nazywają, jest — *Duchem!* a mianowicie *tym* Duchem, który cały świat obejmuje i zapełnia, — a nawet z którego świat cały bierze swój początek — przez którego istnieje (*).

Jeźli więc przybliżonym sposobem pragniesz znaleść nazwę dla Niego, któraż może trafniéj Go oznaczyć, jak wyraz „*Duch światów?*“

Wszelako nie tyle chodzi o nazwisko. Wszakże nazwisko jest tylko brzmieniem, dźwiękiem. Ale idzie o to, *co* ty sobie, wymawiając to imię, przy niém wystawiasz; i *jak* sobie to wystawiasz? Codziennie modlisz się: „*Święć się imię Twoje!* a tak, samo przez się nasuwa Ci się pytanie: „Czémże się więc święci imię Pańskie?“

Nikt się cnotliwym, światłym stać nie może,
Kto Ciebie szczérze nie uwielbia, Boże!
A jeźli Boga godnie wielbić mamy,
Serce powinno strzedz się wszelkiéj plamy!

(*) „Duch jest Bóg.“ Ewangelia Jana roz. 4, wiersz 24.

Święć się Twe imię! Niechaj przed niem znika
Ciemny zabobon i kwas obłudnika! (*)
Daj *Prawdzie* tryumf nad świętoszków tłumem,
Święć się Twe imię — cnotą i rozumem!

Jakoż rzeczywiście, święcenie imienia Bożego jest podwójne: *zewnętrzne* i *wewnętrzne.*

Zwykle pod święceniem imienia Bożego rozumiémy: aby go niewzywać nadaremno, a tém mniéj przeklinając albo szkalując. I niestety, prawda, iż pod tym względem my chrześcijanie przyznać musimy ze wstydem, że stoimy daleko niżéj od prawie wszystkich innych wyznawców Boga.

Z najgłębszém uszanowaniem przed imieniem Najwyższego, podnosi Mahometanin najmniejszy kawałek papiéru z ziemi, bo — być może, iż na nim stoi napisane imię „Ałła.“

Z najgłębszą czcią dla imienia Najwyższego, rzucają się prawie wszystkie ludy wschodnie — skoro je tylko usłyszą, — twarzą na ziemię.

W najgłębszéj czci dla imienia Najwższego, Indyanin (wschodni), wymieniając imię Boże, przyciska święte pismo Wedas do serca, do ust i do czoła.

W największéj czci dla imienia Najwyższego, daje się Birmanin zgruchotać kołami wozu, wiozącego obraz Godmy, kiedy kapłani imię tegoż obwołują.

W najgłębszéj czci dla imienia Najwyższego, nieośmiela się Izraelita wcale nawet wymówić tegoż imienia.

A jakżeż jest pomiędzy Chrześcijanami? Wyjdźmy zobaczyć wir tłumu, — mianowicie, kiedy tenże uniesiony jest szałem zabawy, hulatyki i rozpusty. Usłyszymy tam, jak imię Najwyższego jest wspominane bez czci, bez uszanowa-

---

(*) „Strzeżcie się kwasu Faryzeuszów.“ Ewangelia Mateusza roz. 16, w. 6. Ewangelia Marka roz. 8, w. 15. Ewangelia Łukasza roz. 12, w. 1.

nia, z lekceważeniem, nawet przy zniewagach lub przeklęstwie. Co większa, my sami nadużywamy imienia tego tak często. — Czyliż w zwyczajnéj rozmowie niedają się słyszéć tak często wyrazy: „dla Boga“ — „dalibóg“ — „jak Boga kocham“ — „niech mię Pan Bóg skarze,“ i t. p? Nie dość, że imię Boga wspomniane jest tak często przy targach, swarach, a nawet rozmowach miłosnych, czyliż — o zgrozo! nie jest imię to poniewiérane nie raz przez fałszywe przysięgi złych ludzi!

Co jeźli tak jest, czyliż ten zwyczaj brania imienia Bożego nadaremno, nie dowodzi, iż Ojca naszego niebieskiego należycie nie miłujemy? iż zapominamy zupełnie o niewysłowionéj Jego mądrości, niewypowiedzianéj wszechmocy, najświętszéj sprawiedliwości, niewyczerpanéj miłości, niezgruntowaném miłosierdziu; o różnicy, jaka istnieje między Przedwiecznym Stwórcą, a znikomém stworzeniem Jego; między Panem milionów systematów słonecznych, a pyłkiem zaledwie dojrzéć się dającym?

„*Święć się imię Twoje!*“ Tak nauczył nas Chrystus modlić się, to jest: wznosić duszę naszą do Boga. Ile razy mówimy „modlitwę Pańską,“ która wspaniałą prostotą zawsze nas na nowo zachwyca, tyle razy, nie tylko błagajmy niebo o coraz głębsze poznanie wielkości i dobroci Boskiéj; ale oraz pamiętajmy o najświętszym obowiązku: czci dziecinnéj, uszanowania bez granic!

* *

*

Ale obok tego *zewnętrznego* święcenia imienia Bożego, jest jeszcze ważniejsze święcenie onegoż, *wewnętrzne:* „*Święć się imię Twoje — cnotą i rozumem!*“

Wszakże Bóg jest najwyższym, bezwzględnym umem, — wszakże jest źródłem wszelkiego rozumu ludzkiego. Czyliż

więc ci nie ubliżają Jego świętości, którzy imienia Jego używają do pokrycia niedorzeczności, — a nawet złości?

Tymczasem spojrzyj znowu w koło siebie! Zwróć duchowe swe oko na błogosławione, wspaniałe niwy Hiszpanii lub Włoszech. Patrz, jak w owych krajach, sławnych z jakoby pobożności, gromada złoczyńców czatuje za lesistemi skałami. W oczach ich błyszczy dzika chęć rabunku; otwór lufy — której żelazna pierś kryje zabójczą kulę, — skierowany jest na drogę, którą nieszczęśliwa ofiara powoli się zbliża. W tem odzywa się dzwon dalekiego klasztoru i wzywa smętnemi dźwięki do modlitwy! I oto, przed bliskim krzyżem, na którym wisi postać Zbawiciela, nikczemna gromada pada na kolana i błaga: „*Panie i Boże nasz! daj, aby nam się ten zamach morderczy dobrze powiódł?*“

Ciężko bluźnierstwo to zapisane zostaje w xiędze win ludzkich. Ciężko to wzywanie imienia Bożego przytłaczać będzie sumienie złoczyńców. Ale i biada nauczycielom ludu, którzy tym biednym, zbłąkanym ludziom nie dali prawdziwego o Bogu wyobrażenia!

Biada nauczycielom ludu, którzy zamiast gmin oświecać, i święte zasady ewangelii weń wpajać, utrzymują go w błędach, w ciemnocie, w zabobonach, w przewrotnych zdaniach o Najwyższéj Istocie; w wyobrażeniach dawnych Izraelitów, a nawet pogan.

Niepotrzeba iść za Alpy i Pireneje: widzimy i z téj strony tych gór niebotycznych dosyć zwyczajów i obyczajów, niby świątobliwych, które nie są niczém inném, jak pozostałościami religij pogańskich, a do których, niestety, wyższe i niższe nieoświecone klassy lgną sto razy bardziéj, niż do najczystszych zasad chrześcijaństwa. I tu biada nauczycielom, którzy tym wyższym i niższym, ale zawsze biednym i zbłąkanym ludziom, nie dali prawdziwego wyobrażenia o Bogu!

Lecz jeszcze bliżéj, wejdźmy sami w siebie, i zwróćmy uwagę na wyobrażenia, jakie w koło nas ludzie ciemni o Bogu, ciągle jeszcze rozszérzają; — na wyobrażenie, jakie o Bogu w nas samych, w dzieciństwie naszém zaszczepiono; — na wyobrażenie, iż Bóg, ta najświętsza, ta najsprawiedliwsza, ta najlitościwsza Istota, wszędzie obecna, wszystko wiedząca, wiecznie niezmienna, — ulega takim samym namiętnościom, jakim ulegają znikomi ludzie, i że do Jéj łaski temi samemi drogami trafić można, jak do nas śmiertelników.

Wyjrzyjmy raz okiem niezamglonèm po za próg domowy, w świat i życie, i przysłuchajmy się temu wszystkiemu, co w imieniu Bożém bywa głoszone, a przelękniemy się i zawołamy: „Ach, tak jest! imię Pańskie srodze znieważane bywa w niegodny sposób przez nierozsądek tych, którzy właśnie rozszérzeniem oświaty, imię Boże święcić-by powinni!“

Ile razy więc modląc się, mówimy: *Święć się imię Twoje!* tyle razy w duchu przypominajmy sobie, że imię to święci się — *cnotą i rozumem!*

Jeżliby wam zaś kto brał za złe, że dążycie do cnoty i do rozumu, niedziwcie się. Jak za czasów Chrystusa, tak jeszcze i dotąd, cnota i rozum nie wiele popłacają. Tak dziś, jak za czasu Kaifaszów i Faryzeuszów, zdrożnościami i ciemnotą dochodzi się na *tym* świecie nierównie daléj. Pamiętajcie o tém, że Chrystus właśnie wyrzekł: iż królestwo jego nie jest z *tego* świata; że Bóg jest najwyższém *światłem;* i że Bóg właśnie na to obdarzył nas *rozumem*, aby nas tém nad cały ród źwierzęcy wywyższyć; abyśmy się tém od całéj reszty stworzeń różnili; abyśmy (na podobieństwo Boskie stworzeni) starali się ciągle stać się *Jemu* coraz bardziéj podobnemi. Nie chwali więc imienia Pańskiego ten, który z umysłu wyrzeka się daru, jaki Pan w mądrości i miłości swojéj dał mu, i to wyłącznie *jemu samemu.* Ubliża imie-

niowi Pańskiemu ten, który każe ludziom pozbyć się tego najszczytniejszego daru Bożego, tego prawdziwie piętna Boskiego. Poniewiera imieniem Bożém ten, który ogłasza twierdzenie, nauce Zbawiciela wbrew przeciwne, iż aby dostąpić łaski Bożéj, powinniśmy się wyrzec rozumu, rozbić najdroższy klejnot, dany nam przez Boga nakształt podarunku chrzesnego; zgasić w nas pochodnią, udzieloną nam właśnie dla tego, abyśmy zdolni byli pojąć Istotę Najwyższą, poznać stanowisko i obowiązki nasze, i dążyć do coraz większego doskonalenia się.

Jakby na pośmiewisko daru Bożego, są tacy, którzy podstęp, przebiegłość, chytrość zowią *rozumem*, a tak wmówiwszy w swych słuchaczów, że rozum jest podszeptem złego ducha, walczą przeciw niemu wszelkiemi siłami, i starają się wytępić go. A wiecież dla czego? Bo jak z ciemnych, podziemnych przepaści górnik złoto i śrebro wydobywa, tak ciemnota duchowa, noc zabobonów, przesądów i uprzedzeń jest dla tych ludzi doskonałą, coraz obfitszą kopalnią dochodów, któreby pragnęli dla siebie uwiecznić.

Bóg stworzył człowieka na swe *podobieństwo*, to jest: dał mu duszę nieśmiertelną, rozum i wolą. Wyrzekać się tych darów, byłoby wyrzec się *podobieństwa* Bożego.

Pozostańmy więc zawsze przy tém: „*Święć się imię Twoje — cnotą i rozumem.*“

Niepotrzeba, abyśmy, jak Mahometanie, zbierali z ziemi kawałki papieru; niepotrzeba, abyśmy jak ludy wschodnie, wymawiając imię Boże, rzucali się twarzą na ziemię, — niepotrzebujemy téż, mówiąc o Bogu, przewracać oczy i t. d; ale *codziennie*, wszędzie i zawsze, gdzie tylko możemy, powinniśmy się starać czynić postępy w cnocie i rozumie; a to przez zgłębianie świętej ewangelii, przez czytanie rozumnych xiążek, przez słuchanie rozsądnéj nauki, przez obcowanie z światłemi i cnotliwemi ludźmi, — a przedewszystkiém przez *własne rozmyślanie.*

Ile razy tym sposobem nauczyliśmy się czego nowego, a prawdziwie użytecznego, tylekroć święciliśmy imię Boże; bośmy się stali rozumniejszemi i lepszemi.

Tak święcą dzieci imię Boże, kiedy się chętnie i pilnie uczą; — młodzieńcy i dziewice, kiedy bez ustanku do swego prawdziwego wydoskonalenia dążą; rodzice i nauczyciele, kiedy swym dzieciom i wychowańcom rzetelne skarby wiadomości i nauk roztwiérają.

Tak święci pracownik, rzemieślnik, rękodzielnik imię Pana, kiedy uznaje, że nietylko jest *ręko*-dzielnikiem; ale że powinien dążyć do wyższego wykształcenia; że także *myśleć* powinien.

Tak święci małżeństwo imię Pana, kiedy małżonkowie nietylko żyją ze sobą w wierności, pracy i zgodzie; ale kiedy w miłéj wzajemnéj zamianie myśli i wyobrażeń, nawzajem się oświécają i zdania swe prostują.

Tak pracujący piórem, urzędnicy i officyaliści, święcą imię Boże, kiedy nieograniczają się na znajomości liczb i akt; ale zakres prawdziwie pożytecznych wiadomości swoich ku dobru ojczyzny pod każdym względem rozszérzają.

Tak święcą imię Boże wszyscy, którzy samoistnie myślą i pomysłami swemi do wyższéj doskonałości w duchu Bożym dla dobra kraju i ludzkości dążą. „*Święć się imię Twoje, Panie, — cnotą i rozumem!*“

W tém-to, niezawodnie, znaczeniu, umieścił Zbawiciel w ślicznéj swojéj modlitwie tę prośbę, i dołączył do niéj bezpośrednio: „*Przyjdź królestwo Twoje!*“

Bo „królestwem Bożém“ jest właśnie panowanie cnoty i rozumu; a królestwo rozumu i cnoty nie nadejdzie, jeźli mu przez to drogi nieutorujemy, iż się sami staniemy rozumnemi i cnotliwemi.

Święć się Twe imię! Niechaj przed niém znika
Ciemny zabobon, i kwas obłudnika;
Daj Prawdzie tryumf nad świętoszków tłumem:
Święć się Twe imię — cnotą i rozumem!

Przepolszczyła

Zofia z M. J.

BAL OBŁĄKANYCH
w Wiedniu.

(z niemieckiego).

Ze wszystkich nieszczęść, jakie człowieka dotknąć mogą, największém jest — pożar rozumu: obłąkanie. Jeźli głuchoniemi, jeźli ciemni, jeźli kaleki bez rąk i nóg politowanie każdego człowieka wzbudzić muszą, cóż powiedzieć o tych nieszczęśliwych istotach rozumowo-zmysłowych, które w zupełności lub w części utraciły charakterystyczne piętno, różniące ich od źwierząt? Ci, którzy nie zupełnie, ale tylko chwilowo tracą władzę rozumu, są może jeszcze bardziéj politowania godni, niż ci, którzy w swéj chorobie umysłowéj wcale żadnych przerw jasnych nie mają. Najokropniejszą myślą dla człowieka musi być pomyśléć: że się jest obłąkanym!

Dla niesienia ulgi tym najnieszczęśliwszym z ludzi różne założono zakłady. W niektórych lekarze pełni czucia i poświęcenia się, zajmują się leczeniem ich. Łatwiejszymi do wyleczenia są ci, których choroba umysłowa pochodzi ze strat pieniężnych; trudniejszymi ci, którzy utracili władze rozumu z miłości lub w skutek zmartwień moralnych. Najtrudniejszymi do wyleczenia są obłąkani z powodu pomięszania się ich wyobrażeń religijnych, obłąkani z pietyzmu, z dewocyi, a właśnie takich, w ostatnich latach, niestety, najwięcéj.

Na wieczną wdzięczność ludzkości zasłużył sobie ten, kto pierwszy powziął myśl osobom obłąkaniem dotkniętym niesienia ulgi przez silne zwrócenie ich uwagi na rzeczy zupełnie od ich urojeń odrębne, przez równoczesne nieszkodliwe działanie światła, muzyki, strojów, ozdób, orzeźwień i licznego zgromadzenia na ich zmysły; przez uradowanie ich — balem.

Takie bale daje co rok Dyrekcya ces. król. Zakładu obłąkanych *(Irren-Anstalt)* w Wiédniu na przedmieściu *Michelbeuern* N° 26.

Wyszedłszy z właściwego miasta bramą Szkocką *(Schotten-Thor)* albo bramą Franciszka *(Franzens-Thor)* idzie się na zachód aleją stoku *(Glacis)* na przedmieście rzéczki *Als: Alser-Vorstadt.* Tam, tuż za Powszechnym szpitalem *(Allgemeines Krankenhaus)*, prowadzi ulica Szpitalna *(Spital-Gasse)* do nowego domu obłąkanych *(Irren-Haus).*

Nowy ten zakład stanął kosztem skarbu cesarstwa, i kosztował z górą milion złotych reńskich (przeszło 4 miliony złp.) Zbudowany jest według planu c. k. Radcy Nadhernego, wykonanego przez Budowniczego Fellner. Nakształt pałacu. wznosi się ta piękna, olbrzymia budowa na tak zwaném *Brünnl-Feld*, łagodném wzgórzu niedaleko rogatek *Währinger-Linie.* Główna połać obróconą jest ku wschodowi

(ku miastu); druga ku zachodowi (ku górom i winnicom, w niejakiém oddaleniu Wiedeń otaczającym). Przyjemne, rozległe ogrody otaczają budynek. Całość zajmuje przestrzeń około 60,000 kwadratowych sążni wiedeńskich. Wewnętrzne urządzenie jest wyborne. Umeblowanie pełne smaku. Są sale jadalne, sale do rozmowy, z fortepianami, bilarami i t. d. Do zupełnie nowych urządzeń, jakich może żaden zakład tego rodzaju nie posiada, należą: szczególne okratowanie okien, oświecenie gazem, wielki apparat natryskowy *(douche)*, łaźnia ruska, niecuchnąca wychodki na sposób angielski, rozprowadzenie świéżéj wody studziennéj do wszystkich części domu, pływalnia i t. d. Kaplica wystawiona jest w stylu staro-niemieckim. Zakład pomieścić może 400 chorych; ale niestety, nie jest jeszcze wystarczającym. Co do opłaty, ustanowione są 3 klassy. Piérwsza opłaca dziennie 24 krajcarów (1 złp. 22 gr.), druga 1 zł. reń. (4 złp. 10 gr.), a trzecia 2 zł. reń. 20 kr. (10 złp. 4 gr.) Z chorych piérwszéj klassy każdy ma swój oddzielny pokój. Chorzy drugiéj klassy mieszkają po dwóch w jednym pokoju, a chorzy trzeciéj klassy mają wspólne sale, gdzie ich jest po 6 lub więcéj razem. Oprócz tego przyjmują się pensyonarze. Ci opłacają 3 zł. reń. 30 krajc. w monecie konwencyjnej (15 zlp, 5 gr.) dziennie, i każdy ma dla siebie 2 oddzielne pokoje. Wszystkim pacyentom zostawiony jest wybór zatrudnienia, ku czemu zakład wszelkie rodzaje instrumentów i narzędzi rzemieślniczych posiada. Teraz główném zatrudnieniem mieszkańców są roboty introligatorskie. Co gotowe, sprzedaje się, a co wpłynie, każdemu się doręcza lub zachowuje. Dyrektorem zakładu jest Radca lekarski *(Medicinal-Rath)* Dr *Riedl*, jeden z najznakomitszych mężów w swoim zawodzie.

Przepyszny gmach ukończony został w końcu roku 1851, a od roku 1852 zajęła go już część obłąkanych, którzy dawniéj mieścili się za Powszechnym szpitalem w okrągłéj wieży o pięciu piętrach, ze 140 izdebkami.

Roku 1857 bal dla obłąkanych dany był w niedzielę zapustną dnia 22 Lutego.

Znajdowali się na nim jedynie pacyenci i domownicy zakładu. Czterech śpiewaków śpiewało w czasach odpoczynku kwartety wokalne. Bal zaczął się o godzinie 7 wieczorem, a skończył o 3 po północy. Panowała na nim taka wesołość i serdeczność, że obcy, którýby nie wiedział, gdzie się ten bal odbywa, ani-by się był domyślił, że się pomiędzy obłąkanymi znajduje. Niebyło ani śladu choroby umysłowéj; niebyło najmniejszego nieporządku: kilka mów nieco dziwnych można było łatwo za żart uważać. X. Brunon *Schön*, kapelan zakładu, wyraża się w swojém nader zajmującém sprawozdaniu: Co to była za mieszanina wszystkich stanów! Tutaj officer w mundurze, tam urzędnik, tu duchowny, tam artysta, tutaj uczony, obok niego rzemieślnik i t. d. Wszyscy razem się bawiący, wszyscy uradowani i w braterskiéj zgodzie. A tenże wieniec Dam w balowym stroju, siedzących w około sali, albo prowadzących się pod rękę z jakim grzecznisiem, i przechadzających się tam i nazad w różnobarwnym tłoku!

Widząc to wszystko i wiedząc, że tancerze i tancerki po większéj części są-to obłąkani, zdawało się człowiekowi rzeczywiście, iż mu przyśniła się powieść czarodziejska, w któréj dobroczynny geniusz biednym chorym nagle rozum przywrócił. Ale też gości pomiędzy niemi na jawie ten geniusz, ten prawdziwy geniusz, który, powołany tu z Pragi, w tak krótkim czasie tak zadziwiających rzeczy dokonał i z swymi dzielnymi współpracownikami, Doktorami *Marisch*, *Mildner*, *Fröhlich*, *Schlager*, *Joffe*, *Petersch*, i t. d. duchami swemi tak kieruje, jak mu się podoba!

Kobiécą salę konwersacyjną zamieniono na salę tańcową. Przyozdobiona kwiatami i krzewami z cieplarni zakładu, zamieniła się tym strojem w kwitnący ogród, a ściany

okryte źwierciadłami dodawały rzadkiego uroku. Sala mieściła w sobie 400 do 500 osób. W przyległym pokoju urządzono stoły do kart. Przy 15 stolikach chorzy, którzy nie chcieli tańczyć, grali w szachy, domino, puffa, taroka, i t. d. Tańce po większéj części przez którego z lekarzy albo urzędników zakładu urządzane, były jak zwykle: walce, kotyllony, polki, kadrylle, i t. d. W jednym kadryllu (pisze X. *Schön*) naliczyłem 24 par. Był to szczególnego rodzaju widok, gdy tu pacyentką z urzędnikiem albo doktorem instytutu, tam pacyent z córką albo żoną urzędnika tańcowali. Niektóre pacyentki (mówi X. *Schön*) chciały i mnie do tańca namówić; chociaż byłem w sukni duchownéj. O przywiązaniu pacyentów do ich Dyrektora i do ich lekarzy nikt niéma wyobrażenia, kto tego sam niewidział i niesłyszał. Dr *Mildner* był słabym i niemógł być na balu. Śród radości niezapominali pacyenci i o nim, i często można było usłyszeć pytanie: «Jakże się ma nasz *Mildner?* Jaka szkoda, że go tu niéma!» Dla ochłody roznoszono wino (austryackie), piwo, limoniadę, i t. p. Z przekąsek były ciasta, torty, i mięsiwa na zimno.

Pod względem psychologicznym zasługuje na uwagę, że nawet pacyenci z tak zwanego „*Corridor*“ (gdzie najniebezpieczniejszych zamykają) obecni byli na tym balu, i zachowali się równie przyzwoicie, jak rekonwalèscenci. Z 400tu pacyentów zakładu obłąkanych znajdowało się na tym balu 220.

Władysław M.

GARNUSZEK ŚMIETANKI.

LEGENDKA

POŚWIĘCONA UCZENNICOM PENSYI PANNY BRZEZIŃSKIEJ
W WARSZAWIE.

Dziéweczki młode! któraż nie rada,
Kiedy się ludziom podoba?
Niechże więc każda myśli i bada:
W czém jéj prawdziwa ozdoba?
Bo jużcić ufam, że Was nie złudzi
Lada hołd głupców lub trzpiotów;
A zaś by zjednać cześć *dobrych* ludzi,
Dobrych potrzeba przymiotów.
Lecz same nawet cnoty *z rachuby*,
Być-by przestały cnotami;
I czyn najlepszy w celu swéj chluby,
Nie zdobi duszy; lecz plami.
Co więc jest dobrém prawdziwie? Oto,
Co Wam stróż-anioł w sumieniu
Powié, że czyńcie, a Wy z ochotą
Czynicie, gwoli natchnieniu.
I takie tylko czyny niech złożą
Szereg dni Waszych na świecie,
Za nie to ludzką, ale i Bożą
Miłość i łaskę znajdziecie;

Albowiem wiedzcie, że przed obliczem
Boga, postępek nasz wszelki,
Jak i *największy, sam przez się* niczem;
Tak i *najmniejszy* jest wielki,
Jeśli go tylko Bogu poświęci
Człowiek, przez miłość i wiarę.
Bo nie z wartości, lecz *z dobréj chęci*
Bóg ceni ludzką ofiarę.
I by téj prawdy wzorem wam dowieść
I głębiéj utkwić w serduszku,
Powiém najprostszą, jak można, powieść;
Bo *o śmietanki garnuszku.*

Ongi żył w Wilnie żołnierz odstawny,
Stary weteran, bez nogi;
Przed laty rotmistrz chorągwi sławnéj,
W końcu inwalid ubogi.

Lecz Bóg mu, w zamian darów swych innych,
Dał dar najdroższy na świecie:
W jedynéj córce wzór cnót dziecinnych,
Najprzywiązańsze doń dziecię.

Tak, że ta nawet dola ich biedna
Zda się, że szczęściem jéj była;
Bo przez nią czuła, że ona jedna
Gorycz jéj ojcu słodziła.

I co-by może zdało się drugiéj
Upokorzeniem, przykrością,
Jéj, nieść najniższe ojcu posługi
Było największą radością.

A co dzień zwłaszcza piérwsza jéj sprawa
Była, ażeby co ranka
Już nań czekała gotowa kawa
I co najlepsza śmietanka.

Raz więc, gdy dzień już świtał w okienku,
A ona w rannym fartuszku,
Klęcząc przed piecem, drewienkiem w ręku
Zgarnia kożuszek w garnuszku,

Drzwi się otwarły: wszedł człowiek młody,
Z rotmistrzem widzieć się żąda.
Jéj wstyd ognisty oblał jagody,
I on zmięszany spogląda.

I jak w nas każdym, z lada ponęty,
Z lada wzruszenia — w téj chwili
Duch nasz kusiciel, i Stróż jéj święty,
Walkę w niéj o nię stoczyli:

«Wstyd ci, wstyd, hańba!» szepnęła pycha,
«Klęczeć przed piecem u garka!
«Patrz, jak się z ciebie ten pan uśmiecha,
«Myśli, żeś pewnie kucharka!»

Na szept téj myśli, już chce co żywo
Zemknąć: ruszyła już krokiem...
W tém Anioł ojca postać sędziwą
Przewiódł przed myślą i okiem:

Jak ją codziennie Bogu poleca,
Rad ze śniadania, staruszek. —
I znów dziewczynka bliżéj do pieca —
A już już wzbiera kożuszek.

«No! toż przynajmniéj mów» — tak przez próżność
Kusiciel w myśli rzekł daléj:
«Że to dla ojca; — niech twą pobożność,
«Niech twoję czułość pochwali!» —

Już ma coś mówić, chociaż się wstydzi,
Gdy w tém — jak z głębi serduszka,
Słyszy głos cichy: «Dość, że Bóg widzi.» —
I ach! war bieży z garnuszka.

Pierzchnęły wszystkie względy i trwoga;
Już na kolanach u pieca.
A w tém wszedł rotmistrz — i gość od proga
Dał krok i sam się zaleca.

Syn towarzysza w niejednéj bitwie,
Co oto w liście zaklina,
Aby młodzieńca, obcego w Litwie,
Rotmistrz przygarnął, jak syna.

I gdy staruszek rozczulon rzewnie,
Wspomniawszy młode swe lata,
Woła na córkę, i ręczy pewnie,
Że go też przyjmie za brata,

Twarz ich obojga ogniem spłonęła;
Bo wzajem z swego spojrzenia,
On wdzięk jéj duszy, — ona pojęła,
Że on jéj duszę ocenia.

I za lat parę, nieba łaskawe
Dały im dożyć téj chwili,
Że jak mąż z żoną, razem już kawę
Dla starych ojców warzyli.

Antoni Edward Odyniec.

ŚPIÉWKA.

Z wichrem, co dziko gra przez zagony,
Z boleścią sercu wydartą,
W dalekie kraje, w rodzinne strony,
W ustroń kochanki leć, karto!

Może westchnąwszy, z duszą rozdartą,
«Nieczuły!» krzyknie z zapałem;
Powiédz jéj wtedy, powiédz jéj, karto:
Zbytkiem uczucia zdrętwiałem.

Może, słowika czując w pobliżu,
O piosnkę ciebie zapyta?
Mów, że nas codzień jedna pieśń wita:
Twarda pieśń stali i śpiżu.

Powiédz, że chociaż cierpka i dzika,
Tak nam przystaje do duszy:
Że gra nam *wiosnę* z pieśnią słowika,
I gromy *lata* nam zgłuszy!

August Bielowski.

CHUDOBA

(PO NIEMIECKU: KUDOWA).

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ODBYTÉJ DO ZDROJOWISK SZLĄSKICH,

PRZEZ

Dra Frederyka Skobla.

Umyśliwszy sobie zwiedzić najsłynniejsze zdrojowiska szląskie, udałem się przed kilką laty do Chudoby, którą Niemcy zowią *Kudowa* albo *Cudowa*. Wody szlązkie dla lekarza Polaka są najciekawsze z pomiędzy postronnych; ponieważ znajdują się w kraju przytykającym do Polski, a niegdyś nawet do niéj należącym.

Od Krakowa wiedzie 36-milowa kolej żelazna aż do samej Nissy *(Neisse)*. Główniejsze miasta lub stacye kolei są: Krzeszowice, sławne z piękności swych okolic, wód siarczanych i mieszkania Adama Hr. Potockiego; — Trzebinia, z kąd się od kolei krakowsko-szląskiéj odrywa koléj do Wiédnia; — Szczakowa, gdzie się koléj krakowska zbiega z koleją warszawską; — Mysłowice, gdzie komora pruska.

W Szląsku pruskim kolej przechodzi po pod Gliwice *(Gleiwitz)*, sławne wielką fabryką żelaza, — Kozioł *(Kosel)*, znaną fortecę, gdzie się kolej krakowska łączy z koleją wiedeńsko-wrocławską; dalej po pod Opole *(Oppeln)* i Brzeg *(Brieg)*, które równie jak Kozioł, wszystkie nad Odrą są położone. Z Brzegu już tylko 5¼ mili na północ do Wrocławia; ale do Nissy wiedzie właśnie na południe oddzielna kolej, którą na Grotków przybywa się w 1¼ godziny do miejsca.

Opole jest stolicą Regencyi Szląska Górnego, który po dziś dzień wskróś jest polski; bo tylko zniemczona szlachta, Niemcy, z kąd inąd przybyli i żydzi mówią po niemiecku. Z resztą, ludność cała nietylko mówi po polsku; ale nawet po większej części, innego języka nierozumie.

Szląsk górny przypominający mi, na pierwszy rzut oka, swemi piaszczystemi równinami i borami pełnemi wszełkiej zwierzyny, rodzinne Mazowsze; był z początku przez Rząd pruski lekceważony, zapewne z przyczyny nieurodzajnej ziemi i ubóstwa ludności. Dziś on stanowi jednę z najpiękniejszych prowincyj korony pruskiej. Pomyślniejsze dla Szląska górnego czasy nastały dopiero ku końcu zeszłego stulecia; osobliwie, gdy światły minister Hr. Reden, szczególny opiekun górnictwa szląskiego nowe w nie tchnął życie, zwróciwszy uwagę na ten, aż do owej pory wzgardzony zakątek państwa. Odtąd widocznie zaczęły się podnosić Tarnowskie góry (po niemiecku: *Tarnowitz*), gdzie dziś urzędują najwyższe władze górnicze dla górnego Szląska, a pod miastem, osobliwie zaś w pobliskiej Strzybnicy (właściwie Srebrnicy; — po niem. *Silberhütte* albo *Friedrichshütte*) kopią ołowiankę, zawierającą w sobie śrebro, rudę żelazną i galman. O tym czasie wzrosły także Gliwice, Gotartowice, Ozimek, Kuźnica Rybnicka, Górna Ligota, Paruszowiec, Łosówiec (po niem. *Königshuld*); nadewszystko zaś Hajduki (po niem. *Königshütte*).

Tutaj, jako też w wielu innych rudniach (hutach), których liczba niemal codzień się pomnaża, przetapiają i przerabiają rozmaicie kruszec surowy, wydobyty z łona ziemi. Dziwnie też temu przemysłowi sprzyjają ogromne, doskonale zagospodarowane lasy i nieprzebrane pokłady wybornego węgla.

Tak ciekawym jadąc krajem, przybyłem na Grotków do Nissy.

Grotków *(Grotkau)* jest miejscem urodzenia sławnego kompozytora naszego Józefa Elsnera, zmarłego w Warszawie, dnia 18 Kwietnia 1855.

Nissa *(Neisse)*, niegdyś stolica udzielnego księstwa, obecnie znaczna twierdza, położona jest nad rzeką tegoż imienia, i ma 14,000 ludności, po większéj części katolickiéj. Znajduje się tu 10 mniéj więcéj starożytnych kościołów katolickich, a jeden ewangelicki. Pomiędzy tamtemi zasługują na uwagę ze względu na swą wielkość i budowę: kościół farny S. Jakuba, kościół krzyżacki, obadwa założone ku końcu 12go stulecia, i kościół Wniebowzięcia P. M., pospolicie po-jezuickim albo gimnazyalnym zwany. W pierwszym pilnują porządku i przyzwoitości (mianowicie: żeby mężczyzni siedzieli po jednéj stronie, a niewiasty po drugiéj; aby się nie rozglądano i rozmawiano ze sobą) dwaj stróże w ubiorze odźwiernych, z wysokiemi laskami; ale zbyt ugalonowani. Kościół SS. Piotra i Pawła należał niegdyś do krzyżaków czyli bożogróbców, z tąd też krzyżackim nazwany. Wystawiony w smaku jońskim; wewnątrz jest jaskrawo wymalowany i ozłocony i mieści w sobie wizerunek P. Maryi, malowany przez Rubensa, albo raczéj, jak się innym zdaje, tylko naślad obrazu tego znakomitego mistrza. Podobno ten obraz złupił podczas wojny siedmioletniéj jeden z najdorodniejszych żołnierzy Frederyka II, i za to miał być powieszonym. Winowajca tém usprawiedliwiał posiadanie klejnotów zawieszonych na rzeczonym obrazie, iż sama P. Marya mu je poda-

rowała. Król tedy zapytał księży, azaliby to być mogło? A gdy duchowieństwo przypuściło tego rodzaju darowizny, Fryderyk II uwolnił go od szubienicy; ale przestrzegł zarazem, aby na przyszłość pod karą śmierci nie przyjmował żadnych podarunków od P. Maryi. Jest w Nissie gimnazyum katolickie, w gmachu po-jezuickim.

Już nie kolej żelazna, ale zwyczajny 13-milowy bity gościniec prowadzi na Otmuchów, Paczków, *Reichenstein*, Kładzko *(Glatz)* i Dusznik *(Reinerz)* do Chudoby.

Otmuchów, nad Nissą, liczy około 3,000 ludności; słynie z nadzwyczaj pięknego położenia, i był dawniéj własnością sławnego z nauki i szlachetności ministra pruskiego Wilhelma *Humboldt'a*

Starodawny Paczków, podobnież nad Nissą, ma około 3,000 mieszkańców, i jest otoczony murami, basztami i rowami.

Tuż nad granicą rakuską *Reichenstein*, zamieszkały jest przez 1300 obywateli, których najważniejszém zatrudnieniem jest górnictwo. Kopią tam krusz arsenikowy, czyli siarkoarsenek żelaza w dwóch szybach, leżących o ćwierć mili za miastem, na drodze do Kładzka. Początki tego przemysłu sięgają tu 12go stulecia. Ale najbardziéj kwitnęło w *Reichenstein* rudnictwo w stuleciu 16tém. Wtedy, mianowicie roku 1520 wystawiono tu nawet mennicę, w któréj mieści się teraz urząd górniczy dla Księstwa Ziębickiego (czyli z niemiecka: Mynsterberskiego) i Hrabstwa Kładzkiego. Tu od r. 1520 zaczęto bić czerwone złote, których w niektórych latach do 25,000 w obieg puszczano. Atoli na początku 18go stulecia zaniechano zupełnie wydobywania złota z kruszu arsenowego. Kwasu arsenowego, kopalnie *Reichenstein*'skie dostarczają rocznie około 600 cetnarów.

Dojeżdżając do *Reichenstein*'u widać na prawo o półtory mili od gościńca, na skale okazały zamek, który tu, w po-

bliskości dawnego klasztoru Cystersów, zwanego Kamienica, (po niem. *Kamenz*), w r. 1838 Księżna Marya, żona Księcia pruskiego Albrechta, stawiać poczęła z niesłychanym nakładem. Wystawiono go według zarysu sławnego budownika berlińskiego *Schinkl'a*, w smaku starogotyckim, po większéj części z głazów, wyłamanych z téj saméj skały, która go dźwiga. Ma on zawiérać w sobie około 100 komnat mniejszych i większych; 4 wielkie baszty ma po rogach, a 8 mniejszych ma być wśród muru, otaczającego ten gmach olbrzymi, około którego zawołany ogrodnik na 100 morgach ziemi założyć miał ogród angielski. Do téj budowy sprowadzono mnóstwo najzręczniejszych rzemieślników z różnych stron, nawet z Anglii. Atoli z przyczyny rozwodu stadła Książęcego, a skutkiem tego wyjazdu Księżny Albrechtowéj do Włoch, zaniechano dokończenia tego zamku.

Kładzko (po niem. *Glatz*), niegdyś stolica udzielnego Hrabstwa, należącego razem ze Szląskiem do korony czeskiéj; obecnie twierdza i główne miasto powiatu tego imienia, liczy 10,000 mieszkańców; leży po obu stronach Nissy. Na lewym brzegu rzeki jest dawna czyli główna twierdza, oparta o górę Zamkową zwaną, wyniesioną na 928 stóp nad poziom Baltyku; na prawym zaś znajduje się tak zwana Warownia Nowa, na górze Owczarskiéj, po części wykuta w skale, założona przez Frederyka II po zajęciu Szląska. Król ten i starą twierdzę tak dalece umocnił, iż zdaniem wojskowych, teraz tylko przez wygłodzenie mogłaby być wziętą. Na zamku stoi wieżyca, z któréj, jako górującéj nad morzem Baltyckiém o 1117 stóp, widok dokoła jest zachwycający. Wieść niesie, że w téj twierdzy przechowywano przez długie lata ów sławny bęben, z woli konającego *Żyżki*, wielkiego wodza Hussytów, obciągnięty jego skórą, żeby go się nieprzyjaciele bali nawet po śmierci, gdyby w ów bęben uderzono. Słychać, iż Prusacy, wkrótce po opanowaniu Kładzka wywieźli bęben do Berlina i złożyli w tamecznéj zbrojowni.

W mieście znajduje się odwieczny, okazały kościół farny, ozdobiony dwiema wieżami, a w nim groby 7miu książąt szląskich, którzy byli zarazem hrabiami Kładzkiemi; kościół po-franciszkański, i zbór ewangelicki, wybudowany r. 1748, przez długi czas jedyny w całém hrabstwie Kładzkiém. Jest też tu gimnazyum w gmachu ogromnym, który niegdyś był kollegium Jezuitów. Kładzko, chociaż wcale nie wielkie, posiada bardzo wiele sklepów kupieckich, wcale ozdobnych. W ogólności widać tu wielki ruch ludności, ile się zdaje, zamożniejszéj, niż w wielu innych miastach szląskich. Przytém bruk dobry; ochędóstwo na ulicach wzorowe.

Przez Dusznik (p. n. *Reinerz*) (sławny swemi wodami i serwatką) i Miasteczek (po n. *Lewin*) przybyłem do Chudoby.

Chudoba, z któréj Niemcy przez mylne wymawianie zrobili «Kudowę,» jest to osada czeskich Hussytów, złożona z blisko 400 głów, leżąca niespełna pół mili od granicy czeskiéj, w ciasnéj sapistéj dolinie, na południowo-zachodniéj pochyłości gór Sienniczych (po niem. *Heuscheuergebirge*). Niezbyt dawno należała ona raem z 4 pobliskiemi wsiami t. j. z Wielką Czerwoną *), z Jakubowicami, ze Strausném **) i Bukowiną do hr. *Götzen*'a. Potém prawem spadku przeszła do hr. Magnisa, a od tego nabyli ją w r. 1851 bogaci przemysłowcy *Freibur*'scy (z *Freiburg*'a szląskiego) bracia Kramstowie.

W pięknéj dolinie znacznie rozszérzonéj tam, gdzie się

---

*) Mała Czerwona leży już w Czechach. Chociaż ludność tak tu, jak tam jest czeską, Prusacy Wielką Czerwoną przezwali „*Deutsch-Tscherbenei.*“

**) Czeski przymiotnik „strausny“ znaczy wyżłobiony, a jak się zdaje, stosuje się do położenia téj wsi w rozdole. Niemcy wieś tę nazwali po swojemu „*Straussenei.*“ Podobnież poradzili sobie z inną osadą czeską, leżącą także w Kładzkiém, która u ludu miejscowego nazywa się „Nauzny,“ t. j. nędzny. Tu znowu z Nauznego zrobili „*Nauscnei.*“

52

kończy wieś Chudoba, a która o 1235 stóp przewyższa poziom morza Baltyckiego, biją źródła wybornéj szczawy żelezistej, którą tu w krótkości opisać zamierzam.

Chociaż zdrojowisko to znajduje się na tak znacznéj wysokości *), to jednak na ostrość powietrza skarżyć się tu nie można; ponieważ dolinę Chudobską, otwartą ku południo-zachodowi, od północy i wschodu zasłaniają dosyć wysokie góry, które zimnym wiatrom, z tych stron świata wiejącym, bronią do niéj przystępu. Trzon gór, ciągnących się po obu stronach doliny, stanowi granit, łupek łyszczykowy i piaskowiec czerwony. Wśród tych gór przedzierają się przez ił białawy, pokryty dosyć grubą warstwą zwiru, trzy źródła wody kwaśnéj, w łonie ziemi zapewne ze sobą połączone; z pomiędzy których zdrój, leżący najbardziéj ku południowi, nazwany źródłem pitnym *(Trinkquelle)*, wytryskujący z 7 otworów, dostarcza wody do picia i do kąpieli, urządzonych w tak zwanych łazienkach nowych. Ze zdroju północnego, który nosi nazwisko źródła górnego *(Oberbrunnen)*, prowadzą wodę do łazienek starych. Źródło zaś znajdujące się pomiędzy temi dwoma, zaopatruje swym kwasem węglowym wanny gazowe, i z tego powodu otrzymało nazwisko źródła gazowego *(Gasquelle)*.

Co się tycze przymiotów fizycznych, woda ze wszystkich trzech źródeł w niczém się nie różni. Burząc, wydobywa się z głębi ziemi. Na powierzchni tworzy mnóstwo mniejszych i większych baniek gazu kwasu węglowego, który zbiéra się nad wodą, tworząc warstwę, na 2—3 stopy grubą. Co tylko zaczerpnięta, jest przeźroczystą, okazuje bardzo wiele banieczek, przyczepionych do ścian szklanki; smak ma kwaskowaty, szczczypiący, na końcu zaś cierpki.

---

*) Wszelako Dusznik *(Reinerz)* o 1 1/2 mili bliżéj, leży jeszcze o 500 stóp wyżéj, niż Chudoba.

Źródła te należą do najokwitszych, jakie tylko znamy. Albowiem źródło górne dostarcza w przeciągu godziny 4469 kwart pruskich, a źródło pitne 13,122 $^1/_2$ kwarty. Źródło zaś gazowe wydaje z siebie za 15—20 minut 11 stóp sześciennych gazu kwasu węglowego. Na tyle szczaw, znajdujących się w Szląsku i w Hrabstwie Kładzkiém, w Chudobie korzystano nasamprzód z tak wielkiego zasobu kwasu węglowego i już blisko 30 lat temu, jak Dr *Kneissler* urządził tam z niego kąpiele i natryski *(douche)* czyli właściwie nadmuchy gazowe.

Ciepłota wody ze źródeł Chudobskich, tak wśród największych upałów, jako i podczas najtęższych mrozów, wynosi statecznie + 9° R. czyli 11, 25° C. — Ciężar właściwy wody ze zdroju pitnego, ogrzanéj do + 14° R. wynosi według *Duflosa*, znakomitego chemika Wrocławskiego, 1,00235.

Ze względu na swój skład chemiczny już kilkakrotnie badane, mianowicie przez K. A. *Hoffmann*'a (1787 r.), *Kneissler*'a (1795 r.), Mogałę (1802 r.), *Fischer*'a (1835 r.) i *Duflos*'a (1850 r.), wody Chudobskie należą do szczaw żelezistych, alkalowo-zimnych, t. j. do owych wód, które obok mniejszéj lub większéj ilości soli alkalowych i ziemnych, opływają w kwas węglowy, a nadto zawiérają w sobie przynajmniéj 0,100 ziarna węglanu żelazawego w funcie knpieckim (czyli 16 uncyach) wody; które więc przedewszystkiém pobudzają i krzepią zarazem.

Następująca tabliczka wykazuje nam skład chemiczny wody ze wszystkich trzech zdrojów, według najnowszego rozbioru *Duflos*'a.

Tenże znalazł w 16 uncyach wody po 25,6 calów sześciennych:

W ZDROJACH:

	pitnym	gazowym	górnym
	Z I	A	R N
Dwuwęglanu sody	9,4086	9,50000	7,3000
Siarkanu sody krystalicznego.	5,4246	5,45700	4.1870
Chlorku sodu	0,9000	0,91200	0,7020
Chlorku potasu	0,0342	0,03200	0,0246
rozpuszczone w szczérym kwasie węglowym.			
Węglanu wapna . . .	3,7672	3,85000	2,9500
Fosforanu wapna . .	0,0514	0,04137	3,0320
Węglanu magnezyi . .	1,2000	1,23000	0,9470
Węglanu żelazawego .	0,1970	0,20980	0,1510
Arsenianu żelazawego .	0,0120	0.01608	0,0082
Węglanu manganawego	0,0214	0,02170	0,0164
Kwasu Krzemowego .	0,7038	0,70500	0,6100
Istot organicznych	——	——	0,4500
Szczérego kwasu węglowego .	33,25 cal. sześc.		

Porównywając ze sobą wodę Chudobską z najsławniejszemi szczawami żelezistemi niemieckiemi i krajowemi, pokazuje się, że takowa może z niemi iść o lepsze. Chociaż bowiem wody *Schwalbach*'skie, mianowicie woda ze zdroju winowego i ze zdroju stalistego zawierają w 16 uncyach po 1,05 i 1,02 ziarna węglanu żelazawego *(Kastner)*, woda Pyrmoncka ze zdroju głównego w takiéj saméj ilości 0,73 ziarn *(Brandes)*, woda Franciszko-łazieńska *(Franzens-bad)* ze zdroju łąkowego 0,37 zr. *(Wolf)*, woda Dryburska ze zdroju pitnego 0,34 zr. *(Warrentrapp)*, woda Langenowska 0,28 zr. *(Duflos)*, woda Krynicka ze zdroju głównego 0,16 zr. *(Czyrniański)* soli wzwyż wzmiankowanéj; to jednak szczawa Chudobska, ze względu *na swe bogactwo kwasu węglowego*, mało któréj z tych wód ustępuje pierwszeństwa. Albowiem w 16 uncyach wody Dryburskiéj znaleziono 51 cal. sześc. tegoż gazu, w szczawie Krynickiéj 46 c. s., w wodzie Pyrmonckiéj

44 c. s., w wodzie Franciszko-łazieńskiéj ze zdroju Franciszkowego 40 c. s., w wodzie Szwalbaskiéj ze zdroju Paulininego 39 c. s., w szczawie Langenowskiéj 33,5 c. s.

Jeżeli jednak niemało szczaw żelezistych więcéj posiada *węglanu żelazawego*, aniżeli szczawa Chudobska, to przecięż ten przymiot nie powinien jéj upośledzać w oczach lekarza, świadomego rzeczy, a zatém wiedzącego, że ustrój, w którego krwi niedostaje należytéj ilości żełaza, poprzestaje na bardzo małéj ilości tego kruszcu; przeto taki chory, używając go, wrychle nim się nasyca i przesyca. Przeciwnie w wodzie Chudobskiéj bardzo sobie cenić wypada okwitość *gazu kwasu węglowego*, nader dzielnego bodźca dla ciała, który nietylko uprzyjemnia smak wód żelezistych i czyni je strawniejszemi, ale osobliwie w czasach nowszych ważne znalazł zastósowanie zewnętrzne.

Juz z tego porównania szczawy Chudobskiéj z innemi szczawami żelezistemi widać, że z pomiędzy wszystkich jéj składników, prócz wody, uważanéj saméj przez się, najwięcéj sobie cenię węglan żelazawy i kwas węglowy; acz dla tego innych części składowych téj szczawy, zwłaszcza takich, które się w niéj znajdują w ilości znaczniejszej, wcale sobie lekce nie ważę, i owszem przyznaję im nie małą skuteczność. Wprawdzie tegocześni niedowiarkowie rozumieją, iż żelazo, w jakiéjkolwiek formie takowe zażywaném będzie, choremu na nic się nie przyda; ponieważ albo całkowicie odchodzi z kałem, alboli téż w krótce z moczem oddawaném bywa, a więc nie bywa przyswajaném. Atoli w tym względzie należę do starowierców lekarskich. Albowiem szanuję w żelezie jeden z najcenniejszych leków, jeden z najdzielniejszych posiłków, jeżli tylko choremu, który je zażywa, nie będzie zbywało na stósownem pożywieniu. W takim razie dostawszy się do krwi, nasparza w niéj ilość krążków, téj cieczy właściwych, poprawia niedostateczne odży-

wianie ciała, zgęszcza zrzedniałe, stęża zbyt wątłe tkanki, a zatém zastanawia toki, pochodzące zarówno z wady krwi, jako i części zsiadłych. Kwas węglowy zaś, czy-to wprowadzany do żołądka, czyli też zastósowywany do powierzchni ciała; z wodą lub też sam przez się, dzielnie pobudza nerwy, rozpostarte po ścianach żołądka i jelit, lub według sposobu użycia, po skórze, a następnie i same błony, a tak zaradza częstokroć otrętwieniu, gnuśności, a nawet i porażeniu tych części, z któremi się styka.

Owóż już sam węglan żelazawy, osobliwie zaś w połączeniu z węglanem i fosforanem wapna, tudzież kwas węglowy, tłum czy nam dostatecznie skuteczność szczaw Chudobskich, nasamprzód w niedokrewności i osłabieniu całego ciała; w nieżycie przewłocznym, *(in catarrho chronico)* czy-to odetchów, czyli też żołądka i jelit, czyli wreszcie męcherza (pęcherza) lub *in fluore albo;* takoż jeżeli odchód krwi *sub menstruatione* przechodzi zwykłą miarę, albo li też przeciwnie, takowa się zatrzymała. Również zaradzają wody przerzeczone skłonności do poronienia; koją nerwobóle i kurcze, jeźli takowe pochodzą z niedokrewności, i przywracają siłę żywotną, przez nadużycie utraconą; wreszcie pod wpływem tych wód, części porażone, osobliwie nogi, tudzież zdziergacze męcherza i jelita odchodowego, odzyskują czucie i władzę poruszania takowemi, a według okoliczności kurczliwość dowolną.

O ile zaś wody Chudobskie w tych niemocach częstokroć pomagają; o tyle znów należy się wystrzegać używania tychże ludziom krwistym, a jeszcze bardziej dotkniętym przekrwieniem wnętrzności, lub wcale zapaleniem.

Jak wiadomo dwuwęglan sody, węglan i fosforan wapna, chlorek sodu i potasu, wreszcie siarkan sody, znajdujący się także w szczawach Chudobskich, należą do prawidłowych składników ciała naszego. Kiedy jednak sól na ostatku przy-

toczona, o ile takowa, tak jak i inne siarkany alkalowe od zewnątrz pochodzi, zaledwo wejdzie do ustroju, jużci zaraz z niego rugowaną bywa; a więc nie zdaje się mieć pewnego przeznaczenia w ustroju: o tyle znów wszystkie inne sole przerzeczone, ważne ciału naszemu oddają usługi; już-to wysycając zbytnie kwasy w ciele, jak dwuwęglan sody, który nadto do czasu przechowuje dla ustroju potrzebny na różne cele kwas węglowy; już-to utrzymując płynność białka, jak chlorek sodu; już wreszcie przyczyniając się do odżywiania, do skrzepiania ciała, jak fosforan i węglan wapna. Przeto obecność soli powyższych w wodzie Chudobskiéj popierać musi zbawienne działanie żelaza i kwasu węglowego.

Co się zaś tycze obecności arsenianu żelazawego w szczawach przerzeczonych, takowa więcéj może zająć fizyografa, aniżeli lekarza. Ten bowiem, jeźli nie jest zwolennikiem *Hahnemann*'a, nie może się spodziewać wielkiego skutku po takiéj soli, któréj zaledwo ziarno znajduje się w stu funtach wody, tylekroć wzmiankowanéj. Tamtemu jednak nie powinna być obojętną wiadomość, iż do niemałéj liczby wód lekarskich, w których w nowszych czasach wykryto arsen, znowu jedna przybyła.

Przeciwko niemocom wzwyż pomienionym, chorzy pospolicie pijają wodę i kąpują się w niéj. Niektórzy jednak poprzestają na pijaniu takowéj.

Za mojego pobytu w Chudobie, pijano tameczną szczawę rano, wśród lata od godziny 5, ku jesieni zaś dopiero od godziny 6, szklankami, obejmującemi mniej więcéj półpiętéj uncyi wody, zwykle na czczo. Tylko osobom bardzo mdłym, pozwalano przed wyjściem z domu wypić kubek naparu rumianku lub miętkwi albo kawy czarnéj. Rozpoczynano picie wody od dwóch lub trzech szklanek; a dodając do téj liczby co kilka dni po jednéj, dochodzono do 8, lub najwięcéj do 10 szlanek na dobę; zachowując sobie wtedy speł-

nienie 3 lub 4 szklanek na popołudnie, między godziną 5 a 7. — Chorzy, dla których szczawa Chudobska jest za zimną, a takiemi bywają zwykle osoby, zdjęte wadami odetchów, które swą wygórowaną tkliwość objawiają przez kaszel; tacy chorzy pijają z dobrym skutkiem wodę przerzeczoną z letniém mlekiem lub słodką serwatką z mleka koziego, mięszając jedno z drugiém półnapół, alboli też dolewając do wody tylko trzecinę mleka lub serwatki. — Czasem woda Chudobska pijącym takową, zwłaszcza z początku zatyka żywot. Wtedy najlepiéj, idąc w tym względzie za radą doświadczonego Mogały, w piérwszéj szklance wody rozpuszczać po 2 lub 3 drachmy soli Glauberskiéj, a to dopóty, dopóki ten odbyt nie wróci do biegu prawidłowego.

Kąpiele zalecane bywają w Chudobie chorym, już-to ku popieraniu skutków wody pitéj; już téż w takich przypadkach, gdzie chorzy szczawy tamecznéj nie znoszą, ponieważ słabość lub zupełna bezwładność nie dozwala im się przechadzać. Skuteczność tych kąpieli zależy zapewne przedewszystkiém od gazu kwasu węglowego, pozostałego nawet w wodzie, do pewnego stopnia ogrzanéj. Woda, przeznaczona do wanien, najczęściéj ogrzewaną bywa do + 24° R. Tylko wyjątkowo osoby nader tkliwe na zimno kąpują się w wodzie, któréj ciepłota doprowadzaną bywa do + 28° R.

Ze względu na porę do kąpania najwłaściwszą dla tych, którzy także pijają szczawę, różnią się zdania lekarzów. Lekarz zdrojowy, Dr Nentwig, radzi takim chorym, aby się kąpywali rano, pomiędzy godziną 9 a 11; a zatém mniéj więcéj we 2 godziny po śniadaniu. Atoli poprzednik Dra Nentwiga, Dr Karol *Hemprich*, autor rozprawy o wodach lekarskich w Chudobie *), acz w ogólności taką samą zale-

---

*) Wydanéj pod napisem: „*Die Heilquelle zu Cudowa (sic!) in der Grafschaft Glatz.*“ *Breslau, 1831.* — Drugie wydanie tego pisemka pojawiło się tamże 1839 r.

cał kolej: to jednak przyznawał, iż, byleby tylko chory mógł lub chciał, nierównie większéj lub przynajmniéj rychlejszéj doznałby pomocy z używania wód Chudobskich, gdyby się nasamprzód kąpywał, a potém dopiero, odziawszy się ciepło, udawał się do źródła. Z taką też radą od swych lekarzów przybyło do Chudoby kilku chorych z Berlina, których tam zastałem. I ja też poczytuję ją bezwarunkowo za stósowniejszą, aniżeli ową pospolitą, naprzód przywiedzioną. Albowiem siedzenie w wannie z pełnym żołądkiem, nie tylko, że w ogóle bywa nieprzyjemném; ale nadto, jeżeli kąpiel jest zbyt ciepła, wtedy może wzniecić bicie krwi do głowy, nieraz niebezpieczne. Jeżeli zaś jéj ciepłota jest umiarkowana, lub wcale woda w wannie chłodna, wówczas, pomnąc na to, iż woda Chudobska pędzi mocz potężnie, używanie wanny po wypiciu kilku szklanek wody, może niepokoić kąpiących się z przyczyny silnego parcia do oddania moczu, lub zniewolić ich do zawczesnego wyjścia z wanny.

Okrom kąpieli zwyczajnych t. j. z wody, Chudoba nastręcza jeszcze sposobność używania kąpieli z gazu kwasu węglowego, czyli pospolicie tak zwanych kąpieli gazowych. Gazu tego dostarcza obficie, jak o tém już powyżéj nadmieniłem, tak zwane źródło gazowe. Nad niém znajduje się zbiornik gazu, zwykle gazometrem zwany. Jest to naczynie obłe (czyli walcowate) bez dna, z wierzchem sklepistym, z grubéj blachy żelaznéj, mające 4 stopy i cal średnicy. Ażeby gaz, wydobywający się z wody, nigdzie nie uchodził, wsunięto w ten zbiornik od dołu cewę żelazną, nieco cieśniejszą niż naczynie właśnie namienione, u spodu rynienkowato wygiętą, i tą częścią przytykającą do cembrzyny. Tak tedy wznoszeniu się gazometru, przynajmniéj tarcie o cewę weń wpuszczoną, nie przeszkadza. Nadto dodać tu muszę, iż ku zupełnemu odgrodzeniu gazu, zawartego w zbiorniku, od powietrza zewnętrznego, w rynience cewy przerze-

53

czonéj znajduje się woda. Ponieważ zaś ów zbiornik waży 271 funtów; przeto aby nagromadzającemu się w nim gazowi ulżyć dźwiganie tego naczynia, przyczepiono doń 6 ciężarów, wiszących na łańcuszkach, którym ruch ułatwiają bloczki. Zbiornik, o którym mowa, może się wznieść do 10 calów. Wtedy gaz w nim skupiony wskazuje na manometerze wodnym ciśnienie = 3 calom i zapełnia przestrzeń 11 stóp sześciennych. Niedopuściwszy zaś podnoszenia się gazometru, parcie gazu dochodzi do 8½ ciśnienia wody.

Gaz kwas węglowy, zebrany w gazometrze, wyprowadza zeń, a wpuszcza do 4 łazienek cewa żelazna, wpuszczona aż do dna źródła, a która w tém miejscu, gdzie się wznosi nad poziom wody, jest o wiele przestrzeńszą, tak, iż tworzy nie ledwie banię, aby w niéj zbierała się i znowu ściekała woda, porwana od pędzącego ku górze gazu. Ponad tą banią załamana cewa posuwa się pod posadzką podsienia aż do łazienek, a z tamtąd znowu do ustawionych tamże wanien zynkowych. W tych cewach znajdują się kurki, które stósownie do tego, jak są nastawione, pęd gazu kierują, albo ku wannie, alboli téż, gdy go nie potrzeba, wypuszczają go pod dachem podsienia; aby, gdyby tego ujścia nie miał, nie rozsadził lub w inny sposób nie uszkodził zbiornika. Oprócz tego w każdéj łazience wprawioną jest w cewę, sprowadzającą gaz kwas węglowy, przypartą do ściany, a wznoszącéj się pionowo, pod kątem prostym, na 8 lub 10 stóp powyżéj podłogi ceweczka ciasna, na któréj, w razie potrzeby osadza się jeszcze cieśniejsza, ze sprężnika, krótsza lub dłuższa, kierowana ku oczom, lub wpuszczana do przewodu słuchowego zewnętrznego, ku pobudzeniu otrętwiałych nerwów tych narzędź zmysłowych. Upewniał mnie Dr Nentwig, że taki nadmuch pomógł już kilka razy na niedosłyszenie. W takich ceweczkach poziomych znajdują się także kurki, służące nie tylko ku zamykaniu ich, ale i ku miarkowaniu (zmniejszaniu) pędu gazu.

Urządzenie zaś łazienek gazowych jest następujące. W każdéj wannie zynkowéj stoi ławeczka, mająca w środku otwór, a na niéj leży poduszka, pokryta safianem. Żeby zaś dno i ściany wanny nie ziębiły, lub w ogóle, przy dotykaniu się ich, nie robiły przykrego wrażenia na obnażonych chorych; przeto każda z nich wpuszczoną jest w przestrzeńszą drewnianą, aby wtedy, gdy chory ma brać kąpiel gazową, można ją napełnić wodą gorącą, ku ogrzaniu wanny kruszcowéj. Zaledwo potrzeba tu wspomnieć o tém, że każda taka wanna pokryta jest wiekiem, i że po użyciu kąpieli, pozostały gaz wypuszczonym bywa z wanny za pomocą cewy, znajdującéj się na jéj dnie, a prowadzącéj do podziemnego upustu. Tym sposobem każden chory bierze kąpiel ze świéżo do wanny wpuszczonego gazu.

Wiadomo to lekarzom, jak silnym gaz kwas węglowy jest bodźcem, naprzód dla nerwów i naczyń, rozpostartych po skórze; tudzież, iż wkrótce po tém pobudzenie powierzchni ciała udziela się całemu układowi nerwów i naczyń krwionośnych, a tém samém i wnętrznościom. Z tego powodu używają kąpieli z tego gazu tak w Chudobie, jako i u innych zdrojów wody, opływającéj w takowy przedewszystkiém na porażenie; ale i na różne dolegliwości, pochodzące ze stłumienia czynności skóry; między innemi na puchlinę skórną, lub jeźli z jakiego innego powodu wypada podniecić czynność powłoki wzwyż pomienionéj. Na te niemoce zaleca Dr Nentwig kąpiele z gazu przerzeczonego, z tą przestrogą, żeby chory z początku nie zostawał w wannie dłużéj, jak 10, a późniéj 20 minut.

Jako dowód zaufania, które lekarze pokładają w skuteczności kąpieli z gazu kwasu węglowego na porażenie, znalazłem w Chudobie niemało chorych, których chód był wskazówką poczynającego się porażenia nóg. Ale pokazywano mi też kilku mężczyzn, chodzących wcale dobrze, którzy na

kilka tygodni przed mojém przybyciem do Chudoby, jak to mówią, włóczyli za sobą nogi i to tylko przy pomocy jednego lub wcale dwu towarzyszów. U nich skutek wód Chudobskich i kąpieli gazowych był nie tylko niewątpliwy i widoczny, ale i, pomnąc na uporczywość porażeń w ogólności, nad podziw rychły.

* *

*

Zapoznawszy czytelnika z przymiotami lekarskiemi szczaw Chudobskich, zastanówmy się teraz nad tém, jaką koleją zdrojowisko to doszło do obecnego stanu.

Wprawdzie woda, tylekroć wspominana, już w r. 1622 znaną była ze swéj własności uzdrawiania wielu chorych, i z tego powodu już wówczas była używaną. Wszelako dopiéro między r. 1772 a 1791 ówczesny dziedzic Chudoby hr. *Leslie* kazał zródła pokryć dachem i wystawić dom drewniany dla przybywających tu chorych. W r. 1792 stanęły z woli nowego właściciela tych dóbr, hr. *Stillfried*'a łazienki, a inne ulepszenia, mianowicie ocembrowanie i trwalsze pokrycie źródeł; urządzenie do kąpieli dżdżowych i do natrysków, przyszły do skutku w r. 1797. W tym też roku stanęły największe budowle i założono w Chudobie ogród angielski. Następca w posiadaniu klucza Czerwonego, hr. *Götzen*, nie żałował także pracy i nakładu, aby przez staranie o wygody i przyjemności dla przebywających tu chorych, tudzież o umiejętną opiekę lekarską, zdrojowisku temu zjednać wziętość a z postępem lat i sławę. On-to pozyskał dla Chudoby uczonego i biegłego lekarza w osobie Dra Karola *Hemprich*'a, o którym już powyżéj wspomniałem. Jeżeli zaś mimo te zabiegi zdrojowisko przerzeczone, osobliwie w drugim i trzecim dziesiątku bieżącego stulecia przez le-

karzów zaniedbaném zostało; to zapewne głównym do tego powodem, który z resztą nie tylko do Chudoby, ale i do wszystkich innych zdroisk tego rodzaju zastósować należy, było niemal powszechnie wówczas zalecane i używane leczenie przeciwzapalne, a późniéj znów leczenie rozrzedzające, rozwalniające. Ale nie mogę tu pominąć milczeniem przyczyny miejscowéj; a tą był niestety! sam lekarz zdrojowy, poprzednik Dra *Hemprich*'a, Dr *Kneissler*, który, acz ceniony dla swéj nauki, przez nieprzyjazne zachowywanie się względem lekarzów, powierzających mu swych chorych, tak dalece naraził sobie wszystkich kollegów, że ci, mianowicie lekarze Wrocławscy, odtąd swych chorych, potrzebujących skrzepienia, do innych wód żelezistych posyłać zaczęli i w tém postanowieniu, z wielkim dla Chudoby uszczerbkiem przez długie lata wytrwali. Dopiéro niedawno dla wód żelezistych, a w szczególności dla Chudoby, pomyślniejsze nastały czasy, a pierwszym objawem nowego życia, jakie w to zdrojowisko wstąpiło, były wystawione w r. 1853 tuż przy źródle gazowém łazienki, służące do brania kąpieli z gazu kwasu węglowego, razem z mieszkaniem dla dozorcy zdrojowego; poprzed któremi znajdujące się szerokie podsienie, jest miejscem przechadzki dla chorych, pijących wodę w porze dżdżystéj.

Obok téj skromnéj budowli drewnianéj, stoją po jednéj stronie, ku północy, tak zwane Łazienki Stare z godzinnikiem, i gospoda ze stołownią (restauracyą); po drugiéj zaś stronie, od południa, stoją tak zwane Łazienki Nowe. Są-to dosyć wielkie domy murowane, w których na dole kąpują się chorzy, a na piętrze znajdują się mieszkania. W starym gmachu jest 22 łazien, a w nowym 20. Za Staremi Łazienkami znajduje się źródło górne, z którego wyciągają wodę do wanien, a za niém znowu sklepiki, w których dostać można rzeczy, należących do pierwszych potrzeb do życia,

mianowicie wyśmienitego pieczywa. Sklepiki te, ustawione we 2 rzędy, tworzą uliczkę, po za którą leży już na wzgórzu druga gospoda ze stołownią. Naprzeciw łazienek gazowych i Nowych leżą ku wschodowi dwa okazałe domy mieszkalne, przeznaczone dla gości, o piętrze, ponad którém na poddaszu znajdują się także skromne i tanie mieszkania dla chorych mniéj zamożnych. Większy dom zowią Zamkiem; mniejszy «Domem w ogrodzie» *(Gartenhaus)*. Wreszcie po za łazienkami Nowemi, ku zachodowi, leżą na dwu wzgórzach jeszcze dwa wielkie domy dwupiętrowe, zwane Pawilonami, a w każdym z nich znajduje się około 80 pokojów dla gości; tak, iż we wszystkich razem przeszło 300 osób wygodnie pomieścić się może. Jednak od lat wielu liczba przybytniów, szukających tu zdrowia, nie dochodziła liczby 200 *). Teraz ich bywa do 300.

W tych wszystkich domach, zabezpieczonych gromnikami od licznych piorunów, uderzających w tę dolinę podczas burz letnich, znajdują się mieszkania, już-to o jednéj skromnéj izdebce z odpowiedniemi sprzętami, już téż złożone z kilku pokojów, a nawet i kuchni, ze sprzętami wytwornemi i pościelą, po cenie w ogólności umiarkowanéj.

Pomiędzy owemi zabudowaniami, w pobliskości źródeł, poczyna się rozkoszny ogród angielski, ciągnący się doliną, pod Pawilonami aż do wielkiego stawu, po za którym widać piękny młyn murowany. Széroka ulica od domu ogrodowego do stawu, wysadzona jest olbrzymiemi grabami. Re-

---

*) Niejaki uszczerbek przynosi temu zdrojowisku Langenów niższy (po niem. *Nieder-Langenau*), wieś leżąca także w Hrabstwie Kładzkiém, o pół mili od miasta powiatowego *Habelschwert*'u, posiadająca źródło szczawy żelezistéj alkalowo-ziemnéj, która co do ilości gazu kwasu węglowego wyrównywa szczawie Chudobskiéj, węglanu żelazawego zawiéra więcéj, aniżeli jéj spółzawodniczka; ale za to nierównie mniéj dostało jéj się w udziale soli alkalowych i ziemnych.

sztę zaś doliny pokrywa cudnéj świeżości murawa, poprzerzynana rowami i krętemi ścieżkami, posypanemi czerwonym piaskiem, a na niéj dopiéro zachwycają oko już-to osobno stojące ogromne modrzewie, sosny pospolite i amerykańskie (czyli sosny Wejmutowe — *pinus strobus*); jesiony płaczące, tworzące piękne szałasze; grochowniki, mylnie przezwane akacyami, i dęby; — już téż całekępy drzew i krzewów, jak najpiękniéj dobranych, oraz pomniejszych roślin strojnych, kwitnących po kolei od wiosny aż do późnéj jesieni.

Naprzeciwko Pawilonów, od wschodu, piętrzy się wzgórze, zataczające się w łuk, który ciągnie się ku północy. Na szczycie jego wznosi się skromny kościółek ewangelicki, wystawiony r. 1798, w którym raz na miesiąc odprawia nabożeństwo pastor czeski z pobliskiego Strausnego. Katolicy przebywający w Chudobie mają kościół o półćwierci mili w Wielkiéj Czerwonéj, gdzie mogą usłyszeć czeskie kazanie.

Chudoba nie jest-to miejsce, przynęcające chorych, a jeszcze bardziéj zdrowych swemi zabawami, jak tyle innych zdroisk lekarskich. Niéma tu teatru; nie wyprawiają tu, jak u innych wód, hucznych biesiad, przewlekających się późno w noc, do których częstokroć pod klątwą towarzyską należeć potrzeba; nie zgrywają się tu w karty, jak u wód zachodnio-niemieckich, na które z tego powodu padła osława. Ale w tém właśnie upatrywałbym zaletę Chudoby przed innemi zdrojowiskami lekarskiemi. Za to mogą tu chorzy rychléj odzyskać zdrowie. Tam życie rozkoszne nie tylko ich odwodzi od właściwego celu pobytu u wód; ale nadto (ponieważ te wszystkie przyjemności drogo opłacać potrzeba) nie jeden chory, czy-to z lekkomyślności, czyli też powodowany zbyt wielkiém pragnieniem poważania, więcéj u wód wydaje, aniżeliby powinien. To staje się nie raz przyczyną późniejszych kłopotów i zmartwień, a tém samém podkopuje

utwierdzone zdrowie, i udaremnia zwykle kosztowny w takiém miejscu pobyt. Na te wszystkie zdradliwe ponęty, chorzy w Chudobie nie są narażeni, a kto w towarzystwie znajduje przyjemność i w wyborze nie wydziwia, ten bez pochyby dobierze sobie takowe pomiędzy 200, jeżeli nie więcéj osobami.

Komu pozwalają siły, ten znajdzie niejedną przyjemność w wycieczkach do różnych miejsc pobliskich i dalszych, wabiących już-to pięknym, już-to przynajmniéj osobliwym widokiem albo wspomnieniem dziejowém. Co jednak znacznie zmniejsza tę przyjemność, to niesłychana w tych stronach żebranina. Przechodząc osobliwie przez sioła czeskie, niełedwie z każdego domu wybiega przynajmniéj jedno, jeźli nie kilkoro dzieci, częstokroć nawet wcale porządnie ubranych: klękają przed przechodniem, składają ręce, jakby do modlitwy i proszą o jałmużnę, a jeźli ten niezbyt skory do datku, wtedy gonią za nim, wołając ciągle: «Prosym pekne! Prosym pekne!» A przecięż słyszałem nieraz, iż w Prusach żebranie surowo jest zakazane.

Do wycieczek podejmowanych dla pięknego widoku na okolicę, należy zwiedzenie tak zwanéj Kamiennéj góry (po niem. *Steinberg)*, panującéj nad wsią Gielniowem (po niem. *Gellenau*), wyniesionéj na 1752 stóp nad poziom morza Bałtyckiego. Droga, osadą niemiecką Gielniów, wiodąca na sam szczyt góry, jest bardzo wygodna i starannię utrzymywana. Na szczycie znajduje się nie tylko kamienna ława pod rozłożystym kasztanem, ale i chatka, wyłożona wewnątrz mchem, a około niéj spore kępy roślin strojnych. Pod tą górą, w pobliskości pięknego pałacyku dziedzica Gielniowa, *Mutius*'a, tryska źródło szczawy żelezistéj, w smaku zupełnie podobnéj do wody Chudobskiéj, oddawna znanéj, przez lud okoliczny używanéj, ale dotąd chemicznie nie zbadanéj. Wspomina o niéj, jako o jednéj z 12 szczaw, znajdujących się w Hrabstwie Kładzkiém, szląski kronikarz *Aelurius*.

Kto ma upodobanie w widokach dzikich, mianowicie w dziwacznych postaciach piaskowca, od wieków kruszonego i drążonego rozmaicie, od skwaru słońca i od mrozu, od powietrza i wody, ten będąc w Chudobie, może się dosytu napatrzyć tym wybrykom rody, okazującym niejakie, częstokroć przywidziane podobieństwo, to do warownego grodu, to do kościoła, do niedźwiedzia, do murzyna i niezliczonych innych przedmiotów. Ktemu udać się może przez wieś Bukowinę, przypominającą nam sioło tegoż samego imienia pod Tatrami, do tak zwanéj «Dzikiéj jaskini» (po niem. *das wilde Loch*) na górze Borowéj (po niem. *Heidelberg*); istny olbrzymi błędnik, złożony z mnóstwa różnéj wielkości pieczar i ulic, wyżłobionych w ogromnéj skale piaskowcowéj. Albo wybierze się na odległą o 2 mile Siennicę (po czesku: Hejszowina; po niem. *Heuscheuer*), obok Śnieżnika (po niem. *Schneeberg*) i Wysokiéj Mięży (po niem. *die hohe Mense*), jednéj z najwyższych gór w Hrabstwie Kładzkiém. U stóp Siennicy leży na wyżynie, zwanéj Pogwizdem (po niem. *Leierberg*), wyniesionéj na 2344 stóp nad poziom morza, osada niemiecka *Karlsberg*. Sołtys téj wsi jest przewodnikiem ciekawych podróżnych, a zarazem klucznikiem i poborcą myta 5 śrebrników (1 złp.) od osoby. Jedyną bowiem drogę, wiodącą do téj rodziméj warowni, zamykają drzwi, które roztwierają się tylko dla opłacających ten pobór, przeznaczony na to, aby przystęp do tych osobliwości zostawał bezpiecznym i wygodnym. Sama Siennica wznosi się jeszcze na 500 stóp ponad Pogwizdem. Wszedłszy do téj pustyni skalistéj, dążymy, przechodząc około dźwiękowców (*die klingenden Steine*) na ławicę (*Tafelstein*), na któréj znajduje się domek dla wygody podróżnych. Postąpiwszy nieco daléj na prawo, zatrzymujemy się nad przepaścią zarosłą drzewami, po za którą przejrzeć można ogromny obszar pomiędzy znakomitą warownią szląską, wykutą w skale, zwaną Srebrną

górą (po niem. *Silberberg*) a wysoką Mężą. Na nim widać mnóstwo rozsianych wsi, a w pobliżu czeskie miasto Brumów (po niem. *Braunau*), najeżone licznemi wieżami. Tłem zaś, na którém roztacza się ten piękny obraz, jest podgórze Brumowskie i Frydlandzkie, a za niém niby mur olbrzymi, czeska strona Karkonoszów (po niem. *Riesengebirge*), aż do początku gór Kruszcowych (po niem. *Erzgebirge*). Skały, pokazujące się tutaj, noszą nazwiska od podobieństwa, które zaledwo bujna wyobraźnia przyznaćby im mogła. Mijając takowe, mianowicie siodło Miech i Piekarnik, dostajemy się na Stolicę (po niem. *Grossvaterstuhl*), wysoką na 2835 stóp. Tu dopiéro zdumieć i zachwycić się można rozległym widokiem. Ku wschodowi i północy leży u stóp wędrowca miasto Gródek (po czesku: Hradek; po niem. *Wünschelburg*) i słynne odpustami Wamberzyce (po niem. *Albendorf*); daléj ku wschodowi widać góry Landeckie, a za niemi szczyty Starych czyli Żdżarskich gór, przegradzających Czechy od Morawy. Na zachód zaś i południe widać w Czechach miasto Nachód, a za niém można jeszcze daleko w tę stronę wzrok zapuścić.

Pogwizd z Siennicą jest jedną z najwyższych i najciekawszych gór w całém pasmie tego imienia, t. j. gór Sienniczych (po niem. *das Heuscheuergebirge*), obok któréj najgodniejsze są uwagi: Wołowy łeb (*Ochsenkopf*), Kamienna i Borowa góra, o których już powyżéj nadmieniłem; Błyskota (*Spiegelberg*), mająca 2850 stóp wysokości, a wreszcie Czeska Hejszowina (p. n. *der böhmische Spitzberg*, albo: *die böhm. Heuscheuer*). To pasmo gór składa się z olbrzymich brył piaskowca zielonego, siłą potęg atmosferycznych porozwalanych, a najczęściéj poprzemienianych w słupy; które, począwszy od gór Mężych (Miążych; po niem. *das Mensegebirge*) i Habelszwerckich, posuwa się ku północy i zachodowi, aż do tak zwanego Wysokiego lasu (*Hochwaldgebirge*),

pomiędzy Bystrzycą, płynącą pod Dusznikiem *(Reinerz)*, a Sztynawą i Metują; a nawet ciągnie się w Czechach wzdłuż Karkonoszów, aż do gór Łużyckich, jako potężny pokład piaskowca, tworzący tu i owdzie większe skały, mianowicie pod czeską wsią Aberspachem, w obwodzie Królowogrodzkim (a którą Niemcy przezwali *Adersbach*'em. I tu zobaczysz mnóstwo dziwolągów kamiennych; ale rozłożonych na dolinie, znajdującéj się na saméj granicy Czech i Szląska; a zatém nie ukraszonych uroczym widokiem rozległych okolic, jaki zachwyca wędrowca na Siennicy. I tu też na wstępie do owéj doliny, podróżni okupują złotówką pozwolenie przypatrzenia się temu dziwowisku.

Wcale innego rodzaju osobliwość, czyli raczéj wyskok dziwactwa oglądać mogą w Wielkiéj Czerwonéj przebywający w Chudobie goście. Jest-to murowana kaplica przedpogrzebowa, stojąca na smętarzu téj wsi, tuż przy kościele. W niéj uderza naprzód stojący na ołtarzu, naprzeciwko drzwi, mały kościec. Ściany zaś tego przybytku śmierci zasłaniają stosy kości, mianowicie piszczelów, przypierających jednym końcem do muru, a drugi wystawiających ku wewnątrz kaplicy, przegradzających ułożone pomiędzy niemi czaszki. Po prawéj i po lewéj stronie przytwierdzone są do tych ścian kościanych obrazy aniołów. Pod jednym z nich czytamy napis w języku łacińskim i czeskim: „*Surgite mortui!*“ «Wstajte mrtwj!» Pod drugim zaś napisano: „*Venite ad judicium!*“ «Pojdté k'saudu.» U stropu kaplicy wiszą czaszki i na krzyż złożone piszczele. Powiadają, że do téj szczególniejszéj budowy użyto około 24,000 kości. W grobie pod tą kaplicą spoczywa jéj wystawiciel, Ks. Tomaszek. Tam też składają wykopane kości, aby, wystawione na mocny przedmuch i światło słoneczne, wpadające do tego sklepu podziemnego przez dosyć wielkie okna, wybielały, a następnie mogły być użytemi w saméj kaplicy.

Kto się znajduje w Chudobie, pospolicie zwiedza zamek Nachodzki w Czechach, na milę od niéj odległy. Jest on razem z miastem Nachodem, leżącém u stóp skały zamkowéj, z letnim pałacem w Raciborzycach i z kilkudziesiąt wsiami obecnie własnościa Księcia Lipeńsko-Szaumburskiego *(Lippe-Schaumburg)*. Droga z Chudoby prowadzi gościńcem dobrze utrzymywanym przez Zakrze (po niem. *Sakisch*) i Słany (po niem. *Schlaney*), obiedwie osady niemieckie. W téj drugiéj znajduje się komora pruska. O kilka staj od niéj wstępuje podróżny na most, w jednéj połowie umalowany herbowemi barwami pruskiemi, a w drugiéj rakuskiemi. Niedaleko odeń jest komora rakuska. Minąwszy tę zostawia się po lewéj ręce czeskie sioło zwane *Białą Wsią* (po czesku: *Bjla wes* albo: *Belowes*), a posiadające szczawę żelezistą, o któréj domyśla się professor *Löschner* w Pradze, iż podobna do wody Chudobskiéj; ale z któréj korzystają tylko mieszkańcy okoliczni. Ujechawszy ćwierć mili, nagle gościniec skręca się w prawo i wtedy dopiéro ukazuje się oku podróżnego zamek Nachodzki, dotąd wysokiemi górami zasłoniony.

Miasto Nachód, liczące przeszło 2,000 czeskich mieszkańców, nie przedstawia nic godnego uwagi. Albowiem mało kogo zwabi do siebie stara, jeszcze r. 1384 założona kollegiata, stojąca na środku rynku, i przechowująca w swych sklepach zwłoki rodu Smirzyckich, którego ostatnim odziomkiem była matka Waldsztynowa. Zwykle, każdy przybycień odrazu wspina się na skałę, dźwigającą zamek, po wschodach, których jest blisko 300. Wszakże nie jest to droga jedyna; można się także na ową skałę dostać drogą krętą, nieco wygodniejszą.

Stajemy u piérwszéj bramy okazałego zamku, w którym r. 1583 urodzić się miał sławny wódz wojsk cesarza niemieckiego Ferdynanda II, Albrecht na Waldsztynie, pospolicie *Wallenstein*'em zwany. Ale jakież było nasze zdziwie-

nie, gdy nad nią, zamiast herbu, ujrzałem napis w języku niemieckim i czeskim: «Tu żebrać nie wolno.» Dobitne te wyrazy nie potrzebują objaśnienia, ze względu na stan społeczny téj okolicy.

Zamek Nachodzki stoi już podobno od 12go stulecia. Aż do 1425 był własnością rodu Berków z Dubu (Dębu) i Lipy. Kiedy we 2 wieki późniéj Stany czeskie zamiast Cesarza niem. Ferdynanda II, obrały sobie królem protestanckiego Frederyka, Xięcia elektora reńskiego, zamek Nachodzki był własnością Smirzyckich. Pamiętna do dziś dnia, nieszczęśliwa bitwa na Białéj Górze pod Pragą, dnia 8 Listopada 1620, pozbawiła Frederyka korony czeskiéj, jego zaś stronników mienia, a po części i życia. Smirzycki był stronnikiem Frederyka. Nachód został przez zwycięzcę na skarb zabrany, a następnie Ziemkowi Terckiemu, polnemu marszałkowi cesarskiemu a świekrowi Waldsztyna sprzedany. Gdy późniéj i ten, razem z Waldsztynem o zdradę oskarżony, z rozkazu Ferdynanda II w Chebie (po niem. *Eger*) zabity został, Césarz w zapłacie usług Oktawiusza Pikkolominiego, jakoż polnego marszałka wojsk swoich, mianował Oktawiusza xięciem i darował mu Nachód, Terckiemu zabrany. Tym sposobem rodzina Pikkolominich dzierżyła te dobra do roku 1785. Po wymarciu jéj w tymże roku, Nachód był jakiś czas w rękach księżny Żegańskiéj (*Sagan* w Szląsku dolnym), aż wreszcie od niéj odkupił go teraźniejszy właściciel.

Pomnąc na dawność tego zamku, i tak rozmaite koleje, jakie przebywał, z wielką ciekawością wszedłem doń z dziedzińca przez najbliższą bramę, będącą po lewéj ręce. Przebywszy ją znalazłem się na małém, z powodu wysokich dokoła murów, ciemném podwórku, i tu ujrzałem ponad bramą 8 herbów, wymalowanych jeden obok drugiego. Wywołany ze swego mieszkania murgrabia, i zapytany: czyjeby to były herby? odpowiedział krótko, że nie wié. Po tym niemiłym

dla ciekawych wstępie, zaprowadził nas murgrabia na pierwsze, bardzo wysokie piętro, i okazał nam jadalnię teraźniejszego dziedzica, w której znaleźliśmy na ścianach wizerunki kilku Pikkolominich, wymalowanych w wielkości przyrodzonej; mianowicie wizerunek wzwyż pomienionego Oktawiusza, oraz Encasza Pikkolominich. W komnacie przyległej wisi znowu wizerunek księcia Oktawiusza i jego adjutanta hr. Leslego na jednym obrazie, tudzież ogromny obraz jakiejś bitwy, której nam przewodnik wymienić nie umiał. Pytamy o dalsze osobliwości, i okazuje się, że oprócz tych dwóch komnat i kilku wypłowiałych gobelinów... nie było w całym, tak obszernym zamku nic więcej do widzenia. Okna widocznie są zmniejszone, ramy w nich nowe, sprzęty w pokojach najskromniejsze, i nie starodawne, ale nowe. W kaplicy obielonej ani jednego uwagi godnego dzieła malarstwa lub rzeźby. Co za sprzeczność z dziejami! co za zawód doznany! Pytam się jeszcze raz: Czy niéma tu już więcej nic do widzenia? Na to murgrabia odpowiada półgębkiem, że wprawdzie niektórzy goście wchodzą jeszcze na wieżę zamkową, ale że tam wcale nic niéma do widzenia. Na przekór niechętnemu przewodnikowi, poszedłem z nim na wieżę. Już przedtém myslałem sobie, jaki-to musi być widok z wieży tak wysokiéj, stojącéj na wysokiéj górze! Ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwanie: trudno mi było oderwać oczu od czarownego widoku! Z jednéj strony góry Siennicze i znane mi włości w Hrabstwie Kładzkiem; z drugiéj pięknie uprawne pagórki czeskie, wyglądające jak szachownica, składająca się z pól zielonych, porośniętych roślinami pastewnemi, i pól czerwonych, właśnie co tylko obsianych lub przygotowanych do siewu. Nadmienić bowiem wypada, iż po obu stronach gór Sienniczych powierzchnię ziemi zalega piasek czerwony, naniesiony z nich przez wodę, i że mimo uprawy odwiecznéj, mimo zwapniania pól i

użyźniania ich nawozem organicznym, barwa jego zawsze jeszcze panuje. Z żalem zeszedłem z ganku wieżowego; gdzie było daleko więcéj do widzenia, niż w mieszkaniu książęcém. Ileż-to widziałem u nas dworów szlacheckich, nierównie piękniéj urządzonych! Któż będzie w kraju opiekunem nauk i sztuk pięknych, orędownikiem pomników, przypominających sławę narodu, rozkrzewicielem smaku i zamiłowania w rzeczach ojczystych, jeźli do tego obowiązku nie poczuwają się książęta, panowie milionowi! O ileż pod tym względem lepiéj w naszéj zubożałéj, zpotwarzonéj Polsce!*)

---

*) Ceny teraźniejsze w Chudobie są: Za każdą kąpiel w wannie płaci się w Iszéj klassie 8 śr. gr., w IIgiéj 7, w IIIciéj 5. Opłata za picie wody wynosi 7, 6, 4 śr. gr. tygodniowo. Pokoje kosztują 10 śr. gr. aż do 5 talarów na tydzień; za łóżko i materac płaci się osobno (zwykle 20 śr. gr. na tydzień). — *Table d'hôte* w salonie 10 do 12½ śr. gr. W oberży „*zum Stern*“ kosztuje obiad podług jadłospisu prawie tyle. (1 sr. gr. równa się 6 gr. pol. — 5 śr. gr. czyni 1 złp.)

Ponieważ sławny Dusznik *(Reinerz)* leży na drodze do Chudoby (o 2 mile przed nią); przeto chorzy udający się bądź do jednych, bądź do drugich wód, mogą odbywać podróż ciągle razem: na Mysłowice, Brzeg, Nissę, Kładzko, i t. d.

E pur si muove.

Umrę *wspomnieniem*, jeźli się nie mylę,
Bo *pamięć*, którą żyjemy,
To tylko posąg martwy; dość mu, byle
Stał na osoby kochanéj mogile
Zimny i twardy i niemy.

Tak, — lecz i wrosły, jako losy chciały,
W miejsce, gdzie skarb swój zagrzebie,
Niby wykuty *stróż* z niezłomnéj skały,
Równie na słońce i na czas niestały,
Jak obojętny dla siebie.
Co krok, wśród cierni jeżących się srodze,
Któremi iść trzeba śmiało,
Zostawia człowiek coś z siebie na drodze.
Jakże mu tedy wymówić: «odchodzę,»
Kiedy go tyle zostało?
Pamięć jest cząstką wonną nieskończenie
Dusz, które czas swój przebyły,
Równie, jak zapach, rwący się w przestrzenie,
Choć w *inne* miejsce wzięto kwiat: — *wspomnienie*
Jest życiem z po za mogiły!
I cząstką także nas, którą nawzajem
Zawczasu wieczność pochłania;
Więc biorąc z drugich, z siebie także dajem,
A tak *wspomnienie* jest jedynym rajem,
Z którego niéma wygnania!

Felicyan Faleński.

Wyjątek z Wiersza
DO
STANISŁAWA JACHOWICZA.

Ty, wieszczu polskiéj młodzieży,
Trzebiłeś drogę do nieba,
Tobie wieniec się należy,
Skroń Twą uczcić nim potrzeba!

Dziatki strojne w Twe klejnoty,
Jak im każe rada prawa,
Nie opuszczą Boga, cnoty,
Na *Wieniec* dla Stanisława!

Ks. Bonifacy Ostrzykowski
Kanonik Płocki, Proboszcz Brańszczykowski

WYJĄTEK Z WIÉRSZA:

RÓWNOŚĆ.

There is some peculiar in each leaf and grain,
Some unmarked fibre, or some varying vein.

(Pope).

Nócąc swą piosnkę gospodarna *pszczoła*,
Z kwiatku na kwiatek za słodyczą goni,
Czynna i pilna, a przytém wesoła,
Miła jéj praca śród lubieżnych woni;
Z słodką zdobyczą do ulu powraca,
Wosk z miodem składa dla ludzi i siebie;
Wdzięczna, przyjemna i szlachetna praca
Wśród łąk, ogrodów, przy pogodném niebie,
W nagrodzie bierze własne wyżywienie,
I tych, co zbytek jéj zasobów dzielą,
Przyjaźń, usługi i miłe spomnienie.

Inaczéj *mrówki* swe mrowisko ścielą:
Lichą swą strawę opłacają drogo,
Wleką okruszki przez prochy i śmiecie,
Tysiące giną pod przechodnia nogą;
I żalu niéma, gdy kto mrówkę zgniecie!

Bo nikt z jéj pracy korzystać nie może;
Pilności służy za przykład chwalebny —
I na tém koniec! i cóż jéj po zbiorze,
Który do ludzi szczęścia niepotrzebny!

Gdy serce nasze dziwną tajemnicą
Li szczęścia *drugich* wtórem się odgrywa,
Jest *bliźnich* szczęścia misterną krynicą,
Im więcéj czerpie, tém więcéj przybywa!

Londyn, *Tottenham.*

Julijusz Przyjemski.

DO PRZYJACIÓŁ,

Z KTÓREMI SIĘ ROZŁĄCZYŁAM.

Z rodzinnych progów, z pod Węglewa strzechy,
Piszę Wam słowa tęsknoty, wspomnienia.
Oraz przesyłam słowa pociechy
Od całego przyrodzenia.

Najpiérw mnie o Was słońce pytało,
I chmurką oko przyćmiło, —
I kilka kropel dészczu ulało,
Tak mi się tęskno zrobiło!

Lasy szumiały modlitwę do nieba
O szczęśliwsze dla Was losy.
Wisłą, Bałtykiem zanieść Wam chleba
Przyrzekały nasze kłosy.

Strumień, co głośno odezwać się boi,
Mruczał o Was długo, wiele,
«Jak się mają wszyscy twoi
W tamtych stronach przyjaciele?»

A ja z kolei Wasze imiona
Wyliczam, — Wasze córki i syny;
Co robi Ojciec, co robi Żona,
I figlarne Heleny, hoże Karoliny.

Nawet ważyłam się wspomnieć (z czcią całą)
O nadobnéj Izabelli, —
A lasy, łąki, zboże się ozwało:
«Niech Jéj *Bóg* szczęścia udzieli!»

Tak często razem o Was rozmawiamy,
I wszystkich Was pozdrawiamy,
Karole i Świętosławy,
Dzieci Kijowa lub dzieci Warszawy.
Jedni drugim o mnie mówcie,
I jedni drugich odemnie pozdrówcie:
Hippolity, Leonardy,
Potomki Cypryana, — malarze — i bardy.
I, proszę bardzo, zanieście
Mój ukłon do księgarni na pyszne przedmieście,
I na przedmieście skromne, gdzie z energią praca
Woreczkami rodzinę całą ubogaca.
A przy tem pamięć moja dobrze chowa
Bankiera, który ze mną jechał do Krakowa.

Teraz, jeźli chcecie wiedzieć:
Czy mnie na wsi dobrze siedzieć?
Powiém wam: — Pustka — zniszczona —
Bardziéj, jak Karpińskiego, w biédę pochylona.

Ale na naszej ziemi dziecku lub kobiecie
Brat rękę poda, — biéda ich nie zgniecie.
I mnie pomoc braterska, przyjacieli rada
Wspiéra, gdzie wątła ma siła upada.
Przeto dziś 9 wołków w trzech jarzmach zginają
Powolne karki, i zagon mój krają.
Bronę włóczy fornalka, tak dziwnie dobrana:
Jest tam kasztan, jest siwosz, kara i bulana.
Włodarz Rączka (1), co niegdyś towarzysz zabawy
Moich dzieci, kieruje Węglewski lud żwawy.
On mój piérwszy minister, i zdatny, jak sądzę.
(Ja w Węglewie panuję tylko; lecz nie rządzę).
Mam i radcę tajnego: siwy, jak platyna,
Wierności niezachwianéj — godny starowina.
Przytém, wieś cała w pomoc *dziedziczce* swéj idzie;
Orzą, włóczą z grzeczności, ratują mnie w biédzie (2).
Nawet i kolonista, chociaż innéj wiary,
Podoruje ugoru mojego wymiary.
A kiedy się kurczęciem uwieńczy ma miska,
To przyniosła: włódarka, albo téż sołtyska.
A zaś żona rataja, gdy już nie kurczaki,
To ofiaruje masło, albo białe raki.
A kiedy Bóg tak łaskaw, i tak dobrzy ludzie,
Nie lękajcie się o mnie, ja nie zginę w trudzie.
«Lecz samotność?» powiécie. — Samotności siła
Te wiérsze oto, jeden z drugim pokleiła.

F. R.

(1) Bez ręki.
(2) O tych wszystkich pomocach prawda jest, nie poezya.

O OBOWIĄZKACH DZIECI.

Z ANGIELSKIEGO

przez Andrzeja Hr. Zamojskiego (*).

Synowie, bądźcie posłuszni rodzicom waszym w Bogu; bo to jest sprawiedliwa. Czcij ojca twego i matkę twoję (które jest piérwsze przykazanie *z obietnicą)*; abyć się dobrze działo i abyś był długowieczny na ziemi *(Ś. Paweł, do Effezów, r. 6, w. 1,2,3).*

Na tych się to słowach zasadzając, skréślę obowiązki dzieci względem rodziców. Miłe moje dziatki, słuchajcie z uwagą; chcę wam bowiem wytłómaczyć cześć i posłuszeństwo rodzicom od was należące się, i wrazić w wasz umysł i serce ważność, doskonałość i błogi wpływ takiego w waszém postępowaniu usposobienia.

(*) Wyjątek z listu Andrzeja Hr. Zamojskiego do Stanisława Jachowicza z dnia 14 Sierpnia 1857: „Na co mi — czas pozwolił się zdobyć, posełam. Jest-to urywek z angielskiego wzięty, w duchu *prac Twoich,* bo nauka dla młodych dziatek, pożyteczna i dla starszych; nauka wysnuta z prawdziwego pojęcia o ważności dla społeczeństwa świętych węzłów rodzinnych; nauką

W tém pisemku odzywam się mianowicie do *młodszych* dzieci; nie chciałbym wszakże, aby z tąd miano wnosić, że *starsze* od téj świętéj powinności są wyłączone. Jakkolwiek zaszliśmy w lata, nigdy zapominać nie powinniśmy o rzewnéj czułości, z jaką rodzice nad nami czuwali, gwary i krzyki nasze badali, zanim potrafiliśmy potrzeby nasze wyrazić; i niezmordowanie starali się o nasze dobro, i przyjemność. Nic prawie niéma więcéj budującego, nad widok *człowieka*, który zachował w sercu cześć i wdzięczność *dziecka*; nad widok osób już w wieku, pamiętających z uwielbieniem serdeczném *o tych*, co najlepsze lata życia swego spędzili na pracy około ich szczęścia i wykształcenia. Ten, coby na to zezwolił, żeby inne cele jego lub dążności wyzuć kiedy mogły z jego serca uczucia dla rodziców należne, coby tak da-

---

prosta, tak naturalna, że zbyteczną się zdaje. Bóg jednak w przykazaniach ją swoich zamieścił, i dał poznać, że jest potrzebną. Każe *dzieciom* czcić rodziców, aby się im samym dobrze działo; nie wspomniał zaś, że *rodzice* mają kochać swoje dzieci; bo oni w dzieciach żyją. Sam dozwolił, byśmy Go *Ojcem* nazywali, nas *dziećmi swemi* mianuje; — przez to samo *rodzinne związki* podniósł do szczytnego znaczenia. — Zapytasz może, dla czego wolałem tłómaczyć, niż napisać oryginalnie? Odpowiedź na to, że w takich piszęc materyach, niepodobna prawie rozróżnić co własne, a co pamięć zatrzymała. Mam także przekonanie, że zarówno bywa pożyteczną dobra rzecz przyswojona, jak rodzima, byle dobra i z dobrego źródła; częstokroć nawet, piérwsza większą jedna sobie wiarę, i słusznie; boć chcąc radzić, naprzód na wiarę trzeba zasłużyć. — Za młodu lat kilka spędziwszy w Anglii na naukach, widziałem, jak tam szanowana *władza rodzicielska*; — że *ona* podstawą jest instytucyj krajowych i poszanowania dla prawa; że *poczciwe*, od najmłodszego wieku wpajane tego rodzaju *nawyknienia* są zasadą, *nauka* zaś o obowiązkach człowieka rozwinięciem, dopełnieniem wychowania. Ztąd wykształcają się ludzie jędrni, godni, znający, co się należy Bogu, bliźnim i sobie, — ludzie pracowici, pożyteczni dla społeczeństwa i dla kraju. Jednem słowem, człowiek taki sam staje się nad sobą *żandarmem*, a kraj w *takich* ludzi opatrzony, śmiało może innym przodkować.“

lece zobojętniał ku piersiom, które go wykarmiły, ku rękom, które go w uściskach wypielęgnowały, żeby aż bez żalu i zgrozy opuścił dom rodzicielski i niedbał o uprzyjemnienie starości rodziców — ten nie tylko, że zapomniałby wyraźnych przepisów religii i moralności; ale zasłużyłby na wykluczenie ze społeczeństwa, jako wyrodek, nie biorący udziału w uczuciach powszechnych ludzkości.

W uwagach, które tu przytoczę, wszyscy, co jeszcze mają rodziców, ponętę i upodobanie znaleść powinni; bo niektóre z tych uwag stosują się do *wszystkich.* Mówię wszakże głównie do dzieci, które jeszcze potrzebują bezpośrednich starań i dozoru rodzicielskiego; które do koła z niemi u stołu zasiadają, pod jednym mieszkają dachem i głos rodziców ciągle słyszą. Do nich-to osobliwie stósują się słowa: «Czcij ojca i matkę, i bądź im posłuszny.»

Teraz, moje dziatki, wytłómaczę wam (aby się w waszą pamięć dobrze wraziło) to, czego ten przepis po was wymaga?

Najprzód. Powinnyście *patrzyć na rodziców i obchodzić się z nimi z uszanowaniem.* Wiek wasz młody i niedoświadczony nakazuje wam, abyście z pokorą o sobie trzymały i z przyzwoitą sprawowały się nieśmiałością; żebyście szanowały wiek starszy, rozum i wykształcenie rodziców, i zachowywały względem nich uczucie i oznaki serdecznej uległości. Nic bardziéj w was nierazi, nic was przykrzejszemi w oczach ogółu nie czyni, jak niesforne, obojętne, pogardliwe z rodzicami obejście się. Są dzieci, — chciałbym módz powiedzieć, że mało takich, które do rodziców przemawiają niegrzecznie, kwaszą się i upierają, gdy im co rodzice wyrzucają; w ich przytomności z taką postępują nieuwagą, jakby nie zasługiwali na uszanowanie; słuchają mówiących z roztargnieniem, i żartują z nich raczéj, niż poważają. W teraźniejszych czasach, nie mało takich dzieci,

co wyżéj o sobie trzymają, niż o starszych; co sądzą, że nasamprzód *ich* żądaniom zadość czynić należy, co poniewierają dobroć i łaskę rodziców, postępując z nimi, jak ze sługami, nie zaś jak z władzą, od Boga nadaną.

Strzeżcie się, moje dziatki, żebyście nie wzrastały w uczuciach takiéj zarozumiałości i sobkostwa. Patrzcie na rodziców waszych, jak na dar od Boga, przeznaczony dla waszego wypielęgnowania, kierunku i przewodniczenia wam w stanie nieudolności waszéj i braku doświadczenia. Dawajcie im ciągłe dowody uszanowania i słowem i czynem. Nieunikajcie tych oznak zewnętrznych uległości tyle wiekowi waszemu przystojnéj. Młodzi jesteście: wam należy się miejsce niższe: usuwajcie się raczéj, niż byście się narzucać miały. Jesteście w zależności; powinnyście więc prosić, nie zaś wymagać, aby wam dawano, czego żądacie; a wszystko od rodziców wdzięcznie przyjmować, jako łaskę, nie zaś jako należność. Nie wymagam po was, moje dziatki, niewolniczéj obawy rodziców; kochajcie ich owszem, kochajcie żarliwie; ale obok takiéj miłości miejcie zawsze uczucie uszanowania dla ich nad wami władzy. Miejcie zupełne zaufanie w ich dla was łaskawości; ale niech to zaufanie nieczyni was niegrzecznemi, zarozumiałemi, i nieprzyzwoicie poufałemi. Mówcie do nich z otwartością i swobodą; ale nie przeczcie zapamiętale, gwałtownie; nigdy nie odpowiadajcie z gniewem lub pogardą.

Powtóre. Powinnyście być *wdzięczne dla rodziców.* Zważcie ileście im winne. Był czas, i nie zbyt odległy, żeście były zupełnie na ich łasce; żeście nie były zdolne sobie radzić, ani mówić, ani kroku stąpić, ani sił swoich w niczém użyć. Żeby nie to, że rodzicielską ręką wsparte, byłybyście upadły i marnie zginęły. Patrzcie na niemowlęta, które często postrzegacie, niech wtedy przyjdzie wam na myśl, że niedawno równie bezsilnemi byłyście istotkami: jako ciężarem

i troską, wtedy ani wam podobném było czémkolwiek odpłacić rodzicom za czułe około was starania. Czyż oni was wtedy opuścili? Ileż-to bezsennych nocy przy waszych jękach i płaczu strawili? podczas waszych słabości z jakąż oni miłością was pielęgnowali! Z jakiémże upodobaniem rzewném patrzyli na wasze zdrowe wyrastanie, i postępy! A cóż dziś posiadacie, czegobyście ich troskliwości niebyły winne? Zaiste, Bóg jest waszym najwyższym ojcem, waszą opatrznością, waszym dobrodziejem najczulszym; ale Bogu się podobało wszystkie te dary swoje na was zlewać za pomocą waszych rodziców. Rodzicom winnyście wszelkie wygody, dach, okrycie i życie. Wy się bawicie, w szkole uczycie, a wtedy rodzice pracują na was, na wasze przyszłe opatrzenie i szczęście, nad ćwiczeniem waszego umysłu i serca, abyście wyszły na ludzi poczciwych i dla społeczności użytecznych. Gdy wam na pamięć przychodzi, ile się wam razy trafiało, żeście na utratę téj łaskawości zasłużyły, a że jednak rodzice zawsze skorzy byli do przebaczenia, i nie ustawali nigdy w najczulszych około was staraniach czyż niepowinna się w sercach waszych najserdeczniejsza ku nim obudzać wdzięczność? Czyż może być na świecie obrzydliwsza poczwara od niewdzięcznego dziecka? dziecka, którego serce ani się rozgrzewa, ani mięknie pod codziennemi dowodami rodzicielskiéj troskliwości; które, zamiast żeby się starało najlepszemu przyjacielowi serdeczną odpłacać wdzięcznością, zawsze kwaśne, przykre, gwałtowne nawet, sądzi, że nic dla niego rodzice nie zrobili, bo się na wszystkie jego nie godzą wymagania. Moje dziatki kochane, wierzajcie mi, rodziców serce z waszéj winy dość już często cierpiało: wam najrychléj przystoi i należy usilnie się starać, dowodami przywiązania i wdzięczności odpłacać za ich dobroć i łaskawość. — Czy wy kiedy pytacie, badacie, jakimbyście sposobem najlepiéj potrafiły rodzicom wyrazić tę

cześć i wdzięczność, przykazaniem Boskiém, jako obowiązek święty, wam nakazane? Na to ja wam odpowiem:

Potrzecie. Powinny być u was, moje dziatki, na piérwszém miejscu *powolność* i *posłuszeństwo dla rodziców;* wykonywanie ich poleceń i czynienie tego z ochotą i wesołością. Zapytajcie się własnego serca, a przekonacie się, że to jest najnaturalniejszy, najwłaściwszy sposób okazywania rodzicom waszéj czci i przywiązania. A jednak, jakże często widzimy dzieci ze swojém *widzimisię* występujących przeciw woli rozdiców; nie ulegających wyraźnym nawet rozkazom; okazujących coraz większy upór, skoro od nich rodzice wymagają, co im do smaku nieprzypada; a nakoniec z kwasem i niechęcią, poddających się, dla tego tylko, aby przez dłuższą knąbrność kary na siebie nie ściągnęły. Zważcie, moje dziatki, że takiém postępowaniem stajecie się bardzo niemiłemi Bogu, który dał wam rodziców na to. żeby czuwali nad wami, nad waszemi namiętnościami, i wprawiali was w należne wykonywanie obowiązków. Zważcie, o ile rodzice lepiéj i trafniéj od was, o was wyrzec i stanowić mogą. Mało wiécie o świecie, w którym żyć wam przyjdzie. Bez wielkiéj rozwagi czepiacie się każdéj rzeczy, która wam przyjemności nadzieję przedstawia; a żeby was roztropność rodziców w tym szale niehamowała, zginęłybyście bez namysłu nawet i trwogi. Żebyście się za własnym tylko udawały zapędem, przepadłoby zdrowie, znikczemniał umysł, nastąpiła gnuśność, sobkostwo, dla wszystkich zawada, a same dla siebie stałybyście się nieznośnym ciężarem. Poddawajcież się ochoczo rodzicom. Czyście dość długo niedoświadczały ich dla was łaskawości; czy nie wiécie z przekonania, że oni, zawsze wasze tylko mają na celu dobro i szczęście, nawet gdy najsurowiéj do was przemawiają? Dawajcież dowody tego przekonania o ich dobroci, ochoczo ich zalecenia wykonywając. Gdy się rodzice waszym sprze-

ciwiają życzeniom, niesądźcie, żeście wy od nich mędrsze. Rozkazów ich nieprzyjmujcie z oznakami kwasu, złości, krnąbrności, które dobitniéj, niż wyrazy, dowodzą, że dla tego tylko ulegacie, że nie śmiecie podnieść buntu. Skoro się rodzice nie godzą na wasze żądania, nienacierajcie; zważcie owszem, ile razy dogadzać wam starali się. Zważcie, że żadnego do ich zmuszenia prawa niemacie, i że wasze wymagania, skargi i wyrzekania, nikczemną i niewdzięczną są za ich dla was czułość odpłatą. Niepowinnyście się spodziewać, żeby rodzice bezwzględnie na wszystkie wasze przystawać mieli żądania; owszem, wyrabiajcie w sobie zawczasu gotowość ochoczego poświęcenia waszych zechceń, ich woli. Nieczekajcie na ich groźby, ale skoro postrzegacie ich myśl, skinienie, bieżcie do wykonania. Tym-to sposobem najlepiéj się im odwdzięczycie za troski i prace około was podjęte. Tym sposobem, dziatki moje, ustalicie w domu błogą wesołość i swobodę. Ale jeżeliście nieposłuszne, niezgodne, krnąbrne, same będziecie nieszczęśliwe i z siebie niezadowolne, i cały dom ponurym jakby kirem obłożycie. Dom rodzicielski stanie się domem niezgody, wrzawy i swarów, a najlepsi wasi przyjaciele słusznie wam życzyć będą, żebyście się raczéj wcale niebyły rodziły. Dziecko nieposłuszne wyrasta zwykle na niemiłego człowieka, i przykrego dla wszystkich, co go otaczają. Nikt go nie kocha; on też do nikogo nieczuje przywiązania, tylko do siebie. Jeżeli zaś chcecie wyjść na ludzi miłych drugim, nabyć usposobienie wdzięczne, zasłużyć oraz na powszechną życzliwość, posłuchajcie mojéj rady: za młodu przywykajcie do poddawania waszéj woli, woli rodziców.

Po czwarte. Powinnyście, moje dziatki, waszą cześć, przywiązanie i wdzięczność wyrażać: *czyniąc ile w waszéj mocy, co tylko może być miłe rodzicom i pomocne.* Dzieci wkrótce bardzo mogą się wywdzięczać za ich łaskawość. W powsze-

dniém życiu, mogą im być pomocą, przysługą, oszczędzać im trosków, a czasem nawet i wydatków. Są dzieci, co za młodu zaraz potrafiły wspierać i pielęgnować chorych, biédnych opuszczonych rodziców. Zaszczytne to dla dzieci zajęcie. Nigdy o sobie tyle nierozumiejcie, iżbyście miały być niechętnemi do poświęcenia się tym, co starań około was nie liczyli, ani ważyli. Niechaj wasze zabawy lub zajęcia nigdy waszego umysłu tyle nie zajmują, żebyście się stały nieczułemi, leniwemi, niechętnemi do służenia rodzicom. Niektórym dzieciom się zdaje, że innego niemają obowiązku, prócz szukania własnego zadowolenia i przyjemności. Usuwają się od wszelkiéj od nich zażądanéj pracy; niedbają o to, że rodzice niedogodności cierpią, byleby sobie oszczędziły trudu. Zważcie jednak, coby z was było żeby was rodzice nie byli więcéj kochali, niż wy ich kochacie. Są jeszcze dzieci, które nietylko w niczém niechcą pomagać rodzicom; ale stają się przyczyną trosków i zmartwienia przez swoją opieszałość, nieporządek, zbytki, i przez to na straty ich wystawiają. Takie dzieci, jak do lat przychodzą, niestarają się o własne obmyślenie środków na życie, stają się owszem coraz przykrzejszym ciężarem u przyjaciół, i zwykle prowadzą życie niepożyteczne, gnuśne, częstokroć rozpustne. Niechże was, moje dziatki, obawa samego wstydu strzeże od popadnięcia w takie przywary; że dawszy tyle kłopotów rodzicom, jeszczebyście miały przymnożyć im zgryzoty. Za młodu usiłujcie im się przypodobać, i wykształcajcie się, abyście corychléj mogły same na siebie i na nich zarabiać. Nie marnotrawcie władz umysłowych na zabawy; ale uczcie się być pożytecznemi. Niebawem może rodzice wasi od was zapotrzebują tych samych starań, któreście od nich odbiérały; usiłujcież nawykać do skrzętnéj zabiegłości, nabywać ułożenia wdzięcznego, abyście potrafiły

starość rodziców umaić, uszczęśliwić, tyle przynajmniej, ileście tego w dziecinnych latach doznawały od nich.

Po piąte. Powinnyście uszanowanie wasze dla rodziców, przekonanie o ich dla was łaskawości, o wyższém świetle, wyrażać, okazywać: *zupełne w nich pokładając zaufanie.* Jestto jeden z bardzo ważnych waszych obowiązków. Dzieci względem rodziców powinny postępować uczciwie, ze szczerą i serdeczną otwartością. Przebiegły, podstępny hipokryta, nigdy niczém dobrém niebędzie. Żadnych tajemnic dla rodziców miewać nie należy; jeżeliście zawiniły, szczére wyznanie zjedna wam zawsze przebaczenie, do którego serce rodzicielskie tak skłonne i gotowe. Jeżeli się zabieracie do jakiego przedsięwzięcia, proście o ich na to przyzwolenie. Nierozpoczynajcie nic, w myśli, że się utaić potraficie. Skoro tylko raz oszukać rodziców spróbujecie, od kroku do kroku postępując, fałsze wymyślać będziecie, później oszustwa, aż wpadniecie w pogardę i znienawidzenie. Wnet bowiem odgadną was, i nikt wam już nie zawierzy. Szczérość zaś w dziecku, nie jedno maże przewinienie. Między dziećmi, najgorsze to, które się oka rodzicielskiego wystrzega: udaje że posłuszne, dopóki nań patrzą, a za oczami, broi. Bądź co bądź, nieoszukujcie nigdy. Niechaj rodzice zawsze z ust waszych wiedzą o waszych przewinieniach; a bądźcie przekonane, że za tak szczérą otwartość nigdy was kochać nieprzestaną.

Nakoniec. Powinnyście, moje dziatki, dowieść waszego uszanowania i wdzięczności dla rodziców, *statecznie biorąc do serca* nauki, i uwagi od nich słyszane; korzystając żarliwie z podawanych wam przez nich środków postąpienia w mądrości, pożytecznéj nauce, dobroci i zasłudze na szczęście wieczne. Tuszę sobie, moje dzieci, że macie rodziców, co nietylko o okrycie i pożywienie ciała waszego dbają, ale pamiętają i o duszy waszéj; co was uczą obowiązków, ma-

wiają wam o Bogu i Zbawicielu; uczą was pacierza i religii, starają się o danie wam takich wiadomości i o wychowanie was w taki sposób, że będziecie pożyteczni ludzie na ziemi, i szczęśliwi w niebie. Skoro więc rodzice wasi wiernie i pilnie was pielęgnują i prowadzą, powinnyście dowieść waszéj wdzięczności ku nim i ku Bogu, słuchając z uwagą i uszanowaniem ich nauk; unikając pokus, o których was ostrzegają; usilnie oraz pilnując się drogi, którą wam wytknęli. Pracować winnyście dla odpowiedzenia ich nadziejom i życzeniu postępując w naukach; korzystając skrzętnie z pobytu w szkole: żyjąc w zgodzie z towarzyszami; unikając wszelkich mów złych i nieprzyzwoitych; strzegąc się złego towarzystwa; każdemu oddając winne uszanowanie; będąc dobremi, uczciwemi, szlachetnemi; a nadewszystko służąc Bogu wiernie i z miłością. Otóż macie sobie podany sposób najlepszy, najmilszy i błogi odpłacenia się rodzicom za ich łaskawość ku wam. Niechaj widzą, że wzrastacie w usposobieniu miłém, w zabiegłości i poczciwych nawyknieniach, w chęci ku dobremu, w obawie obrażania Pana Boga; wtedy zapomną, żeście kiedykolwiek były dla nich ciężarem. Ich o was obawy i niespokojności przemienią się w żywe nadzieje; pewni będą, że tą drogą dojdziecie do pomyślności, do szacunku i miłości u ludzi. Choćby nawet w tych przewidzeniach mieli być zawiedzeni, choćby was choroba przedwcześnie dotknęła, a nastąpiła niemoc i śmierć nawet, jeszcze wśród łez, wstąpi na ich usta miły uśmiech, a do serca błogie pocieszenie, na myśl, że umieracie jako wierne dzieci Boga, że ulatujecie do Ojca, który was lepiéj jeszcze od nich miłuje. Jeżeli zaś lekce ważycie ich rady i nauki, pogardzacie nimi i młodość swoją marnujecie, zatrujecie ich szczęście i życie im skrócicie. Nie jedni rodzice do grobu wstąpili z sercem rozdartém przez niewdzięczność, niepoczciwość, niezbożność i rozpustę dzieci. Moje dziatki miłe,

zastanówcie się nad tém! bądźcie zawsze powolne rodzicielskim radom! Niech was Bóg strzeże, żebyście złością swoją przeszywały pierś, na któréj takeście często spoczywały. Niech was strzeże, żebyście przez zmarnowanie rodzicielskich nauk i przestróg, nie popadły w pogardę i nędzę, a przez to na swoją głowę nie ściągnęły jeszcze kary po za grobem.

Dziatki kochane, przedłożyłem wam obowiązki wasze. Jeszcze raz zaklinam was, abyście zawsze czciły ojca i matkę. Lgnijcie do nich z miłością i ufnością. Bądźcie dla nich ozdobą, zaszczytem, osłodą i pomocą w życiu. Bądźcie dla nich więcéj, niż się po was spodziéwają! bądźcie tém, co życzą. Oni teraz patrzą na was z ulubieniem połączoném z obawą o waszą przyszłość. Prowadźcież się w taki sposób, żebyście w ich oczach zawsze spostrzegać mogły promienie szczęścia i nadziei. Prowadźcie się tak, aby wspomnienie o was zgrzybiałość ich osładzało. Postępujcie przy nich na wzór Zbawiciela naszego, żebyście za Jego łaską mogły się kiedyś z nimi znowu spotkać w świecie lepszym i szczęśliwszym.

GAŁĄZKA CIERNIA.

Widzę, jak wszyscy rwą kwiaty,
I, ochotnie i wesoło
Spieszą wić wieniec bogaty,
By nim zwieńczyć Twoje czoło.
Ja téż w wyobraźni świecie
Chciałam i pragnęłam szczerze,
Zerwać uczuć moich kwiecie,
I ponieść Tobie w ofierze.

Chciałam rzucić świat posępny,
Chciałam wzlecieć ponad światy,
W świat śmiertelnym niedostępny,
By Ci urwać *świéże* kwiaty.
Ale obca wcale siła
W mym zapędzie mnie wstrzymała,
Do powrotu zniewoliła,
I kwiatów dotknąć niedała!
Smutno więc spojrzę do koła...
A w tém wszystkie powiędniały.
Niémasz kwiatów, niéma zgoła!
Ciernia same pozostały!
I w którą się zwrócę stronę
Wszędzie ciernie rani nogę:
Z ciernia więc zwiłam koronę,
Gdy innéj uwić niemogę.
Lecz posłuchaj, co dziś zrobię:
Z mego wieńca cierniowego,
Gałązkę ułamię Tobie
I wplotę do wieńca Twego.
Suche liście niosą Tobie
Ci, co nieśmią podać kwiaty;
Ty liść suchy cenisz sobie
Równie, jak drogie granaty.
Twą dobrocią ośmielona
Gałązkęć ciernia przynoszę:
Jestto moja ulubiona,
Racz ją przyjąć, kornie proszę!
Wszak kiedy świata zbawienie
Dla nas na krzyżu zawisło,
Gdy ziemię pokryły cienie,
Z ciernia światło dla nas błysło.
Ciernie krwią Bożą zbroczone,
Droższe nad drogie kamienie,

Niegdyś było uświęcone,
I dziś jedna nam zbawienie.
Bo gdy ciernista Twa droga,
To zbawieniem Tobie ciernie:
Ciernie wiedzie Cię do Boga,
Uczy Bogu służyć wiernie.
Błogo cierniem zwieńczyć skronie,
Cierniem Król bolów zwieńczony,
Na krzyżu w ciernia koronie
Królował cierniem zraniony!
Dla nas z krzyża życie płynie,
Więc przy krzyżu trwajmy wiernie:
Krzyża pragnijmy jedynie,
A przy krzyżu znajdziem ciernie!
O! ja ciernia pragnę szczerze!
Z niém żyć wciąż jestem gotową,
Więc i Tobie dziś w ofierze
Niosę gałązkę cierniową!
Chętnie w wdzięczności zadatek
Złożyłaćbym kwiatów wiązkę;
Lecz gdy mnie niestać na kwiatek,
Przyjmij choć ciernia gałązkę!
Laur-bym Ci z dębem uwiła,
Kwieciem usypała drogę;
Godnie-bym Ciebie uczciła, —
Ale daruj, że niemogę!
Bo już poschło wszystko kwiecie,
I przedwcześnie powiędniało!
Nic już niémam na tym świecie:
Ciernie tylko się zostało!

Wdzięczna uczennica.

OGRÓD.

Lud, to murawa w ojczyzny ogrodzie,
Szlachta, kwiatami w ogrodu przestrzeni,
Drzewem owocném, wyście-to, *uczeni*.
Piękny to widok w szczęśliwym narodzie
Gdy *kwiat* się puszy, *murawa* zieleni,
A *owoc* drzewa gnie gałąź w jesieni!

Z pism pozostałych po **Janie Nep. Kamińskim.**

LIST
KAŹMIÉRZA BRODZIŃSKIEGO,
PISANY Z GENEWY ROKU 1824.

List ten w oryginale nadesłała do „Wieńca" córka Kaźmiérza Brodzińskiego, W. Karolina z Brodzińskich Ruczowa, dziedziczka Popław, w powiecie Opoczyńskim. Pisany jest do Franciszka Armińskiego, Dyrektora Warszawskiego obserwatoryum astronomicznego, na wiadomość, że małżonka tegoż, a rodzona siostra Wiktoryi z Holy'ch, małżonki Brodzińskiego, życie zakończyła.

Mój najdroższy przyjacielu! Ilem się ucieszył, zastawszy cztéry listy, z Warszawy do Genewy przysłane, tyle mię Twój smutku nabawił, wszystkie dawne wspomnienia z boleścią odnowił. Twój list drugi podobny zupełnie temu, jakim w Karlsbadzie odebrał, dziś już sześć tygodni od ostatniego. Jakież mię dręczą myśli, czyli Twoja niespokojność nienadwerężyła Ci zdrowia, którego smutek jest zawsze trucizną. Pamiętajże, mój drogi, mój serdeczny, żeś się winien Twojéj rodzinie i przyjaciołom. Czas, który rani, sam tylko leczy; w nim pokładam nadzieję, że Cię ujrzę dawnym mę-

żnym Armińskim. Przechodząc Alpejskie góry, przypatrując się często ze łzami potężnéj naturze, nabrałem téj spokojności na wszystkie ludzkie niedole, żebym się w Ciebie rad przelał; nie jest to nieczułość, ale owa rezygnacya, do któréj po stratach człowiek coraz zdolniejszym się staje. Tém spokojniéj zbliżamy się do końca, że tu coraz mniéj zostawiamy, a tam, gdzie idziemy, czekają nas nadzieje, którémi Bóg tak potężny nie potrzebuje przecie nas zwodzić. Świat się ciągle odradza i ciągle umiéra; my biédne mrówki daremnie złorzeczemy Opatrzności, która nie o nas, ale o ogóle myśli, w oczach któréj nasze przycierpienia tak się krótkiemi zdają, że na to liczby wynaleść niemożna. Gdy dziécię płakało, że mu słońce zaszło, powiedziano mu, że ten był kres jego, — uspokój się, nie płacz w ciemności i ufaj! Tak myśl, bo jakąż inną radę wynajdziesz, i co Cię pocieszy?

Ze złami sobie przypominam, pożegnanie z tym drogim aniołem, gdy mi z ufném spojrzeniem powiedziała: «do zobaczenia.» Tak temu wierzę, iżbym przeklinał wszelką filozofię i słaby nasz rozum, gdyby mi tę wiarę odebrać chciała. O! mój Boże! jakże ja często nad przepaściami stojąc mówię: Jakżeś, Twórco, potężny! chciałżebyś się Ty, jak tyran, żywić łzami naszemi? chciałżebyś nas zwodzić, gdy Ci jak dzieci ufamy? czyliż tak ciężkich danin potrzebuje Twoja zamożność? — «Do zobaczenia», niech sobie mówią i ci, którzy się już na téj ziemi nie ujrzą.

Boli mię bardzo, że się nadto troskasz interessami. Ustępujże i tu, mój kochany, losowi; nie opuszczaj, co można, nie żądaj, co trudne. Nie możesz razem wszystkiego ułatwić, ze stałą powolną bacznością dojdziesz do końca. Zdatność i pracowitość Twoja, wszystko Ci zapewnia; z resztą, nie nam to dano, wszystkim życzeniom zadość uczynić, patrz na tych, co są w biédniejszéj sytuacyi od Ciebie.

Jak Ci się od ostatniego listu powodzi, kiedyż będę mógł wiedzieć? Już blisko 6 tygodni upłynęło i drugie tyle upłynie. Jeżeli jeszcze zechcesz do Paryża napisać, bo tam muszę kilka tygodni pobyć, to mi Ty jeden osłodzisz moją tęsknotę. Kiedym tu już tak blisko, muszę dojechać do przeklętego Paryża, gdzie według mego gustu nie spodziewam się wiele znaleść przyjemności; ale jakże niebyć w Paryżu? Jeżeli zima nie będzie zbyt ostrą, starać się będę jak najprędzéj powrócić. Z Eger pojechałem przez *Würzburg*, *Heidelberg* (uniwersyteta dobre), przez *Strasburg* do Szwajcaryi na Bazyleją, z kąd pieszo odprawiłem podróż blisko cztero-tydodniową i dziś do Genewy przybyłem. Przy pieszéj podróży zdrów jestem, jak nigdy. W polach, na górach stokroć więcej znajduję przyjemności, niżeli po miastach. Zwiedziłem wielkie góry Gotharda, Rigi, Furkę, *Grimsel*; niewiém, czy się puszczę pod *Mont-Blanc*; bo dni krótkie i teraz na wielki dészcz się zaniosło. Góra Rufi najwięcéj mnie zajęła: tam mię ogarnęły uczucia, w których i Ty, przyjacielu, stałeś mi w drogiéj pamięci. Pod tą górą była wieś Goldau, w rozkoszném położeniu, obfita w ogrody i winnice. Przed 20 laty o zachodzie słońca oberwała się ogromna góra Rufi, i w czterech minutach wszystko tak zasypała, że śladu chat ani drzew niezostało. Przy tém okropném wstrząśnieniu cofnęło się jezioro, i w téjże samej chwili sąsiednią wieś zalało. Patrz! jakby można o Opatrzności wątpić, gdy dzieci i czeladź z bydłem z paszy powracająca, domy i ojców zasypanych zastała. A przecięż dziś na tém miejscu, gdzie jeszcze leżą ogromne zsypane kamienie, już stoi kościołek nowy, poświęcony Opatrzności: już tam słychać organy i dzwony. Na zwaliskach stanęły nowe domy; nie jedna córka i syn wybudował chatę na miejscu, gdzie pod niemi matka i ojciec są zasypani. Góra Rufi w połowie oberwana jeszcze grozi nowém nieszczęściem; atoli dzieci śpiewają wesołe

piosnki, dziewice zasiewają ogródki, i gospodarze budują stajnie i stodoły. Biedne mrówki! nie wiedzą, co ich przywali i zadepcze, i spokojnie pracują. Patrząc, jak ten świat się toczy, jak wszystko na nim nietrwałe i przemienne, można jedynie rezygnować od trwałego szczęścia. Bóg nieobmyślił dla nas tego świata, abyśmy go ciągle i szczęśliwie używali; co w téj krótkiéj wędrówce ułowiemy, to nasze.

Lirnik.

Gdy mi pierś świętém zadrzy wzruszeniem,
Łza cicha lice urosi,
Gdy pod gorącéj myśli natchnieniem
Oko ku niebu się wznosi;
W chwilach nadziei, w smutku godzinie,
Za lirę chwyta dłoń drząca,
I pieśń przez usta z serca mi płynie
Ogniem méj piersi gorąca.
Lecz gdy cię ziemski powiew ostudzi
W łez mych skąpaną już rosie,
O! pieśni moja! duszy méj głosie!
Czémże ty będziesz dla ludzi?...
Może rodzinną nótą znęcony
Wieśniak cię z cicha powtórzy;
Lub jak wspomnienie domowéj strony
Pielgrzym zaśpiéwa w podróży.

Może skończywszy słowa pacierzy
Dziéwczę zanóci cię rankiem,
Gdy za dalekim tęskniąc kochankiem
Serce boleśniéj uderzy?
A potém, potém, przebrzmiałe dźwięki
Wiatr swojską niwą poniesie,
I, bard ostatni każdéj piosenki,
Echo dośpiéwa cię w lesie!
Aż zcichniesz w głuszy, znikniesz bez śladu,
Jak kwiatki wiosny nietrwałe,
Co z ranną zorzą wchodząc wśród sadu
Nocą opadną spłowiałe.....
Lecz choć kwiat zwiędnie, kwiata nasiono
W wiosenném cieple dojrzeje.
O pieśni moja! niech w bratnie łono
Ziarno się twoje wysieje!
A lirnik ręce wyciągnie drżące
I łzę gorącą uroni
Prosząc dlań niebios o łaski słońce,
Co się w mgłach ziemskich nie słoni.....

Marya Ilnicka.

DO MOICH WNUKÓW.

Ciszéj, ciszéj! co hałasu!...
Dziatki lube, dość swawoli!
Inaczéj trza użyć czasu,
Kiedy Dziadunia coś boli.

Oto dziatki — naprzód wiécie,
Że od Boga śmierć i życie;
Że czy radość, czy strach bierze,
Chlebem duszy są pacierze.

Potém, znany *Tadeuszek*,
Co nawsadzał w flaszkę muszek,
Znany i *Staś*, co za plamę
Płakał a przepraszał Mamę;

Jachowicz wam o nich prawił:
On was uczył, on was bawił,
A dziś starość chorobliwa
Jęczy, cierpi, modłów wzywa!...

Prawda, że strach? zróbcież zadość!
Kto go kocha, *Zdrowaś* powie.
A jakaż-to będzie radość,
Gdy paciorek da mu zdrowie!

Tu dziateczek rój ochoczy
W koło klęknie, rączki złoży,
I modląc się wznosi oczy:
Sięga sercem, gdzie tron Boży.

Znają pszczółki miodny kwiatek,
Wskazywać łąki nie trzeba:
O! módlcie się! bo głos dziatek
Idzie najtrafniéj do nieba.

Ławrynowce, na Wołyniu.

Szymon Konopacki.

WYJĄTEK Z WIÉRSZA:

BIELANY.

Tam na téj skale
Klasztor się wznosi,
Ku Boskiéj chwale
Modlić się prosi.
Otoczony lasu wiankiem,
By pomnik dawnéj wielkości,
Błyszczy wieczorem i rankiem
Zdala żebrząc litości.
Czasem w jednę pieśń się złączy
Dźwięk dzwonu luby, żałosny,
Z pieniem słowika, co kończy
Swój hymn pochwalny, radosny!

Kraków.

Władysław z Zieliny.

KTO JEST BLIŹNIM NASZYM?

«Kto jest mój bliźni?» pytał się raz Faryzeusz Chrystusa, nauczającego apostołów swoich (*), «i któż jest mój bliźni?» zapytuje pewno jeszcze po dziś dzień, nie jeden chrześcijanin wątpiący i nieufny.

(*) u Ś. Łukasza, rozdział 10, wiérsz 25.

«Miałżeby nim być ten żebrak?» mówi dumny bogacz, «któremu z litości rzucam na ulicy jałmużnę, aby mi niebył natrętnym? i któżby mógł wymagać odemnie, abym go jako brata kochał, dzielił z nim wszystko, i po przyjacielsku z nim się obchodził?»

«Jest-że nim mieszkaniec odległych wysp?» pyta się niewierny szydząc. «Zaiste, serce moje za małe jest, aby piastować mogło miłość tak wielką, która całą ludzkość obejmuje: ja mogę tylko blisko mnie będących przyjaciół i znajomych kochać i im służyć.»

«Czy nim jest żyd i poganin?» pyta zagorzały chrześcijanin. «Jakże mogę tego jako bliźniego kochać, który Boga ani nie kocha, ani nie chwali! jakże mogę tego za bliźniego uważać, który nie wierzy w Chrystusa!»

«Jest-że nim i żołnierz nieprzyjacielskiéj armii?» pyta wojownik. «Jakże mam kochać tego, którego zabić powinienem; którýby moją ojczyznę do nędzy, rodzinę do niedoli przywiódł! Ten tylko jest mi bliźnim, kto jest moim ziomkiem, rodakiem; kto w każdéj chwili da krew i życie za wspólną naszą sprawę: każdy inny jest mi obcy.»

«Więc któż jest moim bliźnim?» Chrystus tak mówi w najcudniejszéj ze swych przypowieści (**):

Pewien żyd został na drodze swéj od morderców napadnięty i prawie na śmierć poraniony. Znalazł się tam *Kapłan*, co nauczał przykazań Bożych i znał prawo, że «masz kochać bliźniego, jak siebie samego.» Ale nauczyciel *nie pełnił* Bożego przykazania, i minął nieszczęśliwego, pływającego we krwi. Przyszedł i *Lewita*, jeden z tych, co się chwalili, że u Boga w łasce są. I on przeszedł: *nie wiedział*, że nieszczęśliwy, jego bliźnim jest. Nareszcie przybył *Samarytanin*, i zobaczył żyda. Ale żydzi z Samarytanami żyli w rozdwo-

(**) u Ś. Łukasza, rozdział 10, wiérsz 30.

jeniu, *nienawidzili się dla różności wyznań.* Podróżny widział w leżącym na drodze żydzie *człowieka:* miłosierdziem wzruszony, wziął go z litością, opatrzył rany jego, zaniósł do ludzi, co mieli o nim staranie, i zapłacił za niego. *Ten* tylko wiedział: kto jest bliźnim jego; a *dowiódł* tego *czynem miłości.*

Tak, w Boskiéj mądrości, nauczył nas Chrystus: kto jest bliźnim naszym. Jest nim *każdy* człowiek, co blisko nas jest; *każden*, z którym wchodzimy w stósunki, i któremu użytecznymi być możemy.

Jest więc nim mieszkaniec i najodleglejszych krajów, biały i czarny bez różnicy, skoro tylko możemy mu w czém być pomocnymi. Żaden *inny* Bóg nie jest jego Stwórcą jak tylko *Ten*, który i mnie stworzył, do żadnego *innego* celu Bóg go nie przeznaczył, jak tylko do *tego*, co i mnie. — Cała ludzkość żyjąca w około nas, jest *jedną tylko rodziną*, któréj *Ojcem* wiekuisty, miłujący nas *Bóg*, — a *każdy* téj rodziny członek, skoro tylko jest w styczności ze mną, jest mi bratem, siostrą, bliźnim.

Jest nim wyznawca *innéj* religii, jakąkolwiek ona jest: jest mi *bliźnim;* a boskość wiary mojéj stwierdzę tém, kiedy go jako *dziecię Boże* szanować będę, i pokocham taką miłością, jaką Bóg kocha wszystkich ludzi, — jaką Chrystus nas ukochał.

Jest nim nie tylko mój rodak; ale i nieprzyjaciel mojéj ojczyzny. Wprawdzie obowiązkiem jest moim, bronić praw ojczyzny od obcych wpływów i nie dozwolić, aby życie i własność moich ziomków zniszczone być miały; ale *litość* mam święcić nieprzyjacielowi, *litość* rozbrojonemu. Kiedy mu odbiorę środki szkodzenia, pozostaje mi jeszcze ukochać go. Święte mnie wiążą węzły do narodu mojego; ale święte także węzły jednoczą mnie z ludzkością.

Chociaż ludzie wierzą, że każdy człowiek jest bliźnim naszym; ale jeszcze jakby nie wiedzą, *jaką* ma być ta miłość, którą mu święcić mają. Czują to, że się nie zgadza z prawami natury, aby człowiek dla wszystkich tkliwą, głęboką miał przychylność; wiedzą, że nigdy w sercu niestłumią do pewnych osób żywszéj, niż do innych, przyjaźni.

Inną miłością otaczasz starca, a inną dziécię; inną masz dla przyjaciela, przyjaciółki, inną dla obcego przychodnia, którego w dom przyjmujesz; inną dla siostry, dla brata, inną dla ojca, matki, małżonka albo narzeczonéj. Kto wszystkich ludzi chce mieć przyjaciołmi, nie ma żadnego prawdziwego przyjaciela. Ktoby chciał wszystkim się zwierzać, dla wszystkich być wylanym, ten straciłby wkrótce ufność wszystkich.

«Jakże więc mam kochać bliźniego?» I na to odpowiada mi Chrystus: masz kochać bliźniego, *jak siebie samego.* Niech się na te słowa boskiego Mistrza przestraszy samolub, który nic prócz siebie kochać nie może. Niech na te słowa zapłoni się szczęśliwiec, który postępuje wiernie rozkazom Chrystusa, byle go tylko poświęceń wiele nie kosztowały. Święte te słowa, będą zawsze tą wiekuistą prawdą, któréj wykonanie rozszerzy ludzkość w ludziach, szczęście między nami. Chrystus nie wymaga po nas, abyśmy się dla bliźnich wyzuli z siebie: wszakże my i siebie nie kochamy tyle, byśmy podobnych poświęceń wymagali od drugich. Ale to wszystko, co my jako rozumni ludzie mamy prawo żądać, aby *nam* bracia czynili, to mamy świadczyć *bliźniemu*... a co byśmy nie śmieli wymagać od braci, tego i Chrystus nie wymaga po nas.

„*Kochaj bliźniego, jak siebie samego!*“ *(***)* Więcéj nie żąda Zbawiciel, i więcéj też niepotrzeba, aby niebo ściągnąć

(***) u Ś. Mateusza, rozdział 5, wiérsz 43, 44.

na ziemię. „*Kochaj i nieprzyjaciół Twoich!*“ to się niema tłómaczyć tém wylaniem serca, jakiém tylko wybranych obdarzyć zdolni jesteśmy: nie, niepotrzeba temu, co nam szkodzić może, otwiérać tajniki serca, oddawać miłość, przyjaźń. Nie, dosyć być dla niego tak, jakbyśmy sobie życzyli, aby *on* był zawsze *dla nas*, gdybyśmy jego pomocy potrzebowali. Szlachetność w nieprzyjacielu względem ciebie, zawstydziłaby cię; lecz i duszę by wzniosła twoją; więc ty, uczniu Chrystusa, idź, a bądź dla nieprzyjaciół twoich tak, abyś zawstydził ich, lecz i wzniósł przykładem bezstronności. Bądź dla nich sprawiedliwym; czyń im to, coby cię z ich strony wzruszyć i ucieszyć mogło: to jest kochać nieprzyjaciela, jak siebie samego!

Byli chrześcijanie, którzy chcieli tak uświęcić tę miłość nieprzyjaciela, że nawet obronę własnych praw za złe poczytywali; dla których każdy proces, każde zapozywanie brata przed sąd a nawet każda walka o sprawę najświętszą, złem była.

Jeśliby błąd mógł być kiedy uznany za piękny, to taki zasługuje niezaprzeczenie na to nazwanie. Zaprawdę, jakby to dobrze było, gdyby wszyscy podobnemi tchnęli uczuciami! Wtedyby ludzkość odzyskała straconą ojczyznę! Ale tak nie jest. Póki są *źli* ludzie, póty dobréj sprawy *bronić* potrzeba nawet mieczem. Ale zawsze niech *miłość* towarzyszy nam nawet w tych walkach z nieprzyjaciołmi; niech wojonik, broniący praw swoich, będzie dla umierającego, pokonanego wroga chrześcijaninem; niech w nim widzi *brata* i poda mu dłoń w spokoju.

Taką-to miłością Ty nas ukochałeś, Zbawicielu świata, boski nasz wzorze, któryś wszystkich ukochał, Chrystusie! Jakże mógłbym nienawidzić i prześladować tych, którzy Tobie drogimi byli? Czyż i za nimi nie płynęły łzy Twoje, jak i za mną? Czyż Ty nie niosłeś cierniowéj Twojéj ko-

rony dla nich, jak i dla mnie? A na krwawéj Golgocie, czyż nie położyłeś za nich, jak i za mnie życia swojego? Czyś Boga nie prosił za nieprzyjaciołmi, jak i przyjaciołmi swemi? Czyż nie Twoje są-to słowa: *„kto nie kocha brata swego, mnie nie kocha?“*

Tak! niech serca nasze jednoczy *święta miłość bliźniego*, a Bóg pobłogosławi wszelkim dążeniom naszym, i królestwo Jego będzie w pośrodku nas.

X. Ludwik Czajewicz.

WIERSZ

ofiarowany pamiątce

Stanisława Jachowicza.

Stawiają pomniki bohaterom świata,
Wznoszą pyszne kolumny owocom ich sławy,
Uwieczniają ich bytu na téj ziemi lata,
Ryjąc na twardych głazach żywota ich sprawy;
Wspominają nam dawno upłynione dzieje:
Aleksandry, Cezary, Sylle i Pompeje,
Cyrusy, Anibale, innych szereg długi;
Lecz dla *ludzkości* nie dość korzystne zasługi!
Bo nie ten zyskał imię, kto niszczy, kto zdziera,
„Nie ten, co łzy wyciska; lecz kto je ociera.“
Wspominamy nieraz tych, łzą zalaném okiem,
Których niszczące miecze krwią zalały ziemię,

Płacz, ubóstwo i nędzę rozlały potokiem,
Zrujnowały potomstwo, wyniszczyły plemię.
Czas — wszystko tu niszczący te pamiątki trawi,
I nic po sobie tylko gruzy pozostawi.
Ale oni Kochanowscy, Klonowicz, Rysiński,
Kniaźnin, Koźmian, Kraszewski i słodki Karpiński,
Rej, Śniadeccy, Niemcewicz, Wężyk i Krasicki,
Odyniec, Pol, Woronicz, Kropiński, Wybicki,
Zabłocki i Brodziński, Kluk i Zimorowicz
I nasz niespracowany, poczciwy Jachowicz,
I inne one imiona tor sobie usłały
Do wiekopomnéj cześci, pamięci i chwały.
Bo ten, kto cnotę w sercach rodaków zaszczepił,
Kto śmiało drogę do niéj braciom swym torował,
Kto przykładem przyświecał, i w dobrém ukrzepił, —
Pomnik sobie niezgasłéj wdzięczności zbudował.
A kto nieszczęśliwemu łzę otarł sierocie,
Większym jest niż bohatér, co wytępił krocie.

Adam Bartoszewicz.

CZAROWNIKOWI,
KTÓRY SWOJE ZAKLĘTE SKARBY POKAZYWAŁ NAM PRZEZ MIKROSKOP.

Zapytujesz: co powiém? cudów widząc tyle.
Cóż mam powiedzieć? Milczę, wielki czarowniku,
Który w drobniuchnym, okiem niedojrzanym pyle
Wykazujesz nam dziwów, i skarbów bez liku.

Szczęśliwy! żeś ukochał bóstwo tajemnicze,
Widome tylko garstce wybranych czcicieli;
Bóstwo, którego wiecznie czarowne oblicze
Gwiazdą świeci w pamięci tych, co je ujrzeli!
Jak imię temu bóstwu? imię mu: *Przyroda!*
Żywa, wszędzie obecna, i tak mało znana.....
Wcielona wszech-moc Boża — barwa, liczba, zgoda —
Cudna trójca! świadcząca o wielkości PANA!
Zbrojny, jak talizmanem soczewką z kryształu,
W Twój nas bogaty skarbiec zawiodłeś łaskawie:
My chwytali te cuda wejrzeniem zapału,
Lubując sobie w nowéj uroczéj zabawie.
Lecz nie! Nasza wycieczka w ów świat niewidzialny,
Co miała być rozrywką, stała się pokłonem:
Myśl nasza — *spokorniała*, jakby hymn błagalny,
A pyłek nam się wydał Najwyższego *tronem!*

Julia Janiszewska.

DO

STANISŁAWA JACHOWICZA.

Dziś, gdy Ci bracia wieniec ten niosą
I ja téż kwiatek dorzucę,
I łzą wdzięczności zwilżę, jak rosą,
I piosnkę Tobie zanócę.
Lecz zkąd-że kwiatów? lecz zkąd-że pieśni
Dla Ciebie, Mistrzu mój drogi!

Ziemia tak biedna, świat tak ubogi;
Na ziemi dużo jest pleśni.
A ja dla Ciebie, mój Ty Jedyny!
Przeczystych chciałabym kwiatów;
Pójdęż ich szukać w inne krainy?
Do innych szukać ich światów? —
A jabym chciała dla Ciebie pieśni,
O jakich nawet sam anioł nie śni;
Zkądże ich wezmę, Kochany!
Oh! teraz właśnie młodziuchna wiosna
Ze snu się budzi taka radosna:
Na nasze pójdę ja łany.
I jeden tylko zerwę tam kwiatek —
Znasz go z imienia — to skromny *bratek.*
A *jego* godło jest święte.
A zamiast pieśni, zanócę słowa,
Które Twe serce tak wiecznie chowa,
A które w niebie poczęte;
Boć ta pieśń pierwsza, oh! i ostatnia:
„Niechaj się *miłość* rozradza *bratnia.*“

Józefa Prusiecka.

LIST
DO
W...... S...........

Skarżyłam się przed Tobą, mój zacny Doktorze, że mi jakoś dziwnie, szczególnie; że jakaś inna, a nie ta sama jestem, co wprzódy; że jakaś zamiana; ot taka niby jak w owej bajce, królowej na prostą wieśniaczkę, nastąpiła ze mną.

Skarżyłam się, i postrzegłam przelotny uśmiech błądzący po twarzy, i gdyby ten uśmiech na innych, nie na Twoich pojawił się ustach, wzięłabym go za znak niezawodnéj ironii. Bo nieprawdaż, Doktorze, że to zbyt wzniosłe, pochlebne, nawet zuchwałe porównanie: siebie nazywać królową...? A jednak tak było, Doktorze! Jam niekiedy panowała nad głębią wód morskich, i co najkosztowniejsze wydobywałam z niéj perły. Jam z ziemi łona cudne tęczowéj barwy wydzierała kamienie: zielone, jak świeży liść, szmaragdy; purpurowe rośliny, ciemno-modre szafiry, i w cudne słońca kolory mieniące się opale.

Jam wtenczcs, kiedy lodowata zima w śmiertelny całun ubrała pola, ogrody i łąki; jam nawet wtenczas, siłą mojéj wyobraźni, stwarzała tysiące wzorzystych kwiatów, kosztowne tkała z nich kobierce, i rozścielała po zimnéj zmartwiałéj ziemi. Jam ptakom wskazywała drogi do lotu, ubrawszy wprzódy ich pióra w bogactwa własnéj fantazyi. Na głos mój, ryk bałwanów, huk grzmotów i chaos powstawał wpowietrzu. Jam uspakajała rozkołysane fale morza, ciszę nakazywałam żywiołom. Moja potęga wyżéj i wyżéj sięgała: jam po nad miliony gwiazd stawała u stóp Jehowy i co przedniejszych aniołów, jak drobne dzieciny, sprowadzała na ziemię za rękę. Tak, Doktorzc, jam była królową! królową w bogatych wyobrażeń krajach! a teraz czuję taką zmianę, takie ubóstwo; poradź co, poradź, Doktorze.

— „Pisz, Pani“ mówiłeś.

„Ależ“ powiedziałam „czuję jakieś ubóstwo... Mamże jaśniéj się tłómaczyć? jakąś głupotę nawet.“

— „Pisz, Pani, głupstwa“ odrzekłeś znowu.

„Na Boga, Doktorze, chcesz-że mię przed światem osławić? Jam Ci mówiła, jak chora do lekarza, przyjaciółka do przyjaciela; godziż się zaraz przed wszystkiemi tajemnicę ogłaszać? Myśliż, że mnie przyniesiesz ulgę; że społeczeń-

stwu zrobisz mojém pismem przysługę: alboż-to mało jest głupstwa na świecie? Czyż to taki rzadki towar, żeby go więcéj i więcéj przysparzać jeszcze? Czyż nie mamy go w kraju, czyż nie sprowadzają nam go bez cła z zagranicy? Wskaż mi co innego, Doktorze, wróć mię do dawnego stanu.

— „Czekaj, Pani, czekaj“ uspakajałeś mię po chwili „naradziliśmy się z kolegą moim M. i znaleźliśmy dla Pani niezawodny środek: są to krople, — będziesz po nich miała sny miłe, poetyczne.“

Przypominasz sobie może, Doktorze, że siedziałam wtenczas na kanapie, i o mało, jak Archimedes z kąpieli, nie zerwałam się z kanapy wołając „*znalazłam.*“ Tak, znalazłam jasną gwiazdkę mojego dzieciństwa, towarzyszkę najpiérwszéj młodości, pocieszycielkę lat późniejszych. Znalazłam *poezyę!* O! Doktorze, z jakąż radością wróciłam do domu! jakże skwapliwie kazałam przyrządzić owe krople! z jakąż chciwością spełniłam przepisaną ich miarę! Wzywałam snu co najprędzéj, aby na tle *jego*, cudowne *Haschis* rozwinęło bogactwo wschodniéj poezyi: — usnęłam.

Nagle, przez powieki przedarł się jakiś blask... otworzyłam oczy: dziwna rzecz! Ja już nie spoczywałam na mojém łóżku, ale znajdowałam się w jakiéjś ogromnych rozmiarow sali. Wszystko, co tylko zbytek wschodni, co tylko tak zwane *potrzeby europejskie* wymyślić mogły, wszystko się w niéj mieściło. Gęste szpalery drzew, wzrosłych pod gorącym słońca promieniem, okryte złotemi i purpurowemi owocami, odbijały się w szérokich taflach źwierciadeł. W rogach fontanny biły brylantowym deszczem; gdzie niegdzie w alabastrowych naczyniach płonęły wonne olejki. Daléj wysokie kolumny, bogatą okryte rzeźbą, oddzielały boki sali od jéj nawy. Arcydzieła pędzla, przedstawiające sceny mitologii i późniejszych czasów, walczyły z sobą o piérwszeń-

stwo. W pośrodku sali tysiące postaci ugrupowanych trafem lub fantazyą sztuki, w cudnych barwach i strojach przedstawiały się oku. Z główek młodych, jak swieża wiosna, jak pączek róży, rozwitych dziewic upadały, niby z pełnego kosza lub rogu obfitości, gęste kwiaty i liście; osłaniały ich okrągłe ramiona, różowe twarzyczki, bujne sploty jasnych lub ciemnych włosów, ujmując częstokroć wdzięków, jakich dobra natura nie skąpiła dla nich. Białe rączki, okute aż do łokcia w różnorodne bransolety, tylko gdzie niegdzie z pod nich wyglądały ostrożnie. Lekkie gazowe sukienki, w których wyżéj i wyżéj ku obłokom wzbić by się mogły, obciążone również mnóstwem kwiatów, stworzonych sztuką, zapłaconych zbytkiem, mimowolnie ciągnęły je ku ziemi. Inne głowy, bardziéj jeszcze strojne, pochylały się prawie skutkiem ciężaru; bo na nich spoczywały tysiące, krocie, i więcéj nawet zakute w twarde i martwe kamienie. Suknie wzorzyste przerabiane złotem, szyte drogiemi klejnoty, utrudzały widocznie swobodę ruchu. Przy nich stali młodzieńcy, wysmukli, bieli i zręczni. W ich stroju, ruchach, ukłonach i słowach znać było lekkość. Z jakiego byli kraju? do jakiego należeli narodu? nie wiém; bo ich mowa nie była mową ojców naszych. Spojrzałam trafem, czy przeczuciem ku górze, i spostrzegłam w jakimś mglistym obłoku, pół cieleśnie pół duchowo rysujące się postacie: były to postacie kobiét i mężczyzn. Starsze nieco niewiasty, choć nie doszły średniego wieku, miały na sobie suknie ciemne, obcisłe; głowę otoczoną śnieżystą zawijką, podobne do naszych sióstr zakonnych. Przy nich młode dziéweczki, w białych sukienkach, z gładko uczesanym włosem, ozdobnym niekiedy bławatkiem lub polną różą, stały, poglądając z jakimś podziwem, obawą czy litością na swoje bogato-postrojone drużki. Mężowie z ciemnym, znać jeszcze w Palestynie ogorzałym licem, w stalowéj zbroi, z gęstym

wąsem, namarszczoném czołem chmurnie poglądali na grono kręcących się po sali młodzieńców.

Muzyka zagrała, pary podały sobie dłonie, wir tańca uniósł ich w szerokie kręgi. Mnie się duszno zrobiło, wybiegłam z sali i prawie jednym skokiem stanęłam na ulicy. Noc była! niebo jasne, pogodne, błękitno-perłowego koloru, a na tle jego błyszczało tysiące złotych wyiskrzonych gwiazd. Na ziemi mróz silny; śnieg taki biały, taki jasny, że przybiérał prawie brylantowy połysk: słychać było jego chruptanie pod stopami ludzi i pod kołami karet. Dziwną nagle uczułam zmianę po téj ciepłéj i wonnéj atmosferze balu, stanąwszy na mroźném zabijającém oddech powietrzu. Chciałam prędko pobiedz do domu; ale jakiś szmer pomięszany, niby cichego jęku, płaczu, narzekania i modlitwy, zatrzymał moją uwagę. Spojrzałam: z dwóch stron, jakby dwie kolumny wojska, jakby dwa nie regularne szpalery drzew, stali ludzie wyżółkli, wychudli. Ich wyciągnięte ręce podobne były do obnażonych, poschłych gałęzi; ich łachmany podobne do szmatów z zczerniałych liści, któremi wiatr jesienny pomiata. Chciałam uciec, jak najprędzéj, od bolesnego widoku; ale jęk błagalny mnie wstrzymał. „Niechże“ pomyślałam sobie „niechże bracia i siostry w Chrystusie, choć skargą ulżą zbolałemu sercu,“ — i wnet cała zgraja zbliżyła się do mnie, otoczyła, oplotła mię wieńcem, i każdy z nich, jak nowy Job, rozdziérał ranę ciała i duszy swojej i napełniał skargą powietrze. Były tam młode matki z niemowlętami u wyschłych piersi; były sędziwe niewiasty, pozbawione władzy; byli posiwiali starcy, bez rąk i nóg; byli chromi, ślepi, idyoci; były drobne dzieci z błyszczącemi oczami, z spalonemi od gorączki ustami. Wszystko to podbiegło lub przywlokło się do mnie wołając: „daj! daj co! ulituj się!“ Sięgnęłam do kieszeni ręką, chciałam coś poszukać, coś wynaleść dla nędzarzy, — w tém toczenie karety

obiło się o moje ucho... Spojrzałam, w karécie siedziała młoda jak jutrzenka, piękna jak bóstwo, strojna jak wiosna kobiéta; — do karety zbliżał się żebrak o szczudle. W tém woźnica zaciął konie i dwa krzyki: jeden głośny przeciągły, drugi głuchy przerywany dały się słyszeć; — spojrzałam raz drugi, twarz kobiety była biała, jak marmur, twarz żebraka oblana purpurą krwi! Nie mogłam znieść strasznego widoku... przymknęłam powieki. Po chwili je otworzyłam, — pot zlewał gęstemi kroplami czoło; zmordowane piersi zaledwie mogły oddychać, serce gwałtownie biło pod ręką, która je przyciskała; ale scena okropna znikła z przed oczu, a ja... leżałam w pokoju na mojém łóżku.

Dziękuję Ci, Doktorze, dziękuję za Twoją nieporównaną *Haschis*; dziękuję za Twoje sny poetyczne...

Dlugo, długo leżałam niepokojona sennėm marzeniem, które dopiéro co znikło przedemną. „Boże!“ pomyślałam sobie „zachowaj mię od takiego widoku na jawie;“ i jakby z obawy, aby widok ten nie powtórzył się przedemną w żywym obrazie, zasłoniłam twarz obiema rękami. Po chwili jakieś światło przedarło się przez szczeliny palców i upornie zaczęło draźnić powieki. Otworzyłam oczy. Nie było to sztuczne, jaskrawe, powstające z tysiąca żarzących świéc; ale ciepłe, łagodne, słoneczne światło. Spojrzałam, — w około mnie rozciągała się ogromna nieznana, a taka cudnie piękna przestrzeń! Pod stopami kwiaty, nad głową błękit nieba pogodny, po bokach lasy świéże, zielone, jak w pierwszych dniach stworzenia. W dali przedemną, stał jakiś gmach, niby podobny do świątyni pogańskiej, niby do chrześcijan kościoła, niby do owych napowietrznych pałaców, o których poezya ludu takie nam dziwy prawi. Zwróciłam kroki ku niemu; a im bliżéj postępowałam, tém bliżéj postępowałam, tém większą czułam siłę, która mimowolnie naprzód mnie pchała. Wkrótce stanęłam w obszernym, wspar-

tym na wysokich kolumnach przysionku. Po dwóch stronach wznosiło się dwoje drzwi wchodowych; na pierwszych był napis: *Pokorni w duchu*, na drugich: *Pyszni świata*. Otworzyłam pierwsze. Widok, jaki mnie naprzód uderzył, była postać młodéj, klęczącéj niewiasty; jasne włosy w falach rozpływały się po giętkiéj szyi, wydatne czoło wsparła na alabastrowéj białości rękach, po których łza za łzą w grubych kroplach padały; a każda z tych łez wznosiła się do góry i zamieniała w perłę; a z tych pereł dwaj aniołowie unoszący się w obłokach, tkali cudną koronę, trzymając ją nad głową młodéj pokutnicy. Wyżéj jeszcze nad koroną wznosił się złoto-różowy, niby wschodząca jutrzenka, napis: „*Wiele jéj przebaczono; bo wiele kochała.*“ — Nieco opodal siedział mąż: prosty strojem, prosty postawą, i sporządzał nadpsute sieci. Wpatrzywszy się lepiéj w jego rysy, można było dostrzedz myśl głęboką, jakiś wewnętrzny żal, czy wyrzut za przeszłością, i silnie powziętą wolę na przyszłość. Nad jego głową unosił się inny napis, a każda w nim głoska, niby żywym jeszcze dźwiękiem brzmiała; bo ten, który to wyrzekł, żyje na wieki: „*Ty będziesz rybitwą ludzi.*“ — I znowu w innem miejscu siedział młodzian. Król ptaków, orzeł, wsparł głowę na jego ramieniu, młodzian wzniósł czoło ku niebu; w spojrzeniu malowała się słodycz, potęga myśli i miłość. W jednem ręku trzymał pióro, w drugiém zwój papiéru; z ust świéżych purpurowych, na wpół otwartych, wychodziły słowa po tysiąc razy i to z takiém przez niego powtarzane ogniem: „*Bracia moi! kochajcie się!*“ — I jeszcze daléj siedział mąż inny: széroki płaszcz pielgrzymi osłaniał mu ramiona; ale przy boku błyszczał miecz a na piersiach szczątki rycerskiego stroju. Nad nim unosiły się wyrazy: „*Saul! Saul! czemu mię prześladujesz?*“ Ale te wyrazy widać już straciły ostrą pierwotną barwę, a każda zgłoska zamieniała się jakby w kwiat lilii; a z każdéj lilii kielicha wy-

pływał niby złoty promień: znać to był promień łaski. Przed owym mężem leżała księga z napisem: „*Listy do Koryntów.*“

Chciałam się zbliżyć do tych błogosławionych postaci; chciałam dotknąć kraju ich szaty; ale w téj chwili kształty cielesne niknąć zaczęły, a każda z nich zmieniła się jakby w lekki obłok, jakby mgłę śnieżystą; i wyżéj, wyżéj wznosiła ku górze. A orszak Cherubów i Serafów otoczył je w koło, i słyszałam cichy powiew ich skrzydeł, niby cichy szmer miękkich wiosennych liści. Spojrzałam za niemi: niebo było jasne, promienne. Uklękłam, złożyłam ręce, i długo, długo się modliłam, aby promień łaski spłynął i na mnie.....

„Powstań już i pójdź ze mną“ ozwał się głos.

— „Któż jesteś?“ zapytałam.

„Stróż anioł, zesłany od Boga, niewidziany przez Ciebie, a zawsze przytomny tobie.“

Powstałam i szłam za moim przewodnikiem; bom czuła jakby woń, jakby powiew jego szaty. Drzwi po drugiéj stronie przysionku, na których był napis: „*Pyszni świata*“ otwarły się przedemną; weszłam.... Kobiéta w całéj wysokości swojéj kibici, wielkości, majestatu, potędze wdzięków stała przedemną. Biała suknia, śrebrem tkana. spływała aż do stóp; zwiérzchnia z niebieskiego aksamitu, szyta bogato perłami, w gęstych spadała fałdach. Szyja i ręce były odkryte, tylko na ramionach dwa duże rubiny, spinały obcisły stanik. Bujne warkocze czarnych włosów ujęła opaska w kształcie grubego węża, którego łuska z drobnych szmaragdów a głowa z ogromnéj wielkości składała się brylantu. Usta lekko wypukłe, świéże, odrzucone nieco w górę, drgały znać skutkiem wewnętrznéj walki. W czarnych oczach, pod czarną, jak aksamit, rzęsą migotała łza; ale kobiéta powstrzymywała ją siłą woli, aby spadłszy nie zbledziła rumieńca, nie zrobiła bruzdy na licu. Na czole matowej białości można było dostrzedz zmarszczkę lekką nieznaczną, jak jedno

pociągnienie ołówka. Stała ona już na owym szczycie piękności, gdzie kobiéta zatrzymawszy się przez chwilę, traci równowagę i upada: jedną rękę przycisnęła do serca, a w drugiéj trzymała puhar zatruty. Dziwną sprzeczność stawiała z ową młodą jasno-włosą, klęczącą pokutnicą. Piérwsza chciała pokutą strawić swoje wdzięki, aby stać się godną nieba, druga śmierć sobie zadała, aby nie przeżyć wdzięków i stać się godną świata. Marya Magdalena gorącém sercem ukochała swego oblubieńca; Kleopatra z zimném sercem patrzyła, jak u stóp jéj ginęli z miłości oblubieńcy.—Nieco daléj stał mężczyzna atletycznéj postawy; płaszcz purpurowy okrywał szérokie barki, koronę miał na głowie a w ręku berło. Wźrok, w którym malowała się dzikość, wlepił w jakiś punkt niepewnie rysując się w oddali, i słuch wytężył ku tamtéjże stronie: bo tam był cyrk, a jęki gladyatorów wszérz i wzdłuż powtarzało miasto. To Neron! I on jak Piotr Ś. był rybitwą ludzi, i on zastawiał sieci, i on siłą miliona rąk przygarniał ich do siebie; lecz nie dla tego, aby niebu pozyskać, tylko aby zbogacić niemi i tak bogatą Romę, lub na stosie ofiarnym poświęcić ich swéj dumie. Nad głową jego unosił się nietoperz. Zapewne w to szare, brudne, skrzydlate stworzenie zaklęty był duch owego poety, który wyrzekł za życia w odzie do Nerona, że: *gdyby na jednéj szali można położyć kulę ziemską, a na drugiéj cnoty Nerona, zapewne cnoty przeważyły-by szalę.* — A znowu daléj stał drobny, wyschły, wywiędły mężczyzna, czoło miał szerokie, zaklęsłe; w oczach malowała się złośliwość i nikczemność, w ustach głupowaty uśmiech; głowę, wrosłą w ramiona, zniżał co chwila ku ziemi, bo nigdy widać polot wyższéj myśli nie skierował ją ku niebu. W ręku obracał zapaloną pochodnię, i poglądał na nią z całą radością niedołężnéj istoty. Dla czego traf go postawił na trzeciém miejscu w przybytku pysznych, jak Jana S. w przybytku

pokornych? Dla tego zapewne, że Jan S. słowem, jak pochodnią zapalał to, aby stworzyć na nowo, co najpiękniejszego ręka Boga wydaa: *miłość.* Herostrat zapalał, aby zniszczyć to, co najpiękniejszego ręka ludzka wydała: arcydzieło sztuki, świątynię w Efezie! — A nieco jeszcze daléj odległością miejsca, a jeszcze daléj przestrzenią wieków, stał mąż oparty na mieczu. Rysów twarzy jego niedojrzéć; bo hełm głęboko zapuścił na czoło. Stalowa zbroja okrywała pierś. Płaszcz, wełniany, spięty, pod szyją, na płaszczu krzyż czarny. Dla czego znajdował się w tym przybytku? Co go zespoliło z bałwochwalczym tłumem? — Pycha!.... Saul, rycerz pogański, późniéj Paweł apostoł, uwierzył słowom Chrystusa, przyjął je w pokorze. Rycerz krzyżacki, jeden z tych, których karta historyi krwawe zapisała dzieje, wzgardził słowem, a godło naszéj wiary użył jako osłonę swéj dumy. Piérwszy stał się przewódcą ludzi, drugi niewolnikiem świata.

Zimno mi się zrobiło na widok tych postaci różnych stanem, a jednak myślą zbliżonych do siebie. Podsunęłam się ku nim, chciałam się w nich wpatrzyć, zapamiętać ich rysy, położyć rękę na sercach, czy drgają, biją jak inne? Postąpiłam, położyłam rękę...... ale zaledwie wydarło się westchnienie z moich uciśnionych piersi, cztery postacie runęły w gruzy, wiatr rozwiał ich popioły, a krzyk złowrogich ptaków, niby śpiéw żałobny, niby muzyka pogrzebowa, uderzył moje ucho..... Ocknęłam się zmęczona, zmordowana, oblana zimnym potem, jak wprzódy. — O! jeżeli krakanie kruków, śpiéw puszczyków, szelest sępich skrzydeł ma mnie zawsze tak strasznie przebudzać, dziękuję Ci za Twoje sny poetyczne, za Twoją cudowną *Haschis,* Doktorze.

Józefa Prusiecka.

POWRÓT ARTYSTY
z Włoch
NA RODZINNĄ ZIEMIĘ.

Syn nadwiślańskiéj krainy
Zwiedzając Auzońskie niwy
I Tybru śliczne doliny,
Mniemałem, żem jest szczęśliwy!
Wszak Włochy ziemskim są rajem:
Tam wieczna wiosna panuje!
Italia niebian jest krajem:
Tam sama rozkosz króluje!
Gdy skwar słońca był za wielki,
Wtedy śród *pomarańcz* cienia
Liczyłem rosy kropelki
I słuchałem ptasząt pienia!
Lub przy szmerze wodospadu
Zefiru lotem owiany,
Nad brzegiem Arnu lub Padu
Marzyłem zaczarowany!
Ach! bo czarodziejk tam roje,
Wszystkie przecudnego lica,
Zachwycały duszę moję
Przy śrébrném świetle xiężyca!
Marzyłem, — gdy w tém zjawisko
Nagle przed oczyma stawa:
Patrzę... wpatruję się blisko...
Ach! to *Wisła*, to *Warszawa!*
Rzucam gaiki oliwne,
Opuszczam pomarańcz cienie,
Wszystko mi zimne i dziwne,
Wszędzie niemiłe schronienie!

Tęschnę do swojskiéj zagrody,
Gdzie jabłoń i lipa wzniosła:
Tam mi zakwitł mój wiek młody,
Tam piérwsza rozkosz urosła!
Niemogąc przytłumić w sobie
Tęsknoty za polską mową,
Lecę, Warszawo, ku Tobie:
„Lombardyo! bywaj mi zdrową!“
Jestem już, gdzie Wisła płynie!
Poję się Polek wdziękami!
Ileż z nich i w Włoszech słynie
Równie cnotą, jak wdziękami!
Syn nadwiślańskiéj krainy
Zwiedzam już ojczyste niwy!
Tu, gdzie rodzinne równiny,
Tu chcę pozostać, szczęśliwy!

Wal: z Mniszewa.

DOBRODZIEJSTWO MODLITWY.

Co mam, czém jestem, co czuję,
Twoim, o Panie! jest darem;
Lecz, co mnie *tkliwiéj* przejmuje,
Co *większym* łask Twych wymiarem:
Oto, mnie dałeś jednemu,
Mnie, szczypcie prochu téj ziemi,
Wznieść się ku Tobie samemu
I czcić Cię modły mojemi!
Panie! wyznaję z wielbieniem
Ten związek Stwórcy z stworzeniem,
Tę słodycz: *w każdéj potrzebie*
Podnieść się myślą do Ciebie!

Z rękopisów ś. p. Ministra **Tadeusza Matuszewicza.**

I gdzież więc jest szczęście?

(Wyjątek.)

Ach! *Poezyi* wdzięczne kraje
I jéj cały świat uroczy
Niechaj w myśli naszéj staje
I rozjaśni nasze oczy!
Bo to *ona* tylko słodzi
Duszy naszéj udręczenia:
Z *Bogiem, światem* nas pogodzi,
Tylko trzeba *czuć* jéj tchnienia!

Hieronim Czarnowski.

WIENIEC.

Jeźli wieniec splatać mamy,
Łączyć trzeba *wszystkie* kwiaty;
Wdzięku mu *czuciem* dodamy:
I będzie wieniec bogaty!
Są-to dzieci *jednéj* matki,
Niechże *wspólnie* hołd składają
Temu, co ukochał dziatki, —
Którego dzieci kochają;
Tę nagrodę, skromną płacę,
Przyjmie za *miłość* i *pracę*!

E. D. Trąmpczyńska.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

TREŚĆ TOMU I.

str.
1. *Franciszka Wężyka (w Krakowie):* Do St. Jachowicza . . . 1
2. *Wincentego Pola (w Krakowie):* Stan: Jachowiczowi . . . 6
3. *Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiéj) (w Warszawie):* Oda do słowa 9
4. *Téjże:* Prawda 12
5. *Téjże:* Pieśń 14
6. *Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza) (w Borejkowszczyznie, pod Wilnem):* Stary Zégar . . . 15
7. *Alexandra Hr. Fredra (we Lwowie):* Zasłona Mohameda 18
8. *Z pism pozostałych po Janie Nep. Kamińskim:* Miotła 19
9. *Lucyana Siemieńskiego (w Krakowie):* Prawda o Jachowiczu . . . . : 20
10. *Jana Śliwki (w Cieszynie, na Szląsku austryackim):* Listek 22
11. *Józefa Paszkowskiego (młodszego, w Warszawie):* Dwie przysłowiowe gawędy 23
12. *Karola Kucza (w Warszawie):* Stare przysłowie: („Sprawię ci łaźnię“) 26
13. *Alexego Wójcickiego (w Lublinie):* Wiérsz ofiarowany Stanisławowi Jachowiczowi 31
14. *Dra Ferdynanda Dworzaczka (w Warszawie):* Wyjątek z rozprawy pod napisem: „Człowiek“ . . 33
15. *Dra Teodora Tripplina (w Warszawie):* Osada polska na brzegach jeziora Balaton w Węgrzech . 60
16. *Adama Pługa (Antoniego Pietkiewicza) (w Potoku pod Winnicą, na Podolu):* Skarby zaklęte . . . 95
17. *K. z P. Hr. S.* Wiosna 112
18. *Sawyny (w Kamieńcu Podolskim):* Przechadzka w stronie naddniestrzańskiéj 113
19. *Sawyny:* Do A. K. 114
20. *Antoniego Czajkowskiego (w Petersburgu):* Statut Wiślicki z roku 1347 115

str.

21. *Fryderyka Hr. Skarbka (w Warszawie):* Dwa wyjątki z pochwał niegdy publicznie czytanych . 127
22. *Eleonory Ziemięckiéj (w Warszawie):* Opowiadanie z notatek podróżnego 129
23. *Téjże:* Z Album E. J. 136
24. *Antoniego Hana (w Warszawie):* Wyjątki z Opisu podróży przemysłowéj do Londynu 137
25. *Alexego Żabokrzeckiego (w Warszawie):* Kto Jachowicz? 161
26. *Teofila Nowosielskiego (w Warszawie):* Chora niewiasta 168
27. *Tegoż:* Dług święty 168
28. *Alexandra Hr. Fredra (we Lwowie):* Nieśmiertelna 169
29. *Wiktoryi S. (w Warszawie):* Rozum 170
30. *Matyldy z W. G. (w Nowéj Alexandryi, Puławach):* Stanisławowi Jachowiczowi 171
31. *Maryi Borowskiéj (w Warszawie):* Kwieciarka . . 173
32. *Jana Nep. Leszczyńskiego (w Warszawie):* Łzy . 173
33. *Emilii z P. B.....wicz (w Warszawie):* Dziewica Orleanu 177
34. *Ludwika Rajszla (w Łęczycy):* Do Stanisława Jachowicza 179
35. *Hieronima Kalińskiego (w Warszawie):* Do tegoż . 180
36. *Walentyny Kowalskiéj (w Warszawie):* Czemu się język doskonali? 181
37. *Felicyi P. (w Warszawie):* Do Kopernika 184
38. *Narcyssy Gabryeli Żmichowskiéj (w Warszawie):* Adeodat 187
39. *Józefa Ignacego Kraszewskiego (w Żytomierzu):* Stanisławowi Jachowiczowi 229
40. *Franciszka Salezego Dmochowskiego (w Warszawie):* Do Stanisława Jachowicza 231
41. *Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiéj) (w Warszawie):* Do Stanisława Jachowicza 233
42. *Ks. B. (w Warszawie):* Godzina rozmyślania w święta Wielkanocne 235
43. *Pauliny Kraków (w Warszawie):* Kobiéta 242
44. *Antoniego Edwarda Odyńca (w Wilnie):* Anioł Stróż 243
45. *Wacława Alexandra Maciejowskiego (w Warszawie):* Ogólny pogląd na główną przyczynę upadku miast w dawnéj Polsce 248
46. *Wacława Szymanowskiego (w Warszawie):* Rozmowa serca z rozsądkiem 263
47. *Felixa Homickiego (w Kielcach):* Porte-Monnaie . 267

str.
48. *Felixa Pawła na Jaroczynie Jarockiego (w Warszawie):* Do szczęścia 269
49. *Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj (w Warszawie):* Śpiący rycerze 269
50. *Józefy Prusieckiej (w Warszawie):* Dawniéj i teraz 277
51. *Téjże:* «Beczkę zjesz soli, nim poznasz przyjaciela" 279
52. *Karoliny z Hr. Potockich Nakwaskiéj (w Genewie):* Ustęp z dzieła: «Dwór wiejski» 280
53. *Jana Gregorowicza (w Warszawie):* Srebrna sala pod trzema murzynami, w Warszawie 290
54. *Juliana Bartoszewicza (w Warszawie):* Pan Bystry 311
55. *Jolanty (w Warszawie):* Przeczucie 325
56. *Wincentego Smacznińskiego (w Warszawie):* Do krytyków . . . . , 327
57. *Stanisława Bogusławskiego (w Warszawie):* Ludzie i nędza , ... , ... 329
58, *Adama Gorczyńskiego (w Warszawie):* Cmentarz w Sandomiérzu 336
59. *— b — (w Warszawie):* Bez i wino 339
60. *Zygmunta H. J.* Rodzinne podanie , ... 340
61. *Henryka Grotthuza (w Warszawie):* Wyjątek z wiérsza: «Paryż z poddasza na wybrzeżu Wielkich Augustynów» 350
62. *Konstantego Wosińskiego:* Porównanie 355
63. *Bronisławy z Biernackich Jelskiej (w Szumsku):* Pamiątka poświęcona ś, p. Klementynie z Tańskich Hoffmanowéj 356
64. *Anny P. (w Warszawie):* Monika Łaniecka . . . 357
65. *Zofii z M. J. (w Warszawie):* Święć się imię Twoje! 385
66. *Władysława M. (w Warszawie):* Bal obłąkanych w Wiedniu 394
67. *Antoniego Edwarda Odyńca (w Wilnie):* Garnuszek śmietanki 399
68. *Augusta Bielowskiego (we Lwowie):* Śpiewka . . 403
69. *Dra Frederyka Skobla (w Krakowie):* Chudoba (*Kudowa*). Wspomnienie z podróży odbytéj do zdrojowisk szląskich 404
70. *Felicyana Faleńskiego:* E pur si muove 431
71. *Ks. Bonifacego Ostrzykowskiego (w Brańszczyku):* Wyjątek z wiérsza «do Stanisława Jachowicza» . 432
72. *Juliusza Przyjemskiego (w Londynie, Tottenham):* Wyjątek z wiérsza «Równość» 433
73. *F. R:* Do przyjaciół, z któremi się rozłączyłam . 434

str.
74. *Andrzeja Hr. Zamojskiego (w Warszawie):* O obowiązkach dzieci 437
75. *(Wdzięcznéj Uczennicy):* Gałązka ciernia 447
76. *Z pism pozostałych po Janie Nep. Kamińskim:* Ogród 450
77. *Z pism pozostałych po Kazimiérzu Brodzińskim:* List, pisany z Genewy roku 1824 450
78. *Maryi Iłnickiéj (w Warszawie):* Lirnik 453
79. *Szymona Konopackiego (w Ławrynowcach, na Wołyniu):* Do moich wnuków 454
80. *Władysława z Zieliny (w Krakowie):* Wyjątek z wiérsza: «Bielany» 456
81. *Ks. Ludwika Czajewicza (w Warszawie):* Kto jest bliźnim naszym? 456
82. *Adama Bartoszewicza (w Warszawie):* Wiérsz ofiarowany pamiątce Stanisława Jachowicza 461
83. *Julii Janiszewskiéj (w Warszawie):* Czarownikowi, który swoje zaklęte skarby pokazywał nam przez mikroskop 462
84. *Józefy Prusieckiéj (w Warszawie):* Do Stanisława Jachowicza 463
85. *Téjże:* List do W. S. 464
86. *Wal: z Mniszewa:* Powrót artysty z Włoch na rodzinną ziemię 474
87. *Z rękopisów ś. p. Ministra Tadeusza Matuszewicza:* Dobrodziejstwo modlitwy 475
88. *Hieronima Czarnowskiego (w Warszawie):* I gdzież więc jest szczęście 476
89. *E. D. Trampczyńskiéj:* Wieniec 476

Uwaga.

Na str. 127, w wierszu 11, czytać wypada: *najzwyczajniejsze.*

— 129, w wiérszu 5: *mścicielu.*

— 396, w wiérszu 15: *Trzecia opłaca.*

Tamże w wiérszu 16: *a pierwsza.*

— 406, w wiérszu 10: *1854.*

— 410, w wiérszu przedostatnim: *o 2 mile.*
